

PAWEŁ SZLACHETKO

ZABIĆ

Mona Lize

Paweł Szlachetko

Zabić MonaLizę

Saga

Zabić MonaLizę

Zdjęcie na okładce: Midjourney, Shutterstock
Copyright © 2023 Paweł Szlachetko i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727138572

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta wydawnicza

Od autora

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Część druga

Pozostało 42 dni

Pozostało 38 dni

Pozostało 31 dni

Pozostało 24 dni

Pozostało 20 dni

Pozostało 16 dni

Pozostało 8 dni

Pozostało 2 dni

Dzień ostatni

Epilog

Jedne z najbardziej poszukiwanych przez Interpol dzieł sztuki

Przypisy

Od autora

Wszystkie dzieła sztuki, miejsca, wydarzenia, personalia (prócz nazwisk głównych bohaterów, jak też wątku obrazu Marca Chagalla, „Wenus z Witebska”), informacje historyczne oraz metody fałszerstw są autentyczne. Opisane zaś w powieści kradzieże polskich oraz zagranicznych dzieł sztuki wydarzyły się naprawdę.

Paweł Szlachetko

Prolog

Mężczyzna stał samotnie na górnym pokładzie promu, który po zmroku wypłynął ze Sztokholmu w stronę Gdańska. Nazywał się Zygmunt Janicki i był historykiem sztuki. Mrużąc oczy przed podmuchami wiatru, patrzył na ciemną taflę morza i mocno zaciskał dłoń na barierce. Fale z rytmicznym pluskiem uderzały o burzę, gdzieś nad głową słychać było gwizd wiatru w stalowym olinowaniu.

Janicki powoli uspokajał się po pełnej emocji wizycie w banku. Przez cały czas widział przed oczami płótno Chagalla „Wenus z Witebska”, które mu pokazano w podziemnym skarbcu. Młoda naga kobieta stała w drewnianej balii, którą ustawiono pośrodku niewielkiego pokoju. Obok unosiły się dwa wesołe diabełki gotowe polać ją wodą z wyszczerbionego dzbanka. Od razu rzuciło się w oczy nawiązanie do „Narodzin Wenus” Botticellego.

Kiedy rano zejdzie na ląd, wróci pierwszym pociągiem do Warszawy. Z pewnością zleceniodawca zechce usłyszeć jego uwagi i spostrzeżenia. Zwłaszcza że krótka wiadomość SMS, którą wysłał w południe, dawała do myślenia: „Bogini jest fałszywa!”.

Zszedł do baru. Tej nocy i tak nie usnie, więc filizanka kawy nie miała żadnego znaczenia. Złożył zamówienie, sięgnął po serwetkę i zaczął notować uwagi z badania autentyczności obrazu. Ten miał już certyfikat wystawiony przez eksperta z Instytutu Chagalla w Paryżu, Antoine’a de Lagardère’a. Rosnan, który miał zamiar kupić malowidło, postanowił go zweryfikować i on, Janicki, został poproszony o opinię. No właśnie, prychnął w myślach, jak to możliwe, że paryski ekspert nie zauważył tego, co on?

Kiedy kończył zapisywanie pierwszej serwetki, kelner postawił przed nim cappuccino. Upił łyka i sięgnął po następną. Przez następne pół godziny notował z wewnętrznym zacięciem, jakby miał nadzieję rozładować tym kłębiące się emocje.

W pierwszej chwili malowidło wywarło na nim ogromne wrażenie. Jeszcze teraz czuł opuszkami palców chropowatą fakturę brzegów płótna. Potem przyszło rozczarowanie. Obraz perfekcyjnie podrobiono. Niewątpliwie był dziełem rąk i umysłu geniusza, jakby został stworzony przez artystyczne alter ego wielkiego kubisty. „Wenus” można było przyrównać do genialnie skomponowanej partytury muzycznej. Perfekcja fałszerza objawiła się również w tym, że doskonale oddał chagallowskiego ducha muzyki.

Do, re, mi, fa, sol, la, si, do – dla większości ludzi to nic nieznaczące dźwięki, ale nie dla genialnego malarza. Kiedy Janicki dotknął „Wenus z Witebska”, niemal usłyszał spokojne tony fortepianowego pasażu. Dla muzyka musiał to być niemal stan mistycznego uniesienia. Może to właśnie zmyliło eksperta z Instytutu Chagalla? Natomiast on, Janicki, miał drewniane ucho i nie dał się porwać zapisanym w barwach nutom.

Kiedy podnosił filiżankę do ust, przypomniało mu się dawne spotkanie z Cyganką. Miał wtedy dwadzieścia lat i potraktował jej słowa jako żart. Kobieta odradziła „płynięcie za morze na spotkanie z wielkim muzykiem”. Nie znał muzyków i był więcej niż pewien, że żadna ze sław nigdy nie zaprosi go na zamorski koncert.

Dlaczego teraz wróciło tamto wspomnienie? Przecież wydawało się, że już dawno zapomniał o wróżbie, zwłaszcza że w nią nie wierzył. A jednak słowa Cyganki wypłynęły z głębin podświadomości. Nie był przesądny, a jednak noc postanowił spędzić na pokładzie, a nie w kajucie.

Po godzinie krążenia po kawiarni, salonie z automatami do gry i sklepie wolnocłowym dał się skusić zaproszeniu do kina na nocny seans „Titanica”. Kupił bilet za dziesięć euro i wszedł do sali. Był jedynym widzem. Wkrótce zgasło światło i rozjaśnił się ekran.

Zygmunt Janicki tego wieczoru popełnił trzy błędy. Po pierwsze, powinien był poważniej potraktować dawną wróżbę i głębiej się zastanowić, dlaczego przypomniała mu się właśnie teraz. Przecież Chagalla bez wątpienia można było zaliczyć do muzyków, gdyż w swej twórczości posługiwał się nutami barw.

Po drugie, nie wziął pod uwagę faktu, że obrazu takiego mistrza nie odnajduje się bez przyczyny. Powinien wiedzieć, że jego ekspercka opinia miała istotny wpływ na pieniądze, które ktoś zamierzał uzyskać ze sprzedaży.

Trzeci błąd polegał na tym, że film widział już dwa razy, zatem nie powinien był tak bardzo angażować się w niego emocjonalnie. Zajęty losami bohaterów, nie zwrócił uwagi, że ktoś usiadł za jego plecami, choć przecież w sali kinowej było tyle pustych miejsc.

I ten ktoś nagle zasłonił mu usta ręką i jednocześnie wkłął w szyję igłę. A wciśnięty zdecydowanie tłok strzykawki ostatecznie podsumował cygańską wróżbę. Kiedy mięśnie związał gwałtowny paraliż, dłoń zniknęła. Janicki chciał zawołać o pomoc, ale nie mógł już wydobyć z siebie głosu, gdyż krtań poraził skurcz. Oczy wywróciły się ku górze, jakby próbował zajrzeć do środka czaszki.

Długa nitka śliny zawisła na końcu wysuniętego z ust sztywniejącego języka i roziskrzyła się srebrzyście w ekranowej poświacie.

Rozdział pierwszy

Minęło południe, cmentarz był niemal pusty. Wiał łagodny ciepły wiaterek. Ptaki zanosiły się na drzewach głośnymi trelami, obojętne na kondukt pogrzebowy, który powoli przesuwiał się główną aleją cmentarza. Przodem kroczył nastoletni ministrant z krzyżem zatkniętym na wysokiej sztycy. Tuż obok z rozłożonym modlitewnikiem szedł ksiądz, który wypowiadał głośno słowa modlitwy. Ministrant, oślepiany ostrym słońcem, co jakiś czas potykał się na nierównościach drogi. Nieliczni ludzie, którzy dostrzegli przejeżdżający obok karawan, zęgnali się znakiem krzyża i wracali do porządkowania grobów.

Wiewiórka siedząca na konarze drzewa zgryzła orzech i rzuciła lupinę w dół, pod nogi Elizy, która szła samotnie za trumną. Dziewczyna spojrzała w górę i uśmiechnęła się na widok zwierzątka, a potem zerknęła w bok – w jednej z alei dostrzegła przyglądającego się jej mężczyznę. Nadmiernie napuchnięte usta, skrzywiony nos i nienaturalnie zapadnięty prawy policzek. Z pewnością nigdy go nie widziała. Zapamiętałaby fizjonomię przypominającą boksera po przegranej walce. Mężczyzna skojarzył się Elizie z dr. Jekylllem. Nie, to Hyde był koszmarem... Mr Hyde. Tak, to określenie doskonale pasowało do nieznanego.

Eliza wróciła wzrokiem do tabliczki doczepionej z tyłu trumny: „Dorota Anna Daniel. Przeżyła 54 lata. Zmarła 12 maja 2014 roku. Pokój jej pamięci”.

To stało się miesiąc temu. Czy mogła jej pomóc? Już wcześniej matka unikała z nią kontaktu. Wielokrotnie zamykała się w sypialni i nie odpowiadała na pukanie. Na pół roku przed śmiercią, w ataku depresji, wykrzyczała w złości do córki, że gdyby się nie urodziła, mąż nigdy by

jej nie porzucił. Kiedy następnego dnia Eliza wróciła do domu, nie mogła już kluczem otworzyć zamków w drzwiach. Matka zmieniła oba.

– Twoje rzeczy wyniosłam do garażu – usłyszała przez zamknięte drzwi zacięty, gniewny głos. – Możesz je sobie stamtąd zabrać.

– Mamy tylko siebie.

Odpowiedzią była cisza. Eliza usiadła na schodkach przed drzwiami i czekała. Cierpliwie.

Całą noc.

Daremnie.

Próbowała jeszcze porozumieć się przez sąsiadów, ale matka zerwała wszystkie kontakty. Eliza była zmuszona zamieszkać u koleżanki i szybko wynająć sobie kawalerkę.

Miesiąc temu zadzwoniła sąsiadka. Matka od dwóch tygodni nie wychodziła do ogródka i nie widziano jej w sklepie, do którego zaglądała każdego ranka.

Eliza dostała się do domu przez rozbitą szybę w drzwiach tarasu. W domu unosił się ohydny odór. Już wiedziała, że stało się najgorsze. Musiała się zmusić, by wejść na piętro. Matkę znalazła w sypialni. Wyglądało jakby spała, przykryta aż po szyję kocem. Tylko rozrzucone wokół puste fiołki po środkach nasennych zadawały temu kłam.

Teraz szła za trumną, na której spoczywał bukiet pięciu róż, białych jak śnieg. Idący przodem ministrant znowu się potknął. Ksiądz w ostatniej chwili złapał go za komżę, gdyż jak nic wyłożyłby się na asfalcie. Krucyfiks na sztycy przekrzywił się, ale nikt, prócz Elizy, nie zwrócił na to uwagi.

MONA KORCZYŃSKA spojrzała na przechodzący obok kondukt. Za trumną kroczyła młoda kobieta. Jej twarz była nieruchoma, niemal pusta. Nie płakała. Przynajmniej nie na zewnątrz. Ubrana na czarno, niosła w dłoni kask motocyklowy, podobny do tego, który leżał obok niej na ławce.

Mona przypomniała sobie pogrzeb mamy sprzed dwóch lat. Wtedy ona też samotnie szła za trumną. Tylko że wówczas padał rzęsiasty deszcz. W pewnej chwili ulewa tak się nasiliła, że ciągnący wózek grabarze zostawili karawan i skryli się pod pobliskim drzewem. Mona nie ruszyła się z miejsca. Stała w strugach wody i dziękowała Bogu, że nikt nie zobaczy jej łez. W tamtej chwili pragnęła tylko jednego: kogoś obok niej, żeby nie czuła się tak cholernie sama.

Miała wtedy w plecaku około dwustu tysięcy złotych. Byłoby ich więcej, ale część kasy poszła na projekt pomnika u znanego rzeźbiarza i wykonanie nagrobka z ciemnografitowego hiszpańskiego marmuru. Pieniądze zaraz po pogrzebie przekazała przyjaciołom z Antify. Ta forsa niemal zaprowadziła ją do więzienia.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Cena, którą mogła zapłacić za grób mamy i własne przekonania, wydawała się wysoka – dwa lata pewnego pudła. Jak nic poszłaby siedzieć, gdyby w porę nie zjawił się obrońca, który zmienił pacana wyznaczonego jej przez sąd z urzędu. Był świetny, ale czego oczekiwać innego, skoro nowy adwokat za godzinę pracy brał trzy tysiące zielonych. Ktoś z grupy lewackiej zarzucił Monie, że zgodziła się, żeby bronił jej pies kapitalistycznego państwa. Z kamiennym spokojem odpowiedziała pyskującemu, żeby poszedł za nią do pudła i w ramach męczeńskiej misji oferował wszystkim chętnym, żeby go w nocy pogłębiali w imię walki klas.

– Gdybyś nie zrozumiał słowa – dodała wówczas – to pochodzi ono od „głaba”, a nie od „głębi”.

Adwokat rzeczywiście wart był góry szmalu. W trakcie kolejnej rozprawy okazało się, że bankowi nagle przestało zależeć na rozkręcaniu sprawy, która mogła przedostać się do prasy i wskazać, że pieniądze klientów były źle chronione. Dodatkowo mecenas udowodnił, że wina Mony jest znacznie mniejsza, niż mówiło oskarżenie. Nie było ono poparte wiarygodnymi dowodami, a zatem nie powinny być przez sąd brane pod uwagę. W efekcie dostała rok w zawiasach na cztery lata i trzyletni zakaz zbliżania się do komputera.

Monie wydało się, że na twarzy kobiety idącej za trumną pojawił się grymas złości. A może to był bunt? Przed trumną matki Moniki również szedł ministrant z krzyżem. Im bliżej byli grobu, tym Mona bardziej nienawidziła wiszącego na nim Boga.

Wstała z ławki, przeszła między mogiłami do alejki i dołączyła do idącej za karawanem. Obie były niemal tego samego wzrostu, miały długie włosy i trzymały w dłoniach motocyklowe kaski. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Mona miała włosy rozpuszczone, a jej postać opinał skórzany kombinezon motocyklowy. Może nawet była zgrabniejsza? Tamta miała zwykłą prostą sukienkę, ciemny płaszcz, a na nogach czółenka na płaskim obcasie.

Mona dostrzegła, że kobieta co raz to spogląda na przekrzywiony krzyż. Czyżby miała nadzieję, że w końcu spadnie na asfalt?

W KAPLICY CMENTARNEJ panowała głucha cisza. Eliza siedziała na niewygodnym drewnianym krześle tuż za trumną. Po obu stronach miejsca zajęły dwie stare ciotki, które pachniały naftaliną. Za nimi ich mężowie. Jeszcze dalej trzech dalekich kuzynów, którzy wspierali dłonie na laskach. Mieli trudności z poruszaniem się, więc przywieziono ich meleksami. Z tej podwózkowej okazji postanowiły skorzystać również ciotki z mężami. Prócz nich w środku cmentarnej kaplicy nie było nikogo innego. Dziewczyna, która towarzyszyła Elizie w drodze za katafalkiem, ulotniła się przed wejściem. Kim była?

Organista nacisnął na klawisze. Ciszę zastąpiły głębokie dźwięki fisharmonii. Wszyscy wstali na widok księdza, który miał odprawić mszę za spokój duszy zmarłej.

Ciotki nie wiedziały o samobójstwie siostry. Czy przejęłyby się, gdyby im o tym powiedziała? Chyba nie bardzo. Na pogrzebie spotkały się po raz pierwszy od ośmiu lat. Kiedy obie ją sztywno uściśniły, ta z prawej spytała, czy świętej pamięci siostra czegoś jej nie zostawiła. Ta z lewej również była zainteresowana odpowiedzią.

– Nie znalazłam żadnego testamentu – odparła Eliza.

- Ona nigdy nie była dostatecznie zorganizowana - stwierdziła ciotka z lewej i od tej pory na twarzach obu krewniaczek zagościła nieprzenikniona obojętność.

Ksiądz dał znak i wszyscy usiedli.

- Zebrałiśmy się dzisiaj, aby po raz ostatni oddać cześć zmarłej, świętej pamięci Dorocie Annie Daniel. Na zawsze zachowamy w sercu jej obraz, pamiętając o jej cnotach, wspominając dobre uczynki i przywołując w pamięci radość, którą wносиła w nasze życie.

Eliza przypomniała sobie pewne sierpniowe popołudnie, gdy z rodzicami pojechała pod Warszawę. Miała sześć lat. Rozbili wtedy biwak nad niewielką rzeczką. Kiedy ojciec leżał na kocu i czytał książkę, Eliza obserwowała, jak matka buduje z piasku niewielki zamek. Opowiadała jej przy tym historię zamkniętej w wieży księżniczki, po którą niedługo przybędzie rycerz na białym koniu. Mówiąc te słowa, matka wskazała na ojca, a ten roześmiał się głośno. Pół roku później już go nie było. A matka pozostała uwięziona w wieży.

Ciotka siedząca po lewej stronie Elizy trąciła ją w bok.

- Co z ojcem? - rzuciła szeptem.

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Czyim?

- Twoim. Sądziłam, że chociaż odważy się przyjść. W końcu to pogrzeb jego żony. Przecież nie mieli formalnego rozwodu.

Stara kobieta oczekiwała, że siostrzenica podzieli jej oburzenie, ale uwagę Elizy przyciągnął duży motyl, który niespodziewanie usiadł na leżących na trumnie białych różach.

Może to dusza mamy, przemknęło jej przez głowę.

Kiedy motyl poderwał się do góry, Elizie wydało się, że widzi rozpromienioną twarz matki. Właściwie to nie pamiętała, żeby przez ostatnie lata mama się uśmiechała. A teraz widziała w jej oczach radosne promyki.

Tym razem szturchnęła ją ciotka z prawej, żeby jak wszyscy uklękła do modlitwy. Kiedy znowu usiedli, ksiądz wzniósł oczy na krzyż z przybitym Chrystusem i zaczął mówić śpiewnie:

– I w Księdze powiedziano wyraźnie: Chociażbym chodził mroczną doliną, zła się nie ulękę.

Elizą wstrząsnął dreszcz.

– Co się stało? – zasyczała ciotka z lewej.

– *Sed et si ambulavero in valle mortis non timebo malum...* Ciemną doliną, a nie mroczną – odparła Eliza i spojrzała na zbolałą twarz Chrystusa, który zdawał się podzielać jej zdziwienie.

Ciotka z lewej klepnęła ją w kolano i szepnęła:

– Już czas, moja droga, żebyś skończyła z tymi dziwactwami.

– Przecież to nie są...

– Łacina nie robi ci dziecka – przerwała jej obcesowo starsza pani. Potem dodała z miną wykładowcy: – Chociaż w przypadku mojej biednej młodszej siostry... No, ale jak przewidywałam, twój tatuś potem dał nogę. – Zagrała fisharmonia. – A właśnie, prawie bym zapomniała. Przed wejściem na cmentarz jakiś mężczyzna prosił, żebym dała ci ten list.

Wyjęła z torebki złożoną na pół białą kopertę.

– Jaki mężczyzna?

– Wszyscy są tacy sami – starsza dama machnęła lekceważąco ręką. – Chyba coś miał z twarzą, ale nie miałam okularów.

Eliza wzięła do ręki kopertę. Była zaklejona, bez adresata i odbiorcy.

– Otwórz – szturchnęła ją ciotka z prawej, która przez cały czas przysłuchiwała im się z uwagą.

Eliza rozerwała kopertę. Ze środka wyjęła kartonik z namalowaną akwarelami malarską paletą. Kolory były rozmieszczone w dwóch rzędach. Eliza obejrzała kartonik z obu stron, ale nic więcej na nim nie było. Koperta też była czysta. Wzruszyła ramionami. Ktoś się najwyraźniej pomylił co do osoby, do której miała trafić wiadomość.

MEŹCZYŻNA, KTÓREGO Eliza określiła mianem Mr Hyde, stał w pewnej odległości za krzewem bzu i przypatrywał się ceremonii włożenia trumny do grobu. Przez delikatny szelest liści przebijała się odległa modlitwa – zaśpiew księdza i odpowiedzi ministranta i uczestników pogrzebu.

- Za grzechy zawinione i niezawinione.
- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie.
- Za uczynki, które smuciły i radowały duszę Pana.
- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie.
- Za wiarę, która oświeślała jej drogę ku prawdzie.
- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie.

Logiki w tym wszystkim nie było za grosz, ale nikt ze zgromadzonych wokół grobu nie zwracał na to uwagi. Kiedy uroczystość dobiegła końca, nieliczni żałobnicy ruszyli w stronę czekających meleksów. Przy grobie została jedynie Eliza. Przez dłuższy czas stała nieporuszona, jakby zatopiona w myślach. Potem poprawiła na grobie kwiaty. Najwyraźniej nie chciała odchodzić, ale nie znajdowała też powodu, żeby zostać. Wreszcie ruszyła w stronę ścieżki, którą można było dojść do głównej alei cmentarza. Po kilkunastu krokach, kiedy mijała metalowy śmietnik, wyjęła z kieszeni białą kopertę i wrzuciła ją do kosza.

Kiedy Mr Hyde był już pewien, że w pobliżu nie ma nikogo, wyszedł z ukrycia. Doszedł do świeżej mogiły. Stał nad grobem i po chwili się przeżegnał. Kilka minut potem podszedł do metalowego pojemnika na śmieci, skąd wyjął kopertę.

ELIZA DANIEL powoli szła aleją w stronę bramy cmentarnej. Słońce na krótko schowało się za chmurę. Wcisnęła głębiej dłonie w kieszenie płaszcza.

W bocznej alei rozległ się nieoczekiwany stukot. Eliza dostrzegła dziewczynę, która dołączyła do niej, gdy samotnie szła za trumną.

Nieznajoma podnosiła z ziemi kask motocyklowy. Uniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

Po krótkim wahaniu Eliza skręciła w stronę nieznajomej. Kiedy się zatrzymała, przeczytała napis na płycie nagrobnej: „Olga Korczyńska. Zmarła 22 kwietnia 2007 roku. Żyła lat 39”.

– Twoja matka? – spytała Eliza, zaś Mona po chwili przytaknęła głową. – Młoda... Rak, samobójstwo czy narkotyki? – spytała.

Mona otworzyła usta, jakby chciała coś odwarknąć, a w jej oczach zapaliły się złe ogniki. Ale tylko odetchnęła głęboko.

– Zawsze jesteś taka obcesowa?

– Obcesowa? – Eliza zmarszczyła brwi. Sekundę potem uniosła je do góry, gdy zrozumiała. – Przepraszam. Nie zamierzałam robić ci przykrości.

Dziewczyna opięta w motocyklowy skórzany kombinezon przechyliła głowę, jakby się zastanawiając, z jakim dziwadłem ma do czynienia, po czym zdecydowała się odpuścić.

– Moje kondolencje – wstała z miejsca i wyciągnęła dłoń. – Mona.

– Przepraszam? – nie rozumiała Eliza.

– To od Moniki.

– Eliza... Od Elizy. – Spojrzała na wysuniętą w jej stronę dłoń.

Nie lubiła dotykać osób, których nie znała. Dla niej taki dotyk był pogwałceniem jej przestrzeni intymnej. Ale rozumiała, że są jej zasady – i są zasady społeczne. Ucisnęła więc dłoń Mony, a potem wsunęła rękę głęboko do kieszeni i wytarła o podszewkę, jakby ten gest mógł zetrzeć ze skóry obcą energię dziewczyny. Tak czy inaczej, dzięki temu wracała do równowagi.

Patrzyła, jak Mona wkłada do foliowej torby szczotkę, gąbkę oraz płyn do mycia marmuru i chowa wszystko w siedzeniu ławki. Eliza przeniosła wzrok na równo wycięte w marmurze litery. Przeczytała na głos: „Byłam kim jesteś, a kim jestem ty będziesz”.

– Przejmujące, prawda? – Mona stanęła obok Elizy i też spojrzała na napis.

– Od wieków.

– To znaczy?

– Na piętnastowiecznym fresku Florentine’a Tomaso w kościele Santa Maria Novella we Florencji jest napis: Io fu’ già quel che voi sete, e quel ch’i’ son voi anco sarete. „Byłam kim jesteście, a kim jestem będziecie”. „Będziecie”, a nie „będziesz”. Żyjemy w czasach zamienników i podróbek.

– Coś w tym jest.

Mona dotknęła wargami końców palców, a potem przytknęła je do płyty nagrobnej w geście pożegnania.

Wkrótce obie szły parkową aleją w stronę wyjścia.

– Nie miałyście licznej rodziny. – Mona zerknęła na Elizę.

– Powiedzmy, że lubiłyśmy z mamą spokój.

Jakby wbrew temu, co powiedziała, zadzwonił jej telefon. Wyciągnęła aparat. Kiedy zerknęła na wyświetlacz, podniosła telefon do ucha.

– Tak?... – Zwolniła nieco kroku. – Pamiętam. Jutro wystawa... U mnie? – Rozejrzała się bezradnie na boki. – Zjechało kilku krewnych... Dziękuję. Jakoś sobie radzę... – Spojrzała na Monę. – Mam przy sobie bliską osobę. – Rozłączyła się. – Szefowa. Martwi się, żebym nie była sama, bo jeszcze popadnę w melancholię, a jutro mam pilną robotę.

– Oto współczucie przełożonych. – Mona uśmiechnęła się kwaśno. – Co takiego jest jutro?

– Otwarcie wystawy o fałszerzach sztuki.

– Świat jest pełen zamienników i podróbek. Jeśli mam już wybierać, to wolę iluzjonistów.

– Wystawa więc ci się spodoba. Jak powiedział Christian Timmann-Delfow, kopista van Dycka: „Iluzja jest prawdą, ponieważ zmienia nasze życie”.

- Może być ciekawie.
- Mam dwuosobowe zaproszenie do Zachęty.

MONA KORCZYŃSKA zmrużyła oczy przed refleksami słońca. „Dzień dobry”, „Przepraszam”, „Byłoby mi niezmiernie miło”. Kiedyś sobie obiecała, że zostanie taką grzeczną panienką, jak ta, która szła obok niej. Od zawsze marzyła, żeby nosić białe bluzeczki, jasne sweterki i granatowe spódniczki. I żeby mieć dwa warkoczyki z dużymi kolorowymi kokardami. Ale ubrania trzeba było prać i prasować, a warkoczyki co rano zaplatać, a jej mama nie miała do tego głowy.

Kilka minut później wyszły przez bramę cmentarza. O tej porze ulica była niemal pusta. Przeszły pasami na drugą stronę, na przycmentarny parking. Eliza podeszła do skutera, na którego przedniej osłonie widniała naklejka z biedronką. Obok stał lśniący czarnym lakierem i srebrzystym chromem motor BMW. Mona wsunęła kluczyki do stacyjki. Eliza z uznaniem skinęła głową.

- Niezły. - Dotknęła koniuszkiem palca przedni reflektor, jakby się bała, że zaburzy harmonię kształtów.

- Zawsze o takim marzyłam. - Mona przejechała palcem wzdłuż baku.

- Lubisz szybkość?

- Bardziej komputery.

Eliza sięgnęła do bocznej kieszeni doczepionej do tylnego błotnika jej skutera.

- Twoja Biedronka też jest... - Mona szukała w myślach w miarę sensownego określenia.

- Wiem - pomogła jej Eliza. - Jestem tego samego zdania.

Obie spojrzały sobie w oczy i się roześmiały.

Eliza otworzyła zamek kieszeni i kiedy zajrzała do środka, na sekundę się zawahała. Potem wyjęła zaproszenie i pokazała je Monie.

- Jak mówiłam, na dwie osoby.

– Dlaczego sądzisz, że ci nie uwierzyłam? – zapytała Mona.

Eliza skrzywiła się, jakby połknęła plasterek cytryny.

– Moja szefowa chyba ma rację, gdy twierdzi, że nie mam wycucia. Widzimy się więc na wystawie?

– Okej – Mona przeczytała jasny nadruk – „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”. Świat jest pełen zamienników i podróbek... Może poznam niedoszłego Michała Anioła?

Wsiadła na motor. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik ruszył z głębokim warkotem, który zagłuszył jej niedobre myśli o Aniele. Założyła kask. Przyciemniana szyba opadła z trzaskiem jak gilotyina. Z miejsca do parkowania wyjechała niczym grzeczna panienka. Kiedy jednak znalazła się na ulicy, gwałtownie dodała gazu i runęła do przodu.

ELIZA DANIEL wróciła do tylnej kieszeni Biedronki. Rozejrzała się uważnie dokoła. Na wprost bramy cementarnej zatrzymał się autobus i wysiadło z niego kilka osób.

Sięgnęła do kieszeni skutera i wyjęła książkę. Wyglądała, jakby niedawno ją wydrukowano. Zatrzeszczały kartki jeszcze zlepione świeżą farbą drukarską. Na okładce widniała malarska paleta. Kolorowe plamy były identyczne jak na kartoniku, który wyciągnęła z koperty na cementarzu, koperty, którą ciotce dał jakiś mężczyzna...

Spojrzała na tytuł. „Fałszerze aniołów”. Nic jej nie mówił. Autor – Poly Pam.

Zmarszczyła brwi. Imię i nazwisko nie były jej obce, ale na pewno nie kojarzyło się jej z powieściowym autorem.

Otworzyła książkę na prologu.

Matnia zatrzasnęła się po cichu. Krata opadła bezszelestnie, a zapadki zamka zaskoczyły bezgłośnie. Kiedy się zorientowałem, było za późno. Cholerna przewrotność losu, ale tak właśnie jest: zostałem strażnikiem samego siebie. Pilnuję własnej lojalności. Sparaliżowany lękiem, przez lata nie wypowiedziałem słowa skargi.

Jednak im dłużej się boisz, tym bardziej strach powszednieje. W końcu się przyzwyczajasz, a nawet lekceważysz nadejście ostatecznego.

Tak było ze mną do dnia, gdy zobaczyłem obraz „Wenus z Witebska”. Kobieta miała rysy twojej matki. Wrócił strach. Ale w końcu go przezwyciężyłem. Nie jest ważne, co się ze mną stanie. Muszę wcześniej zapewnić Ci bezpieczeństwo. Ale chcę też poczuć smak zemsty za lata niepewności i lęku. Nie proszę o pomoc w drugiej sprawie, ale wsparcie w pierwszej.

Chagall. Serce Elizy przyspieszyło bieg, po ciele przeszedł dreszcz. Zamknęła okładkę książki i nowym spojrzeniem zmierzyła malarską paletę. Nagle zyskała ona całkiem nowe znaczenie, a kolorowe kropki... – Przyjrzała się im dokładniej, coś w nich było nie tak. Ten obraz przecież знаła doskonale... tak, już widziała, w czym rzecz. W dolnym rzędzie palety zamiast czerwonej plamy na końcu była żółta.

Re, fa, re, sol, la, do, si, usłyszała nagle w głowie męski głos.

– Re, fa, re, sol, la, do, si – zanuciła cicho. Potem rozejrzała się wokół, szukając osoby, która podrzuciła jej książkę. – Gdzie jesteś, tato?

Rozdział drugi

– Stary, ja mam na głowie całą prasę. – Waldemar Rawicz, naczelnik wydziału kryminalnego, wskazał na rozrzucone na biurku gazety i wystające spod nich dokumenty. – Rzecznik prasowy komendanta chce, żebym ciągle odpowiadał na durne pytania o seryjnym mordercy. To jest chore. Jak ja mogę wziąć się za robotę, kiedy ktoś mi stale przeszkadza? Nawet ty przychodzisz z takimi... – chwilę szukał właściwego słowa – duperelami. Ja potrzebuję konkretów, dowodów. Nie mam czasu na domysły i przypuszczenia.

– To może być przełom, czuję to. Wiem o tym. Cholera, jak mam cię przekonać?

Nadkomisarz Mariusz Marzec był kierownikiem sekcji trzeciej wydziału kryminalnego, która zajmowała się poszukiwaniem zaginionych dzieł sztuki. Niedawno skończył pięćdziesiąt trzy lata. Mówił cichym, nieco zachrypniętym głosem, którego nigdy nie podnosił. Nieco tykowały, lekko przygarbiony, chodził z głową wtuloną w ramiona, jakby właśnie spadła mu za kołnierz kropla wody. Koledzy z wydziału najczęściej nazywali go EmEm – i to wcale nie od pierwszych liter imienia i nazwiska, ale z powodu polukrowanych orzeszków M&M, które nieustannie pogryzał.

Być może ciągły smak cukierków w ustach sprawiał, że Marzec podczas pierwszych kontaktów z podejrzanym sprawiał wrażenie oblanego lukrem przyjaciela, który gotów jest uwierzyć w każdy sprzedawany mu bajer. No, a przy tym miał wyglądał zmęczonego komiwojażera, który tego dnia nic nie sprzedał i po kilometrach kolędowania od drzwi do drzwi wreszcie chciałby tylko usiąść i posłuchać, jak inni mówią. I ludzie, którzy powinni się go bać, mylnie

traktowali go jeśli nie jak przyjaciela, to przynajmniej stronnika. Kiedy jednak przychodziło co do czego, cwaniacy łamali sobie na nim zęby, chociaż on nie przestawał się do nich życzliwie uśmiechać. Bo prawda była taka, że EmEm nigdy nie odpuszczał i zawsze osiągał zamierzony cel. A wtedy mówił do wyprutego z informacji delikwenta: „No i co nie tak, jeśli tak”. Nikt nie wiedział, co konkretnie znaczą te słowa, ale był to sygnał, że policjant dostał to, co chciał.

Teraz nadkomisarz Marzec stał przed naczelnikiem wydziału kryminalnego i również wyglądał jak obwoźny sprzedawca, który zamierza wcisnąć klientowi towar, o którym tamten nawet nie chce słyszeć.

– Znowu zaczynasz? Nie mam na to czasu – stwierdził Rawicz cierpko.

I zaczął przerzucać papiery na biurku, dając tym do zrozumienia, że ma ważniejsze sprawy na głowie. Pozory nie mogły jednak zmylić upartego osła.

Marzec usiadł i kiedy jego oczy znalazły się na jednym poziomie z oczami naczelnika, zaczął spoglądać ufnym wzrokiem człowieka, który wierzy, że indagowany wreszcie zrozumie swój błąd i przyzna mu rację. Naczelnik już wiedział, że nie uniknie powtórki z rozrywki, że po raz kolejny musi przerobić to ćwiczenie od początku.

– Ile już lat za nim gonisz? – spytał Marce z westchnieniem.

– Ile? – Policjant udał, że się zastanawia i zgryzł głośno drażę M&M.
– Sporo. Może nawet i trochę dłużej.

– Zdecydowanie dłużej. – Naczelnik puknął stanowczo długopisem w rozłożone przed nim dokumenty. Podobną rozmowę odbywali przynajmniej raz na pół roku. – Odpuść go sobie.

Mężczyźni patrzyli jeden na drugiego w milczeniu. Rawicz znów nie był w stanie wydusić z siebie słów, które należało powiedzieć już lata wcześniej: „Przecież obaj wiemy, że chodzi tylko o zemstę”. Ale czuł, że w jakiś sposób byłoby to nie w porządku wobec kumpla, którego darzył szacunkiem. Zbyt długo się znali. Po prostu więc czekał, aż Marzec, jak

zwykle, zaciśnie usta i po chwili milczenia, zły, zerwie się z krzesła i szybkim krokiem ruszy do drzwi, jakby chciał wyjść, zatrzasnąć je za sobą i rzucić służbę w cholerę. Ale nigdy do tego nie dochodziło. Kiedy EmEm stawał przy drzwiach, oglądał się i krótko kiwał głową, co znaczyło, że zastosuje się do wydanego polecenia. I Rawicz miał spokój na parę następnych miesięcy.

I tym razem naczelnik czekał, aż stary taniec zacznie się na nowo. Milczenie przeciągało się. W dłoni Marca długopis przesuwiał się między palcami coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo. Aż wreszcie zastygł w bezruchu.

– Opuść.

– Nie tym razem. Powinieneś mnie wysłuchać.

Rawicz nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Przez chwilę nie wiedział, jak zareagować. Marzec czekał. Wreszcie naczelnik się poddał. Im szybciej da się wygadać EmEm, tym pręcej się od niego uwolni. Miał go coraz bardziej dosyć. Statystyka znowu skoczyła. Dwa morderstwa czekały na rozwiązanie, a jemu zabierali ludzi i przesuwali ich do „Pacykarzy”, jak w skrócie nazywano w wydziale policjantów, którzy zajmowali się przestępstwami wymierzonymi w dobra kultury narodowej. Najwyraźniej nowy komendant miał hopla na punkcie artystów. Poprzednika interesował tylko ruch drogowy, jeszcze wcześniejszy, o ksywie „Ministrant”, nawiedzony absolwent uniwersytetu katolickiego, obsesyjnie i wbrew katolickim przykazaniom wyrzynał starych komuchów, którzy uchowali się w firmie. Po roku jego krucjaty prasa biła na alarm, że statystyka przestępczości kryminalnej skoczyła o pięćdziesiąt procent. Jak to możliwe, pieklił się Ministrant. Powodów było wiele, a najważniejszym był ten, że zwolnił najlepszych fachowców. Nie wspominając o tym, że młodzi nie potrafili pić z uchołami za pieniądze operacyjne. Kiedy ci jeszcze siedzieli na stołku, to szczaw leżał już urżnięty na glebie, zamiast doić z informacji swojego klienta. Jak nic, świat stanął na głowie.

Naczelnik spojrział ostentacyjnie na zegarek.

- Masz dziesięć minut.

- Dostałem telefon z gdańskiej komendy - zaczął nadkomisarz powoli, nie przejmując się wyznaczonym limitem czasu. Sięgnął po notatnik, przerzucił kilka kartek, aż znalazł tę właściwą. - Wczoraj, 9 czerwca, na pokładzie promu, który przyплыł ze Sztokholmu, znaleziono martwego faceta. To Zygmunt Janicki, lat sześćdziesiąt dwa, historyk sztuki. Uchodził w środowisku za uczciwego. Specjalizował się w malarstwie Chagalla. To taki kubistyczny pacykarz - dorzucił gwoli wyjaśnienia.

- Wiem.

- Że kubista?

- Że pacykarz.

Naczelnik zaczął bujać się na krześle, co wskazywało, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Janicki przez kilka ostatnich lat współpracował z Rosnanem. No i w środowisku historyków sztuki od pewnego czasu chodziły słuchy, że więcej wydawał, niż zarabia.

- To sprawa dla urzędu skarbowego - uciął Rawicz.

- Janicki wyjechał z Polski czterdzieści osiem godzin temu. Wracał do kraju po dwunastu godzinach pobytu w Sztokholmie. Ciało znalazł marynarz, który na promie obsługiwał kino. Pokładowy medyk stwierdził, że zgon nastąpił w wyniku zatrzymania akcji serca. Właściwie to nie byłoby żadnego „halo”, gdyby nie polski lekarz, który przejął dokumenty, gdy ciało zostało zniesione na ląd. Zwrócił uwagę na protokół sporządzony przez pokładowego inspektora bezpieczeństwa. Napisano w nim, że seans został przerwany w wyniku awarii odtwarzacza CD. Po skończonym filmie i zapaleniu na sali światel dostrzeżono nieżyjącego Polaka. Miał sztywny język i wywrócone oczy. Te objawy nie wskazują na zawał, lecz otrucie.

Rawicz przestał się bujać. Przez cały czas słuchał Marca z lekko przymkniętymi oczami, jakby chciał zapamiętać przekazywane mu informacje.

– Czyli zabójstwo – powiedział. – A zabójstwo na promie należy do wydziału kryminalnego w Gdańsku. A tu jest Warszawa i mamy tu dosyć własnych problemów. Dowiem się wreszcie, jaki to ma związek z Rosnanem?

– Janicki specjalizował się w malarstwie Chagalla.

– To już wiem.

– Z informacji operacyjnych wynika, że Rosnan odnalazł nieznaną obraz tego artysty w Sztokholmie. Na miejscu sprawą zajął się nasz konsul honorowy, Leon Wilecki, który jest znanym w Szwecji marszandem. Zadzwoiłem do kilku osób, które znają się na rzeczy. Twierdzą, że jeśli to autentyk, płótno może być warte siedemset tysięcy dolarów. Dlaczego Janickiego otruto i czemu wydano błędną ocenę przyczyny śmierci? Jaki może mieć to związek z obrazem, który chciał kupić Rosnan? Daj mi czterdzieści osiem godzin, żebym znalazł odpowiedź na te i parę innych pytań.

Rawicz wstał zza biurka i zaczął spacerować za plecami EmEm. Przełom. Zabójstwo... Niemal śwędziało go, by powiedzieć „nie”. Spojrzał na nieruchome plecy Marca. Napięcie aż z nich biło. Westchnął. Gdzieś w głębi serca współczuł facetowi. Z doświadczenia wiedział, że pogoń za zemstą potrafi zniszczyć ścigającego bardziej niż ściganego.

A jednak w przeciwieństwie do poprzednich fantazji tym razem były to już jakieś konkrety. Jeśli zatem Marzec miał rację... Naczelnik przystanął na wprost nadkomisarza i zamiast powtórzyć: „Odpuść go sobie”, nieoczekiwanie dla samego siebie wydusił tylko krótkie: „Aha”.

Kiedy Marzec wychodził z gabinetu, Rawiczowi wydało się, że słyszy jego ciche: „No i co nie tak, jeśli tak”.

DOCHODZIŁA DZIESIĄTA rano. Mariusz Marzec siedział w pokoju w komendzie i od kilku minut gapił się na leżącą na parapecie paczkę papierosów. W końcu sięgnął po drażę M&M i wsunął jedną do ust. Mail, który odebrał godzinę temu, dał mu wiele do myślenia.

Według ustaleń polskich śledczych, którzy poprosili o pomoc policję szwedzką, bilet Janickiego na prom został opłacony z karty debetowej, której właścicielem był Leon Wilecki, znany w Sztokholmie handlarz sztuką XX wieku. W środowisku tamtejszej Polonii uważany za zasłużonego działacza antykomunistycznego. Niektórzy mówili o nim nawet „legendarny”. Oto w 1984 roku zniknął z pocztą dyplomatyczną, którą przywiózł z Warszawy do ambasady w Sztokholmie. Dwa dni później okazało się, że poprosił o azyl w brytyjskim przedstawicielstwie dyplomatycznym. Oskarżony o zdradę ojczyzny, został zaocznie skazany na karę śmierci, którą po trzech latach zamieniono na dwadzieścia pięć lat więzienia. Dwanaście lat później, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, przed sądem wojskowym powtórnie odbył się jego proces, w którego trakcie został zrehabilitowany. Rozprawa była głośna i tylko utwierdziła wysoką pozycję Wileckiego wśród szwedzkiej Polonii.

Zerknął na tekst, prawdziwą laurkę, od której mogło człowieka zemdląć. Zamieszczono go w informatorze polonijnym na trzydziestolecie Kongresu Polaków w Szwecji. EmEm odłożył na bok książeczkę i sięgnął po stojący na biurku telefon. Wystukał numer do kumpla, z którym studiował prawo na uniwerku. Po magisterce Mariusz poszedł do policji, a Zytek trafił do Instytutu Pamięci Narodowej.

– Pamiętasz mnie? – rzucił żartobliwie do słuchawki, gdy po drugiej stronie odezwało się senne „Halo”.

– Jak mógłbym zapomnieć faceta, który dzwoni do mnie tylko wówczas, kiedy czegoś potrzebuje.

– Nie mów, że inni telefonują, żeby umówić cię na noc ze swoimi żonami.

– Ale czasami zapraszają na piwo.

– Wolę wino.

– Dlatego zawsze miałeś u mnie minus. Kto tym razem cię interesuje?

– Leon Wilecki, opozycjonista z lat dziewięćdziesiątych w 1984 roku prysnął do ambasady angielskiej w Sztokholmie.

- Czyli bohater. - Ostatnie słowo Zytek wypowiedział bardziej z drwiną niż zainteresowaniem.

EmEm wiedział, dlaczego. W latach osiemdziesiątych ojciec Zytka był naczelnikiem w Departamencie V MSW, który zajmował się inwigilacją księży. Zatem „drań”, podsumowywał w tamtych latach kumpel. Jego matka, działaczka opozycji, rozwiodła się z jego ojcem zaraz po urodzeniu Zytka. Syn zawsze mówił o niej „supergościowa”.

Po skończeniu studiów Zytek zatrudnił się w Instytucie Pamięci Narodowej, gdzie kilka lat później dowiedział się, że dzięki ojcu wielu księży zostało w porę ostrzeżonych przed założonym im podsłuchem, a prymas Glemp na bieżąco był informowany o działaniach Służby Bezpieczeństwa wymierzonych w Kościół katolicki. Zatem „porządny gość”, skwitował Zytek, który tamtego dnia wypił skrzynkę piwa i nie mógł sobie darować, że kiedyś po pijaku nasikał na grób starego.

Natomiast matka przez lata była uznawana w szeregach Solidarności za jedną z czołowych działaczek opozycji demokratycznej. Jednak pewnego dnia Zytek trafił w archiwum na teczkę Tajnego Współpracownika o pseudonimie „Norbert”, którym okazała się... jego matka. Do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa zgłosiła się dobrowolnie. Przez piętnaście lat wydała sporo ludzi z podziemia, wskazała parę tajnych drukarni i wysłедиła kilka transportów, które szły z Zachodu z pomocą humanitarną dla walczącej Solidarności. Zatem „suka”, skwitował Zytek, który tamtego dnia wypił dwie skrzynki piwa, a potem przestał chodzić na jej grób.

- Mam mało czasu - rzucił Zytek do słuchawki. - Przybliżysz mi problem?

- Chcę wiedzieć, kim był Wilecki i sprawdzić jego powiązania z Gerardem Rosnanem.

KIEDY ZYTEK usłyszał ostatnie nazwisko, pomyślał, że Marzec naprawdę jest rasowym psem, który jak raz złapał trop, to nie potrafi już

odpuścić. A wszystko przez brązowe oczy dziewczyny, która, choć wyszła za mąż za Marca, to rozkładała nogi przed Rosnanem.

Zerknął w okno gabinetu. Zapowiadał się słoneczny dzień. Jak zwykle, gdy szykował się do zanurkowania w kurz archiwum.

Przypomniał sobie podobne czerwcowe popołudnie sprzed lat. Obaj z EmEm zaliczyli ostatni egzamin z prawa spadkowego. Mieli przed sobą trzy miesiące wakacji. Wtedy Mariusz nieoczekiwanie zwierzył się, że się żeni z Teresą Korczyńską. Wybranka serca wreszcie powiedziała „tak”. Zytek już nigdy potem nie widział przyjaciela tak szczęśliwego, a od tamtego dnia minęły ponad trzydzieści trzy lata. Rok po ślubie okazało się, że Mariusz miał już tylko żonę na papierze, gdyż Teresa wróciła do Rosnana.

Smutna historia. Po kilku miesiącach kochanek wyrzucił ją na ulicę. Mimo to Marzec prosił, żeby do niego wróciła. Tylko że Teresa nie chciała go już widzieć. Wstydziła się? A może w ten sposób chciała zemścić się na nim za zawiedzioną miłość do innego? Cholera wie, co roило się w głowie popadającej w nałóg narkomanki.

- Zadzwoni do mnie pojutrze koło południa - rzucił Zytek do słuchawki i schował telefon do kieszeni.

Minęła dziesiąta rano. Do dwunastej w nocy miał sporo czasu, żeby dobrać się Wileckiemu do skóry. Był najlepszym szcurem w IPN, jak sam żartował na swój temat. Szcurem, który potrafił przegryźć się przez tonę akt i znaleźć tę właściwą kartkę, z której wynikało, że tropiony, choć wydawał się normalnym człowiekiem, w rzeczywistości był ostatnim skurwysynem.

Rozdział trzeci

Nadkomisarz Marzec z uwagą słuchał policjanta, który telefonował z wydziału kryminalnego z Gdańska. Mówił o notatkach, które znaleziono przy Janickim.

– Facet zapisał na serwetce uwagi, które być może chciał potem wykorzystać w jakimś artykule.

– Skąd to przypuszczenie?

– Denat współpracował z paroma tygodnikami. Wysyłam ci skany notatek. Dotyczą obrazu Marca Chagalla „Wenus z Witebska”. Sprawdziłem w Googlach. Nikt nigdy o tym obrazie nie słyszał. Jeśli więc takie malowidło rzeczywiście istnieje, to pewnie w środowisku artystów będzie spore poruszenie.

Kilka minut później Marzec odebrał skany kilku barowych serwetek, na których zmarły zapisał swoje uwagi.

„Obraz w pierwszej chwili wywarł na mnie ogromne wrażenie. Ta świeżość pomysłu, śmiałość twórczej fantazji. To było coś nieprawdopodobnego”.

Marzec przebiegł wzrokiem kilka akapitów w dół.

„Pierwsze ogólne oględziny wypadły na korzyść ‘Wenus’”.

Dalej.

„W czasach młodości Chagalla blejtramy do obrazów robiono z drzewa iglastego, jak u ‘Wenus’” ...

Jeszcze nie to. Dopiero kilka linijek niżej wreszcie trafił na to, czego szukał.

„Odwrociłem płótno i centymetr po centymetrze dokładnie je obejrzałem. W lewym dolnym rogu widniała niewielka kropka. Coś w jej kolorystyce było innego. Amarant alpejski. Dziwne. Na początku

wieku XX wytwarzano go z olejków naturalnych, stąd odpowiednio wysoka do jakości cena. Na taką farbę nie było stać Chagalla, który w tamtym czasie przymierał głodem. Jednak twardość i zszarzenie farby jednoznacznie wskazywały, że została nałożona w latach, kiedy miała powstać „Wenus”.

Dalej.

„Wniosek? Falszerz niedokładnie szczyścił obce podobrazie, na którym potem namalował Chagalla. Pozornie wszystko ze sobą współgrało: drewniana rama, płótno oraz użyte farby zdawały się pochodzić z pierwszego okresu twórczości w Witebsku, z około 1909 roku. A jednak ten amarant przekreślił wszystko”.

Marzec spojrzął na fotografię Rosnana, którą przyszpilił do tablicy korkowej nad biurkiem. Znaczniki zrobione czarnym flamastrem sugerowały, że na twarz spoglądało się przez lunetę karabinu snajperskiego.

ELIZA DANIEL siedziała przy biurku i w zamyśleniu patrzyła na książkę, którą znalazła po wyjściu z cmentarza. Wstęp kompletnie nie pasował do całości. Był osobistym zwierzeniem, a reszta okazała się tekstami dotyczącymi czarnego rynku handlu dziełami sztuki. Tekstami, które odnalazła w sieci. I żaden z ich autorów nie nazywał się Poly Pam.

To było irytujące. Drażniące jak cierń w nodze. Eliza wiedziała, że to imię i nazwisko powinna znać, ale pamięć ją zawodziła. Mała dziewczynka, którą przed laty ukryła w sobie najgłębiej, jak tylko potrafiła, klasnęła radośnie w dłonie, że razem z Elizą wróci myślami do przeszłości. Ale czy ona, ta dorosła, chciała powrotu tamtego chaosu emocji, zdezorientowania, obaw i przenikających ją lęków? Że odejście ojca było bolesne, to mało powiedziane. Dla niej, kilkuletniego dziecka, było katastrofą.

Wstała od biurka i zaczęła spacerować po pokoju. Ostatnio za dużo spraw zważyło się jej na głowę, żeby miała dokładać kolejne. Przystanąła przy oknie i wyjrzała na zewnątrz. Nie obchodziły ją biegające po

podwórku dzieci. Musiała tylko uspokoić myśli. Zlecono jej do wykonania pracę i nie miała czasu na idiotyczne wspomnienia.

À propos pracy. Zacisnęła dłonie w pięści. Od kilku miesięcy była w telewizji researcherką pracującą dla dziennikarskiej gwiazdy. Gwiazdy, która najwyraźniej jej nie znosiła. Kilka dni temu przez przypadek usłyszała, jak tamta mówi do kogoś:

– Nie chcę jej, słyszysz? Nie chcę.

Zdobyła tę pracę przypadkowo. Siedziała w kawiarni, a jacyś mężczyźni obok zastanawiali się nad zagadnieniem, czy odbitka sporządzona z oryginalnego drzeworytu, którą odcisnięto w pracowni dawnego mistrza na oryginalnej prasie, jeszcze jest oryginałem czy już falsyfikatem. W końcu do sporządzenia całości użyto dawnej farby drukarskiej oraz oryginalnego papieru, który pochodził z czasów artysty. Ktoś musiał to wiedzieć, a oni zastanawiali się nad odpowiedzią, kto.

Wtedy wychyliła się ze swojego miejsca i podpowiedziała, że do dzisiejszego dnia jeszcze żaden sąd nie wypowiedział się w tej sprawie dostatecznie jasno.

– Jeśli już musi być jakaś odpowiedź, to skłaniałabym się do stwierdzenia, że takie postępowanie należałoby uznać za oszustwo.

Jeden z mężczyzn spytał, skąd o tym wie? Odpowiedziała, że skończyła historię sztuki. A gdy facet spytał, gdzie pracuje, odparła, że ma problem ze znalezieniem etatu. I wtedy drugi zlecił jej szybkie opracowanie tematu związanego z fałszowaniem dzieł przez samego Leonarda da Vinci. Najwyraźniej wypadła dobrze, gdyż swoje słowa, żywcem cytowane z jej opracowania, usłyszała w programie telewizyjnym poświęconym fałszerzom malarstwa. Następnego dnia zaoferowano jej pracę u znanej dziennikarki, która zajmowała się sprawami kultury i na temat kradzieży dzieł sztuki zamierzała nawet napisać książkę.

– To znaczy, my ją napiszemy – tłumaczył poznany wcześniej w kawiarni współpracownik gwiazdy. – Jednak zapewniam, że wszyscy na

tym dobrze zarobimy.

Elizie potrzebne były pieniądze, więc zgodziła się pracować w cieniu na umowę zlecenie. I właśnie się dowiedziała, że fucha niedługo się skończy.

– Potrzebuję kogoś przebojowego, a nie panienci z dobrego domu, która mówi „dziękuję” i „przepraszam” – mówiła gwiazda. – Zobacz, jak ona się porusza. Jak mimoza.

– Czyli jak?

– Na pewno nie tak, jak tego oczekują ludzie od kogoś z jajami.

– To jest dziewczyna.

– Nie łap mnie za słówka. Ja chcę mieć wokół siebie burzę.

– A jeśli ona to oko wirującego wokół cyklonu?

– To wtedy ja pójdę do klasztoru, a ty będziesz prowadził mój program autorski w telewizji. Wywal ją.

– Przyda nam się jeszcze do opracowania najnowszej wystawy Rosnana. Potem jej podziękujemy za współpracę.

Kiedy Eliza odchodziła od uchylonych drzwi, w pierwszej chwili chciała natychmiast złożyć wymówienie. Przypomniała sobie jednak, że urażonym honorem nie zapłaci zaległego czynszu i postanowiła położyć uszy po sobie.

Wróciła do zapisków. Na szczęście nie wzięła z domu notatek do notatek i przypisów do tych ostatnich, bo musiałaby wtedy wziąć drugą reklamówkę kartek. To nie cholerny perfekcjonizm, westchnęła uspokajająco w myślach. To pracowitość.

Notatki, które miały posłużyć do przygotowania się dziennikarki do wywiadu z Rosnanem, liczyły osiem zapisanych maczkiem stron. Teraz musiała ściąć je do góra trzech. To było półoficjalne dossier z ostatnich dwudziestu lat życia kolekcjonera. W tekście umieściła kilka znaków zapytania, na które zamierzała dziennikarce zwrócić uwagę.

Pierwszy widniał przy niekaralności marszanda. Jego nazwisko przewijało się w paru śledztwach z lat osiemdziesiątych i

dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, dotyczących kradzieży dóbr kultury. Większość ze skradzionych obrazów czy przedmiotów liturgicznych wyceniano na dziesiątki tysięcy dolarów. Gerard Rosnan tylko raz został oficjalnie oskarżony o współudział w kradzieży ikony bizantyjskiej z kościoła w Jasieniu. Obraz przedstawiał Matkę Boską Rudecką i pochodził z przełomu XV i XVI wieku. Kolekcjoner wniósł sprawę przeciw policji z powództwa cywilnego o zniesławienie i wygrał.

Drugi znak zapytania postawiła przy pytaniu o źródło pochodzenia majątku marszanda, który szacunkowo wyceniono na kilka milionów dolarów. Rosnan twierdzi, że dorobił się na hazardzie – po prostu miał fart w kasynie. Dziennikarze w to nie uwierzyli. Niemniej po paru wygranych procesach o kłamstwa prasowe podkulili ogony i dali spokój z niewygodnymi pytaniami. Od paru lat nazwisko kolekcjonera, jeśli pojawiało się w jakimś dzienniku, to jedynie w połączeniu z wystawami i wernisażami, które współsponsorował. Zatem dziennikarka powinna unikać niewygodnych pytań.

Inna niepewność dotyczyła lat osiemdziesiątych, kiedy to rzekomo Rosnan pracował w MSW. W Instytucie Pamięci Narodowej nie znaleziono dokumentów, które potwierdzałyby to przypuszczenie. Gazeta, która zamieściła sugestię, że jego akta osobowe zostały zniszczone, zapłaciła sto tysięcy złotych odszkodowania za naruszenie dóbr osobistych marszanda.

Najbardziej interesujące było to, że Gerard Rosnan był znanym w Europie kolekcjonerem, w którego zbiorach znajdowały się jedynie dzieła największych europejskich... fałszerzy. Marszand zbierał też falsyfikaty rzeźb i wyrobów jubilerskich. Znana była jego kolekcja podrabianych medalionów, która niegdyś znajdowała się w zbiorach rodu florenckich Medyceuszy.

GERARD ROSNAN siedział w głębokim fotelu i kończył czytać dokumenty, które określały warunki wystawienia kolekcji jego dzieł w

wystawie „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki” w amsterdamskim Stedelijk Museum.

Do gabinetu wszedł Bratt Henry, którego dla ułatwienia nazywano Brattem Henrykiem. Amerykanin był średniego wzrostu, o krótkich sztywnych blond włosach, z widoczną łysiną po lewej stronie. Większość ludzi, patrząc na niego, widziała flegmatycznego przeciętniaka o świętoszkowatej twarzy, który niepewnie rozglądał się wokół, jakby tylko czekał, żeby kogoś przeprosić. Tych, którzy potrafili dostrzec coś więcej, niepokoiła choćby kocia miękkość jego ruchów.

Rosnan wskazał kanapę na wprost. Bratt zajął miejsce i postawił obok na podłodze nesoser.

– Daj mi chwilę – rzucił Rosnan znad kartek. – Muszę to dokończyć.

Henry siedział nieruchomo, żując gumę powolnymi ruchami szczęk. Ludzie Rosnana wiedzieli, że marszand był dla niego wyrocznią we wszystkich sprawach. Podobno jankes pewnego dnia doszedł do wniosku, że boss jest narzędziem w ręku Boga. Tak więc służąc jemu, mógł zjednać sobie przychylność Najwyższego, by ten, mimo tak wielu jego grzechów, wpuścił Bratta do królestwa niebieskiego.

„Już raz mogłem marnie skończyć”, tłumaczył kiedyś jednemu z ludzi Rosnana łamaną polszczyzną. Ten niemal nie rozumiał kalekich słów, ale kiwał potakująco głową, gdyż o amerykańskim świętoszku krążyły nieciekawe opowieści. „A jednak Pan podniósł mnie z dna upadku i dłońmi pana Rosnana przywrócił światłości”.

Wśród ludzi Rosnana miał opinię świra. Kilku widziało go bez koszuli i to, co zobaczyli, zrobiło na nich piorunujące wrażenie. Potem w pokątnych rozmowach utwierdzano się w przekonaniu, że tylko ktoś pokręcony na maksa mógłby po każdej, jakoby doznanej, iluminacji, wypalać sobie na skórze kolejny znak krzyża.

Rosnan z zaciekawieniem obserwował spod oka, jak jego sekretarz sięgnął do kieszeni marynarki po kieszonkowe wydanie Biblii, otworzył ją na chybił trafił i położył palec na przypadkowym wersie. Bratt wyjaśnił mu kiedyś, że w ten sposób odczytywał wskazówki, jakie

poprzez Księgę przekazywał mu sam Bóg. Po chwili Bratt szepnął „Amen”. Rosnan był ciekaw, jaką radę wypowiedział mu Najwyższy. Nie rozumiał fanatyzmu, ale przyznawał w duchu, że bywał on użyteczny. Przy Brattcie czuł się bezpieczny, wiedział, że sekretarz w jego obronie odda życie i nigdy go nie zdradzi. A w jego świecie taki człowiek był wart więcej złota, niż ważył.

Bratt miał także inne zalety. Był diabelnie inteligentny i pomysłowy. Oprócz Biblii pasjonowała go także analiza matematyczna. Kiedyś Rosnan nieopatrznie spytał, co to takiego. W odpowiedzi usłyszał, że „całki pewnych funkcji nie istnieją, a niektórych innych nie dają się określić za pomocą standardowych zapisów matematycznych. Tak więc zdarza się często, że całkowanie jest twórczym procesem, który nie opiera się na żadnym ścisłym algorytmie. Dlatego też...”. Rosnan przerwał wykład i postarał się jak najszybciej o nim zapomnieć.

Teraz zamknął teczkę z dokumentami i odłożył ją na bok.

– Co nowego?

Amerikanin sięgnął po neseser. Wyciągnął poranne wydanie „Dziennika Bałtyckiego”, potem wyjął z ust gumę do żucia i, jak to miał w zwyczaju, przykleił szarą kulkę na brzegu popielniczki.

– Zaznaczyłem informację flamastrem – podał gazetę.

To była wzmianka o śmierci jednego z Polaków w czasie rejsu na promie Scandinavia ze Sztokholmu do Gdańska. Rosnan zmarszczył brwi. Dziennikarz wspomniał też o budzącym zdziwienie zniknięciu jednego ze świadków.

– Abramowicz?

– Zapewne przestraszył się, że może stracić głowę, więc uciekł z hotelu. Mam go znaleźć?

Meir Abramowicz był właścicielem „Wenus z Witebska”. Wziął co swoje i przezornie zniknął. Po krótkim namyśle Rosnan pokręcił głową. Odłożył gazetę na stolik i przeszedł do kolejnej sprawy.

– Masz informacje o dziewczynie?

Bratt Henry wyjął z teczki kilka zadrukowanych kartek i wyciągnął je w kierunku szefa.

– Przeczytaj – polecił Rosnan.

– Eliza Daniel miesiąc temu skończyła dwadzieścia sześć lat. Dwa lata temu obroniła pracę doktorską w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego. Temat: „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”. Przez ostatnie miesiące dorywczo zatrudniona w różnych mało istotnych miejscach. Od sześciu tygodni jest asystentem dziennikarki telewizyjnej i zarabia liche pieniądze na zleceniach lub umowach o dzieło. – Bratt przerzucił kartki notatnika. – Miesiąc temu jej matka popełniła samobójstwo. Zażyła leki psychotropowe, które popiła alkoholem. „Dorota Anna Daniel od lat walczyła z pogłębiającą się depresją”, tak zaczyna się posekcyjny raport. Jego pełną treść...

Nie dokończył, gdyż Rosnan pokręcił głową, co znaczyło, że dotychczasowa informacja mu wystarczy.

– Sprawdziłeś jej domowy komputer?

– Żadnych interesujących rzeczy. Stan finansów – marny.

– Mówiłem, żebyś postępował ostrożnie...

– Może być pan spokojny. – Bratt wpadł w słowo Rosnanowi. – Z pewnością nie zorientuje się, że siedziałem u niej w domu za biurkiem.

Rosnan przypomniał sobie wpatrzona w siebie oczy sześciolatniej Elizy, która wyglądała na ulicę z okien pierwszego piętra. Jakiś czas oboje mierzyli się spojrzeniem. W takich sytuacjach dzieci najczęściej chowają się za firanką, jednak mała nawet nie drgnęła. To Rosnan pierwszy opuścił wzrok i odszedł do samochodu.

– Co z przesyłką? – spojrzał pytająco na Bratta.

– Dopiero przed godziną kurier przekroczył samochodem granice Danii z Niemcami. Wcześniej miał awarię pompy paliwowej. Innymi słowy, nie zdążymy pokazać „Wenus z Witebska” na otwarciu wystawy w Zachęcie.

– Jak z telewizją holenderską?

- Dopinam szczegóły kontraktu.
- Mówiłeś, że producent kręci nosem.
- To rozsądny facet. Najwyraźniej chce kasy w zamian za realizację programu i wstawienie go w odpowiedniej porze do ramówki.
- Więc mu ją daj. To musi być wielkie show.
- Pamiętam.
- Żadna parafiańszczyzna. Tylko wówczas wszystko będzie miało odpowiedni ciężar gatunkowy.
- Na razie producent zapoznaje się z eksplikacją i treatmentem programu.

Rosnan kiwnął głową. Pod koniec roku, kiedy sfinalizuje plan, zarobi wiele milionów dolarów. Przewidziane zostało wszystko.

- Jak sygnet? - Bratt Henry wskazał wzrokiem na mały palec prawej dłoni Rosnana. Wczoraj wieczorem wysłał do szefa kuriera z jubilerską przesyłką.

- W porządku. - Boss uniósł dłoń i przyjrzał się czarnej głowie gryfa, która ładnie rysowała się na srebrnym tle. - O taki mi właśnie chodziło. - Opuścił dłoń. - Kiedy wylatujesz?

- Jutro rano, najpierw do Sztokholmu, a potem do Amsterdamu. Przed godziną zadzwonił Wilecki, potwierdzając jutrzejsze spotkanie. Uważa, że należy mu się sto tysięcy euro za wyświadczoną przysługę.

- Co mu odpowiedziałeś?

- Że przekonam pana, żeby je dostał.

NADKOMISARZ MARZEC długo wpatrywał się w ekran monitora. Czyżby wreszcie znalazł to, czego szukał? A jeśli to tylko fałszywy ślad, który nigdzie go nie zaprowadzi? Zwykły zbieg okoliczności? Przypadek, który sprawił, że... Za dużo pytań i zbyt mało odpowiedzi.

Tego dnia EmEm postanowił przejrzeć internetowe wydanie „Dziennika Bałtyckiego”. W wersji elektronicznej, kiedy wydawca nie musiał liczyć się z miejscem, zamieszczono więcej zdjęć z niedawnego

rejsu Scandinavii. Wszystkie foty wydrukował na wydziałowej laserówce. Początkowo sekretarka szefa kręciła nosem, czy tyle nie jest przesadą, zwłaszcza że EmEm nastawił najwyższą rozdzielczość.

– Ależ, Moneypenny... – Marzec cmoknął panią Teresę w policzek. – To dla dobra ludzkości. – Puścił do niej oko.

Uwielbiała, gdy nazywał ją imieniem sekretarki, która kochała się w Jamesie Bondzie. Miała podobne zajęcie, też była panną, więc z braku laku oddawała serce każdemu aktorowi, który grał rolę agenta 007.

Z wydrukowanymi zdjęciami Marzec wrócił do pokoju. Było ich tyle, że rozłożył je na podłodze. Potem usiadł na blacie biurka i po kolei każde dokładnie analizował.

Nie zawiódł się w oczekiwaniach. Na jednej z ponad trzydziestu fotek, które zrobiono pasażerom Scandinavii, rozpoznał twarz Bratta Henry'ego.

– I TO MA BYĆ ten dowód? – Naczelnik kryminalnego oderwał wzrok od ekranu, na którym widniało zdjęcie z „Dziennika Bałtyckiego”. Spojrzał zły na EmEm. – Zwykle zdjęcie jakiegoś faceta. Przez telefon mówiłeś, że...

– Zaraz wytłumaczę. Bratt Henry, Amerykanin, trzydzieści pięć lat. Jest sekretarzem Rosnana. Bardzo wierzący.

– Bogobojny czy psychiczny?

– Skłaniałbym się ku słowu „psychiczny”. Gość ma ciężką rękę, błyskawiczny refleks i jest bezwzględny. Henry przyjechał do Polski za dziewczyną. Znalazł zatrudnienie jako *native speaker* w szkole biznesu. Po roku jego miłość go rzuciła. Wtedy zaczął pociągać z butelki i stracił robotę. Pewnej nocy, dobrze już podcięty, szedł po wódkę. Ci, którzy go zaatakowali, myśleli, że łatwo dadzą sobie radę z pijanym. Mylili się. Obu byczkom połamał ręce i nogi.

– Interesujący gość. – Naczelnik ponownie zerknął na ekran.

– Przypadkowi świadkowie całego zajścia zeznali, że w czasie walki Bratt wykrzykiwał coś wściekle po angielsku. W czasie rozprawy zeznał,

że były to wynikowe działań matematycznych. Okazało się, że napastnicy doprowadzili go do szewskiej pasji, gdyż przerwali mu rozwiązanie problemu różniczkowego.

– Czyli miałeś rację, świr.

– Rosnan dowiedział się, że zagranicznika nie stać na wynajęcie adwokata, a ten, którego przydzielono mu z urzędu, chciał szybko mieć proces z głowy, czyli nie zamierzał kiwnąć palcem w obronie klienta. Podesłał więc Brattowi swojego najlepszego adwokata. W pierwszej instancji Bratt Henry dostał dwa lata więzienia. Jednak w trakcie apelacji zmieniono kwalifikację prawną czynu. Oskarżenie o bójkę zostało zamienione na przekroczenie granicy obrony koniecznej. Rok w zawieszeniu na trzy lata. Podobno kiedy po wszystkim poszedł do marszanda, żeby podziękować za pomoc, ten zgodził się przyjąć wyrazy wdzięczności tylko pod dwoma warunkami. Że Henry przestanie pić i że przyjmie u niego pracę sekretarza. Myślę, że wszystko było wyreżyserowane ze strony Rosnana, żeby zdobyć zaufanie takiego gościa.

– Kaliber 44?

– Nie inaczej.

Rawicz po raz kolejny sięgnął do torebki z drażetkami, którą EmEm trzymał w dłoni.

– Skąd pewność, że to Bratt Henry zabił Janickiego?

– Raczej przypuszczenie z dużą dawką prawdopodobieństwa. Z informacji operacyjnych można wnioskować, że Henry jest zawodowym killerem. – Naczelnik spojrzał, jakby chciał zapytać: „Masz coś jeszcze?”. Marzec położył przed szefem fotokopie. – I na koniec zapiski Janickiego, które ten poczynił na pokładzie promu. Miałem rację, że gość odkrył coś ważnego. Obraz nie jest wart pięciuset złotych, a Rosnan zapłacił za niego, jak przypuszczam, grubo ponad sto tysięcy euro.

– Trzeba było zacząć od tej informacji.

– Lubię stopniować napięcie.

– Zaczynij więc pisać scenariusze filmów sensacyjnych. A następnym razem chcę więcej konkretnych dowodów.

– Nie wyrobię się w czterdziestu ośmiu godzinach.

– Dlatego masz na to trzy miesiące.

Marzec już chciał rzucić swoje „No i co nie tak, jeśli tak”, ale wolał już nie drażnić szefa.

Rozdział czwarty

Eliza stała na środku pokoju z przymkniętymi oczami i wsłuchiwała się w rytmiczny takt metronomu, który porządkował i uspokajał jej myśli.

Dopiero po dłuższej chwili rozchyliła powieki i spojrzała na falującą za oknem na wietrze ścianę zieleni, którą tworzyły korony drzew. Od kilku miesięcy wynajmowała kawalerkę na warszawskich Stegnach. Z niewielkiego przedpokoju wchodziło się do nowocześnie urządzonego saloniku, który był połączony z kuchnią. Za szklanymi zasuwanymi drzwiami, we wnęcie z jednoskrzydłowym oknem, miała miejsce do pracy, czyli biurko z idealnie ułożonymi kilkoma przedmiotami, i trzy regały, które ugiwały się pod ciężarem książek ustawionych równo, pod linijkę. Te, które się nie zmieściły, stały na podłodze w idealnych sześciątach.

Fototapeta na bocznej ścianie piętnastometrowego saloniku powiększała optycznie przestrzeń. Przedstawiała piaszczysty brzeg morski z palmą i ciągnącym się po horyzont oceanem, na którym fałdowały niemal symetryczne fale. Właśnie dla nich zdecydowała się na zachowanie naściennego widoku, który pozostał po poprzednim najemcy.

Symetria. Porządek. Bezpieczeństwo.

Chaos rodził w niej lęk i całkowicie obezwładniał. Był jak ruchome piaski, wystarczyło zrobić krok, a zaraz człowiek czuł, że znika w sypkim wirze. Nie była Munhausenem, nie umiała wyciągać się za włosy, więc jedyną radą było nie dać się, unikać, obchodzić niebezpieczeństwo z daleka. Racjonalizować i systematyzować otaczającą rzeczywistość. Czowała, że nieporządek może ją zdeintegrować, wyrzucić ze stron życia niczym gumką. Jak jednak

walczyć z tysiącami atakujących cię naraz wrogów? Rytmiczny dźwięk metronomu stawał się liną ratunkową, dłonią wyciągającą ją z piaskowego wiru. W komórce miała też dwugodzinne nagranie metronomu puszczone w pętli. W chwili niepewności poza domem wystarczyło włożyć do ucha słuchawki i wcisnąć „play”.

Opuściła oczy na nowy dywan w kolorowe plamy. Jej zwycięstwo – i klęska zarazem. Brak możliwości wyboru rozbijał ją tak samo jak chaos. W sklepie odwróciła więc oczy od jedynego dywanu w geometryczne wzory i kupiła ten, w nieregularne plamy. Musiała sobie udowodnić, że ma w sobie na tyle siły, żeby choć częściowo odejść od matematycznej precyzji otaczającego ją świata. Zwycięstwo? Nie do końca. Okazało się, że plamy, gdyby im się tak dokładniej przyjrzeć, były rozmieszczone symetrycznie.

Gwałtowniejszy podmuch wiatru mocniej poruszył drzewami. Ich gałęzie nieprzyjemnie zaszurały o mur bloku. Tak samo inne drzewa szurały o ścianę dwadzieścia lat wcześniej, gdy jej dziecięcy świat rozpadł się na kawałki. Patrzyła wówczas z okna na piętrze na wychodzącego z domu ojca. Obok szedł obcy mężczyzna. W pewnej chwili odwrócił się i podniósł wzrok na okno, w którym stała. Ich spojrzenia spotkały się. Mimo rosnącego lęku, niczym zahipnotyzowana, tkwiła nieruchomo przy parapecie, wpatrzona w twarz nieznanego, który pierwszy odwrócił wzrok. Jakiś czas później obca twarz dostała imię i nazwisko, Gerard Rosnan. Samochód z ojcem odjechał, a ona nadal stała przy parapecie. Dopiero dochodzący z dołu płacz matki wyrwał ją z bezruchu.

Dosyć wspomnień.

Odwróciła się twarzą do pokoju. Miała jeszcze sporo do zrobienia. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze przyklejonym po wewnętrznej stronie drzwi otwartej szafy. Miała na sobie jeansy i męską kraciastą koszulę. Na nogach mokasy. Wyglądała nie najgorzej. Nawet z warkoczem, który teraz przerzuciła nad ramieniem do przodu.

– Czas wracać do pracy – mruknęła.

Poprawiła wystający nieco spomiędzy rzędu ubrań rękaw marynarki, którą wcześniej przymierzała, i zamknęła szafę. Podeszła do biurka i usiadła przed monitorem.

Zadzwoił telefon. Eliza sięgnęła po komórkę.

– To ja – usłyszała głos Mony.

– Właśnie o tobie myślałam – powiedziała. – Co z wystawą?

– Będę.

– Super, w takim razie złapiemy się telefonicznie...

Przytrzymując ramieniem komórkę, Eliza wyciągnęła dłoń po leżącą z boku na biurku kopertę, którą niedawno wyjęła ze skrzynki pocztowej, ale jeszcze nie zdążyła otworzyć. Nie lubiła listów i wiadomości, gdyż te przeważnie burzyły jej spokój.

– Co masz na sobie, gdybym chciała znaleźć cię w tłumie? – spytała Mona.

Eliza zastygła w pół ruchu i spojrzała zaskoczona w lustro szafy komandora.

– Spodnie i koszulę.

– Doskonale. – Mona odezwała się po chwili, jakby przetrawiała informację. – Jakie? Jak wyglądają?

Eliza odniosła wrażenie, że Mona mówi do niej jak do dziecka.

– Męska koszula w niebiesko-zieloną kratę oraz szare džinsy. I mokasyny. Do tego kurtka bejsbolówka.

– Makijaż?...

– Taki zwykły. Trochę oczy i usta.

Mona westchnęła.

– Idziesz na otwarcie wystawy sztuki w Zachęcie, na której będą różne szychy, czy na ognisko harcerskie?

– Wystawę... – odparła Eliza ze zdziwieniem i dopiero wtedy dotarło do niej, że Mona zadała jej ironiczne pytanie.

– Ty tak specjalnie, z powodów buntowniczych? Jeśli tak, to się wycofuję.

Eliza znowu zerknęła w lustro. Chyba rzeczywiście powinna dokonać wyboru – albo udać, że ma w nosie kod ubioru, albo przyznać się, że jest totalną ubraniową idiotką.

– To co mam na siebie włożyć?

– Zdradź mi, co masz w szafie, a ja powiem, co możesz z tym zrobić. I mam nadzieję, że masz inną szminkę niż tę, którą miałaś na cmentarzu. Tak się z tobą gryzie, że dziwię się, że jeszcze nie masz ran na ustach... To był żart – dodała, jakby przeczuwając, że i tym razem Eliza może prawidłowo nie zajarzyć.

Eliza wstała i podeszła do szafy. Zaczęła wymieniać Monie wiszące w niej ubrania. Nie trwało to długo. Wróciła do biurka i leżącej na nim koperty. Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i wyjęła składany nóż. Szybkim ruchem nadgarstka uwolniła ostrze z blokady. Załśniła wyrzucona do przodu stalowa klinga. Błyskawiczne przełożenie palców, niemal na granicy ekwilibrystyki, krótki świst i stalowy szpic został zablokowany w metalowej rękojeści. Rozcięła kopertę...

– To wszystko, co możesz na siebie włożyć? – w głosie Mony zabrzmiało zdumienie.

Eliza wzruszyła ramionami.

– Mam inne priorytety.

Wyjęła z koperty kartkę.

– W takim razie weź czarne dżinsy i czarną koszulę. I wspomniałaś coś o hippisowskiej kolorowej kamizelce. Załóż ją. Bez szminki, maskara i róż. I wkrótce, kochana, idziemy na zakupy. Znam taki świetny second hand na Ursynowie...

Eliza patrzyła na zdjęcie obrazu Chagalla „Autoportret z siedmioma palcami”. Ktoś flamastrem zakreślił kółko wokół dłoni artysty.

– Jesteś tam?

– Właśnie zaczęłam się przebierać – skłamała. – Będę czekała za dwadzieścia siódma przed wejściem. Dzięki za pomoc.

– Zawsze do usług. Hejka.

Eliza rozłączyła się i stała, wpatrzona w pocztówkę.

– Co chcesz mi powiedzieć, tato? Nie możesz po prostu zadzwonić?

MONA ODEŁOŻYŁA słuchawkę. Na blacie biurka siedział kot i wpatrywał się w nią zielonkawymi oczami.

– Co o niej myślisz? – Mona lewą ręką poprawiła rozsuwający się szlafrok.

Zwierzę trąciło nosem jej prawą dłoń opartą na klawiaturze.

– Masz rację, trochę jeszcze się mało znamy. Ale już niedługo.

Wzięła kota z czułością na kolana, odsunęła się od biurka i wsparła nogi o blat. Rozejrzała się wokół zadowolona, że po sześciu miesiącach, które minęły od dnia wynajęcia mieszkania, wreszcie skończyła jego urządzenie.

Z prawej strony miała wejście do pokoju, z lewej okno. Na wprost najdłuższej ściany stało olbrzymie biurko z Ikei. Nad nim, na wczepionych w ścianę wspornikach, wisiało sześć trzydziestosiędmioocalowych panoramicznych ekranów komputerowych, zsuniętych jeden obok drugiego. Każdy z nich mógł pracować oddzielnie, ale można też było utworzyć z nich jedną teleścianę.

Cztery rozkładane metalowe krzesła leżały złożone na podłodze pod oknem. Rozdzielały dwie stare rzeźbione szafy biblioteczne, których półki za szkłem wypełniała fachowa literatura programistyczna. Bliżej drzwi Mona ustawiła metalowy regał zawalony częściami komputerowymi. Pod przeciwległą ścianą stał długi stół, na którym właśnie przechodziło test osiem włączonych laptopów.

Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że panuje tu totalny bałagan. A jednak w pomieszczeniu rządziła żelazna informatyczna logika wymuszona zależnością wzajemnych połączeń, okablowania i rozłożenia przewodów HDMI, USB, łączy internetu i kabli zasilających. Prócz jednej lampki biurowej wewnątrz dodatkowo rozświetlały dwa teatralne reflektorki rozmieszczone w narożnikach pod

sufitem po stronie teleściany. Jeden był skierowany na sześć tarcz zegarów elektrycznych, które wskazywały różny czas na obu półkulach Ziemi. Wszystkie wisiały na pustej ścianie nad długim stołem z laptopami.

– Nie śpij. – Mona trąciła w bok przyjaciela, kiedy ten zaczął sennie mrużyć oczy. – Przecież mieliśmy dowiedzieć się czegoś o Elizie.

Jej nowa przyjaciółka wyglądała na grzeczną dziewczynkę. Mona też kiedyś chciała być dobrze ułożoną panną, ale szybko jej to przeszło. Najpierw w wieku pięciu lat przestała się bać szczurów, bo zauważyła, że one boją się jej bardziej, zwłaszcza gdy miała w ręku pogrzebacz. W trzeciej klasie podstawówki nauczyła się bić. W drugiej klasie gimnazjum przeczytała książkę „Windows dla opornych” i wbrew tytułowi łyknęła ją w jeden dzień. W trzeciej klasie liceum włamała się do szkolnego komputera i wszystkim uczniom z klasy przerobiła oceny na „Wzorowy”. Jakoś te rzeczy przychodziły jej bardziej naturalnie niż siedzenie spokojnie z rękoma na kolanach i buzią w ciup. Tylko kokard we włosach było jej żal...

Minio zeskoczył na podłogę, gdy zaczęła wstukiwać na klawiaturze kody wejścia. Czas było zabrać się za pracę, jeśli chciała zdążyć na spotkanie z Elizą.

Skierowała spojrzenie na centralny monitor. Ponownie przebiegła palcami po klawiaturze. Na lewym ekranie pojawiła się strona startowa: „Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki”. Kody wejścia złamała dziś rano. Teraz wbiła je w pola zarezerwowane dla administratora strony internetowej galerii. Weszła do panelu sterowania. Chwilę potem na pozostałych czterech ekranach obraz zaczął dzielić się na cztery, osiem i wreszcie szesnaście pól. Przechwyciła sygnały sieci kamer, które kierowane były z sal wystawowych do centrum ochrony.

Kot krótko miauknął.

– Chcesz się bawić? Teraz? – Mona spojrzała na przyjaciela, który siedział na podłodze obok fotela. – Lepiej coś zjedz – wskazała na kąt pokoju, gdzie przy drzwiach stała plastikowa miska z wodą, a w drugiej

kawałki pizzy Capricciosa z łagodnym ketchupem, którą Minio lubił najbardziej.

Nieoczekiwanie dwa ekrany lekko przygasły, zamigotały i przez kilkanaście sekund nie wracały do poprzedniej jasności. Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Nie chcę krakać, ale zobaczysz, że przez te graty jeszcze coś nam się wywali. Przydałby się nowy sprzęt, a nie cerowany drutem badziew. Ale jak się nie ma co się lubi... Dlatego na twoim miejscu przeprosiłabym się z tą wczorajszą pizzą.

Przypomniała sobie o kartoniku zaproszenia, który pokazała jej Eliza.

– „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki” – powiedziała pod nosem. Potem znacząco wskazała kotu na zegar. – Zaczyna się o dziewiętnastej, czyli za godzinę. Wiem, ty też długo na to czekałeś? – Kot cicho miauknął. – Leć więc po smoking, a ja rozejrzę się za koronkowymi majtkami. – W odpowiedzi Minio nastroszył wąsy. – Jak to, nic z tego? Nie wygłupiaj się. Musimy dziś zadać szyku.

DZIEŃ POWOLI zmierzał do zmierzchu. Eliza zatrzymała Biedronkę. Obejrzała się na parkujący przy krawężniku samochód, do którego właśnie podchodzili policjanci. Kierowca nadział się na mandat za wymuszenie pierwszeństwa na samochodzie, który okazał się cywilnym radiowozem. Zsiadła i przekręciła klucz w blokadzie tylnego koła. Zdjęła z głowy kask. Zerknęła na zegarek. Za dwadzieścia siódma. Nieopodal zatrzymała się taksówka, z której wysiadła para starszych ludzi. Oboje skierowali się do głównego wejścia. Z głębi ulicy nadeszło jeszcze kilka osób. Z pobliskiego Parku Saskiego doleciał głośny śmiech goniących się nastolatków. Czwórka szesnastolatków uciekała przed starszą kobietą, która próbowała ich gonić z podniesioną laską.

Ponownie spojrzała na zegarek. Nie lubiła spóźnialskich, ale już zdążyła pogodzić się z myślą, że inni mają odmiennie poukładane szare komórki.

Kiedy jechała Biedronką, nawet cieszyła się na spotkanie z Moną. Prawdę mówiąc, jeśli nie liczyć spraw zawodowych, dotąd jeszcze z nikim się nie umawiała. Do dzisiejszego dnia wszystko robiła sama i nie czuła z tego powodu żadnego dyskomfortu. No, przynajmniej tak sobie wmawiała.

Dlaczego więc zaproponowała dopiero co poznanej dziewczynie pójście razem na wystawę? Może sprawił to ten napis na grobie matki Mony, może trzymane przez nie obie kaski motocyklowe. A może Mona miała rację, że przeciwności lubią się przyciągać?

Kiedy po raz trzeci spojrzała na tarczę zegarka, zadzwoniła komórka. Mona.

- Rozumiem, że się spóźnisz - rzuciła Eliza do słuchawki lekko zawiedziona.

- Przecież umawialiśmy się za dwadzieścia siódma przed wejściem.

Eliza zerknęła dokoła siebie, ale nikogo nie dostrzegła.

- No właśnie, przed wejściem.

- Rozejrzyj się dokładniej - zaśmiała się Mona.

Eliza jeszcze raz się okręciła.

- Chyba oślepałam.

- Spójrz do góry, na najbliższą latarnię.

Eliza podniosła wzrok. Zawieszona na słupie kamera zaczęła powoli wahać się w prawo, potem lewo i na powrót w prawo. Na koniec zamarła w bezruchu.

MONA PATRZYŁA na monitory. Wielka twarz zaskoczony Elizy tkwiła na centralnym ekranie. Zrobiła odjazd. Tuż za plecami dziewczyny przeszła jakaś para, która obrzuciła Elizę podejrzliwym spojrzeniem.

- Jesteś wariatka - usłyszała w słuchawkach głos Elizy, ale było w nim więcej zaciekawienia niż niechęci.

- Powiedzmy, że nie znalazłam w kosmetyczce delikatnego różu na policzki, no i gdzieś zapodziały mi się szklane pantofelki. Dlatego

postanowiłam zostać w domu.

Eliza wskazała dłonią na budynek za sobą.

– A co z wystawą?

– W środku mają niezły system monitoringu. Doskonała widoczność z każdego punktu, żałuj, że tego nie zobaczysz... Miniu – krzyknęła na kota, który próbował wskoczyć jej na kolana.

– Jesteś z kimś?

– Cały czas. Oficjalnie ma na imię Mieczysław, ale woli ksywkę Minio. Najchętniej jada pizzę Capricciosa, ma piękne białe wąsy i uwielbia moje kolana.

– Dziwny gość – stwierdziła Eliza niepewnie.

– Jestem tego samego zdania. – Mona westchnęła z udanym strapieniem. – Ale koci faceci są pełni sprzeczności.

– Och... – Eliza wreszcie zrozumiała, o kim mówi Mona i uśmiechnęła się. – Zadzwońię po wystawie.

– Po co?

– Opowiem jak było.

– Zostań na łączu.

Mona zerknęła na prawo w stronę wyroku sądowego, który oprawiła w ramki i przymocowała do ściany. Jedni wieszali dyplomy i odznaki jakości wytwarzanych przez siebie wyrobów. Ona miała swój wyrok, dwa lata w zawieszeniu na pięć – to były jej papiery mistrzowskie.

ELIZIE SPODOBAŁ się pomysł Mony. Wcisnęła do jednego ucha słuchawkę i podpięła ją do telefonu. Wsunęła komórkę do kieszeni spodni. Teraz mogły być w stałej łączności. Weszła do gmachu Zachęty. W szatni zostawiła kask. Kiedy pokonywała kolejne schody, zerknęła w stronę umieszczonej w rogu pod sufitem kamery.

– Jesteś tam? – rzuciła do mikrofonu.

Czerwone światelko pod kamerą zamigotało dwa razy.

– Dlaczego miałyby mnie nie być?

- Chciałam sprawdzić.
- Sporo dziś przyszło ludzi.
- Ostatnio o wystawie zrobiło się głośno. Rzucę okiem na ekspozycję, zanim rozpocznie się oficjalne gadanie – stwierdziła Eliza.
- Okej, jakby co, zaćwierkam do ucha.

Eliza przekroczyła próg Sali Matejkowskiej i od niej rozpoczęła zwiedzanie ekspozycji. Na środku stała instalacja pod tytułem „Czytelny Gromowładny”. Na szczycie skręconej z mosiężnych rurek piramidy, wznoszącej się aż pod wysoki oszklony sufit, błyszczała metalowa złota błyskawica. W dole, na pieńku, leżała wielka księga, którą – w zamyśle artysty – „przed chwilą” przeorał piorun. Z rozciętego woluminu wyciekały litery, które niczym krew rozlewały się na pieńku i podłodze.

Pseudointelektualny bełkot, pomyślała zawiedziona. Na ścianach wisiały kopie znanych obrazów dawnych mistrzów: Velázquez, Rafaela, Cézanne’a, Picassa, Van Gogha i jeden Chagalla. Musiała przyznać, że na pierwszy rzut oka z każdej z podróbek emanował magnetyzm, który przyciągał wzrok. One również zostały stworzone przez mistrzów... tylko że naśladownictwa.

Podeszła do „Portretu młodzieńca” Rafaela Santi. Na tle gładkiej ściany siedział młody mężczyzna, z prawą ręką opartą o stół nakryty wzorzystą tkaniną. Za nim widać było niewielki kwadrat okna z pejzażem – błękit nieba, nieco przytłumiona zieleń drzew oraz biel odległego miasteczka. Cała reszta utrzymana była w tonacjach brązu i beżu. Z płótna emanowały spokój, cisza... oraz pełne napięcia i może lekko zirytowane spojrzenie mężczyzny, które wbijał w widza. Jego twarz była lekko odwrócona, jakby młodzieniec sekundę wcześniej coś usłyszał i chciał zobaczyć, kto mu zakłóca spokój. Tak Eliza zawsze odbierała spojrzenie młodzieńca o długich brązowych włosach. Do tej pory widziała jedynie reprodukcje, zdjęcia – oryginał zaginął w czasie wojny.

Teraz patrzyła na kopię i wręcz czuła emanującą z niej irytację młodzieńca. Ten obraz musiał podrobić geniusz, zdecydowała w

myślach. Najwidoczniej miał okazję przeprowadzać studia nad oryginałem przed 1945 rokiem, zanim portret ukradli hitlerowcy.

Elizę potrącił przechodzący obok mężczyzna. A może to ona zbyt gwałtownie się cofnęła?

– Bardzo przepraszam – zawołali oboje niemal równocześnie.

Na jej widok nieznajomy nieznacznie zmarszczył czoło, jakby starał się przypomnieć, gdzie już się spotkali.

– W studiu na Woronicza, w programie o rabunkach dzieł sztuki – podpowiedziała Eliza. – Mówił pan wtedy o kradzieży jednego z narodowych skarbów, „Madonny w ogrodzie mistycznym”, z kościoła w Gościeszynie. Ale nie poznaliśmy się wtedy osobiście.

– Z 1992 roku, którą namalował Jan Schilling lub Dirk Bouts... – Gliniarz skłonił głowę. – Jestem...

– Mariusz Marzec, nadkomisarz. A jeśli chodzi o obraz, to wolałabym, żeby był autorstwa Boutsa. Wówczas jego wartość byłaby o wiele większa – stwierdziła Eliza.

– Może zlecający kradzież uznał, że to tylko Schilling wart... drobne dwieście tysięcy złotych?

– Myślałam o wartości artystycznej. Dirk Bouts to europejska liga. Jestem Eliza Daniel.

Skinął głową. Ponieważ milczenie nieco się przedłużało, Eliza rzuciła policjantowi koło ratunkowe i wskazała dłonią na najbliższe obrazy.

– Któryś pana szczególnie interesuje... zawodowo?

Marzec docenił żart.

– Siedem z wiszących tu płócien znajduje się na liście najbardziej poszukiwanych dzieł sztuki Interpolu. Gdyby były prawdziwe, wystarczyłby telefon – wskazał na „Kongregację” van Gogha – a dostałaby pani nagrodę w wysokości ośmiuset siedemdziesięciu tysięcy funtów. A na przykład za „Koncert” Vermeera ponad trzy miliony.

– A co pan by z tego miał?

- Interesuje mnie tylko gospodarz. - Zamyślił się na sekundę. - I chyba nie tylko mnie.

Eliza poszła za jego spojrzeniem, Marzec to dostrzegł.

- Moja koleżanka z wydziału, Jana.

- Czeszka? - Eliza była zdziwiona.

- Po ojcu. Ale po matce Polka.

Kobieta, na którą patrzył, była młoda, miała miłą twarz. Eliza nachyliła się do Marca.

- Znalazł już pan coś na Rosnana?

- Zaglądam pod każdy kamień. - EmEm zaczął mówić scenicznym szeptem. - Ale jak dla mnie o jednego z kamieni jest za dużo. - Zatoczył w koło wzrokiem. - No i wszędzie te podróbki. - Marzec sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył Elizie wizytówkę. - Może kiedyś o tym pogadamy... - próbował spoważnieć. - Oczywiście, jeśli zainteresuje to widzów waszej stacji. Mogę wtedy nawet przyjść z pistoletem.

- Życzę udanego wieczoru.

Skinęli sobie głowami i rozeszli się w przeciwległe końce sali. Eliza poczuła się trochę ważna. Chyba policjant wziął ją za dziennikarkę. Wsunęła wizytówkę do kieszeni.

- Hej... - mruknęła. - Jesteś tam?

W słuchawce usłyszała tylko ciche miauknięcie.

Eliza ruszyła wzdłuż rozwieszonych na ścianach obrazów. Czy ci, którzy przyszli na otwarcie wystawy, mieli świadomość, że będą oglądać dzieła największych mistrzów namalowane przez największych fałszerzy XX wieku? Być może Rosnan miał rację, kiedy w jednym z wywiadów sugerował, że tam, gdzie w grę wchodzi prawdziwe subiektywne, obiektywne kryteria nie mają znaczenia. Chyba że ludzi obchodzi jedynie cena. Wtedy subiektywizm idzie w ką, a obiektywna kasa, której wysokość określają eksperci, przydaje dziełu wartości. Zabawne, marszand dodał na koniec, jak łatwo takie opinie potrafi

wypaczyć doskonale zrobiona podróbka, która nieoczekiwanie w oczach znawców osiągała status metafizycznej doskonałości.

Eliza zatrzymała się przed jednym z malowideł i patrzyła na nie z uśmiechem.

– Co teraz? – usłyszała w uchu pytanie Mony. – Nie wiem, czy wiesz, ale na tym obrazie gość ma...

– Wiem. Dlatego nosi nazwę „Autoportret z siedmioma palcami”.

– Kto go machnął, to znaczy namalował?

– Tę podróbkę nie wiem, ale oryginał machnął sam Marc Chagall.

Salę powoli wypełniał tłum gości. Ktoś zaczął z zachwytem wyrażać się o oglądanym *Le pigeon aux petit pois* Pabla Picassa. Choć mówił o „Gołębiu z zielonym groszkiem”, w rzeczywistości patrzył na „Głowę arlekina” tego samego malarza. Czasem warto czytać tabliczki pod obrazami, pomyślała Eliza.

Wtedy ujrzała podejrzenie wyglądającego mężczyznę, który zamiast patrzeć na obrazy, uważnie przyglądał się gościom, jakby próbował odszukać między nimi szykującego się do akcji złodzieja. Zapewne był ochroniarzem po cywilnemu. Kiedy dostrzegł, że Eliza na niego parzy, skrzywił wargi, jakoś tak zdawkowo, jakby chciał powiedzieć: „No co, nie można sobie popatrzeć” i zajął się oglądaniem ramy jednej z podrobionych grafik Rubensa.

Z głośników popłynęła przytłumiona muzyka. Weszli kelnerzy z kieliszkami wypełnionymi szampanem. Impreza się zaczynała.

– Tylko po co tych siedem palców? – usłyszała pytanie Mony, gdy po obejściu sali dokoła Eliza znowu stanęła przed Chagallem.

– Według kabały siódemka jest liczbą magiczną i oznacza szczęśliwy los. Chagall miał trzy siódemki w dacie urodzenia. Prócz tego, jak mawiali ówcześni Żydzi, a on przecież był wyznania mojżeszowego, jeśli jakaś osoba robi coś „siedmioma palcami”, to jest całkowicie oddana swemu zajęciu. Chagall zaś dodawał, że jego malarskie oddanie przyniesie mu dodatkowo szczęście... i sławę.

– Wiele się nie pomylił.

Źmumacząc Monie symbolikę siedmiu palców, dopiero teraz dokładnie przyjrzała się „Autoportretowi”. Jej uwagę przyciągnęła paleta, którą artysta trzymał siedmiopalczą dłonią. Znajdowały się na niej farby, które Chagall rozmieścił jakby w dwóch rzędach. Zmarszczyła brwi. W liście, który dostała w kaplicy cmentarnej, jak i na okładce książki, którą wyciągnęła z bagażnika Biedronki, widniała identyczna paleta z „Autoportretu”, z rozłożonymi plamami barw. Z błędem, który również dostrzegła na obrazie.

– Poly Pam – szepnęła. Co to wszystko oznacza?

– Szkoda, że nie jestem tam osobiście – pożaliła się w ucho Elizy Mona. – Przy tobie jak nic załapałabym się na jakiegoś rozgarniętego umysłowo artystę.

– Są tu tacy?

– Chyba jeden z tyłu przygląda ci się już od pewnego czasu.

– Może to kolejny ochroniarz?

– Ochroniarze to w większości podtatusiali ciecie – odparła Mona – a jak wyczytałam w programie, wystawę chroni agencja, która zatrudnia byłych żołnierzy jednostek specjalnych. Rosnan zorganizował obstawę, jakby zamierzał wam pokazać Mona Lizę z Luwru.

– Ludzie lubią dreszczyk emocji – mruknęła Eliza – gdy obok przemykają agenci, którzy w swoim życiu strzelali do ludzi i kilku z nich wystali na tamten świat.

– Idzie w twoją stronę – ostrzegła ją Mona.

Obok przystanął niewysoki czterdziestoletni mężczyzna, z łysiną na czubku głowy, o żywych ruchach i sympatycznej rumianej twarzy. Nie wyglądał na ochroniarza.

– Jak się pani podoba Chagall?

W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– To tylko podróbka.

– Ale doskonała i na pewno sporo warta – napierał nieznajomy.

– Dzieł sztuki nie przelicza się na pieniądze. – Eliza lekko się zjeżyła.

- Ale dzięki nim malarze mają za co żyć i kupować farby. Nie wspominając o pędzlach.

Spojrzała z ukosa na stojącego obok mężczyznę. Nie pierwszy raz była celem podrywu – zwłaszcza ze strony właśnie takich podtatusiałych facecików, tęskniących za niewinną Lolitą, która będzie ich szanować i podziwiać tylko dlatego, że są starsi, mądrzejsi i stać ich na obiad w eleganckiej restauracji. Przyciągała ich jak magnes, bo była drobna i miała warkocz, który kojarzył się im ze szkolną młodocianością. Westchnęła w duchu. Mimo że już miała opracowane spławiające odzywki, tym razem się zawahała. Ten gość wyglądał na dość inteligentnego i niekoniecznie szukającego przygody.

- Ma pani ochotę? - Łysiejący wskazał na przechodzącego kelnera z tacą wypełnioną kieliszkami szampana.

- Przyjechałam na skuterze.

- Super - ucieszył się, jakby to miał być wielki wyczyn. Wskazał na „Autoportret”. - A wracając do Chagalla?

- Szkoda czasu. Jak mówiłam, to marna podróbka i w dodatku marnego muzyka, który zafalszował jedną nutę.

- Muzyka? - Nieznajomy spojrzał na Elizę z niezrozumieniem, a jednocześnie z autentycznym zaciekawieniem.

- Niektórzy z krytyków podejrzewają, że Chagall cierpiał na synestezję. To przypadłość, kiedy słyszymy jakąś nutę i od razu widzimy określoną barwę. Może być też na odwrót. Innymi słowy, doświadczenia jednego zmysłu wywołują reakcję innego, który niekoniecznie w tym przypadku jest niezbędny pierwszemu.

- Interesujące.

- Odbieranie niskich dźwięków u niektórych ludzi wywołuje wrażenie miękkości, barwa niebieska może być odczuwana jako chłodna. Na przykład Rimski-Korsakow C-dur widział jako kolor biały, zaś Es-dur jako błękitnoszary.

- Skąd u Chagalla ta przypadłość?

Eliza spojrzała na nieznanego. W jego oczach dostrzegła coś na kształt wyzwania.

– Chagall był śpiewakiem w synagodze – zaczęła wyjaśniać. – Religię porzucił po bar micwie, kiedy skończył trzynaście lat i został uznany za dorosłego. Jednak z wiarą całkowicie nie zerwał, tyle że interpretował ją na swój sposób. Według jednej z teorii kolorów w jego obrazach odpowiadały nutom, którymi śpiewał na chwałę Najwyższego.

– Która to fałszywa nuta? – spytał.

Eliza wskazała palcem na drugą linię kolorów na palecie.

– Plama czerwona powinna powtarzać się na końcu palety dwa razy. Ale zamiast czerwonej „do” jest „si”. To jest ta fałszywa żółta nuta-plamka.

Mężczyzna obok Elizy nie dawał za wygraną i wskazał na sąsiedni obraz.

– A ten Velázquez? Choć sfalszował go podobno geniusz, to malowidło uznano za podróbkę. Wie pani, na czym wpadł fałszerz?

– Oryginał został namalowany w 1619 roku, kiedy Hiszpan otrzymał tytuł mistrzowski. Malował wtedy sztywnym pędzlem, żeby widać było jego dukt.

– Dukt?

– Inaczej ślad.

MINIO WSTAŁ z kolan Mony. Miał zamiar się przeciągnąć, ale przeszkodził mu w tym blat biurka, pod którym Mona trzymała nogi. Obrócił się zatem przodem do tyłu, ziewnął, ponownie zwinął w kłębek i zamknął oczy.

Przez jedną z kamer Mona zrobiła najazd na twarz mężczyzny obok Elizy. Wcisnęła klawisz stopklatki. Już gdzieś widziała tego gościa. I to niedawno. Wrzuciła kopię foty twarzy do wyszukiwarki zdjęciowej Google 'a i po chwili już wiedziała. Wrzuciła nazwisko i na ekranie pojawiła się najnowsza wiadomość serwisowa na jednym z portali

informacyjnych. Pod zdjęciem mężczyzny widniał napis „Nowy minister kultury, stare problemy”.

– Technika, którą zastosował Velázquez, umożliwiła ukazanie chwilowości dziania się danej sceny – głos Elizy dobiegał z głośnika. – Kopista prawie genialnie odtworzył ruch pędzla mistrza.

– Prawie?

Eliza wskazała na fragment płótna.

– Wszędzie ostre cięcia duktu. A tu, w rogu, co?... Miętko.

Mona zerknęła na kota.

– Szkoda, że tego nie widzisz. Minister kultury na naukach. To warto uwiecznić dla potomnych.

Minio w odpowiedzi tylko cicho sapnął. Mona udała niezadowolenie.

– Okej... Masz prawo do własnego zdania... Tylko po co zaraz ta awantura? Czy ty stale musisz się o wszystko kłócić? Nie możesz bez tego żyć? Przez ciebie jestem tylko strzępkiem nerwów.

Ostatnie słowa powiedziała prawie szeptem, żeby nie budzić odpływającego w niebyt przyjaciela.

– W porządku. – Minister wskazał Elizie kolejny obraz. – A ten Murillo?

– Malarz nigdy nie używał bieli cynkowej.

– Czemu?

– Z prostej przyczyny, umarł w 1682 roku, a biel cynkowa jako pigment pojawiła się dopiero w 1779 roku. To też więc kicha. – Najwyraźniej dopiero teraz Eliza dostrzegła, że wokół nich stoi kilka osób, które słuchają jej słów. – Chyba powinnam się ulotnić – rzuciła płochliwie.

– Może się jeszcze spotkamy. – Minister wydawał się rozbawiony zmieszanym dziewczyny.

Eliza w milczeniu skinęła głową i kiedy odeszła na dostateczną odległość, zerknęła w stronę najbliższej kamery.

– Nie wiesz, co to za niedouczony palant? – spytała cicho.

– Filip Derski, nowy minister kultury – oświeciła ją Mona.

– Co?

– Podobno słabo zna się na sztuce, za to odjazdowo na finansach. – Mona zerknęła na początek artykułu w serwisie info. – „Śmiały, odważny i lubiący niekonwencjonalne sposoby rozwiązywania zadań”.

– Sama to wymyśliłaś?

– W ten sposób o twoim palancie piszą internetowe serwisy.

MINEŁA GODZINA dwudziesta. Ruch samochodowy na uliczkach osiedla willowego w Pruszkowie zamarł niemal całkowicie. Wszyscy już dawno wrócili z pracy i teraz większość mieszkańców wstawała od stołów po kolacji. W otwartych oknach powiewały firanki i słychać było muzykę przemieszaną z dźwiękiem płynącym z telewizorów.

Nikt nie patrzył przez okna na ulicę, więc też nikt nie zwrócił uwagi na samochód, który zatrzymał się przy domu pod numerem siedemnastym. A gdyby nawet ktoś chciał dojrzeć auto, miałby trudności, bo cała uliczka po obu stronach ograniczona była ceglаныmi murkami lub wysokimi parkanami z metalowych sztachet, zza których wylewały się gęste krzewy jaśminu.

Kierowca zgasił silnik i dłuższą chwilę siedział nieruchomo. Spojrzał w lusterko wsteczne i skrzywił usta, jakby próbował się przekonać, że z jego wyglądem nie jest tak źle. Ale z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że Eliza nazwała go Mr Hyde.

Z fotela pasażera wziął reklamówkę, wysiadł z samochodu i poszedł w stronę furtki wejściowej. Gdy przy niej stanął, podniósł wzrok na okna pierwszego piętra. Za szybą nie było twarzy dziewczynki, która tkwiła tam przed laty. Nacisnął klamkę, zaskrzypiały zawiasy. Przeszedł krótkim chodnikiem w tunelu połączonych nad jego głową gałęzi jaśminu. Skrzywił się. Nie znosił tego zapachu. Wszedł na werandę. Wyjął z kieszeni wytrych i wsunął go w zamek. Po chwili szczęknęła otwierana zasuwa.

W holu było ciemno. Jednak Mr Hyde znał rozkład pomieszczeń, więc bez wahania przeszedł przez korytarz i nacisnął klamkę drzwi pokoju po prawej stronie. Stał w progu sypialni. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami. Zapalił latarkę. Na wprost wejścia stał jednoosobowy tapczan. Nad nim na ścianie wisiała kopia „Autoportretu z siedmioma palcami”. Fragment płótna, na którym była namalowana twarz artysty, ktoś nierówno wyciął nożyczkami. Mr Hyde przez chwilę przyglądał się temu z miną, która nie wyrażała niczego. Na prawo od łóżka stała wąska sosnowa komoda z sześcioma szufladami. Resztę ściany zajmowała biblioteka. Po lewej szafka nocna i komoda z drzwiczkami. Nad nią okno, które wychodziło na ogródek. Dalej, blisko drzwi, dwudrzwiowa szafa na ubrania.

Mr Hyde wyjął z plastikowej reklamówki album malarski „La Promenade”. Sprawdził, czy między kartkami jest list, który wyciągnął ze śmietnika na cmentarzu, i położył książkę na środku tapczanu. Na koniec wsunął do albumu płytę CD.

Wyszedł z sypialni i wspiął się schodami na pierwsze piętro, a potem po krętych metalowych stopniach dostał się na strych. Poszedł w róg poddasza. Między związanymi paczkami gazet na szafce nocnej, na drewnianym kuferku, posadził lalkę w sukience z torby foliowej w niebieskie grochy.

Dwie minuty później zszedł na dół do głównego holu. Zatrzymał się i uważnie rozejrzał po wnętrzu. Wydawało się, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół. Wreszcie wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą zamek drzwi wejściowych.

Na ulicy, stojąc już przed furtką, ponownie zerknął w okna pierwszego piętra.

Czas mija zbyt szybko, przemknęło mu przez głowę. Zdecydowanie za szybko.

– Tam nikt nie mieszka – usłyszał za sobą czyjś głos.

Odwrócił się. Za nim stała dziewczyna z książkami pod pachą. Na widok pokiereszowanej twarzy Hyde’a z twarzy nastolatki znikł

uprzejmy uśmiech, ale zaraz wrócił na poprzednie miejsce.

- Nie wiedziałem - skłamał mężczyzna.

- Niedawno odbył się pogrzeb. Ona podobno się otręła.

Rozdział piąty

– Słyszałam o facecie, któremu rzeczywisty świat pomylił się z wirtuałem – rzuciła półgłosem do mikrofonu Eliza i zatrzymała się przed kolejnym obrazem. – Gość miał sto dwadzieścia kilo żywej wagi, nie ruszał się z łóżka i całe dni spędzał w sieci lub zasuwał w gry komputerowe.

– Mnie to nie grozi.

– Bo?

– Ważę znacznie mniej, czasami wstaję z łóżka i wyglądam przez otwarte okno, żeby łyknąć świeżego powietrza. Ale szybko się stresuję i je zamykam.

– Stresujesz?

– Na zewnątrz widzę tylko ten cholerny Matrix.

Elizie przyszło do głowy, że to niekoniecznie musiał być żart. Chciała coś odpowiedzieć, ale jej myśli rozproszył gong.

– Zapraszamy gości do Sali Matejkowskiej – dobiegł z głośników ciepły kobiecy głos.

Eliza dostrzegła w pobliżu nadkomisarza Marca. Uśmiechnął się do niej.

– Obrazy doskonale podrobione, szampan taki sobie. Myśli pani, że gospodarz nas jeszcze czymś zaskoczy?

– Nie sądziłam, że policja zna się na szampanie.

– Czasy sowieckoję igristoje, które za komuny robiło za szampan, minęły. Od tamtej pory niektórzy z nas – nachylił się do Elizy, jakby zamierzał zdradzić jej sekret – wyjeżdżają nawet na Zachód. – Rozejrzał się dokoła z udanym niepokojem. – Ale proszę o tym nikomu nie mówić, żeby nie spłoszyć przestępców.

Światła przygasły. Na niewielkie podwyższenie wszedł młody mężczyzna w smokingu. Miał przyzlane włosy i wyraz twarzy lisa chytrusa, który w szkole lubił donosić na kolegów. Może dlatego głos miał ciepły i kojący.

- Chciałem wszystkich serdecznie powitać na niecodziennej wystawie „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”. Z pewnością obejrzeliby już państwo obrazy największych europejskich malarzy, które... namalowali równie wybitni fałszerze. - Roześmiał się, jakby tym stwierdzeniem splątał wszystkim doskonały kawał. Nikt nie podzielił jego wesołości. - Niestety, na dzisiejsze otwarcie nie zdążył dojechać niedawno odnaleziony w Szwecji oryginalny obraz jednego z najwybitniejszych twórców kubizmu, Marca Chagalla „Wenus z Witebska”. Stąd, jakby w zastępstwie, została wystawiona kopia obrazu tego samego artysty, „Autoportret z siedmioma palcami”. Wszystkie zgromadzone na wystawie dzieła są własnością pomysłodawcy dzisiejszego wydarzenia artystycznego, Prezesa Fundacji „Cenne. Bezcenne” ... - dociągnął głos do najwyższej oktawy, zawiesił na sekundę i wreszcie wyrzucił jednym tchem: - Gerarda Rosnana!

Światła jeszcze bardziej przygasły i punktowy reflektor wyłowił z tłumu mężczyznę w smokingu. Do jego ramienia tuliła się piękna blondynka.

- Wygląda na córkę - rzuciła cicho do mikrofonu Eliza.

- Ale nią nie jest. - Najwyraźniej Mona znalazła stosowne informacje w sieci. - Podobno facet co kilka miesięcy ma nową panienkę.

- Z tej odległości, z makijażem, w odpowiednich światłach, wygląda o dziesięć lat młodziej.

- Panienka? - zachichotała Mona.

- Rosnan. Myślisz, że dorobił się już dzieci, które mają tyle lat, co ta słodka laska? - Po drugiej stronie zapadła cisza. - Mona?

Tymczasem Rosnan pocałował dziewczynę w usta i ruszył w stronę mikrofonu. Ogólne światła nadal się nie zapalały. Prowadzony przez

punktowiec biznesmen zachowywał się niczym gwiazda filmowa: szeroki uśmiech, luzacki gest a la „Patrzcie, oto jestem”, nieskrępowana i lekko wyzywająca postawa, w której Eliza wyczuła wytrenowaną pozę.

Kiedy Rosnan wchodził na podwyższenie, rozległy się gromkie brawa.

– Znikam – głos Mony pełen był złych emocji.

– Coś się stało?

W odpowiedzi usłyszała jedynie sygnał przerwanej rozmowy. Po wyjściu z Zachęty zadzwoni do Mony, żeby się dowiedzieć, o co jej poszło.

– Zanim oddam głos gospodarzowi – lizus wtrącił na ostatek dwa grosze – chciałbym dodać, że honorowym gościem wystawy jest pan Filip Derski, który dzisiejszego przedpołudnia otrzymał z rąk prezydenta Rzeczypospolitej nominację na Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Brawo.

Drugi reflektor wyłowił z tłumu Derskiego. Ponownie rozległy się oklaski. Na podium minister uściśnął dłoń Rosnana. Konferansjer przekazał Derskiemu mikrofon i zniknął w półmroku.

– Jako nowy szef resortu kultury na początku podziękuję za miłe przyjęcie. Nie chcę jednak przytłaczać swoją osobą tak interesującej wystawy. W końcu do moich zadań należy propagowanie polskiej sztuki, ale również polskich kolekcjonerów. – Wskazał na stojącego obok. – Takich jak pan Gerard Rosnan, któremu oddaję głos!

Rozległy się oklaski. W końcu Rosnan uniósł do góry dłoń z prośbą o ciszę.

– Celem mojej wystawy jest próba zmuszenia widza do odpowiedzi na pytania, czym jest oryginał, a czym falsyfikat? Kontrapunktem do rozmieszczonych tu dzieł miała być „Wenus z Witebska”. Oryginał. Kiedy wreszcie będzie z nami, tym wyrazistsze staną się pytania, co jest fałszerstwem, naśladownictwem, prawdziwym dziełem lub marną podróbką. Nie oszukujmy się, historia sztuki to tylko kronika tego, jak średniacy kopiowali pomysły najzdolniejszych.

ELIZA Z UWAGĄ słuchała Rosnana. Był dużej klasy spryciarzem. Podał kilka przykładów z czasów, gdy kopiowanie było nagminne i nie uznawano go za fałszerski proceder, za który można było stracić na katowskim pieńku rękę czy nos lub mieć wypalone na twarzy znamię złodzieja. Potem gość zasuwał, że podrabiający to zwykły kopista, który ubogaca otaczający nas świat. I na koniec wciskał kit, że bez fałszerzy nie istnieje prawdziwa sztuka. Oczywiście nie mówił tego wprost, ale stosował przewrotną argumentację. W efekcie na postawione publiczności pytanie sam udzielał nieprawdziwej odpowiedzi, którą automatycznie wszyscy mieli uznać za własną.

Na sali ponownie pojawili się kelnerzy z kieliszkami pełnymi szampana. Jeden zatrzymał się obok Elizy, ale odmówiła ruchem głowy.

Pojawił się minister w towarzystwie Rosnana i ku zaskoczeniu Elizy podeszli do niej.

– To jest ta młoda kobieta, o której ci wspominałem. Ta znawczyni sztuki...

Kiedy Rosnan się z nią witał, Eliza dostrzegła na jego palcu ładny złoty sygnet z czarną głową gryfa.

– Jeszcze nie spotkałem osoby w pani wieku, która tyle wiedziała o sztuce – powiedział Rosnan z uznaniem.

– A ja osoby, która w pana wieku miała o moim pokoleniu dobre mniemanie.

Marszand puścił mimo uszu uszczypliwość.

– Jak wrażenia? – zapytał.

Pytanie było grzecznościowe, Eliza jednak nie zamierzała odpowiedzieć w podobnym tonie.

– Pana długa przemowa mnie nie przekonała. Uważam, że nasza wrażliwość estetyczna jest wystarczającą miarą, żeby określić, co jest, a co nie jest sztuką.

Eliza zauważyła moment, gdy marszand dostrzegł stojącego nieopodal Mariusza Marca. Gliniarz też go zauważył. Uniósł kieliszek w geście powitania i podeszedł.

– Dobrze się pan bawi? – zapytał Rosnan.

– Znam wszystkie pańskie dzieła. Przyszedłem tylko dla „Wenus z Witebska”. Szkoda, że jej nie zobaczyłem. A jeśli chodzi o wystawę... Hm, mam wrażenie, że „Głowa arlekina” jest jakby świeższa w barwach.

– Podróbki też się starzeją i czasem wymagają renowacji – odparł cierpko Rosnan. – A jeśli chodzi o Chagalla, mnie też przykro. Ale, jeśli może być to pocieszeniem, wystawa – zatoczył łuk ręką dokoła – jedzie na Zachód tylko na pół roku. Potem wraca do kraju i znowu będzie można ją obejrzeć.

Marzec uniósł kieliszek szampana, co oznaczało pożegnanie, i odszedł w stronę ludzi skupiających się przy instalacji „Czytelny Gromowładny”.

ELIZA PATRZYŁA, jak Derski odstawia kieliszek na tacę i idzie w stronę instalacji artystycznej, którą miał uruchomić. Ze słów konferansjera wynikało, że owa rzeźba przestrzenna przed dwoma laty zrobiła furorę na jednej z madryckich wystaw. Oczywiście konstrukcja była kopią hiszpańskiej, wszystko zgodnie z duchem wystawy „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”.

Minister zerknął na piramidę utworzoną z rurek, a potem zaczął uważnie słuchać konferansjera, który wskazywał na przełączniki, wyjaśniając kolejność ich włączania.

– Szanowni państwo – zawołał konferansjer. – Dochodzi godzina dwudziesta trzydzieści, czyli czas na finał dzisiejszego wieczoru, uruchomienie niezwykłej instalacji o nazwie „Czytelny Gromowładny”. Panie ministrze, prosimy!

Derski uniósł głowę i spojrzął na zawieszoną nad nim złotą, metalową błyskawicę. Nie wyglądało, jakby miał do instalacji wielkie zaufanie. Po chwili wahania przesunął jeden z włączników. Światło na sali zgasło. Kilka reflektorów rozświetliło zawieszony w górze zygzak. Minister odsunął się parę kroków do tyłu. I wtedy z zygzaka wyleciało elektryczne wyładowanie i wbiło się w leżącą na ziemi książkę.

Widzowie krzyknęli, a potem rozległy się gromkie brawa. Derski kłaniał się, jakby to on był autorem instalacji.

Eliza w duchu pokręciła głową. I wtedy dostrzegła wpatrzonego w siebie Rosnana. Gdy ich spojrzenia się spotkały, marszand uśmiechnął się i uniósł kieliszek w pozdrowieniu. Nie przyłączyła się. Nadal patrzyła na niego nieruchomo i on znów, jak wtedy, lata temu, pierwszy odwrócił wzrok.

ROSNAN WSZEDŁ do centrum bezpieczeństwa muzeum. Za nim wsunął się Bratt Henry. Jedną ze ścian pomieszczenia pokrywały monitory. Każdy był podzielony na osiem pól, w których wyświetlany był obraz z określonej kamery przemysłowej. Przy komputerowej konsoli siedzieli Nomad i Mateo, zastępujący na czas wystawy strażników ochrony muzeum.

Rosnan omiótł wzrokiem ekrany. Wszystkie bez zakłóceń przekazywały obrazy muzealnych wnętrz.

– Chcę mieć na jutro wszystkie nagrania z Elizą Daniel i komisarzem Marcem.

Nomad kiwnął głową.

– Wyślę kopie z samego rana.

– Poza tym wszystko gra?

Programiści kiwnęli potwierdzająco głowami.

Nie do końca jednak wszystko było w porządku.

Zamiast siedzieć przed konsolą, Mateo wyskoczył na pół godziny, żeby zrobić na wieczór zakupy: parę bułek, nieco szynki i kilka piwek.

W tym czasie Nomad zarejestrował włamanie do systemu bezpieczeństwa Zachęty. Intruz po kilkunastu minutach zniknął z sieci. Nomad uznał incydent za nic nieznaczący atak hakerskiego napaleńca. W końcu kogo mogły interesować jakieś tam malarskie podróbki? Może dlatego nic nie powiedział Mateo.

PO POWROCIE do domu Eliza sięgnęła po telefon. Wykręciła numer Mony. Po szóstym sygnale, gdy miała już zrezygnować, odezwał się głos.

– Hej.

– Wszystko w porządku? – spytała Eliza.

– Przepraszam za to nagłe rozłączenie.

– Najwidoczniej miałaś powód.

– Dziękuję, że od razu nie pytałaś... Chodziło o Rosnana. Ten drań jest winien śmierci mojej mamy. Nie mogłam na niego patrzeć.

Elizie przemknęło przez głowę, że z Moną łączy ją coś więcej niż tylko miłość do motocykli.

Rozdział szósty

Profesor Auguste Pierre-Richard tego dnia nie czuł się najlepiej. Od dziecka prześladował go reumatyzm. Z wiekiem choroba osłabiła serce i zaczęła deformować stawy. Ale nie zamierzał się poddawać.

Dochodziła godzina dziesiąta rano, najpiękniejsza pora dnia. Profesor siedział w wiklinowym fotelu na tarasie swojego podparyskiego domu. Na stoliku obok stała pachnąca kawa, leżały też najnowsze wydania „Le Parisien” i regionalnego „Quest

France”. Na trawie na wprost wylegiwał się ukochany Figaro. Spaniel spoglądał na niego brązowymi ślepiami i co jakiś czas, powarkując z zadowolenia, przewracał się z boku na bok. Najwyraźniej zachęcał, żeby pan przyłączył się do zabawy. Wszystkie owe przyjemne doznania niweczyło cierpienie, które rozdzierało stawy prawej nogi. Dwadzieścia minut temu wziął dwa proszki przeciwbólowe, ale jeszcze nie zadziałały. Ostatnio łykał ich zbyt wiele.

Sięgnął po najbliższą gazetę. Przejrzał pierwszą stronę, potem przeszukał wzrokiem nagłówki na stronie drugiej. Kiedy przeniósł spojrzenie na trzecią, lodowaty dreszcz przebiegł po plecach. Na zdjęciu widniała karetka pogotowia, do której sanitariusze wnosili zwłoki. Zmarł jego przyjaciel, profesor Antoine de Lagardère. Przyczyną, jak napisano w informacji pod fotografią, był atak serca. Faktem było, że stary drań swoje lata już miał. W końcu niedawno świętowali w instytucji jego siedemdziesiąte szóste urodziny.

Upił kawy z filiżanki. Skrzywił się, gdy kolano przebiła tępa stalowa igła bólu. Porcelana o mało nie wypadła mu z dłoni, ale ostatecznie zdołał utrzymać ją między palcami. Choć był przygotowany na te podstępne ataki, zawsze dawał się im zaskakiwać. Dotknął dłonią

prawej kieszeni marynarki, gdzie miał srebrne pudełeczko z pastylkami przeciwbólowymi. Praktycznie brał już te najsilniejsze. Żeby jako tako chronić żołądek, który ledwo funkcjonował po latach zażywania leków, w prawej kieszeni stale nosił siemię lniane i przez cały dzień pogryzał ziarenka. Od pewnego czasu lekarze sugerowali, żeby przeszedł na plastry z dodatkiem morfiny, ale profesor Richard odkładał dzień podjęcia tej decyzji. Może powinien był sięgnąć po nie wczorajszego wieczora, na jakiś czas przed spotkaniem z drobniutką Jacqueline. Dotąd dawała mu tyle przyjemności. Westchnął ciężko. Jej wczorajsza wizyta to były zmarnowane pieniądze.

W drzwiach tarasowych ukazała się stara Brigitte. Trzymał ją tylko dlatego, że miała od niego kilka lat więcej, bardziej pomarszczoną twarz i chodziła z większym trudem. Ostatnio tylko w jej towarzystwie czuł się nieco lepiej.

– Jakiś pan. – Jej chrapliwie metaliczny głos nieprzyjemnie zabrzmiał na tle świergotu ptaków.

– Jak się nazywa?

– Al Draiser.

– Nie znam.

– Prosił, żeby przekazać ten list. – Wyciągnęła dłoń w jego stronę.

Auguste wsunął do ust kilka ziarenek siemienia i, rozgryzając je, wziął kopertę do ręki, obejrzał z każdej strony. Powąchał, też mu to nic nie powiedziało. Rozerwał brzeg. Ze środka wyjął wizytówkę Lagardère'a, z krótkim dopiskiem na odwrocie: „Przyjmij go. Antoine”.

– Jak wygląda?

– Pięćdziesiąt parę lat. Przyzwoicie ubrany.

– Aha.

Na ustach pod szarym wąsikiem, który lata temu sypnął się Brigitte na górnej wardze, pojawił się wyraz zdecydowania.

– Rozumiem, że prosić.

Stara odwróciła się i chybotliwie poszła w głąb domu. Dwie minuty później w drzwiach tarasowych stanął lekko przygarbiony mężczyzna o twarzy wypranej z jakichkolwiek emocji. Szare oczy patrzyły na świat obojętnie. Przybyły nosił na sobie elegancki garnitur, który z pewnością nie był kupiony w masowej sprzedaży.

– Chciał pan ze mną rozmawiać.

Profesor Richard wskazał na stojący po drugiej stronie stolika wiklinowy stołek. Starał się zachowywać swobodnie, ale ten ból w nodze... Niech go szlag. Postanowił, że od jutra zacznie brać plastry. Zgryzł między zębami ostatnie siemię lniane.

– Coś przynieść? – głos Brygitte zazgrzytał niczym nienaoliwiona zębátka.

Auguste spojrział pytająco na gościa.

– Zwykłą wodę. Niegazowaną – usłyszał w odpowiedzi.

Kiedy Brygitte zamknęła za sobą drzwi od tarasu, profesor spojrział na gościa pytająco.

– Co pana do mnie sprowadza?

– Słyszał pan o niedawno odnalezionym obrazie Marca Chagalla?

Auguste kiwnął głową.

– Jest pan uznawany za jednego z najlepszych specjalistów od malarstwa tego artysty, obok, rzecz jasna, Antoine'a de Lagardère'a – kontynuował gość. – Profesor dwa miesiące temu zdążył jeszcze wystawić certyfikat oryginalności „Wenus z Witebska”. – Wzrok mężczyzny spoczął na otwartej gazecie i fotografii z karetką. – Mógłbym oczekiwać od pana tej samej przysługi?

– Nie widziałem obrazu.

– De Lagardère poświadczył jego oryginalność, więc to chyba formalność.

– Ale ja nie widziałem płótna – powtórzył Richard lodowatym tonem, który powinien gościowi powiedzieć wszystko.

Al Draiser kiwnął głową, że rozumie. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę. Podał ją profesorowi. Ten otworzył i spojrzął na znajdującą się w środku fotografię.

– Słaba jakość.

– Mam lepsze ujęcia. Na przykład kiedy Jacqueline ćwiczysz pana szpicrutą.

– Minęły już czasy, gdy nietypowe preferencje seksualne wzbudzały u publiczności emocje – powiedział spokojnie Auguste i odłożył zdjęcie na stolik.

– To prawda, ale biorąc pod uwagę pańskie wystąpienie sprzed miesiąca na corocznym forum spotkań ekumenicznych... Zwłaszcza radykalne wezwanie o odcięcie od drzewa mądrości Bożej usychających konarów. Tematyka dotyczyła dewiacji...

Brygitte weszła na taras. Przybysz poczekał, aż służąca postawi przed nim szklanekę, którą napełnił wodą. Nim zdążyła odejść, wypił ją do połowy i podjął przerwany wątek.

– W gronie słuchaczy tego interesującego skądinąd wystąpienia było kilka osób, które mają znaczący głos w obsadzaniu stanowisk profesorskich w École Nationale Supérieure des Beaux-Arts de Paris.

– To szantaż.

– Jeśli tak chce pan nazywać naszą rozmowę – Draiser rozłożył dłonie, a jego twarz po raz pierwszy ożyła. – Nie będę miał nic przeciw.

Profesor Auguste przypomniał sobie 1968 rok. Miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Niedawno skończył studia i całym sercem zaangażował się w ruch trockistowski. Uważał, że cały świat należy przewrócić do góry nogami, a sztandar rewolucji powinien załopotać na szczycie wieży Eiffla. Podobne idee wirowały w głowach tysięcy młodych Francuzów, którzy pewnego dnia wyszli na ulice i rozpoczęli regularną wojnę z V Republiką.

Auguste został zatrzymany przez tajniaków przed domem, na Rue des Plantes, gdy po dwóch dniach walk na barykadzie ustawionej na Rue de Rivoli, przy Tuileries, wpadł do mieszkania, żeby zabrać środki

opatrunkowe. Zawieziono go na komisariat, gdzie od razu został zaciągnięty do pokoju przesłuchań. Nikt się z nim nie patyczkował. Chciano od niego tylko jednego: imienia, nazwiska i adresu zamieszkania szefa ich komórki komunistycznej. W odpowiedzi kazał policjantom spierdalać.

Chwilę potem leżał na podłodze z trzema wybitymi przednimi zębami. Chociaż czuł ból i strach, to jednocześnie wezbrała w nim zawziętość i tępe postanowienie, że nie da się złamać kapitalistycznym sługusom. W efekcie wybito mu jeszcze cztery zęby. Po godzinie, gdy nie puścił pary z ust, zawleczono go do przepelnionej celi. Przez szpary w podbitych i napuchniętych oczach wydało mu się, że zobaczył Federica, chłopaka z jego trockistowskiej sekcji. Dlaczego tamten unikał jego spojrzenia? Zakrwawiony i obolały postanowił odłożyć rozwiązanie zagadki na kiedy indziej. Godzinę później po tamtego przyszli rodzice, a jego z aresztu przewieziono do tymczasowego więzienia. Kilka dni później do Auguste'a dotarł gryps. To Federico zakapował go policjantom. Nie musieli go bić, gdyż od dawna był donosicielem. Aresztowano go tylko dlatego, by nie dekonspirować pracującego dla prefektury Kapusia Puchatka. Potem rewolta upadła, a on, przez wybite zęby i lumpiarski wygląd, stracił ładną dziewczynę, z którą miał zamiar się ożenić.

Tylko że teraz profesor Auguste Pierre-Richard był już starym człowiekiem i nie było w nim nawet cienia dawnej zawziętości.

MARIUSZ MARZEC przeglądał gazetę, jednocześnie łowiąc uchem jednostajny sygnał nieodbieranego połączenia telefonicznego. Wreszcie odezwał się zaspany głos Zytka. EmEm odłożył dziennik na bok.

- Nie jesteś w pracy? - spytał zdziwiony EmEm.
- Wziąłem wolne.
- Masz coś dla mnie?
- Wpadnij. Przy okazji kup cztery piwa i coś do jedzenia.

Marzec wpisał wyjście w książce wyłożonej w sekretariacie wydziału. W rubryce „Godzina powrotu” podał 16.00. Nie był jednak tego pewien, więc, w nawiasach, dodał znak zapytania.

Dwadzieścia minut później w sklepie nieopodal domu Zytka kupił sześć piw – dwa więcej, żeby nie musiał ponownie wyskakiwać do sklepu. Do koszyka dorzucił jeszcze sześć kajzerek, masło, kilogram wiejskiej kielbasy, dwa serki topione dla siebie, butelkę soku pomidorowego i paczkę M&M. Przyjaciół palił, więc przy kasie poprosił o paczkę papierosów. Ekspientka zauważyła niesmak na jego twarzy.

– Ja też walczę z tym cholerstwem – uśmiechnęła się pocieszająco – ale to jest silniejsze. Może kiedyś się uda. – Skinęła głową, jakby chciała utwierdzić jego i siebie w tym przekonaniu.

Podziękował i wyszedł ze sklepu. Dom Zytka znajdował się sto metrów od spożywczego. Wszedł do klatki schodowej i wjechał windą na czwarte piętro. Przeszedł korytarzem do ostatniego mieszkania. Nacisnął dzwonek. Zza drzwi dobiegło niechętne „Zaraz” i po chwili trzask odsuwanej zasuw. Zytek miał na sobie lekko przechodzony szlafrok, wytłuszczony przy rękawach.

– Właż – powiedział, zostawił drzwi otwarte i drapiąc się pod pachą, poszedł do pokoju. Był niewysokiego wzrostu i z tyłu przypominał ósemkę na patykowatych nogach.

Pokój był dość spory i wbrew wyglądowi gospodarza idealnie wysprzątnany. Przez otwarte okno balkonowe wpadał delikatny wiatr, szumiały drzewa.

Piętnaście minut później Zytek zjadł dwa serki topione, połowę przyniesionej kielbasy, trzy kajzerki i wlał w siebie cztery piwa.

– No, teraz mogę pogadać z głodnym o jedzeniu.

EmEm postawił na stoliku filiżankę z kawą, którą sobie zrobił. Chociaż nie był u Zytka co najmniej trzy lata, rozkład w kuchennych szafkach sztućców, filiżanek, kawy i cukru nie uległ zmianie. Tak więc obsesyjny perfekcjonizm kumpla nie był taki zły, przynajmniej dla starych gości.

Zytek poczęstował go papierosem. W pierwszej chwili miał ochotę po niego sięgnąć. W końcu jeden to jeszcze nie tragedia. Tak samo tłumaczył sobie pół roku temu. Potem jarał niczym komin elektrociepłowni, który pozbawiono filtrów oczyszczających. Pokręcił więc przecząco głową i sięgnął do kieszeni po M&M.

– Nie jarasz?

– Rzuciłem.

– Nie będę więc zasmradzał ci obiektywu – i kumpel schował papieros do paczki. Marzec poczuł wdzięczność.

Kiedy Zytek posprzątał po jedzeniu, rozłożył na stole kserokopie akt i wyjął z szuflady okulary.

– Miałem zainteresować się Wileckim.

Marzec przytaknął.

– Prawdę mówiąc, nic nie znalazłem na tego gościa.

– Nic? – w głosie Marca dało się wyczuć zawód.

– Przeczesałem sporo papierów. Facet wydawał się czysty jak łąza i nie umazany czerwonym gównem. No... prawie. – Zytek puścił do Marca oko. – Dziesięć lat temu jeden z waszych śledczych prowadził sprawę Waldemara Borzyckiego, urodzonego w 1940 roku. Gość sam się zgłosił do IPN i oświadczył, że w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pracował w MSW w Biurze „A”. W tamtych latach występowało ono również pod nazwą „Biuro Szyfrów” lub „Jednostka Wojskowa nr 1919”. Biuro „A” wchodziło w skład Służby Wywiadu i Kontrwywiadu aż do rozwiązania struktur aparatu bezpieczeństwa PRL-u. Sprawdzono informacje chętnego do kapowania. Borzycki rzeczywiście figurował w spisach zatrudnionych w MSW. Jednak nie trafiono na jego teczkę z okresu służby w Biurze „A”. Najwyraźniej została zniszczona pod koniec 1989 roku.

– Dlaczego się do was zgłosił?

– Miał do kogoś wielki żal i postanowił się zemścić. Czyli powodowała nim typowa ludzka cecha, która jest bardzo przydatna w pracy IPN-u lub policji.

Zytek sięgnął po zadrukowany papier i podał go EmEm.

Dokument był oświadczeniem, w którym Borzycki podaje swoje dane personalne z okresu pracy w Biurze „A”. Potem wymieniał listę osób, z którymi w tamtym czasie pracował w ramach wykonywania zadań służbowych. Wśród dwudziestu dwóch nazwisk znalazł się Leon Wilecki.

– No i co nie tak, jeśli tak – mruknął do siebie Marzec.

Na innym wypisie widniało czarno na białym, że Leon Wilecki w 1984 przysnął z pocztą dyplomatyczną do ambasady brytyjskiej w Sztokholmie.

– Z informacji, które przekazał Borzycki, można było wnioskować – kontynuował Zytek – że ucieczka Wileckiego była sfingowana, a Brytyjczycy dostali dokumenty, które zostały spreparowane tak, żeby podbić wartość uciekiniera. Prawdziwym zadaniem Wileckiego było przeniknięcie do struktur szwedzkiej Polonii. Facet wypełnił zadanie, gdyż dziś niektórzy są skorzy nazywać go szarą eminencją Związku Polaków w Sztokholmie, największej organizacji polonijnej w Skandynawii. Co więcej, w 2005 roku Wilecki został mianowany honorowym konsulem Polski w Sztokholmie.

Marzec przyglądał się kopii zeznań Borzyckiego. Coś mu w niej nie pasowało.

– Tu nie ma podpisu zeznającego.

– W tym problem. Gliniarz, który prowadził przesłuchanie, umówił się z informatorem na dokończenie zeznań na dzień następny. Postąpił nieprofesjonalnie. I to się od razu zemściło. Tego samego dnia, 25 sierpnia 2012 roku, o godzinie 19.20, Borzycki wypadł przez balkon swojego mieszkania. Sygnatura akt kontrolnych prowadzonego wówczas śledztwa to WK639/08/12.

– Powiedziałeś, że Borzycki miał do kogoś żal. Wiadomo do kogo?

Zytek pokręcił przecząco głową.

– Dodam jeszcze – wziął do ręki butelkę piwa – że pół roku później prokuratura umorzyła śledztwo z powodu niewykrycia sprawcy.

ELIZA SIĘGNĘŁA po książkę „Falszerze aniołów”.

Otworzyła ją na pierwszej stronie

„Matnia zatrzasnęła się po cichu, krata opadła bezszelestnie, a zamek zaskoczył bezgłośnie. Kiedy się zorientowałem, było za późno. Cholerna przewrotność losu, ale tak właśnie jest, zostałem strażnikiem samego siebie. Pilnuję własnej lojalności. Sparaliżowany lękiem, przez lata nie wypowiedziałem słowa skargi...”.

Co jej ojciec chciał przez to powiedzieć?

Ojciec. Tata. Poczowała lekkie ściskanie w gardle. Przyплыw uczuć, które już dawno zdecydowała się stłumić, bo sprawiały jej zbyt wielki ból.

Nieoczekiwanie rozległ się sygnał nadejścia SMS-a. Sięgnęła po telefon „Minister Kultury, Pan Filip Derski, chciałby się z Panią spotkać pojutrze o 11.00. Czy odpowiada Pani termin? Proszę o kontakt”.

Brwi Elizy uniosły się wysoko. Ha, niespodziankom nie ma końca. Spojrzała na kalendarz. Pojutrze, jedenasta? Odpisała krótko: „Będę”.

Rozdział siódmy

Bratt Henry wysiadł z tramwaju numer 24 na Muntplein w Amsterdamie. Ruszył w stronę kawiarni. Przed wejściem do lokalu na tablicy wspartej o chodnik wypisano kredą serwowane dziś piwa: Heineken Pils (5%), Wieckse Witte (5%), La Chouffe (8%). Wszedł do środka i zajął miejsce przy oknie, skąd miał widok na wąską ulicę i rozpościerający się za nią kanał. Przy nabrzeżu znajdowało się miejsce do zacumowania łodzi motorowych, z których każda zabierała około pięćdziesięciu turystów na wycieczkę po kanałach Amsterdamu. Właśnie z jednej wysiedli hałaśliwi turyści, w większości Rosjanie. Stojąca na nabrzeżu przewodniczka pokrzykiwała na rozchodzących się ludzi, ale ci nie zwracali na nią uwagi. Dopiero jej zły okrzyk „Tawariszci” przypomniał grupie, że słuchanie zwierzchności jest ich cechą narodową.

Podeszła kelnerka. Bratt zamówił filiżankę ristretto i butelkę wody gazowanej. Kiedy dziewczyna kończyła przyjmować zamówienie, nadszedł mężczyzna, na którego czekał. Poprosił więc o zdublowanie zamówienia, za nic mając, czy przybysz lubi podwójne espresso, wodę z gazem czy nie.

Jur Grolleman był prywatnym detektywem. Do tej pory rozmawiali ze sobą dwa razy telefonicznie; po tembrze głosu Bratt wyobrażał go sobie jako zasapanego czterdziestolatka, z dużym brzuchem i wiecznie ciekącym po czole potem. Jur okazał się chudzielcem o szarej twarzy i smutnych oczach, na którym elegancki garnitur wisiał jak na szcztocie. Zadyszka, słyszalna przez telefon, w rzeczywistości była astmą, która odebrała rumieńce jego twarzy.

– Co ma pan dla mnie?

Detektyw wyjął z neseseru notes w skórzanej okładce, wytartej przez lata używania. Otworzył go na zakładce z długopisu.

– Mauritz Graat jest producentem w kanale telewizji Nederland 1 od 2003 roku. Zaczynał jako koproducent kilku odcinków holenderskiej wersji Ulicy Sezamkowej. Potem przeszedł do programów informacyjnych. Od pięciu lat koncentruje się na ambitniejszych programach rozrywkowych, jeśli – skrzywił się – takie programy mogą cokolwiek mieć wspólnego z ambicjami. Jak dotąd nie miał większych wpadek zawodowych i uważany jest za solidnego gościa. Trzeba przyznać, że choć jest coraz bardziej znany, udaje mu się trzymać z daleka od prasy.

Kelnerka wróciła i postawiła przed Grollemanem kawę i wodę. Bratt dostrzegł kątem oka zmierzających do ich kawiarni Rosjan. Na szczęście ktoś z grupy krzyknął, wskazując na stojak z ceną piwa. Najwyraźniej wszyscy uznali, że to dla nich za drogo i poszli dalej.

Bratt jednym łykiem wypił zawartość małej filiżanki, nie wyjmując z ust żutej gumy.

– Te informacje mogłem znaleźć bez ciebie – powiedział zimno i sięgnął po szklanę z wodą.

Grolleman wypił kawę i z neseseru wyjął tablet. Włączył go, a następnie podsunął klientowi. Na ekranie pojawiła się twarz szesnastoletniej dziewczyny, którą prowadzili policjanci. Zdjęcie zostało zrobione w dyskotecce, być może w trakcie policyjnego nalotu. Kolejne foty pokazywały, jak dziewczyna wychodzi z komisariatu w towarzystwie producenta.

– Jak cofnie pan zdjęcia, to zobaczy Reini przy barze, zanim zgarnęli ją gliniarze. Ma szesnaście lat, ale gorzałę wali równo. Dwa lata wcześniej przeszła odwyk w zamkniętym ośrodku AA. Podobno jest córką Graata z pierwszego małżeństwa. To jego jedyna słabość. Zależy mu na tej małej. To on zafundował Reini pierwszą terapię antyalkoholową, kupił jej mieszkanie. Wyklada kasę na ubrania, nocne

wypadu i inne fanaberie. – W głosie detektywa odezwała się ledwo słyszalna kpina. – Jak teraz z moją dniówką?

Bratt wyłożył na stolik czterysta euro. Był tego dnia umówiony na kolację z Graatem w centrum miasta. Producent miał powiedzieć mu, jak ocenia treatment i eksplikację programu, który Rosnan chciał, żeby został wyemitowany przez Nederland 1 wieczorem w Wigilię.

– Wspominał pan, że podwoi stawkę, gdy znajdę coś ekstra.

Bratt kiwnął głową. Detektyw flegmatycznym ruchem wziął tablet ze stolika i schował go do neseseru. Chwilę potem wyjął z niego dwa dokumenty.

PROFESOR DOMINIQUE Lalande przywitał się z mężczyzną stojącym w progu jego paryskiego mieszkania. Nieznajomy, który przedstawił się jako Al Draiser, był lekko przygarbiony, a jego twarz wydawała się nieruchoma i nie wyrażała najmniejszych emocji. Podobnie szare oczy, które patrzyły na profesora bez wyrazu.

Gospodarz zaprosił gościa do środka i zamknął za nim drzwi.

– Pozwoli pan, że poprowadzę. – Profesor ruszył przodem.

Przeszli przez długi hol. Potem wspięli się schodami na piętro i wyszli na dach budynku, gdzie był urządzony ogród z tujami, krzewami i winną latoroślą. Jej pędy pięły się po przemyślnie ustawionych drabinkach, które stanowiły swoiste ekrany i pozwalały na intymność w warzywnych lub ogrodowych zakamarkach.

Usiedli przy stoliku na wiklinowych krzesłach. W oddali, nad pstrokacizną paryskich dachów, wznosiła się smukła sylwetka wieży Eiffla.

Profesor miał niespełna czterdzieści lat i był jednym z najmłodszych ekspertów malarstwa. Mógł też pochwalić się największym dorobkiem pisarskim dotyczącym sztuki paryskiego okresu impresjonistów, kiedy wielu z nich mieszkało w stolicy Francji.

– O pańskiej wizycie wspomniał znajomy.

Lalande wskazał na dzbanek z kawą, którą służący niedawno przyniósł na tacy. Gość kiwnął potakująco głową. W powietrzu rozniósł się aromatyczny zapach *un café turc*, którą gospodarz rozlał do malutkich filiżanek.

– Z pewnością myśli pan o profesorze Richardzie – powiedział Al Draiser. – Jak mniemam, wie pan o odnalezieniu w Sztokholmie obrazu Marca Chagalla „Wenus z Witebska”.

– To dziwne, że obraz przez tak długi czas pozostawał w ukryciu i nikt nie wpadł na jego trop – odparł Lalande.

– Trudno odnaleźć coś, o czym nie mamy zielonego pojęcia, że istnieje. Być może miały na to wpływ różne inne powody, które, prawdę powiedziawszy, mało mnie interesują.

Lalande sięgnął po filiżankę i z udanym skupieniem zaczął pić drobnymi łyżkami. Rzeczywiście, informacja o odnalezieniu obrazu z czasów, gdy malarz jeszcze mieszkał w żydowskim miasteczku na terenie dzisiejszej Białorusi, była zaskoczeniem. A nawet sensacją.

– Oczywiście, jeśli okaże się, że obraz jest autentyczny – dodał Draiser, jakby dopowiadając myśli profesora.

Lalande próbował po akcencie zorientować się, jakiej narodowości jest jego gość. Profesor Richard uważał, że to Anglik, gdyż tylko ludzie Albionu potrafią być zimno-obojętni, flegmatyczni i nieźle ubrani. Chociaż do Francuzów im jeszcze daleko. On sam jednak skłaniałby się do przekonania, że to raczej Szwed. Był jak na Anglika zbyt zimny, bezbarwny i oślizgły niczym ryba. No i mógł być też związany ze sprzedającym, któremu zależało na uznaniu autentyczności malowidła. Tylko że obraz został już sprzedany. Opinie zbiera się przed wyłożeniem gotówki. Czyżby nabywca obawiał się, że kupił kota w worku?

– Podobnie jak w przypadku de Lagardère’a i Richarda, nie powinien mieć pan kłopotu z wystawieniem certyfikatu autentyczności. – Draiser odstawił pustą filiżankę na spodeczek.

– Obraz jest prawdziwy?

– Czyżby w grę wchodziło pańskie sumienie zawodowe?

– Uważa je pan za nieistotne?

– Zamiast „nieistotne” użyłbym słowa „względne”. Mówiąc między nami, jak dotąd historykom i filozofom sztuki nie udało się wyznaczyć ścisłej granicy między dziełem, którego oryginalność nie budzi najmniejszej wątpliwości, a dziełem, co do którego można mieć wątpliwości, czy na pewno wyszło spod ręki mistrza.

– To ma być boczna furtka dla mojego sumienia?

– Ja tylko przytoczyłem pewne stwierdzenie.

– A jeśli nie zastosuję się do pańskiej sugestii, coś mi się stanie? Załamie się moja kariera naukowa?

– Jeśli będzie pan miał pecha, czego oczywiście mu nie życzę, być może tak właśnie będzie. – Gość podniósł obie dłonie do góry i szybko dodał: – Ale ja z pewnością nie będę miał z tym nic wspólnego.

Gospodarz pomyślał, że czas najwyższy przestać bawić się w kotka i myszkę.

– Ma pan jakiś argument, który mógłby mnie przekonać do pańskiej oferty?

Spojrzał na neseser, który stał obok fotela Ala Draisera. Z dotychczasowego doświadczenia Lalande wiedział, że mogło się w nim zmieścić nawet i sto tysięcy dolarów.

Zamiast po neseser gość sięgnął pod marynarkę. Wyjął legitymację Europejskiego Urzędu Policji.

ELIZA WESZŁA po schodach na pierwsze piętro pałacyku przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie mieścił się gabinet Ministra Kultury. Minęło ją dwóch mężczyzn z dokumentami w dłoniach. Eliza przeszła krótkim korytarzem po dywanie, który wytłumił jej kroki. Nacisnęła klamkę masywnych drewnianych drzwi, które prawdopodobnie zrobiono na początku ubiegłego wieku. Pokój był dość duży. Przez wysokie okna do środka wpadało dużo światła. Na prawo, przy kolejnych drzwiach stało duże biurko, przy którym siedziała drobna kobieta, na oko trzydziestolatka. Dopiero gdy odwróciła twarz do Elizy,

okazało się, że jest o wiele starsza, niż można było wnioskować po figurze.

Kobieta uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Byłam umówiona z ministrem.

– Eliza Daniel?

Kiwnęła głową.

– Coś do picia?

– Nie sędzę, żeby moja wizyta potrwała tak długo.

– Jak pani sobie życzy.

Sekretarka wskazała na drzwi obok. Eliza nacisnęła klamkę i przekroczyła kolejny próg. Na jej widok Filip Derski uśmiechnął się szeroko i poderwał z miejsca. Wyciągnął do niej dłoń. Eliza przemogła się, żeby podać swoją. Powstrzymała się też przed wsunięciem jej do kieszeni, by wytrzeć ją o podszewkę.

– Strasznie miło znowu panią spotkać. Czy sekretarka oferowała coś do picia?

– Tak, ale nie chcę zajmować dużo czasu.

Derski wskazał Elizie stolik z czterema fotelami stojący przy oknie. Sam zaś podszedł do drzwi, otworzył je i wystawił głowę na zewnątrz.

– Pani Janino, dwie kawy, takie ekstra z czekoladą.

Wkrótce zajął miejsce na wprost Elizy.

– Nie będę owijał w bawelnę, pani wiedza wywarła na mnie spore wrażenie. Wiem też, że interesuje się pani ochroną naszego dziedzictwa kulturowego, czyli jest osobą, której szukam. Chciałbym zaoferować pani stanowisko Obserwatora Łącznikowego.

– Słucham?

– Już tłumaczę. W Radzie Europy przeznaczono odpowiednie fundusze na powołanie krajowych biur obserwatorów w każdym unijnym państwie członkowskim. Ich zadaniem ma być monitorowanie prac rządów nad ochroną już nie dziedzictwa narodowego – Derski

uniósł znacząco palec do góry – ale, jak ujmuje się to w Brukseli, dziedzictwa kulturowego Europy.

– Ja miałabym...? – zaskoczenie odebrało Elizie zdolność myślenia.

– Czemu nie? Skończyła pani historię sztuki. Pani praca doktorska wywarła na mnie wrażenie. W telewizji pracuje pani jako freelancer, bez stałej umowy, więc nie ma problemu z odejściem. Instytucje, z którymi będzie pani współpracować, to między innymi Komenda Główna Policji, a konkretnie jedna z komórek wydziału kryminalnego, oraz Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, który bezpośrednio podlega mnie.

– Pamiętam dyrektora Piotra Ogrodzkiego. Pomógł mi w zbieraniu materiałów do pracy doktorskiej – powiedziała Eliza, biorąc się w garść.

– Sensowny facet.

– Co pani myśli o mojej propozycji?

Eliza milczała przez chwilę. Oferta była interesująca, ale miała jedną wadę – musiałaby się użerać z ludźmi. A w tym nie była zbyt dobra.

– To wszystko jest interesujące, ale...

– Chciałaby pani wiedzieć, jaka czeka ją pensja?

– Jaka? – spytała bardziej z grzeczności. Minister był strasznie podniecony własnym pomysłem.

– Siedem tysięcy trzysta.

– Pieniądze nie są dla mnie najważniejsze.

Minister zaśmiał się rozbawiony.

– Ale netto...

Zamyśliła się, a potem spojrzała w oczy Derskiemu.

– Dlaczego ja?

– Czytałem pani książkę. – Wstał, podszedł do biurka i spod papierów wyjął „Dziesięciu największych fałszerzy XX wieku”. Wrócił i znów usiadł w fotelu. – Czuć w niej pazur. Poza tym na ostatniej wystawie bardzo mi się podobało pani swobodne podejście do sztuki.

– Czy na takie stanowisko nie jest rozpisywany konkurs? I wybrana osoba nie powinna być... kimś bardziej znaczącym?

Minister potarł dłonią podbródek. Był wyraźnie zakłopotany.

– No dobrze. To już będę całkiem szczerzy. Na pierwszą roczną kadencję mogę wskazać wybraną przez siebie osobę. Problem w tym, że taki ktoś powinien mieć odpowiednie wykształcenie i dokonania, na przykład napisaną książkę z zakresu kultury. Ponieważ można tu nieźle zarobić, to jest wiele osób, które chętnie zostałyby Obserwatorem, ale żadna z nich nie ma stosownych kwalifikacji. Fachowcy zaś – westchnął – nie chcą sobie zawracać głowy czymś takim. Mają własną pracę, która ich interesuje. Pani jest moją jedyną opcją. Mam błagać? – skrzywił się pociesznie.

Eliza patrzyła na ministra i nagle poczuła, że chyba go lubi, mimo jego błżeństw. A może właśnie z ich powodu. Ostatnio zauważyła, że podobają się jej ludzie nieortodoksyjni i żywiołowi. Jak Mona. Przy nich miała wrażenie, że sama bardziej się ożywia.

Zarazem przemknęła jej przez głowę myśl, że być może to jest ten moment, który zmieni coś w jej życiu? To była szansa, która mogła się więcej nie powtórzyć. No i telewizyjna gwiazda chce ją wyrzucić z pracy. W końcu musi z czegoś żyć.

Weszła sekretarka z kawą i w milczeniu postawiła filiżanki na stoliku. Potem wyszła z gabinetu.

– Bruksela nie potrzebuje żadnych rekomendacji? – Eliza wróciła do tematu.

– Wystarczą rekomendacje polskiego ministra kultury.

– Będę więc mogła zajrzeć pod każdy kamień?

Ministra rozbawiło pytanie.

– Strasznie ich w Polsce dużo. Ale jeśli tylko znajdzie na to pani czas, jak najbardziej. W końcu to pani będzie decydować o zakresie tematycznym i kierunku wykonywanej przez siebie pracy. To plusy, ale i minusy bycia pionierem.

– W takim razie zgoda.

Na twarzy Derskiego pojawiło się szczere zadowolenie.

– Napiszę pani nazwisko i telefon dyrektora biura kadr i szkolenia, do którego się pani zgłosi. – Sięgnął po filiżankę z kawą i uniósł ją do góry niczym kieliszek w toaście. – Za pani sukces. Proszę pamiętać, że odpowiada pani tylko przede mną. Nie wspominając o Bogu, jeśli jest pani wierząca.

– Nie jestem.

– Zatem jednego nadzorującego ma pani z głowy. I witam na pokładzie.

ELIZA ZATRZYMAŁA Biedronkę przy krawężniku. O tej porze dnia ulica, przy której stał dom Mony, była niemal pusta. Dokoła szumiało mnóstwo starych drzew, między którymi skrywały się sześciopiętrowe budynki wybudowane pod koniec ubiegłego wieku.

Mona przez telefon podpowiedziała, żeby Eliza nie zwracała uwagi na tabliczkę na drzwiach wejściowych: „Wejście do magazynu”, no i że obok jest komenda policji. Eliza obrzuciła budynek podejrzliwym spojrzeniem, a potem nacisnęła guzik domofonu. Po chwili rozległ się brzęczyk zwolnionego zamka magnetycznego.

Eliza mocniej chwyciła klatkę, w której znajdował się kot Mony. Weszła na schody i zamknęła za sobą drzwi. Mona była tu jedynym lokatorem, gdyż na piętrze było tylko jedno wejście. Nacisnęła dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły.

Minio na widok pani miauknął żałośnie.

– Choć do mnie, biedaku.

Mona wzięła klatkę od Elizy i postawiła ją w przedpokoju na komódce. Wyjęła kota. Ten sapnął i wtulił się w jej puchaty sweter. Eliza przeszła do pracowni, a za nią pokuśtykała Mona, która dzień wcześniej skręciła nogę, goniąc w zabawie kota.

Eliza sięgnęła do kieszeni spodni i wyciągnęła kartkę.

– Tu jest rozpiska, jeśli chodzi o kota. Lekarz stwierdził, że to zwykłe zatrucie. Dwa dni diety i wszystko wróci do normy. Masz mu zrobić –

zerknęła na kartkę – ryż z marchewką z dodatkiem tuńczyka, ale nie z oleju, tylko z wody, żeby oszukać smak.

– Straszne dzięki. – Mona pogłaskała Minia, który zaczął układać się do snu na kolanach pani. – A co z ministrem?

Eliza powiedziała Monie o Obserwatorze Łącznikowym.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Bo jeśli chodzi o robotę, to jest jak dla mnie mało konkretnych zadań. No i nie muszę przychodzić na ósmą. To program pilotażowy. Może być więc fajna jazda bez trzymanki. Nie mówiąc już, że nieźle płacą.

Patrzyła na Monę, która głaskała kota. W pokoju pełnym monitorów, stacjonarnych komputerów, laptopów, starych dysków, dyskietek oraz zwojów kabli ta drobna dziewczyna wyglądała, jakby wpadła tu przez króliczą norę. Była pełna przeciwieństw, zagadek. A Eliza lubiła zagadki. I lubiła też Monę, co było raczej zaskakujące. Tak bardzo się od siebie różniły – charakterem, temperamentem, zainteresowaniami, wyglądem – że przez to doskonale do siebie pasowały. I kiedy minister zaoferował jej pracę, od razu pomyślała o Monie. Chciała z nią pracować. A jazda bez trzymanki mogła być pociągająca dla dziewczyny zakochanej w czarnym jednośladowym potworze.

Eliza powędrowała wzrokiem w stronę telewizora, na którym nadawany był drugi program telewizji polskiej. Fonia była wyłączona. Uwagę Elizy zwróciły samochody ciężarowe, które zajechały pod Zachętę. Wystawa „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki” za trzy dni miała ruszyć za granicę. Na boku jednej z ciężarówek był napis: „Hamburger Bahnhof – Museum für Gegenwart”. TIR-y należały do głównego berlińskiego muzeum Sztuki Współczesnej, które przed niemal dwudziestu laty otworzono na stacji kolejowej Hamburger Bahnhof. Berlin – pierwsza europejska stolica, która miała obejrzeć wystawę Rosnana. W zamian Niemcy mieli wystawić w Zachęcie zbiory niemieckiego awangardowego malarstwa końca XX wieku.

– Kiedy zamierzasz powiedzieć swojej gwiazdzie, że od niej odchodzisz? – spytała Mona.

Eliza zerknęła na zegar, a potem na ekran komórki.

– Przypuszczam, że za jakieś piętnaście minut.

– Jesteś jasnowiedzem?

Eliza tylko się uśmiechnęła. A potem omal nie krzyknęła ze zdziwienia. Na ścianie na wprost wisiał w ramach wyrok wydany w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

– Byłaś skazana?

– Dostałam AFK.

Sekundę trwało, zanim Eliza złapała, o co chodzi. Skrót był akronimem od pierwszych liter angielskiego „Away from Keyboard”, czyli „Z daleka od klawiatury”.

– Za co? Jeśli to nie tajemnica.

– Postanowiłam zobaczyć, czy dam radę złamać zabezpieczenia bankowe i sprawdzić, dlaczego odmówiono mi kredytu.

– I co?

– Sama wypłaciłam sobie kredyt, ale „ryje” wzięły mnie na widelec.

– Ryje?

– Tak nazywam programy śledcze, które przyklejają się do komputerowego echa i po zostawianym przez ciebie śladzie elektronicznym dochodzą do twojego kompa.

– Echa?

– Kiedy wrzucisz do wody kamień, po jej powierzchni rozchodzą się kręgi, które docierają nawet do najodleglejszych brzegów jeziora. Podobnie jest z efektami pracy hakerów. Naruszenie barier bezpieczeństwa wymusza kontradziałania programów antyspamowych, wirusowych i systemowych. Niektóre starają się zidentyfikować intruza i wykorzystują do tego celu „kręgi”, czyli echa rozchodzące się po sieci. Te programy są właśnie „ryjami”, gdyż ryją do źródła, skąd nastąpiła wrzutka kamienia w internetową zupe.

Eliza wskazała widoczną na ekranie planszę banku, jakby chciała zapytać, czy teraz również... Ale Mona pokręciła uspokajająco głową.

– Dowiedziałam się, że jeszcze nie przelano mi na konto obiecanej kasy – pogłaskała kota – więc za weterynarza oddam za parę dni. Skończyłam dłubanie oprogramowania dla pizzerii, żeby mogli weryfikować internetowe zamówienia, więc nie będziesz musiała długo czekać. Teraz zaciskam pasa, ale niedługo sypną się nowe zlecenia i odbiję się od mulistego dna. – Spojrzała pytająco na Elizę. – A może trzeba coś pomóc? Po pogrzebie mamy musiałam uprzątnąć jej mieszkanie. Jutro będę już skakała – prychnęła wesoło – jak ta koza na pochyłe drzewo. Możesz więc na mnie liczyć.

– Czemu nie.

Zadzwonił telefon Elizy.

– Hej – rzuciła krótko do słuchawki. – Wiem, że Niemcy przyjechali z wystawą, ale będziecie musieli wysłać do zrobienia migawki kogoś nowego. Mam inną robotę. Cześć.

– Skąd wiedziałaś, że z czym do ciebie zadzwonią?

Eliza wskazała na ekran i TIR-a z napisem.

– W salach, gdzie inaugurowano wystawę Rosnana rozłożą się Niemcy. A w takich sytuacjach w telewizorze zawsze chcą, żeby zrobić migawkę do przeglądu kulturalnego. Według nich fotki są najlepsze wówczas, kiedy wystawa się wypakowuje. Coś się dzieje i nie trzeba pokazywać nieruchomych obrazów, które mało kogo obchodzą. No, ale żeby o tym wydarzeniu cokolwiek powiedzieć, to trzeba coś wiedzieć o sztuce współczesnej. Będę się zbierać. – Eliza wstała z miejsca. Nim ruszyła do wyjścia, wskazała ruchem głowy na długi stół i rozstawione na nim laptopy. – Otworzyłaś antykwariat?

– Nie bój, nie bój. Moje kruszynki jeszcze na siebie zarobią.

Mona powiedziała to w sposób czuły, jakby zwracała się do kociego stadka.

Już na ulicy Elizie przyszło do głowy, że musi sprawdzić, czy AFK mogło być przeszkodą w ewentualnym zatrudnieniu Mony.

GERARD ROSNAN stał w saloniku i patrzył na wiszącą na ścianie „Wenus z Witebska”, którą poprzedniego dnia dostarczył kurier z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zadzwoił telefon. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Zytek.

– Tak?

– Zrobiłem jak pan chciał, powiedziałem Marcowi o Borzyckim.

– W porządku. Jutro wyślę umówioną sumę – wyłączył telefon.

Przypomniał sobie nalaną tłuszczem twarz Borzyckiego. Ten szczer chciał od niego pieniędzy. Mówił, że z podziwem od dawna obserwuje jego sukcesy zawodowe. Potem zaczął narzekać, że choć razem służyli krajowi, nie każdemu ojczyzna udziela wsparcia w dalszym życiu. Wreszcie na koniec poprosił o pięćdziesiąt tysięcy. Stwierdził wtedy bezczelnie, że podobno nic tak nie zatyka ust, jak chleb z masłem i grubym plastrem szynki. Kiedy Rosnan kazał mu iść do diabła, Borzycki zagroził, że zgłosi się do IPN i powie o nim wszystko. Rosnan wezwał dwóch osiłków i kazał im wyrzucić kapusia przez okno. I pomyśleć, że taka gnida służyła razem z nim w „Biuurze A”. Wbrew narzekaniom Borzyckiego na niewdzięczność losu ten uchronił go przed połamaniem nóg, gdyż spadł w olbrzymią stertę jesiennych liści.

Miesiąc później dowiedział się, że facet sprzedał IPN-owi Leona Wileckiego. To miała być wiadomość dla Rosnana, że będzie drugim w kolejności. Posłał więc do niego Bratta Henryka.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Nawet się nie obrócił. Wiedział, kto to.

– Z czym przyjeżdżasz?

– Wczoraj spotkałem się z Mauritzem Graatem. Treatment mu się spodobał.

Rosnan wskazał Amerykaninowi miejsce na kanapie.

– Mów dalej.

– Graat jest gotów przekonać ludzi, którzy decydują o ramówce programu TV w Nederland 1, ale chce za to sto tysięcy euro. Myślę, że cena jest do przyjęcia. No i mamy na niego haka. – Bratt wyjął z bocznej

kieszoni marynarki dwa dokumenty, które dostał od detektywa w Amsterdamie. – Jeden to akt urodzenia, drugi zaś jest aktem notarialnym kupna kawalerki przy ulicy Voorburgstraat. Akt urodzenia stwierdza, że ojcem Reini nie jest nasz Mauritz Graat, ale ktoś inny. Natomiast z aktu notarialnego wynika, że producent kupił Reini mieszkanie. Wszyscy sąsiedzi są zachwyceni tak dbałym o dorastające dziecko ojcem. Nikt nie wie, że w zaciszu domowym tatuś posuwa nieletnią dziwkę. Myślę, że te informacje mogą być dobrą polisą ubezpieczeniową dla stu tysięcy. Wchodzimy w to?

– Nawet gdyby zażądał dwa razy tyle.

Bratt wstał z kanapy.

– W takim razie lecę do Sztokholmu.

Rosnan kiwnął głową. Potem wrócił na fotel, rozparł się w nim i ponownie skupił się na obrazie „Wenus z Witebska”.

Rozdział ósmy

Andrzej Daniel trzymał się w pewnej odległości za skuterem Elizy. Z tyłu za nią siedziała młoda dziewczyna w dżinsowych spodniach i kurtce. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, co jakiś czas zwalniał swoim zielonym fordem i zostawał w tyle. Potem przyspieszał na tyle, żeby ponownie mieć Elizę w zasięgu wzroku.

Gdzieś w połowie drogi Eliza zaczęła gwałtowniej zwalniać i wtedy minął jej skuter. Kilometr dalej zjechał na pobocze i poczekał, aż jednośląd znowu go minie.

Kiedy na cmentarzu Eliza przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, serce niespokojnie zatłukło się w piersiach. Gdyby go poznała, gdyby tylko dała znak... Z jednej strony bardzo tego pragnął, z drugiej wiedział, że to niemożliwe i... niebezpieczne. Na szczęście wzrok Elizy prześliznął się po nim jedynie z chwilową ciekawością. Jego zdeformowana twarz była nie do rozpoznania, nawet dla niej.

Jak szybko odnajdzie wiadomość, którą jej zostawił? Podsunął już kilka wskazówek. Czy wystarczą? Liczył na jej specyficzną inteligencję. A jeśli spotka go zawód?

Potarł dłonią mostek. Nie czuł się dobrze ze świadomością, że naraża córkę na niebezpieczeństwo. Przez ostatnie lata ostentacyjnie lekceważył jej istnienie i robił z siebie skurwysyna, któremu żona i własne dziecko są obojętne. Ale tylko w ten sposób mógł zagwarantować im bezpieczeństwo. No i był lojalny, aż do bólu. Mimo kłamstw. Mimo zdrady. Mimo pęt, którymi Gerard Rosnan skutecznie go związał. Ale już dosyć. Czas odzyskać wolność i wyrównać rachunki. Jednak nie da rady zrobić tego sam. Potrzebuje Elizy. Na szczęście nie była już dzieckiem, lecz dorosłą, inteligentną i wykształconą kobietą.

Przygotowując wypowiedzi i podsuwając wskazówki, zakładał, że nie zapomniała wspólnych zabaw farbami i lekcji, których jej udzielał, gdy była malutka.

A co, jeśli za dużo sobie wyobrażał?

– MUSIMY ZATANKOWAĆ. – Eliza na sekundę odwróciła się do siedzącej z tyłu Mony. – Stacja powinna być za dwa kilometry.

Mona kiwnęła głową, że rozumie.

Wkrótce minęły tablicę informacyjną, że dojeżdżają do miejscowości Zielona Górka. Kilkadziesiąt metrów dalej widniał kolejny znak, że stacja paliw będzie za dwieście metrów. Rzeczywiście, niedługo po prawej stronie pojawił się zjazd. Eliza wkrótce zahamowała przed przeszklonym budynkiem.

Okazało się, że nie mogą zatankować.

– Za dwadzieścia minut – krzyknął do nich starszy mężczyzna, który stał przy cysternie i kontrolował zrzut paliwa do podziemnego zbiornika.

Eliza zerknęła na zegarek. Da się wytrzymać. Zdjęła z głowy kask.

Mona krzyknęła zaskoczona.

– Ściągaś warkocz!

– Wczoraj poszłam do fryzjera.

– Nieźle ci w krótkich.

– Ale muszę się do nich przyzwyczaić. – Eliza wskazała na pobliski kościół. – Chcesz zobaczyć?

– Coś interesującego?

– Zbudował go chorąży ciechanowski Paweł Kostka za równowartość czterech wsi.

– To dużo? – Mona uniosła brew.

– Myślę, że dziś starczyłoby na kupno „Wenus z Witebska”. W 1683 roku świątynię wzniesiono jako wotum dziękczynne po wygranej przez naszych bitwie pod Wiedniem.

– Powinnaś nająć się na miejscowego przewodnika. Skąd to wiesz?

– Przez kilka lat jeździłam tędy autobusem do ogólniaka. Co jakiś czas natykałam się na emerytowaną nauczycielkę od historii. Starowina zawsze była ubrana w zielony płaszcz ortalionowy i miała na głowie chustkę, spod której wysuwał się siwy kosmyk. Do dziś pamiętam jej perfumy, które miały zapach storczyków. Kiedy mijaliśmy ten kościółek, opowiadała jego dawne dzieje. Nigdy nie pamiętała, że już się widziałyśmy. Sprawiało jej przyjemność, gdy ktoś słuchał, więc celowo siadałam obok niej, na miejscu, które zawsze było puste. Ludzie jej unikali.

– Dzięki niej byłaś dobra z historii. – Mona zachichotała niczym mała dziewczynka.

– Zawsze lubiłam ten przedmiot. No i matematykę. Z reszty przedmiotów miałam słabe trójki.

Z bliższej odległości, gdy kościółka nie zasłaniały już wysokie topole, budowla wydała się smukła i strzelista. W czasie przebudowy zachowano jej drewniany charakter, choć półkolistą ścianę główną za ołtarzem, jak i całą podmurówkę zrobiono z miejscowego kamienia.

Kiedy przekroczyły próg świątyni, Eliza zmoczyła dłoń w misie z wodą święconą. Mona minęła ją obojętnie. Niedawno skończyła się przedpołudniowa msza. W świątyni nie było już nikogo. Z zakrystii wyszła siostra zakonna, która zaczęła wymieniać kwiaty w wazonach rozstawionych wokół ołtarza głównego. Rzeczywiście były już trochę przywiędłe.

MONA USIADŁA w jednej z ławek. Mogło się wydawać, że się modli, gdy w rzeczywistości wbiła wzrok w Chrystusa wiszącego na krzyżu nad ołtarzem głównym. Bóg był jej wrogiem i nie zamierzała zginać przed nim kolana.

Po raz ostatni klękła przed wiszącym nad drzwiami wejściowymi krzyżem, gdy tamtego wrześnieego dnia karetka zabrała matkę do szpitala. Próbowwała wtedy sobie przypomnieć modlitwę. Znała ich

wiele, ale wówczas po głowie błąkały się jej tylko jakieś strzępki. Przytłaczał ją ogromny strach. Głos z trudem dobywał się z jej krtani.

– Czasami nie była dobrą matką. Czasami zapomniała, że jestem jej córką. Czasami mnie nie poznawała. Czasem oskarżała, że robię konkurencję i odbijam jej klientów. Ale też czasami miała dla mnie słoneczny uśmiech. Czasami przytulała mnie do siebie tak delikatnie, jak tylko ona potrafiła. Czasami szeptała do ucha, że przeprasza, że kocha, że pogubiła się w tym wszystkim i nie wie, jak to już z nią jest. Sam więc widzisz, że wystarczająco wycierpiała. Zasłużyła, żeby już tu nie wracać. Zabierz ją i daj nagrodę w nowym życiu. Obdarz spokojnym snem choćby tylko za to, że potrafiła kochać jak nikt inny na świecie.

Mimo tych próśb trzy dni później matka wróciła do domu. Za każdym razem, gdy ją przywożono, była coraz słabsza. Pewnego dnia Mona postanowiła, że już nie pozwoli jej wziąć działki. Będzie silniejsza i zrobi wszystko, żeby wyprowadzić matkę z nałogu.

Następnego dnia poszła do pobliskiej kliniki psychiatrycznej. Pierwszemu napotkanemu mężczyźnie w białym kitlu powiedziała, że potrzebuje pomocy.

- Jak masz na imię? – spojrzał na nią pytająco.
- Mona – odpowiedziała bez wahania. – A ty?
- Piotr. Pracuję tu jako psychiatra.
- W takim razie ciebie szukałam.

Ale lekarz nie pomógł matce, ale jej, Monice. Znalazła wreszcie kogoś, kto potrafił cierpliwie wyjaśnić tyle niezrozumiałych dotąd dla niej spraw. Piotr dostrzegł u niej brak krytycyzmu wobec własnych, nieprawidłowych spostrzeżeń i osądów. Spytał, czy nie zechciałaby poddać się badaniu. Zgodziła się. Zdiagnozowano u niej psychozę, która dopiero kiełkowała. Dzięki zaufaniu, którym go obdarzyła, lekarz na powrót zaczął zlepiać jej psychikę. Była młoda i silna, zaczęła wychodzić na prostą. Nowy przyjaciel namówił ją też, by się uczyła.

W drugiej klasie liceum dostała od lekarza książkę „Windows dla opornych”, która odmieniła jej życie. Wreszcie znalazła coś, co ją

zafascynowało. Dzięki psychiatrze poradziła sobie również z paroma innymi problemami. Ale nie dała rady największemu. Kiedy pół roku później po raz kolejny zabrano matkę do szpitala, wiedziała, że to już koniec. Pan wisiał na krzyżu nad drzwiami wejściowymi i uśmiechał się drwiąco. Wtedy krzyknęła do niego: „Nienawidzę cię”.

ELIZA PODESZŁA do nawy głównej, zauroczona malowidłem na suficie. Przedstawiało wniebowstąpienie matki Chrystusa. Część, bliżej lewej nawy, jakby straciła swój pierwotny kolor i przyciemniała. Eliza stała dłuższą chwilę i szukała przyczyny takiego stanu rzeczy.

– To wilgoć – usłyszała głos księdza, który dobiegł od strony ołtarza.
– Modłę się, żeby strop przetrzymał najbliższą zimę.

Eliza spojrzała pytająco na duchownego.

– Wiązania dachowe są zmurszałe. Panie może z ministerstwa? – Kiedy Eliza pokręciła głową, ksiądz posmutniał. – Myślałem, że wreszcie przyjechała komisja – westchnął ciężko. Podszedł do Elizy. – Jestem ojciec Dariusz Niećko – przedstawił się. A potem rozejrzał się po kościele, jakby widział go pierwszy raz. – To zabytek, jakich w Polsce ze świecą szukać. Tu modlili się żołnierze regimentu rajtarskiego Hieronima Augustyna Lubomirskiego, którzy walczyli pod Wiedniem. Jesienią 1685 roku tu świętowali bezpieczny powrót do ojczyzny. Część osiadła w Zielonej Górze – ksiądz Dariusz wskazał na wota zawieszane po obu stronach ołtarza. – Wszystkie spod Wiednia. Dwa buńczuki tureckie, miecz, hełm i stalowy pierścień regimentarza, to tylko niektóre z nich. Tyle tu historii, ale nikt nie interesuje się stanem kościoła. Ani kuria, ani ministerstwo. A wystarczyłoby sto osiemdziesiąt tysięcy złotych na remont – duchowny znowu ciężko westchnął. – No, nie zawracam już pani głowy. Niech Bóg prowadzi.

Ksiądz Dariusz dołączył do siostrzyczki, która zmieniała obrus na ołtarzu.

Eliza siedziała zamyślona. Potem jakby podjęła decyzję i wyjęła z portfelika 800 złotych. Dziś rano odebrała w telewizji wypłatę za ostatni

miesiąc. Zdecydowanym krokiem podeszła do księdza i zaskoczonemu wcisnęła do ręki banknoty.

- Przepraszam, że tylko tyle, ale nawet i taka drobna suma może na coś się przyda.

Nie czekając na reakcję duchownego, odwróciła się i poszła w stronę wyjścia. Kiedy brała za klamkę, dobiegł ją głos.

- Niech ci Pan wynagrodzi, panienko.

Eliza i Mona wyszły na dwór.

- Wierzysz w Boga? - spytała Mona. - Tylko szczerze.

- Mam własnego, z którym rozmawiam po swojemu.

- Czyli?

- Czasem jak z ojcem, którego prawie nie pamiętam, niekiedy jak z matką, inną od tej, która obciążała mnie winą, że tata nas porzucił. - Uśmiechnęła się smutno do Mony. - Jak człowiek jest sam, czasem warto z kimś pogadać. Dlatego ludzie wymyślili Boga.

- Nawet jeśli tego kogoś nie ma?

- Nawet wówczas.

BRATT HENRY siedział w Café Kåkbrinken na sztokholmskiej starówce. Dwie przecznice dalej Leon Wilecki miał galerię sztuki. Codziennie otwierał biuro punktualnie o 9.00. Zgodnie z ustalonym od lat rozkładem, przez półtorej godziny wykonywał papierkową robotę. Potem schodził na parter, gdzie w salonie wystawiano do sprzedaży obrazy. Otwierał go na kilka minut przed jedenastą, kiedy już zebrali się troje pracowników. Ci mieli obowiązek stawiać się w pracy o 10.50.

Wilecki wychodził koło 15.00, a cztery godziny później jedna z pracownic zamykała galerię na mechaniczne zamki. Druga, po sprawdzeniu ich prawidłowego zamknięcia przez pierwszą, kodowała mechanizm szyfrowy, sprzęgnięty z systemem elektronicznej ochrony. Prawidłowość działającego systemu miał obowiązek skontrolować pracownik trzeci.

Tego dnia Wilecki zgodził się zrobić wyjątek dla wysłannika Rosnana i wyznaczył spotkanie o 9.30. Bratt sięgnął po filiżankę. Miał jeszcze dwadzieścia pięć minut. Droga zajmie mu najwyżej trzy. Zdecydował, że może pozwolić sobie na jeszcze jedno espresso. Podniósł do góry dłoń z filiżanką, prosząc o powtórkę.

Biuro Wileckiego znajdowało się na pierwszym piętrze zabytkowej kamienicy i sąsiadowało z antykwariatem, który również otwierano punkt 11.00. Bratt trzymał w dłoni reklamówkę galerii, którą przeglądał z udawanym zainteresowaniem.

Kelnerka postawiła przed nim nową filiżankę i zabrała starą. Od razu zapłacił. Gotówką. Karty płatnicze pozostawiają ślad.

Podniósł filiżankę. Zanim wypił, zamierzał nasycić się aromatem kawy. Pachniała jak tamta, którą wypił z Gerardem Rosnanem, gdy marszand po zakończonej rozprawie sądowej zaprosił go do jednej z pobliskich kawiarni. Był sympatyczny, ujmująco przyjacielski i nic od niego nie chciał. Pomógł mu, bo głęboko wierzył, że Bóg oczekuje od człowieka czegoś więcej niż tylko przesiadywania w kościelnej ławce i odklepywania w kółko tych samych modlitw. Jak to Rosnan wówczas powiedział...?

- Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek nad tym, że w kościołach znajdują się największe skarby, które świadczą o naszym oddaniu Bogu, a my nie potrafimy ich chronić?

Nie miał o tym zielonego pojęcia, ale przybrał wyraz twarzy, że tak, owszem...

Rosnan zatrzymał wzrok na szyi Bratta, na której wisiały cztery święte medaliki i krzyż.

- Widzę, że jest pan osobą głęboko wierzącą.

- Każdy powinien znać cel swojej drogi życiowej. Dla mnie jest nim zbawienie w wierze katolickiej.

- Doskonale powiedziane. - przytaknął zdecydowanie Rosnan. - Niewielu tak myśli, a szkoda.

– Bo niewielu chce sobie uświadomić, że wiara wymaga od nas nie tylko uwagi, ale i poświęcenia siebie dla sprawy.

– Rzeczywiście, większość ludzi ma to gdzieś. Czy pan wie, że mieliśmy w Polsce bezcenny dla świata chrześcijańskiego skarb nad skarbami? Przy nim Święty Graal czy Włócznia Przeznaczenia są bez znaczenia.

– Naprawdę?

– W Bazylice oo. Dominikanów w Lublinie znajdowała się trzecia na świecie pod względem wielkości część krzyża świętego, na którym skonał Zbawiciel. 8 lutego 1991 roku nieznani sprawcy ukradli relikwiarz, którego nie odnaleziono do dzisiaj.

– Zabiłbym drani. – Bratt zacisnął pięść.

– Czasami się zastanawiam – zadumał się Rosnan – czy nie lepiej byłoby, żeby część krzyża znalazła się w prywatnej kolekcji, niżby miał ukraść ją pijaczek złakomiony srebra, w którym zamknięto relikwię. – Ciężko westchnął. – Od wieków chciwi ludzie szukają Świętego Graala czy Włóczni Przeznaczenia. Na szczęście owe skarby ukradli Templariusze i ukryli w tylko sobie wiadomym miejscu. Powiedziałem na szczęście, gdyż ludzie są za głupi, żeby je oglądać, podziwiać i stykać się z mocą Boga.

– Chociaż w siódmym przykazaniu Pan napominał „Nie kradnij”, jednak czasem lepiej narazić się na grzech, niż dopuścić do świętokradztwa – pokiwał głową Bratt.

– Mądre słowa – powiedział wtedy Rosnan. I zaproponował mu pracę.

A on się zgodził.

BRATT SPOJRZAŁ na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Miał jeszcze cztery minuty. Dopił kawę.

Przyglądał się przez szybę mężczyźnie, który bezskutecznie próbował otworzyć zapięcie blokujące koła roweru. Kłódka była stara,

lecz właściciel dwukołowca najwyraźniej dotąd nie uważał, że powinien ją wymienić.

To zabawne, jak ludzie sami wpadają we własne pułapki, przekonani, że przewidzieli wszystko. Wtedy najbardziej się mylą.

Poczuł w kieszeni wibracje komórki. Wyjął telefon i odebrał połączenie.

- Gdzie jesteś?
- W Sztokholmie.
- Jakież odchylenia od planu?
- Nie. Co z pieniędzmi? - rzucił Bratt obojętnie do słuchawki.
- Są już na twoim koncie. Jak Rosnan?

Bratt przypomniał sobie, jak ostatnio boss zapewniał, że nigdy jeszcze nie zatrudniał tak sprawnego sekretarza. Przy słowie „sekretarz” uśmiechnął się znacząco.

- Dziecko we mgle.
- Świetnie. Wysłaliśmy ci nowe dyspozycje.
- Rozumiem.

Zakończył połączenie. Zainstalowany w telefonie program automatycznie skasował ślad, że kiedykolwiek istniało. Schował komórkę do kieszeni. Zasyfrowaną transmisję odbierze po powrocie do hotelu.

Spojrzał przez szybę kawiarni.

Facet wreszcie otworzył blokadę, wskoczył na siodełko i odjechał. Bratt wyjął z ust wyżytą gumę i przykleił szarą kulkę na brzegu popielniczki. Potem wstał od stolika i wyszedł na ulicę. Dwie przecznice dalej stanął przed masywnymi metalowymi drzwiami galerii, których okleina imitowała drewno. Spojrzał na zegarek. Za dwie godziny miał samolot do Amsterdamu, gdzie umówił się z producentem telewizji holenderskiej. Na pewno zdąży.

LEON WILECKI postawił kropkę na końcu zdania i ostrożnie odłożył pióro, Montblanc ze złotą stalówką, zeszlóroczny prezent od przewodniczącego szwedzkiej Polonii. Lubił takie gadżety i miał ich sporo, większość to były prezenty, czasem łapówki. Nigdy nie zabiegał o to, żeby być człowiekiem o kryształowej duszy. Chciał żyć wygodnie. Chciał być darzony szacunkiem, uznaniem. Umierając, chciał mieć poczucie, że nie zmarnował życia. Jego ostatnią myślą powinno być – niczego nie żałuję.

Osiągnął wyznaczony sobie cel, a że środki nie każdemu by się spodobały? Nie jego problem. Nie chciał nikomu pokazywać tego, co pisał, więc był szczery... przynajmniej na tyle, na ile potrafił.

Zamknął gruby zeszyt, w którym od kilku tygodni spisywał historię swojego życia. Nie wiedział, dlaczego poczuł taką potrzebę, jakby miał zamiar się rozliczyć, a może uporządkować własną pamięć. Był człowiekiem starej daty, własne myśli mógł przelewać na papier tylko ręcznie, komputerowe ułatwienia wręcz go mierzily. Kiedy pisał, doświadczał złudnego wrażenia, że słowa żyją, odzwierciedlają stan jego duszy i zarazem pobudzają pamięć do odkrywania zapomnianych zakamarków.

Dzieciństwo, młodość, studia, zatrudnienie w MSW. Pamiętał kadrowca, grubego mężczyznę w stopniu pułkownika, który spytał go, czy wierzy w socjalizm. Odpowiedział, że od małego. Czy powiedział prawdę? Już nie pamięta. Chyba nie... ale grał swoją rolę koncertowo. Czekał na okazję, która, jak wiedział, szybciej pojawi się przy korycie władzy niż z dala od niego. Wreszcie nadszedł jego dzień, gdy zaoferowano mu rolę kreta. Mógł za to zapłacić wysoką cenę, ale kto nie ryzykuje.... Prysnał ze sfigowanymi przez kontrwywiad dokumentami do ambasady brytyjskiej, gdzie poprosił o azyl polityczny. Przez pół roku dzień w dzień, przez dziesięć godzin, był przesłuchiwany; Anglicy, Amerykanie, potem znowu Anglicy; wytrzymał, przeszedł weryfikację, uwierzono w jego legendę, że chciał ratować Polskę przed czerwonymi. Zawsze był świetnym kłamcą.

A potem było coraz lepiej. Kiedy waliła się komuna, po raz ostatni odebrał szyfrogram z centrali. Miał zgłosić się do niego kurier z bratniej służby wywiadu radzieckiego z nowymi zadaniami. Kilka miesięcy później spotkał pułkownika Dimitrija Leonowicza Mietielina. Komuna szła na dno niczym podziurawiona stara łajba, której nikt nie zamierzał już łątać. Mietielin dał słowo, że Leon zostanie bogatym człowiekiem, jeśli pomoże mu przejąć kontrolę nad szwedzkim czarnym rynkiem handlu dziełami sztuki. Szwedzi zaangażowani w podziemny proceder nie chcieli kapitulować. Przyjechało wtedy trzech gości od Mietielina ze Specnazu, którym Wilecki wskazał cele. Jakiś czas później odbyło się kilka głośnych pogrzebów szacownych biznesmenów ze Sztokholmu, Norrköping, Malmö i Uppsali. Po roku spotkał u Mietielina Rosnana, który był delegatem Rosjanina na Polskę, Czechy oraz Słowację. „Delegat”, skrzywił pogardliwie wargi. Ruscy zawsze mieli słabość do nadawania dostojnych nazw swoim bandyckim poczynaniom.

Spojrzał na antyczny zegar z kukułką na ścianie. 9.25. Za chwilę będzie bogatszy o sto tysięcy euro. Rosnan musi zapłacić za tajemnicę, którą przypadkowo zdradził mu Janicki. Ciekawe tylko, po co tamtemu fałszywy obraz, za który zapłacił kilka milionów, jakby był autentykiem?

NA MURZE obok drzwi widniały dwa przyciski. Dolny łączył z biurem galerii na parterze, górny z biurem antykwariatu na pierwszym piętrze. Bratt nacisnął górny. Chwilę czekał. Za plecami przeszedł jakiś chłopak ze słuchawkami na uszach, który nucił pod nosem melodię. Rozległ się brzęczyk zwalnianego zamka elektronicznego.

Wszedł do środka i zamknął dokładnie za sobą drzwi. Wspiął się schodami na pierwsze piętro. Drzwi otworzył Wilecki. Z szerokim uśmiechem wyciągnął dłoń w geście powitania. Bratt odwzajemnił uścisk.

Pierwszym błędem Wileckiego było przekonanie, że Henry jest facetem, którego zwykle posyła się, żeby wypełniał drobne zlecenia.

Weszli do środka.

- Kawy?
- Już piłem.
- Po co ten pośpiech?
- Za godzinę mam samolot.
- Masz moje sto tysięcy? – Wilecki wyciągnął dłoń po pieniądze.
Bratt sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Drugi błąd Wileckiego polegał na tym, że zaufał Rosnanowi, choć w służbach nieraz wbijano mu do głowy, że ludzie tacy jak on nigdy nie mają przyjaciół.

Zamiast koperty z pieniędzmi Henry wyjął pistolet z tłumikiem.

WILECKI CHCIAŁ krzyknąć, ale nie zdążył. Stalowy kafar uderzył go w pierś. Chwycił się brzegu biurka, żeby nie upaść. Zaskoczony spojrzał na koszulę, na której zaczęła wykwitać czerwona plama. Dlaczego nie czuł bólu? Pistolet wystrzelił jeszcze dwukrotnie. Nogi złamały się w kolanach. Taki jest więc koniec? Zawsze myślał, że odejdzie, leżąc w łóżku.

Przechylił się bezwładnie i poleciał twarzą w stronę bordowej wykładziny podłogi. Zwalił się ciężko na dywan. Wciąż nie czuł bólu. Miał tylko wrażenie, że uchodzi z niego życie niczym powietrze z przekłutego balonu.

Poczuł złość. Na siebie. Powinien przewidzieć, co się kroi, kiedy zginął Janicki. Najwyraźniej Rosnan zamierzał pozbyć się wszystkich, którzy wiedzieli, że obraz jest fałszywy. A on, idiota, zażądał dodatkowych pieniędzy.

Cyngiel Rosnana chyba dostrzegł na jego twarzy zrozumienie, gdyż wydało mu się, że pochylił się i wyszeptał:

- I to był twój trzeci błąd.

Gdy Wilecki umierał, zrobiło mu się żal ciastka, które miał zjeść na drugie śniadanie, a które zamówił przed przyjściem Bratta.

Rozdział dziewiąty

Eliza postanowiła zacząć porządkowanie domu od pierwszego piętra. Może dlatego, że było tam najmniej do roboty. Mama tylko kilka razy weszła na górę, gdzie mieszkała.

Eliza nie lubiła wyrzucać rzeczy, jeśli nie były porwane czy zepsute. Nawet gdy z nich wyrosła – czy to fizycznie, czy psychicznie – trzymała je uporządkowane, poukładane w szufladach, szafie i... głowie. Były kotwicą zarzuconą w przeszłość. Do niedawna uważała, że ich nie potrzebuje. Myliła się. Kiedy teraz, po latach, otworzyła drzwi szafy i zobaczyła równo ułożone sweterki, sukienki i spodnie, poczuła w sobie dawną niecierpliwą ciekawość, podobną tej na widok nowej książki. Co w niej odnajdzie, gdy otworzy okładkę?

Potem dotarł do niej zapach rzeżuchy, którą matka hodowała w miseczkach w całym domu, a gdy roślina była dostatecznie duża, krajała i kładła na kanapki. Dobrze jest być dzieckiem, pomyślała. Zaraz potem się zreflektowała. Dominującym kolorem jej dzieciństwa była szarość, a dźwiękiem takt skapującej z kranu wody, która z monotonną jednostajnością uderzała w wypełniające zlew nieumyte naczynia.

Usłyszała odgłos komputerowych klawiszy. Odwróciła się. Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju zobaczyła Monę, która przysiadła na brzegu krzesła i stuknęła w klawiaturę laptopa.

– Co robisz?

– Pamiętasz gościa, który jechał za nami w zielonym fordzie?... Tego, który nas śledził.

Eliza stanęła za plecami Mony.

– Kojarzę.

– Kiedy nas mijał, z ręki pstryknęłam mu telefonem zdjęcia. Teraz wrzuciłam je do programu korygującego. Niedługo przejdzie przez filtry cyfrowe, które podkrecają fotę. Nawet nie wiesz, co teraz można zrobić z pozornego badziewia. Na szczęście oprogramowanie mam w chmurze. Jedyne więc problem jest z prędkością przesyłu danych. Trzeba czekać.

– Westchnęła ciężko. – Pracuję na złomie. – Puknęła dłonią w laptopa.

–Tu więc, na ziemi, możemy wziąć się do roboty – zarządziła Eliza i wróciła do swojego dawnego pokoju.

Kiedy stanęła na wprost szafy, nie odnalazła doświadczonej chwili wcześniej niecierpliwości i nie czuła już zapachu rzeżuchy. Może nawet i lepiej.

Godzinę później sześć wielkich toreb wypełniały ciuchy, stare buty i rozchodzone kapcie. W czterech pudłach leżały ułożone książki, na tyle w dobrym stanie, żeby przekazać je do biblioteki.

Na razie wystawiły worki przed dom na ganek i zabrały się za parter. Eliza podeszła do drzwi, za którymi powinna być szafa ścienna. Nacisnęła klamkę. Zamknięta. Gdzie mógł być klucz? Poczowała wzbierającą złość i miała ochotę kopnąć z całej siły w liche drzwi.

– Jedną chwilkę. – Mona odsunęła Elizę na bok.

Przykucnęła i zerknęła na zamek. Wypięła z włosów spinkę i wsunęła do dziurki od klucza. Minutę później podniosła się z kolan i wskazała na drzwi.

– *Voilà.*

– Jak to zrobiłaś? – Eliza była pod wrażeniem.

– Powinnaś już wiedzieć, że nigdy nie byłam grzeczną panienką. – Mona mrugnęła okiem i wróciła do odkurzania saloniku.

Eliza powoli uchyliła drzwi szafy, jakby się obawiała, że zgromadzone za nimi przedmioty wysypią się wprost na nią. Na kilku półkach stały trzy rzędy książek. Obok piętrzyły się wypełnione kartkami bloki rysunkowe. Eliza wzięła jeden z nich. Rozpoznała własne dziecięce malunki. Na pierwszym dostrzegła nieporadny szkic

„Autoportretu z siedmioma palcami”. Z tyłu ojciec zapisał długopisem: „To jej pierwsze otwarcie się na świat”.

Na jednym z kolejnych odnalazła namalowaną akwarelami malarską paletę. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Znajdujące się na niej kolory były rozmieszczone w dwóch rzędach. Identycznie jak na „Autoportrecie z siedmioma palcami”. U dołu zobaczyła kolejny podpis zrobiony ojcową ręką: „Eli skończyła sześć lat”. Odwróciła się, gdyż wydało jej się, że słyszy za plecami dźwięk melodii wygrywanej na cymbałkach.

Do niedawna bała się powrotu w dziecięce lata. We wspomnieniach słyszała złość i krzyk matki, gdy pytała, gdzie jest tata. Matka często była dla niej niedobra i karała za byle przewinienie. W domu było wiecznie ciemno i zimno. Matka na wszystkim oszczędzała. Nie musiała, a jednak chciała udowodnić sobie samej, że mąż, który od niej odszedł, skazał je na biedę. Pewnego dnia ugotowała duży garnek kaszki na mleku. Jadły ją przez trzy dni. Eliza do tej pory pamięta nieprzyjemny odgłos skrobania łyżki o ścianki garnka i zaciętą minę matki, gdy odrywała od niej zaschnięte kawałki.

Eliza zanuciła w myślach. Męczyło ją, że nie wie, co to za melodia. A miała wrażenie, że to dla niej bardzo ważne. Że to klucz do zagadki, jaką zadał jej ojciec.

Wyciągnęła z teczki jeden z rysunków. Kartka była przerwana na pół, lecz ktoś złożył ją i podkleił szarym papierem. Znajdowała się na niej gmatwanina chaotycznych kresek.

– Co to takiego? – spytała Mona, która stanęła za nią i zaglądała przez ramię.

– Szkice kilku obrazów Velázquez’a.

– Robisz mnie w trąbę. To tylko bezsensowna płątanina linii.

Eliza obrysowała palcem jeden z obszarów.

– To jest „Wenus z lustrem”. To oczywiście ogólny kształt pola obrazowego, o, ten poziomy prostokąt. Kompozycja zamknięta. Środkowym punktem jest lustro z odbiciem twarzy bogini.

Gdy Eliza wskazywała poszczególne linie, tłumaczyła ich kształt i wygięcia, Mona wreszcie jakby zobaczyła jeden z trzech rzekomo znajdujących się na kartce szkiców.

- Zamiast na historię sztuki trzeba było iść do Akademii Sztuk Pięknych – powiedziała.

- Jakoś się nie złożyło.

Mona ponownie zerknęła na płataninę kresek i mruknęła:

- Ten Velázquez musiał być strasznie skomplikowanym facetem.

- Niezupełnie. Był najstarszym synem z siedmiorga dzieci szlachcica Juana Rodrigueza de Silva. Do historii sztuki przeszedł pod nazwiskiem matki.

Mona słuchała, jednocześnie szukając czegoś w telefonie. Po chwili twarz jej się rozjaśniła. Przejęła od Elizy pałeczkę.

- Obok van Dycka i Rembrandta był najwybitniejszym portrecistą XVII w. Malował też obrazy religijne i mitologiczne, a także sceny rodzajowe. W 1659 roku został Rycerzem Zakonu Świętego Jakuba.

- Jestem pod wrażeniem.

- Ja też uważam, że bez internetu szybko wrócilibyśmy do kamienia łupanego. Jak widzisz, dzięki temu można nie obciążać sobie głowy jak i kto, tylko gdzie.

- Gdzie co?

- Gdzie tego szukać. A w szukaniu jestem najlepsza.

-Może więc zostaniesz moją asystentką.

Po raz pierwszy od przyjazdu Eliza spojrzała Monie prosto w twarz. Ten moment wybrała świadomie, pamiętając, że wbijanie wzroku w ziemię mogłoby świadczyć o jej nieśmiałości, rozglądanie się zaś na boki, że jest nieszczera. Patrzenie przez dwie trzecie czasu zaplanowanej rozmowy na całą twarz miało stanowić potwierdzenie, że ceni Monę. Tak przynajmniej napisano w poradnikach o mowie ciała.

- Chcesz żebym...?

- Pensja trzy osiemset.

- To dziękuję.

Eliza zastosowała chwyt ministra.

- Ale netto.

Po chwili namysłu Mona pokręciła przecząco głową.

- Raczej nie, za bardzo cenię sobie wolność.

Pół godziny później, znów dzięki pomocy Mony, Eliza dostała się do zamkniętej sypialni matki. Kiedy weszły do środka, ciężkie zasłony były dokładnie zaciągnięte i wewnątrz było ciemno. Eliza wiedziała, że za kurtyną mroku, na wprost wejścia, wisi kopia „Autoportretu z siedmioma palcami” z pociętą nożyczkami twarzą artysty. Efekt szafu matki.

Pod sufitem zapłonęła żarówka. Mona zsunęła dłoń z kontaktu i oparła się o ścianę, obserwując przyjaciółkę.

Pierwsze, co Elizie rzuciło się w oczy, to album na tapczanie. Wzięła do ręki „La Promenade” z reprodukcjami obrazów Chagalla. Kiedy otworzyła książkę, ze środka wypadła koperta. Wewnątrz znalazła kartkę, którą dostała od ciotki w czasie mszy pogrzebowej.

- Co to?

Eliza na powrót wsunęła kartkę do koperty.

- Jakies bohomyzy.

Mona wyszła z sypialni i Eliza została sama. Przez otwarte drzwi zobaczyła wnętrze kuchni i puste krzesło przy stole.

Czasami matka czuła się lepiej, znikaly wówczas jej zlosc i chora obsesja. Eliza uwielbiala te momenty. Podczas jednej z takich chwil, kiedy siedzialy przy kolacji, matka powiedziala tonem zwierzehn:

- Uwielbiam gory. Od dziecka mialam do rodzicow cicha pretensje, ze nie sa goralami i nie mieszkamy gdzie na Podhalu. Kiedy przyjezdzam do Doliny Koscieliskiej, wstepuje we mnie nowa energia, jakbym na powrot sie urodzila, jakby ktos podlaczyl mnie do tajemniczego zrodla mocy. Kiedy zdam na studia, co roku spedzalam w Tatrach dwa tygodnie. Przechodzilam kilka tras, by na ostatek wybrac

którąś z najtrudniejszych. Tamtego roku postanowiłam po raz kolejny iść na Czerwone Wierchy. Zamierzałam wyjść z domu rano. Sprawdziłam wyposażenie i już miałam położyć dłoń na klamce, gdy gaździna przeżegnała mnie na drogę. „To dla mojej zdrowotności” – wytłumaczyła – „i spokojności, bo sen w nocy dziwny miałam, więc tfu, na psa urok i niech Pan Bóg prowadzi”. Jaki sen, już się nie dowiedziałam. Cztery godziny później doszłam do łańcuchów, którymi zaczęłam piąć się w górę. Słońce dobrze przygrzewało, więc kilka minut wcześniej schowałam sweter do plecaka. Przeszłam z klamry na klamrę i po chwili ponownie znalazłam się na wąskiej kamiennej ścieżce. Dopiero wtedy zorientowałam się, że jestem na ścieżce sama. W tej sekundzie poczułam piękno, ogrom i potęgę gór. Zespolenie z przyrodą było tak niesamowite i kompletne, że po plecach przebiegł mi dreszcz. Co ja tu robię, pomyślałam, sama jedna, drobina i pył w tym ogromnym świecie skalnych olbrzymów? Ile czasu tak trwałam zapatrzona w dal? Gdy miałam chwycić się stalowej klamry, moje palce ześliznęły się ze stalowego pręta. Byłam jedynie podparta nogami, gdyż drugą dłoń właśnie oderwałam od przedostatniej klamry. Na sekundę zachybotłam się nad przepaścią. To koniec, przemknęło mi przez głowę. Zaciśnęłam mocno powieki. Wtedy moją rękę chwyciła męska dłoń i dociągnęła palce do stalowej klamry. Uczepiłam się jej mocno. Obok stał twój ojciec i uśmiechał się radośnie. Chyba wtedy się w nim zakochałam.

Już nigdy więcej matka nie wspomniała przy niej o przeszłości.

– MOŻESZ TU przyjść? – Mona zawołała z kuchni. – Są już zdjęcia obrobione przez program.

Eliza stanęła za plecami Mony i zerknęła na ekran. Pierwsze było jak żyłotka. Nadmiernie napuchnięte usta, skrzywiony nos i nienaturalnie zapadnięty prawy policzek. Mr Hyde. Zatrzymała wzrok na jego oczach wpatrzonych w obiektyw i znów po plecach przeszedł dreszcz. W prawym oku mężczyzny, na błękitnej tęczówce, dostrzegła wyraźną ciemną cętkę.

To był jej ojciec! Co się stało z jego twarzą?

– Rozpoznajesz go?

Po chwili udanego zastanowienia Eliza zdecydowanie zaprzeczyła.

BRATT HENRY siedział w skórzanym fotelu w holu amsterdamskiego Intercontinental Amstel. Z okna rozciągał się widok na rzekę, na której właśnie mijały się dwa statki wycieczkowe, ale nie miał czasu przyjrzeć się im dokładniej, gdyż na wprost usiadł Mauritz Graat, producent z TV Nederland 1.

– Na razie dostałem jedynie pięćdziesiąt tysięcy – stwierdził ze znużonym wyrazem twarzy.

Bratt przytaknął spokojnym ruchem głowy.

– Tyle wynosi pańska oficjalna stawka za wyprodukowanie programu. – Zgniół kilka razy między zębami gumę do żucia. – Chcieliśmy jedynie oszczędzić panu niepotrzebnego kontaktu z fiskusem – dodał. Nachylił się i pchnął stojący obok neseser w stronę producenta. – Czyż takie rozwiązanie nie jest sensowniejsze? Pan wykazuje mniejsze zyski, a my koszty. Oficjalnie i nieoficjalnie wszystko się zgadza.

Graat po chwili milczenia skinął głową. Ów znak jednak bardziej był skierowany do siedzącego w pewnej odległości ochroniarza, który wyglądał jak zapaśnik. Bratt wyłowił go z tłumu o wiele wcześniej, nim zjawił się Holender. Szerokie bary, pewna mina i przekonanie, że gdyby facet chciał, to mógłby wszystkich wciągnąć przez jedną dziurkę od nosa. No cóż, każdemu wolno mieć dobre samopoczucie.

– Chciałbym, żeby przekazał pan coś jeszcze Mr Rosnanowi.

Jak przewidział, producent niedwuznacznie zasugerował, że koszty zrealizowania programu mogą wzrosnąć jeszcze o pięćdziesiąt tysięcy.

– W świecie rozrywki nigdy nie można być pewnym, jaki będzie koniec.

Graat wstał i poklepał Bratta protekcyjnie po ramieniu.

- Ma pan absolutną rację. - Bratt Henry skinął głową, choć całkowicie się z nim nie zgadzał.

Kiedy producent wyszedł, Amerykanin jeszcze przez jakiś czas patrzył na rzekę Amstel, którą płynął kolejny statek. Z chęcią wsiadłby w samolot i wrócił do Polski, ale wieczorem miał jeszcze spotkanie z Jurem Grollemanem. Za dodatkową opłatą prywatny detektyw obiecał dowiedzieć się więcej o szesnastolatce, która chadzała z rzekomym tatusiem do łóżka.

ELIZA ZAMYŚLIŁA się na sekundę. Ojciec był na pogrzebie mamy. Dlaczego wtedy nie podszedł i nie powiedział, kim jest? Po co te podchody i tajemnice? I skąd ta pokiereszowana twarz?

Wcześniej przez lata nigdy nie zadzwonił do matki, nie odezwał się słowem. Z pewnością wiedział, że na to obie czekają. Czy zdawał sobie sprawę, jak matka przez niego zatruwa jej życie? Jeszcze gdy mieszkali razem, dała pokaz zazdrości o małe dziecko. Może wówczas dostrzegł jej chorobę i przez to postanowił odejść.

Mnożyła pytania, na żadne nie znajdując odpowiedzi. No i sposób nawiązania kontaktu. Wyglądało, jakby się czegoś bał. Książka w bagażniku Biedronki i malarska paleta w liście na cmentarzu, którą wyrzuciła do śmieci i ponownie znalazła w albumie „La Promenade”.

- A co z paletą malarską w „Autoportrecie”, obrazie, który wystawił Rosnan? - spytała na głos. - Jakie wnioski należało wyciągnąć z owego zestawienia? Z jakiegoś powodu ojciec nie mógł się ujawnić, a jednocześnie podpowiadał, że chodzi o obraz Chagalla. Co ten miał wspólnego z jego osobą?

Jeśli wziąć pod uwagę zapisane słowa we wstępie do książki o czarnym rynku, odczyt był jednoznaczny: „Zwróć na mnie uwagę. Potrzebuję twojej pomocy”.

- Jak mam ci pomóc?

Ponownie otworzyła „Falszerzy aniołów” na pierwszej stronie. „Matnia zatrzasnęła się po cichu, krata opadła bezszelestnie, a zamek

zaskoczył bezgłośnie. Kiedy się zorientowałem, było za późno”.

Kto i dlaczego więził jej ojca? Czy to, że zwrócił się do niej dopiero teraz, oznaczało, że i jej grozi niebezpieczeństwo?

Rozdział dziesiąty

Marzec przechodził w komendzie obok miejsca dla palących, gdzie jakiś mundurowy właśnie wypuścił kłąb dymu. Wciągnął powietrze głęboko w płuca z nadzieją, że chociaż tak się zaciągnie. Niestety to był e-papieros. Marzec rzucił złe spojrzenie na policjanta i skupił się na telefonie, który trzymał przy uchu.

– Dzwonię, żeby pogratulować stanowiska w ministerstwie.

– Już wszyscy o tym wiedzą? – zażartowała Eliza.

– Przypadkowo w sekretariacie wydziału zobaczyłem nadesłaną informację, że minister podpisał rozporządzenie o utworzeniu stanowiska Obserwatora Łącznikowego. W dokumencie znalazło się pani nazwisko i prośba o pomoc, jeśli się z taką prośbą do nas pani zwróci. Ot i cała tajemnica. Wychodzi, że zwykły przypadek.

Marzec otworzył drzwi swojego pokoju i wszedł do środka.

– Przypadek? To słowo nie powinno istnieć w słowniku policji. – W głosie Elizy wyczuł śmiech.

– Gdyby znała pani prawdę o naszej pracy, zmieniłaby zdanie. – Tym razem on zaśmiał się do słuchawki. A potem spoważniał. Nie sądził, że Eliza Daniel tak szybko da się przekupić. Niezła kasa i zerowe możliwości. – Nie obawia się pani, że ten Obserwator Łącznikowy jest najzwyklejszym w świecie szyldem?

– Chciałam odmówić. Ale wtedy przypomniałam sobie pańskie zmartwienie, że nie może zajrzeć pod każdy kamień. Ja teraz mogę zerknąć nawet pod te, które nie są nawet w zasięgu pańskiego wzroku, przynajmniej teoretycznie. Chyba że już to pana nie interesuje?

Krążący po pokoju Marzec zatrzymał się w pół kroku.

– Rzeczywiście byłoby miło, gdyby pod kilka pani zerknęła.

– W takim razie biorę się najpierw za Rosnana. To śliski gość.

– Niejednemu zaszedł już za skórę. No i ma wielu przyjaciół. Niektórzy będą panią naciskać.

– Jestem niezależna.

– Proszę nie zapominać, co mówiłem o fasadowości, no i już dziś bacznie obserwować, co dzieje się za plecami.

– Chcą mnie w coś wmanewrować?

– Nie wiem, ale, jak mówi przysłowie, strzyżonego pan Bóg strzyże.

– Myślę, że nie jest tak źle.

Nie miał ochoty uświadamiać Daniel, że przyjdzie dzień, kiedy i ona pojmie, że wolność, niezależność, swoboda myśli oraz możliwość niczym nieskrępowanej wypowiedzi to bajer dla niedorozwojów. Ci nigdy nie dostrzegają, że właśnie stoją przed ścianą i pieprzą, że kiedyś wybiorą się aż tam, hen, gdzie słońce zachodzi za horyzontem.

– Będziemy w kontakcie.

Kiedy Marzec rozłączył się, przyszło mu do głowy, że stał się z niego stary i zgorzkniały dziad.

– Muszę coś z tym zrobić – rzucił zły do odbicia w szybie. – Zwłaszcza z tym starym mantyką.

Podszedł do ściany i zerwał z kalendarza kartkę z wczorajszą datą, 20 czerwca. Chryste, przemknęło mu przez głowę, ale ten czas leci. Sięgnął do paczki M&M, ale wewnątrz nic nie znalazł. Rano przypalił jajecznicę. W drodze poszła mu opona w aucie. Wszystko wskazywało, że dzisiejszy dzień będzie miał przesrane.

Zadzwoił telefon na biurku. O dziewiątej rano? Zły, zmiął pustą paczkę po słodyczach i cisnął do kosza na śmieci. Nie trafił. Podniósł słuchawkę.

– Marzec – rzucił do słuchawki.

– Cześć, tu Józek. Wiem, że w sprawie śmierci Janickiego interesowałeś się również Wileckim. – Marzec rozpoznał głos znajomka z wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej w Gdańsku.

– Owszem.

– Jestem ci winien przysługę. Przynajmniej mnie nie wyleciało to jeszcze z głowy. – Wydawało się, że ostatnie słowa tamten powiedział bardziej do siebie.

EmEm pamiętał. Jakieś dziesięć lat temu, gdy jeszcze służyli jako dzielnicowi w jednej z gdańskich komend rejonowych, kumpel za mocno uderzył w gaz po tym, jak rzuciła go dziewczyna. Zdarza się to nawet krawężnikowym psom i każdy ma prawo się rozkleić. Ale tego dnia przyjechała do nich kontrola z wydziału wewnętrznego z wojewódzkiej. Przywieźli ze sobą alkomat. Rozżalony na dziewczynę i wstawiony kumpel zapowiedział, że pogoni zbieraczy donosów, którzy polują na niegrzecznych policjantów.

Nim do tego doszło, Marzec skuł go kajdankami, przypiął do kaloryfera w łazience i zakleił usta plastrem. Potem na drzwiach w korytarzu wywiesił napis, że toaleta jest chwilowo nieczynna. Dwie godziny później ci z wojewódzkiej wyjechali, a kumpel w międzyczasie zasnął zmożony procentami z głową na kiblu. Pół roku później ożenił się z tą, która go wtedy rzuciła.

– Mam swoje kontakty z chłopakami ze Sztokholmu. – EmEm usłyszał w słuchawce. – Właśnie dostałem faks, że dwa dni temu w swoim biurze zginął Leon Wilecki. Dostał trzy strzały w klatkę piersiową. Zgon nastąpił w ciągu paru minut. Jak na razie nie trafiono na ślad zabójcy. No i nikt nic nie widział.

Marzec aż się wyprostował na krześle. Najpierw Janicki, teraz Wilecki. Czyżby miało to jakiś związek z odkrytym Chagallem? Wilecki też zajmował się sztuką.

Jezu, ale by sobie zająrał papierosa.

– Jak chcesz, przyślę faksem wycinek z „Dagens Nyheter”, która relacjonuje pierwsze godziny śledztwa – powiedział znajomek.

– Nie interesują mnie dziennikarskie smęty.

– No i podeślę pierwsze ustalenia tamtejszej policji – gliniarz nie przejął się brakiem jego entuzjazmu. – Jak będę wiedział coś więcej,

dam znać.

- Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę patrzył przed siebie, próbując zebrać myśli. W spisie pasażerów, którzy płynęli promem, znalazł personalia Bratta Henryka. Zadzwoił do działu rezerwacji linii lotniczych i przedstawił się policyjnym stopniem. Podał hasło, które upoważniało do wglądu w listy pasażerów i odłożył słuchawkę. Kilkanaście sekund później odezwał się telefon. Pracownik biura sprawdził w zastrzeżonym spisie numerów ten, na który powinien oddzwonić.

- Kogo pan szuka?

Przeliterował personalia.

- Bratt Henry. Interesuje mnie, czy w ostatnich trzech dniach kupił bilety na samolot do Sztokholmu.

- Oddzwonię.

- Czekam.

Sprawdzanie zajęło dwadzieścia minut.

- Mężczyzna, który posługiwał się paszportem amerykańskim na nazwisko Bratt Henry, przyleciał do Sztokholmu rejsowym samolotem LOT-u, LO 446, 17 czerwca, o godzinie 16.45. z portu lotniczego im. Fryderyka Chopina do Stockholm Arlanda.

- No i co nie tak, jeśli tak? - mruknął do siebie zadowolony Marzec.

- Proszę zrobić ksero dokumentów i wysłać je na adres stołecznego wydziału kryminalnego. Moje nazwisko Marzec. Nadkomisarz.

- Pamiętam.

Odłożył słuchawkę. Wszystko wskazywało, że Bratt Henry najpierw załatwił Janickiego, a teraz Wileckiego. Oczywiście „wszystko wskazywało” to dla naczelnika były słowa bez pokrycia. Z danego przez szefa miesiąca pozostało mu jeszcze dwadzieścia cztery dni. To sporo czasu.

Wstał i znów zaczął krążyć między oknem a biurkiem. Od lat polował na Rosnana i od lat nie mógł nic znaleźć na tego „porządnego” faceta. Teraz wydarzenia przyspieszyły.

Spiesz się powoli, usłyszał w duchu głos ojca. Przez okno do pokoju wpadł jasny promyk słońca. Marcowi przyszło do głowy, że być może ten dzień nie będzie aż taki zły, jak początkowo myślał.

ANDRZEJ DANIEL siedział przed sztalugami. W jasnej smudze światła przyglądał się refleksom, które odbijały się w trzymanej w lewej dłoni palce, na którą niedawno skończył nakładanie farb.

Czy zacznie dziś malować? Nie było to takie pewne, a mimo to, podobnie jak wczoraj i przedwczoraj, był na to przygotowany.

Oleje pozornie nie odbijały światła swą kleistą powierzchnią, a jednak Daniel był pewien, że każdy z kolorów jaśniał tylko sobie przynależnym odcieniem barwy. Było to złudzenie, którego zawsze doświadczał, gdy przygotowywał się do malowania. W pracowni, na ścianach, oparte na stołach lub rozłożone wprost na podłodze, leżało kilkanaście płócien. Na każdym znajdował się fragment obrazu głównego, który zamierzał skopiować. Każde z malowideł było preludium i wprawieniem dłoni do chagallowskiej *alla prima* – kładzeniu farb wprost na zaprawie, bez przygotowania podmalówki, a nawet zrobienia wcześniejszego szkicu. Najczęściej artysta tworzył obraz w trakcie jednej sesji. Uwidoczniało się to w pozostawianych na płótnie śladach jego pracy, po niedokończonych duktach pędzla czy zaciekach. Ostatnie dwa tygodnie Daniel spędził na doskonaleniu owej techniki w szczególnie trudnych partiach „Wenus”. Praktycznie miał cały obraz w głowie.

Był gotów.

Do tego dnia w myślach rozłożył malowidło na tysiące pociągnięć pędzla. W trakcie wielu prób jego palce osiągnęły wrażliwość na właściwy nacisk, który odpowiednio szeroko rozchyłał kiść pędzla i rozprowadzał olej po płótnie.

Trzy miesiące przygotowań. Niemal dziewięćdziesiąt dni codziennych ćwiczeń, niekończące się powtórki. Bywały też godziny, gdy nieruchomo wpatrywał się w „Wenus”. Studiował obraz o różnych porach dnia i w zmiennym oświetleniu, zarówno naturalnym, jak i sztucznym. Analizował wszystkie krzywizny, odkrywał miejsca, gdzie pędzel został gwałtownie oderwany od płótna. Z tysięcy szczegółów i setek duktów wyławiał nieoczekiwane załamania, które były końcem jednego pociągnięcia i zarazem początkiem kolejnego.

Był gotów.

Brakowało tylko ostatniego impulsu, który pchnie drobny kamyk ze szczytu wzrastającej w nim niecierpliwości, a ten porwie za sobą lawinę.

Nałożone na paletę farby kusily, a zarazem niepokoiły. Jednak na razie było to tylko drażnienie się z własną wyobraźnią, żeby zbudować w sobie jeszcze większe napięcie, spotęgować niecierpliwość, doprowadzić myśli do stanu wrzenia podobnego temu, które zmuszało Chagalla, by uwolnił przepełniające umysł barwy, myśli, dźwięki, skojarzenia i malował „Wenus”.

Kiedy nadejdzie ten dzień, stanie się Chagallem. Zahipnotyzowany i natchniony wyczarowanymi niegdyś barwami oraz kształtami stworzy kopię piękna, które wypalił w najdrobniejszych szczegółach w myślach. Potem przyjdzie zmęczenie i zadziwienie, że to już koniec, że uniesienie tak szybko minęło. Od tamtej chwili, niczym aktor po odegranej na scenie sztuce, wróci do własnej tożsamości i na powrót stanie się Andrzejem Danielem, o którym niewielu wiedziało, że jest najlepszym fałszerzem Marka Chagalla.

Wpadające do pracowni światło zgasło, jakby słońce przysłoniła na niebie chmura. Magia chwili przysła. Do uszu Daniela dotarła melodia Beatlesów, którą zapętlili i która odtwarzała się po raz enty już trzecią godzinę. Zanucił za Lennonem.

Well you should see Polythene Pam

*She's so good-looking but she looks like a man
Well you should see her in drag dressed in her polythene bag
Yes you should see Polythene Pam.*

– Czas wracać do rzeczywistości, moja Poly Pam – mruknął pod nosem.

Odwrócił się do zawieszzonego na pobliskiej ścianie lusterka. Sekundę później z odbicia zniknęły ciemne włosy Chagalla, zamiast brązowych żydowskich oczu pojawiły się niebieskie tęczęwki, z ciemną plamką-cętką na prawej. Regularne rysy twarzy zamieniły się w sztuczną maskę stworzoną z nadmiernie napuchniętych ust, skrzywionego nosa i nienaturalnie zapadniętego prawego policzka. Przystawał być Chagallem i stawał się Andrzejem Danielem, któremu wypadek sprzed trzech lat zmasakrował pół twarzy. Gdyby się wtedy nie zagapił w idącą chodnikiem kobietę, która skojarzyła mu się z żoną... Nawet nie dostrzegł pędzącej na niego ciężarówki. W jednej sekundzie świat zalała czerwień krwi, a potem studzienna zimna czern. Przez dwa lata wracał do siebie. Kilka operacji plastycznych pozwoliło twarzy przybrać pozory normalnego wyglądu. Na szczęście w tym wszystkim nie ucierpiały dłonie.

Odłożył pędzel i zaczął czyścić paletę. Na dzisiaj koniec.

SAMOCHÓD ZATRZYMAŁ się przed zaniedbaną willą na obrzeżach miasta.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca.

– Wróc po mnie za godzinę.

Gerard Rosnan wysiadł z auta. Pchnął metalową furtkę i przeszedł przez krótki chodnik. Zobaczył na trawniku poczerniały i uschnięty krzak róży, którego najprawdopodobniej nie podlewano od początku wiosny.

Pchnął drzwi wejściowe i wszedł schodami na poddasze, gdzie była pracownia. Ciche skrzywienie otwieranych drzwi przytłumiła piosenka

Beatlesów. Rosnan pozostał w progu z dłonią na klamce, wpatrując się w zamyśloną postać Daniela.

Malarz siedział nieruchomo przed sztalugą, na której stał blejtram obciążony czystym płótnem. Po latach Rosnan zdażył się już przyzwyczać, że Daniel długo przygotowuje się do, jak to sam nazywał, skoku ze szczytu wieży.

Obserwowanie przeistaczania się Daniela w kogoś innego było fascynujące.

Najpierw zbierał wszystkie dostępne informacje o artyście, którego obraz zamierzał skopiować – jak mieszkał, co jadł, jakie miał upodobania, jak się ubierał, jakie lubił kolory, kobiety... Potem ubierał się i odżywał jak ten, którego miał zamiar naśladować. Czasami trwało to kilka tygodni, niekiedy dłużej. I przez cały czas przygotowań słuchał muzyki Beatlesów, co, według Rosnana, było dysonansem. Ale każdy ma jakieś dziwactwa. Najważniejsze były efekty – bo im Daniel osiągał większe skupienie, tym przeistoczenie było pełniejsze. No i wreszcie pewnego dnia dostępował iluminacji, brał pędzel do ręki i w transie zaczynał tworzyć. Zwłaszcza działo się tak, gdy kopiował Chagalla. Bo spośród wszystkich malarzy ten właśnie dla Daniela był bogiem.

Rosnan tego nie rozumiał. Czasem zastanawiał się nawet, czy Chagall w ogóle potrafił malować. Może to wszystko fikcja? Ot, kilku marszandów zmówiło się, żeby wypromować pacykarza i zarobić trochę gotówki. Udało się, publiczność kupiła bajer. Odkryto rzekomego geniusza i zaczęto powtarzać opinię o nowatorstwie, cudownej grze kolorów i ukrytych znaczeniach, choć w rzeczywistości nikt nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Potem ktoś w ramach retorycznych popisów użył słów „kwintesencja sztuki”, a inny, również z chęci wyróżnienia się z tłumu, dopowiedział, że patrząc na Chagalla, jest pewien, że ma do czynienia z „geniuszem kolorów”. I w taki oto sposób obrazy Żyda z Witebska stały się kwintesencją geniuszu, szczytem artyzmu, duchową ucztą i całą masą równie idiotycznych oraz gównianych określeń.

Dla Rosnana, i zapewne większości koneserów sztuki, prawdziwa ocena zaczynała się dopiero w chwili określenia wartości dzieła. Uważał, że aby sztukę można było nazwać wielką, powinna startować z pułapu co najmniej kilkudziesięciu tysięcy dolarów i stale zyskiwać na wartości. Że takie spojrzenie było zbyt przyziemne i pozbawione romantyzmu? Być może. Ale za to jakie praktyczne dla stanu konta bankowego. Może i był parweniuszem, ale kto w głębi duszy nim nie jest? Poza tym jak niewiele osób miał nosa do pieniędzy, a to już wyróżniało go z tłumu przeciętniaków.

Z tego właśnie powodu przed trzema laty zainteresował się wiadomością, którą dostał od Wileckiego. Otóż wśród europejskich marszandów zaczęła rozchodzić się plotka, że gdzieś istnieje nieodkryty jeszcze obraz Marca Chagalla „Wenus z Witebska”.

– Czy to możliwe? – spytał wtedy Daniela.

Początkowo malarz nie potrafił odpowiedzieć na pytanie. Zaczął się zastanawiać. Okres, kiedy młody Chagall spędził w Witebsku, nie był dokładnie zbadany i udokumentowany. Komuniści nigdy nie interesowali się sławnym emigrantem. Według nich powinien wrócić do kraju szczęśliwości społecznej i malować kołchoźnice lub magazyny pełne zboża, a nie włóczyć się po paryskich burdelach i upiększać salony burżujów, którzy na śniadanie, obiad i kolację pili krew robotniczo-chłopską. Dopiero w 1992 roku w Witebsku otworzono dom-muzeum Marca Chagalla i tym samym wkład władzy w poszerzenie świadomości kulturalnej narodu został dokonany i... zakończony.

– Myślę, że to jakaś ściema – odpowiedział Rosnanowi Daniel.

Prawdopodobnie inni doszli do tego samego wniosku i plotka umarła śmiercią naturalną. A jednak na początku 2012 roku Paryż obiegła kolejna sensacyjna informacja. Do Instytutu Chagalla trafiły listy Beli Rosenfeld, która wysłała je do przyjaciółki Mai Levkowitz. W jednym z nich Bela dokładnie opisała, co jest na płótnie, które Marc zatytułował „Wenus z Witebska”.

- To tylko list. - Tym razem Daniel nie był już tak radykalny w sądach. - Może rzeczywiście taki obraz istniał, ale w czasie pierwszej lub drugiej wojny gdzieś przepadł.

- Myślisz, że ktoś przygotowuje rynek, żeby po wywołaniu właściwego zainteresowania sprzedać płótno za duże pieniądze? - spytał Rosnan.

- Możliwe. Jeśli potwierdzi się, że listy są autentyczne.

W 2013 roku odkryto, że listy są fałszywkami. Fala emocji gwałtownie opadła, a główni spadkobiercy malarza przestali liczyć pieniądze, które mogliby zarobić na malowidle.

A jednak Wilecki odezwał się ponownie. Przekazał Rosnanowi adres kancelarii notarialnej w Lyonie, która należała do Abrahama Nusselbauma. Według informacji, które zdobył Wilecki, listy Beli Rosenfeld były prawdziwe. Jednak obrotnemu Nusselbaumowi udało się wzbudzić wątpliwości poprzez przekupienie jednego z ekspertów. Stąd oryginalność korespondencji Beli uznano za „budzącą uzasadnione wątpliwości”. Dzięki temu właściciel obrazu chciał uniknąć dzielenia się ze spadkobiercami zyskiem ze sprzedaży „Wenus”.

Rosnan zlecił Danielowi zajęcie się sprawą. Malarz ustalił, że Meir Abramowicz opiekował się sparaliżowanym Jakowem Abramowiczem. Po śmierci krewniaka w 1984 roku Meir wszystkie dokumenty po zmarłym wrzucił do tekturowego pudła, a te umieścił na poddaszu domu i zapomniał o nich na kolejne osiem lat. Pewnego dnia, szykując się do przeprowadzki, został zmuszony do uporządkowania strychu. Przeglądając papiery po zmarłym, znalazł oryginalny list Beli Rosenfeld.

Taka była wersja tej zawilej historii, którą badał Daniel. W efekcie Gerard Rosnan podjął pertraktacje na temat kupienia Chagalla.

Autentyczność obrazu najpierw potwierdził profesor Antoine de Lagardère. Jednak Rosnan uznał, że Daniela, najlepszego fałszerza Chagalla, nikt nie podejrzewa, a on zna się na rzeczy lepiej od najbardziej poważanych znawców sztuki. Daniel polecił więc do Sztokholmu i wrócił pełen zachwytu nad malowidłem.

Rosnan z własnego doświadczenia wiedział, że zanim wprowadzi się jakiś obraz na rynek, wcześniej trzeba puścić wśród marszandów i na internetowych forach informację o niecodziennym odkryciu dzieła powszechnie podziwianego mistrza. Potem plotka zaczynała żyć własnym życiem. Fascynaci i frustraci nakręcali wzajemnie swe zainteresowanie, wątpliwości, wiarę i przekonania. Nie było ważne, kto w co wierzył, istotne było, że dużo mówiono o płótnie.

Rosnan zamknął drzwi pracowni malarskiej. Daniel obejrzał się, kiedy usłyszał za sobą metaliczny odgłos zamka. Kiwnął głową na powitanie.

Marszand zawsze odnosił wrażenie, że Daniel przewierca go wzrokiem. Może powodem tego była ta ciemna cętką na błękitnej tęczówce prawego oka.

– Jak ci idzie? – przeniósł wzrok na puste płótno obrazu.

Daniel wzruszył tylko ramionami, co mogło znaczyć „Dobrze”, jak również „Tak sobie”.

– Czas nas goni.

– Wiem.

– Przyszedłem też w innej sprawie. Chodzi o „Autoportret z siedmioma palcami”.

– Co z nim nie tak?

– Nie wyszedł ci najlepiej. Minister wskazał kilka uchybień. Mówił coś o zafalszowanych nutach.

– Sam na to wpadł?

– Powiedziała mu o tym twoja córka.

Na Danielu uwaga ta wywarła mniej więcej takie wrażenie, jakby dotyczyła kogoś zupełnie obcego.

– Ostrzegąłem, że pośpiech jest niewskazany, ale chciałeś mieć obraz w kilka dni, a ja nie byłem w pełni gotowy.

– Wiem, ale przy „Wenus” masz wystarczająco dużo czasu, żeby prześcignąć samego siebie. To musi być perfekcyjna robota.

– Pamiętam.

Rosnan usiadł w wiklinowym fotelu przy niewielkim stoliku zarzuconym pędzlami i pustymi tubkami po farbach olejnych.

– Jeszcze nie czujesz tego podniecenia? – Rosnan uderzył uradowany dłonią w oparcie. – Będziesz miał publiczność. W czasie telewizyjnego show wyjdiesz z cienia – mówił z coraz większą pewnością w głosie. – Cała Europa pozna nazwisko najgenialniejszego kopisty Marca Chagalla... – Wydało się, że zwraca się do wielomilionowego audytorium i chce, żeby jego głos dotarł do każdego: – Przed państwem Polak, Andrzej Daniel!

– Nigdy nie występowałem w telewizji, a jeśli chodzi o pochodzenie, to w połowie jestem Ukraińcem.

– Kogo to obchodzi? W czasie programu zadaniem ekspertów będzie stwierdzenie, który obraz jest fałszywy, podróbka czy... – wskazał na „Wenus z Witebska”. – Może, jak w przypadku dzieła stworzonego niegdyś przez Michała Anioła, twoje malowidło okaże się lepsze od oryginału? Czy to nie jest fascynujące? Eksperci nie będą potrafili rozpoznać, co jest oryginałem, a co kopią – zachichotał. – A może... tylko zabawne. W końcu to będzie show.

Daniel spojrział z niepokojem na rozłożone nieopodal pędzle.

– Nie jestem jeszcze gotów – potarł nerwowo czoło.

– Dasz radę. Dostałem potwierdzenie, że program będzie retransmitowała telewizja francuska, niemiecka, no i polska. Staniesz się najślawniejszym kopistą Chagalla w Europie.

Przez cały czas Daniel słuchał Rosnana z obojętnym wyrazem twarzy. Teraz spytał krótko.

– Napijesz się kawy?

Rosnan kiwnął głową.

– Pójdę do kuchni.

Marszand został sam. Przed sztalugą stał wysoki stółek. Blejtram, który obciążnięto płótnem, pochodził z początków XX wieku. Dwa lata

temu Rosnan kupił obraz Kossaka „Szarża pod Kuflewem” z 1905 roku, który pozostał jedynie we wstępnym szkicu i posłużył artyście jako wprawka do obrazu „Bitwa pod Kuflewem”. Malowidło kosztowało osiem tysięcy złotych. Z blejtramu Daniel zdarł stare płótno i obciągnął je oryginalnym kawałkiem lnianego prześcieradła, które pochodziło z 1907 roku i zostało ukradzione z Białostockiego Muzeum Wsi. Tak więc wszystkie badania drewna i płótna mogły potwierdzić, że materiały wykorzystane w obrazie pochodzą z początku XX wieku ze wschodnich terenów Europy.

Rosnan przez dłuższą chwilę przyglądał się wiszącym w pracowni obrazom i dziesiątkom wprawek malarskich. Przypomniał sobie pewne ciepłe majowe popołudnie sprzed lat.

Szedł wówczas przez warszawski Rynek Starego Miasta. Umówił się z dziewczyną, która kilka dni wcześniej wpadła mu w oko. Zamierzał zabrać ją do kawiarni, potem na nocne szaleństwo i wreszcie nad ranem wyładować z nią w jednym łóżku.

Jak zwykle zatrzymał się przy malarzach, którzy na rynku wystawiali swoje obrazy. Podszedł do poety Andrzeja Kosmowskiego, który czasami wskazywał mu nowych artystów, głodnych zarówno sukcesu, jak i zwykłego obiadu, i w których malarstwo czasem warto było inwestować.

Przywitali się uściskiem dłoni.

– Widzisz tego gościa? – Kosmowski wskazał na młodego mężczyznę, który siedział przed zamkniętym wejściem do kamienicy „Pod Murzynkiem”. Obok, na chodniku, stało kilka obrazów, które z tej odległości wyglądały, jakby namalowali je awangardiści.

– Co w nim interesującego?

– Wczoraj przyszedł po raz pierwszy. Według mnie nieźle kopiuje Chagalla, ale dotąd nikt tego nie zauważył.

Tego dnia Rosnan nie poszedł na spotkanie z dziewczyną. Zatrzymał się przed niechętnie spoglądającym na niego artystą i wskazał palcem na portret młodej dziewczyny

– Ile za ten obraz?

Mężczyzna nie bardzo wiedział, jaką powinien podać cenę.

– Pięćset? To znaczy trzysta.

Rosnan zapłacił, wziął malowidło pod pachę i wrócił do domu. Po drodze zatelefonował do niedawno poznanego eksperta, który specjalizował się w malarstwie Chagalla. Umówił się z nim za godzinę w swoim apartamencie na Saskiej Kępie. Nie wątpił, że Janicki rzuci wszystko i przyjdzie, choćby dlatego, żeby sprawdzić, co kryło się pod niewinnym stwierdzeniem Rosnana: „Chciałbym, żeby obejrzał pan mojego Chagalla”.

Janicki również mógł być pewien, że tego wieczora wpadnie mu do kieszeni co najmniej tysiąc złotych.

– To „Młoda dziewczyna na sofie” – stwierdził ekspert od razu, gdy tylko zobaczył obraz. – Niekiedy nazywana też „Mariaską”.

– To wszystko wiem, mnie chodzi, co myślisz o płótnie?

Ekspert z przejęciem oglądał malowidło, obawiając się go dotknąć. Wręcz pożerał go oczami.

– Obraz olejny, namalowany w 1907 roku. – Wreszcie oderwał wzrok od „Dziewczyny” i spojrzał na Rosnana. – Musiał kosztować majątek.

– Jesteś pewien, że to...?

– Czy jestem? – Janicki omal nie zachłysnął się własną śliną. – Przecież to Chagall. Nigdy nie widziałem nic piękniejszego. Mogę dotknąć?

Rosnan pokręcił przecząco głową. Nowy blejtram, który zrobiono ze zwykłych sosnowych deszczulek zdradziłyby, że „Chinka”, jak Rosnan nazywał obraz w myślach, jest tylko genialną podróbką.

Kolejnej niedzieli Rosnan podszedł do artysty i spytał, ile ma płócien Chagalla. Okazało się, że dwadzieścia. Rosnan kupił wszystkie, za każdy płacąc po tysiąc złotych. Od tamtego dnia zaczął inwestować w Daniela. Po kilku miesiącach zostali przyjaciółmi. Rosnan dowiedział się, że przed dwoma laty Danielowi urodziła się córeczka, żona nie pracowała, gdyż mała stale chorowała. Jeszcze tego dnia marszand wysłał do

nowego przyjaciela znanego specjalistę od chorób dziecięcych. Oczywiście ten od malarza nie wziął nawet grosza.

Rosnan umiał zaprzyjaźniać się z ludźmi i przywiązywać ich do siebie niewidzialnymi nićmi wdzięczności i oddania. Wkrótce podpisał kontrakt z Danielem, podsuwając mu zobowiązanie, że od tej pory pracuje wyłącznie dla niego. Norma wynosiła od dwóch do trzech płócien w miesiącu. W zamian miał wypłacać Danielowi piętnaście tysięcy złotych miesięcznie.

Przez następne trzy lata ich współpraca układała się idealnie. Rosnan wysłał Daniela czterokrotnie do Paryża, żeby studiował obrazy Chagalla. Kopista wiele czasu spędził w Musée d'Orsay, w Centrum Georges'a Pompidou oraz w Narodowym Muzeum Sztuki Współczesnej, gdzie znajdowały się cztery obrazy mistrza. Potem Rosnan wysłał go do Moskwy, gdzie w Państwowej Galerii Trietiakowskiej mógł podziwiać trzydzieści jeden malowideł Chagalla.

Investycja się opłaciła. Malarz nie miał zielonego pojęcia, że jego reprodukcje rozchodzą się jak świeże bułeczki po sześć tysięcy dolarów za sztukę.

Czwartego roku Daniel nieoczekiwanie został aresztowany przez policję, która oskarżyła go o fałszerstwo.

ANDRZEJ DANIEL postawił filiżanki na spodeczkach i zalał mokkę wrzątkiem. Potem przeszedł do pracowni, gdzie czekał Rosnan.

- Skończyliśmy na tym, że podobno zostanę sławny? - usiadł na dostawionym drewnianym krześle, a w jego głosie dało się wyczuć lekką kpinę.

- Myślisz, że żartowałem?

- Dlaczego chcesz, żeby ludzie poznali moje nazwisko?

- Ty tego nie chcesz?

- Kiedyś tak, ale teraz... Nie wiem.

- A gdybym powiedział, że zwijam interes? - zaciekawiony Rosnan zerknął na przyjaciela.

„To pomyślałbym”, przemknęło Danielowi przez głowę, „że wciskasz mi ciemnotę”. Na głos zaś odparł:

– No cóż, kiedyś trzeba z tym skończyć.

– Skończyć? – zdziwił się Rosnan. – Powinieneś raczej powiedzieć: odcinać kupony od dotychczasowej pracy.

– W porządku.

– Przyszedłem z jeszcze jedną sprawą. Poproszono mnie, żebym w Berlinie wygłosił odczyt na temat sztuki fałszerzy. Uwagi twojej córki na temat „Autoportretu” nasunęły mi pewien pomysł. Na razie napisałem tylko wstęp. – Wyjął kartkę z bocznej kieszeni marynarki. – Możesz rzucić na to okiem?

– Czytaj. Posłucham.

– Myślałem...

– Sam powiedziałeś, że to ma być odczyt. Warto więc też usłyszeć, jak zabrzmiał.

Rosnan zgodził się z sugestią. Zaczął czytać.

– Czym jest sztuka? Jaki wywiera na nas wpływ i jakie odciska piętno? Co jest w niej ważniejsze: subiektywne spojrzenie jednostki czy obiektywizm tłumu? I czy w ogóle istnieją obiektywne kryteria oceny, co jest sztuką lub nią nie jest? A może mówienie o obiektywizmie w sztuce należy włożyć między bajki. – Rosnan spojrzał pytająco na Daniela. – Na razie tyle.

– Dodałbym uwagę o coraz bardziej dominującej tendencji na wszystkich światowych rynkach sztuki – stwierdził Daniel.

– To znaczy?

– Chodzi o to, że współcześni artyści nie ułatwiają widzom możliwości weryfikacji prawidłowej odpowiedzi na twoje pytania. Dlaczego? Dziś do końca nie wiadomo, kto jest twórcą danego dzieła, a kto je eksploatuje dla własnej korzyści. Innymi słowy, kto jest autorem, kto kopistą, kanibalem, a kto jedzonym.

Rosnan szybko notował słowa Daniela.

– Podoba mi się – kiwnął z uznaniem głową.

Schował notatki. Potem jeszcze rozmawiali o przedłużeniu wynajmu willi i opłatach za jej użytkowanie. Wreszcie Rosnan wyszedł.

Kiedy Daniel został sam, przez jakiś czas siedział nieruchomo, wpatrzony w puste płótno. Jego poprzednia praca, „Autoportret”, była idealna i nikt nie dostrzegłby różnicy między kopią a oryginałem. On jednak celowo zmienił kolor na palecie barw, którą artysta trzymał siedmioma palcami. Zamiast czerwonej kropki wstawił żółtą. Zrobił to na dzień przed otwarciem wystawy, gdy było wiadome, że „Wenus” nie zostanie na czas przywieziona ze Sztokholmu, a na inaugurację wystawy przyjdzie Eliza. Taką informację dostał od Rosnana. Daniel przyzwyczył się, że mimo gestów przyjaźni i serdecznego poklepywania po plecach, stale był sprawdzany. Zarówno w ważnych, jak i nieistotnych sprawach. Stąd też maska pokerowej twarzy na stałe wrosła w jego tkankę.

Zczasami Daniel zastanawiał się, czy jest lepszym aktorem, czy malarzem? A może w jego przypadku jedno nie miało prawa istnieć bez drugiego? Raz pomagało przy malowaniu, gdy wchodził w postać dawnego twórcy, drugim znów razem, gdy oszukiwał Rosnana, że dawna rodzina jest mu kompletnie obojętna.

Czy Eliza zrozumiała, że nutowy fałsz na obrazie jest sygnałem? Czy na koniec poszła tą drogą dalej, żeby odnaleźć jego kolejne podpowiedzi? Czy wziął wszystko pod uwagę, a Eliza odnalazła to, co powinna już odkryć?

Rozległ się trzask. Nieświadomie złamał trzymany w dłoni pędzel.

MONA STANĘŁA w progu pizzerii. Za napisanie oprogramowania do obsługi klientów w internecie dostała połowę umówionej stawki honorarium i przez pół roku, dwa razy w tygodniu, miała pięćdziesiąt procent zniżki na dużą margheritę.

Zerknęła w róg sali. Była spóźniona. A jednak czekał – z szerokim uśmiechem zadowolenia na jej widok. Podobnie jak za pierwszym

razem irokez na czubku wygolonej czaszki wywołał w niej zdumienie – że ktoś jeszcze coś tak niemodnego nosi. Uniosła dłoń w geście pozdrowienia, dość powściągliwym, choć, ku własnemu zdziwieniu, ucieszyła się na jego widok.

Spotkali się przed trzema dniami. W pizzerii było dużo osób i tylko jedno wolne miejsce przy stoliku, który zajmowała Mona. Czekać, aż jej gorąca margherita trochę wystygnie, sprawdzała pocztę w komórce.

– Mogę się przysiąść?

Podniosła wzrok. Zobaczyła wpatrzony w nią duże brązowe i uśmiechnięte oczy, potem ładny nos i delikatnie wykrojone usta, nie za szerokie, takie, jakie powinien mieć mężczyzna. Przystojniak. I wtedy zauważyła irokeza na głowie. Odruchowo uśmiechnęła się. Uznał to za przyzwolenie, odsunął krzesło i usiadł. Była tak zdumiona jego czubem, że nie zareagowała.

– Nie smakuje ci? – wskazał na leżącą przed Moną pizzę.

– Niedawno była za gorąca.

– Jak moja teraz. – Chłopak dotknął koniuszkiem palca brzegu placka. A potem spojrzał na nią z namysłem. – Mam propozycję, ale obiecuję, że się nie obrazisz.

Mona uniosła pytająco brwi.

– Twoja może być już dobra, więc zjemy ją na spółę, każdy po pół. W tym czasie moja przestygnie i podzielimy się capriciosą. I w taki sposób będziemy mieli urozmaicone menu i się nie poparzemy.

Przez chwilę patrzyła w roześmiane oczy chłopaka i czuła, że ogarnia ją rozbawienie. Czemu nie...

– Często tu przychodzisz? – spytał chłopak, gdy przełknął pierwszy kawałek.

– Czasami.

– A ja dwa razy w tygodniu. Dlatego czasami tak sobie myślę, że za dwadzieścia lat łatwiej mnie będzie przeskoczyć niż obejść, ale kocham pizzę. Czy wiesz, że Egipcjanie jedli placek, który można nazwać jej

pierwowzorem – coś w rodzaju okrągłego chlebka, który wypiekano w piecu. Grecy też jedli podobny, dodatkowo polany oliwą i oprószone ziołami. Ale prawdziwe szaleństwo zaczęło się po tym, jak Kolumb przywiózł w XVII wieku z Ameryki pomidory.

– Zawsze tyle mówisz?

Udał, że się zastanawia.

– Jak spotykam ładną dziewczynę... – Uśmiechnął się niepewnie, co tylko dodało mu uroku. – Denerwuję się.

Nie wyglądało to na podryw.

– Musisz częściej ćwiczyć – podpowiedziała. – Wtedy nie będziesz się tak spinał.

– Myślisz, że dużo jest tak ładnych jak ty?

A jednak ją podrywał. Nie bardzo wiedziała, czy jej się to podoba, czy nie. Irokez spojrział nagle na zegarek i na jego twarzy pojawiła się panika.

– Muszę lecieć. Będę tu za tydzień, o tej samej porze. A ty?

– A drugi kawałek pizzy?

– Mam w plecy dziesięć minut.

– Nie umawiam się z nieznajomymi.

– Przyjaciele nazywają mnie Nomad.

– Dlaczego?

Zrobił tajemniczą minę.

– Opowiem następnym razem. Więc?

Co jej szkodzi? Był zabawny. A ona potrzebowała uśmiechu, gdyż ostatnio jej życie było do dupy.

– Zastanowię się, czy mam ochotę wiedzieć coś o Nomadzie – odparła z udanym lekceważeniem.

Wstał i zarzucił na ramię plecak.

– A jak mam o tobie myśleć?

– Monika.

I już go nie było.

Mona podeszła do stolika.

– Fajnie, że jesteś. – Nomad uśmiechnął się jeszcze szerzej i wskazał krzesło, na którym leżała róża.

– Ktoś zostawił? – udała zaskoczoną.

– Pewien chłopak. Czekał na dziewczynę, ale ona nie przyszła. Chyba poszedł zrozpaczony popełnić samobójstwo. Gdybym się z tobą nie umówił, to pobiegłbym za nim, żeby go uratować.

Fakt, spóźniła się, ale to przez sukienki, które przymierała. W końcu zdecydowała się na spodnie. Zamówili pizzę – najpierw Nomad. Kiedy jego wystygła i zaczęli jeść, zamówienie złożyła Mona. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Ku zaskoczeniu Mony, słuchanie Nomada sprawiało jej przyjemność. W życiu nie śmiała się tak często.

– Miałaś mi powiedzieć, skąd to przezwisko – przypomniała, kiedy prawie skończyli jeść pierwszą pizzę.

Skrzywił się zabawnie.

– Chciałem wymyślić coś romantycznego, ale przypomniałem sobie, co mówił mój ojciec: zaczynanie znajomości od bajek nigdy nie kończy się happy endem. Postanowiłem więc wykazać się odwagą cywilną i powiedzieć jak jest, choć to nudne. Stale jestem w drodze, żywię się pizzą i colą, więc niby jak mam się nazywać?

Znów się roześmiała.

– Pan Pizza.

– To by było jeszcze nudniejsze.

– Powiedz jeszcze coś o sobie.

– Jestem mało interesującym facetem.

– Chyba już wiem, kiedy kłamiesz.

– Kiedy?

– Gdy nie patrzysz mi w oczy. Więc?

PRAWDA BYŁA taka, że Nomad do bólu chciał się wydać Monice interesujący. Ale gdy powie jej, że godzinami siedzi przed komputerami,

włamuje się na serwery i pracuje dla szemranych ludzi... nie sądził, by umówiła się z nim kolejny raz. Kłamać też nie chciał. Jedynym wyjściem było pomijanie tego tematu. Podobało mu się, gdy się śmiała, a jednocześnie miał wrażenie, że chyba nieczęsto to robi. Intrygowała go.

Przypomniał sobie fragment ulubionej powieści, którą niedawno przeczytał. Kiedy więc poprosiła, żeby powiedział o sobie coś więcej, udał chwilę namysłu, jakby wybierał ze swego bogatego życiorysu smakowity kąsek. Wreszcie, gdy podano im drugą pizzę, zaczął opowiadać:

- Mój pradziadek, Czech z pochodzenia, w młodych latach był wikarym. Wtedy to „za pięknymi dziewczętami chodził do domu bożego, nie dlatego, by tak wysoce cenił sobie Kościół, ale dlatego, że tam, nieopodal plebanii, znajdował się taki sklepik, a w tym kramiku niejaki Altman sprzedawał używane maszyny do szycia, amerykańskie dwusprężynowe gramofony i gaśnice przeciwpożarowe marki „Minimax”, ten Altman miał zaś jeszcze inne dodatkowe zajęcie, starał się o ślicznotki do gospód i barów w całym powiecie i te panienki często sypiały u tego Altmana w pokoiku na tyłach albo, kiedy nadeszło lato, to kobiety te rozbijały sobie w ogródku namiot i ksiądz dziekan chętnie wybierał się na przechadzkę wzdłuż płotu, a te bestyjki stawiały tam sobie gramofon i śpiewały, i paliły papierosy, i opalały się w kostiumach kąpielowych, no, coś cudownego, wyglądało tam jak w raju, dlatego ksiądz dziekan tak chętnie chodził wzdłuż parkanu na kontrolę, bo miał pecha do wikarych: jeden wikary uciekł mu z jego siostrą cioteczną do Kanady, drugi przeniósł się do czechosłowackiego Kościoła narodowego i ożenił, trzeci, mój... pradziadek, złamał zakaz i przelazł przez ten płot do tych ślicznotek”¹ i jednej z nich zrobił dziecko, które potem okazało się moim dziadkiem, któremu na chrzcie dano Wicek, który chciał iść w ślady swojego ojca, ale przeszkodził mu w tym jego brat bliźniak, Ludwiczek, który wyrzwał na świat minutę po nim...

– WIESZ, KTÓRY JEST DZISIAJ? – głos naczelnika Rawicza był zły. – 23 czerwca, a ja jeszcze nie mam twojego raportu z poprzedniej sprawy. I jak mam to wysłać do prokuratury?

Marzec zaklął w myślach. Zajęty sprawą Rosnana, o wszystkim innym zapomniał na śmierć.

– Jeszcze dziś dostaniesz całość na biurko.

– Czekam.

Połączenie zostało przerwane.

EmEm przez dłuższy czas wpatrywał się w stojący na biurku telefon. Znów wrócił myślami do śmierci Borzyckiego. Właściwie to nie było sensu, żeby dzwonił do świadka. W zeznaniu kobiety nie znalazł niczego, co mogłoby go zainteresować. A jednak od dwóch dni coś nie dawało mu spokoju.

Alina Krasucka, która mieszkała na wprost Waldemara Borzyckiego, była niewidoma. Tamtego dnia, kiedy wyszła z mieszkania, nie miała zielonego pojęcia, że ktoś jeszcze jest na klatce schodowej. Nieświadoma, że przed drzwiami sąsiada właśnie stoi morderca, poszła spokojnie do windy. Kiedy zjeżdżała na dół, sąsiad został wyrzucony przez okno. To wszystko, co można było od niej usłyszeć i co zaświadczyła własnoręcznym podpisem.

Ale coś nie dawało mu spokoju.

Wreszcie na kilka minut przed telefonem naczelnika odkrył to „coś”.

Niejednokrotnie spotkał się z tym, że przesłuchujący gliniarze nie przywiązywali większej wagi do szczegółów, które mogły mieć istotny wpływ na przebieg sprawy. Tak było i tym razem, a błędy, które popełnił funkcjonariusz, i lekceważenie podstawowych zasad przesłuchania świadków były widoczne na pierwszy rzut oka... Może dlatego na skutek dociekliwości Marca niby solidna konstrukcja przesłuchania rozsypała się w niespójne fragmenty.

To prawda, że niewidomi nie potrafią opisać, jak wyglądał morderca. Ponieważ jednak stracili wzrok, mózg kompensował to o niebo lepszym słuchem i węchem. Czy morderca, którego niewidoma minęła na

korytarzu, używał wody kolońskiej? A jeśli tak, to może w owym zapachu kryło się coś charakterystycznego? A dźwięki? Z pewnością oddychał. Normalny człowiek nie zwróciłby uwagi na charakterystykę oddechu, ale niewidomy z wyczulonym słuchem z pewnością coś by usłyszał. Przecież tamten mógł na przykład wciągać w płuca powietrze ze świszczącym przydechem. To mogło świadczyć o chorobie oskrzeli lub płuc. Było jeszcze wiele innych możliwości i rozwiązań, które przesłuchujący kompletnie zlekceważył.

Zanim zabrał się za robotę zleconą przez naczelnika, sięgnął po telefon i wykręcił numer, który znalazł w aktach. Kiedy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, przedstawił się i poinformował, w jakiej sprawie dzwoni.

– Ale ja już powiedziałam wszystko, co wiem.

Wydało mu się, że w głosie kobiety usłyszał nutę paniki.

– Mimo to chciałbym się z panią spotkać – spojrzał na kalendarz. – Może pojutrze?

– Po co?

– Mam obowiązek coś sprawdzić – skłamał. – Jeśli zatem nie będzie pani miała nic przeciw temu, to wpadnę...

– Właśnie przyjechałam do córki, do Wrocławia. Zostanę tu kilkanaście dni. Możemy się spotkać dopiero w przyszły piątek.

– Zgoda. Powiedzmy o dwunastej?

Krasucka zgodziła się. Marzec odłożył słuchawkę, zapisał termin spotkania w notatniku. Rozgryzł dwie słodkie drażetki, a potem wykręcił numer do prosektorium. Przywitał się z patologiem, który zmęczonym tonem zaczął wyjaśniać, co znalazł w trakcie sekcji zwłok Zygmunta Janickiego. Słuchając raportu, Marzec kręcił ołówkiem śmigło na blacie biurka.

Patolog, prócz nakłucia w okolicach lewej strony szyi, niczego więcej nie znalazł. Iniekcję trucizny musiano zrobić z zaskoczenia, a preparat zadziałał dosyć szybko. Nim jednak się to stało, morderca zatkał ofierze dłonią usta i mocniej przytrzymał, by się nie wyswobodziła. Świadczyły

o tym otarcia naskórka w okolicach ust. Innych oznak przemocy zimny chirurg nie znalazł na ciele ofiary.

Ślady przy ustach jednoznacznie mówiły o prawej dłoni w skórzanej rękawiczce, badanie mikroskopowe wejścia igły w mięśnie szyi wskazuje zaś, że zrobiła to osoba leworęczna.

– Dotychczasowe testy wykazują, że denatowi wstrzyknięto kobrotoksynę, która poraziła układ nerwowy. Trucizna pochodzi z grupy egzotoksyn, które są produktem bakterii Gram-dodatnich. Wciążu sześciu tygodni od wytworzenia tracą swoją zjadliwość, ale zachowują aktywność antygenową, dlatego są wykorzystywane przy produkcji szczepionek. Najwyraźniej ktoś miał dostęp do bakterii, które dopiero się namnażały, i to w czasie ich największej aktywności toksycznej.

Marzec nie słuchał dalszych szczegółów, z których miał się dowiedzieć, w jaki sposób, z medycznego punktu widzenia, doszło do paraliżu mięśnia sercowego, a w efekcie śmiertelnego zejścia. Ta wiedza akurat do niczego nie była mu przydatna.

Znów spojrzął na kalendarz. 23 czerwca. Dochodziła godzina czternasta. Przed wielu laty, tego właśnie dnia i o tej godzinie, na Nowym Świecie spotkał pewną dziewczynę. Puścił wtedy do niej oko. W niego strzelił piorun, ale ona przeszła obojętnie dalej obok jego kawiarnianego stolika. Następne pół roku poświęcił na zdobycie serca Olgi Korczyńskiej. Wytrwałość się opłaciła. Pod koniec czwartego roku Ola zgodziła się, żeby odprowadzał ją do domu. W czasie jednego z wieczornych spacerów powiedziała, że zapamiętała pewnego chłopaka, który siedział przy kawiarnianym stoliku i gdy przechodziła Nowym Światem puścił do niej oko. Potem spojrzała na Mariusza pytająco.

– Myślisz, że warto było, żebyś dla mnie zawałił rok?

Rozdział jedenasty

Tego dnia w ministerstwie kultury Eliza załatwiła ostatnie formalności związane z zatrudnieniem. Dowiedziała się, że wydzielono jej cztery pokoje w budynku Departamentu Ochrony Zabytków, dawnej Akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przy ul. Ksawerów. Czyli spory kawał od Śródmieścia.

Po półgodzinnej jeździe Biedronką i kilkunastu minutach poszukiwań wreszcie trafiła na miejsce. Budynek dawnej akademii MSW znajdował się w głębi starego parku. Do czterech pokoi zaprowadził ją administrator.

– Kiedyś w tej części mieścił się zbiór specjalny – poinformował mężczyzna, który szybkim krokiem szedł przodem i nie zważał na to, że Eliza za nim nie nadąży.

– Co to znaczy „zbiór specjalny”?

– Były to tłumaczenia lub opracowania wykładowców opatrzone klauzulą tajności, które wypożyczano studentom kierowanym do pracy na przykład w kontrwywiadzie cywilnym. – Obejrzał się, czy dziewczyna łąpie, o czym mówi. – Znaczący się MSW.

Pomieszczenia były ciemne z powodu przysłaniającej okna zieleni, a solidne okratowanie uniemożliwiało ich szerokie otwarcie. Prócz zamków każde drzwi dodatkowo blokowała krata na potężną kłódkę. Na podłogach pokoi leżały sterty książek. Część znajdowała się już w plastikowych kontenerach.

– Dopiero teraz likwidujecie zbiór? – Eliza była nieco zdziwiona.

– Jak coś jest oznaczone gryfem tajności, to nikt nie chce sobie zawracać tym głowy. A że komuna padła, Akademię Spraw Wewnętrznych rozwiązano, to i przez lata nie pamiętano o zbiorze,

który się tu znajdował. Co będę tłumaczył, w końcu to takie nasze typowo polskie...

– Były tu akta agentów? – spytała zaciekawiona.

– Raczej podręczniki, jak nimi zostać i wspomnienia szpiegów, które pisano specjalnie dla ludzi, którzy chcieli zostać takim kapitanem Klossem. Ale te akurat wywieziono do zmielenia w papierni w Konstancinie-Jeziorna zaraz po wyborach, gdy premierem został Mazowiecki. Zostały tylko śmieci z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych i trochę z osiemdziesiątych. Dotyczą ówczesnych muzeów i czegoś tam jeszcze o sztuce.

– Co z nimi zrobicie?

– Na ciężarówkę i, jak reszta, do Jeziornej. Tylko do tego to się już dziś nadaje.

– Mogłabym je przejrzeć? – wskazała na sporą stertę książek.

– Jutro to musi trafić do zmielarki. Mam już umówiony termin.

– Dam radę do końca dnia.

Trzy godziny później miała przygotowaną ciężką paczkę książek do ocalenia, z których każdą wydrukowano tylko w paru numerowanych egzemplarzach. W części z nich były jeszcze wyklejki, na których skrupulatnie notowano, komu i na ile godzin wydano w czytelni książkę do przejrzania na miejscu.

To był pierwszy bonus jej pracy. Część śmieci okazała się wartościowymi pozycjami, których daremnie można było szukać na rynku wydawniczym. Kolejnym plusem była dobra lokalizacja. Nie będzie musiała przedzierać się przez całe miasto, żeby dojechać do biura.

Na urządzenie biura Rada Europy przyznała, podobnie jak w innych krajach, limit dwudziestu tysięcy euro. W przeliczeniu na złotówki dawało to sporą sumę. Postanowiła zainwestować w sprzęt z najwyższej półki, który nie tylko jej, ale i następcom posłuży przez wiele lat. Kiedy o tym wspomniała w biurze finansów, ktoś życzliwy odpowiedział,

żeby za bardzo nie przejmowała się stanowiskiem, o którym niewiele wie, nieliczni zaś, którzy wiedzą, i tak mają to gdzieś.

Wczorajszego popołudnia nawiązała już kontakt z wydziałem kryminalnym komendy stołecznej. Nikt nie słyszał o żadnym Obserwatorze Łącznikowym. Gdyby nie powiedziała, że jest znajomą Mariusza Marca, zostałaaby splewiona.

Okazało się, że nadkomisarz kierował zespołem zajmującym się kradzieżami dóbr kultury. W większych miastach Polski przy wydziałach kryminalnych istniały podobne sekcje, z którymi Marzec ściśle współpracował. W końcu dzisiejszy złodziej z Warszawy za jakiś czas mógł być klientem kolegów z Wrocławia czy Krakowa. Tak więc dzięki dobrym kontaktom i przyjaźniom powstał nieformalny zespół kilkudziesięciu osób, którzy wspierali się w prowadzeniu dochodzeń przeciw złodziejom, fałszerzom, oszustom i innym osobom związanym z czarnym rynkiem dzieł sztuki.

Przy okazji bytności w komendzie stołecznej Eliza poznała panią Irenę, sympatyczną sekretarkę tamtejszego wydziału kryminalnego, z którą połączyła ją nić sympatii.

Po wyjściu z ministerstwa poszła na umówione spotkanie z Moną. Zajęła stolik w kawiarnianym ogródku. Rozglądając się po sali, dostrzegła przyglądającego się jej chłopaka. Była pewna, że to przypadek. Kiedy jednak ich spojrzenia się skrzyżowały, dwudziestolatek uśmiechnął się zapraszająco. Eliza uciekła oczami w bok, jakby tego nie zauważyła. Może powinna zacząć się definiować w sposób, w jaki widzą ją mężczyźni? Tylko nie bardzo była pewna, jak jest definiowana. Z pewnością implikował to paradygmat zainteresowania chłopaka. Tylko czy odnosił się do jej osoby jako do zbioru o nazwie „kobiety”, czy też nadrzędnego, „popęd seksualny”.

Kiedy zjawiała się Mona, przywołała kelnerkę i zamówiła dwie szarlotki.

- Czasami trzeba zaszaleć – stwierdziła z miną Sfinksa.
- Co to za okazja?

– Zaraz powiem.

I wtedy z chodnika doleciał nieprzyjemny kobiecy głos:

– Zrobię wszystko, żeby dziecko zapomniało, że miało ojca.

Potem rozległ się trzask drzwiczek samochodu i wściekły tupot obcasów kobiety idącej po chodniku.

Eliza niemal stężała z przerażenia – jak niegdyś... Ile miała lat? Sześć? Bała się. Przez uchylone drzwi widziała wykrzywioną w złości twarz matki. Słyszała jej wysoki, piskliwy od złych uczuć głos: „Jeśli nas zostawisz, zrobię wszystko, żeby mała o tobie zapomniała”. Widziała, jak stojący do niej tyłem ojciec zacisnął dłonie w pięści. „Nie odbierzesz mi Eli”, powiedział zduszonym głosem. „Przekonamy się?”. Matka niemal krzyczała. Ojciec wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Eliza pobiegła na górę i stanęła w oknie pokoiku. Ale tata się nie odwrócił. Natomiast czekający na niego przed domem obcy mężczyzna podniósł głowę i dostrzegł ją w oknie poddasza.

Chwilę potem obaj odjechali samochodem. Jej świat rozpadał się na kawałki. Nie wie, jak długo stała i patrzyła na pustą ulicę. Dopiero dochodzący z dołu płacz matki wyrwał ją z bezruchu.

– Zawiesiłaś się? – Mona spojrzała pytająco na Elizę.

– Już się restartuję – odparła i próbowała się uśmiechnąć. Z trudem wróciła do rzeczywistości.

– Mówiłaś o jakiejś okazji – przypomniała Mona.

Kiedy Eliza jeszcze pracowała w TVP, kilka razy rozmawiała z producentami o stworzeniu cyklicznego programu, który w przystępnej formie przedstawiłby widzom problemy ochrony dóbr kultury. Program mógł być interesujący i przyciągnąć przed ekran sporo widzów. W końcu każda historia kradzieży to kryminał, który sam w sobie jest samograjem. Jednak wtedy skończyło się tylko na gadaniu, potakiwaniu i cmokaniu, jaki to fajny pomysł. Mimo szumnych zapowiedzi o pełnionej misji i co raz to powtarzanych deklaracjach o edukacyjnej roli telewizji, wszyscy mieli gdzieś ochronę narodowego dziedzictwa.

Podobnie zresztą jak ich poprzednicy z prawicowego rozdania, którzy też zasłaniali się dziejową misją i podcierali tyłek Bogiem.

– Jesteśmy fasadowo dumni z naszej kultury, ale kiedy przychodzi dać pieniądze na remont kościoła w Zielonej Górze, każdy ma gdzieś, co stanie się z zabytkową budowlą, którą przodkowie postawili na chwałę jednego z największych zwycięstw polskiego oręża – tłumaczyła Mona.

– W ministerstwie jest niewykorzystany fundusz celowy na wsparcie działań kulturalnych, związanych z ochroną i utrwalaniem dziedzictwa narodowego.

– Utrwalanie, dziedzictwo... – westchnęła głośno Mona. – Brzmi to strasznie górnołotnie. Kiedyś byli nawet tacy, którzy utrwalali władzę ludową.

– Nie żartuj, istotne jest to, że można zagospodarować sto czterdzieści tysięcy.

– Niech przekażą je księdzu w Zielonej Górze.

– Mówiłam, że to fundusz celowy. Nie wykorzystasz w sposób, który określają założenia finansowe, to na koniec roku forsa wróci do budżetu. Pomyślałam, że za tę kasę można zrobić cykl filmów dokumentalnych o największych kradzieżach dzieł sztuki w naszym kraju w ostatnich pięćdziesięciu latach. Otoczka kryminalna będzie szeleszczącym papierkiem cukierka, który przyciągnie ludzi przed ekrany.

Mona cicho się zaśmiała.

– Wiesz, co o tobie pomyślałam, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam?

– Co?

– Że wyglądasz niczym fantastka, której tylko nogi potrafią trzeźwo stąpać po ziemi.

– Nieprawda.

– Tak właśnie pomyślałam. A jeśli chodzi o pomysł, to mnie się on podoba.

Eliza sięgnęła do torebki i wyjęła kilka zadrukowanych kartek.

– Dziś w nocy napisałam treatment serii.

– Treatment?

– Streszczenie. Na pierwszy ogień chciałabym wziąć kradzież „Madonny z dzieciątkiem” Lucasa Cranacha.

– Mielіśmy taki?

– Owszem. Obraz zniknął z kościoła w Sulmierzycach w 1995 roku. Ale nie o to chodzi. Myślę, że pewien aspekt sprawy powinien cię zainteresować. Osobiście.

Mona wyprostowała się na siedzeniu, dając znać, że zamienia się w słuch. Eliza zaczęła czytać z kartki.

„W nocy z 18 na 19 października 1995 roku nieznani sprawcy przecięli kraty i włamali się do kościoła przez okno witrażowe. Skradzione płótno było dziełem Lucasa Cranacha i zaliczano je do najcenniejszych obrazów malarstwa obcego w polskich zbiorach. Po kilku latach umorzono śledztwo z powodu niewykrycia sprawców. Sprawą ponownie zajęła się policja, gdy pod koniec 1995 roku wśród paryskich marszandów zaczęły krążyć pogłoski, że „Madonnę z dzieciątkiem” ktoś chce sprzedać. Z fragmentarycznych opisów zdołano ustalić, że płótno oferował około trzydziestoletni mężczyzna. Dawał też do zrozumienia, że może dostarczyć ikonę Matki Boskiej Królowej Bieszczadów. Handlarz znał język angielski i francuski, lecz z pewnością żaden z nich nie był jego językiem ojczystym”. – Eliza uniosła wzrok. – Teraz uważaj. Ktoś wspomniał, że nosił na palcu złoty sygnet z czarną głową gryfa. – Odłożyła kartki na bok i powiedziała dobitnie, patrząc w oczy Mony: – Taki sygnet widziałam na palcu Rosnana. Myślisz, że to zbieg okoliczności?

– Wygłupiasz się?

Pokręciła głową. Nadeszła kelnerka i postawiła przed nimi talerzyki z ciastkiem. Mona w zastanowieniu dziobnęła łyżką szarlotkę.

– Sygnet może być dowodem, którego śledczym zabrakło – stwierdziła Eliza. – Albo go zlekceważyli.

– A nie mówiłam, że masz coś z idealistki? – Mona uśmiechnęła się szeroko – Takich sygnetów może być wiele.

– Mówiłaś o fantastce – poprawiła Eliza, ale Mona jakby jej nie słyszała, zapatrzona gdzieś w znaną tylko sobie perspektywę.

– Ci dranie zawsze mnie przerażali – powiedziała, wciąż zapatrzona w głąb siebie. – Tacy ludzie jak my wobec nich są bezsilni. Mamy od nich mniej układów, kontaktów, pieniędzy i nie ma w nas choćby krzty bezwzględności. Kiedyś przez chwilę myślałam, że odegram się na nich, gdy będę taka jak oni. Ale tylko zabagnałam sobie życiorys.

Eliza uderzyła łyżeczką w brzeg filiżanki.

– A co byś powiedziała, gdybym sprawiła, że nikt nie będzie się ciebie czepiał za AFK?

– Ty nadal o asystentce?

– Daję ci szansę na uczciwą robotę. Powiesz, że to wyduszką, która nikogo nie obchodzi. Pieprzyć to. Ciebie zaś może zainteresuje fakt, że dostaniesz kasę na wyposażenie techniczne biura. No wiesz... Komputery, faksy i oprogramowanie. W pakiecie, jak wspomniałam, jest też AFK.

W oczach Mony zapaliły się dziwne ogniki. Z jej twarzy zniknęło zamyslenie, a w kącikach ust zaigrał zły uśmiech.

– Będę mogła zaszać...?

Choć pozornie mówiła o komputerach, jej myśli zdawały się krążyć wokół czegoś zupełnie innego.

– Na full.

Mona spojrzała w niebo, jakby szukała znaku, jakiej powinna udzielić odpowiedzi. Wreszcie sapnęła zdecydowanie.

– W takim razie jestem twoja... – Mrok zniknął z jej oczu.

– Jest tylko jedno ale... – Eliza spojrzała na wyciągniętą w jej stronę dłoń Mony.

– Tak?

- Od tej pory tworzymy tandem. Pracujemy razem, planujemy razem, zwyciężamy razem...

- Ale sikamy osobno - upewniła się Mona.

Moment później obie roześmiały się głośno.

- Ja też nienawidzę porażek. - Mona szybko zmieniła temat. W jej oczach pojawił się jakby błysk doznanej iluminacji. - Właśnie znalazłam dla nas ksywkę: MonaLiza.

- Super. - Eliza kiwnęła z uznaniem głową. - Jutro, kilka minut po dwunastej, mam spotkanie z dziennikarzami, którzy są zainteresowani tajemniczą osobą Obserwatora Łącznikowego. Przyjedź do ministerstwa na Krakowskie na dziewiątą rano. Potem zaprowadzę cię do kadr, żebyś nie musiała błądzić.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Nad czym tak myślisz? - Eliza odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Że warto bliżej przyjrzeć się facetowi z sygnetem.

Kilka minut później Eliza wyszła z kawiarni, ale Mona jeszcze została. Dopijając kawę, przypomniła sobie scenę, która rozegrała się na chodniku przed kawiarnią. Zwłaszcza poruszył ją głos kobiety: „Zrobię wszystko, żeby dziecko zapomniało, że miało ojca”.

Mona miała wtedy dwanaście lat. Stała z bijącym sercem przed zamkniętymi drzwiami i wystraszona słuchała, jak matka wykrzykuje podobne słowa. Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Jakiś mężczyzna wyszedł z pokoju matki. Nawet nie zwrócił na nią uwagi. Po chwili usłyszała szloch. Przestraszyła się, że mama znowu sięgnie po strzykawkę, wbiegła do sypialni, ale było już za późno. Całą zimną noc przesiedziała na łóżku obok nieprzytomnej matki. Nieoczekiwanie na jej kolana wskoczył kot. Skąd się wziął? Dostał się przez wybitą szybę w kuchni? Futrzak wtulił się w Monę, jakby chciał ją ogrzać, a może sam szukał ciepła? Po raz pierwszy znalazła wtedy kogoś, kto jej potrzebował.

NOMAD BAŁ się Bratta Henryka. Już przy pierwszym spotkaniu Amerykanin wzbudził w nim niepokój, chociaż jeszcze niewiele o nim słyszał. Dwa miesiące temu lęk przerodził się w strach, który ostatnio tylko się nasilił. A to przez hakera, który włamał się do Zachęty.

Zgodnie z ustaleniami z dyrekcją muzeum, na czas wystawy razem z Mateo przejęli dozór ochrony elektronicznej nad salami pierwszego piętra.

Gdy Nomad zarejestrował włamanie hakera na serwer administratora sieci Zachęty, początkowo sądził, że to ktoś z centrum ochrony, kto nie był świadom wcześniejszych ustaleń. Mimo to, z czystej przezorności, zanotował charakterystykę sygnału, ale nie podjął dalszych działań sprawdzających.

Teraz, gdy zbudował z Mateo strony giełdy, ktoś włamał się na ich serwer. Nomad, jako nadzorujący ten wycinek pracy, od razu wyłapał sygnał z szyfrowanego tła. Zaniepokoił się, gdy się okazało, że miał on identyczną charakterystykę co ten z Zachęty. Powinien jak najszybciej powiadomić o tym Bratta Henryka. Tylko co wtedy? Gdy Nomad złapał sygnał hakera w Zachęcie, Mateo akurat wymknął się na zakupy. Wtedy uznał, że nie warto nikomu o włamaniu mówić. Kiedy teraz o tym wspomni, Mateo powie o swojej nieobecności – to mniejsze przewinienie niż zatajenie incydentu. Amerykanin będzie mógł Nomadowi zarzucić nielojalność lub wręcz zdradę. Zatem strach przed konsekwencjami jeszcze mocniej zamknął mu usta.

Podczas drugiego włamania Nomad próbował namierzyć intruza, ale kontakt z aktywnym w sieci hakerem okazał się zbyt krótki. Co prawda po takim ataku w sieci pozostaje echo, ale jego kręgi rozchodzą się przez określony czas, a on, odciągnięty do innej pracy pilnym zleceniem Mateo, nie zareagował dostatecznie szybko. Stracił więc trop i znowu nikomu nie powiedział, że wczorajszego wieczora mieli nieproszoną wizytę obcego.

– Mówiłeś o giełdzie – głos Bratta wyrwał Nomada z zamyślenia. Wzdrygnął się, serce przyspieszyło bieg, ale na szczęście Amerykanin

patrzył na drugiego programistę.

– Uruchomiliśmy już oprogramowanie – mówił Mateo pewnym głosem. – Siedzieliśmy nad nim dwa dni i w końcu działa bez zarzutu. Osoby, które przystąpią do licytacji, mogą na bieżąco śledzić kolejne stawki podbijające cenę „Wenus z Witebska”. – Obrócił laptopa do Bratta, by ten mógł spojrzeć na ekran. – Giełdę zaszyliśmy w oprogramowaniu... to znaczy ukryliśmy na jednej z podstron serwisu, który prezentuje plótka z wystawy.

Na ekranie pojawiły się fotki malowideł.

– Wystarczy kliknąć na jedną z fotografii obrazu. Wtedy pojawią się pola do wpisania nazwy użytkownika i hasła. Pięćdziesiąt takich haseł zostało wygenerowanych i wysłanych zaszyfrowanymi wiadomościami na podane przez pana adresy mailowe. Po wpisaniu loginu i hasła wchodzimy na stronę giełdy, gdzie można wziąć udział w licytacji „Wenus”. W zakładce strony można zapoznać się z ekspertyzami autentyczności fachowców z paryskiego Instytutu Marca Chagalla.

Henry słuchał w milczeniu. Zgodnie z planem, dwudziestego czwartego grudnia licytacja zostanie zamknięta. Ten, kto zaoferował najwyższą cenę, będzie miał czas do północy dnia następnego, żeby przelać stosowną sumę na wskazane konto.

Amerikanin był zadowolony z pracy programistów. Choć się nie uśmiechał, to z jego twarzy zniknął wyraz okrucieństwa. Nomad zaś obiecał sobie w duchu, że musi jak najszybciej odnaleźć hakera, który próbował zajrzeć im przez ramię. Szybkość działania była kluczowa, bo konsekwencje mogą okazać się nie do przyjęcia.

Dwa miesiące temu niezbyt przyłożył się do wyznaczonego zlecenia. Kiedy Amerikanin do nich przyszedł, jego twarz była jeszcze bardziej ponura i grożąca nieoczekiwanym niż zwykle. Spojrzał wówczas na Nomada zimnymi oczyma i powiedział lodowatym głosem:

– Przed rokiem pan Rosnan wydobył cię z gówna, więc byłoby mu przykro, gdybyś na powrót w nie trafił.

Kurwa, kurwa, kurwa... Nomad starał się wtedy nie okazać przerażenia, które skręciło mu kiszki. Ale poczuł na skroni kropelki potu. Na to, cholera, nie miał wpływu. Amerykanin to zauważył i jego wargi wygięły się w okrutnym półuśmiešku.

Półtora roku wcześniej Nomad trafił do więzienia za włamanie na serwer Total Play Video. Choć niczego mu nie udowodniono, to poszlaki były tak mocne, że sąd dał wiarę prokuraturze. Ponieważ sześć miesięcy wcześniej podobna sprawa zakończyła się skazaniem go z zawieszeniem wykonania kary na dwa lata, tym razem dostał sześć miesięcy bezwzględnej odsiadki.

W Białoleścu, na miesiąc przed wyjściem na wolność, wziął go na widelec więzień o ksywie Kwadratowy Łeb. Jego twarz rzeczywiście wydawała się być pozbawiona zaokrągleń i z pewnością nigdy nie skalał jej proces myślenia. Pewnego dnia, na stołówce, wskazując na niego, osilek zdecydował głośno, że ten ładny chłopiec zostanie jego dziwką. Przez cztery tygodnie Kwadratowy Łeb polował na Nomada z zawziętym uporem. Aż przysłała ostatnia noc przed opuszczeniem zakładu karnego. Ponieważ część cel była odnawiana, przeniesiono go do przejściówki.

Pomimo rozmów z wychowawcami i skarg, które pisał do naczelnika, że grozi mu realne niebezpieczeństwo, zamknięto go... z Kwadratowym Łebem. Kiedy szczęknęły zamki w drzwiach, Nomad zrozumiał, że tę noc spędzą ze sobą sam na sam na dziesięciu metrach kwadratowych. Pojął też ironiczny uśmiech strażnika, który prowadził go na nocną kimę. Był pewien, że choćby nie wiadomo jak głośno walił w drzwi, nikt nie przyjdzie mu z pomocą.

– MOGĘ PANA zapewnić, że wkrótce nadrobię zaległości.

Henry patrzył wówczas zimno na tłumaczącego się Nomada. Jego ludzie zawsze dostawali od niego jasne i czytelne przekazy: „Jestem z ciebie zadowolony” lub też „Uważaj, bo moja cierpliwość się kończy”. Po chwili uporczywego patrzenia w oczy chłopaka, dostrzegł na jego czole

formujące się krople potu. Wreszcie Nomad zaczął się go bać, i tak właśnie powinno być.

Przed rokiem dowiedział się o hakerze, który trafił do białoleckiego więzienia. Mateo uznał go za jednego z najlepszych, a Rosnanowi właśnie był niezbędny jeszcze jeden programista. Bratt przekazał więc swoim ludziom, którzy winni byli Rosnanowi przysługę, żeby Kwadratowy Łeb zainteresował się chłopakiem, nastraszył go, ale nie konsumował związku. Przez cztery tygodnie, zgodnie z poleceniem, osaczał przerażoną ofiarę. Aż wreszcie ostatniej nocy, przed wyjściem Nomada na wolność, zamknięto ich w jednej celi. Podobno chłopak trzymał w ręku plastikowy nóż i groził, że podetnie sobie żyły, jeśli tylko oprych zrobi krok w jego stronę. Wtedy Kwadratowy Łeb zwałił się na swoją pryczę.

– Masz szczęście, że pan Rosnan się tobą zainteresował – wyjaśnił.

Całą noc Nomad przesiedział w kącie celi, bojąc się zmrzyć oczy.

Następnego dnia przed zakładem karnym na Nomada czekał samochód. Za kierownicą siedział Henry, który zawiózł go na rozmowę z Rosnanem, a ten zaproponował współpracę.

MINISTER DERSKI patrzył na ekran monitora, który umożliwiał mu podgląd sali konferencyjnej, gdzie zebrała się spora grupa dziennikarzy. Przed wysłannikami redakcji stał rzecznik prasowy.

Przez krótki czas Derski zastanawiał się, czy nie dołączyć do spotkania Elizy. Jednak doszedł do wniosku, że w sumie nie ma większego sensu promowanie panny nikt.

– Na początek – zaczął konferencję rzecznik – chciałbym rozdać wszystkim artykuł Burтона Bollaga, w którym opisany jest problem przestępczości przeciwko dobrom kultury w krajach dawnego bloku wschodniego. Według opinii ekspertów, po wyzwoleniu z sowieckiej dominacji dawne demoludy są kompletnie nieprzygotowane do ochrony swoich dóbr kultury. Najgroźniejsza jest mafia, która bez skrupułów penetruje wschodni rynek i co lepsze precjoza wywozi na Zachód.

Oczywiście w szeregach grup przestępczych jest sporo funkcjonariuszy dawnych służb specjalnych, w Rosji to ludzie z KGB, w Niemczech agenci enerdowskiej Stasi. U nas w kraju spora część przestępców, która zdominowała rynek nielegalnego handlu dziełami sztuki, także wywodzi się z komunistycznej służby bezpieczeństwa.

Jedna z dziennikarek podniosła dłoń do góry. Rzecznik skinął głową w jej stronę.

– Janina Granas-Olewińska – przedstawiła się. – Etienne Clement, specjalista od nielegalnego handlu dziełami sztuki z UNESCO, niedawno użył stwierdzenia, że obecnie można mówić o prawdziwym krwotoku własności kulturowej państw dawnego bloku wschodniego.

Rzecznik kiwnął głową.

– Oficjalne dane wskazują, że na terenie dawnych demoludów co roku giną dobra kultury wartości kilkudziesięciu milionów dolarów. W Rosji, tylko w jednym 2008 roku, tamtejsza milicja odnotowała kradzież przedmiotów muzealnych o wartości osiemdziesięciu milionów dolarów. Od tego czasu dane nie są udostępniane opinii publicznej.

– Problemem jest tylko mafia? – głos zabrał playboyowaty dziennikarz.

– Niezupełnie. W Polsce największą bolączką jest brak odpowiednich katalogów, które mówiłyby, co mamy i gdzie owo coś się znajduje. Dotąd wiele skarbów kościoły ukrywały przed państwem, a państwo odzwajemniało się lekceważeniem zbiorów kościelnych. A w nich znajduje się ponad sześćdziesiąt procent skarbów kultury narodowej. No i jeszcze jeden problem – zubożałe instytucje państwowe, które często nie mają środków na to, aby zaalarmować świat sztuki o dokonanej kradzieży. Tu nie chodzi o policję, ale np. przekazanie do wszystkich światowych domów aukcyjnych informacji o ukradzionym dziele, czy też umieszczenie zdjęć z opisami w almanachach specjalistycznych, które publikowane są na całym świecie.

Pleybojowaty dziennikarz chciał zadać pytanie i podniósł do góry rękę z książką.

- Wiem, o co chcesz spytać - stwierdził rzecznik. - Tak, w Polsce istnieje grono fałszerzy sztuki, którzy zdobyli światową markę. Wiemy, że są, malują i nic poza tym. Gdyby policja wiedziała o nich więcej, to nie sprzedawaliby już swoich podróbek. Jeśli zaś chodzi o książkę, na którą chcesz się powołać, to, jak wiem od autora, wszystko, co zostało zawarte na jej stronach, to prawdziwe dokumenty, które umiejętnie zostały przemieszane z fikcją. Na przykład największy polski fałszerz, Krystian Arno, nigdy nie istniał.

- Skąd ta pewność? - dziennikarz nie zamierzał rezygnować z ciągnięcia dalej wątku.

- Bo to ja przed rokiem pod pseudonimem napisałem tę książkę, żeby zainteresować ludzi problemem okradania nas z kulturowej przeszłości.

Rozległ się cichy śmiech ze „znokautowanego”. On jednak nie dawał za wygraną.

- Wspomniałeś o KGB i dawnych esbekach. Może sypniesz jakimiś nazwiskami?

- Po raz pierwszy z istnienia mafii zdano sobie sprawę w roku 1998. Wówczas to milicja w St. Petersburgu aresztowała złodziei osiemdziesięciu dziewięciu rzadkich manuskryptów z Rosyjskiej Biblioteki Narodowej. Władze biblioteki oszacowały ich wartość rynkową na ponad sto milionów dolarów. Rosyjscy funkcjonariusze znaleźli manuskrypty w prywatnym mieszkaniu w Moskwie u słynnego adwokata Dymitra Jakubowskiego. Jakiś czas później wyszło na jaw, że prawnik był powiązany z wysoko postawionymi osobistościami polityki i oficerami wywiadu. Dziś, szesnaście lat później, wiemy, że za wszystkim stał wówczas były pułkownik KGB, Dmitrij Leonowicz Mietielin.

Głos zabrała kolejna dziennikarka.

- Katarzyna Piotrowska. Dotąd nie doczekaliśmy się jasnych uregulowań prawnych, które likwidowałyby patologie, oszustwa czy też fikcyjne aukcje. Nasi politycy mówią o patriotyzmie i wciskają nam romantyczny kit o potrzebie ugruntowania w nas poczucia dumy z bycia Polakiem. A jednocześnie ci sami ludzie mają gdzieś, że na rynku sztuki handluje się przedmiotami istotnymi dla dziedzictwa narodowego, które oficjalnie wywożone są z kraju. Kiedy to wreszcie się zmieni?

- Przyznaję szczerze, że nie wiem i myślę, że nie jestem jedyną osobą ze sfer rządowych, która mogłaby tak powiedzieć.

- Wróćmy do naszych mafiosów, którzy wywodzą się z rodzimej esbecji. - Playboy nie miał zamiaru ustąpić pola. - Pytałem o nazwiska. Wymieniłeś tylko jakiegoś Ruska.

- Mogę tylko powiedzieć, że takie osoby należą do grona szacownych biznesmenów, a podanie w prasie ich nazwisk może kosztować wasze redakcje wielusettyśięczne odszkodowania, które spowodują, że tytuł zostanie zamknięty, a wy stracie pracę.

- Czyli są bezkarni? - triumfował playboy.

- Wszystko do czasu. A na razie proponuję sięgnąć po opracowanie „Międzynarodowa współpraca służb policyjnych, granicznych i celnych w zwalczaniu przestępczości przeciwko zabytkom”. Jej redaktorami są Mirosław Karpowicz i Piotr Ogrodzki. Zgromadzone w nich materiały omawiają problematykę, która została poruszona na międzynarodowej konferencji w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie.

NA MINISTERIALNYM biurku odezwał się telefon. Derski spojrzął na wyświetlacz komórki i się ucieszył.

- Miło cię słyszeć - rzucił do telefonu.

- Co robisz wieczorem? - usłyszał głos Rosnana. - Bo ta mała z bankietu byłaby zainteresowana ponownym spotkaniem. A ja właśnie organizuję u siebie małą imprezkę.

- Powiedz jej, że mam żonę - w głosie Derskiego odezwało się fałszywe oburzenie, choć poczuł podekscytowanie na wspomnienie

wczorajszych baletów i tego, że mogłaby być powtórka.

– A ona męża... Jak widzisz, jedno nie przeszkadza drugiemu.

Derski przez chwilę próbował walczyć sam ze sobą, ale czuł, że przegrywa potyczkę. Z drugiej strony, niebezpiecznie jest odrzucać propozycje takich ludzi jak Rosnan. I im więcej uczyni się im przysług, tym lepiej. Zwłaszcza że jak na razie na przysługach dla Gerarda Rosnana wychodził dobrze. Jak w przypadku Elizy Daniel.

Eliza. Lubił ją. Zastanowił się, dlaczego Rosnan chciał, by zatrudnił ją jako Obserwatora Łącznikowego. Bardzo mu na tym zależało. Może chce z niej zrobić swoją nową kochankę? Co prawda dziewczyna totalnie nie była w stylu dotychczasowych panienek kolekcjonera, ale faktycznie miała w sobie coś, co przyciągało uwagę. Była... niedostępna. I to w taki naturalny sposób, niewyuczony. Złapanie takiej w sieć, rozkochanie w sobie... tak, to mogło stanowić wyzwanie dla kogoś takiego jak Gerard Rosnan.

Poczuł współczucie dla dziewczyny.

– Oczywiście – powiedział do słuchawki. – Z przyjemnością cię odwiedzę.

KIEDY ELIZA wróciła wieczorem do domu z podwieczorku u ciotek, które nie wiedzieć czemu zapragnęły się z nią zobaczyć, zadzwoniła Mona.

– Jak poszło?

– Było sztywno, a herbata była po drugim parzeniu. Poza tym nic wartego wspomnienia. Jak ci idzie urządzenie biura?

– Niedługo przyjdą dyski SSD, działają błyskawicznie i odpowiednio kosztują. Ale zostało jeszcze sporo kasy. Jutro zacznę instalację oprogramowania na naszych kompach.

– W takim razie widzimy się za jedenaście godzin, o ósmej rano.

Eliza odłożyła słuchawkę. Przeszła do kuchni. Zrobiła dobrą i aromatyczną herbatę i kilkanaście minut później wróciła z kubkiem do pokoju. Usiadła w fotelu i zapaliła lampę. Powinna coś zrobić z domem

matki. Nie miała zamiaru tam mieszkać. Przyszło jej do głowy, że jak załatwi wszystkie sprawy spadkowe, wystawi go na sprzedaż.

Sięgnęła po leżący nieopodal album. Na okładce „La Promenade” widniała narysowana postać – ni to dziewczyna, ni mężczyzna. Na głowie miała przyklejony kapelusz, który wycięto z kolorowej folii na zakupy, a do reszty ciała podobne ubranko. Zaczęła przrzucać strony z fotografiami. Na jednej z nich zauważyła płytę CD. Ponieważ była wsunięta za zdjęcie, stąd wcześniej nie wypadła spomiędzy kart. Podeszła do odtwarzacza. Włożyła ją do czytnika i kilka razy nacisnęła klawisz wyboru, aż pojawia się cyfra „3”. Teraz „play”.

Sekundę później doleciała do niej melodia z przeszłości. To jej nie mogła sobie przypomnieć. Zaczęła nucić za Beatlesami „Well you should see Polythene Pam”. (Powinieneś zobaczyć Polietylenową Pam).

Wzrok padł na okładkę leżącej w pobliżu książki „Fałszerze aniołów” i jej autora Poly Pam, czyli... Polietylenową Pam!

Well you should see Polythene Pam.

She's so good-looking but she looks like a man

Well you should see her in drag dressed in her polythene bag

Yes you should see Polythene Pam.

Powinieneś zobaczyć Polietylenową Pam,

Jest taka piękna, ale wygląda jak mężczyzna.

Powinieneś zobaczyć ją przebraną za kobietę, w jej polietylenową torbę,

Tak, powinieneś zobaczyć Polietylenową Pam.

Tym razem Eliza spojrzała na okładkę „La Promenade”

– Jest bardzo atrakcyjna, ale wygląda jak mężczyzna – zanuciła.

Co to znaczyło? Oderwała przyklejoną do okładki Plastikową Pam, której sukienka z białej folii była pomalowana w niebieskie grochy. Pod

spodem ukazała się fotografia stojącego na trawie mężczyzny. Nie musiała pytać, kim jest.

KIEDY MONA weszła do pizzerii, Nomad już czekał. Na krześle obok znów leżała róża.

– Przepraszam – rozłożyła bezradnie dłonie – ale komunikacja autobusowa jest do bani.

Nie miała zamiaru mówić, że przyjechała motorem i zaparkowała przecznicę dalej. „Nigdy nikomu nic o sobie nie mów”, nauczyła ją matka. Pech jednak chciał, że zaraz po ruszeniu spod domu została zatrzymana przez patrol policji za przekroczenie prędkości. Zupełnie jakby spieszyła się na to spotkanie. Niemożliwe.

– Zaraz powinni przynieść nam capriciosę. – Nomad uśmiechnął się i pochylił nad stolikiem, zbliżając się do twarzy Mony.

Bardzo ładnie zabrzmiało słowo „nam”.

– Co? – Mona lekko odchyliła się do tyłu.

– Chciałem zobaczyć, jaki naprawdę masz kolor oczu.

– Piwne.

– Życie dziwne.

– Jak to dziwne?

– Taka dziecięca rymowanka. Oczy niebieskie, życie królewskie.

– Ty masz zielone – spojrzała w oczy chłopaka.

– Życie schrzanione.

– Dlaczego?

– Siedzę przed komputerem całymi dniami. Dotąd to lubiłem, ale teraz... Zaczynam mieć dosyć. Może następnym razem pójdziemy gdzieś... bo ja wiem... Do kina, parku albo tak połączymy po ulicach?

– Ja pracuję cały dzień w sklepie – skłamała – więc wolałabym posiedzieć.

Kelnerka postawiła przed nimi pizzę, colę dla Nomada i sok pomarańczowy dla Mony. Chłopak dotknął brzegu placka.

– Ukrop – podmuchał sparzony palec.

– Masz więc czas dokończyć o dziadku – powiedziała Mona.

– No tak, ostatnim razem skończyłem... – zamyślił się. – Już mam. Otóż dziadek urodził się jako bliźniak i na chrzcie „dano mu na imię Wicek, tego drugiego bliźniaka ochrzczono jako Ludwiczka, a gdy mieli po roku, mamusia kąpała ich w balii i skoczyła na chwilkę do sąsiadki, a kiedy po upływie pół godzinki wróciła, jedno z bliźniąt nie żyło, utopiło się, a ponieważ te bliźnięta były do siebie ogromnie podobne, nie wiadomo, który z malców się utopił, Ludwiczek czy Wicek? Rzucano więc monetę, orzeł oznaczał Ludwiczka, reszka zaś Wicka, wypadło, że utopił się Ludwiczek, ale mój dziadek, kiedy dorósł, zaczął sobie łamać głowę nad tą kwestią, był bezrobotny, miał więc na to dosyć czasu, kto się właściwie utopił? Czy aby na świecie nie żyje Ludwiczek, a on, Wicek, czy się nie utopił? I zaczął pić, po czym chodził nad wodę i dużo się kąpał w rzece, następnie zaś w łaźniach, pewnie chciał sprawdzić, bo w końcu się utopił, aby mieć pewność, że nie utopił się już wówczas w balii. Ale zanim odkrył prawdę, to wcześniej nad rzeką jednej panience zrobił dzieciaka, którym to okazał się potem mój ojciec”², któremu dano imię Lolan... A ty?

Mona spojrzała na Nomada, nie rozumiejąc pytania. Zbyt była zasłuchana w tę nieprawdopodobną opowieść.

– Opowiesz mi o sobie?

– Pracuję w sklepie... konkretnie w butiku.

– Właśnie widzę. Jesteś niebanalnie ubrana.

– To znaczy? – W ustach innego te słowa Mona odebrałaby jako negatywną prowokację.

– Trochę po męsku, ale... no, na przykład ten pierścionek jest bardzo ładny. Masz kogoś... to znaczy...

– Wyduś wreszcie – syknęła Mona.

– Myślałem o chłopaku.

Pokręciła głową.

– Ja też.

– Nie masz chłopaka? – udała zaskoczenie i oboje roześmieli się.

Przez następną godzinę rozmawiali o wszystkim i o niczym. Mona była zdziwiona, że tak można i nie nudzi ją śmianie się z kawałów, które jeszcze niedawno uznałaby za nie wart uwagi totalny suchar.

Za sprawą spotkań (bronila się przed nazywaniem ich randkami) z Nomadem dostrzegła, że we własnej szafie w większości ma męskie ciuchy. I chociaż wcześniej nie czuła potrzeby noszenia jakichkolwiek ozdób, to dziś przed wyjściem cofnęła się od drzwi i podeszła do komody. Tam, w małym drewnianym puzderku miała jedyny pierścionek. Dostała go od mamy na szesnaste urodziny. Był z lichego złota z czterema cyrkoniami wprawionymi w płatki kwiatka. Pewnego dnia przypadkowo zobaczyła przez uchylone drzwi jak matka, na narkotykowym głodzie, trzęsącymi się dłońmi sięga do drewnianego pudełka, gdzie Mona trzymała swoje skarby. Wyjęła pierścionek. Mona nie ruszyła się z miejsca. Matka patrzyła na złoto i być może przeliczała w myślach, ile mogłaby za nie kupić działek. Jednak moment później szybko odłożyła pierścionek, jakby się bała, że naprawdę mogłaby to zrobić.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Nomad poprosił Monę o numer telefonu.

– Po co?

– Jakby mi się coś stało, chciałbym, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza. W końcu różnie w życiu bywa i nie możemy być pewni dnia ani godziny.

– Niby co by ci się stało?

– Hm, niech pomyślę – uniósł oczy do sufitu. – Na przykład ciężkie i bolesne pokaleczenie się różami, które mógłbym zrywać dla ciebie na miejskim klombie, albo odsiadka w policyjnym areszcie za zakłócanie ciszy nocnej przez głośne wykrzykiwanie na ulicy twojego imienia.

– Kradzież mienia publicznego? Krzyki? Policja? Ja jestem skromną i uczciwą dziewczyną, a ty niebezpiecznym typem. Muszę więc poważnie

się zastanowić nad twoją prośbą.

Rozdział dwunasty

Gerard Rosnan wszedł do panelu administracyjnego strony internetowej, która po niemiecku i angielsku promowała wystawę „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”. Od pięciu dni ekspozycję można już było zwiedzać w Berlinie.

Przejrzał statystyki odwiedzin. Zadowolony skonstatował, że stronę obejrzało już kilka tysięcy osób. W sieci zrobił się duży szum, na co wskazywały setki komentarzy i dyskusje na niemieckojęzycznych forach społecznościowych, do których znalazł odnośniki. Najczęściej spierano się o to, czy fałszerza można uznać za prawdziwego artystę. Piszący wiedzieli, o czym mówią, a zatem nie byli to przypadkowi ludzie, którzy lubią zabierać głos na każdy temat.

Uwagę Rosnana zwróciło stwierdzenie kogoś o pseudonimie Magnum, który posłużył się cytatem z książki Franka Arnau: „Fałszerstwo zaczyna się tam, gdzie chodzi o upozorowanie czegoś; fałszykatem jest dzieło udające coś, czym nie jest. Takie twierdzenie określa jednak przede wszystkim zadania prawa karnego. Z pozycji prawa cywilnego znacznie trudniej określić rozmiar dokonanego fałszerstwa. Bo sfalszowany obraz może być przecież dziełem sztuki. Przyjmijmy skrajny wypadek: oryginalny obraz Leonarda da Vinci zaopatrzone w inny podpis. Byłoby to bezsprzeczne fałszerstwo, bez żadnego jednak wpływu na samo dzieło”.³ Uwaga-cytat była trafna.

W odpowiedzi inny dyskutant, podpisany jako Reisende, stwierdził: „Nigdy do końca nie jesteśmy w stanie wyznaczyć granicy, gdzie kończy się prawdziwa sztuka, a zaczyna fałszerstwo czy podróbka. W Państwie Środka znana jest historia, kiedy to pewien mandaryn polecił sławnemu mistrzowi ceramiki, Pan Czen Liu, przygotowanie zastawy stołowej na

sześćdziesiąt cztery osoby. Ponieważ wytworzenie i ozdobienie serwisu trwało bardzo długo, stąd dopiero syn Liu mógł wręczyć zamówienie synowi mandaryna. Dwadzieścia lat później część serwisu uległa stłuczeniu i wnuk mandaryna zwrócił się do wnuka Pan Czen Liu o uzupełnienie serwisu stosownymi kopiami. Wnuk skorzystał z tego samego kaolinu, posłużył się identycznymi technikami wyrobu, jak też starymi formami do wypalania. Wreszcie na koniec na porcelanę nałożył dawny wzór farbami, które wytworzył zgodnie z zapisami dziadka. Czy zatem czas powstania dyskwalifikuje część porcelany jako nieautentyczną, gdyż nie została wykonana rękami mistrza Liu, a jedynie dobrego rzemieślnika, jakim był jego wnuk?”

Następny fragment też pochodził z książki Arnau'a, tylko że niejaki Wasserkocher omówił ją własnymi słowami: „Doprawdy nie wiem, o czym jest ta dyskusja. ‘Plagiat’ czy ‘falszerstwo’ to określenia z ostatnich dziesięcioleci. Forsa zmienia wszystko, nawet i to, co uznajecie za sztukę”, dodał na koniec postu.

Najwyraźniej wystawa, jak i jej prowokacyjny temat, budziła duże zainteresowanie. Zwłaszcza zaś uwagę przyciągała „Wenus z Witebska”, która stała się swoistym magnesem dla prasy codziennej.

Podobnie rzecz miała się na ukrytym panelu, gdzie Rosnan zaoferował „Wenus” do sprzedaży. Już dwa dni po otwarciu cena wynosiła trzysta tysięcy dolarów. Wczoraj skoczyła o kolejne pięćdziesiąt tysięcy. Postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że opublikowane na stronie opinie ekspertów: Augusta Pierre-Richarda, Beniamina Clifforda i Thijsa van der Berga z Instytutu Chagalla, mogły mieć na to znaczący wpływ. Z samym obrazem można było zapoznać się na niemieckiej wystawie i z bliska podziwiać dzieło, które już okrzyknięto malarskim odkryciem stulecia.

Gerard Rosnan odsunął laptop. Jak dotąd, wszystkie figury na szachownicy przesuwają się grzecznie na wskazane im pola. Z teorii przypadku wynika, że na początku każda ma jeszcze stosunkowo duże pole manewru. Jednak wraz z rozwojem gry i przejściem kolejnych

etapów owo pole coraz bardziej się zawęża, a korekty, których ewentualnie można dokonać, są coraz mniejsze, aż wreszcie stają się praktycznie niemożliwe. On właśnie do tego zmierzał ku nieświadomości przesuwanych figur.

Kiedy dowiedział się o istnieniu „Wenus z Witebska”, pomyślał, że obraz byłby niezłą lokatą kapitału. Nic więcej – lokatą. Zainteresował się ofertą, ale jak zwykle był ostrożny. Jednak im dokładniej sprawdzał Abramowicza, tym bardziej wszystko wskazywało, że może na tym zarobić milion dolarów. Suma nie do pogardzenia, nawet po tym, kiedy odda Mietielinowi należne mu sześćdziesiąt procent. Taki zawarł układ po tym, jak Giena zrobił go przedstawicielem swojej krysy na Polskę, Czechy i Słowację.

Dlatego po pełnej zachwyty reakcji Daniela na obraz postanowił go kupić. Ale tak dla ostatecznej pewności wysłał do Sztokholmu Janickiego. Ten człowiek miał niezwykłego nosa. Jeśli on powie – kupuj, to Rosnan natychmiast wyłoży pieniądze.

Wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwane. Na trzy dni przed wypłynięciem Janickiego zadzwonił mężczyzna, który przedstawił się jako brytyjski marszand i zaproponował spotkanie. Chociaż Rosnan znał wszystkich liczących się w Europie handlarzy sztuką, o tym nigdy nie słyszał. Jednak w rozmowie telefonicznej Mr Evans poruszył kilka kwestii, które świadczyły o jego fachowości. To zaintrygowało Rosnana. Zwłaszcza że Mr Evans nie chciał powiedzieć, w jakiej sprawie chce się spotkać. Oświadczył tylko, że to w żywotnym interesie Gerarda Rosnana. Umówił się na spotkanie za trzy dni. W tym czasie Bratt dokładnie sprawdził dzwoniącego.

– To nie pułapka Mietielina – stwierdził Henry. – Evans jest jednym z najbardziej cenionych w Wielkiej Brytanii marszandów.

– Czyżby chodziło o „Wenus”? – zastanowił się na głos Rosnan.

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym większa rosła w nim pewność, że Evans wziął na celownik „Wenus z Witebska”. Zarobi więc na malowidle

szybciej, niż tego oczekiwał. I więcej, skoro kupiec sam puka do jego drzwi.

Umówionego dnia Rosnan odebrał telefon od Anglika.

– Cieszę się, że zgodził się pan z nami spotkać. Jutro o siódmej rano pod pański dom podjedzie biały bentley. Zawiezie pana na lotnisko do Modlina. Tam będzie już czekała odrzutowa cessna. Samolot zabierze pana na wyspę Lokrum. To niedaleko chorwackiego Dubrownika. Przelot potrwa nieco ponad dwie godziny. Po rozmowach samolot będzie czekał na lotnisku gotowy do drogi powrotnej.

– Nadal nie może mi pan powiedzieć, kto i w jakim celu chce się ze mną spotkać? I to w dodatku poza granicami kraju. To... zastanawiające – powiedział Rosnan.

– Proszę się nie obawiać. To sprawa czysto biznesowa i dotyczy „Wenus z Witebska” Chagalla. Jednak do chwili spotkania z panem mój klient wolałby pozostać anonimowy.

Rosnan zaśmiał się w myślach. Czy twój klient, panie Evans, wie, że za obraz będzie musiał zapłacić milion?

– W porządku – rzucił do słuchawki obojętnym głosem. – Czekam jutro na auto.

Rankiem dnia następnego, kiedy Janicki wypływał do Sztokholmu, Brytyjczyk zjawił się w podwarszawskiej rezydencji Rosnana. Z rzeczy osobistych, prócz dokumentów, Rosnan zabrał ze sobą tylko kartę kredytową.

W czasie drogi na lotnisko, jak i w samolocie wymienił z Evansem jedynie kilka grzecznościowych uwag. Na pytanie o mocodawców Evans zdradził, że reprezentuje pewnych ludzi ze znacznym kapitałem.

Kiedy wystartowali, przyszło mu do głowy, że niepotrzebnie wysłał Janickiego do Szwecji. Czy potrzebny był lepszy certyfikat autentyczności niż zainteresowanie brytyjskiego marszanda? Evans był pośrednikiem, a jego mocodawca (mocodawcy?) nie zamierzał ujawniać nazwiska. Zestawienie tych faktów sugerowało, że w grę mogły wchodzić miliony. Może właśnie dlatego wczorajszego dnia zdecydował,

żeby Bratt również popłynął do Sztokholmu. Jeśli obraz był tak cenny, warto mieć na oku osoby, które miały znaleźć się w pobliżu Chagalla.

Po dwóch godzinach i ośmiu minutach lotu, wskazując na okno, Evans powiedział, że w dole może zobaczyć wyspę Lokrum. Z pewnością facet, który chciał się z nim zobaczyć, musiał mieć górę szmalu, gdyż wylądowali na prywatnym lotnisku. W Warszawie było chłodno i pochmurnie, a tu świeciło słońce i było co najmniej dwadzieścia pięć stopni. Od Adriatyku wiała ciepła bryza.

Przy trapie samolotu czekał już na nich samochód. Piętnaście minut później, po przejechaniu przez pięknie utrzymany park w stylu angielskim, znaleźli się przed rezydencją, którą zbudowano w stylu kolonialnym.

– Kto jest tu gospodarzem? – spojrzał pytająco na Evansa.

– Pan Muhammad Musad – usłyszał w odpowiedzi.

Wbrew sobie spał się wewnątrz, choć postarał się, by na jego twarzy nie drgnął nawet muskuł. Musad. Szeft Afgańczyków. Brutalnych, profesjonalnych i doskonale zorganizowanych handlarzy kradzionymi dziełami sztuki, którzy od kilku lat próbowali scalić rynek, kosząc konkurentów. Od jakiegoś czasu Mietielin miał przez nich koszmary nocne. Obawiał się, że pewnego dnia przyjdą po niego.

Sam Muhammad Musad to także postać wyjątkowa.

Jego osobisty majątek był wyceniany na dwadzieścia miliardów dolarów. Stugębna plotka głosiła, że posiada największą prywatną kolekcję sztuki, której oprócz niego jeszcze nikt nie podziwiał. No i był przyjacielem Brytyjczyków, z którymi ramię w ramię od lat walczyły podległe mu plemiona w zachodniej części Afganistanu.

Na tę myśl Rosnan spocił się lekko. To była pierwsza liga światowa.

Podeszli do rezydencji. W otwartych drzwiach stał wysoki Europejczyk ubrany w garnitur od najlepszych londyńskich krawców i wydawał polecenia służącym po angielsku z arystokratycznym akcentem. Charakterystyczna mina znudzonego mopsa podkreślała

pochodzenie z zimnego Albionu. Dlatego Rosnan osłupiał, gdy Brytyjczyk zwrócił się do niego nienaganną polszczyzną:

– W imieniu pana Musada miło mi przywitać gościa z pięknej Polski. Studiowałem na Jagiellonce historię sztuki – wyjaśnił mężczyzna, widząc zdumienie gościa. – Nazywam się Thomas Higgins.

Podali sobie dłonie na przywitanie i przeszli na taras, gdzie stały głębokie fotele, a obok nich służący, gotowi na skinienie. Na każdego czekały już schłodzone soki. Dopiero w tym momencie Rosnan zorientował się, że Mr Evans zniknął w głębi domu. Wkrótce zostali sami, gdy Higgins ruchem dłoni odprawił służbę.

– Mam nadzieję, że podróż minęła dobrze. – Mops spojrzał z uśmiechem na Rosnana, który w odpowiedzi kiwnął głową.

– Ładny dom.

– Rzeczywiście, pan Musad lubi to miejsce. Można tu znaleźć spokój, czasami tak niezbędny w zrozumieniu skomplikowanych mechanizmów otaczającego nas świata. Ale przejdźmy do rzeczy. O ile wiem, Mr Evans zdradził już, że będziemy rozmawiać o „Wenus z Witebska”.

– Owszem. – Rosnan rozparł się wygodnie w fotelu. – Nie ukrywam, że wiążę z płótnem duże nadzieje.

– Nie tylko pan. – Higgins uśmiechnął się z życzliwą obojętnością, chociaż jego oczy stały się nieoczekiwanie obojętne.

Rosnan był pewien, że za moment zaczną negocjacje. Ile powinien zażądać na wstępie, żeby nawet po spadku ceny zarobić dziesięciokrotność finansowego wsadu? Postanowił zacząć od miliona dolarów. Najpierw jednak chciał się upewnić, kto jest klientem – Anglik czy Afgańczyk. Zanim jednak zdążył zadać pytanie, Higgins powiedział:

– Powinniśmy zacząć naszą rozmowę od tego, że obraz Chagalla jest fałszywy – wyjaśnił beznamiętnym tonem życzliwy mops. – Jest on tak doskonale podrobiony, i zbudowano wokół niego tak perfekcyjną legendę, że trudno będzie odkryć, że Chagall nigdy nie namalował „Wenus”. A podsunęli go panu agencji Europolu.

Rosnan zeszytniał. W skroniach gwałtownie zapulsowało tętno, a świat wywrócił się przed oczami o sto osiemdziesiąt stopni.

– Skąd ta maskarada? – kontynuował Anglik. – Europol chce zniszczyć Mietielina oraz jego kanał przerzutowy dzieł sztuki ze Wschodu na Zachód. Postanowiono zrobić to przy pana pomocy. W końcu to pan nadzoruje trasę na terenie Polski, Czech i Słowacji. Zastawiono więc misternie utkaną sieć. Będąc pewnym, że obraz jest prawdziwy, sprzedałby go pan jako oryginał, zwielokrotniając przy okazji cenę kupna. W końcu po to organizuje pan wystawy w Berlinie, Paryżu i Amsterdamie, nieprawdaż? Na tle niezwyklej kolekcji obrazów i rzeźb największych fałszerzy XX wieku – schylił przed Rosnanem z uznaniem głową – zamierzał pan zaprezentować cudownie odnaleziony oryginał, który w takiej oprawie znacząco zyskiwałby na wartości. Tylko że cuda nigdy się nie zdarzają. Gdyby sprzedał pan obraz, wkrótce na pana dłoniach zatrzasnęłyby się kajdanki. Pułapka zamknęłaby się z hukiem. Zostałby pan oskarżony o handel sfalszowanym obrazem, a wybrany sędzia z pewnością byłby gotów wydać wyrok dziesięciu lat więzienia i skierować pana do zakładu o zaostrzonym rygorze. I wtedy policja, w zamian za wolność, zaoferowałaby współpracę i dostarczenie dowodów na Mietielina.

Rosnan sięgnął po pierwszy z brzegu dzbanek z napojem, wlał go do szklanki i wypił kilkoma głębokimi łykami. Nawet nie zwrócił uwagi, że sok był z nie ulubianych przez niego grapefruitów. Szok powoli minął i jego mózg zaczął pracować na zwiększonych obrotach, jak zawsze w podbramkowych sytuacjach. A że myślenie ma kolosalną przyszłość, po przeanalizowaniu całej sytuacji wziął nerwy w karby.

– Nie sądzę, byście zafundowali mi podróż, żeby ostrzec przed pułapką – stwierdził rzeczowo. – W takie cuda to nie wierzę.

– Oczywiście, pan Musad ma pewną propozycję. Przyleciał pan tu z nadzieją zarobienia kilkuset tysięcy, może nawet miliona za „Wenus”. – Thomas uśmiechnął się porozumiewawczo. – Chociaż, między nami mówiąc, gdyby taki obraz w rzeczywistości namalował Chagall, płótno

nie byłoby warte więcej niż siedemset tysięcy. Jeśli jednak będzie pan skory rozpatrzyć naszą propozycję, wtedy zarobi pan... – Higgins jak wytrawny showman zawiesił na moment głos. –... jakieś dziesięć procent z ogólnie wylicytowanej dużej sumy. – Położył szczególny nacisk na słowo, „dużej”.

Ile to mogło być Rosnan nie odważył się już zapytać, ale z pewnością nie będą to grosze.

Rosnan po raz drugi tego przedpołudnia doznał bolesnego zawrotu głowy. Nalał sobie do szklanki czystej wody i dorzucił do niej parę kostek lodu.

– Zamieniam się w słuch – powiedział, gdy zwilżył wyschnięte gardło.

– Otóż dość sprawni scenarzyści filmowi na nasze zamówienie i zgodnie z początkowymi założeniami napisał scenariusz o policyjnej prowokacji wymierzonej w marszanda, który zajmuje się nielegalnym handlem dziełami sztuki. Do tego jest wmieszana rosyjska mafia i nieznany wcześniej obraz kubisty, który zostaje odkryty w sejfie jednego ze szwedzkich banków. Zastrzeżenie co do scenariuszowego finału było takie, że policja ma przegrać tę rozgrywkę. – Thomas wskazał wzrokiem na leżące na stoliku obok Rosnana kartki. – W tym sześciostronicowym treatmentcie znajduje się szczegółowe streszczenie fabuły. Myślę, że obecnie organizowana przez pana wystawa doskonale wpisuje się w zapisaną w nim historię.

Rosnan przeczytał z uwagą szczegółowy zarys scenariusza. Całość fabuły została drobiazgowo rozpisana, a finał całości miał mieć miejsce dwudziestego czwartego grudnia przed kamerami telewizji holenderskiej, w świadomości wielu milionów widzów. Jeśli zaś chodzi o Rosnana, to w owym spektaklu miał zagrać główną rolę, zaś jednym ze znaczących bonusów miała być suma wielu milionów dolarów.

– Co sądzi pan o propozycji? – spytał Higgins.

– Z zapisu scenariusza wynika, że mamy... – położył nacisk na to ostatnie słowo – niewiele czasu na przemodelowanie wystawy.

Higgins kiwnął z uznaniem głową i obaj uściśnieli sobie mocno dłonie.

Szesnastogodzinna wyprawa na Lokrum, o której nikomu nie powiedział, zmieniła spojrzenie Rosnana na świat i swoje w nim miejsce. Przez lata czekał, aż zostanie zauważony przez rekinów biznesu i pewnego dnia zagra w pierwszej lidze. No i tak właśnie się stało. Miał wykonać plan opracowany przez ludzi Musada. Tylko tyle. Czy był rozczarowany? Nie, raczej podekscytowany. To było tak, jakby dotąd działał w małej rodzinnej firmie, a teraz dostał ofertę zatrudnienia w wielkim koncernie. Ta misja była pierwszym krokiem w górę na drabinie awansów.

Światowy czarny rynek kradzionymi i fałszowanymi dziełami sztuki w XXI wieku był takim samym korporacyjnym biznesem, jak Google czy przemysł stoczniowy. Różnica polegała jedynie na tym, że Google i stocznie miały wsparcie prawa.

W czasie spotkania na Lokrum kupiono jego umiejętności tak jak kupuje się biznesowego lidera, który ma wprowadzić nową markę na rynek. W zamian za usługę miał otrzymać wielomilionowe honorarium. I był jeszcze jeden ważny bonus: zaoferowano mu pomoc w wyeliminowaniu z rynku europejskiego Rosjan. Organizacja Musada miała zapewnić mu ochronę i wsparcie w przejściu całości biznesu. To też było w scenariuszu.

Najwyraźniej korporacja Afgańczyka postanowiła dokonać scalenia rozdrobnionego wschodniego rynku. Rosnan tylko zatarł ręce. Od lat zaciskał zęby, kiedy Mietielin zabierał mu lwią część zysków i traktował jak podwładnego. Poza tym Rosjanin był facetem starej daty. Hamował postęp i nie rozumiał nowych trendów. Dlatego musiał zniknąć z rynku przed naporem zwielokrotnionej bezwzględności, większych pieniędzy i nowoczesnego biznesowego know-how. Rosjanin był skończony, choć jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Natomiast Rosnan został zaproszony, żeby przesiadł się z wiekowego zaporożca do nowoczesnego ferrari. Czy mógł się wahać?

Kiedy wrócił do Warszawy, dostał od Janickiego SMS-a, że „Wenus z Witebska” jest fałszywa. Dwadzieścia godzin wcześniej nagrodziłby eksperta hojną premią, że dzięki niemu uniknął finansowej wpadki. Teraz zależało mu, żeby Bratt uciszył gościa, by ten nikomu nie powiedział o swoim odkryciu.

Przez krótką chwilę Rosnanowi zrobiło się żal człowieka, który pracował dla niego od tylu lat. A potem poczuł złość, że teraz będzie musiał znaleźć następcę, a nie będzie to takie łatwe. Nawet Daniel nie zorientował się w fałszerstwie. Do bycia kimś takim jak Janicki potrzebne jest specyficzne oko, wiedza czy choćby sposób myślenia. Ale mówi się trudno. Dobrze, że wysłał Bratta do Szwecji. Janicki miał długi jęzor i trzeba go było uciszyć jak najszybciej. Nic nie może zakłócić realizacji planu Afgańczyków. Nic!

Kiedy Henry wrócił ze Szwecji, polecił mu, żeby zajął się organizacją jego świątecznego występu w telewizji holenderskiej. Mieli na to dużo czasu.

W drzwiach gabinetu Rosnana stanęła Lenka. Miała dwadzieścia cztery lata, ostry makijaż, długie krucze włosy i jeszcze dłuższe nogi. Prowokująco krótka spódnica w piękną szkocką kratę przydawała jej ponętne uroku. Byli ze sobą już czwarty miesiąc i Rosnan coraz częściej zadawał sobie pytanie, czy ich związek nie trwa aby za długo. Może do takiej refleksji skłoniło go kilka ostatnich spotkań ze śliczną stewardesą, którą przypadkowo poznał w markecie. Ze względu na pracę Anity często nie było w domu. Na początku znajomości to spora niedogodność, ale potem... Umówili się pod koniec tygodnia.

– Kochanie, mieliśmy jechać na obiad do Bristolu – zaczął kotłować długonogie zjawisko.

– A potem do jubilera... – Rosnan uśmiechnął się, jakby ta perspektywa sprawiła mu szczególną radość.

MONA POPRAWIŁA na sobie fartuch serwisu sprzątającego supermarket. W czasie paru poprzednich wizyt w sklepie odkryła

kantorek, gdzie sprzątaczkę zostawiała część środków czystości, fartuchy i myjki. Zamek elektroniczny nie przysporzył jej problemu. W kodzie uwzględniono niezbyt rozgarniętych umysłowo pracowników i zaprogramowano dla nich cztery jedyńki jako klucz wejścia.

Jak dotąd nikt nie zwrócił na nią uwagi. Jedyńie młody strażnik ochrony puścił do niej oko. Odpowiedziała rozciągnięciem warg w bezmyślny uśmiech i każde poszło w swoją stronę.

Zrestartowała laptopa. Na ekranie pojawiło się logo Windows. Maszyna pracowała wolno, ale w tym wypadku nie była jej potrzebna rakietą. Wkrótce też na ekranie pojawił się znacznik nawiązania połączenia z wewnętrzną siecią internetu. Hasło wejściowe na lokalny serwer również było czterojedynkowe.

Mona wywołała Cerbera. Program napisała przed miesiącem. W ciągu dnia Cerber miał wylapywać w sieci pocztę elektroniczną wysyłaną z biura hipermarketu. Program dekodujący powinien złamać co słabsze zabezpieczenia urzędniczych komputerów, których część z pewnością miała cztery jedyńki lub jakiś inny równie skomplikowany idioto-login.

Wirus miał strukturę „peer-to-peer”, co oznaczało, że każdy z węzłów, czyli opanowanych przez Cerbera komputerów, mógł być serwerem zarządzającym. Jeśli jeden zostawał wyłączony, kolejne podejmowały jego zadania. W efekcie trudno było zlokalizować zainfekowane komputery podłączone do sieci na stałym łączu, gdyż program szukający wirusa był wybijany z tropu niczym metalowa kula, która krąży losowo we wnętrzu automatu do gry i jest co raz to kierowana w inną stronę przez odbojniki. Tak więc wykrycie Cerbera tradycyjnymi antywirusami było nierealne.

Po zadokowaniu się w kilkunastu komputerach Cerber miał zapalić „lampę”, program fałszujący ślad, ów krąg na wodzie, który pozostawiał w sieci komputer Mony. Niektórzy nazywali go strokerem, ale Mona wolała nazwę „lampa” albo „pulsar”, która lepiej oddawała jego osłabiająco-fałszujący mechanizm działania.

Od chwili, kiedy włamała się do sieci elektronicznego nadzoru Zachęty, zdawała sobie sprawę, że w miarę rozgarnięty programista szybko spostrzeże, że za jego plecami pojawił się intruz i natychmiast zacznie namierzać takiego zajączka. Najskuteczniej można to było zrobić poprzez wyłapanie echa, które Mona po sobie zostawiła. Dzięki identyfikacji IP jej komputera w ciągu dwunastu godzin mogła być nadziana na widelec. Tylko że przezornie wcześniej rozmieściła w kilku punktach miasta laptopy z oprogramowaniem Cerber. Te, niczym lampy sygnalizacyjne latarni morskich, puszczały w sieć sygnał o identycznej charakterystyce IP, jaki wychodził z komputera Mony. W efekcie jedno echo nakładało się na drugie, drugie było zakłamywane przez trzecie, które fałszowało już czwarte. W sumie w tym wzajemnie oślepiającym się galimatiasie sygnałów nikt nie był w stanie zidentyfikować prawdziwego echa Mony i znaleźć domu, w którym pracował jej komputer.

Kiedy budowała sieć lamp, nie myślała jeszcze wtedy o Zachęcie, nie znała też Elizy. Po prostu na zlecenie klienta przygotowywała oprogramowanie, które miało chronić serwery zamawiającego usługę przed namierzeniem i zhakowaniem. Klient był zadowolony z jej pracy, a ona mogła wykorzystać przygotowaną wcześniej sieć do wpięcia się w system ochrony Zachęty.

Właśnie sprawdzała w sieci ostatni, czwarty pulsar. Gdyby zaczęto jej szukać, to z wyliczeń Mony wynikało, że zidentyfikowanie pierwszej lampy zajmie gończym około sześciu tygodni. Kolejne będą w postępie geometrycznym namierzane coraz szybciej. W efekcie polujące na nią drapieżniki będą mogły dojść do jej komputera na początku grudnia. Wtedy będzie się martwić, co dalej. O ile ktokolwiek jeszcze wtedy będzie jej szukał.

Właściwie nie musiała tego wszystkiego robić. Tylko paranoik węszyłby za podglądaczem, który włamał się do sieci kamer w Zachęcie. Gdyby to był Luwr, to co innego. Ale matka stale jej wbijała do głowy: „Nigdy nikomu nie ufaj i zawsze miej w zanadrzu awaryjne rozwiązanie,

które, być może, uratuje ci życie. Ponieważ nie wiesz, kiedy przyda ci się ostatnie sto złotych, które schowałeś w doniczce. A jak poznasz dobrze teren, będziesz wiedziała, jak uciec przed dilerem. Pamiętaj, nieważne, co robisz, zawsze zadbaj o drogę ucieczki”.

Tylko raz zlekceważyła tę radę – gdy włamywała się do banku – i o mało nie wylądowała w pudle. Od tamtej pory lęki matki stały się również jej obsesją.

Rozdział trzynasty

Eliza położyła przed Moną informację o terminach prezentacji wystawy Rosnana w Berlinie, Paryżu i Amsterdamie.

– Całość wróci do Krakowa na początku stycznia przyszłego roku – podsumowała – gdzie będzie wystawiona do końca marca. Na razie Rosnan pokazuje w sieci wirtualną prezentację. Tu masz adres...

– Już tam zajrzałam – odparła Mona.

– Świetnie. Co myślisz o wystawie?

– Jak to z fałszerzami, pachnie kantem. Zwróciłaś uwagę na stronę poświęconą Chagallowi?

– Obejrzałam fotografie. – Eliza kiwnęła z uznaniem głową. – Niezłe.

– Tamtą pustą ramę też? – spytała Mona.

– Jak w nią kliknęłam, poproszono mnie o kody wejścia, więc sobie odpuściłam. – Eliza wzruszyła ramionami.

– A mnie wkurzyło, że ich nie znam, więc założyłam na ich zamku Penetratora, to trojan mojej produkcji. Wystarczyło poczekać, aż uprawniona osoba wejdzie przez bramkę i w polu hasła wbije swój kod. Penetrator go zapamiętał i *voilà*... – Mona uśmiechnęła się szeroko, z dumą.

– I...?

– Widzę, że cię zaciekawiłam.

– Nie drażnij swojej szefowej. – Eliza zmarszczyła brwi w udawanej irytacji.

– Rosnan zamierza sprzedać „Wenus z Witebska” i stworzył niejawne forum, gdzie można licytować cenę obrazu. Dziś rano suma sięgała ośmiu milionów dwustu tysięcy euro.

– Kupa szmalu.

– Będzie więcej. Myślę, że zabawa potrwa do ostatniego dnia pobytu wystawy Rosnana w Amsterdamie. Teoretycznie wszystko jest zgodne z prawem, choć cholernie tajemnicze... – Mona zerknęła na Elizę pytająco. – Co ty na to?

Dziewczyna stała nieruchomo i wpatrywała się w jeden punkt, a Monie wydało się, że słyszy świst pracujących z nadświetlną szybkością szarych komórek w mózgu Elizy.

– Co ja na to? – odpowiedziała w końcu. – Uważam, że facet ordynarnie robi wszystkich w jajo, gdyż obraz nie jest tyle wart. Jeszcze nie wiem dlaczego. Czuję to jak cholerną swędziawkę mózgu. I to mnie wkurza.

Mona uniosła brew. Jak na wkurzoną, to wyglądała wyjątkowo spokojnie. I wtedy Eliza odwróciła głowę i spojrzała Monie prosto w oczy.

O tak, była wkurzona na maksa.

ELIZA OTWORZYŁA szafę i wyjęła pierwszą z brzegu sukienkę. Miała zamiar włożyć ją jutro do pracy.

Zastanawiała się przez chwilę, jakie do niej pasują buty. Potem wzruszyła ramionami. Weźmie sandały albo klapki. W końcu jakie to ma znaczenie?

Ponownie zerknęła na sukienkę, którą zawiesiła na otwartych drzwiach od pokoju. Była w niebieskie duże grochy jak... serce zaczęło jej bić mocniej... Polietylenowa Pam. Zanuciła pod nosem.

Well you should see Polythene Pam.

She's so good-looking but she looks like a man

Well you should see her in drag dressed in her polythene bag

Yes you should see Polythene Pam.

Yes, yes, yes, yes.

Nie, to nie tak... Jak mogła zapomnieć! Ojciec, zamiast beatlesowego ostatniego wersu „Yeah, yeah, yeah”, śpiewał „You should see her secrets box” (Powinnaś zobaczyć jej skrytkę).

Skrytka Poly Pam – tak ją oboje nazywali, gdy była dzieckiem.

Chwilę stała w bezruchu. Przed laty, w ramach zabawy, zostawiali w niej dla siebie wiadomości i łakocie. Ich tajemnicy strzegła siedząca na wieku pudełka laleczka – ubrana w sukienkę, którą ojciec zrobił z foliowej torebki... w niebieskie grochy.

Wreszcie zrozumiała, o co chodziło w tych wszystkich przesyłkach i znakach.

MARIUSZ MARZEC wysiadł z samochodu i spojrzał na wysokościewiec, w którym mieszkała Alina Krasucka, niewidoma kobieta, którą chciał przepytąć. Co myślał facet, który spadał z dziesiątego piętra i widział zbliżającą się ziemię? Modlił się? Złorzeczył? Czy też nic już nie czuł oprócz zwierzęcego strachu?

Wzdrygnął się.

Kilkanaście sekund później pchnął drzwi i wszedł do klatki schodowej. Windą wjechał na ostatnie piętro i odszukał właściwy numer mieszkania. Zanim nacisnął dzwonek, spojrzał na drzwi na wprost, prowadzące do dawnego mieszkania Waldemara Borzyckiego, który został wypchnięty z balkonu i przez to nie zdążył opowiedzieć o esbeckiej przeszłości Gerarda Rosnana. Nieopodal na suficie korytarza paliła się lampa. W tamtym feralnym dniu żarówka była sprawna, co zaznaczono w raporcie sytuacyjnym.

Wsunął do ust kulkę M&M, odwrócił się do drzwi Krasuckiej i nacisnął dzwonek. Cisza. Jeszcze raz. Wreszcie usłyszał kroki za drzwiami.

– Kto tam? – doleciał go przytłumiony kobiecy głos.

Przełknął cukierka.

- Nadkomisarz Mariusz Marzec. Umówiliśmy się na dzisiejszy piątek, na dwunastą w południe.

Po chwili ciszy szczęknął otwierany zamek. W otwartych drzwiach ukazała się czterdziestoletnia kobieta w ciemnych okularach. Była niewysoka i spoglądając na Marca, patrzyła na jego klatkę piersiową.

- Niech pan wejdzie. Proszę zamknąć drzwi na zasuwę. Poprowadzę.

Ruszyła w głąb przedpokoju, niekiedy postukując laską w mijane meble. Zmarszczył brwi. Dziwne, jaki niewidomy chodzi po znajomym sobie domu z laską? Poszedł za kobietą, zaglądając po drodze do pomieszczeń przez otwarte drzwi.

W całym mieszkaniu panował pedantyczny porządek. Nie było się czemu dziwić, osoba pozbawiona wzroku nie mogła pozwolić sobie na bałagan, potykanie się o porozrzucane rzeczy czy szukanie czegoś, co nie stoi na swoim miejscu. Weszli do kuchni.

- Niech pan siada przy oknie - pani Alina machnęła ręką w stronę stołu.

Zajął miejsce. Na blacie przykrytym ceratą w kolorowe symetryczne kwadraty stał czajnik elektryczny, a obok niego dwa kubki z włożonymi do środka torebkami herbaty ekspresowej.

- Woda jest gorąca - powiedziała kobieta. -Może więc pan rozlać ją do kubków.

Zrobił, o co poprosiła.

- Słodzi pan?

- Owszem.

Gospodyni przysunęła cukiernicę i podała łyżeczkę.

- Co chciałby pan wiedzieć?

Marzec posłodził herbatę i zamieszał. Cały czas patrzył uważnie na Krasucką.

- Z pani poprzedniego zeznania wynika, że mogła natknąć się na mordercę, gdy wyszła z mieszkania około dwudziestej.

- Na dworze było ciepło, więc pomyślałam, że zrobię sobie wieczorny spacer. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Marzec wyjął łyżeczkę, a ponieważ nie było nigdzie spodeczka ani serwetki, położył ją na ceracie.

- A ja myślę, że pani coś wie, tylko boi się o tym mówić.

- Czy nie powinnam się bać? - westchnęła. - Morderca był pod moimi drzwiami. Sam pan przyzna, że ta świadomość nie jest przyjemna, zwłaszcza dla kogoś w mojej sytuacji. Tylko że strach ma niewiele wspólnego z faktem, czy chcę pomóc w prowadzonym śledztwie. Jestem niewidoma. Nic nie widziałam.

Marzec zwrócił uwagę na dłoń pani Aliny, która chwilę wcześniej spoczęła na odłożonej przez niego łyżeczce. Palce kobiety nieświadomie wyprostowały ją wzdłuż boku jednego z namalowanych na ceracie kwadratów.

Spojrzał na stojącą obok białą laskę. Niewidomi znają na pamięć rozkład mebli we własnym mieszkaniu. Mógłby założyć się o półroczną pensję, że kiedy kobieta jest w domu sama, nie używa laski. Już nie miał wątpliwości, że policjanci, którzy przesłuchiwali panią Alinę, dali się zwieść, że jest taka bezradna.

- No i co nie tak, jeśli tak - mruknął pod nosem.

- Proszę?

- Pani nie jest całkowicie pozbawiona wzroku, prawda? - to nie było pytanie.

- Jak pan śmie?

W oburzeniu kobiety było więcej lęku niż złości, że ktoś kwestionuje jej kalectwo.

- Kiedy weszliśmy do kuchni - wyjaśnił łagodnie - przypadkowo otarłem się o komodę i przekrzywiłem serwetkę. Początkowo nie zwróciła pani na to uwagi. Kiedy jednak stała pani przy kuchni, poprawiła serwetkę. Tak jak moją łyżeczkę - lekko przekrzywił ją palcem. Kobieta siedziała nieruchomo. Chętnie przyjrzały się jej oczom schowanym za ciemnymi okularami. - Ponieważ w pani

przypadku istnieje uzasadnione podejrzenie świadomego zatajenia prawdy, to pani sytuacja prawna może ulec pewnemu skomplikowaniu.

– Próbuje mnie pan nastraszyć? – bunt w głosie kobiety stał się jakby bardziej zdecydowany i przez to silniejszy.

– Ależ skąd. Chcę tylko wskazać, że jest to prawny powód i dla dobra śledztwa prokurator mógłby wystąpić o zdjęcie klauzuli tajemnicy z pani dokumentów medycznych, gdyż z pewnością jest pani pod stałą opieką okulisty.

– Ostrzegam pana, że nasza rozmowa jest nagrywana.

– Doskonale, zatem będzie to podwójny dowód, gdyż mój magnetofon również rejestruje nasze spotkanie, żeby potem nikt nie mógł mi czegokolwiek zarzucić. – Marzec wyjął z wewnętrznej kieszeni dyktafon i położył go obok łyżeczki. – Wiem, że pani się boi i powiem otwarcie, że rozumiem te obawy. Jak to w życiu bywa, policja zawsze chce wszystko wiedzieć, ale gdy zdobędzie już informacje, na których jej zależało, w większości spraw ma potem gdzieś bezpieczeństwo świadków, którzy jej zaufali. – Marzec sięgnął po magnetofon. Pstryknął wyłącznik. Wyjął mikrokasetę. Następnie położył ją na ceracie obok aparatu. Zaczął mówić powolnym i spokojnym głosem. Starał się nadać głosowi ciepły ton. Jednak głoski akcentował krótko i mocno, co miało upewnić słuchającą, że poważnie traktuje wypowiedziane deklaracje. – Jestem policjantem i również chcę wiedzieć. Ale równie ważne jest dla mnie bezpieczeństwo moich świadków. Dlatego nie będę prosił, żeby cokolwiek pani podpisywała. Kiedy wyjdę z tego mieszkania, nikt się nie dowie, o czym mówiliśmy. Ja TYLKO chcę wiedzieć.

Postępował w sposób klasyczny. Najpierw zagroził prawnymi konsekwencjami, a teraz otworzył furtkę, z której Krasucka mogła skorzystać. Tylko że w przeciwieństwie do wielu gliniarzy on zawsze dotrzymywał danego słowa.

Kobieta milczała przez długą chwilę, a potem zaczęła mówić bezbarwnym, zrezygnowanym głosem.

– Mój przypadek lekarze określają jako „ślepowidzenie”.

- Że jak?

- Choroba jest wynikiem uszkodzenia nerwu wzrokowego, który dostarcza informacje do mózgu, w tym części kory mózgowej. Kiedy się poruszam, to wówczas nie rozróżniam żadnych kształtów.

- Rozumiem.

- Wygląda to tak, jakby patrzył pan przez okno, które jest zlewane wiadrami wody. Inaczej jest, gdy stoję w miejscu.

- Wtedy pani widzi.

- Raczej dostrzegam... około czterdziestu procent otaczającego mnie świata.

- Kiedy owego wieczora wyszła pani z mieszkania, tamten mężczyzna przed drzwiami Borzyckiego z pewnością stał nieruchomo.

- Tak, on stał jakieś półtora metra ode mnie. Miał taki wyraz twarzy...

- Groźny?

- Widziałam go pierwszy raz. Stał nieruchomo i tylko odwrócił w moją stronę głowę. Pozornie wszystko było w porządku, a jednak się przestraszyłam. W lewej dłoni trzymał pudełko z pizzą. Poczulałam jej intensywny zapach. Na szczęście nie dałam po sobie poznać, że go widzę. Jak zawsze miałam w ręku laskę. Kiedy godzinę później wróciłam ze spaceru, dowiedziałam się o śmierci sąsiada. Nie trzeba być geniuszem, żeby zestawić te fakty.

Marzec wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcia Bratta Henryka i położył je na stole.

- Czy to był ten mężczyzna?

Po chwili Krasucka leciutko skinęła głową.

Następnego dnia Marzec wysłał przez polskie biuro Interpolu w Komendzie Głównej fototelegram do FBI. Zadał w nim pytanie, czy Amerykanie nie mają w swoich kartotekach czegoś na Henry'ego. Ponieważ nie było to pytanie procesowe, więc nie liczył na szybką odpowiedź.

„Zapamiętałam, że w lewej dłoni trzymał pudełko z pizzą”, przypomniał sobie słowa Krasuckiej. Zarazem przed oczyma stanął mu raport z sekcji zwłok Janickiego. Zimny chirurg zwrócił w nim uwagę, że morderca był leworęczny. Z tego, co wiedział, Bratt Henry właśnie był mańkutem.

ARCHIWUM TELEWIZJI skrywało w sobie prawdziwe skarby, jeśli ktoś wiedział, gdzie szukać. Albo miał szczęście. Kiedy Eliza dowiedziała się, że rada programowa TVP Kultura zatwierdziła wstępnie jej synopsis, nie była zdziwiona – w końcu serial miał być finansowany ze środków ministerstwa kultury, a telewizja lubiła podpinać się pod takie projekty. Niewiele kosztuje, a chwała i tak spłynie na nią.

Postanowiła zajrzeć do archiwum. Gdy jeszcze pracowała dla gwiazdy, kiedyś ktoś wspomniał, że był już taki pomysł, by zrobić film dokumentalny o kradzieży złotej monstrancji z bazyliki w Świętej Lipce. Projekt nie wypalił, ale podobno w archiwum leżały materiały z researchu. Miła pani z archiwum pomogła jej je odszukać.

Eliza powoli przeglądała taśmy, notatki. W dokumentacji znalazła także wycinek z artykułem z „Gazety Olsztyńskiej”. Gdy doczytała go do połowy, znieruchomiała. Potem wyjęła telefon i zadzwoniła do Mony.

– Nie uwierzysz, co znalazłam – powiedziała, gdy Mona odebrała połączenie. – Słuchaj: „Jednym z najpiękniejszych skarbów, które przechowywano w bazylice była siedmioipółkilogramowa złota monstrancja datowana na początek XVIII w. Przedstawiała drzewo lipy, w którego koronie, nad miejscem na sakrament święty, widniała cudowna figura matki Boskiej. W środę, 1 października 1980 r. skarb został zrabowany przez nieznaną sprawców. Wszyscy wówczas zwariowali... tylko nie policja. Do sprawy wyznaczono wówczas najmniej doświadczonych w pracy funkcjonariuszy. Mienie kościelne od państwowego dzieliły wtedy lata świetlne. Policja musiała zareagować, ale niekoniecznie przykładać się do roboty. W czasie rozmów z jednym z ojców jezuitów przesłuchujący policjant usłyszał, że

na dwa dni przed kradzieżą w klasztorze gościł biskup z Monachium, Zygfryd de Löwe. Tamtego dnia duchowny odwiedził miasteczko, gdzie urodził się przed wojną i przy okazji postanowił pomodlić się w sanktuarium maryjnym. Jak wynika ze słów zakonnika, Niemiec miał na palcu złoty sygnet z czarną głową gryfa na srebrnym tle. Następnego dnia przeor zadzwonił do Monachium. Okazało się, że biskup Monachium nazywa się Alois Brems i ostatnio nigdzie nie wyjeżdżał. Mimo różnych tropów, rok później prokuratura zawiesiła postępowanie z powodu niewykrycia sprawców”. I co ty na to? Znów ten facet z sygnetem. To był Rosnan. Jestem tego pewna.

– A jeśli nie? Jeśli to tylko przypadek? – w głosie Mony usłyszała zastanowienie. – Może być więcej takich sygnetów.

– Które noszą ludzie zajmujący się sztuką? Mało prawdopodobne.

– Nikt jeszcze nie udowodnił Rosnanowi kradzieży.

– Policja na razie podejrzewa go jedynie o oszustwa – odparła Eliza.

– No dobrze. Załóżmy, że to nie Rosnan. Ale na pewno jakiś farbowany lis.

– Trzeba więc pomyśleć, jak lisowi Witalisowi przetrzepać rudą kityę.

Eliza skończyła połączenie, a potem sfotografowała wycinek gazety. Mimo wszystko była przekonana, że Rosnan ma coś z tym wspólnego. Nie na darmo ojciec podrzucił jej książkę o międzynarodowym handlu skradzionymi dziełami sztuki. To jakoś się łączyło z wystawą Rosnana i obrazem Chagalla. Nie wiedziała jeszcze jak, ale postanowiła to zmienić.

TEN SKURWIEL próbował ich wydymać. Chroniąc się przed namierzeniem, włączył lampy. Dlatego trochę potrwa, zanim go znajdzie. Nie był to więc jakiś przypadkowy pan Nikt. Nomad omal nie uderzył pięścią w blat biurka.

Popelnił błąd, z którego nie zdążył się w porę wyplątać, i teraz musiał dalej brnąć w kłamstwie, udając przed Mateo i Amerykaninem, że nic się nie stało. Jeśli Bratt Henry dowie się o hakerze i jego

kłamstwach... Skulił się, jakby ktoś miał zamiar uderzyć go z tyłu w głowę. Nie, to nie wchodziło w rachubę. Bratt go zabije.

Haker zapalił cztery lampy. Te krosują sygnały, które wzajemnie sobie zaprzeczają i dodatkowo multiplikują. Kopie się namnażają i chaos rośnie w postępie geometrycznym. Jedyłą stałą jest sygnał najbliższej lampy, który przy odrobinie pracy będzie można wyseparować z pozostałych szumów.

Próbując sobie z tym poradzić, w nocy Nomad napisał Selekcjonera. Oprogramowanie działało na zasadzie analizy matematycznej, której wynik był w stanie z owego szumu wyłowić najmocniejszy błysk i wskazać źródło emitowanych zakłóceń.

Teraz wyjął z kieszeni pendrive'a, wsunął do czytnika i wyświetlił zapis kodowy na ekranie. Napisał go w C Sharpie. Trochę był z tego dumny. W krótkim czasie odwalił niezły kawałek roboty programistycznej, jednak strach podpowiadał, żeby przed nikim nie chwalił się pomysłowymi rozwiązaniami, które zastosował w analizie matematycznej.

Kiedy kilkanaście minut później przeglądał kolejne linijki programu, zagapił się gdzieś w programistyczny niebyt.

Był zły, gdyż zamiast myśleć o odłowieniu „lamp”, zobaczył przed sobą oczy Moniki. Dotąd nigdy nie zależało mu na żadnej dziewczynie i zawsze stosował się do zasady „nie ta, to inna”. Ale teraz było inaczej. Czuł to i dlatego był tak podkreśniony. Ale zamiast z nią ćwierkać, musiał pisać program gończy.

Dlaczego dziewczyna nie chciała mu o sobie nic powiedzieć? Z drugiej strony nie był dzielnicowym, żeby zaraz musiał o niej wszystko wiedzieć. Mówiąc szczerze, on sam też nie zamierzał się jej zwierzać. Czy uwierzyła w dziadka Czecha? Najwyraźniej bawiły ją te opowieści, ale niekiedy w jej oczach widział, że ma świadomość, że to bajer.

Nieprawdopodobne, że tak mocno weszła do jego serca. Nikogo tam nie zapraszał, a tu okazało się, że ma lokatora. Już od pierwszego momentu, kiedy spotkały się ich oczy, zawładnęła jego myślami. Nomad

był pewien, że za gardą, którą Monika trzymała wysoko, i za lekceważącym uśmiechem kryła się krucha i niepewna siebie osoba. Chciała bliskości, a jednocześnie bała się zbliżenia, dotknięcia, czulszego spojrzenia w oczy. Natychmiast umykała nimi w bok, gdy czasem przylapywał ją, jak się w niego wpatruje. To właśnie wówczas przez to jej chwilowe zagubienie i zdenerwowanie przebijają mała dziewczynka, która patrzyła na świat oczami rozszerzonymi obawą. Ale i ciekawością.

Niewiele się od niej różnił. Na zewnątrz też grał twardziela i gotów był wyciągnąć nóż, żeby udowodnić, że potrafi dźgnąć. Ale jednocześnie w duchu kulił się przerażony, że coś takiego mógłby zrobić. On i ona byli identyczni – na zewnątrz twardzi, a wewnątrz plastyczni niczym wosk. On gotów był przy niej zdjąć swoją zbroję. A ona? Jeśli nie zechce? Czy w takim razie będzie miało sens ciągnięcie tego dalej? W końcu bycie z drugim człowiekiem wymaga szczerości i...

„O czym ty nawijasz? Jakie ‘bycie’. Spotkaliście się kilka razy, a tobie po głowie już łązą idiotyzmy”, ofuknęła sam siebie.

Cholera, musi skupić się na pracy.

POKÓJ BYŁ napakowany sprzętem niemal pod sufit. Na metalowych półkach stały sprzęgnięte ze sobą płataniną kabli stacje dysków i monitory, drukarki oraz zamknięte lub częściowo otwarte laptopy. Na ścianie zawieszono sześć dużych monitorów, które ustawiono w jedną płaszczyznę. Pod nimi na szerokim stole-biurku położono jedynie klawiaturę. Na długim i wielkim białym blacie ciemny prostokąt wyglądał sterylnie i strasznie samotnie. Za to pod blatem znowu kłębiła się płatanina kabli i sprzęgniętych ze sobą stacji dysków czy power banków.

– I to byłoby na tyle. – Mona zakreśliła dłonią krąg po swojej pracowni w ministerstwie. – Gdyby do tego wszystkiego dołożyć silnik, to mogłabym zaryzykować podróż na Marsa.

– Czyli nie jest źle.

– Jest super – Mona położyła dłoń na najbliższym komputerze. – Za kilka lat to będzie szmelc, ale teraz ten procek to rakietka. Gdyby toto miało jeszcze opcję wibratora, to byłby ekstremalny full wypas.

Eliza wskazała na ekran główny wielkości czterdziestu cali 4K. Poboczne były o kilka cali mniejsze, wszystkie razem zaś zajmowały całą ścianę o wymiarach cztery metry na trzy. Do tego dwa laptopy Asusa o wypasionych parametrach.

– Nieźle studio, ale mam wrażenie, jakbyś nie była do końca zadowolona.

– Mamy problem. – Mona wreszcie zdecydowała się powiedzieć to na głos.

– Jak duży?

– Pamiętasz moje wejście do systemu elektronicznego nadzoru Zachęty? – Eliza kiwnęła głową. – Potem mówiłam, że zajrzałam za kulisy strony, gdzie licytowana jest „Wenus z Witebska”? – Eliza znowu przytaknęła. – Moja ciekawość strasznie wkurzyła tamtych gostków. Właśnie zapuścili w sieć program, którego zadaniem jest namierzenie mojego kompa. A to dowodzi, że nie jest to zwykła strona, na której ktoś komuś chce coś sprzedać.

– Co teraz? – Eliza usiadła na krześle. Poczula niepokój. – Wołałabym, żeby na starcie nikt nie wytykał nam nielegalnych działań.

Nie dodała, że poręczenie ministra, które poszło do prokuratury, postawiłoby Derskiego w kłopotliwej sytuacji.

– Mamy sobie wszystko mówić, więc gadam, jak jest. Ale bez napinki. Zanim dojdą do pierwszego pulsara, upłynie sporo czasu. – Mona wskazała na ekran. – Dłubię coś na wszelki wypadek. – Na końcu linijki oprogramowania wpisała po dwukropku słowo „MonaLiza”. Zerknęła rozbawiona na Elizę. – Żeby wiedzieli, kogo powinni szanować.

– A jeśli zbliżą się na wyciągnięcie ręki?

– Wtedy fizycznie zlikwiduję wyjściową stację dysków – Mona puściła oko do Elizy – i szukaj wiatru w polu.

Rozdział czternasty

Andrzej Daniel wykręcił autem z ulicy Marszałkowskiej w stronę Zachęty. Na tylnym siedzeniu w drewnianym etui stukwały nowe farby olejne. Choć nie były mu jeszcze potrzebne, z przyzwyczajenia postanowił zdublować paletę barw.

Od tygodnia, co wieczór, siadał przed ukończoną kopią „Wenus z Witebska” i przyglądał się swojej pracy. Obraz namalował w porywie natchnionego maratonu tworzenia, w ciągu osiemnastu godzin. Tak właśnie to czuł, tworzenia, a nie malowania. Kiedy wpadał w wir pracy, nie czuł upływu czasu. Ciągnąc ostatni dukt, dokonał w myślach szamańskiej sztuczki i poprosił, żeby duch artysty przeniknął jego płótno, porzucając oryginał.

Po odłożeniu pędzla, przez dłuższy czas siedział zdyszany, jakby przystanął po długim biegu. Badał wzrokiem ostatnie pociągnięcia pędzla, zadziwiony ich maestrią i przekonany, że nie mógł tego dokonać własnymi palcami.

Dopiero po trzeciej butelce czerwonego wina usnął w fotelu, który przysunął sobie przed obraz. Kiedy się przebudził w nocy, pozapalał wszystkie światła. Potem pił dalej, nie potrafiąc oderwać wzroku od mistrzowskiego dzieła. Czuł dumę, że niczym Chagall tchnął życie w płótno... Nie niczym Chagall, poprawił się w myślach. On BYŁ Chagallem.

A potem nadeszły dni, które odebrały jego pracy wzniosłość. Dokładnie pięć. Sto dwadzieścia cztery godziny zajęło mu postarzenie farb, które mogły zawierać jedynie od dwóch do pięciu procent wilgotności, jakby schły od 1914 roku.

Daniel od lat korzystał z doświadczenia Hana van Meegerena, fałszerza obrazów Johanna Vermeera. Na podstawie zapisków Hana, które po czterdziestu latach od jego śmierci w 1947 roku udało mu się skompletować na kilku aukcjach, odtworzył sposób powstania „Chrystusa i jawnogrzesznicy”. W 1942 roku, jako oryginalne płótno Vermeera, dzieło zakupił marszałek III Rzeszy Herman Göring. Po wojnie malowidło nadal uznawano za oryginał, stąd przeszło na własność państwa holenderskiego, które kupiło go do muzeum Stichting Nederlands Kunstbezit w Hadze.

Han odkrył, że istotne znaczenie w postarzeniu farb miał bakelit, pierwsze syntetyczne tworzywo sztuczne wynalezione w 1907 roku. O jego zastosowaniu i składzie chemicznym van Meegeren dowiedział się przypadkowo, gdy przeczytał artykuł, w którym opisano metody jego produkcji. W początkach XX wieku tworzywa sztuczne były ekscytującą nowinką i powszechnie interesowano się ich nowymi zastosowaniami. Meegeren wyczytał, że w celu nadania odpowiedniej twardości powierzchni tworzywa pod koniec procesu produkcji dodawano do niego fenolu i formaldehydu. Fałszerz postanowił domieszać te chemikalia do farb olejnych. Okazywało się jednak, że schną na palecie zbyt szybko i malarz nie był w stanie użyć ich do malowania obrazu. Stąd też zaczął dodawać środki wysuszające bezpośrednio przed nałożeniem olejów na płótno.

Podobnie postępował Daniel. Tak jak Meegeren uzyskiwał ostateczną twardość farb po wypieczeniu malowidła na ruszcie pieca gazowego, który zrobiono ściśle według planów Hana. Dzięki temu zabiegowi unikało się szklistości powierzchni obrazu, a jednocześnie dochodziło do równomiernej i głębokiej zwartości farb na całej powierzchni malowidła.

Wykrycie fenolu i formaldehydu, w przypadku obrazów Johanna Vermeera, było dla Hana kłopotliwe, gdyż chemicy opracowali ich skład dwieście lat po śmierci wielkiego malarza holenderskiego. Jednak w przypadku Chagalla nie miało to praktycznie żadnego znaczenia.

Pierwszego dnia Daniel wypiekał obraz przez trzy i pół godziny, w temperaturze siedemdziesięciu stopni Celsjusza. Potem zostawił „Wenus” na dwanaście godzin w temperaturze dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza.

Drugiego dnia, po wyjęciu z pieca i czterogodzinnym schłodzeniu do temperatury pokojowej, Daniel pociągnął obraz werniksem, który miesiąc wcześniej sam zrobił z mastyksu, żywicy naturalnej, olejku terpentynowego i toluenu zmieszanego z etanolem. Obraz na powrót trafił do pieca, tym razem na pięćdziesiąt minut, i był wypiekany w temperaturze między siedemdziesiąt sześć a siedemdziesiąt osiem stopni Celsjusza.

Po sześciu godzinach chłodzenia w temperaturze dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza Daniel nawinął „Wenus” na metalową rurę o średnicy pół metra, która wcześniej została nagrzana do temperatury trzydziestu pięciu stopni. Ponieważ lico obrazu było ułożone do góry, stąd po wygięciu na całej powierzchni wystąpiła rozległa sieć mikropęknięć. Następnie w nawinięty na rurę obraz Daniel wtarł kurz zebrany na strychu odkurzaczem. Brud wypełnił utworzone szczeliny. Po odwinięciu i rozprostowaniu kopii nadmiar kurzu został wypchnięty ze schodzących się rowków i jego resztki wystarczyło już tylko zetrzeć delikatną suchą szmatką.

Obraz ponownie trafił do pieca z temperaturą czterdziestu dwóch stopni. W ciągu trzeciego i czwartego dnia brud, który pozostał w mikroszczelinach, ostatecznie zespolił się z warstwami farby, dając świadectwo temu, że od czasu namalowania upłynął cały wiek.

Piątego dnia Daniel naciągnął „Wenus” na drewnianą ramę. Poprzednio znajdował się na niej obraz mało znanego malarza z początku XX wieku, z terenów wschodniej Polski. Musiało to być drewno z tego właśnie rejonu Europy, gdyż przy dokładnych badaniach dendrologicznych blejtramy z zachodniej Europy wykazywały śladowe ilości węgla, który w wyniku boomu industrialnego pojawił się wtedy w powietrzu Anglii, Niemiec czy Francji. A latem 1914 roku senne miasto

gubernialne Witebsk miało powietrze czyste, pozbawione takich zanieczyszczeń.

Początkowo Daniel rozważał możliwość zastosowania techniki *marouflage*, z której już kilka razy korzystał w przeszłości. W tym przypadku chodziłoby o sklejenie podrobionego płótna „Wenus” z oryginalnym podobrazem. Należało do tego użyć odpowiednio odpornych klejów, które nie poddałyby się atakowi mocnych rozpuszczalników. W efekcie ekspert nie miałby najmniejszych zastrzeżeń do wieku oglądanego z tyłu płótna, którego brzegi zostałyby zharmonizowane z nowym obrazem. Jednak ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu.

Z obrazu, który pochodził z początku XX wieku, po tygodniu benedyktyńskiej pracy zdjął pumeksem wierzchnią warstwę zeschniętych farb olejnych i na tak oczyszczonym płótnie namalował „Wenus”.

Daniel brał również pod uwagę naniesienie w róg płótna sztucznej pleśni, która zaatakowałaby farby w miejscu mało istotnym dla obrazu i już po tygodniu nadałaby całości dodatkową patynę starości. Jednak przez dziesiątki lat oryginał był przechowywany w suchym skarbcu bankowym, stąd ten numer byłby na wyrost.

To dziwne, ale w czasie tych pięciu dni, gdy postarzał obraz, z każdą mijającą godziną miał wrażenie, jakby nie tylko kopii malowidła, ale i jemu przybywało lat, które coraz mocniej naginały jego kark ku ziemi. Zaczęły boleć go stawy i niekiedy z trudem poruszał się po pracowni. Odzyskiwał siły na krótki czas, gdy wieczorami siadał w fotelu, patrzył na obraz i pił wino wprost z butelki. Wreszcie przychodziła noc, narzucając na barwy dzieła szarość, która z minuty na minutę wpadała w coraz głębsze tony, by na koniec utopić wszystko w mroku i alkoholowym zatraceniu.

Dzisiejszego poranka postanowił uciec z przeszłości i znaleźć drogę powrotu z Marca Chagalla do Andrzeja Daniela – zerwać niemal przyrosłą do niego kamizelkę malarza, zmyć z dłoni zaschnięte grudy

farb olejnych i niczym aktor, który zszedł ze sceny, odnaleźć swoje prawdziwe „ja” – zrobić wszystko, żeby teraz stało się na odwrót: żeby Marc Chagall uwierzył, że jest Andrzejem Danielem.

Samochód, który jechał ulicą na pasie obok, gwałtownie zatrafił, gdy Daniel za bardzo się do niego zbliżył. Wyrównał jazdę. Musi skupić się na prowadzeniu auta. Minął Teatr Wielki. Skręcił w ulicę Miodową, by chwilę później boczną uliczką dojechać do Podwala. Znalazł wolne miejsce nieopodal pomnika Kilińskiego.

Tylko czy chciał wracać do jakiegoś tam Daniela? Jako Chagall był wolny, podziwiany i... nierealny. Jako Andrzej Daniel znowu zacznie się bać i zastanawiać, czy to wszystko, co dotąd robił, miało sens. Z latami i kolejnymi namalowanymi obrazami miał coraz mniejszą ochotę na powrót do rzeczywistości. Gdyby nie Eliza. Ona mogła umożliwić mu całkowity powrót i nie chciał stracić tej niepowtarzalnej okazji...

Na Starówkę przyjechał dlatego, że tu znajdowały się pozostałe końcówki nici, dzięki którym, za każdym poprzednim razem, mógł stać się zimnym draniem, który, niczym Rosnan, kalkulował każdy swój ruch na wiele posunięć naprzód.

Doszedł do Rynku Starego Miasta. Usiadł w cieniu pod jedną z kawiarnianych markiz, nieopodal artystów, którzy sprzedawali swoje prace. Niegdyś chciał być jednym z nich. Wpadać w to miejsce z namalowanymi w tygodniu obrazami, zgarnąć kilkanaście stówek i wracać do domu, żeby potem realizować własne pomysły malarskie. Na początku przynosił na rynek płótna, które malował w rozgorączkowanym natchnieniu. Ale kupujący obchodzili je szerokim łukiem. Byli ślepi na jego dokonania formalne i niespotykaną u innych intensywność dobieranych kolorów. Na jego artyzm byli ślepi również rozkładający się wokół pacykarze. Ale temu się nie dziwił. Tamci, po latach, potrafili już tylko malować kwiaty w wazonie, po raz setny zamek królewski z dorożką, kamieniczki lub kościoły Starówki. Mechaniczni kopiści rzeczywistości, którzy cięli ją na kawałki i w zależności od popytu powielali w dziesiątkach identycznych obrazów.

Jeśli któryś chciał być artystą, uciekał z rynku już po kilku miesiącach. Ale przed laty Daniel nie mógł odejść, choć bardzo tego chciał. Urodziła mu się córeczka i jako jedyny pracujący w domu był odpowiedzialny za utrzymanie rodziny. Nocami malował więc swoje wizje, a w ciągu dnia setną kopię Kamiennych Schodków czy Barbakanu. Potem sobotę i niedzielę spędzał na sprzedaży płócien. Z czasem nauczył się, jakie obrazki mają większe powodzenie i jaka kreska bardziej podoba się ślepym nieukom. Szło mu coraz lepiej. Z czasem też miejscowi uznali go za swojaka. Właśnie wtedy przyszło mu do głowy, że jeszcze kilka takich lat i ostatecznie zwariuje.

Zapragnął za wszelką cenę przywrócić w sobie dawną radość malowania, odzyskać wirtuozerię dłoni, która stopniowo stawała się mechanicznym ramieniem precyzyjnie powtarzającym, po raz setny, ten sam ruch czy nacisk na pędzel przy malowaniu kolejnej kopii kolumny Zygmunta.

Pewnego dnia w jednej z księgarni trafił na album „La Promenade”. Ślepi nieucy, którzy kupowali jego obrazy, słyszeli coś o impresjonistach i już się tak nimi nie brzydzą. Zatem, zamiast bukietów i widokówek, zaczął odtwarzać Paula Cézanne’a, Claude’a Moneta, Vincenta van Gogha czy Edgara Degasa.

Początkowo sprzedaż mu nie szła, ale z tygodnia na tydzień, powoli, zaczął znajdować nabywców. Pewnego dnia jeden z klientów stwierdził, że jego malowidła „świecą dziwnym blaskiem prawdy”. Nie bardzo wiedział, co gość miał na myśli, ale owo określenie przypadło mu do gustu.

Odtwarzając dzieła wielkich francuskich malarzy, nie wiedzieć kiedy Daniel niemal oszalał na ich punkcie. Już nie tylko chciał ich kopiować, ale zapragnął malować jak oni. Teraz nocami studiował „Absynt” Degasa, „Katedrę w Rouen” Moneta czy „Bal w Moulin de la Galette” Renoira. Poznawał tajniki dobierania barw, sposoby kładzenia farb i techniki pociągnięć pędzla. Na szczęście swego czasu z zapałem uczył się francuskiego i nieraz, podczas studenckich wakacji, przemierzył

Francję autostopem. W wydawanych w Paryżu poradnikach, opracowaniach i szkicach krytycznych znalazł wszystko, czego szukał o sztuce dawnych mistrzów.

Pewnego dnia w muzeum zobaczył oryginalny obraz Marca Chagalla. Znał wcześniej jego twórczość. Ale „znać” a „zobaczyć” to były antypody znaczeń. Od dnia owej iluminacji Chagall posiadał na własność jego wyobraźnię. Wkrótce Daniel znał na pamięć wszystkie stosowane przez artystę techniki i pewnego dnia skupił się tylko na jego pracach. Za każdym razem, gdy siadał do kolejnego obrazu, doświadczał mistycznego przeżycia, jakby Chagall odradzał się w nim i kierował jego pędzlem.

Ową karmiczną jedność pewnego dnia potwierdził elegancko ubrany mężczyzna, Gerard Rosnan, który kupił od niego wszystkie płótna Chagalla, płacąc za każde po tysiąc złotych.

Jakiś czas później Daniel podpisał z nim umowę, w której się zobowiązał, że od tej pory maluje na wyłączność marszanda. Był zachwycony kontraktem, a na jego konto co miesiąc wpływało piętnaście tysięcy złotych.

Z miesiąca na miesiąc między nim a Rosnanem zacieśniały się więzy sympatii, które na koniec przerodziły się w przyjaźń. Daniel już nie myślał o rozwijaniu własnej twórczości. Całkowicie oddał się studiowaniu i kopiowaniu Chagalla. Dzięki wsparciu Rosnana zjeździł całą Europę i odwiedził każde muzeum, w którym znajdował się choćby jeden obraz artysty.

Jakiś czas później, w wolnej chwili i gnany sentymentem, poszedł na staromiejski rynek. Przywitał się z kilkoma starymi znajomymi.

- Słyszałam, że trafił ci się impresario - zagadnęła go Rena Marciniak, obok której kiedyś wystawiał swoje prace.

- Coś jakby.

- Wiesz chociaż, co to za gość?

- Biznesmen.

- On ci to powiedział?

Daniel pokręcił głową. Prawdę powiedziawszy, każdy facet, który miał pieniądze, był dla niego biznesmenem. Marciniak spojrzała na niego podejrzliwie i zorientowawszy się, że Daniel naprawdę nic nie wie, roześmiała się w głos.

– O, w mordę, ty rzeczywiście jesteś zielony.

– Niby co?

– Ostatnio się szepcze, że Rosnan to jeden z największych handlarzy dzieł sztuki – stwierdziła przyjaciółka.

– Dlaczego szepcze?

– Bo ci, którzy mówili o tym głośno, leżą już na cmentarzach.

– Jak się dorobił? – zapytał Daniel.

– Handlował sztuką, która niekoniecznie była jego własnością.

– Złodziej?

– Chodzą plotki, że to esbek. – I najwyraźniej odczytując na twarzy Daniela wyraz niezrozumienia, dodała: – Człowieku, nie mów, że przyleciałeś z Marsa. Mówiłam o Służbie Bezpieczeństwa MSW.

– To pewne?

Rena popatrzyła na niego jak na niespełna rozumu.

– Pewne jest to, że będzie lepiej, jak nikomu nie powtórzysz tego, co ode mnie usłyszałeś. Chyba że kłopoty to twoja specjalność i lubisz sam sobie podstawiać nogę.

Kiedy wracał do domu, przyszło mu do głowy, że jeśli Rena miała rację, to wdepnął w niezłe gównno. Chociaż z drugiej strony, przecież on, Andrzej Daniel, niczego złego nie zrobił. Co go obchodzi jakiś Rosnan. Miał prawo sprzedawać własne obrazy, komu chce, nawet złodziejowi.

Dwa miesiące później, wieczorem, do drzwi jego domu zapukała policja. Funkcjonariusze byli po cywilnemu. Pokazali legitymacje i zabrali go do samochodu. Gdzie go wieźli przez miasto? Nie miał zielonego pojęcia, a tamci nie chcieli powiedzieć. Szyby były przyciemnione, a on trząśnięty całym i nie mógł oderwać oczu od kajdanek na przegubach własnych dłoni.

Wprowadzono go do jakiegoś budynku. Weszli schodami na piętro, potem do obskurnego pokoju, w którym stały jakieś szafy i kilka biurek. Posadzili go przy jednym. Na drugim stała maszyna do pisania. Jeden gliniarz usiadł za maszyną, a drugi, który przyniósł dużą paczkę okrytą płatami szarego papieru, zajął miejsce na wprost Daniela.

– Dowiem się, o co jestem oskarżony? – spytał malarz.

Policjant spojrział na niego wodnistymi, jakby wypełnionymi brudną deszczówką oczami, które były pozbawione jakichkolwiek emocji.

– O wprowadzanie na rynek fałszywych obrazów – odparł.

– Jakich obrazów? – spytał Daniel naiwnie.

Policjant sięgnął po pakunek. Wyjął trzy płótna Chagalla: „Nad Witebskiem”, „Zegar z wahadłem i błękitnym skrzydłem” i „Między światłem a ciemnością”.

– To pańskie prace?

Zerknął na obrazy i kiwnął głową. Nie miał powodu, żeby kryć się z ich autorstwem.

– Czy karalne jest to, że ktoś maluje obrazy i sprzedaje chętnym? – spytał.

Wodnistooki skrzywił się, co chyba miało oznaczać lekceważący uśmiech.

– Malować i sprzedawać? Oczywiście, że nie. Ale stawiać na obrazach sygnatury Chagalla – puknął palcem w róg jednego z obrazów – i sprzedawać jako oryginały, to już niekoniecznie...

Daniela oblał zimny pot. Rzeczywiście, na prośbę Rosnana stawiał w rogach płócien sygnatury malarza.

– Ale to było... No... tak dla jaj – zdołał wyrzucić z siebie drażącym głosem.

– Fałszerstwo dzieł sztuki jest przestępstwem oszustwa, o którym artykuł 286, paragraf 1 kodeksu karnego mówi, co następuje. – Policjant sięgnął po oprawioną w czarną skórę książeczkę i odnalazł stosowny paragraf. – *Kto, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, doprowadza inną*

osobę do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu.

- Ale ja... - Daniel już całkowicie się w tym pogubił. - Ja tylko...

- Właśnie na tę „tylko” okoliczność przywiozłem pana na przesłuchanie. - Policjant dał znak koledze, żeby szykował się do pisania. - Nie radzę kręcić, bo wiemy wszystko.

Przestraszył się. On chciał tylko malować, a tamci mogli mu tę radość odebrać. Coś się w nim zamknęło na tysiąc zamków, których tysiąc kluczy wrzucił do tysiąca jezior.

- Jeśli wiecie wszystko - zaczął ostrożnie - to po co chce mnie pan pytać?

Zastukała maszyna do pisania. Siedzący na wprost policjant najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Widzę, że nie chce pan być prawym obywatelem.

- Pan chce o tym decydować?

Znowu stukot klawiszy.

- To prawda, zajmie się tym sąd. Tylko że ten może źle się odnieść do faktu, że nie podjął pan współpracy z organem powołanym do ochrony porządku publicznego.

Facet gadał jak ksiądz, który zamierza nawrócić błądzącą owieczkę.

- Nie wiem, w jaki sposób sygnatury znalazły się na moich obrazach - mówił Daniel wolno, zimno i zdecydowanie. - Poza tym mam prawo do skontaktowania się z rodziną i przekazania im informacji, o co jestem oskarżony.

- A ja mam prawo rozwalić ci ten pusty łeb.

Wodnistooki sięgnął do kabury przypiętej na szelkach pod marynarką. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i przyłożył Danielowi do czoła.

Andrzeja ogarnął lodowaty chłód. Już się nie bał. Czuł tylko narastającą złość. Z jego głębi wydostawało się coś, o czym nie miał pojęcia, że to miał: twardy upór i zapiekłość.

- Będziesz więc musiał mnie zabić – stwierdził zaczepnie – gdyż pierdolę cię i twoje pytania.

W pokoju zapadła cisza, która rosła, potężniała, aż przerwał ją nieoczekiwany trzask drzwi za plecami Daniela.

- Wystarczy tego cyrku.

Daniel obejrzał się za siebie. Do pokoju wszedł Rosnan.

- Przepraszam za to zamieszanie. – Marszand podszedł do malarza i uściśnął go, jakby składał imienninowe życzenia. – Chciałem tylko wiedzieć, czy mogę na tobie polegać.

Daniel nie mógł wydobyć z siebie głosu. Długo patrzył na człowieka, o którym dotąd myślał jako o przyjacielu. Poczul złość, zimną, która wypełniła jego usta kwaśnym smakiem rozczarowania. W pierwszej sekundzie miał ochotę zdzielić Rosnana pięścią między oczy. Ale nie pozwolił, by to uczucie odbiło się w jego twarzy i głosie. Odetchnął głęboko, zanim spytał:

- Dlaczego sądziłeś, że mogę cię sprzedać?

- Ludzie są różni – głos Rosnana stwardniał. – A ja chcę być pewien, że mój przyjaciel to porządny facet.

- Myślisz, że jutro nasze ścieżki mogą się rozejść?

- Nie chcę, żeby tak się stało. – Rosnan klepnął go przyjacielsko po ramieniu. – Dlatego chciałem cię sprawdzić. – Chwilę przyglądał się Danielowi i warknął do Wodnistookiego: – Może byś go już wreszcie rozkuł. – Ponownie zwrócił się do malarza. – Wszystko gra?

Policjant zdjął mu kajdanki, a potem postawił na stole dwie szklanki i do każdej nalał solidną porcję whisky. Daniel sięgnął po swoją i pokazał Rosnanowi, że „tak, wszystko w porządku”. Obaj wypili do dna.

Ale nic nie było w porządku. Daniel zdał sobie sprawę, że jest na łasce rzekomego przyjaciela. Zrozumiał, że owo przedstawienie miało

nie tylko sprawdzić jego lojalność, ale i uświadomić, że w każdej chwili może być sprzedany policji... jako fałszerz.

Czy tak właśnie o sobie myślał... fałszerz? Właściwie dopiero Rosnan uświadomił mu, kim się stał. Czy to go przerażało? Nie był pewien. Zbyt często czuł się Chagallem, by mieć poczucie winy. A może był już psychicznie rozjechany i zaczął grać nie swoją rolę?

Zanim wsiadł do samochodu, który miał go odwieźć do domu, poprosił Wodnistookiego o butelkę whisky. Tym razem nalał sobie pełną szklanekę i wypił duszkiem. Kiedy znalazł się pod domem, był już dobrze wstawiony. Nogi myliły kroki, a stopy nie trafiały w miejsca, które powinny. Jednak jego mózg kalkulował na zimno.

Jak to się stało, że dał się tak Rosnanowi opętać? Teraz też wreszcie zrozumiał, że kumpela ze Starego Miasta z nim nie plotkowała, ale go ostrzegała. Dlaczego był tak głupi i naiwny, że nie dostrzegł, z jakim człowiekiem ma do czynienia?

Kiedy przestraszona Dorota otworzyła drzwi, skłamał, że koledzy wyciągnęli go w podstępny sposób na wódkę. Potem odwrócił się i zwymiotował na najbliższy krzak róży.

Po paru dniach nerwowa sytuacja w domu minęła. Wrócił poprzedni spokój. Jednak w Danielu rosła coraz większa wściekłość na własną głupotę. Im wyraźniej zdawał sobie sprawę, z kim się związał, tym mocniej czuł, jak pajęczka sieć brudu oplata go, oblepia i tamuje oddech. Musiał się uwolnić, uciec.

Zadzzwonił do wydziału kryminalnego komendy stołecznej i umówił się z policjantem w jednej z kawiarni. Tam dokładnie opowiedział, kim jest i w jakie, nieświadomie, wdepnął gównno. Przekazał też wszystkie informacje, które były mu wiadome na temat Rosnana. Gliniarz słuchał z uwagą. Tydzień później odebrał telefon, w którym polecono mu zjawić się w tej samej co poprzednio kawiarni na jeszcze jedno spotkanie. O umówionej godzinie do stolika przysiadł się niski korpulentny mężczyzna, który bardziej przypominał handlarza starociami niż oficera policji.

- Nazywam się Stanisław Deresz i jestem podinspektorem z Centralnego Biura Śledczego – powiedział.

- Gdzie facet ze stołecznej?

- Przejeliśmy twoje dokumenty.

- Myśli pan, że uwierzę w tę bajkę?

Deresz podał Danielowi słuchawkę. Następnie podłączył ją do mikro magnetofonu i wcisnął przycisk „Play”. Usłyszał głos swój i policjanta ze stołecznej, z którym rozmawiał jakiś czas temu w tej kawiarni.

- Gdyby Rosnan dowiedział się o twoim donosie, prawdopodobnie już byś nie żył.

Daniel wyciągnął z ucha słuchawkę i odrzucił ją na stolik, jakby go sparzyła.

- Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Spełniłem swój obowiązek.

Chciał wstać, ale gliniarz przytrzymał go za rękę.

- Jeśli teraz wyjdiesz, jutro Rosnan dostanie to nagranie.

Danielowi zakręciło się w głowie i poczuł, jak zimny dreszcz ślizga mu się po plecach.

- To szantaż.

Deresz z powagą kiwnął głową, że „tak, to jest szantaż”.

- Ty przecież masz strzec prawa.

Policjant skrzywił się pogardliwie.

- Prawo chroni uczciwych obywateli, a ty jesteś facetem, który korzystał z pieniędzy gangstera, gdy było ci to wygodne. Kiedy, według swego mniemania, zostałeś obrażony, zadzwoniłeś na policję. Nie zrobiłeś tego z obywatelskich pobudek, poczucia sprawiedliwości i potrzeby ochrony prawa. Doniosłeś na Rosnana, ponieważ chciałeś się zemścić za obrazę. Dlatego mam głęboko w dupie, że jakiś szczer uświadomił sobie, że w przypadku zdrady ten drugi go zagryzie. Mam zamiar dopaść Rosnana i ty mi w tym pomożesz. – Daniel chciał coś powiedzieć, ale pies nie dopuścił go do głosu. – Mogę teoretycznie

założyć, że nie zależy ci na własnym życiu. Ale masz żonę i małą córeczkę.

Daniel słuchał gliniarza i nie chciał uwierzyć, że to wszystko dzieje się w rzeczywistości. Przyszedł do policji w dobrej wierze. Nie kierowała nim chęć zemsty za to, że mu grożono. Chciał tylko uwolnić się od kogoś, kogo w rzeczywistości nigdy nie poznał, kogo brał za przyjaciela i z którym, gdyby wiedział, kim jest, nigdy nie nawiązałby żadnych kontaktów osobistych. Natomiast dla gliniarza był takim samym draniem jak Rosnan, tylko znacznie od tamtego głupszym. Już wiedział, że dobrowolnie wszedł do stalowej klatki i zamknął za sobą wyjście na klucz.

Deresz zmusił go do podpisania lojalki. Wtedy było już pewne, że nie dość, że zamknął się w klatce, to jeszcze klucz odrzucił daleko od siebie.

Dwa miesiące później w jego domu zjawiała się policja. Został aresztowany. Tym jednak razem nie było w tym fikcji. Przedstawiono mu zarzut dokonania ośmiu fałszerstw na szkodę trzech domów aukcyjnych. Dostał wyrok dwóch lat więzienia. To wszystko było ustalone z Dereszem. Więzienie miało utwierdzić jego pozycję w oczach Rosnana. W drugim tygodniu pobytu za murem został skierowany do pracy w bibliotece. Przez kilka godzin, każdego dnia, zostawał sam na sam z ośmiuset sześćdziesięcioma trzema książkami i dwójką agentów policji, którzy wyszkolili go na takiego samego psa, jakimi sami byli. Wkrótce też Deresz uświadomił mu, że nikt nie oczekuje od niego, żeby został Bondem.

– Pewnego dnia dorwiemy Rosnana, a wtedy zostaniesz naszym świadkiem koronnym, który opowie o wszystkich jego przekrętach. Twoim zadaniem jest zebranie przeciw niemu dostatecznych dowodów winy.

- Pewnego dnia, czyli kiedy?
- Za rok, dwa, a może później.
- Co się stanie, jak go aresztujecie?

- Pójdiesz z nim do pułda. Dostaniesz dwa, trzy lata. Po roku wystąpisz o warunkowe zawieszenie odbywania kary.

- Zrobicie ze mnie przestępcę.

- Już nim jesteś - gliniarz skrzywił się drwiąco.

- Ale chcecie mnie zamknąć w więzieniu.

- Na krócej niż Rosnana. Gdybyśmy go złapali bez twojej pomocy, klepnęlibyśmy ci co najmniej piętnaście lat.

Z całej postawy policjanta wiało bezwzględny chłodem. Może gdyby jeszcze na początku poszedł do Rosnana i przyznał się do wszystkiego, wyjaśnił, że się wściekł, gdy ten potraktował go jak potencjalnego zdrajcę...

Nie miało sensu rozpatrywanie tego, co by się wydarzyło, gdyby. Trafił do szamba i nic już tego nie mogło zmienić. Pokazał gangsterom, że życie za kratami go zmieniło. Że wybiera forszę, wódkę, zabawę i dziwki. Chociaż nie do końca musiał udawać, że ten świat już dawno go urzekł.

To wszystko wydarzyło się w 1995 roku, niemal dwadzieścia lat temu. Kiedy wyszedł z więzienia, na ulicy czekał na niego kierowca Rosnana i zawiózł od razu do willi marszanda. Rosnan serdecznie go uściskał.

- Nie powiedziałaś o mnie nawet słowa. Po raz kolejny wiem, że jesteś mi bratem.

Daniel tylko się uśmiechnął. Wewnątrz był pusty. Jakiś czas później udowodnił też, że jest ostatnim skurwysynem. Przez pierwsze lata o Elizie dowiadywał się jedynie tyle, ile usłyszał od Rosnana. Daniel nigdy nie pytał pierwszy, jakby dawne życie stało mu się kompletnie obojętne. Deresz uświadomił mu bowiem, że Rosnan przeszedł dobrą szkołę SB.

- Bezpiecznym jest się wówczas, gdy wiesz, co dzieje się za twoimi plecami - powiedział stary glina, usłyszawszy, jak Rosnan go przywitał. - To motto esbeków. Uściskał cię, dał kilkadziesiąt tysięcy ekstra premii, ale bez wątpienia nadal będzie sprawdzał twoją lojalność. Aż pewnego dnia, gdy przestaniesz mu być potrzebny, pozbędzie się ciebie bez

najmniejszych skrupułów. Myślę jednak, że zanim do tego dojdzie, zrobisz wszystko, by zgnął w więzieniu. Prawda?

Daniel milczał, ale Deresz nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że malarz nie ma wyjścia.

Jedynym sanktuarium, do którego nikt prócz Daniela nie miał wstępu, była sztuka. Osamotniony, dręczony poczuciem winy, wycofał się emocjonalnie. Postanowił całkowicie poświęcić się malowaniu. Ale żeby móc to zrobić, musiał odejść z domu.

Kiedyś jakiś malarz powiedział mu w przypiływie wódczanej szczerości: „Albo, bracie, chcesz mieć rodzinę, albo chcesz być artystą. Tych dwóch spraw nie da się ze sobą połączyć”. Gość miał rację.

Tydzień po powrocie z więzienia powiedział żonie, że wychodzi na spacer. Kiedy się obejrzał przy drzwiach wyjściowych, dostrzegł Dorotę. Pytała wzrokiem, co robi? Wrócił, zamknął za sobą drzwi ich sypialni i powiedział prawdę, że odchodzi. Dorota krzyczała, groziła. Próbował tłumaczyć, w końcu zrezygnował. Wyszedł z domu. Na ulicy czekał Rosnan. Wsiadł do samochodu i odjechali.

Przez następne dni i tygodnie zatracił się w pracy i zapomniał o wszystkim, co za sobą zostawił. Przestały go obchodzić pory dnia i roku. Wiedział, ile jest wart, i mógł pozwolić sobie na ekstrawaganckie kaprysy. Kiedy malował „Na śniegu” Chagalla, obraz z lat 1922-30, pojechał zimą w okolice Petersburga, gdzie zasypany śniegiem był na chłopa, a on rozbijał się po okolicy saniami, okutany w szubę podbitą futrem.

Potem trzy miesiące spędził w Paryżu. Patrzył przez okno na Montmartre, pił wino i słuchał ukochanych Beatlesów, co było jedyną ekstrawagancją w czasie, do którego próbował się cofnąć. Zarósł, a jego ubrania zaczęły śmierdzieć. Na dwa dni przed wyjazdem ocknął się z długiego snu i namalował obraz, który można byłoby uznać za inną wersję „Paryża przez okno”, obrazu, który Chagall stworzył w 1913 roku, po wielu dniach siedzenia w oknie, picia wina i spoglądania na paryską ulicę. Na jego widok Rosnanowi tylko zaświeciły się oczy. Pewnie szybko znalazł nabywcę na „nowo odkryte dzieło Chagalla”.

Czas mijał, lecz nic nie wskazywało, żeby Rosnanowi miała powinąć się noga. Rok po pierwszej rozmowie z Dereszem Daniel pojechał do kliniki dermatologicznej, w której był stałym pacjentem. Leczył się z egzemy, którą dostał na dłoniach po latach obcowania z farbami olejnymi. W ten sposób zaczął kontaktować się z policjantem, który jako rzekomy pacjent leczył się u tego samego lekarza. Doktor był ich skrzynką kontaktową. Dwa lata później nieoczekiwanie dowiedział się, że lekarz złożył wypowiedzenie i odszedł z pracy, Deresz zaś zniknął. Zdezorientowany wracał do kliniki jeszcze przez kilka następujących dni w nadziei, że ktoś inny nawiąże z nim kontakt.

Wreszcie trafił w gazecie na zdjęcia z ulicznego wypadku. Ktoś sfotografował z bliska twarze ofiar. Na jednym ze zdjęć rozpoznał martwego Deresza i lekarza.

Czy był wolny?

Wątpliwe, żeby nie było akt, w których znajdowała się jego lojalka. Co się z nimi stało? Dlaczego ktoś inny nie nawiązał z nim kontaktu? W głowie kłębiły się dziesiątki pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. W końcu nie mógł zadzwonić na policję i powiedzieć: „Hej zwerbowałeś mnie do współpracy, a teraz wypięliście na mnie dupę? Co jest grane?”. Wątpił, żeby śmierć policjanta była sprawką Rosnana. W takim wypadku jego status również uległby diametralnej zmianie. Pozostawało tylko czekać i jeszcze bardziej uważać na to, co się wokół dzieje.

Nie mógł też zerwać ze swoim dotychczasowym trybem życia. Choć nikt nie wiedział o jego istnieniu, to jego prace oceniano coraz wyżej. Kilkakrotnie w telewizji francuskiej, z ironicznym dystansem, obserwował dyskusje, które rozpętało kilka jego podróbek Degasa, Moneta i właśnie Chagalla. Po wielu miesiącach zażartych sporów i wielokrotnie powtarzanych ekspertyzach podrobione przez niego płótna uznano za prawdziwe. Nie mógł więc z dnia na dzień z tym zerwać. Ale gdyby zamierzał tak postąpić... Wreszcie się zorientował, że nie ma rodziny. Czas przeszły stał się jak najbardziej dokonany.

Pozostała tylko zemsta.

Ale żeby ją zrealizować, musiał poczekać, aż Eliza dorośnie.

Minęło dwadzieścia lat. Czy teraz czas samotności dobiegał końca?
Czy Eliza już doszła do skrytki strzeżonej przez Poly Pam?

Rozdział piętnasty

– Widzisz ten mrugający znacznik? – Mona zerknęła na kota, który siedział na podłodze obok krzesła. – To znaczy, że lampy nadal myślą im do nas drogę. – Kot spojrział w oczy swej pani, jakby wszystko rozumiał. – Ale to może również tylko tak się nam wydawać, więc co jakiś czas warto to sprawdzać. Podobno kto kontroluje przeszłość, ten kontroluje dziś. A ten, kto uważa, co dzieje się tu i teraz, może być spokojny o przyszłość. Rozumiesz?

Minu wskoczył na blat biurka i usiadł obok klawiatury.

Mona wysłała sygnał, którego zadaniem było po kolei zidentyfikowanie w sieci pulsujących „lamp”. Nie było istotne, skąd jest nadawany ich sygnał i w jakim postępie geometrycznym jest namnażany. Chodziło o sprawdzenie, czy któraś nie została zastąpiona atrapą, która również wprowadzała zakłócenia, ale charakterystyka jej sygnału była odmienna od tych, które Mona specjalnie dobrała dla czterech pulsarów.

Kot sapnął niechętnie.

– Wiem, trochę to zagmatwane... Nie patrz tak na mnie. – Kot znowu miauknął. – Oczywiście, że wszystko ci opowiem... No więc, mówiąc szczerze... On jest zabawny. – Kot spojrział na nią uważniej. – W porządku, może i nawet mi się podoba, ale to jeszcze nic nie znaczy... Najbardziej pociągają mnie w nim oczy. Niby patrzy na ciebie uważnie, ale za jego spojrzeniem jest jakaś ukryta miękkość i delikatność. – Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Mona zapatrzyła się w jakiś sobie tylko znany punkt. – To niesamowite. Jednego dnia masz ustalone plany i w głowie ćwierka ci rockowa muza. Potem wchodzisz do pizzerii i trach,

tylko Chopin grający dla Elizy... To znaczy dla Mony – poprawiła się po strofującym krótkim miauknięciu.

Przypomniała sobie, jak pewnego wieczora matka przestrzegała ją przed mężczyznami. Leżały obok siebie na łóżku i wydawało się, że już jest wszystko dobrze, że mama wyjdzie z nałogu i odtąd będą już żyły tylko dla siebie.

– Ale on jest zupełnie inny – stwierdziła Mona zdecydowanie, patrząc na kota, choć tak naprawdę mówiła do mamy. – I nie chodzi o czub irokeza. To maska. Możesz mi wierzyć. Wszyscy patrzą na te czerwono-fioletowe włosy zamiast w jego oczy. Gdyby to zrobili, wtedy zobaczyliby kogoś zupełnie innego. – Pogłaskała kota. – Kogo? – Kot nadstawił głowę, żeby nie przerywała pieszczot. – Jak już tak strasznie chcesz – zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Mężczyzna właśnie powinien być taki jak Nomad. Delikatny, ale i zdecydowany. Miękki i czuły, a zarazem twardy i bezwzględny. Spokojny, lecz nieprzewidywalny. – Kot jakby ciężko westchnął. – Wiem, że to przeciwieństwa, ale jak mam ci wytłumaczyć, jaki jest Nomad. – Kot lekko się zjeżył, a może tylko taki się wydał, gdy Mona przysunęła bliżej lampkę. – Jak to, nie mówiłam ci, jak ma na imię? Na pewno wcześniej wspominałam.

Głaskała kota i zagryzała wargi. Czują niepokój – czy on przyjdzie na kolejne spotkanie? Chciała, żeby przyszedł i sama myśl, że już go nie zobaczy, przyprawiała ją o łzy. To było niespodziewane. Co więcej – nie chciała, żeby cokolwiek zaburzyło jej spokój i tak konieczny na tym etapie życia stan intelektualnego skupienia. To nie był dobry moment na... tego rodzaju emocje. Miała zadanie do wypełnienia. Była Eliza, ojciec, była praca, i byli ci, którzy ją ścigają... Tyle się namotało. Nie miała czasu na Nomada...

A jednocześnie coś w niej szeptało z ekscytacją: wreszcie.

„Świat nigdy nie pyta, czy jesteś gotowa na miłość, Moniko. Po prostu słyszysz dzwonek do drzwi, otwierasz, i dostajesz prosto w serce. I możesz mieć tylko nadzieję, że na tym wygrasz”.

„A można przegrać, mamo?”

„Ja przegrałam”.

Musiąca za bardzo zanurzyć się w przeszłości, gdyż nieświadomie zbyt mocno ścisnęła kota. Ten miauknął i zeskoczył z jej kolan. Wtedy przez uchylone okno z sąsiedniego domu napłynęła piosenka.

Ulicami chodzą czarodzieje

Śnią na jawie kolorowe sny

Dużo mówią

Dużo piją

Kiedy zmierzcha

I gdy dniaje

piszą słowa

Tęsknię

Kocham

Ja

I ty

Ktoś zamknął okno i piosenka umilkła.

– Fajna. – Mona uśmiechnęła się do siebie. – Nomad też ma ładne oczy – przeskoczyła na stary temat sobie tylko znanym skrótem myślowym. Podniosła kota z podłogi. – Twoje ślepka też są piękne, bez dwóch zdań, ale jego... No, niech ci będzie, nie jest mi tak zupełnie obojętny. Ale do ślubu jeszcze daleka droga.

Minu trącił łapą leżącą obok klawiatury szczotkę. Mona codziennie czesała mu sierść. To był ich rytuał.

– A może dzisiaj odpuścimy? – udała, że ziewa.

Kot miauknął krótko, że „nie”. Potem prychnął dodatkowo przez nos.

– Po co ten krzyk. No po co? – Mona udała zdenerwowanie. – Ty zawsze musisz postawić na swoim. Ciągłe jakieś pretensje i fochy. – Dźgnęła lekko palcem Minia w bok. – Nawet chwili nie wytrzymasz,

żeby nie zrobić awantury. I co ja mam z tego życia? Czesz go i chesz. Może i spodobałabym się innym mężczyznom, ale nie, ty jesteś najważniejszy pod słońcem. Czesz go... A może chciałabym wyjść i zobaczyć, czy przypadkiem Nomad nie przyszedł do pizzerii? No i co z tego, że już jest zamknięta. Ale ulicy pod drzwiami nikt nie zamykał. Czy wreszcie kiedyś skończy się ta moja z tobą udręka?

Chwilę potem wzięła kota w ramiona i zgodnie z tradycją miłośnicie wtuliła w niego twarz. Przed czesaniem miała prawo do chwili czułości. Minio cicho zamruczał, ale nie spuszczał oczu ze szczotki do czesania.

ELIZA ZATRZYMAŁA Biedronkę przed wejściem do domu matki. Zgasiała silnik. Było wczesne przedpołudnie. Obok przeszła para nastolatków. Patrzyli na siebie. Nagle chłopak powiedział:

– Ty paskudo – i roześmiał się głośno.

Dziewczyna odpowiedziała chichotem i przytuliła się do chłopaka.

Eliza zbaraniała. Chłopak nazywa dziewczynę paskudą, a ona się wdzięczy? Chwilę potem dotarło do niej, że to był żart. Musi szybciej rozpoznawać takie powiedzenia.

Zsiadła ze skutera i przekręciła klucz w simlocku, blokując kierownicę.

Z ministerstwa wyjechała pół godziny temu. Nikt nie patrzył na nią pytająco, gdzie idzie i o której wróci. Traktowano ją niczym powietrze. To było denerwujące. Kiedy zażądała dokumentów, które dotyczyły kradzieży monstrancji z bazyliki w Świętej Lipce, poinformowano ją, że ściągnięcie akt kontrolnych dawnego śledztwa może potrwać kilka tygodni. Pannie Nikt po raz kolejny uświadomiono, że jest nikim.

Eliza podeszła do furtki i położyła dłoń na klamce. Spojrzała na widoczne między czubkami krzewów jaśminu czerwone dachówki domu i niewielkie okienko poddasza. Czują od rana niecierpliwość. Co znajdzie w skrytce Poly Pam? A jeśli to tylko podpucha?

Obejrzała się na ulicę. Po obu stronach nie było żywego ducha. Przyszło jej do głowy, że nie chciałaby się rozczarować. Ponownie

spojrzała w górę. Nie ma co czekać. Zdecydowanie nacisnęła klamkę i weszła do niewielkiego ogródka. Potem otworzyła drzwi wejściowe i znalazła się w niewielkim holu. Ponownie chwilę nasłuchiwała. Nic. Kompletna cisza. Poprzednim razem celowo przyjechała tu z Moną, obawiając się, że otoczą ją duchy przeszłości. Ten lęk wcale nie minął.

Ojciec odszedł, gdy miała kilka lat. Tamten dzień kojarzył jej się z płaczem. Kiedy otwierała drzwi do domu bała się, że usłyszy szloch sprzed lat. Matka płakała całą noc, a ona leżała w swoim pokoju na piętrze i się bała.

Ale w domu panowała kompletna cisza. Przystanęła, gdy postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów wiodących na górę. Obejrzała się. Za nią nie było nikogo. Weszła na piętro. W rogu wąskiego korytarza znajdowały się kręte metalowe schody. Wspięła się nimi na strych.

Odniosła wrażenie, że w przestrzeni pod dachem nagrzone powietrze ma konsystencję galarety, którą spokojnie można kroić nożem. Rozejrzała się po wnętrzu osypanym z wierzchu siwą warstwą kurzu. Zanuciła:

Well you should see Polythene Pam.

She's so good-looking but she looks like a man

Well you should see her in drag dressed in her polythene bag

Yes you should see Polythene Pam.

Poszła w róg strychu.

– You should see her secrets box – mruknęła już mniej melodyjnie wers ułożony niegdyś przez ojca.

Odsunęła stojący na drodze stosik książek. Lekki obłoczek kurzu wzbil się w powietrze. Między związanymi paczkami gazet na szafce nocnej, na drewnianym kuferku, siedziała lalka w sukience z torby foliowej w niebieskie grochy.

Eliza zdjęła lalkę i otworzyła wieko. W środku leżały dwie szare grube koperty. Wyjęła z tylnej kieszeni spodni składany nóż. Szybkim ruchem nadgarstka uwolniła ostrze z blokady. Szczęknięta wyrzucona do przodu stalowa klinga. Przełożenie palców pozwoliło zablokować jej szpic na metalowej rękojeści. Eliza rozcięła brzeg koperty.

Przysiadła na pobliskiej stercie gazet, nie zważając na kurz. Rozłożyła kilkanaście kartek zapisanych drobnym okrągłym pismem.

„Kochana córeczko. Nie mogę się zdecydować, od czego powinienem zacząć, tak wiele spraw jest dla mnie ważnych i tak wiele chciałbym naraz opowiedzieć. Nie wiem, co wiesz na temat mojej przeszłości. Dlatego na początek mam wielką prośbę: nie odkładaj tych kartek, dopóki nie doczytasz ich do końca. Może wymagam zbyt dużo, przepraszam, ale to jedyna rzecz, o której spełnienie bardzo cię proszę. Zanim wydasz ostateczną opinię na mój temat, dowiedz się wszystkiego, co mam do opowiedzenia.

Moje życie potoczyło się w dość dziwny sposób, ale wbrew temu co (być może) twierdziła twoja mama nigdy o was nie zapomniałem, a wszystko, co do tej pory robiłem, w dużym stopniu miało na uwadze wasze bezpieczeństwo.

Myślisz, że przed wielu laty was porzuciłem. Nic bardziej błędnego. Zmusiły mnie do tego okoliczności zewnętrzne. Nie bez przyczyny napisałem ów wstęp do książki, którą po pogrzebie mamy wsunąłem do twojej torby przy skuterze. Jestem agentem policyjnym, który utkwiał między dwoma światami i o którym, jak przypuszczam, zapomnieli dawni mocodawcy z biura kryminalnego...”

Eliza z trudem przełknęła ślinę. Od narastających emocji lekko kręciło się jej w głowie. Może powinna przerwać czytanie, żeby uspokoić nerwy? Nie mogła jednak oderwać oczu od kartek. Jej dłonie lekko drżały.

Przez wiele lat matka o ojcu mówiła tylko obraźliwie. Był winien wszystkiemu, co spotkało je złego, no i Eliza z czasem zaczęła w to wierzyć. A jednak w pewnym momencie słowa matki zaczęły nie

zgadzać się same ze sobą. Jednego dnia mówiła tak, innego zupełnie odwrotnie. Nie chodziło tylko o mylenie faktów, ale ich interpretację i szukanie w ojcu winy nawet za cenę logiki.

Narastająca choroba matki i niemoc w znalezieniu odpowiedzi na wiele pytań coraz mocniej burzyły spokój Elizy. Zaczęła doświadczać napadów lęku i rozpoczęły się kłopoty ze snem. Wtedy zatrzasnęła za sobą drzwi do przeszłości.

„Jeśli nadal czytasz ten list, to znaczy, że nie stałem ci się obojętny i mogę liczyć na pomoc. Najpierw jednak powinnaś poznać prawdę...”.

Eliza z uwagą czytała każde słowo. Chciała w nie wierzyć, a jednocześnie coś podpowiadało, że powinna być ostrożna. Jednak im bardziej poznawała historię ojca, tym mocniej była przekonana, że starał się przekazać prawdę.

Czytała, jak został wciągnięty w pułapkę. Jak szukał wyjścia. Razem z nim przeżywała złość, gniew, lęk i frustrację. Wreszcie zrozumiała, dlaczego tak długo trzymał się z dala od rodziny.

„Každy mój ruch mógł sprowadzić na was realne zagrożenie. Przez wiele lat tkwiłem w pułapce, z której nie widziałem wyjścia. Zacząłem popadać w letarg codziennego trwania. Otrzeźwiła mnie śmierć twojej mamy. Nie chcę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda i dlatego muszę podjąć walkę o twoje pełne bezpieczeństwo. W drugiej kopercie znajdziesz dowody przestępczej działalności Rosnana. Ale nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli nie potwierdzi ich ktoś taki jak ja. Rosnan jest kuty na cztery nogi. Wszędzie ma przyjaciół, ludzi od siebie uzależnionych, szpiegów. W końcu pracował niegdyś w Służbie Bezpieczeństwa. Tam nauczono go sztuczek, dzięki którym dotąd wychodził z każdej opresji bez szwanku. Oszustwem, szalbierstwem i przekupstwem zdobył pozycję uczciwego człowieka, któremu rzekomo leży na sercu dobro polskiego dziedzictwa narodowego. Opowiem ci o jednym z jego krętaństw.

Od pewnego czasu Rosnan nosi na małym palcu prawej dłoni złoty sygnet. Na frontowym owalu ze srebra jest widoczna głowa gryfa z

czarnej laki. Początkowo nie zwróciłem na niego uwagi. Ale pewnego dnia przypomniałem sobie rozmowę, którą usłyszałem rok temu. Bratt Henry, o którym informacje znajdziesz w drugiej kopercie, zlecił programiście o pseudonimie Mateo włamanie się do kilku redakcji i wprowadzenie w ich internetowych wydaniach archiwalnych kilku zmian. Chodziło o odpowiednio spreparowane dopiski do artykułów. Do prawdziwych wypowiedzi policjantów dołożono fałszywe: że niby w trakcie prowadzonego śledztwa dziennikarze zebrali materiały, które wskazywały na to, że za każdym razem przed kradzieżą pojawiał się mężczyzna, który nosił na palcu sygnet z gryfem. Człowiek ów rozpytywał o znajdujące się w danym kościele dzieło sztuki, które potem w tajemniczych okolicznościach zniknęło. Zapytasz, czemu ów kant ma służyć? Podpowiem – zniszczeniu wiarygodności oskarżenia w przypadku ewentualnego procesu. Bo jeśli wśród wielu dowodów znajdzie się kilka, których prawdziwość uda się obalić, to wzbudzi w sędziach uzasadnione podejrzenie co do wiarygodności pozostałych. To prawdziwie lisia przebiegłość Rosnana. On planuje na kilka posunięć naprzód. Nie lekceważ przeciwnika”.

Eliza na chwilę oderwała wzrok od listu. Poczula narastające zmęczenie wszystkim, co przeczytała.

Sądziła, że jednego może być pewna, ojciec nie kłamał. Został wplątany w coś, co go przerosło. Może był głupi, może naiwny. Może nawet nie chciał widzieć tego, co się wokół działo. Ale już zapłacił swoją cenę. I zapłaciła ją też jej matka. Dostyc. Teraz winni muszą ponieść karę.

A żeby to zrobić, pomoże ojcu wydostać się z pułapki.

„Myślę, że przygotowałem sensowny plan. Jednak postępuj dokładnie według wskazówek. Tylko dzięki temu nie narazisz się na niepotrzebne ryzyko. Uwierz, że w tych sprawach wiem więcej i ja też potrafię przewidywać.

Chciałbym, córeczko, żebyś teraz dokładnie zrozumiała intencje tego, co za moment napiszę. Otóż, gdyby zdarzyło się tak, że mogłoby ci

coś grozić w jakimś momencie realizowania mojego planu, to bezwzględnie ci nakazuję, żebyś go porzuciła. Zbyt wiele poświęciłem, żebym teraz narażał cię na niebezpieczeństwo. Na razie twoim pierwszym zadaniem jest znalezienie policjanta, który zechce cię wysłuchać i nie zlekceważy tego, co masz mu do powiedzenia. Działaj roztropnie i sprawdź, czy osoba, do której się zwrócisz o pomoc, jest godna zaufania.

Prześluz mu zebrane przeze mnie dokumenty i przekonaj, że zatrzymanie Rosnana powinno nastąpić po programie, który za jego pieniądze jest obecnie przygotowywany przez telewizję holenderską. Dlaczego? Ten drań szykuje przekręt związany z obrazem Chagalla „Wenus z Witebska”. Namalowałem jego idealną kopię. Nie wiem, na czym oszustwo będzie polegać, może zechce sprzedać kopię jako oryginał, a ten zatrzymać dla siebie. Nie takie rzeczy robił już w przeszłości. Wiem, że wszystko się wyjaśni podczas holenderskiego programu... On jest tym podekscytowany, jakby planował skok stulecia. Spróbuję dowiedzieć się, o co chodzi, ale potrzebuję czasu. Mam nadzieję, że to właśnie będzie gwóźdź do jego trumny.

I proszę cię, nikomu, ale to nikomu oprócz owego policjanta nie mów o liście i dowodach, jakie przekazałem. Dla naszego bezpieczeństwa. Nie szukaj też ze mną kontaktu. Jeśli będę miał kolejne informacje, to podrzucę ci je w bezpieczny sposób.

Liczę na twoją mądrość i roztropność. Twój kochający ojciec”.

Eliza z lekkim osłupieniem wpatrywała się w kartki. Nie wiedziała, czego oczekiwała, ale z pewnością nie tego. A jednocześnie... to było absolutnie logiczne. Pamiętała tamten dzień, gdy patrząc z okna pierwszego piętra, widziała ojca i Rosnana, jak odchodzą i wsiadają do samochodu. Ojciec nigdy więcej nie wrócił.

Znajdź uczciwego policjanta. Tak naprawdę znała tylko jednego. Czy Marzec był uczciwy? Skąd mogła wiedzieć? Ale idealnie nadawał się do tego zadania. On też nienawidził Rosnana.

Z NADKOMISARZEM Marcem umówiła się w ulubionej kawiarni nieopodal domu. Policjant zastanawiał się przez kilkanaście sekund nad tym, co właśnie usłyszał od Elizy.

– Wierzy mu pani? – EmEm spytał wreszcie z namysłem. – Nie widziała go pani od dwudziestu lat.

Eliza sama zastanawiała się nad tym niemal całą noc. Wreszcie doszła do jedynie słusznego według niej wniosku.

– Chcę mu dać szansę. Bo jest duże prawdopodobieństwo, że jest tak, jak pisze.

Marzec skrzywił się lekko.

– Może tak, może nie. Już tyle w życiu widziałem. Ale ma pani rację. Nie możemy z góry przekreślać człowieka.

– To mój ojciec. Wierzę, że nie chce mnie skrzywdzić.

Policjant pokiwał głową, chociaż nie wydawał się przekonany.

– Nikomu pan nie ufa? – Eliza poczuła lekką złość.

– Tak jak pani uważa, że nie ma takiego czegoś jak przypadki, tak ja z doświadczenia wiem, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach. Ale to bezprzedmiotowa dyskusja. Jak jest, to się okaże. Tyle tylko, że musimy być ostrożni. Ok.?

– Jak najbardziej – Eliza uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Odpowie mi pani szczerze na jedno pytanie? – Marzec spojrzął z powagą.

– Zależy, co chce pan wiedzieć – odparła Eliza.

– Kocha go pani?

Eliza spanikowała w duchu. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Pamiętam ojca jak przez mgłę. Nie było go przy mnie w najważniejszych chwilach życia. – Potarła w zamyśleniu policzek. – Chyba jestem o to na niego zła. Może nawet bardziej niż zła. Sądzę, że pewne sprawy podkolorował, część przemilczał. Nie było mu do końca tak podle i nie sądzę, żeby stale myślał o mnie i mojej matce. Jeśli chce się mną posłużyć instrumentalnie, szybko się o tym przekonam.

- Co wtedy?

- Stracę ojca, tylko że wówczas już na zawsze. - Wyraz twarzy policjanta rozbawił ją. - Ma pan minę, jakby próbował mnie rozgryźć.

- Chcę zrozumieć motywy pani działania.

- Nie są aż tak skomplikowane. Ojciec, córka, więzy krwi...

Pokiwał głową, a potem zadał kolejne pytanie.

- Dlaczego ja?

- Komuś muszę zaufać, a z tego, co wiem, poluje pan na Rosnana.

- Wyznanie pani ojca na temat Rosnana może być prowokacją. To stary chwyt. Robisz wokół kogoś sporo szumu, bazując na podsuniętych dowodach. Tylko że te nieoczekiwane okazują się fałszywe. Jak z tym sygnetem. Dostajesz od szefów po uszach, a ten, na którego polowałeś, na twoich oczach beczelnie wywija przestępczy numer. Tyle że teraz nikt nie chce dać ci zgody, żebyś zajął się draniem.

Eliza wskazała na szarą kopertę.

- Gdyby poproszono mnie, żebym oszacowała sens zajęcia się tą sprawą, wówczas w skali prawdopodobieństwa dałabym czterdzieści procent na „tak”.

- Niewiele.

- Gdyby jednak zastosować niektóre z praw kombinatoryki, wyszłoby, że to wystarczy. A mówiąc wprost, można temu, co powiedziałam, dać wiarę lub też wszystko odrzucić. Jestem za pierwszą opcją. Nie tylko dlatego, że on jest moim ojcem, ale dlatego, że jego opowieść trzyma się kupy.

- No dobrze. Ma pani jeszcze moją wizytówkę z telefonem? - Eliza kiwnęła głową. - Proszę dać mi czas. Chciałbym poznać te dowody - uderzył palcem w szarą kopertę.

Chwilę patrzyła za odchodzącym. W jej myślach echem wróciło pytanie: „Kocha go pani?”. Miłość... Jeśli cokolwiek Eliza bała się bardziej od chaosu, to była nią miłość - czyli chaos totalny.

– WIELKA SPRYCIARA się przeliczyła – mruknął Nomad pod nosem i cisnął w róg pokoju pustą puszkę po coli.

Na razie udawało mu się utrzymać wszystko w tajemnicy przed Mateo i Amerykaninem. Obmyślił sobie, że kiedy będzie pewien, że namierzył ostatnie dwie lampy MonaLizy, pójdzie z tymi rewelacjami do Henryka. Już nawet ułożył sobie w głowie tekst tego, co zamierzał powiedzieć. Skłamię, jak to kilka dni wcześniej odkrył próbę włamania na ich serwer. Potem wrzuci parę słów o ciężkiej pracy i szybkiej identyfikacji intruza. Z pewnością mu uwierzą. Może nawet dzięki temu dostanie ekstra premię. W końcu należała mu się po ciężkiej harówce i kilku zarwanych nocach. A Mateo niech wtedy liże sobie łapę z zazdrości.

Zerknął na ekran komputera, na którym widniało kilka wykresów. Właśnie skończył sprawdzanie charakterystyki sygnałów, które emitowały poszczególne „lampy”. Dzięki analizie Selekcjonera odkrył, że „lampy” nie są cztery, tylko jest ich pięć. Ostatnią był komputer ściganej jaszczurki. To on właśnie dawał pierwszy sygnał, który trafiał do kolejnej „lampy”, a potem do następnych, a wszystkie go namnażały.

Najprostsze zagadki bywają najtrudniejsze do rozwiązania. Jak to wytłumaczy Amerykaninowi, żeby ten szybko pojął, w czym rzecz?

Potań palcami zmarszczone czoło, by w końcu się rozpoznać. Taka wersja będzie najlepsza: Ze źródła – czyli w tym przypadku z komputera MonaLizy – wychodził sygnał echa, o przykładowej charakterystyce impulsu „0”. I z takim zerowym znamieniem trafia do każdego z pulsarów. Z pierwszego wychodzi sygnał echa o deskrypcji „0,000099”. Z drugiego „0,000098”. Kolejnego „0,000097”. Każde następne namnożenie to strata kolejnej jednej milionowej znamiona kręgu danego echa.

Nomad wpadł na pomysł, że jeśli nakaże analizę charakterystyk wszystkich sygnałów, to wtedy wyseparuje sygnał o wyższym procentowym znamieniu i tym samym znajdzie się bliżej celu. „Zero bez cyfr po przecinku wskazało mi, że dotarłem do źródła, z którego

wychodzą pierwotne impulsy, czyli do komputera MonaLizy”, zakończył w myślach przemowę.

Od dwunastu dni jego Selekcjoner analizował wszystkie sygnały. Był niemal pewien, że zakończy zabawę za dwadzieścia cztery godziny.

– Mam ją – sapnął Nomad z ulgą.

MARIUSZ MARZEC zerwał kolejną kartkę z kalendarza. Był już dziesiąty lipca. Już nie musiał się śpieszyć z Rosnanem. Poprzednio stary dał mu czas na znalezienie powiązań Rosnana z morderstwami eksperta od Chagalla, Zygmunta Janickiego, i marszanda ze Sztokholmu, Leona Wileckiego. W pierwszym przypadku Bratt Henry wracał tym samym promem do Gdańska. W przypadku Wileckiego na podstawie zeznań kilku świadków sporządzono portret pamięciowy domniemanego sprawcy. Pasował do Amerykanina, cyngla Rosnana. Potem wynikła sprawa Borzęckiego i to, co zeznała niewidoma Alina Krasucka. Wtedy też w roli killera wystąpił Bratt. A gdy powiedział szefowi, że podczas sekcji Janickiego wyszło, że prawdopodobnie morderca był leworęczny – właśnie jak Henry – naczelnik dał mu kolejne trzy miesiące i już nie ponaglał.

Wszystko przyspieszyło po nieoczekiwanej rozmowie z Elizą Daniel. Po uzyskaniu zgody dyrektora Biura Wywiadu i Informacji Kryminalnej Komendy Głównej Policji poszedł do archiwum specjalnego.

– Jest Roma? – spytał siwowłosego archiwistę. Ten ruchem głowy wskazał komputer w głębi, przy którym siedziała ciemnowłosa apetyczna czterdziestolatka. Na jego widok kobieta uśmiechnęła się przyjacielsko.

– A cóż to cię zagnało w czeluści Hadesu? – spytała. – Mam ci pomóc ratować świat?

– A żebyś wiedziała – odparł i puścił jej oko.

Pokazał zgodę na odnalezienie teczek oficera prowadzącego, Stanisława Deresza.

– Taki facet nie istnieje w rejestrze zatrudnionych w Komendzie Głównej Policji – powiedziała Roma po chwili.

Przysiadł obok na krześle i spojrzął na monitor, gdzie pojawił się napis: „W systemie nie znaleziono nazwiska spełniającego kryteria wyszukiwania”.

– Możesz zastosować dokładniejsze kryteria?

– A masz zgodę dyrektora na głębsze przeglądanie zasobów? – Roma uniosła lewą brew.

Nie miał. Oczywiście mógł się wystarać, ale to by trwało, wymagało papierologii i użerania się z przepisami. A czas uciekał.

– Może spróbujesz w Centralnym Biurze Śledczym. Pliz. To ważne.

Zmarszczyła nos, ale zrobiła, o co prosił.

Tym razem pojawił się napis o zakazie dostępu do danych. Ta informacja wprawiła Marca w lekką konsternację. Facet nie istniał czy też nie można się było o nim nic dowiedzieć?

– A gdyby grzebnąć głębiej?

– Głębiej to już tajne przez poufne.

– Proszę. Mogę przez dwa tygodnie odprowadzać ci małego do przedszkola.

Mieszkali w sąsiednich blokach i czasem podwoził Romę do pracy samochodem. Była samotną matką, więc niekiedy podrzucał albo odbierał jej synka z przedszkola. Bywało, że w rewanżu zapraszała go na domowy obiad. Kilka razy poszli ze sobą do łóżka, bardziej licząc na radość z seksu niż na uczucie.

Roma z zafrasowaniem pokręciła głową.

– To nie będzie łatwe. Tylko szef generuje kody do archiwum specjalnego... – Spojrzała z ukosa na Marca, któremu z rozczarowania aż ramiona opadły. – Miesiąc przedszkola – zdecydowała nagle.

Aż się wyprostował.

– Podłość ludzka nie zna granic – odparł niby to jękliwie, ale oczy mu błyszczały. Cmoknął Romę w policzek. – Zgoda. Spróbuj.

Roma wywołała intranetowy program mejlowy i wysłała wiadomość do swojego naczelnika, że potrzebuje czasówkę do nielegalów, czyli zgodę na wejście na jednorazowym hasle do serwera, gdzie były przechowywane dane osób objętych programem ochrony świadka.

- Długo będziemy czekać?

- Chwilę.

Kilka sekund później w poczcie zwrotnej pojawiło się wygenerowane hasło.

- I już? - zdziwił się Marzec. - Zawsze ci daję hasło, jak prosisz?

Roma zachichotała.

- Masz po prostu cholerne szczęście. Dzisiaj i tak na polecenie szefa miałam tam wejść i uzupełnić tajne dane, dlatego o nic nie pytał. Ale miesiąc przedszkola wciąż obowiązuje.

- Nie boisz się, że oszukując bliźniego, ciężko grzeszysz?

- A ty jeszcze wierzysz w trójkącik z oczkiem o nazwie „Bozia”?

W utajnionych aktach znaleźli informacje, że w ramach niejawnej operacji antymafijnej sfingowano śmierć Deresza, który jakoby zginął w wypadku samochodowym.

A zatem kontakt operacyjny z Danielem mógł mieć miejsce i być może faktycznie zwerbowano go do współpracy.

- Znajdź mi jeszcze nazwisko „Andrzej Daniel”.

Chwilę potem na ekranie pojawiła się informacja, że na wniosek komisarz Jany Novák z Europolu akta w całości przesłano do policji europejskiej.

- Oznacza to, że wgląd do ich kopii ma jedynie dyrektor Biura - podsumowała Roma.

A zatem słowa Elizy Daniel były prawdziwe, pomyślał Marzec. Jej ojciec miał związek z policją. Tylko jaki? Postanowił, że wyjaśni tę sprawę.

- Co robisz pojutrze wieczorem? - Roma spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się, pewna, że jej nie odmówi.

BRATT HENRY wysiadł z auta. Zostawił samochód na parkingu obok domu Rosnana. Wszedł bocznym wejściem i schodami wspiął się na pierwsze piętro. Przeszedł korytarzem pokrytym chodnikiem, który stłumił jego kroki. Stał przed drzwiami biblioteki. Zapukał.

- Tak?

Wszedł do środka, podszedł do biurka i zajął stojący przed nim fotel. Zza otwartego okna, które wychodziło na duży ogród na tyłach domu, dobiegał kobiecy śmiech. Kolejna kochanka bossa? Cóż, nie jego sprawa. Skupił się na siedzącym za biurkiem Rosnaniu.

Marszand podniósł na Bratta pytające spojrzenie znad papierów.

- Wczoraj przekazałem Graatowi kolejne dwieście tysięcy euro - powiedział. - On ma jednak coraz większe wymagania. No i wszystko zmierza do tego, że program może kosztować więcej niż pół miliona. Facet zaczyna nas traktować niczym dojną krowę. Mógłbym sprawić, że stonuje żądania.

Rosnan zdecydowanie pokręcił głową.

- Gdyby nawet miało mnie to kosztować milion, i tak się opłaci. - Marszand jakby sobie coś przypomniał. - Muszę gdzieś zadzwonić. Daj mi chwilę.

Kiwnął głową, że rozumie. Sięgnął do kieszeni po Biblię i otworzył na przypadkowej stronie. Rzucił okiem. „Niechaj występni odejdą precz do Szeolu, wszystkie narody, co zapomniały o Bogu. Bo ubogi nie pójdzie w zapomnienie na stałe, ufność nieszczęśliwych nigdy ich nie zawiedzie. Powstań, o Panie, by człowiek nie triumfował; osądź narody przed twoim obliczem. Przejmij ich, Panie, bojaźnią; niech wiedzą poganie, że są tylko ludźmi”.⁴

„Amen”, szepnął w myślach Henry.

MONA GŁOŚNO ziewnęła. Siedzący obok na blacie biurka kot otworzył sennie oczy i również się przeciągnął.

- Widzę, że strasznie się zmęczyłaś tą całodzienną drzemką. Masz rację, czas na prawdziwy sen - spojrzała na wiszący na ścianie zegar

elektroniczny, na którym minęła północ. – Dziś pójdziemy wcześniej spać. – Wstała zza biurka, podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

Kiedy Mona weszła do łazienki, Minio zeskokczył na podłogę i pobiegł za panią. Jednak w połowie drogi skręcił w stronę sypialni. Drzwi nie były dostatecznie uchylone, więc pomógł sobie łapą. Potem obejrzał się za siebie. Przez kilka sekund z nastroszonymi wąsami nasłuchiwał plusku prysznic. Już dawno nauczył się, że o tej porze nie ma co chodzić tam za panią, gdyż tylko można narazić się na ochłapanie. To nie dla niego.

Wskoczył na rozścielone łóżko i w nogach rozłożył się w poprzek szerokiego materaca.

Kilka minut później Mona weszła w szlafroku. Rzuciła go przy łóżku na podłogę i naga wskoczyła pod kołdrę. Kiedy zgasiła światło, wymacała stopą kocie futerko.

– Czasami fajnie jest, jak ktoś przytuli się do ciebie przed snem.

Kot zamruczał, choć niekoniecznie znaczyło to, że podziela jej pogląd.

NOMAD ZATRZYMAŁ samochód poza jasnym kręgiem światła, które rzuciła najbliższa latarnia. Zastanawiał się, nie bez satysfakcji, nad miną ściganego zajęczka, gdy zobaczy obok swojego łóżka łowcę. Czy mogła mieć świadomość, kim on jest? A może to nie baba, a facet? Nie ma się co zastanawiać. Dotknął kieszeni, gdzie miał sprężynowy nóż. Wkrótce się przekona.

Sięgnął za siebie po plastikową taśmę, używaną do wiązania większych zwojów okablowania. Był pewien, że przyda się do skrępowania nóg i rąk MonaLizy i zaklejenia ust. Co dalej? Zawiezie do Amerykańca? Wzdrygnął się. Nie życzył hakerowi śmierci. Postanowił, że na razie MonaLiza przeleży nockę w bagażniku. A potem się zobaczy.

Wysiadł z samochodu, przebiegł w stronę ogrodu. Furtka była otwarta. Krótki sprint i znalazł się przy drzwiach wejściowych. Zagryzł między zębami małą latarkę punktową, żeby oświetlała zamek. Wsunął

wytrych w otwór klucza. Na wycucie zaczął badać rozmieszczenie zapadek. Wreszcie rozpracował ich układ.

„Zdziwiony kotek”, mruknął w myślach, posuwając jeden z wytrychów lekko do przodu. „Zdziwiona kaczka”. Przekręcił pierwszy bolec blokady. „No i na koniec...”. Zmrużył oczy, żeby skoncentrować się na przedostatniej i wreszcie ostatniej zapadce. Kiedy ta również cicho szcęknęła, dopowiedział: „Pracza dziwaczka”.

MONA PODERWAŁA się na łóżku. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że z pracowni dolatuje jednostajne bipanie. Zsunęła nogi z tapczanu i poszukała stopami kapci. Minio niespokojnie uniósł głowę.

– Spoko, właśnie zidentyfikowali lampę widmo. – Pogłaskała kota uspokajająco. – Trochę to ich wkurzy, bo pewnie myśleli, że już mnie dorwali. Ale to znak, że zabawa zaczyna się na całego.

NOMAD STAŁ nad laptopem, który znalazł w trzecim pustym pokoju niezasiedlonej willi, znajdującej się na niedawno oddanym do użytku osiedlu.

– Jak dorwę sukę, to poszatkuje jej cycki na kawałki – warknął pod nosem.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Musiał ponownie spokojnie i dokładnie przeanalizować sposób myślenia hakerki (hakera?) o ksywie MonaLiza.

MONA ZABRAŁA z pracowni butelkę z wodą. Czasami w nocy musiała zwilżyć gardło. Kiedy wróciła do łóżka i otuliła się kołdrą, zauważyła, że zapomniała w pracowni wyłączyć światło.

– Chłop jesteś – szturchnęła stopą kota. – Niedawno mówiłeś, że trzeba oszczędzać. Rusz się, bo na mnie nie masz co liczyć.

Odwróciła się plecami do drzwi i chwilę potem zapadła w głęboki sen.

MARZEC ZATRZYMAŁ samochód przy ulicznym krawężniku. Spojrzał na sąsiedni blok, gdzie mieszkała Roma. Zerknął na różę leżącą na siedzeniu obok. Nie chciał się w nic angażować. A z Romą ostatnio widywał się za często.

Otworzył okno i wyrzucił czerwoną różę na ciemną powierzchnię asfaltu.

Rozdział szesnasty

– Tango jest niebywale prostym tańcem – głos dobiegający z radia pełen był pedagogicznej ekspresji. – Trzeba jedynie trzymać się taktu. I tak stawiamy kroki... – zabrzmiały tony muzyki – pierwszy wolno, wolno. Drugi szybko, szybko, wolno. Trzeci szybko, szybko, wolno. No i jeszcze warto sobie przyswoić, że takt składa się z czterech równych uderzeń.

Eliza wyłączyła radio. Właśnie kończyła przeglądanie zadań zrealizowanych w pierwszych trzech miesiącach po objęciu stanowiska Obserwatora Łącznikowego. Co prawda nikogo to nie obchodziło, ale tak czy inaczej była do tego zobowiązana.

Co jakiś czas zadawała sobie pytanie, dlaczego naprawdę dostała tę pracę? Dlaczego ojciec odezwał się dopiero teraz, a nie miesiąc wcześniej lub dwa później, ale właśnie kiedy była na wylocie w telewizji. A co z przypadkowym spotkaniem z Moną? Po dłuższym zastanowieniu to ostatnie uznała za epizod niezwiązany z wyliczonym chwilę wcześniej ciągiem. Ten zaś, zgodnie z teorią przypadku, wskazywał na jego całkowitą nieprzypadkowość. Coś miało się wydarzyć, lecz ona nie bardzo wiedziała, w jaki sposób do nadejścia owego czegoś powinna się przygotować.

– Najlepiej więc zostawić wszystko przypadkowi – prychnęła pod nosem.

Chociaż lekceważono jej funkcję, postanowiła skorzystać z okazji i stworzyć kompleksowy katalog stu dzieł sztuki, które zostały ukradzione na terenie Polski. Miał on zawierać nie tylko szczegółowe dane zrabowanych przedmiotów ze zbiorów państwowych, kościelnych i prywatnych, ale wszystkie informacje, które po kradzieży ukazały się na dany temat w prasie – artykuły, notatki prasowe, a także audycje i

programy, które zarejestrowano na nośnikach audio czy wideo. Do tego miały być dołączone akta kontrolne śledztw z ewentualnym wyłączeniem (wykreśleniem) tajemnic służbowych, które, prawdę mówiąc, po zamknięciu epoki milicji obywatelskiej i tak były już nieaktualne.

Internetowa baza danych była już częściowo oprogramowana przez Monę, a materiały w dziesięciu procentach zdigitalizowane. Zaczęła od spraw najgłośniejszych i najważniejszych strat dla kultury narodowej. W efekcie za kilka miesięcy będzie można pokusić się np. o pokazanie „mapy kradzieży”, jak też porównanie charakterystyk *modus operandi* większości rabunków. Do realizacji owego zadania zatrudniono czteroosobowy zespół programistów, którzy pracowali pod kierunkiem Mony.

Ostatnie dni Eliza i Mona spędziły na sprawdzaniu zestawień największych kradzieży dzieł sztuki sakralnej ostatniej połowy ubiegłego wieku. Oczywiście większość dzieł ukradziono z kościołów z bardzo prostego powodu – w przeciwieństwie do stosunkowo dobrze chronionych muzeów państwowych świątynie, gdzie znajdowała się lwia część naszego dziedzictwa, często zabezpieczano na tzw. „patyk”. Nie wspominając o kompletnej ignorancji wielu proboszczów, którzy nie zdawali sobie sprawy, jak cenny obiekt historyczny znajduje się w ich parafii.

Niekiedy nie potrzeba było złodzieja, żeby wielkie dzieła przeszłości zostały zniszczone lub okaleczone. Przed tygodniem Eliza dostała informację od poznańskiego wojewódzkiego konserwatora zabytków, że jeden z duchownych, po uzyskaniu zgody rady parafialnej, pomalował tanią złotą farbą przepiękny drewniany barokowy ołtarz, ponieważ uważał, że powinien być... zdobiony na bogato. Jego renowacja, według wstępnych szacunków, miała kosztować piętnaście tysięcy złotych.

Dziś Mona i Eliza rozpoczęły pierwsze testy bazy danych, które wypadły obiecująco. Niemal na samym początku Eliza umieściła informację, że pierwsza tego typu internetowa baza danych w Polsce

została zbudowana w roku 2000 dzięki osobistemu zaangażowaniu Piotra Ogrodzkiego, dyrektora Ośrodka Ochrony Zbiorów Publicznych, i od tamtej pory była sukcesywnie uzupełniana i rozbudowywana.⁵

Eliza wpisała w wyszukiwarce słowa „złoty sygnet z gryfem”. Po chwili automat wyświetlił na ekranie trzy śledztwa, w których przewijał się podejrzany, który nosił złoty sygnet z czarną głową gryfa na srebrnym tle. Jedno ze śledztw dotyczyło kradzieży ikony Matki Bożej Rudeckiej.

Kiedy Eliza wpisała numer katalogowy ukradzionego zabytku, na ekranie ukazały się informacje o historii ikony oraz przebieg późniejszego śledztwa. „Pierwsza wzmianka o obrazie Matki Bożej, nazwanej później Matka Bożą Bieszczadów, pochodzi już z roku 1612, kiedy to Tatarzy napadli na miasta i wioski ziemi podolskiej. Kolejna informacja datowana jest na 1624 r., kiedy orda Kantymira plądrowała ziemię sanocką. Legenda głosi, że w miejscowości Żeleźnica, w tłących się zgliszczach świątyni, obraz Matki Bożej odnalazł rycerz Jerzy z Goraja – Czuryło. Po złożeniu hołdu cudownemu obrazowi wziął go ze sobą i potem umieścił w kościele parafialnym w Rudkach”.

W nocy z 7 na 8 lipca 1992 r. malowidło zostało wycięte z ram w ołtarzu głównym. W pierwszych dniach śledztwa udokumentowano co następuje:

„...ustalono, że przed uroczystościami odpustowymi w parafii pojawił się mężczyzna, który pytał o zabezpieczenia Madonny. Świadkowie zapamiętali, że na palcu prawej dłoni miał złoty sygnet z czarną głową gryfa na srebrnym tle”.

Eliza dwa razy przeczytała ostatnie zdania. Ojciec twierdził, że to zmyłka. Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła papierowe akta kontrolne śledztwa w Rudkach, które przy pomocy Marca ściągnęła z policyjnych archiwów. Przeczytała dwa razy zeznania świadków i nie znalazła w nich ani słowa o tajemniczym mężczyźnie z sygnetem.

Zatem ojciec pisał prawdę. Poczwała ulgę.

Zaskrzypiały drzwi. Do pokoju weszła Mona z otwartym laptopem w dłoniach.

- To na pewno cię zainteresuje - postawiła sprzęt na biurku i wskazała na ekran. - Znowu odwiedziłam stronę aukcji „Wenus z Witebska”.

U spodu fotogramu obrazu widniała wylicytowana suma dwudziestu ośmiu milionów siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ogromna jak za Chagalla. Najwyraźniej Rosnan przygotowywał jakiś kozacki numer. Tylko jaki? I dlaczego ojciec Elizy miał namalować idealną kopię tego obrazu?

Parę dni temu, kiedy zastanawiały się, dlaczego Rosnan nie sprzedaje malowidła w renomowanym domu aukcyjnym, Mona rozsądnie zasugerowała, że najwidoczniej nie zależy mu na szerokim kręgu uczestników licytacji. Zwrócił się tylko do wybranych pięćdziesięciu osób, które nie dość, że interesowały się kubizmem, to prawdopodobnie dysponowały stosownie dużymi pieniędzmi.

Eliza przypomniała sobie fragment wywiadu z Rosnanem w jednym z tygodników. Dziennikarz spytał wprost o źródła pochodzenia majątku marszanda. W odpowiedzi usłyszał, że ten grał w ruletkę i kilka razy uśmiechnęło się do niego szczęście. I nikt już więcej o nic nie pytał. Stary lis wodził dziennikarzy za nos, a tym wydawało się, że jak stado wilków coraz bardziej osaczają przyszlą ofiarę. Naiwniaki.

- „Wenus” nie jest warta dwudziestu ośmiu milionów - stwierdziła Eliza.

- Wiem. W 2013 roku obraz „Troje akrobatów” Chagalla został sprzedany za trzynaście milionów trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów - wtrąciła Mona. - Skąd zatem to podwójne przebicie?

- Może aukcja.

- Co, aukcja? - nie załapała Mona.

- Emocje. Właśnie po to robi się takie licytacyjne spędy, żeby emocje wzięły górę nad kalkulacją. W pewnej chwili już nie tak liczy się kupno obrazu, co zwycięstwo i pokazanie siły swoich pieniędzy. No i jeszcze

jedna ważna sprawa. Określona rzecz warta jest tyle, ile ktoś chce za nią zapłacić. Pamiętam, że jakiś czas temu chciano sprzedać Stocznnię Gdańską za przysłowiową złotówkę. Dlaczego zatem ktoś miałby nie kupić „Wenus” nawet za pięćdziesiąt milionów?

ROSNAN SPOGLĄDAŁ obojętnie przez okno samochodu na mijane po drodze auta. Kilka minut temu wyjechał z podwarszawskiej posiadłości, gdzie spędził weekend z nową kochanką. Stewardesa była równie śliczna co jej poprzedniczka, ale znacznie mądrzejsza. Wątpliwe jednak, żeby jak Lenka zadowolili się kilkoma świecidełkami od jubilera.

Na razie przyszłość z Anitą zapowiadała się różowo. Często nie było jej w kraju, więc nikt nie będzie siedział mu na głowie, wzdychał, czegoś chciał i o coś się dąsał. A czas biegł nieubłaganie. Skończył się sierpień i od dwóch dni wystawę „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki” oglądali już Paryżanie. Nadeszła pora, kiedy musi dokonać paru rozstrzygnięć. Od ponad roku wyczekiwał na ten moment, a jednocześnie jakby się go obawiał. Ale to tylko podnosiło w nim adrenalinę, a on lubił mocne doznania.

Dziś rano Bratt poinformował, że umówił spotkanie z Mietielinem. Ten etap życia również musi zostać zakończony. Rozstanie z Dimą Bratt przygotował w najdrobniejszych szczegółach. Jednak jak zawsze istniał margines błędu, którego nie da się przewidzieć. To też sprawiało, że krew szybciej krążyła w żyłach. Lata pracy z Mietielinem nie były złe. To prawda, że Rosjanin wydawał mu polecenia, ale Rosnan przez długi czas nie miał nic przeciw temu. Ważniejsze było to, że z roku na rok jedno z jego szwajcarskich kont rosło w satysfakcjonującym tempie.

Trzeba się upewnić, czy Daniel jest gotowy. Jego „Wenus” zachwycała, była genialna. Ten warsztat, pewność pociągnięć pędzla, przenikliwość kolorysty, którą zgłębiał latami, studiując tajniki mieszania i kładzenia farb. Jeszcze niedawno Rosnan zastanawiał się, czy Daniel nie prześcignął samego Chagalla. A jednak ktoś najwyraźniej

okazał się lepszy, bo Daniel uznał „Wenus” za oryginał. Falszerek, pomyślał Rosnan, oszukał falszera.

A może wcale nie oszukał, może Daniel wiedział, że to podróbka. Może nawet sam ją stworzył?... Usta Rosnana wygięły się w grymasie niewiele przypominającym uśmiech. Kiedy dwa lata temu Bratt powiedział mu, że podczas hakowania archiwów policyjnych, z których zamierzał wydobyć zeznania pewnego świadka koronnego, trafili na informację, że Daniel jest agentem prowadzonym przez niejakiego Deresza, Rosnan doznał swoistego... olśnienia. Pamiętał tamtą więzienną próbę lojalności, którą Daniel zdał śpiewająco. Nie wiedział wtedy, co miał o tym sądzić – czy malarz jest tchórzem, czy idiotą. Być może już wtedy był szpiclem i doskonale wiedział, że to podpucha.

Ważne było co innego – Daniel nie kłamał. O sobie, o swojej rodzinie, o tym, co do niej czuje. Był zimnym draniem, który kalkulował, jak tylko jemu ma być w życiu lepiej, wygodniej i bardziej zasobnie. Rosnan miał identyczny charakter, a że swój pozna swego, więc nie mógł się mylić. Początkowo Bratt chciał posłać Daniela do piachu, ale talent malarza był zbyt cenny. Poza tym marszand miał satysfakcję, że trzyma zdrajcę na smyczy. To była kolejna dawka podkręcającej go adrenaliny.

Nakazał więc tylko Daniela obserwować. Przez dwa lata nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek próbował się z nim kontaktować. Rosnan doszedł zatem do wniosku, że ma do czynienia ze śpiochem. Agentem, który uaktywni się dopiero w określonych okolicznościach, na przykład gdy aresztuje go policja. A wtedy, jako świadek koronny powie, co widział i wie...

Kiedy w Lokrum przedstawiono mu plan działania, przyszedł mu do głowy przewrotny pomysł. Wiedział już, do czego może wykorzystać Daniela i jego podwójną grę.

ROSNAN WSZEDŁ do pracowni malarza. „Wenus z Witebska” stała na sztalugach. Kiedy ogarnął wzrokiem płótno, ponownie kiwnął z

uznaniem głową.

– Jest piękna.

– Też uważam, że wygląda okej – Daniel stwierdził jakby od niechcenia.

– Mówiłem już, że to chyba twój najlepszy obraz.

Po chwili malarz kiwnął głową. Rosnanowi przemknęło przez myśl, że oto ostatnia figura ustawiła się na szachownicy. Wkrótce też Mietielin ruszy swoje pionki.

– Miałeś mi powiedzieć, co szykujesz na grudzień. – Daniel poszedł w stronę kuchni. – Ale wcześniej... czego się napijesz?

– Może być kawa.

Dziesięć minut później Daniel postawił na stoliku dwie dymiące filiżanki.

– Co więc będzie w grudniu?

– Choinka – zaśmiał się Rosnan – i mnóstwo niespodzianek.

– To żart?

– Ależ skąd. Pamiętasz, mówiłem, że 21 grudnia polecisz ze mną do Amsterdamu.

– Dlatego chciałeś mieć kopię?

– Niezupełnie.

– Więc? – Daniel spojrzał w oczy Rosnana.

Rosnan uśmiechnął się i, nie odrywając wzroku od obrazu, powiedział powoli:

– Chcę, żebyś mnie zdradził.

– Zdradził? – głos malarza był pełen zdziwienia, ale spokojny.

– Aha.

– Co masz na myśli?

Rosnan wreszcie spojrzał na Daniela, który patrzył na niego zdziwionym i nieco napiętym wzrokiem.

– Chcę, żebyś wziął „Wenus”, pojechał do Mietielina i powiedział mu, że oszukałem go w czasie ostatniego spotkania.

Daniel jakby przestał się dziwić. Napięcie znikło.

– Czyli?

– Że nie zamierzam dzielić się z nim pieniędzmi ze sprzedaży obrazu Chagalla. A ty masz dość współpracy z facetem, który nie docenia twojego talentu. Wielkiego talentu, o czym właśnie zaświadczy przywieziona kopia „Wenus”.

– Będzie chciał sprawdzić, czy go nie oszukuję.

– Z pewnością wezwie eksperta. A ten potwierdzi, że to oryginał, więc Mietielin będzie pewny twojego geniuszu. Nie masz się czego bać.

– Tak zawsze mówią ludzie, którzy sami zostają w ciepłe domowego zacisza. – Daniel wzruszył ramionami.

– Nic ci nie grozi. Wierzysz mi?

– Jasne, ale zajmuję się malowaniem, a nie rozmowami z ludźmi, którzy nie mają oporów w zabijaniu.

– Andrzej, pracujemy ze sobą od tylu lat i jesteśmy przyjaciółmi. Powiem więc otwarcie: zamierzam sprowokować Mietielina, żeby mnie zaatakował. Pytałeś o święta. Pod choinkę chcę dostać sporo forsy i wolność. Dla ciebie i siebie. – W oczach Daniela pojawiło się zaskoczenie. – Ależ tak, zamierzam zamknąć biznes. I ty, i ja będziemy mieć tyle kasy, żeby nie martwić się o jutro. Żebyśmy jednak pod choinką znaleźli prezenty, każdy musi zagrać część roli Świętego Mikołaja.

– Nie znam Mietielina. Co to za człowiek?

– Opowiem pewną w historię, która w dużym stopniu będzie odpowiedzią na twoje pytanie. Jakiś czas temu przeczytałem wywiad z pewnym rosyjskim gangsterem. Amerykański dziennikarz pyta: „Zarabiasz kupę forsy? Setki milionów dolarów?”. A on na to: „Jasne”. Dziennikarz drąży: „Kiedy finansowi ojcowie założyciele Ameryki – J.P. Morgan czy Carnegie – zaczęli robić pieniądze, byli takimi samymi jak ty ludźmi, którzy przestrzegają jedynie wyznaczonych przez samych siebie reguł. Ale potem postanowili zrobić coś dla kraju, którego prawo mieli w zadzie. Czy myślisz, że pewnego dnia też będziesz budować

szpitale, muzea, sale koncertowe?”. Gangster przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. A potem rzucił: „Odpierdol się”.⁶ Powtórzyłem ten fragment Dimie podczas któregoś z naszych spotkań przy wódce, a on zaśmiał się i powiedział: „Jakbym słyszał siebie”. Jak widzisz, temu facetowi zależy tylko na forsie. W przeciwieństwie do niego ty i ja chcemy czegoś więcej.

Po dłuższym milczeniu Daniel spytał:

– Nie uwierzy w moją bajkę.

– Powiesz, że zniszczyłem twoje małżeństwo, odseparowałem od córki.

– Rodzina? To nie jest powód, by zdradzić przyjaciela.

Patrzyli sobie w oczy, Rosnan z rozmysłem odwrócił wzrok, ale jeszcze zdążył zobaczyć, jak Daniel rozprostowuje zaciśniętą prawą pięść. Uśmiechnął się w duchu.

– To prawda. Ale kiedy mu powiesz, że zawłaszczyłem sobie twoją twórczość i wykorzystuję talent... Że pewnego dnia próbowałeś już ode mnie odejść. Wtedy zabiłem ci żonę. Otrułem ją, żeby cię zastraszyć. Teraz więc chcesz się zemścić.

Daniel potarł nerwowo czoło.

– To nie brzmi ciekawie.

– Być może dla ciebie – roześmiał się Rosnan. – Ale przecież sekcja wykazała, że nie zesła z tego świata z przyczyn naturalnych. Tak więc Mitielin znajdzie potwierdzenie twoich słów.

– Okej, załóżmy, że uwierzy.

– Wtedy powiesz, że szykuję na niego zamach.

– Naśle na ciebie zabójców.

Rosnan pokręcił głową.

– Znam tego faceta.

– Znasz? Jest miłosierny? Nadstawia drugi policzek?

Rosnan wbrew woli wyobraził sobie Mitielina nadstawiającego drugi policzek i szczerze się roześmiał. Prędzej piekło zamarznie...

– Oczywiście, że mnie zlikwiduje, ale jeszcze nie teraz. Jest w trakcie dużego przerzutu z Iraku wotywnych rzeźb z Esznunni i przedmiotów z kompleksu świątynnego w Nippur. Dima potrzebuje mojego wsparcia. Dlatego będzie chciał tylko mnie zastraszyć, a załatwi za dwa miesiące.

Daniel westchnął i spojrział przez okno na ogród skąpany w słońcu.

– Mówisz to wszystko z takim spokojem.

– Chyba nie sądzisz, że dzisiejszego ranka przy goleniu wpadłem na pomysł, żeby wysłać cię do Mietielina? – zadrwił marszand.

– Potrafię trzymać pędzel w dłoni, namalować portret, ale nie jestem bohaterem. I nie potrafię grać na dwa fronty...

Rosnan pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Wspomniałeś, że jesteś artystą.

– Co to zmienia?

– Masz wyobraźnię, więc potrafisz sobie wyimaginarować, że mógłbym skrzywdzić Elizę, prawda? Mimo wszystko to twoja córka, choć od lat masz ją gdzieś. Ta świadomość pozwoli ci dobrze odegrać swoją rolę przed Mietielinem.

NOMAD ANALIZOWAŁ oprogramowanie, które miało wyszukiwać rozstawione przez MonaLizę lampy. Przed dwoma dniami zdjął drugiego pulsara i parę sekund później uruchomił jego kopię, która była już pod jego kontrolą. MonaLiza najwyraźniej nie zauważyła, że nastąpiła kilkusekundowa przerwa w działaniu oryginału.

Kiedy wczorajszego popołudnia zadzwonił Amerykaniec, poczuł gwałtowną suchość w gardle. Na szczęście na spotkanie z nim pojechał Mateo. Najprawdopodobniej rzecz dotyczyła przypadków, na szczęście niezbyt częstych, zawieszania się strony z obrazami galerii. Chyba że Bratt odkrył oszustwo Nomada.

W jednej sekundzie spocił się, jakby właśnie wepchnięto go do sauny. Wypił morze wody, a i tak panika wysuszająca gardło nie poddawała się aż do powrotu kumpla.

– I co? – spytał natychmiast, jak tylko Mateo pojawił się w otwartych drzwiach mieszkania.

– Daj się rozebrać.

– Gadaj.

– Chodzi o wieszającą się stronę, która otwiera serwis. Jak szybko uporamy się z problemem, to nam odpuści.

– Możesz całym zdaniem?

– Powiedział, że rozumie utrudnienia i w ogóle, ale jak nie będziemy lepiej przykładać się do roboty, to zwolni nas z obowiązku pracy.

– Przyśle nam wymówienie? – prychnął Nomad, ale gdy ujrzał ponure spojrzenie Matea, zrozumiał prawdziwy sens groźby. – Żartujesz.

Mateo pokręcił głową.

– Przetrzyiałem twoich dwóch poprzedników, więc coś tam wiem.

– Kto był ostatnim? – spytał niezbyt pewnym głosem.

– Miał ksywę Wirtuoz. Był niezły w komputerowe klocki, ale był też nieroztropny.

– Czyli?

– Zhakował kompa Rosnana. Potem chciał o czymś pogadać z zaprzyjaźnionym dziennikarzem. Ale miał pecha... Ktoś obciął mu wredny język, a że nie miał jak wezwać pogotowia – zaśmiał się zimno – to udławił się własną krwią.

Nomadowi zebrało się na mdłości.

– A jeśli chodzi o te sprawy – Mateo uderzył kilkakrotnie palcami w klawiaturę – to był od ciebie lepszy.

– Wal się.

Przeszli do pracowni. Mateo wyjął z kieszeni dwie puszki piwa i rzucił jedną Nomadowi.

– Należy nam się.

Napięcie, które dotąd wisało w powietrzu, wreszcie odpuściło. Po raz pierwszy tego dnia Nomad wziął głębszy oddech. Rozparł się w

fotelu i położył nogi na biurku. Przez sekundę chciał powiedzieć Mateo o odkrytych lampach, ale uznał, że to jeszcze za wcześnie.

- Co on tak złagodniał? - zapytał, otwierając piwo.

- Ee tam, złagodniał. - Strzeliła puszką Mateo. - Wytłumaczyłem, że ciężko harujemy i żaden nie ma czasu na lenistwo.

- Pytał o coś jeszcze? - Znowu zrobiło mu się sucho w gardle.

Mateo pokręcił przecząco głową.

- Luz. Na dzisiejszą noc priorytetem jest ta cholerna strona otwierająca serwis.

Popijając piwo, Nomad uświadomił sobie, że tęskni za Moniką. Nie widzieli się kilka dni. Umawiali się co czwartek w pizzerii, ale w ten czwartek miał przesrane, cały wolny czas musiał poświęcić na napisanie nowego programu tropiącego MonaLizę.

- Zabiję dziwkę, jak przez nią stracę Monikę - mruknął do siebie. - Bez dwóch zdań.

Rozdział siedemnasty

Mona poczuła wzbierającą złość. Stała przed lustrem i tłumaczyła samej sobie, że to nie czas na takie idiotyzmy. Że facet jest jej potrzebny jak plaster na hemoroidy. Że nie może się rozpraszać, a ten chłopak z czubem zdecydowanie ją dekoncentrował. Próbowała zająć się pisaniem nowego oprogramowania, ale co jakiś czas kierowała wzrok w dolny róg ekranu, na zegar. Dwie godziny do spotkania.

To nie był dobry pomysł, tłumaczyła sobie. Niewłaściwy czas, niewłaściwie miejsce, i... niewłaściwa dziewczyna. I wtedy przypomniała sobie, co kiedyś powiedziała jej matka o ojcu. Spotkali się przypadkowo w kawiarni. Mimo tego, co potem się stało, nigdy nie żałowała, że tamtego dnia weszła napić się kawy.

Czy będę żałować, jeśli nie pójde?

Wal się, odpowiedziała swojemu drugiemu „ja”.

Zaczęła dłubać przy zmiennych czasowych. Kod zawsze pisała niemal w locie, a teraz co chwila się myliła.

Godzina dwadzieścia minut. Zatrzasnęła laptopa. To nie miało sensu. Musi zająć czymś myśli, a nie co chwila gapić się na zegar.

Przecież nie idzie na spotkanie.

Jest tyle spraw do przemyślenia. Na przykład Eliza. W jaki sposób odkryła, że Rosnan zbudował wokół siebie sieć zabezpieczeń? Jak trafiła na mylne doniesienia prasowe spreparowane dla tych, którzy chcieliby wytropić przeszłość marszanda? Bezbłędnie wyłapała fałszywe drogowskazy, które jednoznacznie podpowiadały, że Rosnan brał udział w kilku najgłośniejszych kradzieżach ostatnich lat. A co najbardziej niepokojące, dlaczego jej o tym nie powiedziała, Mona musiała

przejrzeć dokumenty, które Eliza z takim zapamiętaniem czytała, żeby się tego dowiedzieć. Pewnie jej wciąż nie ufa. I ma rację.

Czasami odnosiła niepokojące wrażenie, że wzrok Elizy przeświała ją na wylot. Gdyby poznała jej najskrytsze myśli, Mona znalazłaby się w tarapatach.

Pięćdziesiąt minut.

Nigdzie nie idę.

Przymknęła oczy i przypomniała sobie, jak Nomad patrzył na nią ostatnim razem. Jego oczy lśniły, a po jej ciele rozlało się wtedy ekscytujące uczucie przyjemnego zaniepokojenia. Nigdy niczego podobnego nie doświadczyła. Potem było dotknięcie jego dłoni, które posłało po skórze elektryczną iskrę.

Otworzyła oczy. Oddychała szybko.

– Szlag by to trafił.

Poderwała się z miejsca. Przeszła do sypialni i włączyła odtwarzacz. Pulsująca muzyka zespołu „Yes” rozlała się po pokoju. Chwilę błędziła wzrokiem po meblach, ścianach. Na wprost wisiało lustro. Na odbijającym się w nim panelu sterowania odtwarzacza dostrzegła odwrócone cyfry zegara.

Dwadzieścia dwie minuty.

Wyłączyła muzykę, która tylko ją drażniła. Poszła do kuchni i popatrzyła na górę brudnych naczyń, które leżały tam od trzech dni. Puściła wodę, chwyciła gąbkę, wylała na nią płyn do mycia i zaczęła z zapamiętaniem szorować talerze, kubki, salaterki, sztucce i miseczki. Pod koniec zmywania robiła to z coraz większą złością. Wreszcie jeden z kubków wysliznął jej się z dłoni i rozbił o podłogę.

– Kurwa.

Pobiegła do sypialni i przebrała się w kolorową sukienkę, którą kupiła poprzedniego dnia. Potem wybiegła z domu, tylko raz przekręcając klucz w zamku. Do pizzerii miała niedaleko. Była pięć minut przed czasem. Zamówiła wodę i zaczęła opanowywać przyspieszony oddech. Nie chciała, żeby Nomad wiedział, że biegła.

Tyle że on nie przyszedł.

MONA SZŁA w milczeniu obok Elizy, ręce wsunęła w kieszenie skórzanej kurtki. Dochodziła godzina czternasta. Wracali z lunchu, każda zatopiona we własnych myślach. Jak zwykle o tej porze Puławska była pustawa. Ulica zapełni się samochodami koło szesnastej, kiedy ludzie będą wracać do sypialni Ursynowa czy Piaseczna. Koniec września. Niedługo zaczną szybko robić się ciemno, więc korki będą jeszcze większe.

Zagryzła dolną wargę. Dlaczego Nomad nie przyszedł na spotkanie? Mimo wysiłków nie była w stanie o tym nie myśleć. Co się z nią dzieje? Od kilku dni coś ścisnęło ją w żołądku, nieprzyjemnego i śliskiego. To było takie gładkie uczucie rozczarowania i niepokoju. Może nie mógł wyrwać się z roboty? Coś mu wypadło? Mówił, że godzinami siedzi przed komputerem. Najwyraźniej miał pilną robotę? A może mu się odechciało?

ELIZA ZERKNEŁA z ukosa na idącą obok Monę. Wyciszona. Zamyślona. A jednocześnie od kilku dni dziwnie spięta i nerwowa. Eliza była pewna, że nie miało to nic wspólnego z komputerem – bo gdy Mona zanurzała się w pracy, całe napięcie z niej sphywało i przenosiła się do innego wymiaru.

Czyli sprawy osobiste. Coś się zmieniło w ciągu ostatnich kilku tygodni? Najpierw była podekscytowana, nerwowa i co chwila sprawdzała, która jest godzina. Z pewnych symptomów, o których Eliza czytała w paru romansach, wysnuła wniosek, że Mona się po prostu zakochała.

I nic jej nie powiedziała?

Była trochę zła. Co też ją zdziwiło. Czyżby chciała mieć przyjaciółkę, taką... prawdziwą, z którą mogłaby poplotkować o facetach, makijażu i bezbolesnej depilacji? Nigdy sobie nie wyobrażała, że mogłaby być kimś takim. Parę razy widziała na filmach przyjacielskie tandemy i nie była

pewna, czy w ogóle zdecydowałyby się na coś podobnego. Z drugiej strony, gdyby sama się w kimś zakochała, też nie powiedziała o tym Monie... Ani też samej sobie, zadrwiła w myślach.

ANDRZEJ DANIEL zjechał na pobocze. Zatrzymał samochód i zgasił silnik. Do celu miał kilometr. Czuł niepokój. A co, jeśli to pułapka? Może Rosnan i Mietielin grają razem i chcą tylko wyeliminować jego osobę z gry.

Nie, takie myślenie nie miało sensu. Rosnan mógł się go pozbyć w szybszy i łatwiejszy sposób. Co jest więc grane? Czy rzeczywiście marszand chce uwolnić się od kurateli Rosjanina?

Załóżmy, że tak. Co z tego wynika dla niego samego?

Daniel złapał się na tym, że podobny rozkład logiczny przeprowadzał już po raz enty. Za każdym razem wychodziło mu, że plan Rosnana jest sensowny.

– Chyba, że kacap się wścieknie i mnie zastrzeli – rzucił pod nosem.

Czy się bał? A niby dlaczego miałyby nie czuć strachu? Rosjanin był pojebusem, który z byle powodu sięgał po broń i bez wahania naciskał spust. A co, jeśli teraz też odwali mu palma?

Poczuł, że ma już dość. A co? A dlaczego? Co będzie gdy? Jak się zachowa? Co się stanie? Te pytania tylko wykręcały mu duszę jak w wyżymacze. Nie ma szansy nic zmienić lub zmodyfikować. Będzie, jak będzie.

Zdecydowanym ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce. Nawet nie spojrzął w boczne lusterko, tylko wcisnął mocno pedał gazu. Ruszył z piskiem opon. Niepotrzebnie się zatrzymywał. Wszystkie wątpliwości i niepewności miały już za sobą.

Po kilkuset metrach skręcił w stronę ogromnej willi, którą pobudowano na wzgórzu. W tle zieleńla ciemniejąca ściana lasu. Przed bramą stał mężczyzna, który zajrzał do środka samochodu. Dzisiejszego ranka Daniel zapowiedział swój przyjazd i już na niego czekali. Kiedy przejechał przez bramę i parkował na podjeździe, z oddali dobiegł

nieprzyjemny zgrzyt zasuwającego się stalowego skrzydła, które zamknęło wyjazd.

KIEDY DANIEL skończył mówić, Dmitrij Leonowicz Mietielin przez długi czas wpatrywał się w niego w milczeniu. Wreszcie poprawił się w fotelu.

– Rosnan chce mnie więc wciągnąć w pułapkę i zabić? Kiedy?

– Po programie wyemitowanym w telewizji w Holandii, kiedy sprzeda obraz?

– Powiem ci coś szczerze, panie Daniel. – Rosjanin zrobił minę, jakby zamierzał splunąć. – Nie lubię zdrajców, chociaż bywają nad wyraz przydatni. Kiedy słucham takich szcurów, zastanawiam się, kiedy sam zostanę przez kogoś takiego zdradzony.

Rosjanin był przeciętnej budowy ciała, wzrostu, urody. Twarz również miał przeciętną, którą można było zapomnieć zaraz po tym, gdy odwracało się od niej wzrok. Ubierał się elegancko, ale w jego ubiorze niczego nie można było wyróżnić i zapamiętać. Bez wątplenia to były dawne nawyki po pracy w KGB, gdzie nadzorcy starali się wtopić w tło i stać się niewidoczni. Z czasem nawyki stały się drugą naturą gangstera.

– Nie jestem zdrajcą – odparł gniewnie Daniel. – Jestem najlepszym fałszerzem impresjonistów i zasługuję, żeby płacono mi zgodnie z uzdolnieniami. Gdyby w fabryce płacili panu jak robotnikowi, a byłby pan inżynierem, to nadal by pan siedział na lichym etacie? Tam gdzie pieniądze, nie ma miejsca na sentymenty. Ja chcę dostawać godziwą zapłatę za ciężką pracę. Nic więcej. No i on zabił mi żonę. To mało?

– I dlatego przyjechałeś z oryginałem „Wenus”?

– To nie jest oryginał.

– A mówiłeś... – Mietielin zaczynał się irytować.

– „Wenus z Witebska” jest namalowaną przeze mnie kopią obrazu, który Rosnan kupił w Szwecji. Pan z pewnością ma fachowców, którzy mogą ocenić, czy moja praca rzeczywiście jest warta ceny, którą żądam.

– Właśnie jeden z nich to robi. – Dima wskazał wzrokiem drzwi, które prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zabrano płótno. – Wkrótce się okaże, czy rzeczywiście jesteś fachowcem, za jakiego chcesz uchodzić.

Rosjanin znowu znieruchomiał na swoim miejscu. Przez cały czas patrzył na Daniela, jakby próbował prześwidrować go wzrokiem.

Malarz zastanawiał się, czy kiedy uda mu się wyswobodzić od Rosnana, zatrzaśnie drzwi za tym, co minęło? Przez wiele lat grał rolę kogoś, kim w rzeczywistości nigdy nie chciał zostać. Tylko że z upływem lat zaczęło mu się to podobać. Szastał pieniędzmi, próbował narkotyków, upijał się i kilka razy czuł niewysłowioną dumę, gdy inni mówili o jego obrazach, że namalował je geniusz. Z czasem owa postać zrosła się z nim niczym podklejony do oryginalnego płótna podrabiany obraz. Czy znajdują się rozpuszczalniki, które oddzielą obie te warstwy? A może, przemknęło mu przez głowę, cały czas był tylko rozbitkiem, targanym przez wiatry cudzych ambicji i poleceń. Uczepił się tej myśli niczym koła ratunkowego. Wmówił sobie, że Eliza go uratuje, czas zawróci i ponownie stanie się dawnym malarzem i ojcem.

Drzwi od sąsiedniego pokoju otworzyły się szeroko. Stanął w nich mały łysy człowiek, na którego twarzy niepewność walczyła z zachwytem.

– No i? – Mietielin spojrzał na tamtego pytająco.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknego obrazu. Bez wątpienia wyszedł spod pędzla geniusza. To prawdziwy Chagall.

Mietielin przez dłuższą chwilę patrzył w rozpromienioną twarz eksperta.

– W porządku. – Dał ręką znać, że chce zostać sam ze swoim gościem. Potem spojrzał na Daniela. – Nie wątpił, że jesteś dobrym malarzem. Moi ludzie przygotowują ci pokój. Zostaniesz ze mną kilka dni. Będziemy mieli czas pogadać o Rosnaniu. Myślę, że twoja oferta może być interesująca.

Serce Daniela ścisnęło się z lęku. Mietielin kłamał. W oczach gangstera dostrzegł wyrok śmierci. Zrozumiał, że Rusek zechce się nim posłużyć, żeby pokazać Polakowi, kto tu jest panem. Już wreszcie pojął, gdzie leży ów hak, którego nie potrafił znaleźć. Rosnan zdawał sobie sprawę, jak potoczy się spotkanie z Mietielinem i gdzie to Daniela zaprowadzi.

Tylko dlaczego Rosnan chciał go zabić?

WIECZOREM, KIEDY Mateo oglądał telewizję, Nomad wszedł do internetu. Zastanawiał się, czy kumpel próbował go nastraszyć opowieścią o Wirtuozie? W tamtym czasie miały miejsce dwie głośne kradzieże, a Nomad już od dawna wiedział, że Rosnan nie jest zwykłym marszandem. Wpisał do przeglądarki kilka haseł. Wyskoczyło parę artykułów na ten temat. Wybrał pierwszy z brzegu.

„Obu napadów dokonano w nocy z 3 na 4 października br. Jak poinformowała nas Ewa Jaszczak – dyrektor płockiej Delegatury Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków – z Daniszewa skradziono 500-letni obraz ‘Niewiasta Apokaliptyczna’, o nieocenionej wprost wartości historycznej i kulturowej. Obraz ma wymiary 123 cm na 90 cm. Od frontu dzieło przedstawia Madonnę na półksiężycu z Dzieciątkiem na rękach. Na rewersie obrazu ‘Niewiasty Apokaliptycznej’ przedstawiona jest postać śmierci z kosą w dłoniach. Całość utrzymana jest w kolorze beżowym na czarnym tle.

Drugiej kradzieży dokonano w kościele parafialnym w Rębowie. Zginęły stamtąd paramenty liturgiczne, XVIII-wieczna monstrancja, zabytkowe kielichy i puszki mszalne, a także relikwiarz św. Krescencji.

Kradzieże w Rębowie i Daniszewie są kolejnymi napadami na terenie diecezji płockiej po niedawnym włamaniu do kościoła w Grzebsku i zrabowaniu stamtąd XV-wiecznej figury Madonny”.²

Czy z tym odciętym językiem była prawda?

Nomadowi przebiegł dreszcz po plecach, gdy przypomniał sobie zwałistą postać Kwadratowego Łba stojącą na środku celi, podczas gdy

on sam wciskał się w kąt i w wyciągniętej dłoni trzymał plastikowy nóż. Musiał wyglądać żałośnie.

– Masz fart, że pan Rosnan cię przywaczył – powiedział wtedy miłośnik, i Nomad rzeczywiście dziękował Bogu za takiego patrona. Teraz wiedział, że znalazł się w szambie, w którym powoli tonął. Jeszcze trochę, a gówno wleje mu się do ust, nosa i uszu. Wtedy już nic go nie uratuje.

To dobrze, że Mateo powiedział o Wirtuozie. To go otrzeźwiło i sprowadziło na ziemię. Powinien skupić się na robocie, a nie bujać w chmurach i myśleć o Monice. Niedługo znowu się zobaczą. I poprosi o numer telefonu. Albo po prostu da jej swój, jeśli dziewczyna ma jakieś obiekcje. Nie dziwił się dziewczynie. Tyle jest wokół zboków, stalkerów i innych popaprańców, że mógł ją tylko podziwiać za rozsądek.

Ale to za chwilę. Na razie musiał jak najszybciej uporać się z MonaLizą. Potem weźmie kasę. A jeśli chodzi o Monikę... Hm... Chyba też nie był jej obojętny. Widział, jak na niego patrzy. Takie spojrzenia nie mogły kłamać. Uśmiechnął się. Po wszystkim zabierze ją daleko. Może wyjadą do ciepłych krajów.

Był zakochany. Z jednej strony było mu ciężko i smutno, a z drugiej czuł się dziwnie lekko i radośnie. Miłość jest strasznie pojebana.

MONA SIEDZIAŁA w fotelu. Założyła nogę na nogę i przez dłuższą chwilę patrzyła w okno, o którego szyby uderzały grube krople deszczu. Wreszcie spojrziała na ojca.

– Eliza w końcu domyśli się, że pracuję dla ciebie.

– Jak szybko? – spytał Rosnan.

– Lubi mnie i jak chciałeś, zawiązała się między nami przyjaźń. Na razie wszystko jest okej... Ale ona czasami wie rzeczy, o których nie powinna mieć zielonego pojęcia.

– Twoja obawa jest więc na wyrost.

Mona chciała powiedzieć, że mama zawsze jej powtarzała, żeby dmuchać na zimne, ale tylko mruknęła coś pod nosem, jakby

zamierzała powiedzieć, „Może, ale...”.

Specjalnie zajęła miejsce w fotelu przy oknie, żeby lepiej widzieć ojca. Jego twarz była wyraźnie oświetlona promieniami wpadającego przez okno słońca. Za każdym razem, gdy go odwiedzała, przyglądała mu się z pewnym niedowierzaniem. Wciąż z trudem przyjmowała do wiadomości, że są razem i że on poprosił ją o pomoc.

Rok temu stanęła przed sądem za komputerowe włamanie do banku. obrońca z urzędu, dobrze ubrany i wysportowany, poinformował, że dzięki staraniu policji będzie ją sądził największy skurwiel w tej części Europy. I że on sam niewiele może. Fakt, mimo że groził jej wysoki wyrok, przydzielony jej z urzędu prawnik klasycznie ją olał.

Tak było na pierwszej rozprawie. Na drugiej pojawił się inny obrońca. Niechlujny ulizany wymoczek okazał się doskonałym specjalistą w sprawach przestępstw komputerowych. Potem Mona się dowiedziała, że mecenas Sokołowski został delegowany do jej sprawy z najlepszej warszawskiej kancelarii adwokackiej, a jego honorarium wynosiło trzy tysiące złotych za godzinę od momentu, gdy przekraczał próg sądu. A na początek i koniec sprawy inkasował po czterdzieści kaffi.

Nie pytała, skąd gość się wziął i kto zdecydował się płacić taką kasę. Rozbawiona patrzyła, jak sędzia i bankowi eksperci zostają zapędzeni w kozi róg, a zebrane przez nich dowody zmielone na papkę. Na koniec z tej papki została ulepiona kula, którą adwokat, za zgodą sądu, wrzucił do kosza na śmieci.

Na trzeciej rozprawie sędzia wydał wyrok – Mona dostała dwa lata w zawieszeniu na pięć lat. Do tego doklepał jej pięcioletnie AFK. W sumie, jak zapewnił ją mecenas Sokołowski, wywinęła się tanim kosztem.

Kiedy po wyroku wyszła wolna przed salę sądową, mecenas przedstawił ją jakiemuś mężczyźnie.

– Nazywam się Gerard Rosnan i wszystko wskazuje, że... – jakby zawahał się na moment – jestem twoim ojcem.

Przyglądała mu się z obojętnym wyrazem twarzy, choć w jej piersiach serce tłuło się jak oszalałe.

– Jak się zdecydujesz, kim jesteś, to do mnie zadzwoń – rzuciła przez zaciśnięte zęby, z całych sił pilnując, żeby jej głos nie zdrzął. – Mecenas ma numer mojego telefonu.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów.

Ojciec, do kurwy nędzy.

Przez lata czekała, aż się zjawi, weźmie ją w ramiona i mocno do siebie przytuli. Pewnego dnia szła z matką obok jakiegoś muzeum.

– Zobacz, to on.

W głosie matki Mona usłyszała coś, co rozpoznała dopiero po latach: miłość przemieszana z tęsknotą.

Tamten facet był doskonale ubrany, wysiadał z pięknego samochodu i miał u boku zjawiskową kobietę. One zaś były ubrane w tanie ciuchy ze szmateksu. Mona miała na nogach matczyne trampki. Matka była na głodzie i z trudem drobiła przed siebie patykowatymi nogami o napuchniętych stopach, na które wchodziły tylko klapki.

– Szukałem cię długo – stwierdził zdecydowanie Rosnan. – I wreszcie znalazłem. Chciałabyś dla mnie pracować? Potrzebuję kogoś, kto zna się na komputerach.

– Mam AFK.

– Olewka. Mam coś do zrobienia.

– Za ile?

– Wyjrzyj na dwór – wskazał na okno wychodzące na parking przed sądem.

Obok jej starej MZK stał nowiutki motor BMW.

Trafił w jej czuły punkt, musiała przyznać. Przekupił ją, fakt, ale tłumaczyła sobie, że od czegoś trzeba zacząć z taką jak ona hardą dziewczyną.

Robota miała się pojawić dopiero za trzy miesiące. Mona sądziła, że ojciec dopiero wtedy się do niej odezwie. Ale nie, zadzwonił już kilka

dni później. Zapytał, jak się ma. Czy nie potrzebuje pieniędzy? Odpowiedziała, że potrafi się sama utrzymać. No to okej.

Dzwonił co dwa – trzy dni. Najpierw ją to drażniło, potem dziwiło, aż w końcu zaczęła czekać, aż znowu się odezwie. Był zainteresowany tym, co robi, jakie ma plany. W jakiś sposób to ją satysfakcjonowało. Dwa razy zjedli razem kolację. Raz u niego w domu, raz w eleganckiej restauracji.

Początkowo odnosiła się do rozmów i spotkań z dużą dozą nieufności. Nie bardzo rozumiała, skąd się wziął ten nagły przypyływ ojcowskiego zainteresowania. Dlaczego za ciężkie pieniądze wynajął adwokata? No i to BMW. Czy naprawdę jej potrzebował, czy tylko chciał przekupić i tym samym uspokoić sumienie, że przez lata nie interesował się własnym dzieckiem?

A może starał się w ten sposób odrobić stracony czas, poznać ją bliżej i zatrzeć o sobie złe wspomnienia? Po trosze chyba mu się to udało. Miała wrażenie, że po każdym spotkaniu zbliżają się do siebie coraz bardziej. Nie sądziła, żeby udawał zainteresowanie czy zaciekawienie tym, co ona robi. Ludzie nie mogą być aż tak przewrotni.

Wreszcie nadszedł czas i ojciec opowiedział jej o swoich interesach. Te nie zawsze były zgodne z prawem, jednak wszystkie miały na celu dobro ogółu.

– Wiem, brzmi to śmiesznie – dostrzegł jej skrzywienie. – Ale czasami warto omijać prawo, którego przestrzeganie w rzeczywistości przynosi szkodę.

– Ciekawe podejście.

– Jakiś czas temu, w jednym z kościołów we wschodniej Polsce trafiłem na tryptyk z XIV wieku, który był tak przeżarty przez korniki, że praktycznie trzymał się tylko na zdobiącej go polichromii. Rok później dostałem informację, że ten narodowy skarb z 1489 roku rozpadł się na kawałki. Przepadł bezcenny zabytek, gdyż na jego renowację nie znaleziono w porę siedemdziesięciu tysięcy złotych. Gdyby sprzedano go kolekcjonerowi, wtedy skarb zostałby zachowany. Ale prawo tego

zabrania, w efekcie państwo, niczym pies ogrodnika, nie oddało skarbu, skazując go tym samym na zniszczenie. Może zatem, mając w zadzie tak zwany kodeks karny, lepiej byłoby tryptyk ukraść? Jak się potem okazało, pieniądze, które miały być przeznaczone na renowację tryptyku, przesunięto do rezerwy budżetowej, żeby wykazać się oszczędnościami.

Mona nigdy nie zastanawiała się nad takimi sprawami i prawdę mówiąc, wszystko, co było dawniej niż wczoraj, miała już w nosie. Jeśli chodzi o przekonania polityczne, od kilku lat za najsensowniejsze ruchy uznawała te, które ocierały się o anarchizm. Należało znieść ucisk i społeczny wyzysk, co wiązało się z rozpieprzeniem całego państwa. Wtedy wszyscy wreszcie byłiby wolni i mieli dostęp do wszelkich dóbr. Wiedziała, że to utopijny debilizm, ale radość z rozpieprzenia wszystkiego była bardzo kusząca.

Zanim spotkała ojca, ostro działała w Antifie. Ale żeby głosić swoje hasła i do tego być słyszany przez wszystkich, potrzebne były pieniądze. Dlatego pewnego dnia Mona wydoiła bank na ponad trzysta tysięcy złotych.

– Teraz już wiesz, czym się zajmuję? – Rosnan przerwał jej myśli. Rozłożył przy tym dłonie, jakby chciał powiedzieć „więcej grzechów nie pamiętam”.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Mam sporo wrogów, którzy chcieliby zobaczyć mnie w więzieniu i bynajmniej nie są to gangsterzy. Uchroniłem wiele narodowych skarbów przed zniszczeniem, ale pewni ludzie w policji i ministerstwie kultury próbują zrobić ze mnie przestępcę. Ostatnio dołączyli do nich trzej zachodni historycy sztuki, którzy mają dobre koneksje z Europolem. Nieopatrznie nadepnąłem im na odcisk.

– ...?

– Ośmieszyłem kilka wydanych przez nich ekspertyz, a kiedy oskarżyli mnie o niewiedzę, udowodniłem im nierzetelność zawodową. Otóż za ciężkie pieniądze panowie ci potwierdzili autentyczność kilku

zbiorów porcelany, dzięki czemu oszuści wprowadzili na rynek zastawy stołowe, które rzekomo pochodziły z XVIII wieku.

– Jak chcą się na tobie zemścić?

– Ojciec Elizy Daniel, pracujący dla mnie malarz, jest agentem policyjnym, którego zadaniem jest spreparowanie obciążających mnie dowodów. Nie jestem złodziejem i tylko Bóg wie, o co jestem pomawiany. Nie wierzysz? Sprawdź na przykład okoliczności powrotu do kraju obrazu z Gościeszyna, a wszystko stanie się jasne.

Rosnan wstał i podszedł do biurka. Lubił porządek i wszystko na blacie miało swoje miejsce. Wziął do ręki dużą szarą kopertę z notatkami i materiałami prasowymi.

– Tu znajdziesz wszystko o włamaniu do kościoła w Gościeszynie. Skradziono wówczas XV-wieczny obraz „Madonna w ogrodzie mistycznym”. Jakiś czas później złodzieje zostali ujęci, a obraz szczęśliwie odzyskano.

Na dłuższy czas w gabinecie zapadło milczenie. Wydawało się, że Rosnan walczy w myślach z podjęciem jakiejś decyzji. Wreszcie jego zmarszczone czoło się wygładziło.

– Czasami trzeba w życiu komuś zaufać. Niekiedy okazuje się, że ci, których posądzaliśmy o najgorsze, potem służą za wzór innym. Mnie interesuje ochrona rzeczy znacznie wartościowszych niż opinia o sobie samym.

Czy stary uważał ją aż za taką naiwniaczkę, że wmawiał jej takie pierdoły?

– To tylko słowa – skrzywiła się Mona.

– Jak z pewnością się orientujesz, przestępcy niewiele by wskórali, gdyby nie bogaci i pozbawieni skrupułów kolekcjonerzy. Legalizacja kradzionych zabytków to podstawowe zadanie marszandów, którzy wyrabiają im fałszywe certyfikaty, mające potwierdzić, że pochodzą z legalnych kolekcji. Obecnie większość dzieł sztuki o ogromnej wartości szmuglowana jest z terenów Iraku i Syrii. Nikt tego nie kontroluje, prócz zbrojnych watah. Szmugiel w niemal stu procentach idzie przez Rosję, a

potem przez polski kanał przerzutowy na teren Unii Europejskiej, a następnie do Stanów Zjednoczonych. Eliza Daniel, nieświadoma moich zamierzeń, może mi przeszkodzić w osiągnięciu ważnego celu, jakim jest ujęcie Dmitrija Leonowicza Mietielina, międzynarodowego handlarza skradzionymi dziełami sztuki. To on zorganizował polski kanał przerzutowy i praktycznie kontroluje black market w Europie Środkowo-Wschodniej. Chcę, żebyś nam w tym pomogła.

Czyżby zatem ojciec nie był złodziejem, a wszystko, co złe było przykrywką, żeby głębiej mógł zbadać owo bagno?

Traf chciał, że wczorajszego dnia na YouTube oglądała film o policyjnym agencie, który przez niemal dwadzieścia lat uznawany był przez prasę amerykańską za jednego z groźniejszych przestępców. W rzeczywistości dzięki niemu rozpracowano kanały przerzutowe narkotyków z Kolumbii do USA.

Chciała, żeby słowa ojca były prawdą i jak dotąd, w tym, co opowiadał, nie znajdowała sprzeczności. Dlaczego miałyby mu nie zaufać? Oczywiście nie od razu i nie w stu procentach. Ale jeśli w trakcie dalszej współpracy nie znajdzie żadnego brudu...

Mona poczuła się dumna, że ojciec uznał, że może mu być pomocna. Zrozumiała też, że nie może powiedzieć jej wszystkiego. No i, prawdę mówiąc, miała gdzieś, czy on okrada państwo, czy też chroni dla przyszłych pokoleń bezcenne dobra kultury. Najbardziej w tym wszystkim liczyło się to, że odzyska ojca. Znowu była tamtą małą dziewczynką, której marzenia wreszcie się spełniły i miała ojca.

Z tamtej wizyty zapamiętała coś jeszcze – obrzydliwe szare grudki wyżutej gumy przepieczone na brzegach dwóch popielniczek. Od ojca dowiedziała się, że to firmowy znak Amerykanina, z którym od lat współpracuje.

Kiedy wróciła do domu, sprawdziła informacje o odzyskaniu kilku obrazów. Zgadzało się. Rosnan był nawet twórcą fundacji „Cenne. Bezcenne”, która aktywnie współpracowała z ministerstwem kultury w ochronie narodowych zabytków i o której działalności wyrażano się z

wielkim szacunkiem. Choć dostała tydzień, nie musiała się tak długo zastanawiać, czy dołączyć do ojca.

Zgodnie z planem wślizgnęła się w życie Elizy Daniel. Okazją był pogrzeb matki dziewczyny. Od tego momentu obserwowała, jak podsuwane Elizie informacje utwierdzały lub modyfikowały kierunek, w którym zmierzała. Zadaniem Mony było kontrolowanie od środka, czy bodźcowanie wywierało zamierzony skutek.

Tak było w ciągu paru pierwszych miesięcy, które upłynęły od momentu poznania Elizy. Problem był w tym, że im więcej dowiadywała się o ojcu, im dłużej patrzyła na niego oczami jego przeciwników i widziała dowody, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że ojciec wcale nie jest taki niewinny. I w pewnym momencie zaczęła brać w niej górę prawdziwa natura. Może i była marzycielką, ale postępowała jak nieufna realistka. Odsuwała od siebie niewygodne dowody, udawała, że ich nie dostrzega, ale zarazem skrupulatnie odnotowywała je w pamięci. Życie nauczyło ją rozpoznawać kłamstwo, gdyż od tego często zależało, czy matka dostanie dobry towar albo że nocny klient nie okaże się pustakiem z ogołoconym przez innych portfelem. Bez wątplenia bardziej niż marzenie o ojcu w jej duszę wbiły się słowa matki: „Nigdy nikomu nie ufaj i zawsze miej w zanadru awaryjne rozwiązanie, które, być może, uratuje ci życie”. I pomyśleć, że dopiero teraz w pełni pojęła, co matka miała na myśli. A uważała się za taką rozgarniętą umysłowo.

Gerard Rosnan to Robin Hood sztuki? Była naiwniaczką, że chciała w to uwierzyć. Poczula dyskomfort, że oszukiwała Elizę, która zaufała jej bez żadnych warunków wstępnych. Lubiła ją i była pewna, że może jej ufać. To się po prostu wie.

Niektórzy mówią, że wiedza to władza. Dla Mony wiedza oznaczała bezpieczeństwo. Stąd też, zgadzając się na grę na warunkach ojca, postanowiła dowiedzieć się, co w rzeczywistości on zamierza. Tylko wówczas mogła być pewna własnego bezpieczeństwa i w odpowiedniej chwili zatrzymać Elizę, gdyby ta miała stanąć na skraju przepaści.

– SŁUCHASZ MNIE? – słowa ojca wyrwały Monę z zamyślenia.

– Myślałam o Elizie i doszłam do wniosku, że ona wie, że facet z sygnetem z czarną głową gryfa nigdy nie istniał.

– Powiedziała ci to? – ojciec zmarszczył brwi. Nie był zadowolony.

Mona pokręciła przecząco głową.

– Widziałam dokumenty, które przeglądała. Sądzę, że wiem, jak u niej zapunktować. Powiem, że znalazłam w internecie dowody, że ktoś grzebał w archiwach prasowych i dokonał w plikach fałszerstwa.

– Nieźle – ojciec kiwnął z uznaniem głową.

Mona podsunęła ojcu ten pomysł z rozmysłem. To miał być pierwszy krok, dzięki któremu on zrozumie, że staje się nieodzowna w realizacji jego planu związanego z Elizą Daniel.

Komórka w kieszeni odezwała się melodyjną frazą. Spojrzała na zegarek i poczuła ciepło wokół serca.

– Muszę lecieć. Mam spotkanie.

NOMAD CZEKAŁ ponad pół godziny, ale Moniki nadal nie było. Początkowa niepewność zmieniała się w coraz głębszy niepokój. Czyżby miała nie przyjść? A jeśli już nigdy się nie zobaczą?

Zrobiło mu się cholernie smutno.

– Nad czym tak dumasz?

Nie dostrzegł, gdy weszła do lokalu. Za dużo było dziś ludzi. Na chwilę przymknął oczy, czując potężny przypływ ulgi.

– Jakie samobójstwo byłoby najefektowniejsze, zjedzenie dziesięciu dużych hawajskich czy piętnastu średnich capricciosa? – spytał.

– Skąd takie czarne myśli?

– Czekam pół godziny, a ciebie jak nie ma, tak nie ma.

– Spóźniłam się na autobus, drugi nie przyszedł o wyznaczonej porze i tak jakoś wyszło. Przepra...

Ktoś trącił ją z tyłu i uderzyła biodrem w róg stolika. Syknęła i zaczęła rozcierać bolące miejsce.

– Przeprze przyjęte. – Nomad pogłaskał ją po ramieniu.

Monika zajęła miejsce obok. Ostatnią randkę, która nie wypaliła, jakby jej nigdy nie było, pominęli całkowitym milczeniem. Przecież znowu byli razem, i tylko to się liczyło.

Podeszła kelnerka. Jak zwykle zamówili jedną pizzę i piętnaście minut później drugą.

– Mówiłem już, że ładnie ci z tym pierścionkiem? – Dotknął oczka utworzonego z czterech cyrkonii wprawionych w płatki kwiatka. Pretekst, żeby dotknąć jej dłoni. – No i masz ładne palce. Dobre do gry na fortepianie lub pisania na komputerze.

– Sprzedawczyni w sklepie też dobrze służą.

– A' propos pamięci – wyciągnął zza pleców różę.

Mona uśmiechnęła się i powąchała kwiat.

– Ładna. Dziękuję.

Niespodziewanie przechyliła się przez stolik, żeby pocałować go w policzek. On w ostatniej chwili przekręcił twarz. Ich usta się spotkały, ale Monika się nie cofnęła. Po dłuższej chwili zorientowała się, że ma zamknięte oczy. Odsunęła się z bijącym sercem.

– To było podstępne draństwo – powiedziała, czując, że ma rozpalone policzki. – Ale ta róża jest elementem łagodzącym. Widzę, że starannie przygotowałaś się do spotkania.

– Nic na siłę, wszystko młotkiem, jak mawiał mój stryjek kowal. – Nomad nie odrywał spojrzenia od dziewczyny.

– Masz ciekawą rodzinę. Wszyscy są do ciebie podobni?

– Raczej ja do nich. Największym oryginałem był mój tatuś, i to od najmłodszych lat.

– Pamiętam, mówiłeś, że miał na imię Lolan.

– Kiedy tatuś był mały, pasł dziadkowe baranki na łąkach za miasteczkiem. Pewnego dnia odbywały się tam manewry lotnicze. Wtedy jego mieszkańcy przeżyli wielki wstrząs, którego właśnie tatuś był głównym uczestnikiem. Oto pewnego dnia „nad placem i nad

kościółem leciało w powietrzu Dzieciątko Jezus! Ale później wszystko się wyjaśniło. Lolan paśł baranki, a jak odbywały się manewry lotnicze, to aeroplany ciągnęły za sobą taki worek i do niego strzelało się z karabinów maszynowych, no i zapomnieli o linie i ta lina ciągnąc się po ziemi zaczepiła o nogę”⁸ mojego tatusia. A był on ślicznym dzieckiem, „z jasnymi włoskami, i jak ten aeroplan wzbił się w górę, pociągnął za sobą linę, a wraz z nią Lolana, i nad miasteczkiem leciał w powietrzu Lolan, a baby myślały, że to leci Dzieciątko Jezus, i kiedy się ta lina zaczepiła o lipy koło kościoła, to Dzieciątko zaczęło spadać [...] z gałęzi na gałąź, i na ziemię spadł Lolan, i pyta ‘Gdzie moje baranki?’. A baby klękały, żeby im pobłogosławił”⁹

– Mówiłeś o dziadku, ojcu, ale nic o sobie.

– Pewnego dnia ksiądz spytał mnie na lekcji religii, co wiem o Panu Bogu. Grzecznie mu odparłem, że „Chrystus, doktor wszystkich narodów, podpora nędzarzy, już przed wiekami wiedział, że człowiek zdolny jest do najgorszych łajdactw, a po chwili znów do najszczęszych łez, dlatego też miał dość siły i odwagi i za wszystkich wziął tę belkę na plecy i skatowany, cały we krwi, niósł ją dwa kilometry na Golgotę; księža do dziś nie mogą tego pojąć, najchętniej opowiadają dzieciom o Trójcy Świętej, że ojciec jest własnym synem, a syn swoim ojcem i że wymieniają między sobą listy za pomocą gołębiczy, no, słowem taki bałagan, że w głowie się nie mieści, jakby księža mieli za mało do słuchania podczas spowie...”¹⁰ Zanim dokończyłem, czarny wyrzucił mnie za drzwi i zakazał przychodzenia do kościoła. Chciałem zostać księdzem, jak mój pradziadek, ale mi też nie wyszło, więc zainteresowałem się komputerami.

Mona przez dłuższy czas się śmiała. Wyobraziła sobie ojca Nomada z kręconymi blond lokami, który leci w powietrzu ciągniony za nogę przez aeroplan, a na ziemi baby wznoszą do góry ręce złożone w modlitwie. A potem Nomada, który w wieku ośmiu lat, z czubem irokeza na głowie, wylatuje za drzwi sali katechetycznej.

Nim się pożegnali, Nomad zapisał Monie na serwetce numer swojej komórki.

– Po co? – zdziwiła się.

– Tak na wszelki wypadek, gdyś miała znowu się spóźnić.

Zrozumiała, że chodzi o to, żeby następnym razem mogła zadzwonić i spytać, dlaczego nie przychodzi. Była wdzięczna, że nie napierał, żeby w zamian dała swój numer.

Wyszła na ulicę i odczekała, aż Nomad odjedzie niebieskim jeepem cherokee. Na pożegnanie chłopak miał ochotę znowu ją pocałować, a ona nie miała nic przeciw temu. Ale jakoś niezgrabnie minęli się w powietrzu głowami i jedynie dotknęli policzkami. Odwróciła się szybko, żeby ukryć zmieszanie.

Poszła w stronę sąsiedniej ulicy, gdzie zaparkowała motor. Dziś rano na jednym z for internetowych ktoś napisał przypowieść o Lolanie Bohumila Hrabala, historyjkę z jego pięknej książki „Postrzyżyny”. Przeczytała fragment, który kilka godzin później opowiedział jej Nomad. A więc miała rację, że opowiadał jej jakieś dyrdymały i ani słowa prawdy o sobie. Dlaczego to robił? Pewnie chciał jej zaimponować. Może pracował w sklepie z komputerami i szpanował na model z dużą pamięcią operacyjną? Ale nie była zła, że nie powiedział prawdy. W końcu nie była lepsza. Nie tylko ona. Wszyscy wokół grali jakieś role, coś pozorowali i zachowywali się, jakby pewne sprawy zupełnie ich nie dotyczyły.

Monie to pasowało. W pewien sposób czuła się rozgrzeszona z własnego udawania. I tak pewnie nic z tego nie wyjdzie. Lekki zawrót głowy, który do niczego więcej nie doprowadzi. To był zły moment na miłość.

Kiedy to pomyślała, z głębi oceanu wspomnień wypłynęły słowa mamy. Pamiętała ten wieczór. Leżały na tapczanie, przytulone, a mama miała jedną z tych chwil, kiedy wracała do przeszłości. Do ojca Mony. „Miłość nie pyta, nie czeka, nie kalkuluje. Możesz sobie mówić, że nie teraz, nie z tym, nie tak... To nie ma znaczenia. Jak się zadomowi w

twoim sercu, to jest jak rak, który zaraz będzie chciał zabrać na własność i krew, i mięśnie, i mózg. Nie wygrasz. A najgorsze w tym... a może najlepsze... jest to, że wcale nie chcesz walczyć”.

I tak właśnie czuła się Mona. To nie był dobry czas na miłość, ale ona jednak miała nadzieję, że to jest miłość i że może jednak się uda. Naiwność? Być może.

Przez otwarte okno pobliskiego mieszkania napłynęła piosenka.

Ulicami chodzą czarodzieje

Śnią na jawie kolorowe sny

Dużo mówią, dużo piją

Kiedy zmierzcha

I gdy dnieje

piszą słowa

Tęsknię

Kocham

Ja

I ty

Ja i ty? To chyba lekka przesada, burknęła pod nosem. Założyła kask. Jednocześnie postanowiła w duchu, że kiedy wróci do domu, ściągnie sobie nowy przebój kapeli „Dziewczyny”. Nasunęła na oczy przyciemnioną szybę, wcisnęła starter i ruszyła na umówione spotkanie z Elizą.

Przeskoczyła przez kilka skrzyżowań dzięki zielonej fali. Utknęła dopiero na ostatnich światłach przed celem podróży. Obok zatrzymał się niebieski jeep cherokee. Z otwartego okna samochodu popłynęły dalsze słowa piosenki.

Niedzisiejsi, zagubieni marzyciele

Niecierpliwi zaklinacze swoich dni

*Mądre słowa
Nowe prawdy
Promień w oczach
I nadzieję
Mają, wiedząc
Że za chwilę
Skrzypną drzwi*

Od jej strony auto było obtarte przy zderzaku. W środku siedział Nomad. Spojrzał na nią przelotnie. Zobaczył jedynie motocyklistę w ciemnym kasku.

*Niepoprawni, niepraktyczni marzyciele
Niecierpliwie wciąż szukają słowa „my”
W nocy tańczą
Patrzą w Księżyc
Piszą dzieje
Przyszłych szeptów
Chcę byś była
Zawsze przy mnie
Tylko ty*

Mijamy się w życiu, przemknęło Monie przez głowę, i czasami nawet nie zdajemy sobie sprawy, kto obok nas stoi i jak bardzo na tym kimś nam zależy.

Podkręciła gaz, aż silnik warknął na podwyższonych obrotach. Kiedy zapaliło się zielone światło, wykręciła na skrzyżowaniu w lewo i po kilkunastu minutach zaparkowała przed kawiarnią „Chagall”.

Znowu dopadła ją piosenka „Dziewczyn”.

A gdy czasem noc zapada

*I gdy wokół pustką mży
Zaplakane mają oczy
Wątpią w sny
I nie wiedzą, chociaż mądrzy
Czemu wieje
I nikt nie chce
Nocą pukać
Do ich drzwi*

Rozdział osiemnasty

– Jak będziesz tak się snuł z tymi wiadrami po sklepie, to kierownik zmiany cię przyuważy i wylecisz z roboty – strażnik rzucił w stronę Nomada, który pchał przed sobą wózek z myjką, miotłą, ścierkami i środkami czystości. Przez poręcz miał przewieszony kombinezon ekipy sprzątającej i wyglądało, jakby przed zakończeniem pracy zdążył się przebrać w cywilne ciuchy.

– Żaba w wodzie nie ubodzie – zaśmiał się do sześćdziesięciolatka.

– Ja tylko z życzliwości. Widzę, że jesteś nowy, to nie wiesz, że tu jeden z drugim to kapucha. Donoszą na siebie, jakby im za to płacili.

Nomad dojechał do drzwi szatni personelu. Elektroniczny szperacz jednoznacznie wskazywał, że za drzwiami jest ukryta „lampa”. Przyłożył deszyfrator do zamka elektronicznego. Pięć sekund później miał wynik, kod był dziecinnie prosty, cztery jedyńki.

W środku zastał strażnika, który przed rozpoczęciem zmiany przebierał się w mundur. Nomad sięgnął po spryskiwacz, zrosił nim drzwi najbliższej szafki i zaczął ją przecierać ścierką. Ochroniarz nawet nie spojrzał w jego stronę i pięć minut później wyszedł.

Pulsar znajdował się w rogu pomieszczenia na szczycie jednej z metalowych szafek. Przełączenie oprogramowania zajęło Nomadowi kilka minut. Wgrał na laptopa wirusa, który dezaktywował „lampę”, a jednocześnie nadal wysyłał sygnał, że działa ona bez zakłóceń.

Dwadzieścia minut później Nomad zajął miejsce za kierownicą swojego jeepa cherokee.

Coraz częściej chodziło mu po głowie pytanie, czy pod nickiem MonaLiza nie ukrywa się ktoś o całkiem przeciwnej płci. Pseudo mogło być zmyłą. Faktem było jednak, że gostek napsuł mu sporo krwi. To był

trzeci pulsar, który unieszkodliwił. Jeszcze tylko jeden mieszał mu szyki, ale wyseparowanie sygnału i zidentyfikowanie, skąd nadaje, było już tylko kwestią paru dni.

Kiedy przełączał pulsar, zdecydował, że niedługo powie o wszystkim Mateo. Ale nie wspomni, że poluje na MonaLizę od kilku miesięcy, tylko że trafił na nią parę dni wcześniej. Wy tłumaczy, że początkowo milczał, gdyż chciał się upewnić, że to haker. Ale gdy tylko potwierdził podejrzenia, zaraz przybiegł z tym do kumpla. Potem doprowadzi go w taki sposób, żeby namierzył czwarty pulsar. Mateo na bank będzie najarany odkryciem. Dlatego pozwoli mu, żeby zadzwonił do Amerykanina i pochwalił się, jaki to on, i przy okazji Nomad, jest sprytny. Mateo zawsze lubił przywłaszczać sobie cudze sukcesy i tym razem nie będzie inaczej. Tak więc Mateo weźmie na siebie odpowiedzialność za odkrytego hakera i jego eliminację, a Nomad pozostanie w cieniu.

Gdy wreszcie podjął decyzję, że Mateo wkrótce zostanie jego współnikiem od lamp, dotychczasowe napięcie odpuściło,

Już miał ruszyć, gdy jego uwagę zwróciła pewna kobieta przy samochodzie stojącym obok jego. Chwilę przyglądał się, jak bezskutecznie walczyła z zamkiem samochodu. Najwyraźniej próbowała użyć nie tego co trzeba kluczyka.

W tej sekundzie Nomad doznał oświecenia. Dotąd MonaLiza siedmiokrotnie łamała kody wejścia na zaszyfrowaną stronę, gdzie odbywała się licytacja „Wenus”, mimo jego starań, żeby jej to uniemożliwić. Penetrowała giełdę średnio raz na dwa tygodnie. Wkrótce uczyni to ponownie. A przecież już wcześniej mógł zastosować prosty trick. Wystarczyło, żeby charakterystykę każdego klucza kodowego pięćdziesięciu osób, które wchodziły na stronę licytacji „Wenus”, doposażyć w indywidualne szczegółowe deskrypcje sygnałów wysyłanych przez IP każdego z ich kompów. I w ten prosty sposób MonaLiza pozostanie za burtą.

Zadowolony postanowił, że podpowie Mateo ów prosty sposób, dzięki któremu Bratt Henry utwierdzi się w przekonaniu, że w programistycznych klockach Mateo jest liderem.

MONA WESZŁA do gabinetu. Eliza właśnie trzymała w dłoni dużą szarą kopertę i drgnęła wystraszona wejściem Mony, trącając filizankę z kawą, która rozlała się na blacie. Jednak w porę chwyciła kopertę. Zalaniu uległ tylko róg, który szybko wysuszyła papierową chusteczką do nosa. Potem szarą kopertę wsunęła do większej brązowej, jakby zamierzała ją wysłać. Wydawała się lekko wystraszona, chociaż może tylko Monie tak się wydawało.

- Czytałaś mojego mejla? Wysłałam go pół godziny temu.

- Miałam trochę papierkowej roboty. - Eliza wskazała na leżące na biurku dokumenty. - Nie myślałam, że będzie tego aż tyle. Zestawienia, ankiety sprawdzające, oceny korygujące, rejestr podjętych działań, spis.... Tych w Brukseli totalnie pocięło.

- Olej to. - Mona machnęła lekceważąco dłonią. - Ja z ważniejszą sprawą. Zgodnie z twoim zleceniem zbieram materiały między innymi do kradzieży części krzyża świętego z bazyliki ojców dominikanów z Lublina.

Eliza kiwnęła głową, że pamięta.

- W dwóch elektronicznych kopiach artykułów, które pochodziły z „Dziennika Wschodniego” i „Kurier Lubelskiego” - kontynuowała Mona - znalazłam przytoczone przez dziennikarza cytaty z przesłuchania świadka, Romana C. Ten wspomniał w nich, że na dzień przed kradzieżą, w pobliżu bazyliki, spotkał faceta, który miał na palcu złoty sygnet z czarną głową gryfa. - Mona stanęła za plecami Elizy, która w mejlach znalazła ten, który do niej wysłała. - Zwróć uwagę na podkreślony fragment. - Mona wskazała na ekranie końcem rubinowego paznokcia.

- Ładny kolor - zauważyła Eliza.

- Nieoczekiwana krwistość purpury.

– Fajna nazwa.

– A lakier nieźle się trzyma. Wracając do sprawy. Dziś rano, najwyraźniej dzięki ponagleniom nadkomisarza Marca, podesłano nam skany akt kontrolnych z lubelskiego śledztwa. Przejrzałam zeznanie Romana C. Nie było w nim słowa o facecie z sygnetem. Ktoś dopisał odpowiedni fragment. Potem całość obrobiono photoshopem, żeby wszystko wizualnie się zgrało na sfotografowanej stronie. Na koniec podmieniono kopie stron w archiwach obu gazet. To samo było w przypadku monstrancji ze świętej Lipki czy obrazu „Matki Boskiej Bieszczadów”. Facet z sygnetem nigdy nie istniał.

ELIZA DOSTRZEĞŁA, że Mona dziwnie się jej przygląda. Jakby czegoś oczekiwała. Reakcji? Tylko jakiej? Eliza przeleciała w myślach ostatnie minuty. Och, racja, nie okazała zaskoczenia rewelacjami Mony. Zezłościła się na siebie.

– Niedawno doszłam do tego samego wniosku – otworzyła szufladę i wyjęła papierowe zeznania. – Nie zdążyłam ci o tym powiedzieć, chciałam się najpierw upewnić. A teraz widzę, że wielkie umysły myślą podobnie.

Spojrzała z uśmiechem na Monę. Ta odwzajemniła uśmiech.

– Na drugi raz poleć mi znalezienie potwierdzenia. Od tego jestem.

– Tak zrobię. Muszę się przyzwyczaić do tego, że już nie pracuję sama. A propos, co z hakerami? Wspominałaś, że są upierdliwi.

– Spoko, jeszcze nie siedzą mi na plecach. – Mona prychnęła z nonszalancją.

– A giełda?

– Przyjrzą się jej bliżej. Rosnanowi najwyraźniej strasznie zależy, żeby aukcja „Wenus” do końca pozostała tajemnicą. Jego i pięćdziesięciu chętnych, których zaproszono do licytacji. Z dnia na dzień cena obrazu skacze nawet o pół miliona dolarów. Wszyscy działają anonimowo. Myślę, że ta zasada będzie obowiązywać również po zakończeniu aukcji.

- Ale Rosnan musi wiedzieć, kto jest kim - zauważyła Eliza. - W końcu zaprosił do licytacji konkretnych ludzi. Da się ich namierzyć?

- Spróbuję... A jeśli chodzi o to „musi wiedzieć, kto jest kim”? - Mona wzruszyła ramionami. - Niekoniecznie. Myślę, że właśnie po to zorganizował aukcję internetową, a nie zebrał wszystkich w siedzibie domu aukcyjnego Christie's czy Sotheby's. Niektórzy z pewnością to zwykle słupy, żeby prawdziwy kupiec pozostał do końca anonimowy. Wygra ten, kto zaoferuje najwięcej. Potem zwycięzca przeleje kasę na wskazane konto. Jednocześnie po obraz zgłosi się kilku facetów. Ci na pewno zgubią ślad tego, kto będzie próbował się dowiedzieć, w jakim kierunku zamierzają jechać. Kiedy gotówka trafi na konto Rosnana, godzinę później pieniądze znikną w światowym systemie bankowym. Myślę, że gość zastосуje „Jumping cash flash”.

- Co?

- Tak się nazywa system, kiedy forsa przechodzi przez dziesiątki banków i coraz bardziej jest rozdrabniana. W pewnym momencie funkcjonuje kilkaset kont w bankach, które mają swoje siedziby i filie w różnych częściach świata. Znajdująca się na nich niezbyt wielka kwota, dajmy na to dwustu tysięcy euro, z pewnością nie wzbudzi niczyjego zainteresowania. Po określonym czasie, który może wynieść dwa miesiące lub lata, forsa ponownie jest scalana i płynie na wskazane konta. Po czymś takim trudno jest wysledzić drogę, którą pieniądze rozeszły się po świecie i jeszcze trudniej namierzyć konto finalne.

- Ile obecnie warta jest „Wenus”?

- Dziś, trzydziestego października, kiedy wystawa wyruszyła z Paryża do Amsterdamu, suma przekroczyła czterdzieści milionów dolarów.

Eliza pokręciła głową. Coś tu zdecydowanie nie grało. Ten obraz z pewnością nie był tyle wart. Nawet jeśli wziąć pod uwagę narastające emocje podczas aukcji i szaleńczą walkę między licytującymi.

- A jeśli aukcja jest pralnią, która ma wyczyścić określoną kasę?

– Myślisz? – w głosie Mony odezwało się zaskoczenie. – Nie wpadłam na to.

– Przed chwilą mówiłaś o „Jumping cash flashu”. Przecież sprzedający obraz dokona legalnej transakcji. Z pewnością odprowadzi od niej stosowny podatek. Potem kasa przejdzie przez kilkanaście banków, a te za każdym razem swoim autorytetem będą potwierdzać, że miliony pochodzą z legalnego źródła.

BRATT HENRY zajął miejsce na krześle na wprost Matea i Nomada. Słuchając o MonaLizie, miał bezosobowy wyraz twarzy i wydawało się, że jest myślami gdzie indziej. Jednak od czasu do czasu potakiwał głową, że przyswaja podawane informacje.

– Jak szybko można liczyć na odłowienie lampy, o której wspomniałeś? – pytanie Amerykanina było zimne i krótkie.

– Góra dwie doby – stwierdził Mateo, a Nomad przytaknął skinieniem głowy. – Mamy jeszcze jeden ból głowy. Charakterystyka sygnału sugeruje, że ten sam gość, który próbuje wyglądać zza naszych pleców, teraz zerka na giełdę „Wenus z Witebska”.

– Wiesz czy podejrzewasz? – Bratt zgniótł między zębami gumę do żucia, nie odrywając wzroku od Nomada.

Czyżby w głosie Amerykanina pojawił się niepokój?

– Wiemy. – Mateo uprzedził Nomada, nadając głosowi pewny ton. Najwyraźniej chciał, żeby Henry uznał, że on jest głównym współtwórcą ich sukcesu.

Nomad ponownie kiwnął głową na potwierdzenie słów kumpla.

– Coś jeszcze? – Brat spojrział na Mateo, a ten na Nomada, dając tym do zrozumienia, że to on z ich dwójki został wyznaczony do zreferowania problemu.

– Na wejściu do utajnionej podstrony z licytacją „Wenus” na wszelki wypadek założyliśmy program sprawdzający. Jak wiadomo, każdy z wchodzących ma swój indywidualny kod. Tych wygenerowaliśmy pięćdziesiąt, a nam wychodzi, że podstronę odwiedza pięćdziesiąt

pierwsza osoba. Podejrzewamy, że jeden kod wejścia został zdublowany. Raz mamy informację, że wejście miało miejsce w Hamburgu, innym znów razem, że w Pekinie, potem Brukseli czy... Białymstoku. Nikt nie lubi złych wiadomości, ale uznaliśmy, że zanim poradzimy sobie z problemem, musimy panu o tym powiedzieć.

Kiedy Nomad skończył mówić, Amerykanin chwilę o czymś intensywnie myślał. Potem, nie zmieniając grobowej tonacji głosu, stwierdził krótko:

– Dobra robota.

– Dziękujemy – Mateo uśmiechnął się skromnie, biorąc pochwałę na własne konto.

– Czekam na telefon, że sprawa jest załatwiona.

Bratt kilka razy zgniótł między zębami gumę do żucia. Potem wyjął z ust szarą kulkę i swoim zwyczajem przyczepił ją na brzegu popielniczki. Wstał i wyszedł z mieszkania.

KIEDY OPUŚCIŁ BUDYNEK, poczuł na twarzy zimny powiew wiatru. Na szczęście do samochodu miał niedaleko. Wsunął się za kierownicę i od razu włączył ogrzewanie.

Czy postąpił słusznie? Wyjął Biblię, otworzył i spojrzał na pierwszy z brzegu werset. „Nie postępuje z nami według grzechów naszych ani nie odplaca nam według win naszych. Lecz jak wysoko jest niebo nad ziemią, tak wielka jest dobroć jego dla tych, którzy się go boją. Jak daleko jest wschód od zachodu, tak oddalił od nas występki nasze”.¹¹

Uspokojony przesłaniem, włączył silnik i ruszył asfaltową drogą. Minutę później z jednej z bocznych uliczek niemal wyjechało na niego terenowe mitsubishi. Za kierownicą czerwonego outlandera siedział dwudziestoparoletni blond osiłek. Miejsce obok zajmowała drobna dziewczyna o wytapetowanej kosmetykami twarzy.

Bratt Henry i chłopak w mitsubishi wcisnęli gwałtownie pedały hamulców. Zapiszczały zablokowane koła. Samochód Bratta uderzył

przodem w bok outlandera. Na jezdnię posypało się szkło z rozbitej lampy.

Wściekły osiłek wyskoczył z auta.

– I co zrobiłeś, matole?

Henry wysiadł flegmatycznie z auta.

– To była twoja wina, głąbie – warknął Bratt przez zaciśnięte zęby.

– Głąbie? – Właściciel byczego karku omal nie dostał zawału. – Jak do mnie powiedziałeś? Jak? – Wrzasnął na całe osiedle, jakby biorąc wszystkich na świadka. – Głąbie? Słyszałaś, Krycha, jak ta zawszona menda do mnie zagadkała? Słyszałaś?

Doskoczył do bagażnika i otworzył go. Po chwili trzymał w ręku kij baseballowy.

– Bucek, daj spokój. – Dziewczyna machnęła obojętnie ręką.

– Ja mu dam głąba.

Tego dla Bratta Henryka było za wiele. Kiedy byczy kark miał zamiar prześliznąć się szusem nad czerwoną maską swojego auta, żeby do niego doskoczyć, wyciągnął z kabury pistolet. Błyskawicznie go przeładował i skierował broń na osiłka.

Ten najpierw oniemiał, a potem natychmiast podniósł ręce do góry. Z dłoni wypadła drewniana pała.

– No, co pan?

Bratt Henry podszedł bliżej.

– Masz jeszcze, głąbie – wycedził spokojnie – coś do powiedzenia?

Byczek natychmiast zaprzeczył głową. Bratt Henry położył matółka na plecach na masce i przycisnął mu lufę do czoła tak mocno, że temu aż oczy wyszły na wierzch.

– Auu – zakwilił chłopak. Wyglądało, jakby miał się rozpłakać.

– Milcz!

– Ja nie chciałem...

– Zamknij japę, bo odstrzelę ci ten pusty łeb.

– Krycha! – krzyknął przerażony osiłek. – Dzwonił po tatę. Słyszysz?

Dziewczyna wyciągnęła z torebki telefon. Bratt Henry spojrzął na nią wzrokiem, w którym można było zobaczyć gwałt. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, jakby chciała powiedzieć: „No co? Przecież nic takiego nie zrobiłam”, i odrzuciła telefon na siedzenie kierowcy.

Amerikanin schował pistolet i westchnął ciężko niczym nauczyciel, który ma do czynienia z przymulastym uczniem. Potem zaczął bić, mocno, systematycznie, niemal z chirurgiczną precyzją. Po czwartym ciosie w głowę chłopak stracił przytomność. Po szóstym oczy wywróciły mu się białkami do góry, co znaczyło, że doznał wstrząśnienia mózgu. Bratt Henry spojrzął w stronę nieba, ciężko westchnął i mruknął: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”. Potem nakreślił na czole nieprzytomnego znak krzyża i na koniec mocno zajechał go pięścią w prawą nerkę. Kiedy wracał do samochodu, byczy kark powoli zsunął się z maski i upadł ciężko na asfalt.

Bratt Henry powoli wycofał auto i odjechał. Choć samochód już dawno zniknął za ulicznym zakrętem, to dziewczyna w czerwonym outlanderze wciąż nie ośmieliła się ruszyć z miejsca, choćby po to, by sięgnąć po telefon, który leżał na fotelu obok, i zadzwonić po pogotowie.

ELIZA SIEDZIAŁA przy biurku w swoim gabinecie w ministerstwie i gapiła się w okno, za którym wiatr poruszał gałęziami drzew. Zdawało się, że zimno wciska się przez szpary okna do środka. Ona jednak nie widziała ani drzew, ani ołowianego nieba. Myślała. I nie była zadowolona z wyników, który podsuwały jej szare komórki.

Miała wrażenie, że znajduje się w martwym punkcie. Jak tego chciał ojciec, powiedziała o wszystkim policjantowi, któremu zaufała. Tylko że ten zniknął. Nie odpowiadał na telefony, nigdzie go nie było. Jakby zapadł się pod ziemię. A może coś robił w wiadomej sprawie? I jak ona, Eliza, powinna postąpić? Czas ucieka... Rosnan coś kombinuje, to pewne. Dziwna licytacja obrazu na stronie internetowej, dostępna tylko dla wybranych, włączała w mózgu Elizy alarm. Zwłaszcza że

wylicytowana dotychczas kwota była absurdalnie wysoka, a przecież aukcja jeszcze się nie skończyła. Musi koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej.

Odwróciła oczy od okna, wstała i przeszła do pokoju Mony. Dziewczyna siedziała przy monitorach i przeglądała jakieś dane. Eliza stanęła w drzwiach i przez chwilę patrzyła, wczuwając się w swoje emocje.

Lubiła Monę. Ale obraz dziewczyny w jej umyśle nie był do końca pełny. Pytanie – w czym tkwił problem? Co podświadomość chce jej powiedzieć? Czy coś dostrzegła, czego ona jeszcze sobie nie uświadamiała, jakiś ton w głosie, spojrzenie, grymas...?

– Hej – powiedziała na głos.

Mona obróciła się i sekundę patrzyła na nią w sposób, jakby zobaczyła pierwszy raz. Zawsze tak było, kiedy gwałtownie odrywano ją od pracy.

– Rzuć wszystko i skoncentruj się tylko na aukcji „Wenus”. Może do czegoś się nie dogrzebałyśmy, coś zostało przeoczone. Bez tego nie ruszymy do przodu.

– Tylko że misie założyły blokadę na panel wejściowy, tym razem skuteczną. Straciłam możliwość dostępu.

– Nic się nie da zrobić?

Mona zmarszczyła brwi.

– Kiedy weszłaś, właśnie się nad tym zastanawiałam.

– I...?

– Możemy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – mruknęła. – Nasze misie znalazły trzecią lampę. Zastanawiałam się właśnie, co zrobić z tym fantem... Poza tym, jeśli chcemy się dowiedzieć, co naprawdę jest grane z giełdą, muszę usiąść do ich kompa.

– Jak chcesz to zrobić?

– Coś mi już chodzi po głowie, ale daj mi szansę chwilę pomyśleć.

GERARD ROSNAN siedział w fotelu w pokoju jadalnym. Przy długim stole, gdzie mogło pomieścić się dwadzieścia osób, stało ośmiu mężczyzn. Każdy miał na lewym ramieniu emblemat ziejącego ogniem smoka, pod którym widniał napis „Dragoni”. Wszyscy byli ubrani w ciemne mundury polowe. Jedni sprawdzali kabury pistoletów, czy są dobrze przymocowane rzepami do uda, drudzy liczyli magazynki, inni poprawiali kamizelki kuloodporne, sprawdzali półautomatyczne Combat Rifle M16 A2/M203 lub Personal Defense Weapon P90. Zwłaszcza te ostatnie nadawały się do walki na różne dystanse.

W pierwszej chwili wszystkich można było wziąć za dywersyjną grupę uderzeniową, z której siłą ognia należało się liczyć. I tak było w rzeczywistości. Dragoni byli najlepszym teamem w paintballu i zamierzali w tym roku sięgnąć po kolejny laur na drodze do mistrzostwa Polski.

Policjanci, którzy jakiś czas temu zatrzymali ich samochody na drodze, z pozorną obojętnością sprawdzili kierowcy prawo jazdy. Udali, że nie widzą broni, która leżała na podłodze między nogami pasażerów. Potem kazali jechać. Dwadzieścia kilometrów dalej czekał na nich oddział antyterrorystyczny i schowani za radiowozami zwykli policjanci, którzy mierzyli do nich z broni automatycznej. Gliniarze byli przekonani, że odłowili terrorystów, którzy właśnie jadą na akcję. Kiedy sprawa się wyjaśniła, przyznali, że w pierwszym odruchu mieli ochotę wezwać wojsko. Wszyscy się pośmiali, a jeden z chłopaków zaprezentował automaty uzbrojone w kolorowe pociski, które rozpryskiwały się na ciele trafionego w czerwone, niebieskie lub pomarańczowe plamy zmywalnej farby.

Przykrywka była genialna.

Obok Rosnana siedziało dwóch snajperów, którzy nie brali udziału w ogólnej krzątaniu. Albert miał zamknięte oczy, oddychał miarowo i wydawało się, że właśnie uciął sobie krótką drzemkę. Albin natomiast grał w samoloty na smartfonie i był całkowicie pochłonięty pościgiem za umykającym myśliwcem. Obu nazywano w skrócie „Drużyna AA”.

Rosnan obserwował wszystko z dystansem, jakby znalazł się tu przypadkiem i nie jego sprawą było, po co wszyscy zebrali się w jego domu. Do tej chwili przygotowywał się przez wiele miesięcy. Już na początku współpracy z Mietielinem przyszło mu do głowy, że pewnego dnia się usamodzielni, ale okazało się, że nie jest to tak proste, jak przypuszczał. Dzięki Afgańczykom mógł wreszcie zrealizować dawne postanowienie.

Zerknął na kalendarz – dwudziesty piąty listopada. Za trzydzieści dni stanie na ringu.

Kiedy w pokoju jadalnym skończyła się krzątanina, Rosnan mógł wreszcie zabrać głos.

– Mam nadzieję, że wszyscy wiecie, co do was należy, a Bratt Henry omówił poszczególne etapy działania. Pamiętajcie, że w czasie akcji mówicie tylko po rosyjsku. Każdy wykuł na pamięć swoje imię? – spojrzał pytająco na pierwszego i następnego, a ci mówili głośno.

– Anton.

– Wasilij.

– Iwan.

– Kostia.

– Płaton.

– Jakow

– Fiodor.

– Wiktor.

– Fiodor i Jakow – Rosnan spojrzał na dwóch najbliższych stojących. – Kamandirowku wy znajecie.

– Tak toczno – krzyknęli wywołani.

– Smirna.

Obaj stanęli na baczność i strzelili obcasami.

– W liewo smatri.

Obrócili twarz w lewo.

– Bieri swajo aruzie.

Chwycili w dłonie karabiny.

- Charaszo. - Rosnan kiwnął głową zadowolony. - Wsje biegom k awtamabiliam.

Dragoni zbiegli po schodach. Na parkingu stały dwa terenowe BMW, w każdym miało jechać po czterech bojców. Wszyscy umieścili pistolety i automaty w specjalnie przygotowanych stojakach w bagażnikach. W przypadku kontroli nikt nie mógł mieć zastrzeżeń do sposobu przewozu broni pneumatycznej. Prócz tego wszyscy mieli odpowiednie dokumenty i zaświadczenia, a stojaki posiadały specjalne blokady, które bez znajomości szyfru uniemożliwiały wyjęcie broni.

Kasety z uzbrojeniem były sprytnie skonstruowane. Wystarczyło odpowiednio je przekrócić. Pojemniki z atrapami obracały się na szerokim bębnie o sto osiemdziesiąt stopni. Wówczas ich miejsce zajmowała prawdziwa broń, która zamiast kapsuł miotających kolorową farbę, miała w magazynkach ostrą amunicję.

- CHCESZ NAPISAC do nich mejla? - Eliza była zaskoczona pomysłem Mony. - To wariactwo.

- Użyję czasowo wygenerowanego adresu IP.

Siedziały w kafejce internetowej na Żoliborzu. Był wieczór. Wokół ludzie w swoich boksach grali, pisali, przeglądali internet. A może nawet dokonywali przestępstw, mając nadzieję, że jeśli nawet ktoś namierzy ich komputer, to ten okaże się zarejestrowany w miejscu publicznym. Dlatego tu przyszły.

- Wkurzę ich. Jeszcze bardziej będą chcieli mnie dorwać. Pójdą na to. Musimy ich wywabić z mieszkania. To zwykły wieżowiec na Sadybie. Tak przynajmniej wychodzi po identyfikacji IP ich kompa.

- Wydawałoby się, że Rosnan powinien mieć ludzi ukrytych w bezpiecznym miejscu.

- A to nie jest bezpieczna dziupla? Z tego, co wiem, ma firmę - legalną, z galerią, hostessami, księgowymi i grzecznymi fachowcami z IT. To, że nasze misie siedzą zakamuflowani w zwykłym mieszkaniu,

tylko dowodzi, że mają zajmować się ciemną stroną biznesu. Oficjalnie nic ich nie łączy z Rosnanem. Myślę, że nawet kontakt utrzymuje z nimi ktoś trzeci.

– Rozumiem. Ale ja na ich miejscu nie ruszyłabym się z miejsca albo zastawiła wnyki.

– Bo ty masz mózg jasnowidza paranoika. Oni to zwykle napalone fiuty.

Eliza powtórzyła zdumiona:

– Jasnowidza paranoika? Co masz na myśli?

Mona roześmiała się.

– Nie przejmuj się. – Nieoczekiwanie spowaźniała. – Chociaż może masz rację.

– Z czym?

– Z tymi pułapkami. Zaczynam robić się zbyt pewna siebie. Jak nasze misie – dorzuciła po krótkiej chwili.

– Fajnie, że się na coś przydałam. Myślisz, że adres mejlowy podany na stronie licytacji „Wenus” jest przez nich przeglądany?

– Sprawdźmy to.

Mona odwróciła się do monitora i zaczęła pisać. „Powinniśmy pogadać. Mam propozycję, żebyście odpuścili. Oferta na pewno was zainteresuje. MonaLiza”.

– Każdy popełnia głupie błędy – mruknęła bardziej do siebie. Zmarszczyła czoło i po chwili dodała pod nosem: – Tak, z tymi wnykami to nie jest takie głupie.

– Ty masz bezpiecznego kompa? – zapytała Eliza.

– Zbudowałam wokół siebie solidny podwójny mur z proxy i VPN – stwierdziła Mona z dumą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Obecnie mój komputer wirtualnie ulokowany jest na Seszelach i używa serwera proxy postawionego w Montevideo. Jednak zmienny sygnał wskazuje, że moje mejle nadchodzą z Pekinu, Paryża,

Montevideo, Nowego Jorku, czyli z coraz to innego miejsca na świecie. Dzięki proxy unikam identyfikacji IP, gdyż jestem otoczona cybermurem, który ma swoją bazę w... Toronto.

- Kiedy tamci odpowiedzą? - spytała Eliza.

- Niedługo.

- W tej pięciolatce?

- Jak powiedziałam niedługo, to niedługo. - Mona wskazała na ekran komputera, gdzie w odpowiedzi nadesłano krótkie „OK”.

Mona ponownie zaczęła stukać w klawisze.

„Potrzebny mi jest z wami kontakt telefoniczny, więc oczekuję numeru jednego z waszej dwójki”.

- SKĄD ON WIE, ilu nas jest? - Mateo nie mógł oderwać wzroku od monitora.

Nomad pochylił się nad jego ramieniem, żeby lepiej śledzić wymianę zdań.

„Jutro o dwunastej w południe spotkamy się w śródmieściu Warszawy”. - Nadeszła odpowiedź. - „Esemezem dostaniecie informację, gdzie”.

„Jak cię poznamy?”.

„Zróbcie komórką sobie fotki i prześlijcie do mnie mejlem. Kiedy przyjdzie pora, wtedy przed wami dygnę. Ale najpierw czekam na wasz numer”.

Nomad dłuższy czas siedział nieruchomo wpatrzony w ekran.

- Zawiesiłeś się? - trącił go Mateo. - Co mu odpisać?

- Myślę. Napisz, że odezwiemy się za godzinę. - Moment później stwierdził pewnie: - To nie jest „on”, tylko „ona”.

- Bo?

- Napisła „dygnę przed wami”.

- To co?

Nomad wywołał na ekranie stronę internetową Słownika Poprawnej Polszczyzny. Wpisał w wyszukiwarce słowo „dygnąć”. W odpowiedzi ukazało się: „Dygnięcie – ukłon dziewczęcy polegający na lekkim ugięciu kolan”.

– Już kumasz?

– Chyba, że to ktoś z trzeciej płci.

– Spytałeś, skąd ona wie, ilu nas jest? – Nomad zaczął przemierzać pokój wolnym krokiem.

– No i?

– Ona nie chce się z nami spotkać, tylko...

– Co?

Nomad uśmiechnął się szeroko:

– Zamierza wywabić nas z mieszkania. Jeśli wie, ilu nas jest, to z pewnością zna nasz adres. W końcu nie mieliśmy powodu ukrywać naszego IP.

– I w ten sposób mogła do nas dojść – Mateo podchwycił myśl. – Pojedziesz sam na spotkanie, a ja poczekam na sukę.

– Zapomniałeś, co napisała? – Nomad wskazał liniijkę na ekranie: „Zróbcie sobie komórką fotki i prześlijcie do mnie mejlem. Kiedy przyjdzie pora, wtedy przed wami dygnę”. Ona chce byśmy „spotkali” się z nią we dwóch.

Przez następne kilkadziesiąt minut zastanawiali się, jaką powinni zastawić pułapkę. To, co wykombinowali, zgodnie uznali za majstersztyk.

– A zatem jutro się zabawimy. – Mateo wstukał do mejla numer swojej komórki, a potem wybrał jeden z selfie'ów, które pstryknął im obu. Potem wszystko wysłał. Zapadło milczenie. Zerknął na Nomada, który zapatrzył się w okno. – Co jest?

– Kocham takich cwaniaków – odparł Nomad głosem, w którym zabrzmiała zła nuta. – Choć to może jakaś dziewczyna, ale mam coraz większą ochotę przystawić jej ostry nóż do gardła.

– Tylko to?

Mateo powiedział to z pełnym przekonaniem, gdy przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Brattem i jego groźby, które nie wróżyły niczego dobrego.

– Powiemy o spotkaniu Amerykańcowi?

– Po wszystkim – zdecydował Mateo. – Nie ma co chwalić się sukcesem, którego jeszcze nie odnieśliśmy.

KIEDY PO POWROCIE do domu Mona otworzyła mejla i spojrzała na przesłaną od misiów fotografię, pociemniało jej w oczach. Serce skoczyło do gardła, a potem ciężkim kafarem załomotało w piersiach.

– To niemożliwe – wyszeptała, nie mogąc oderwać wzroku od twarzy Nomada.

Usiadła, gdyż poczuła się niepewnie. W głowie miała kompletną pustkę. Patrzyła na fotę, słyszała łomot pulsu w skroniach i łapała w płuca powietrze krótkimi nerwowymi haustami.

Wreszcie poderwała się z miejsca. Kot z głośnym miauknięciem uskoczył w bok spod jej nóg, lecz nie zwróciła na niego uwagi. Zaczęła przemierzać pokój nerwowym krokiem. Czuła się osaczona, jakby weszła do klatki i zatrzaśnięto za nią drogę ucieczki.

– Myśl, kurwa, myśl – krzyknęła zła na siebie.

Jej Nomad był więc jednym z facetów, którzy ją ścigali. Czy powinna z nim pogadać? Tylko niby co mu powie: „Przepraszam, nie jestem sprzedawczynią, ale MonaLizą”. Wyda się, że tak długo wodziła go za nos. Nomad nie uwierzy w jej zapewnienia, że nie wiedziała, kim jest. To pewne.

Rozdział dziewiętnasty

Zadzwoił telefon. Marzec otworzył sennie oczy. Która to godzina? Zerknął na elektroniczny wyświetlacz zegarka. Siódma rano. Telefon zadzwonił powtórnie. Ki czort? Sięgnął po komórkę.

– Halo.

– Jeszcze śpisz? – poznał głos Romy.

– Dziś sobota i nikogo nie odprowadzam do przedszkola – mruknął sennie.

– Ale nadal interesuje cię Daniel?

Nazwisko malarza natychmiast odpędziło sen.

– Znalazłaś coś ciekawego? – Podciągnął się na łóżku do pozycji leżącej i bezgłośnie ziewnął.

– Raczej poprzednio nie miałam czasu, żeby dokładniej przejrzeć pliki. Wczoraj naczelnik kazał mi znowu wejść do archiwum specjalnego. Przypomniałam sobie, że poprzednim razem z braku czasu pominęłam jedną teczkę w katalogu opatrzonym nazwiskiem „Daniel”. Ktoś nazwał ją „Zsyp”. Wczoraj po załatwieniu poprawki pomyślałam, że mam parę minut na przejrzenie „Zsyphu”.

– Znalazłaś wygrywające za tydzień numery w Lotto?

– Lepiej. Myślę, że z radością przystaniesz na kolejny miesiąc dreptania do przedszkola z moim małym, który cię nawet polubił.

Marzec do końca się rozbudził.

– Zakładam, że wiesz, co mówisz, więc wstępnie mówię, „tak”. Co znalazłaś?

– Rozpracowanie psychologiczne Daniela i fragmenty prowadzonych z nim przez psychologa rozmów. Gość otworzył się przed nim zupełnie.

Zresztą nie miał innego wyjścia. Początkowo próbował zwodzić, ale lekarz wypunktował go, rozkładając na czynniki pierwsze jego dotychczasowe życie. Nigdy nie sądziłam, że ludzie potrafią być aż tak zakłamanymi skurwielami.

– Intrygujesz mnie coraz bardziej.

– W takim razie wpadnij dziś do mnie na obiad. Właśnie zabieram się za robienie twoich ulubionych pulpetów z buraczkami.

DOCHODZIŁA DZIESIĄTA rano. Jeszcze godzinę wcześniej niebo było zachmurzone. Jednak wiatr przegonił chmury i wyjrzało słońce.

Dmitrij Leonowicz Mietielin wyszedł na ganek domu. Na podjeździe czekał już samochód. Odwrócił się, gdy usłyszał szybkie kroki.

Z mroku wyłonił się Musa Akhmetov. Jak zwykle doskonale ubrany w najnowszy garnitur od Armaniego. Był jednym z jego najlepszych psów, które musiał mocno trzymać na smyczy, żeby się nie zerwały i nie zwróciły przeciw własnemu panu.

– Co z Aleksiejem?

Dwa tygodnie temu polecił Akhmetovi, żeby ściągnięto syna z Nowego Jorku, gdzie w siedzibie Sotheby's na Manhattanie od dwóch lat szlifował eksperckie uprawnienia. Jego zadaniem było stworzenie nowego modelu działania organizacji, przystosowanego do funkcjonowania jako grupa biznesowa, a nie gangsterzy.

Mietielin doskonale rozumiał, że świat idzie do przodu i w jego biznesie już nie byli tak potrzebni zdecydowani na wszystko bojcy, co wysokiej klasy fachowcy. A z drugiej strony, trzeba być przygotowanym na wszystko i nie chować broni do kufrów. Przez ostatnie lata Dmitrij parokrotnie zderzył się z Afgańczykami. To byli doskonali znawcy sztuki, którzy równie dobrze potrafili posługiwać się bronią. Tak, nowe co prawda idzie, ale stare wcale nie zamierza oddawać mu pola.

– Przedwczoraj wylądował w Warszawie – stwierdził Musa beznamiętnie – ale został na tydzień w stolicy, żeby spotkać się... – Przez

jego bezkrwiste usta przemknął cień uśmiechu. – No wiesz, młodzi muszą się wyzumieć.

– Daj mu jeszcze dwanaście godzin, potem każ przyjeżdżać.

Mietielin poszedł w stronę samochodu. Pasza Władimirowicz Siemionow czekał już w aucie.

– Jesteś pewien, że nas dwóch wystarczy?

Dima kiwnął głową.

– Dlaczego się z nim spotykasz? – zapytał Pasza.

– Dlaczego? – Dmitrij potarł dłonią nieogolony podbródek, jakby się zastanawiał, jaka odpowiedź byłaby najlepsza. – Widzisz, tu nie tylko chodzi o pieniądze. Pracujesz z kimś przez lata, komuś ufasz, wiążesz z nim określone nadzieje. I pewnego dnia ten ktoś zapomina o wszystkim i rani ci serce. To boli. Dlatego chcę Gerardowi spojrzeć w twarz i przypomnieć, kto i co jest komu winien.

– A jeśli tego nie zrozumie?

– Tak właśnie będzie... Dlatego potem chcę widzieć strach na jego twarzy, kiedy wreszcie pojmie, że stoi na ziemi, która już do niego nie należy.

Za kierownicą siedział ochroniarz Dimy, obok ochroniarz Paszy.

Mieli przed sobą pół godziny drogi. Siemionow sięgnął po tablet. Miał zamiar dokończyć film „Siedmiu wspaniałych”. Znał go na pamięć, ale co jakiś czas oglądał od nowa.

W przeciwieństwie do przyjaciela Dima nie lubił filmów na małym ekranie. Dlatego tylko obojętnie spoglądał na przesuwający się za oknem krajobraz.

Z SUFIU ZWISAŁA naga żarówka na gołym drucie. Piwniczne pomieszczenie było wybudowane w kwadracie. Wszereż i wzdłuż liczyło dokładnie sześćdziesiąt dwie i pół stopy. Daniel zmierzył je wielokrotnie, starając się czymś zająć czas.

Jak długo siedział w zamknięciu, pozbawiony dostępu do radia, telefonu czy choćby zegarka? Początkowo próbował liczyć dni, ale najwyraźniej Mietielin rozkazał, żeby więźnia pozbawiono rachuby czasu. Tak więc posiłki dostawał nieregularnie. Światło włączono raz na krócej, to znów dłużej, w efekcie stracił możliwość kontrolowania zmieniających się pór dnia i nocy.

Przez grube metalowe drzwi czasami słyszał głosy strażników, którzy wymieniali między sobą zdawkowe uwagi. Te były jednak pozbawione jakiegokolwiek treści, która mogłaby pomóc liczyć dni.

Ile zatem minęło czasu od chwili uwięzienia? Dwa, trzy tygodnie? A może więcej?

Rosnan zapewniał, że z Mietielinem pójdzie gładko. Mylił się. Po pierwszej rozmowie zapędzono go do piwnicy, w której jedynym sprzętem było łóżko polowe z rzuconym na niego kocem i poduszką wypchaną śmierdzącymi olejem szmatami.

Potrzeby fizjologiczne załatwiał do stojącego w rogu piwnicy kubła. Początkowo mdliło go od bijącego z kąta smrodu, gdyż toaletę opróżniano niesystematycznie. Ale w końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Kilkanaście minut wcześniej bezceremonialnie ściągnięto go z łóżka. Dwóch bojców chwyciło go pod ramiona. Wyprowadzili z piwnicy i zamknęli w pokoju na parterze z zakratowanym oknem.

Światło dnia było zaskoczeniem. Przez dłuższą chwilę stał na środku pokoju oślepiiony blaskiem. Wreszcie oczy powoli przyzwyczyaiły się do rażących promieni słonecznych.

Jego uwagę przyciągnęła krzątająca na podjeździe przed domem. Przyjechało i odjechało kilka aut. Usłyszał krótkie rozkazy wydawane po rosyjsku. Na coś się zanosilo. Wreszcie zobaczył wyjeżdżający z posesji samochód, do którego wsiadł Mietielin.

A co z nim?

Jakby w odpowiedzi rozległ się szcęk klucza w zamku. Do środka weszło dwóch ubranych na czarno żołnierzy. Jeden rzucił mu na kolana

plócienny worek i dał znać, żeby założył go na głowę.

– Po co?

W odpowiedzi dostał uderzenie pięścią w twarz. Na parę sekund go zamroczyło. Upadł na podłogę. Kiedy odzyskał świadomość, miał na głowie worek mocno zaciągnięty pod brodą. Najwyraźniej wleczono go po schodach w dół, gdyż jego nogi głucho uderzały o kolejne stopnie.

JAK GŁOSIŁA informacja, którą naklejono na znaku prowadzącym do restauracji, tego dnia lokal „Domino” był zamknięty. Kilka dni wcześniej ludzie Mietielina wynajęli go w całości, żeby boss mógł w spokoju porozmawiać z Rosnanem.

Pierwszy na miejsce przyjechał Dima. Jego ludzie zostali przy samochodzie na parkingu. Do restauracji miał z nim iść tylko Pasza. Ten wziął ze sobą broń.

– Zabierz drugą lornetkę. – Dima pokazał na swoją, którą zawiesił na szyi.

Potem ruszył w stronę szerokiego oszklonego tarasu, który wsparty na drewnianych palach, niemal wchodził w toń jeziora. Wspiął się po stopniach. Wybrał stolik, z którego najlepiej było widać wodę, zwłaszcza zaś drugi brzeg, oddalony o pół kilometra. Znajdowała się tam stocznia remontowa barek.

Na życzenie klientów właściciel rozstawił wokół wskazanego stolika trzy wieże grzewcze. Dima i Pasza usiedli.

Dwieście metrów od brzegu, niemal na wprost „Domino”, cumowały dwa jachty. W połowie listopada już dawno powinny być wyciągnięte na brzeg. Oba miały zdemontowane maszty, co sugerowało, że właściciele mają zamiar w tym miejscu ściągnąć je z wody.

Dima podniósł do oczu lornetkę. Zgodnie z jego poleceniem, po drugiej stronie, przy betonowym molo, gdzie można było wpłynąć do stoczni remontowej, stała odwrócona tyłem barka węglowa. Wyglądała, jakby utknęła w miejscu. Zarówno na pokładzie, jak i na molo nie było

ludzi. W końcu niedziela. Poza tym sezonowy port był już zamknięty, a za betonowym wałem ustawiano do przezimowania barki.

W drzwiach prowadzących do środka restauracji pojawił się kelner. Niósł przed sobą szeroką tacę z filiżankami i trzema dużymi termosami. Wszystko postawił na stoliku nieopodal miejsca, które zajął Dima.

– W każdym jest gorąca woda – wskazał na termosy. – Tu kawa, cukier, mleko i herbaty do wyboru. Czy jeszcze mogę czymś panom służyć?

– Poradzimy już sobie. Możesz jechać do domu.

Kelner skłonił się bez słowa i odszedł.

Dima skierował lornetkę na jachty. Stały nieruchomo na wodzie, bujane delikatną falą, która z cichym pluskiem rozbijała się o piaszczysty brzeg wąskiej plaży.

Pasza Siemionow co jakiś czas spoglądał na Dimę pytająco, ale ten milczał. Byli ze sobą tyle lat, a Pasza nigdy nie miał świadomości, co jego boss planuje. Może tak właśnie powinno być. Podwładni muszą wiedzieć, że bez ich pomocy szef również potrafi dać sobie radę. Czy gdyby wtajemniczył Siemionowa w swoje plany, ten wzięłby ze sobą pistolet?

Wydarzenia dzisiejszego dnia Dima zaplanował w czasie ostatniego tygodnia. Nikt nie wiedział, co zamierza, a zatem Rosnan tym bardziej będzie niemile zaskoczony. Dima ściągnął grupę wypróbowanych ludzi z Petersburga. Do Polski dotarli jednym dziesięciogodzinnym rajdem samochodowym. Z bojcami spotkał się wczorajszego wieczora. W ciągu dwóch godzin, punkt po punkcie, omówili plan działania.

– Nikt nie będzie wam przeszkadzał. Na ten dzień ja przejąłem ochronę stoczni. – Dima mówił powoli do sześciu mężczyzn, z których twarzy nic nie można było wyczytać. – Dlatego nikt nie zwróci uwagi na faceta z workiem na głowie.

Zespołem uderzeniowym dowodził trzydziestoczteroletni Ramir, który pochodził z Kaukazu. Wcześniej dziesięć lat spędził w Specnazie, a swoje umiejętności szlifował w czasie wojny w Czeczenii.

– Kiedy będę zajmował miejsce w restauracji – kontynuował Dima – przywieziecie do stoczni Daniela. Chcę, żeby był świadom tego, co się z nim stanie, więc nie szprycujcie go usypiaczami. Ale nie zdejmujcie z głowy worka. Czy wszystko jasne? – spojrzał po twarzach mężczyzn, a ci po kolei kiwali głowami, że „jasne”. – To ma być perfekcyjne przedstawienie i wiem, że potraficie zadbać o to, żeby nie było żadnych niespodzianek.

– Polak wie, co go czeka?

Mietielin pokręcił głową.

– Uważa, że chcę mu dać nauczkę, żeby zapamiętał, że się nie donosi na swoich. Nie ma potrzeby wyprowadzania go z błędu.

Choć w porcie nie było widać żywego ducha, Dima był pewny, że grupa Ramira jest już na pozycjach wyjściowych. Zgodnie z umową miał wysłać SMS-a, żeby najemnicy zaczęli przedstawienie.

Jeszcze raz podniósł lornetkę do oczu. Odległość od restauracyjnego tarasu do stoczni była znaczna, ale przez silne szkła będzie można dokładnie zobaczyć, co wydarzy się na barce, której śruba właśnie zaczęła się wolno obracać. Barka była nietypowej konstrukcji – używano jej do przewożenia drewna, stąd miała o trzy metry podwyższone burty.

– Co u Aleksieja? – spytał Pasza o syna Dimy.

– Już czas, żeby zaczął przejmować moje interesy. Mam zamiar powoli się wycofywać. Niech teraz młodszy wezmą biznes w swoje ręce.

Siemionow sięgnął na sąsiedni stolik po wodę mineralną. Nalał ją do szklanki. Równocześnie zza pleców doleciał odgłos opon samochodu, który wjechał na zwirową alejkę. Dima spojrzał na zegarek.

– Polak jak zwykle punktualny. Zawsze go za to cenilem.

Wkrótce na chodniku, który prowadził z parkingu do restauracji, pojawił się Rosnan z Brattem Henrykiem. Polak również zostawił swoich ludzi przy samochodzie.

– Witaj. – Marszand podszedł do Mietielina, który nawet nie podniósł na niego wzroku. – Wiem, co czujesz. – Rosnan opuścił

wyciągniętą dłoń, którą Dima zlekceważył. – Z pewnością Daniel już mnie obszczał.

– Wiesz, co czuję? – wycedził Mietielin wolno przez zęby.

– Mam bogatą wyobraźnię. – Rosnan udał, że jawna obraza Mietielina zupełnie go nie obeszła. Kiwnął Paszy głową na powitanie.

Henry obojętnie patrzył na obu Rosjan, nie zwracając sobie głowy powitaniami.

– W takim razie pogadajmy. – Rosnan przysunął sobie krzesło i usiadł pomiędzy Dimą i Paszą.

Bratt zajął miejsce przy sąsiednim stoliku, gdzie wszyscy mogli go widzieć. Wyjął Biblię i zaczął ją czytać na pierwszej przypadkowo utworzonej stronie.

ROSNAN OCZEKIWAŁ chłodnego powitania, dlatego lekceważenie Mietielina zupełnie było mu obojętne. Bez trudu przeszedł do roli gospodarza, chociaż to nie on był inicjatorem spotkania.

Wskazał na stolik z termosami.

– Mnie wystarczy woda mineralna, a wam?

Mietielin potwierdził głową. Pasza podniósł do góry trzymaną w dłoni szklankę z kryniczanką.

– Nie ukrywam – zaczął Mietielin – że zraniło mnie to, co zrobiłeś.

Rosnan odsunął się nieco od stołu, żeby mieć możliwość założenia nogi na nogę.

– Myślę, Dima, że wszystkie obecne problemy wynikają z tego, że traktujesz całą sprawę w zbyt uproszczony sposób. – Mietielin chciał się odezwać, ale Rosnan mówił dalej, wymuszając tym pozostanie przy głosie. – To prawda, wydreptałem sobie dojście, żeby kupić dobry obraz po niezbyt wygórowanej cenie. Czy to obliguje mnie, żeby natychmiast lecieć do ciebie z wiadomością, że trafiła mi się superokazja? Jeśli tak, to równie dobrze mógłbyś oczekiwać, że będę przedstawiał ci do akceptacji każdą moją kolejną kochankę.

Mietielinowi najwyraźniej nie spodobały się te słowa.

– Nie taka była umowa. Teren, na którym działasz, należy do mnie. Pozwoliłem ci prowadzić na nim interesy tylko dlatego, że miałeś informować mnie o wszystkim, co dotyczy mojego biznesu. Powtarzam słowo „mojego”. Twoje kochanki mam gdzieś, ale chcę wiedzieć o każdym pieniądzu, który zarabiasz. Wiedzieć i mieć z niego należny procent.

– W taki sposób współpracowaliśmy przez dwadzieścia jeden lat. Myślę, że korzyści na tym odniosły obie strony. Ale tak to już bywa, że ludzie dorastają, zmieniają swoje upodobania i po pewnym czasie wiele spraw widzą inaczej. Kiedy komuna zdychała, Dima, przystąpiłem do twojego biznesu i rzetelnie wypełniałem wzięte na siebie zobowiązania. Teraz chcę iść na swoje.

– Cieszę się, że jasno stawiasz sprawę. – Mietielin nadal miał martwy wyraz twarzy.

– Myślę, że malarz, który ode mnie uciekł – Rosnan uśmiechnął się czarująco – powiedział o wszystkim. A' propos, co się z nim dzieje i co z obrazem, który mi ukradł?

– Mam go w bagażniku. Sprzedam ci go za równy milion. A jeśli chodzi o pacykarza... To rzeczywiście zdolny człowiek. – Mietielin pokiwał z uznaniem głową. – Ale zdolnych ludzi są tysiące.

– Niezupełnie. Jego palce są ze złota.

MIETIELIN WYJĄŁ komórkę. Nacisnął klawisz, który spowodował wysłanie SMS-a i schował telefon do kieszeni.

– Jesteś zabawny. – Mietielin zaczynał mieć Rosnana dość. – Najpierw próbujesz mnie oszukać, potem pozbawić należnego procentu, wreszcie siadasz przy moim stole i mówisz: podzielmy się tym, czego się dorobiłeś, bo dotychczasowy układ już mi nie odpowiada.

Przyglądał się Rosnanowi z nieukrywaną pogardą. Próbował sprowokować go wzrokiem, ale Polak udał, że tego nie dostrzega.

Biedny zasmarkany skurwiel, przemknęło Dimie przez głowę. Czy mógł przypuszczać, co go spotka? Nie, bo Dima zawsze był od niego sprytniejszy, bo polska Służba Bezpieczeństwa nawet nie dorastała do pięć KGB, w której on dosłużył się stopnia pułkownika. Polaczkę zawsze będą popychadłem silniejszych i choćby nie wiem jak ten odrost się stroszył, nic z tego nie wyniknie. Z drugiej strony, Dima potrafił docenić zimny spokój Rosnana. Facet miał jaja. O, jak to się rozpiera na krześle, jakby był władcą świata.

– Czy po tym, co powiedziałeś – odezwał się marszand z lekką kpina – mam rozumieć, że chcesz wojny? Ona nigdy nikomu nie przyniosła korzyści.

– To prawda – Dima kiwnął głową.

– Dlatego mam propozycję.

Mietielin tylko spojrzał pytająco.

– Przez najbliższy rok będziesz dostawał siedemdziesiąt procent ze wszystkich transakcji, które przeprowadzę na moim terenie. Teraz, zgodnie z umową, należy ci się sześćdziesiąt. – Przy słowie „moim” Dima podniósł znacząco brwi. – Tak, dobrze usłyszałeś. Moim terenie. Po roku będziemy już działać jako równorzędni partnerzy, którzy wzajemnie szanują swoje strefy wpływów oraz interesy.

Rosjanin przez chwilę patrzył na Polaka ciężkim wzrokiem, a potem podniósł do oczu lornetkę. Na barkę weszło trzech ludzi ubranych w mundury moro. Między nimi szedł więzień. Na głowie miał worek, żeby do końca nie wiedział, co zamierzają z nim zrobić. Wszyscy stanęli na tyle barki. Jeden z bojców sięgnął do kieszeni i zerknął na ekran komórki.

Czas na rozpoczęcie spektaklu, podjął decyzję. Na sekundę zatrzymał wzrok na idącej po blacie stolika mrówce. Niosła większy od siebie patyk. Tak właśnie on, Dmitrij, ciężko harował całe życie i żaden polski kundel nie zabierze mu tego, czego się dorobił.

– Powiem ci coś – Dima opuścił lornetkę i zwrócił oczy na Rosnana.

– Twoja propozycja być może byłaby interesująca, gdyby nasza

wzajemna zależność była inna. Ale – rozłożył dłonie na boki, jakby w geście bezradności – pierdolę ciebie i twoje pomysły. – Podał Rosnanowi lornetkę, którą przyniósł ze sobą Siemionow. – Chcesz zobaczyć, co zamierzam zrobić z malarzem, którego mi podesłałeś?

Na twarzy Rosnana nie drgnął nawet jeden mięsień i Dima po raz kolejny musiał przyznać, że Polak ma jaja.

Rosnan bez słowa przyłożył lornetkę do oczu.

– Po drugiej stronie jeziora – mówił Dima powoli, lekko znudzonym głosem – jest port, gdzie w sezonie letnim przeprowadzają remonty barek. Kazałem tam swoim ludziom zawieźć Daniela.

Trzech mężczyzn podprowadziło związanego i oślepionego workiem na tył barki. Potem przełożyli go przez barierkę. Nieszczęśnik zawisł nad pracującą śrubą. Choć miał zasłonięte oczy, prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z miejsca, w którym się znalazł. Dlatego kulił nogi, choć te jeszcze znajdowały się powyżej kipieli wodnej. Jednak mężczyźni na barce poluzowywali linę i wiszący człowiek zjechał pół metra w dół. Biedak błyskawicznie podciągnął się na rękach.

– Jak myślisz – zadrwił Mietielin. – Jak długo byś tak wytrzymał? – To była jawna groźba, która nie pozostawiała wątpliwości, co w przyszłości Rosjanin zamierza z nim zrobić. – Twój Daniel na razie się nie poddaje. – Spojrzał na zegarek. – Niedługo minie minuta.

Przez lornetkę widać było, jak zawieszony nad śrubą człowiek walczy o życie. Co kilka sekund obsuwał się w dół o parę centymetrów. Wtedy mocniej podkurczał nogi i w ten sposób odrabiał stratę. W pewnej chwili spróbował desperacko sięgnąć do zbawiennej barierki na burcie barki. Kiedy udało mu się wspiąć na tyle, by ją chwycić, dostał cios w rękę. Metalowa rurka prawdopodobnie zgruchotała mu kilka palców. Ale strach przed śmiercią był silniejszy od bólu i mimo że nieszczęśnik zjechał metr w dół, ponownie z mozołem zaczął piąć się do góry.

– Nie bez przyczyny pytałem, jak długo tak byś wytrzymał. – Mietielin patrzył obojętnie przez okular. – Jeśli dobrze pamiętam,

najdłużej wisiał pewien Bośniak, który oszukał mnie na towarze. Wyobraź sobie – zaśmiał się zimno – że chciał mi wepchnąć podróbkę. Twierdził, że zrobiono ją w czasach cesarza Trojana, podczas gdy wyrabiała je masowo jego rodzina. Straciłem przez niego dobrego klienta. No więc Dragan wisiał na linie przez czterdzieści minut. Byłem dla niego pełen podziwu. Ale dłużej się nie da. Najpierw wysiadają człowiekowi mięśnie karku. Łapie cię skurcz. Chciałbyś poluzować chwyt liny, na której zacisnąłeś palce, i opuścić ramię. Choć na sekundę. Ale to niemożliwe. Również podkurczone nogi zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Ich skurcz powodowany strachem podobno jest o wiele boleśniejszy i chociaż zaciskasz zęby, mięśnie same rozprostowują nogi.

Rosnan widział, że człowiek na linie walczy ostatkiem sił.

– W pewnym momencie już wiesz, że nie dasz rady – głos Mietielina przypominał głos bajora. – O czym w takiej chwili człowiek myśli? Przeklina matkę, a może tego, kto powiesił go nad śrubą. Kiedy będziesz się nad tym wszystkim zastanawiał, ja będę stał nad tobą. Wtedy mi powiesz. Zgoda?

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie przerwał ją spokojny głos Rosnana.

– Dlaczego on ma worek na głowie?

– Wtedy się bardziej boisz. Nie potrafisz ocenić odległości, która dzieli cię od śmierci, więc każdy centymetr wydaje ci się granicą, której nie wolno przekroczyć.

Przez szkło okularu widać już było, że walka nieszczęśnika dobiega końca. Ucisk dłoni, które były zacisnięte na linie, był coraz słabszy. Nogi wyraźnie ciążyły.

Wokół zapadła cisza. Przerwało ją bliskie bzyczenie muchy i odległy stukot uderzającego w pień dzięcioła. W pewnej sekundzie wydało się, że od strony jeziora dobiegł rozdzierający krzyk.

Mietielin i Rosnan nie opuszczali lornetek.

Barki nieszczęśnika pokonał skurcz. Palce puściły linę. Nogi opadły. Ludzki wór spadł ciężko w dół i zawisł w powietrzu. Sekundę później śruba ścięła mężczyznę do bioder. Kipiel wodna spieniła się krwią.

Rozhuśtana na linie połówka ciała chybotwała się na boki, opryskiwana zwałami kotłującej się krwawej kipieli, wstrząsana przedśmiertnymi konwulsjami, które przechodziły gasnącymi falami przez martwiejące ciało.

– Już po wszystkim – w głosie Mietielina dało się słyszeć zawód. Zerknął na zegarek. – Nie wytrzymał nawet dwudziestu minut.

– Bo miałeś słabego syna – stwierdził obojętnie Rosnan.

DO MIETIELINA nie dotarł sens wypowiedzianego zdania. Szybciej zrozumiał Pasza, który sięgnął do kabury, pod połę marynarki. Z jednego z jachtów padł strzał. Pękła szyba, która osłaniała ich od wiatru z jeziora. Szklane drzazgi rozprysnęły się na boki w migotliwych kawałkach. Siemionow nie zdążył poderwać się z miejsca. Jedyne otworzył usta, jakby zamierzał ostrzec bossa, ale tylko głośno westchnął. Jego głowa przechyliła się i zawisł krzywo na oparciu krzesła. W końcu zeszytniał, a po jego szyi popłynęła krew.

Obok Mietielina wyrósł Bratt Henry z pistoletem przystawionym do jego skroni.

– Uważałeś mnie za głupca – powiedział Gerard Rosnan, bawiąc się lornetką – a ja, wybac przewrotność, nie chciałem wyprowadzać cię z błędu. Twój ludzie ze Specnazu nie byli wcale tak dobrzy, jak myślałeś. No, a ty okazałeś się zwykłym bezmózgim, jebanym kacapem.

– Mój syn – jęknął Mietielin histerycznie. Wreszcie pojął, na czym śmierć patrzył. Na twarzy pojawiła się zgroza. – Powiedz, że to nieprawda, że tylko drwisz! – Jego pierś rozdarł przejmujący krzyk. – Nie dręcz mnie. – Upadł na kolana. Odepchnął od siebie krzesło i z zalaną łzami twarzą zaczął sunąć do Rosnana. Wyciągnął przy tym błagalnie dłonie. – Zabierz wszystko, ale oddaj Aleksieja.

Rosnan wstał z miejsca i skierował się do zejścia z tarasu. Jego śladem ruszył Bratt. Za nimi pozostał w błagalnej pozie gangster.

Kiedy Rosnan postawił nogę na pierwszym stopniu, Mietielin poderwał się na równe nogi. W jego oczach błysnęło szaleństwo. Chciał chwycić pistolet, którego rękojeść wystawała spod odchylonej poły marynarki Paszy. Zdołał tylko dotknąć broni. Ponownie padł strzał. Nogi pod Rosjaninem się załamały. Upadł na kolana. Ze zdziwieniem i niedowierzaniem dotknął koszuli, na której wykwitła powiększająca się czerwona plama. Jednym szarpnięciem rozerwał poły marynarki, jakby chciał lepiej przyjrzeć się ranie. Wreszcie spojrzął na umazane krwią palce. Na twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Westchnął boleśnie. Chciał jeszcze krzyknąć, ale nie miał już na to dość siły. Wyciągnął przed siebie dłoń, jakby próbował zawołać, żeby Rosnan pomógł mu wstać. Później życie w jego oczach zgasło. Rosjanin, niczym bezwładna kukła, powoli przechylił się do przodu i upadł twarzą na deski podłogi.

Rosnan zatrzymał się i obejrzał na trupa. Poczul nieskrywaną satysfakcję. Czekał cierpliwie i wreszcie wyrównał rachunki za lata upokorzeń oraz traktowania go niczym chłopca na posyłki.

Kiedy doszedł na parking, ochroniarze Mietielina i Paszy już dawno nie żyli. W samochodzie, którym przyjechał, na tylnym siedzeniu dostrzegł Daniela, obok niego zaś obraz, który wyjęto z bagażnika Rosjanina. Otworzył drzwi.

Daniel wyglądał jak kupa nieszczęścia. Zarośnięty, z siniakiem na twarzy i kreską zaschniętej krwi w kącie ust, w brudnym, porwanym i zalany krwią garniturze.

– Jak się czujesz? – spytał i usiadł przy malarzu. Bratt Henry zajął miejsce obok kierowcy.

Na widok Rosnana Daniela ogarnęła wściekłość. Rozsądek schował się w zakamarkach głowy. Chciał wybuchnąć, przeklinać. Złożył nawet wargi, żeby plunąć na Rosnana.

Jednak w ustach nie znalazł śliny, a zmęczenie i niespodziewanie odzyskana wolność odebrały siłę.

– Chujowo – wycharczał.

– Wybacz, że nie powiedziałem wszystkiego, ale wtedy nie zagrałbyś dobrze swojej roli. Jesteś beznadziejnym aktorem.

Rosnan już zamierzał go klepnąć w ramię, ale widząc brud na materiale się rozmyślił.

KIEDY SAMOCHÓD z Rosnanem zniknął za zakrętem, jego ludzie zaczęli sprzątać bałagan w restauracji. Zapakowali trupy do plastikowych worków i zakopali w pobliskim lesie. Zmyli dokładnie krew ze stołu i tarasu. Jedyna strata, która spotkała właścicieli, to zbita szyba oraz zakrwawiona serweta ze stolika, którą oblano benzyną i spalono na piasku plaży. Potem popiół dokładnie wdeptano w ziemię.

Rozdział dwudziesty

Eliza siedziała w ulubionej kawiarni nieopodal swego domu. Popijała cappuccino z filiżanki i gapiła się obojętnie na uliczny krajobraz za oknem.

Marzec zapadł się pod ziemię i najwyraźniej nie miała już co na niego liczyć. A może coś mu się stało? Ale nawet jeśli tak by było, nie miała szansy się o tym dowiedzieć. Gdyby przystała na propozycję Mony, dysponowałaby pieniędzmi, które mogły być kartą przetargową w sprawie jej ojca.

Ostatnio im częściej o nim myślała, tym bardziej wyczuwała jakiś zgrzyt, niemal nielogiczność własnego rozumowania. Nie potrafiła odkryć, na czym polega emocjonalna blokada, która jakby tonowała jej troskę. Nikomu o tym nie mówiła, pewna, że sama sobie poradzi. Ale mijały dni i tygodnie, a wątpliwości tylko w niej narastały. Była coraz bardziej zła, że nie potrafi znaleźć racjonalnego ich wytłumaczenia. Próbowwała więc je odrzucić i lekceważyć, ale niewiele to pomagało.

Wsunęła do uszu słuchawki, włączyła komórkę i weszła na YouTube'a. Skupiła uwagę na podkaście omawiającym jeden z procederów stosowanych ostatnio przez handlarzy dziełami sztuki. Oto niektóre dzieła stworzone w stylu gotyckim przez współczesnych artystów są sprzedawane przez pozbawionych skrupułów marszandów jako oryginalne rzeźby z wczesnego średniowiecza. Już wiele osób zostało w ten sposób oszukanych.

Nieoczekiwanie ktoś dotknął jej ramienia. Zaskoczona zobaczyła siadającego obok Marca. Wyjęła słuchawki z uszu i uśmiechnęła si uradowana jego widokiem.

– Próbowałam się z panem skontaktować.

– Domyślałam się nawet, w jakiej sprawie. A że nie znałam jeszcze wielu szczegółów, stąd nie odpowiadałem na wysyłane wiadomości.

– Mówimy o moim ojcu – upewniła się Eliza.

– Tak, pamięta pani, że prosiłem o trochę czasu.

Eliza kiwnęła potwierdzająco głową.

– Jeśli się teraz spotkaliśmy, to rozumiem... – zawiesiła głos.

W odpowiedzi Marzec sięgnął do neseseru, otworzył go i wyjął z niego plastikową teczkę.

– Proszę zapoznać się z jej treścią.

– Teraz?

Policjant kiwnął potakująco głową.

Eliza rozwiązała tasiemkę i otworzyła okładki. Przejrzała pobieżnie kopie akt, fragmenty przesłuchań i opinii psychologicznych. Poczuła się niepewnie. Przeczuciwała, że to coś ważnego, a jednocześnie wahała się, czy zagłębić się w lekturę. Podniosła niepewne spojrzenie na siedzącego na wprost Marca.

– Chciałaś wiedzieć – odpowiedział spokojnym głosem. – Poza tym masz prawo poznać prawdę.

Czytała powoli, niespiesznie. Niekiedy wracała do tego samego akapitu, żeby się upewnić, że dobrze go zrozumiała. Co jakiś czas spoglądała na Marca. Początkowo w jej oczach widział zdziwione zaskoczenie, potem bolesne niedowierzanie, a na koniec bezradną złość. Kiedy w końcu dziewczyna zamknęła akta, wydało mu się, że dostrzega w jej oczach łzy. Ale może był to tylko odbłask zapalającej się za oknem latarni?

– Dziękuję. – Bezwiednie zacisnęła palce na aktach tak mocno, że aż zbiały jej kostki.

Spojrzała nad jego ramieniem w sobie tylko znaną dal, jakby z niemym pytaniem: „Co teraz?”

– Odwieźć cię do domu?

Zaprzeciżyła szybkim ruchem głowy.

– Chcę się przejść. – Przesunęła plastikową teczkę po blacie stolika w stronę policjanta. – A właściwie przemyśleć to, co przeczytałam.

Chciała wstać, ale Marzec przytrzymał jej dłoń.

– Jest jeszcze coś... Skontaktuj się z komisarz Janą Novák. To moja znajoma z wydziału. Wspomniałem jej o tobie i ojcu. Możesz jej zaufać. Uwierz, że ona ma większe możliwości, żeby na obecnym etapie sprawy pomóc ci w ewentualnych kłopotach.

– Myśli pan, że mogą mnie spotkać?

Uśmiechnął się smutno.

– Bardzo chciałbym powiedzieć, że nie.

MONA WRĘCZYŁA Elizie dwa telefony komórkowe na kartę, które kupiła poprzedniego dnia.

– Są naładowane i mają wgrany numer misia. Naszych ustaleń nie musisz powtarzać, bo wiem, że masz lepszą pamięć ode mnie.

Eliza przypatrywała się fotce, którą nadesłali hakerzy.

– Gdyby przeszli obok, nawet nie zwróciłabym na nich uwagi. A ty?

Zerknęła na Monę, a ta kiwnęła głową, że również. Ale coś było nie tak. Mona była podenerwowana, choć starała się to ukryć. Ale nie były to nerwy związane z akcją, nie strach, że hakerzy Rosnana ją dopadną. Coś innego, co sprawiało, że jej oczy były szkliste, jakby zbierały się w nich łzy, które spłyną, gdy nikt nie będzie widział. I ten napięty głos...

Mona zrobiła krok i syknęła boleśnie.

– Co się stało?

– Strzeliło mi coś w stopie, gdy zsiadałam z motoru. Jakiś kamień. Źle postawiłam nogę, przekreśliłam ją i coś cholernie zabolowało. Ale już przechodzi, spoko, dam radę. – Wskazała na komórki. – Po każdym połączeniu wyjmujesz kartę, łamiesz wyrzucasz do śmieci.

– Pamiętam.

Eliza wsiadła na Biedronkę, a Mona pokuśtykała do stojącego nieopodal BMW. Obie nałożyły kaski na głowy i rozjechały się każda w

swoją stronę. Eliza w stronę ursynowskiej alei KEN, a Mona na Sadybę.

Dochodziła czternasta i Eliza nie musiała się nigdzie śpieszyć. Mona opracowała każdy szczegół rozgrywki i trzeba przyznać, że w planowaniu była dobra. Pomyślała nawet o tym, żeby do torby, z tyłu Biedronki, włożyć lornetkę, by Eliza mogła obserwować hakerów Rosnana z bezpiecznej odległości.

NOMAD ZAPARKOWAŁ samochód obok kościoła. Wielka bryła budynku z czerwonej cegły przypominała stodołę. Zresztą tak mieszkańcy Ursynowa nazywali ten kościół. Piękny park za świątynią latem był ulubionym miejscem randek, a podczas upałów jego fontanna przeżywała najazd maluchów spragnionych ochłody. Teraz było tu pusto.

Wyszli z samochodu i ruszyli na plac. Doszli do fontanny i rozejrzeli się wokół. Od strony domów w kierunku kościoła szedł zmarznięty mężczyzna. Po chwili otworzył wielkie drzwi i zniknął w środku świątyni. Szeroką alejką z pustymi ławkami –wyglądającymi na niespecjalnie wygodne – jakaś młoda matka z uporem pchała przed sobą wózek z opatulonym maluchem. Obowiązkowy spacer.

– Co mi się tak przyglądasz? – spytał Mateo Nomada.

– Rano zauważyłem, że masz pistolet.

– Dopiero teraz? – Mateo roześmiał się głośno.

– Wziąłeś go ze sobą? – głos Nomada tylko pozornie był obojętny.

– Jasne.

– Chryste. A jak zatrzyma nas policja?

– Nie słyszałem, żeby za spacer przed kościołem lub przekroczenie prędkości brali na rewizję osobistą. Poza tym nie jestem kierowcą.

– A jak zauważą?

Mateo wzruszył ramionami.

– Mam pozwolenie na broń gazową.

Nomad odetchnął z ulgą.

– A ja myślałem...

– No i dobrze kombinowałeś. – Mateo klepnął się w ukrytą pod marynarką kaburę. – Ta jest ostra.

Nomad zachłysnął się własną śliną. Długo kaszłał, nim wreszcie złapał głębszy haust powietrza. Rozległ się sygnał nadejścia SMS-a.

„Dobra, nie macie ogona, który mógłby się do mnie przyczepić. Czekam na was o 15.00 przy wejściu do Café Consonni na Kasprówicza. Nie spóźnijcie się”.

– To drugi koniec Warszawy – stwierdził Nomad. – Spryociara.

– Myślisz, że nas obserwuje? – mruknął Mateo.

Obaj dyskretnie rozejrzeli się dokoła, ale nikogo podejrzanego nie dostrzegli. Nomad sprawdził coś w komórce.

– Chyba myśli, że będziemy ją namierzać – Nomad podsunął telefon pod nos Matea. – Ten numer jest inny od poprzedniego.

– Zmienia telefony. – Mateo kiwnął głową. Był zły. – Jak będziemy wracali, wpakujemy się w niezły korek. Zaczyna mnie to wkurwiać.

MONA UNIOSŁA głowę i spojrzała na wieżowiec, w którym mieszkali hakerzy.

Nomad... Jej Nomad. Miała ochotę krzyknąć z wściekłości. Los nie może być taki kurewski. Potem pomyślała, że to sprawka ojca albo tego świrniętego Amerykańca. Podesłał jej Nomada, żeby wiedzieć, jak się zachowa albo co zamierza. Ale po chwili odrzuciła tę myśl. Nomad o nic nie pytał. Patrzył na nią cielecym wzrokiem, którego nie dałoby się podrobić.

To był przypadek.

Nigdy nie wierzyła w Opatrzność, w jakiś odgórny Plan. Ale tym razem została zaskoczona totalnie. Pytanie było – co teraz? Jak ma dalej postąpić?

Zawsze wiedziała, co ma robić. Jakie podjąć dalsze kroki. Nieważne, czy były mądre, czy nie i czy potem ich żałowała. Ale teraz, gdy myślała

o Nomadzie, serce biło jak oszalałe, w żołądku zamarzała kula, a mózg się wyłączał. Jedyne, co mogła wtedy robić, to płakać.

Starła się więc nie myśleć, mając nadzieję, że jej podświadomość sama wypracuje jakieś rozwiązanie. Poza tym miała zadanie do wykonania.

Że też wcześniej nie wpadła na ten pomysł – zobaczyć, nad czym pracują hakerzy ojca, by się dowiedzieć, czy przypadkiem Rosnan jej nie kantuje. To było rutynowe ubezpieczenie. W rzeczywistości, gdzieś w głębi duszy, miała nieśmiałą nadzieję, że między nią a ojcem nawiązuje się nić porozumienia. Nie, żeby od razu wybuchła w nim ojcowska miłość – w takie bajki nie wierzyła – ale przecież faceci inaczej traktują własne dzieci niż obcych ludzi. W końcu, o ile wiedziała, Rosnan nikogo poza nią nie miał.

Chciała, żeby ojciec ją zaakceptował, ale mu nie ufała. Wiedza to bezpieczeństwo. Na pewno by się wściekł, gdyby się dowiedział, że zamierza grzebnąć w komputerach jego hakerów. Przecież nic jej nie powiedział o giełdzie. Jakby jej też nie ufał do końca. Tym bardziej nie wolno więc dopuścić, by misie ją znalazły. Zwłaszcza teraz, gdy przejrzy pliki związane z giełdą, od której została odcięta. A może znajdzie w ich kompach coś jeszcze? Coś, co się przyda w przypadku, gdy nadzieje na ojcowską miłość okażą się płonne. Bo patrząc zimno, rozsądnie: on nie szukał jej przez tyle lat, bo była mu całkowicie obojętna, a z więzienia wyciągnął ją, bo – jak sam to przyznał – była mu potrzebna. Dlatego wyjście awaryjne, o którym stale przypominała mama, było koniecznością.

Weszła do klatki schodowej i przywołała windę. Gdy wjechała na piętro, wyjęła z plecaka słomkowy kapelusz. Założyła go i pod brodą zawiązała kokardkę, żeby nie zsunął się z głowy. Odwróciła się do drzwi oznaczonych numerem „13”.

– Macie, chłopcy, pecha – mruknęła.

Sprawdziła zamki. Poczucie bezpieczeństwa misiów było rozbijające. Dwa yale, które można otworzyć grubym, odpowiednio

wygiętym drutem. Poczula lekkie rozczarowanie brakiem wyzwania. Po chwili, kiedy szczęknęła ostatnia odsunięta wytrychem zapadka, droga stanęła przed nią otworem.

Weszła do środka i po chwili znalazła się w pokoju z komputerami. Serwer cicho szumiał. Rozejrzała się i podeszła do jednego z dwóch stanowisk. Tego posprzątanego, bo na drugim był prawdziwy chlew. To było miejsce Nomada, gdyż pod klawiaturą znalazła kartkę ze szkicem twarzy. Jej twarzy.

– Nomad, ty idioto – szepnęła z uczuciem.

I nagle to poczuła – zalewające serce ciepło. I gorycz tęsknoty. Kocham go, pomyślała. Wreszcie otwarcie się do tego przed sobą przyznała, bez żadnych: a może, ale, chyba i prawdopodobnie. I nie wiedziała, czy więcej jest w tym olśnieniu szczęścia, czy paniki. Ale teraz nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać.

Cichy sygnał komórki powiedział jej, że Nomad i jego kolega ruszyli spod stodoły na KEN. Czas zabrać się do roboty.

Usiadła w fotelu Nomada, poprawiła kapelusz na głowie i wyciągnęła z kieszeni pendrive'a. Wsunęła go w łącze stacji dysków.

ELIZA ZATRZYMAŁA Biedronkę w miejscu, które wcześniej Mona wskazała jej na wygooglowanej mapie: po drugiej stronie kawiarni na Bielanach, w kąciaku osłoniętym przed wiatrem. Kilka minut później podniosła do oczu aparat fotograficzny i zrobiła zbliżenie kadru. Po drugiej stronie zaparkował niebieski jeep. Wsiadło z niego dwóch młodych mężczyzn – jeden z czubem irokeza na głowie. Eliza nacisnęła migawkę i aparat zaczął robić serię zdjęć.

Kiedy hakerzy doszli do cukierni, Eliza wysłała Monie kolejny sygnał. Spojrzała na zegarek. Dochodziła 15.00.

NOMAD i MATEO co jakiś czas spoglądali na ludzi wchodzących do kawiarni.

– Jak znam życie, to się nie zjawi – powiedział Nomad i ponownie zerknął na zegarek.

Wcześniej dostali SMS-a z wyjaśnieniem, że jest korek i MonaLiza nie zdąży na czas. Prosiła, by dali jej dodatkowe piętnaście minut. Właśnie się kończyły.

– Chyba że zrobi nam niespodziankę – rzucił Mateo.

– Myślisz?

– Kto wie?

– Jestem pewien, że teraz buszuje po naszych kompach – mruknął Nomad.

Podszedł do nich jakiś obdartus.

– Panowie od MonaLizy?

Nomad kiwnął głową.

– Prosiła, żebym wam to dał.

Nomad wziął do ręki złożoną kartkę.

– Od kogo dostałeś?

– Od takiej młodej – machnął ręką w stronę ulicy. – Zaoferowała pięć dych i pokazała wasze zdjęcie.

– Jak wyglądała?

– Ładna, na skuterze. Też kiedyś taki miałem – facet uśmiechnął się szeroko, ukazując lufty w przednim uzębieniu.

Nomad przeczytał wiadomość i podał kartkę Mateo.

„Mieliśmy ustalić warunki, żebyście mi odpuścili, ale się rozmyśliłam. Nie podobają mi się wasze fryzury”.

Nomad i Mateo spojrzeli po sobie. Nomad uśmiechnął się zimno.

– Jak przewidziałem.

DRZWI DO MIESZKANIA otworzył Mateo. Wszedł do przedpokoju, rozejrzał się uważnie. Jego wzrok powędrował w stronę kamery, którą schował w uchylonych drzwiczkach antresoli. Kolejna była ukryta na wprost drzwi za szeroką barokową ramą wiszącego na ścianie obrazu.

Wszedł do pracowni. Tu były trzy, które włączały się w chwili otwarcia drzwi. Czwartą była wbudowana w jeden z monitorów. Usiadł przed klawiaturą.

Nomad dosunął drugi fotel na kółkach i zajął miejsce z boku. Mateo wywołał Controllera, a potem pliki biblioteki, gdzie znajdowały się wszystkie filmy, które zarejestrowały kamery. Kliknął myszą na pierwszy zapis. Pojawił się obraz przedpokoju. W otwartych drzwiach ukazała się jakaś postać. Miała na sobie dżinsowe spodnie, a na nogach adidasy... I to wszystko, co można było powiedzieć o tożsamości intruza. Pozostała reszta, od pasa w górę, ginęła w oślepiającym świetle, które biło w kamerę.

- Co jest...?

Mateo włączył szybki przesuw kolejnych klatek. Potem zapisy kolejnych filmów. Na wszystkich postaci kryła się za kurtyną oślepiającego światła.

- Rozumiesz coś z tego? - Mateo spojrzał zdezorientowany na Nomada.

Ten kiwnął powoli głową.

- Ona ma więcej oleju w głowie niż my dwaj. - Wskazał ruchem głowy na ekrany. - To stary chwyt.

- Bo?

- Przedobrzyliśmy.

- Możesz jaśniej? - Mateo nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób MonaLiza wycięła im ten numer.

- Jesteśmy głupie wałki i tyle... Większość kamer jest dostosowana do odbierania niskich poziomów promieniowania podczerwonego. Dzięki temu mogą rejestrować obraz nawet w przypadku, gdy pomieszczenie jest słabo oświetlone. Dlatego każda jest łatwym celem do oślepienia. - Nomad puścił jeden z filmów. Zrobił stopklatkę. Jak na wszystkich innych, tak na tej było widać jedynie nogi. Reszta postaci ginęła w oślepiającym świetle. - Często z tego tricku korzystałem. Wystarczy nakierować na obiektyw światło LED-owych reflektorków.

Myszę, że doczepiła do kapelusza kilka diod i podłączyła je do dziewięciowoltowych baterii. W efekcie wokół głowy miała świetlistą aureolę, która oślepiła kamery bez względu na miejsca, w których zostały rozmieszczone. No i przerobiła nas na szaro.

Nomad miał zamiar wyłączyć film, który zarejestrowała ostatnia z kamer. Na sekundę w niezaświetlonym obszarze ukazała się damska dłoń. Na jednym z palców zauważył pierścionek z czterema cyrkoniami wprawionymi w srebrne płatki kwiatka.

Serce załomotało. To niemożliwe, krzyknął w myślach.

Mateo wyłączył filmy i zaczął sprawdzać, czy MonaLiza grzebała w komputerach.

Nomad usiadł przy swoim komputerze i jeszcze raz obejrzał zapis. Pierścionek pojawił się na chwilę tylko raz. Może to przypadek? Czy tylko jeden taki pierścionek jest na świecie?

Ale wiedział, że to myślenie życzeniowe. To była Monika. Jej paznokcie były pomalowane „Nieoczekiwaną krwistością purpury”. Dobrze zapamiętał tę nazwę. Jego Monika. Oszukała go...

Usłyszał cichy jęk.

Popatrzył na bladego jak prześcieradło Mateo.

– Kurwa, jak ona się tu włamała? Przejrzała niejawne pliki giełdy. Nasze pliki.

Niedobrze. Poczul kwaśny odór strachu. Monika, coś ty najlepszego zrobiła!

– Musimy ją znaleźć, zanim Amerykaniec się dowie – powiedział.

– Ochujales? Jak mu zaraz nie powiemy, to nas obedrze ze skóry. – Mateo był wystraszony. – Żywcem.

– Nie wydurniaj się. Kto mu to powie – rzucił Nomad. – Ja? Nie zamierzam.

Mateo wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Znam dryl. Jak mu nie powiemy, to nawet gdybyśmy przynieśli mu jej głowę na tacy, zabije nas. On nie znosi nie wiedzieć, co się dzieje.

Dzwonię.

Nomadowi zrobiło się niedobrze.

Serce gwałtownie przyspieszyło. Nie dał po sobie nic poznać, ale kiedy Mateo odszedł, by zadzwonić do Bratta Henryka, przejrzał zapisy jeszcze raz, ale nie znalazł już powtórzenia dłoni z pierścionkiem.

Czy ona specjalnie go poderwała... nie, to on podszedł do niej tamtego dnia w pizzerii. Nie mogła tego przewidzieć. Nigdy nie rozmawiali na tematy zawodowe. Nigdy o nic go nie pytała, nie interesowała się tym, co robi.

Zaraz. Pytała. Powiedział, że zajmuje się komputerami. Jak mógł być tak naiwny? Z drugiej strony – czy on jeden uderza w komputerową klawiaturę?

Znów poczuł mdłości. Równocześnie ogarnął go wielki żal, że właśnie ona, że przecież on zrobiłby dla niej wszystko, żeby tylko zobaczyć na jej twarzy uśmiech. A ona tak podle wykorzystała jego naiwność.

A może to cholerny przypadek? Fakt – przychodząc tu, musiała wiedzieć, że on to on. Wysłali jej swoje zdjęcie. Co teraz o nim myśli? A jeśli już nie będzie chciała się z nim widzieć? Oślepiające LED-y są wyraźnym dowodem, że domyśliła się, że wpakował ją w pułapkę...

Coś zimnego i oślizgłego ścisnęło jego serce.

Kochał Monikę... Kochał Monalizę. Jezu, ale to życie jest posrane.

Mateo wrócił do pokoju.

– Idę po piwo. Muszę się dzisiaj złościć, żeby nerwy puściły. Tobie też browar?

– Nie. Rozmawiałeś z Brattem? – spytał.

Mateo pokręcił głową.

– Teraz twoja kolej. Jak ta twoja genialna pułapka nie zadziała, to wtedy zadzwonię do niego na mur.

Chwilę potem trzasnęły drzwi od mieszkania. Przez dłuższy czas Nomad siedział w bezruchu. Nagle przypomniał sobie, że gdy wracali

autem, ktoś wysłał do niego SMS-a. Wtedy nie miał czasu sprawdzić. Sięgnął po komórkę. Na ekranie widniało tylko jedno słowo: „Przepra”.

Wokół serca rozlała się fala ciepła.

– Czemu to robisz? – wyszeptał. – Czemu się włamujesz? Co cię interesuje? Rosnan? To niebezpieczne.

Przypomniał sobie niedawne słowa Mateo. „Zhakował kompa Rosnana. Potem chciał o czymś opowiedzieć zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi. Ale miał pecha... Ktoś obciął mu wredny język, a że nie miał jak poinformować o tym pogotowia, to udławił się własną krwią”.

Znów poczuł kwaśny smak strachu. Nie o siebie. O tę szaloną dziewczynę.

Gdyby miał numer do Moniki, toby ją ostrzegł. Gdyby. Musiał czekać, aż ona się odezwie. A jeśli już nie zatelefonuje? Spojrzał na numer komórki, z którego wysłała SMS-a. Inny niż poprzednie. Kolejny jednorazowy numer.

Zerknął na leżącą przed nim klawiaturę. Westchnął i wszedł do programu.

Kiedy skontaktowała się z nimi, był pewien, że MonaLiza – kimkolwiek jest – nie chce, by ją znaleźli, więc przyjdzie i namota im w komputerach. Był przekonany, że zawirusuje ich kompa programem śledzącym, który wgra z przyniesionego ze sobą pendrive'a. On to przewidział i tak to ustawił, że pendrive MonyLizy podczas wgrywania programu został zawirusowany przez „ryja”, którego stworzył. Za każdym razem, gdy pendrive zostanie użyty, trojan wyśle sygnał z identyfikacją IP komputera, do którego będzie wpięty. W efekcie namierzenie kompa MonaLizy będzie już dziecinnie proste.

Kiedy sześć godzin później Mateo spał zaprawiony piwem na kanapie, Nomad, jak przewidział, dostał informację z numerem IP. Przez chwilę patrzył na ciąg cyfr. Wątpliwe, żeby o drugiej w nocy Monika siedziała w kafejce internetowej.

ELIZA BYŁA podeksycytowana.

– Wiem, że mnie wyrzucisz z domu – zaraz po wejściu wręczyła Monie pudełko z ciastkami. – Ale dziś idę na całość. Tobie też się należy. Od jutra mogę głodować choćby tydzień.

Dopiero teraz zauważyła, że Mona ma na lewej stopie gips.

– To dlatego wczoraj przesunęłaś spotkanie na dziś wieczór?

– Po tej zabawie z misiami wieczorem spuchła mi noga. Pojechałam na ostry dyżur. – Podpierając się kulą, Mona doszła do pracowni i usiadła.

– Co na to lekarze?

– Prześwietlili i powiedzieli, że mam pękniętą kość śródstopia. Założyli gips. Mam sześć tygodni z bani.

– Co teraz?

– Jestem na proszkach przeciwbólowych i w sumie czuję się nie najgorzej.

– Jasny gwint – Eliza zmartwiła się. – W czymś ci pomóc?

– Nie rób ze mnie kaleki, to tylko stopa. Na razie zjemy twoje ciacha – stwierdziła Mona.

Eliza przyniosła z kuchni talerzyki.

– Mówiłaś, że odkryłaś coś w ich kimpie. Wyjmę słodkości, a ty gadaj.

Eliza zabrała się za rozpakowywanie pudełka z ciastkami.

Mona przysunęła sobie talerzyk. Sięgnęła po eklerkę i ugryzła duży kęs. Zjadając ciacho, przymknęła oczy, czując przenikający ją od czubka głowy po koniuszki palców u nóg słodki błogostan. Na chwilę zapomniała o skręcającym żołądek przykrym uczuciu, które było związane z Nomadem. Poczucie winy?

– Kiedy szukałam wejścia na giełdę – zaczęła – rzuciłam okiem na to, nad czym pracują misie.

Opowiedziała Elizie o scenariuszu, który był przygotowywany na występ Rosnana przed kamerami telewizji holenderskiej dwudziestego czwartego grudnia. Nomad i Mateo tworzyli animacje komputerowe,

które zostaną wyświetlone w trakcie programu. Zerknęła na zegar ścienny z datownikiem.

- To za dwa tygodnie. Na wizji dojdzie do sfinalizowana transakcji nabycia obrazu przez kupca, który na internetowej aukcji wylicytuje najwyższą cenę. - Mona sięgnęła po napoleonkę - Pamiętasz, co niedawno powiedziałam o Rosnaniu?

- Że facet ze wszystkimi pogrywa i wątpliwe, żebyśmy przytrzasnęły mu jaja. - Ugryzła eklerkę i, podobnie jak Mona, też przymknęła z rozkoszą oczy. Gdy wreszcie przełknęła ciacho, dodała: - I że dobrze się zabezpieczył i żadnego draństwa z przeszłości nie da mu się udowodnić, więc... - Eliza odgryzła kolejny solidny kęs eklerki.

- Dlatego trzeba go ukarać, ale inaczej. Jak sądzisz, jak poczuje się gość, gdy forsa, która ma trafić na jego konto, rozplynie się w powietrzu?

Elizie w jednej sekundzie przeszła ochota na słodczyce. Nawet nieco ją zemdliło.

- Zamierzasz go okraść?

- Nie ja, ty - stwierdziła poważnie Mona, potem puknęła palcem w gips. - Ja tylko ci pomogę.

Tym razem żołądek Elizy niebezpiecznie się zacisnął.

- Zwariowałeś?

- Myślę, że nie będzie trudno dostać się do hotelu, w którym Rosnan zatrzyma się w Amsterdamie. Kiedy pojedzie do studia telewizyjnego, dobierzemy się do jego laptopa. Ze scenariusza wiem, że w czasie programu nastąpi ogłoszenie wylicytowanej sumy za „Wenus z Witebska”. W tym czasie komp Rosnana będzie pełnił funkcje stacji przesiadkowej. Kasa trafia na jego konto bankowe. Wtedy zacznie się następujący ciąg zdarzeń: nadchodzi potwierdzenie wysokości sumy na jego mejl; ten zostaje automatycznie przesłany na telefon Rosnana, który właśnie będzie w studiu; odpowiadając na SMS-a, Rosnan uruchomi na swoim laptopie mechanizm rozrzucania całej sumy po bankach na obu półkulach. Dzięki tobie zmienię miejsca ich

rozsypanych po świecie. Po wszystkim pieniądze wróca, tylko już nie na poprzednie, ale na nowo otwarte przeze mnie konto i Rosnan zostanie z niczym.

– Zwariowałaś? – Eliza poczuła, jak w jej całym ciele rozlewa się fala słabości.

– Bynajmniej. Do tego jest potrzebny ktoś taki jak ty: spostrzegawczy, z doskonałą pamięcią, wyczulony na szczegóły i z umiejętnościami kojarzenia choćby księżyc z marchewką.

– Dlaczego marchewką?

– Chodzi o ciąg skojarzeń: noc, budzisz się, księżyc za oknem, chce ci się pić, a że odżywasz się zdrowo, więc robisz sobie w mikserze sok z marchwi.

Nie powiedziała na głos, że Mona przecenia jej możliwości. Potem zastanowiła się, czy to, co czuje, powinna już nazwać strachem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Komisarz Jana Novák sięgnęła po komórkę. Włączyła aplikację szyfrującą. Potem wystukała na klawiaturze dziewięciocyfrowy numer.

– W czym mogę pomóc? – odezwał się w słuchawce obojętnie uprzejmy głos automatycznej sekretarki.

– Libra 679 – wypowiedziała hasło.

Po sprawdzeniu odcisku fonicznego usłyszała dźwięk przełączenia.

– Jesteś na linii wewnętrznej, Libra – powiedziała operatorka.

– Połącz mnie z Yoorge 726.

Ponowne kliknięcie.

– Hej, Libra, miło cię słyszeć.

– Podobno zaproponowano ci wejście do ścisłego kierownictwa departamentu.

– Widzę, że plotki rozprzestrzeniają się strasznie szybko.

– Nawet jeszcze szybciej. Stracę więc niezłego szefa?

– Nie mam ochoty na papierkową robotę, dostaję od niej wysypki. Możesz więc być pewna, że na razie mnie na nią nie namówią i nadal będę was gnębił. Wolę pracę na linii z rozgarniętymi umysłowo ludźmi.

– Rozległ się śmiech. – No, może z tym rozgarnięciem to nieco przesadziłem – prychnął nieszczercze.

– *Nechval dne před večerem.*

– Trafiaś w dziesiątkę... Jaki masz problem?

– Co wiemy o domenie internetowej Rosnana, na której marszand prezentuje swoją wystawę?

– Typowe działanie reklamowe.

– Jesteś pewien? – spytała Jana.

– Coś nie tak?

– Nie sprawdziliście dokładnie tego adresu?

– A powinniśmy? – W głosie Yoorge 726 nie było już tej pewności co poprzednio.

– Na ukrytej podstronie od wielu tygodni prowadzona jest aukcja „Wenus z Witebska”. Zaproszono do niej pięćdziesięciu anonimowych kupców z całego świata.

– To nie jest działanie nielegalne – stwierdził Yoorge.

– Ale dobrze jest wiedzieć, że w chwili obecnej cena sięgnęła sumy osiemdziesięciu dziewięciu milionów dolarów. – Po drugiej stronie nastąpiła długa cisza. – Obraz, który wart jest trzysta... góra siedemset tysięcy dobija niemal do setki milionów. To zakrawa na czyste szaleństwo.

– Skąd informacja?

– Z pewnego źródła – odparła Jana.

Nie chciała zdradzać personaliów Elizy, która niedawno się z nią skontaktowała z polecenia Marca.

– Wnioski?

– Tu nie chodzi o „Wenus”, ale o coś znacznie większego.

– Pralnia kasy? – zastanowił się Yoorge.

– Myślisz, że telefonicznie rozwiążemy ten problem?

– Masz rację. Idę z tym wyżej.

Ci faceci w centrali byli przekonani, że wiedzą wszystko o wszystkich, gdy w rzeczywistości w pewnych sprawach byli ślepi i głusi. Kiedy o tym wspomniała na jednym ze spotkań, wyjaśniono jej, że właśnie po to stworzono sieć takich jak ona rezydentów. Nadal jednak nie zmieniało to faktu, że ci w Hadze mogliby lepiej przykładać się do roboty.

Rozległ się ciągły dźwięk zakończonego połączenia.

– Libra 679204.

Ostatnie zdanie było sygnałem dla automatycznego czyszciciela, żeby zaczął usuwać na łączach zewnętrznych ślady przeprowadzonej rozmowy.

Nie bez satysfakcji Jana pomyślała, że dzięki Elizie włożyła kij w mrowisko. Zastanawiające w tym wszystkim dla policjantki było to, że choć Eliza wspomniała, że jej ojciec współpracuje z Rosnanem, to nie wskazała, że informacje pochodzą od niego. To w przyszłości mogło być przecież uznane za ważną pomoc w śledztwie. W ogóle sprawiała wrażenie, że Andrzej Daniel przestał ją interesować, chociaż wcześniej Marzec uważał, że dziewczyna jest przejęta jego losem.

Chwilę potem zobaczyła siedzącego za oknem na gałęzi czarnego kruka. Skąd się wziął o tej porze roku? To nie wróżyło nic dobrego. Jana była przesądna, więc na wszelki wypadek skrzyżowała palec wskazujący i środkowy prawej dłoni, a potem odwróciła się plecami do okna.

- ZGASILIŚMY CZWARTĄ „lampę” - rzucił triumfalnie do słuchawki Mateo. - Oczywiście... Może być pan spokojny... Jak się dowiem, wyślę jej adres. Jasne, będę o wszystkim informował na bieżąco.

Choć dochodziła czwarta nad ranem, Nomad nadal słyszał te słowa. Przez całą noc intensywnie myślał, jak skontaktować się z Moniką. Skasował numer IP jej kompa, który wyselekcjonował program, gdy trojan przesłał pierwszy namiar. Kolejny był potwierdzeniem poprzedniego. Zdecydował, że musiał odwlec odnalezienie Moniki choćby o jeden dzień. W tym czasie na pewno coś wymyśli.

Dlaczego nie dała mu swojego telefonu? Czemu dotąd nie zadzwoniła? W pewnym momencie zaczął analizować wszystkie dotychczasowe z nią spotkania. Chciał znaleźć coś, co mogło być dowodem, że były przez nią zaaranżowane, żeby go podejść. To miało być jego alibi, że może ją olać. Nie znalazł nic takiego. Za to po raz kolejny przypomniał sobie jej spojrzenia, uśmiechy, tembr głosu oraz ich pocałunek. Potem tamto pożegnanie, kiedy ponownie zdobył się na odwagę, żeby... Ona również tego chciała, ale wyszło jakoś tak...

Wczoraj zajrzał nawet do pizzerii. Na co liczył? Kiedy podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie, spytał o dziewczynę, z którą często jadł razem. Pamiętała ją, ale nic więcej nie potrafiła powiedzieć. Wtedy przyszedł mu do głowy ten pomysł. To był jedyny sposób, żeby uchronić ją przed niebezpieczeństwem.

– Nad czym tak dumasz? – głos Matea wyrwał go z zamyślenia.

– Zastanawiam się, jak przyspieszyć znalezienie adresu MonaLizy. No i co będzie, jak ją namierzymy?

– Zadzwonię wtedy do Bratta.

Mózg Nomada obudził się ze stuporu i zaczął pracować na przyspieszonych obrotach.

– To moje zadanie – powiedział.

– Co? – nie załapał Mateo.

– Dzięki mnie ją namierzylimy. Ja ją znalazłem i zamierzam zapłacić jej za to, co nam zrobiła.

Mateo prychnął.

– Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś matematycznym kujonem, a nie killerem. Myślisz, że łatwo jest zabić człowieka? I w ogóle umiesz posługiwać się gnatem?

Nomad wyjął z kieszeni dżinsowej kurtki pistolet, odbezpieczył, przeładował, włożył lufę do ust i nacisnął spust.

Na sekundę na twarzy Mateo pojawiło się przerażenie. Iglica sucho strzeliła, nie znajdując spłonki.

Nomad rzucił pistolet na kolana Mateo.

– Jak widzisz, umiem się nim posługiwać.

– Głupi zjebie, mogłeś się zabić!

Nomad wyciągnął z drugiej kieszeni magazynek i dorzucił do pistoletu.

– Wcześniej sprawdziłem komorę nabojową.

– Odjechało ci? Skąd wiedziałeś, gdzie jest?

– Nie chowałeś tak, żebym nie znalazł – mruknął Nomad.

– Prawie się zlałem.

Nomad nachylił się ku Mateo i poklepał go uspokajająco po plecach.

– Amerykaniec to świr. Sam mówiłeś, że dla niego zabić, to jak splunąć. Nie opierdala się, tylko usuwa wszystkich, którzy mu zawadzają. Nie jest z nas zadowolony. Musimy udowodnić, że zasługujemy na jego zaufanie, że stać nas na więcej. I jesteśmy lojalni. Ogarniasz? Mamy u niego minus za wpuszczenie dziwki do naszej sieci. To trzeba zmazać, bo jak przestaniemy być potrzebni...

Mateo wzdrygnął się, a jego źrenice rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu.

– Pójdę z tobą – powiedział chrapliwie.

– Nie. Zrobię to sam. Pilnuj roboty, bo zawalimy terminy. I nawet głowa MonaLizy na srebrnej tacy nie ucieszy tego świra.

Nomad powiedział to zimno i zdecydowanie, mimo że serce waliło mu coraz szybciej. Jeszcze trochę, a zaczną trząść mu się dłonie. Sięgnął po stojącą obok na podłodze jedną z butelek. – Chcesz browar?

– Nie teraz – skrzywił się Mateo.

Nomad zerwał kapsel i zaczął pić duszkiem. Robił to tak długo, aż poczuł, że jeszcze sekunda, a się udusi.

GERARD ROSNAN siedział w restauracji „De Admiraal” przy Herengracht w Amsterdamie. Patrzył na jacht, który wolno płynął kanałem. Na pokładzie jakaś para kłóciła się w najlepsze.

Restauracyjka była niewielka, niemal w centrum miasta. W tym właśnie miejscu Bratt umówił go z Danielem i holenderskim producentem. Do spotkania miał jeszcze dwadzieścia minut. Pił więc wolno kawę i myślał o wczorajszej kolacji z Moną w Polsce.

Od pierwszej chwili traktował ją instrumentalnie. Czy wierzył, że jest jego córką? Raz wydawało mu się, że tak. Czasami dochodził do wniosku, że to raczej mało prawdopodobne. Badanie DNA rozwiązałoby wszelkie wątpliwości, ale było mu wygodnie raz wierzyć, to znów przeczyć własnemu ojcostwu. Najważniejsze, że dziewczyna spełniała

wszelkie polecenia i przyjmowała za własne podsuwane jej sugestie. On oraz Bratt Henry już dopilnowali, żeby nie poznała prawdy o „Wenus”, krążącej po Europie wystawie i jego prawdziwych interesach. Jak dotąd przekazał Monie tylko takie informacje, które miały ją utwierdzić w przekonaniu, że postępuje słusznie i dzięki temu udowodni ojcu, że go kocha.

Co potem?

Uświadomienie sobie tego pytania było dla niego zaskoczeniem. No właśnie, co po świętach? Najlepszą odpowiedzią było – nic. Nic dla Mony. W końcu mógł uznać ją za oszustkę próbującą zagrać rolę córki, której przecież nigdy nie miał.

Dosyc tego zastanawiania się. Najważniejsza była ostatnia rozgrywka, w której jak dotąd Mona perfekcyjnie grała napisaną dla niej rolę.

Czy na ostatniej prostej mogła zawieść?

Zawsze wyczuwał w niej dystans, pewną nieufność, której się tak naprawdę nie dziwił. Nawet się zastanawiał, czy kiedykolwiek się to zmieni i czy w ogóle tego by chciał. Dlatego jej wczorajsze wyznanie zaskoczyło go.

Najpierw jeszcze raz omówili sprawę programu telewizyjnego oraz tego, co ma zrobić nieświadoma niczego Eliza. Przekazał Monie hasła dostępu do swojego laptopa, który miał zostawić w pokoju hotelowym.

– Jesteś pewna, że uwierzy, że udało ci się złamać kody dostępu? – spytał.

Prawie się obraziła.

– Uwierzyłaby nawet gdybym powiedziała, że rozwaliłam kody dościa do amerykańskiego Citybanku.

Roześmiał się. Potem rozmawiali trochę o sztuce, o wpływie, jaki muzy malarzy miały na ich dzieła. O miłości, która potrafi niszczyć. On akurat miał na myśli Daniela i chciał właśnie zapytać, czy Eliza nie wspominała o ojcu, gdy Mona powiedziała:

– Wiesz, nie mam tego komu powiedzieć, a chyba mnie to udusi, jak nie wywalę z siebie... Zakochałam się – wykrztusiła i jednym haustem wypila połowę kieliszka wina.

Uniósł brew. Wcześniej nigdy nie mówiła o swoim życiu osobistym. To wyznanie dowodziło, że przeszli na inny poziom kontaktów. Że zaczyna mu ufać. Doskonale. Ludzi, którzy ufają, stać na większe poświęcenia niż tych, którzy po prostu chcą zarobić. W tej sekundzie zdecydował, że nie musi się już dodatkowo zabezpieczać na wypadek zdrady Mony. Ona już była jego.

– Kto to? – spytał.

Zawahała się, a potem wyjęła z kieszeni zdjęcie i podała mu.

– Ten z czubem. Ma na imię ma Nomad.

Nomad. Poznał go od razu. Jego człowiek. Bratt nie do końca mu ufał, bo był nowy i niesprawdzony. Ale Bratt nikomu nie ufał i dlatego był tak dobry w tym, co robił.

– Jak go poznałaś? – oddał zdjęcie z obojętnym wyrazem twarzy.

– W pizzerii. Jest programistą i jest... słodki.

– Co jeszcze o nim wiesz?

– Nie znosi pizzy hawajskiej i chyba ma jakiś prywatny biznes.

Popatrzył na córkę. W jej głosie usłyszał autentyczną nutę czułości. Kochała go i naprawdę nie wiedziała, że pracował dla niego.

Czy w jakiś sposób owa znajomość kolidowała z jego planem? Co zmieni fakt, gdy się Mona zorientuje, że Nomad pracuje dla niego? Jak zachowa się chłopak, gdy się dowie, kim dla Rosnana jest Mona? Czy i w jaki sposób to wszystko przekładało się na możliwość, że Eliza dowie się prawdy o Monie? Na razie układ był zerowy i nie niósł ze sobą żadnych konsekwencji. Jednak kilka informacji mogło odwrócić wektory i wówczas nowy układ mógł być dla niego groźny.

– Bardzo się cieszę – powiedział z uśmiechem i położył dłoń na jej ręce. – Mam nadzieję, że wreszcie dobijesz do spokojnego portu.

Nie musiał przypominać Brattowi, żeby pilnował programistów. Od czasu odkrycia, że ktoś buszuje po stronie giełdy, Henry praktycznie nie spuszczał ich z oka.

Dopił kawę i odstawił na spodeczek pustą filiżankę. Spotkanie z Graatem nie powinno potrwać długo. Na początek Daniel miał powiedzieć Holendrowi, jakie ma uwagi co do zaproponowanej scenografii studia i przekazać pliki z animacjami komputerowymi. Potem on sam miał dokończyć ostatnie ustalenia finansowe. Bratt miał rację co do pazerności Holendra. Mauritz Graat wydusił już z niego osiemset tysięcy euro. Prawdopodobnie dwieście tysięcy bezpośrednio poszło do kieszeni producenta. Ale Rosnan nie zamierzał żałować forsy.

Zastanawiał się, co właściwie czuje teraz, gdy jego dawne życie powoli dobiega końca. Musiał przyznać, że był zaskakująco spokojny. A przecież zamierzał zemścić się za wszystkie lata uciekania, oszukiwania, zdrad. Mietielin już dostał za swoje, to samo czeka Daniela. Europol zostanie ośmieszony... tak, ta perspektywa brzmiała wyjątkowo ekscytująco. A potem wejdzie do wielkiego świata poważnych graczy, prawdziwego bogactwa... i władzy.

Do godziny zero został tylko jeden dzień. Jeszcze raz prześledził w myślach poszczególne punkty planu. Pomyślał o wszystkim, wszystko zabezpieczył. Tak. Jest idealnie. Jedyiny zgrzyt to Mona.

Dostrzegł przez okno nadchodzącego Daniela, który przyleciał samolotem do Amsterdamu dzisiejszego poranka. Malarz wszedł do restauracji. Rozejrzał się po salce i kiedy dojrzał Rosnana przy stoliku przy oknie, podszedł. Przywitali się.

Zauważył, że Daniel ma nieco szklane oczy.

- Jak podróż?

- Trochę w powietrzu rzucąco, ale w sumie bez większych wrażeń.

Daniel opadł na fotel. Dostrzegł pytające spojrzenie Rosnana.

- W czasach studenckich mieszkałem jakiś czas w Amsterdamie - powiedział. - Postanowiłem więc powłóczyć się po ulicach, odwiedzić

stare kąty i zająć do ulubionej dziupli. Wypiłem dobre piwo i wyjarałem jointa. Dawne dobre lata – uśmiechnął się do wspomnień.

– Zamówić ci coś?

– Już sobie dogodziłem.

– Co z twoją „Wenus”?

– Jest w bagażu w hotelu. Powiedziałeś, że dopiero jutro będzie nam potrzebna.

– W porządku.

– Daleko stąd do Stedelijk Museum?

– Przejdiesz przez kanał na drugą stronę – wskazał kierunek – i wsiądziesz do tramwaju numer 2. Powinieneś dojechać na miejsce w dwadzieścia minut. Na otwarciu wystawy odczytałem twój tekst o warsztacie fałszerzy. Odniesienia do współczesnych trendów w sztuce wzbudziły duże zainteresowanie i wywołały ożywioną dyskusję. Zwłaszcza końcowa teza, że wszyscy jesteście fałszerzami.

DŁUŻSZY CZAS Eliza patrzyła przez okno gabinetu. Zza ściany dobiegł dźwięk naściennego zegara – wybijał piętnastą. Raport, który trzymała w dłoni, uderzył z trzaskiem trzykrotnie o parapet.

Weszła Mona, ale Eliza nawet się nie odwróciła.

– Co jest?

– Departament Ochrony Zabytków skrytykował moją ocenę zabezpieczeń istotnych dla dzieł sztuki w obiektach sakralnych. Ale mam ich gdzieś. – Poszukała wzrokiem stosownego akapitu. – Posłuchaj oceny jednego z dyrektorów departamentu: „Nie wydaje nam się stosownym przekazywanie poza granicę kraju informacji o niedostatecznych nakładach finansowych na ochronę dóbr kultury narodowej”. To ma być argument, od którego przybędzie profesjonalnych systemów alarmowych?

– Wyluzuj. Na razie na głowie mamy Rosnana.

Eliza zgłębła raport i z wściekłością cisnęła w róg pokoju. Wróciła za biurko i usiadła w fotelu. Wskazała na wysprząpany blat. W jednym momencie złość ulotniła się z jej twarzy, jakby wystarczyło sekundę, żeby stała się kimś innym.

– Jestem gotowa.

– Jeszcze możemy się wycofać – stwierdziła Mona.

– Chcesz tego?

Eliza zerknęła na pismo do ministra, które zostawiła na blacie biurka. To było jej i Mony wypowiedzenie stosunku pracy ze skutkiem natychmiastowym. Potem spojrzała w oczy Mony. Ta po krótkim zastanowieniu powoli pokręciła przecząco głową, że „nie”.

– Na tobie spoczywa cała odpowiedzialność – uderzyła gipsem w nogę stojącego nieopodal krzesła.

– Pamiętam. – Eliza przymknęła oczy i zaczęła powtarzać niemal znużonym głosem: – Dziś o dziewiętnastej melduję się w hotelu.

– Jeśli będziesz głodna, zamówisz *room service*.

– Wątpię, od wczoraj nie mam na nic ochoty, ale jem przez rozum. Jutro o 20.40 schodzę na pierwsze piętro, gdzie Rosnan wynajął King Deluxe Room. Mam dwadzieścia minut na dostanie się do apartamentu i podłączenie do jego laptopa.

– Ja w tym czasie monitoruję system kamer ochrony hotelu.

– O 21.00 nadejdzie transfer z pieniędzmi na szwajcarskie konto Rosnana. O 21.05 dostaję się do jego bankowego serwisu i przerzucam cały szmal na to konto. – Zdjęła okulary i wskazała na wewnętrzną stronę zausznika oprawki, gdzie markerem wypisała dwadzieścia cztery cyfry. – Ale nadal nie mamy hasła i loginu do konta Rosnana.

Mona położyła przed nią zapisaną kartkę.

– Trochę nad tym posiedziałam.

– Jesteśmy więc gotowe. – Eliza wrzuciła wydruk oceny zabezpieczeń do szuflady. – Po transferze pieniędzy, o 21.15, wsiałam do czekającej

przed hotelem taksówki i jadę na lotnisko. O 23.10 wylatuję z powrotem do Warszawy.

Wzięła z sąsiedniego krzesła torebkę. Wyszły z gabinetu. Sekretarka na ich widok zbyt szybko odłożyła komórkę. Pewnie jak zwykle plotkowała.

– Co z biletami i rezerwacją? – spytała Eliza.

– Kierowca właśnie je przywiózł. Jeden na dzisiejszy wylot i jutrzejszy na wieczorny powrót. – Dziewczyna sięgnęła do szuflady. – To bilety na samolot, a tu rezerwacja w Waldorf Astorii. Czteryście dziewięćdziesiąt cztery euro za pokój. W promocji – dodała jakby z pretensją.

Eliza doskonale ją rozumiała. Cena była skandalicznie wysoka. Ale powinniśmy się do tego przyzwyczajać, pomyślała. W końcu weszliśmy do głównego europejskiego peletonu i nie możemy skrobać zadu szkłem, jak mówił jeden z jej kolegów na uniwerku. Trzeba wreszcie wyciągnąć siano z butów i wyglansować lakierki, bo nas wyrzucą z salonów z powrotem do obory.

DOCHODZIŁA DWUDZIESTA druga. Wnętrze samochodu słabo rozświetlał blask palącej się w pobliżu ulicznej lampy. Nomad patrzył na trzymany w dłoni pistolet. Po chwili otworzył samochodowy schowek i wrzucił broń do środka. Zerknął na stojący nieopodal wysokościowiec. Monika mieszkała na trzecim piętrze. Kiedy wychodził, Mateo udzielił mu rady:

– Pamiętajsz, co Peter Clemenza mówił do Michaela Corleone, gdy ten szedł zabić Turka?

– Jaki Peter? – spytał zdzwiony.

– Caporegime z „Ojca chrzestnego”.

– Nie wiem, co mówił.

– Jeśli kogoś spotkasz, nie unikaj jego wzroku, bo dopiero wtedy zwrócisz na siebie uwagę. – Wręczył mu pistolet. – Nie zapomniałeś numeru mieszkania?

– Dwadzieścia dwa. – Powtórzył teraz pod nosem.

Dwudziestego drugiego czerwca spotkali się w pizzerii. Minęła dwudziesta druga. Za kwiat zapłacił dwadzieścia dwa złote. Czy to jakiś znak? Sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu różę. Na wypadek, gdyby nie wiedział, co powiedzieć, gdy otworzy mu drzwi.

Znowu spojrzął na okna trzeciego piętra. W niektórych paliły się jeszcze światła. Czy okna Moniki znajdowały się po tej, czy drugiej stronie?

Zastanowił się, czy dziewczyna będzie miała coś przeciw, gdy zacznie wołać na nią Mona? To imię lepiej do niej pasowało i należałoby tylko do niego.

Co będzie, jak Monika zobaczy jego twarz przez wizjer w drzwiach? A jeśli nie otworzy? Wtedy powie jej, że musi uciekać, a on przyszedł, żeby ją chronić. Blok miał drugie wyjście z przeciwnej strony. Warto o tym pamiętać.

A jeśli nie zastanie jej w domu?

Wtedy otworzy drzwi wytrychem i poczeka, aż się zjawi.

Rozległ się sygnał nadejścia SMS-a. Zdziwiony sięgnął do kieszeni. Kiedy spojrzął na ekran, serce zaczęło walić mu w piersiach jak oszalałe. Zobaczył tylko jedno słowo: „Kocham cię”. Miał wreszcie jej numer. W pierwszej chwili chciał odpisać, ale doszedł do wniosku, że lepiej sam opowie jej o swojej miłości. Był ciekaw wyrazu jej twarzy, gdy zobaczy go w drzwiach.

MONA NIE mogła oderwać wzroku od ekranu komórki.

Kot miauknęła i otarł się o jej nogę. On też nie bardzo rozumiał tego nagłego odruchu. Dlaczego wysłała do Nomada SMS-a? Żeby dać sygnał, że mimo wszystko mu ufa? To był gwałtowny impuls, którego nie mogła opanować. Musiała powiedzieć mu o swojej miłości.

Tak jak podczas kolacji u ojca poczuła chęć, by powiedzieć o Nomadzie. Dlaczego to zrobiła? Żeby pochwalić się uczuciem? Może. Wypiła trzy kieliszki wina, a alkohol zawsze rozwiązywał jej język.

Chciała zobaczyć reakcję ojca? Czy był z niej zadowolony? Niby okazał ojcowskie zainteresowanie i coś na kształt aprobaty, ale.... nie przyznał się, że Nomad to jego człowiek. Nie był z nią szczery. Przez rozmowę o Nomadzie chciała dowiedzieć się, kim dla niego jest. Czy wymagała zbyt wiele?

– Nie patrz tak na mnie, zazdrośniku. – W odpowiedzi Minio mruknął, nie otwierając pyszczka. – No i co z tego, że prócz ciebie będę miała jeszcze jednego. Od przybytku głowa nie boli. A poza tym ciebie też kocham.

Poszła w stronę sypialni. Nie była jednak śpiąca. Postanowiła położyć się i poczytać przed snem Hrabala, którego powieść kupiła dzisiaj przedpołudnia.

Wcześniej wzięła szybki prysznic. Wskoczyła naga pod kołdrę. Komórkę położyła na szafce nocnej. W każdej chwili spodziewała się odpowiedzi. Ta jednak nie nadchodziła. Może już poszedł spać? Sięgnęła po książkę.

„Słuchajcie, co wam teraz powiem.

Kiedy zacząłem w hotelu „Praga”, złapał mnie szef za lewe ucho, wytargał za nie i mówi: – Jesteś tu za pikolaka i pamiętaj, niczego nie widziałeś, niczego nie słyszałeś. Powtórz. – Więc powiedziałem, że niczego w lokalu nie widziałem i niczego nie słyszałem. A szef wytargał mnie za prawe ucho i krzyczy: – Ale zapamiętaj też sobie, że wszystko musisz widzieć i wszystko słyszeć. Powtórz. – No więc powtórzyłem zdziwiony, że wszystko będę widział i słyszał, i tak to się zaczęło...”¹²

Odłożyła książkę. Może innym razem pozna bliżej najwyraźniej lubianego przez Nomada czeskiego pisarza.

Zgasiła światło, ale nie zamknęła oczu. Jakie to uczucie, gdy jest się z kimś drugim na stałe? Poczwała, jak kot wskoczył na łóżko i rozłożył się na poduszce obok. Miała nadzieję, że Nomad i Minio się polubią. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. To byli jej dwaj mężczyźni, więc na pewno pomoże im się dogadać.

NOMAD WSZEDŁ do klatki schodowej. Windą wjechał na trzecie piętro. Wysiadł. Znalazł mieszkanie oznaczone numerem dwadzieścia dwa. Stał pod drzwiami z łomoczącym w piersiach sercem. Wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

Podniósł palec, żeby nacisnąć dzwonek, gdy zauważył, że drzwi są tylko domknięte. Pchnął je delikatnie. Bezszelustnie otworzyły się do środka. Po podłodze pustego przedpokoju rozciągnął się długi blask lampy świecącej z korytarza. Wszedł do środka. W jednym z pokoi zapaliło się światło. Zamknął za sobą drzwi wejściowe.

Jego pierwszym błędem było przypuszczenie, że Mona zostawiła drzwi otwarte, choć przecież nie mogła wiedzieć, że przyjechał. Drugim – pominięcie faktu, że przedpokój był całkowicie pusty, pozbawiony nawet wieszaka na palta. Trzecim, że zamiast zastanowić się nad tym wszystkim i uciec, nacisnął klamkę drzwi i wszedł do środka pokoju.

Zapaliło się górne światło. Znieruchomiał, gdy dostrzegł siedzącego na wprost Bratta. Amerykaniec trzymał w dłoni pistolet z wkręconym tłumikiem.

– Dlaczego sądziłeś, że możesz mnie oszukać? – spytał Bratt.

– Ja... – głos uwiązał Nomadowi w gardle.

– Dowiedziałeś się, gdzie MonaLiza mieszka, ale ukryłeś to przed panem Rosnanem. Dlatego kazał mi cię ukarać.

Amerykaniec mówił spokojnym, beznamiętnym głosem, a Nomad zrozumiał, że jego i Matea komputery przez dwadzieścia cztery godziny były monitorowane.

– Chciałem dostarczyć jej głowę – skłamał.

– Czyli wiesz, kim jest.

Zaprzeczył.

– Właśnie zamierzałem...

Wskazał na komórkę. Na jej ekranie elektroniczny zegar wskazywał godzinę dwudziestą trzecią pięćdziesiąt osiem.

– Po raz kolejny wywiodła was w pole. – Bratt trącił nogą laptopa, który najwyraźniej był ostatnią lampą.

Zatem Monikatu nie mieszkała.

Czwartym błędem Nomada było to, że wszedł do pokoju o krok za daleko. Gdyby został w progu, miałby jeszcze szansę uskoczyć do przedpokoju. Zanim Bratt poderwałby się z miejsca. Być może zdążyłby wtedy wybiec na korytarz, gdzie krzykiem obudziłby lokatorów.

Krzykiem?

Nim otworzył usta, pistolet dwukrotnie mlasnął z cichym świstem. Róża upadła na podłogę. Nomad złapał się za przestreloną krtań. Nogi podciął paraliż. Pomiędzy palcami poczuł ciepły strumyk krwi wypychanej na zewnątrz wraz z wydychanym powietrzem. Zachłysnął się nią przy próbie wdechu. Otworzył jeszcze szerzej usta, ale nie dobył się z nich choćby szept. Krew miała podobny kolor do płatków róży, którą rozdeptał but Bratta.

ELIZA OBUDZIŁA SIĘ kilka minut po północy. Zapaliła lampkę nocną. Coś wyrwało ją ze snu. Nasłuchiwała, lecz wokół panowała cisza. Choć okna pokoju hotelowego w Amsterdamie wychodziły na hałaśliwą ulicę Herengracht, z zewnątrz nic nie zakłócało spokoju.

Wstała, odchyliła zasłonę. W mroku migotały światła latarni, które odbijały się w wodzie pobliskiego kanału. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest głodna. Podeszła do koszyka z owocami, który stał na stole. Wzięła gruszkę i jabłko. Potem wróciła pod koldrę.

W półmroku dostrzegła nad lustrem świąteczną ozdobę. Podobna wisała na drzwiach pokoju. Na korytarzu, nieopodal pokoju, stała choinka obwieszona błękitnymi bombkami i rozświetlona niebieskimi światełkami. W recepcji stała dwa razy większa.

Żeby dostać się na poziom, gdzie mieszkał Rosnan, musi zejść piętro niżej. Gdy się już rozpakowała, zajrzała za drzwi w korytarzu. Odkryła boczną klatkę schodową, przeznaczoną dla obsługi hotelu.

Działanie dekodera, który dostała od Mony, sprawdziła na zamku w drzwiach do własnego pokoju. Dekoder składał się z karty z procesorem i taśmą łączącej z mikrokomputerem deszyfrującym. Otworzyła zamek w ciągu pięciu sekund.

Kiedy przed wylotem omawiały wszystko z Moną, spytała, czy jest pewna, że Rosnan nie weźmie ze sobą laptopa do studia. Mona odparła, że z pewnością nie, bo nie będzie go tam potrzebował. W sejfie też go nie zamknie, bo laptop jest za duży. Eliza nie było co do tego taka pewna. Mówiąc szczerze, tak ważny przedmiot albo trzymałaby przy sobie, albo zamknęła w sejfie w recepcji hotelu. Zobaczymy, która z nich będzie miała rację, pomyślała.

Zejście piętro niżej i dostanie się do pokoju Rosnana zajmie jej góra dwadzieścia sekund. Odnalezienie komputera... dajmy na to minutę. Podłączenie i uruchomienie oprogramowania TeamViewer, co już przećwiczyła, dwie minuty trzydzieści sekund. Korekcja ustawień, około trzech minut. Dodajmy do tego dwie minuty na chwilowe podziwianie widoku przez okno. Razem sześć minut trzydzieści sekund. Czyli krócej niż wypicie filiżanki kawy.

Eliza odłożyła ogryzek jabłka na serwetkę na stoliku. Zgasła światło.

– Razem sześć minut trzydzieści sekund – ziewnęła.

Rozdział dwudziesty drugi

O piątej rano przed warszawskim wieżowcem stało kilka radiowozów. Chwilę przedtem odjechała karetka pogotowia. Mimo wczesnej pory spory tłumek gapiów zebrał się nieopodal klatki schodowej, przy której stało dwóch mundurowych policjantów.

– Kto by to, panie, przypuszczał – zwrócił się starszy jegomość do czterdziestolatka z niezapalonym papierosem w ustach. – Tu zawsze była spokojna okolica.

– Dobrze pan powiedziałeś, „była”.

– To podobno mafijne porachunki – rzuciła stojąca z boku kobieta w średnim wieku.

– Skąd pani wie? – spytał ten z papierosem.

– Podśledzałam, jak mundurowi mówili.

– Tu zawsze była spokojna okolica – powtórzył starszy jegomość.

Potem sięgnął do kieszeni. – Chce pan zapałki?

Czterdziestolatek pokręcił głową.

– Rzucam palenie.

Przed wysokościewiec zajechało kolejne auto. Wysiadł z niego mężczyzna w garniturze i ruszył w stronę dwóch policjantów pilnujących drzwi bloku, by nikt oprócz mieszkańców do niego nie wchodził. Na trzecim piętrze kolejni funkcjonariusze zatrzymywali ewentualnych ciekawskich z innych pięter. Mężczyzna pokazał mundurowym odznakę i wszedł na klatkę schodową.

POLICJANT NOTOWAŁ słowa mieszkańca lokalu numer dwadzieścia cztery.

– Nigdy nie było u nas awantur. To znaczy dwa lata temu mieszkał tu taki jeden. Wie pan, alkohol, kobiety, balangi po nocach. No więc rada w radę, pozbyliśmy się go z sąsiadami. To znaczy napisaliśmy do właścicielki wynajmującej lokal, że jak nie wyrzuci drania na zbity pysk, to doniesiemy na nią do urzędu skarbowego.

– Nie płaciła podatków?

– Nie wiem, ale jak ci z urzędu raz wezmą kogoś na widelec... Lepiej z nimi nie zaczynać.

– A co ze strzałem? – zapytał policjant.

– Jakim?

– Słyszał pan strzały?

– W życiu. Ja o dziesiątej idę spać, zakładam stopery do uszu i żegnaj, Gienia.

– Ma pan żonę? – zainteresował się funkcjonariusz.

– A na cholerę mi.

– Za dnia podobno kręciły się tu jakieś podejrzane typy?

– Z tym to najlepiej do dozorczyń. To miejscowe oko i ucho. Dzielnicowy przy niej wymięka. Lepszego rozeznania jak Stolarczykowa to w okolicy nikt nie ma.

– ZATEM CO PANI słyszała? – nadkomisarz Marzec stał przed czterdziestolatką w kwiecistym szlafroku.

– Klócili się.

– Kto się klócił?

– Słyszałam dwa podniesione głosy. A właściwie to jeden. Tak, jeden coś krzyczał.

– A drugi?

– Nic nie mówił. Był tylko jeden. I on powiedział: „Dlaczego”.

– Która mogła być godzina? – Nadkomisarz notował.

– Wracałam z góry od Zuzanny, to znaczy znajomej z szóstego. No i wtedy tamta krzyknęła.

– Mówiła pani o jednym głosie.

– No właśnie, ten jeden. I jak wchodziłam do domu, to dobiegło do mnie „Dlaczego”.

– Zaraz... jaka „tamta”?

– Wronscy kłócili się pod dwudziestką – wyjaśniła kobieta.

EmEm miał skołowany wyraz twarzy

– A co z tym strzałem?

– Jakim? Klepnęło, jakby na podwórku ktoś uderzył trzepaczką w dywan i tyle.

– Raz klepnęło?

– Chyba dwa, ale nie jestem pewna.

Marzec podziękował i wrócił do mieszkania, gdzie leżało ciało martwego chłopaka.

Technik kryminalistyki wyciągnął w jego stronę telefon zabezpieczony foliową torebką. – Nie mamy szczęścia. Zahasłowany. Ale w komendzie jest magik, który go otworzy.

– Świetnie. Pilne na wczoraj – powiedział Marzec.

– Dostanie pan po południu.

W drzwiach dużego pokoju pojawił się prokurator Edmund Malik. Niedawno skończył pięćdziesiąt lat, był wysoki, przeraźliwie chudy i poruszał się sztywno, jakby pod garniturem nosił gorset. Śmiesznie przy tym machał na boki rękami, zbyt długimi w stosunku do całej postaci. Garnitur, który miał na sobie, wydawał się za elegancki w tym miejscu, a zwłaszcza o tak wczesnej porze. Malik sprawiał wrażenie, jakby przyjechał na miejsce zbrodni prosto z przyjęcia.

Prokurator chwilę przyglądał się ciału młodego mężczyzny z fryzurą irokeza na wygolonej głowie, które leżało w wielkiej kałuży krwi. Potem podszedł do Marca, który podniósł się na jego widok. Ucisnęła sobie dłonie na powitanie.

– Słyszałem, że jesteś na urlopie – zdziwił się Malik.

– Dlaczego?

– Bo wy zawsze dostajecie wolne, kiedy pada deszcz – zadrwił prokurator.

Nadkomisarz wskazał okno i odpowiedział w podobnym tonie co prokurator.

– Zrezygnowałem z wylegiwania się, bo zaczął padać śnieg.

Malik rozejrzał się dokoła.

– Pusto tu.

W pokoju stał tylko stół i cztery krzesła.

– To jedyne pomieszczenie, które jest jako tako umeblowane. – EmEm wskazał na leżące na stole laptopa zawiniętego w folię. – A jednak chyba ktoś tu bywał, gdyż komputer był włączony. Znaleźliśmy go schowanego za wanną.

– Co na nim jest?

– Praktycznie tylko program operacyjny.

– Nic więcej? – zaciekawił się prokurator.

Marzec wskazał na policjanta, który pakował do torby aparat fotograficzny, obiektywy i zebrane metrówki.

– Technik weźmie go do laboratorium, gdzie zajmą się nim programiści.

– Jakież podejrzenia?

– Na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

– A reszta mieszkania? – zapytał Malik.

– Pozostałe dwa pokoje i kuchnia są bez mebli. Lokal stoi pusty od pół roku.

– Nie taki pusty. Ten facet skądś tu się wziął. – Prokurator wskazał wzrokiem na leżące w kałuży krwi. – Co o nim wiemy?

EmEm pokręcił przecząco głową.

– Zdjęliśmy mu daktyle – wskazał na połączony z siecią Wi-Fi automatyczny czytnik linii papilarnych – i wysłaliśmy do AFIS-u¹³. Denat jest w przedziale wieku dwadzieścia sześć – dwadzieścia osiem lat. Markowe ciuchy. W ubraniu nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby na

wstępną identyfikację. Sąsiedzi nie widzieli, żeby w ciągu ostatnich sześciu miesięcy z tego mieszkania ktokolwiek wychodził.

– Jak zginął?

– Trzy strzały. Jeden w krtań, drugi w klatkę piersiową. Ostatni w głowę, z bliska. Ten trzeci wygląda na wykończenie roboty. Profesjonalista. Kierunek osmalin na głowie denata ma charakterystykę sugerującą, że strzelał osobnik leworęczny.

– Broń, łuski?

– Nic z tych rzeczy – Marzec pokręcił przecząco głową. – Chyba wspomniałem, że to był fachowiec.

– O której nastąpił zgon?

– Lekarz wyliczył, że pięć godzin temu, koło północy. Facet spod numeru dwadzieścia jeden wrócił z drugiej zmiany. Drzwi wejściowe do mieszkania były uchylone. Gość zdziwił się, bo wiedział, że sąsiadka nadal szuka najemcy. Uchylił je deczko i zobaczył nogi nieboszczyka.

MARZEC WYSIADŁ właśnie z samochodu na parkingu za komendą, gdy podeszło do niego dwóch mężczyzn. Ustawili się po jego obu bokach i pokazali legitymacje wydziału wewnętrznego. Czego od niego chciała policja na policjantów?

Tajniacy poprosili Marca, żeby wsiadł z nimi na chwilę do zaparkowanego nieopodal samochodu.

– Na jak długą chwilę? – spojrzał zaczepnie na tajniaka z prawej.

– Krótką albo dłuższą. Wszystko będzie zależało od pańskiej decyzji.

– Mógłbym jeszcze raz zobaczyć wasze legitymacje? – Obaj funkcjonariusze wyciągnęli je bez wahania i podsunęli mu pod nos. Przyjrzał im się uważnie. Oryginały, bez wątplenia. – Zatem chodźmy.

Doszli do starego mercedesa, który lata świetności przeżył co najmniej piętnaście lat wcześniej. Jeden z gliniarzy otworzył drzwi z tyłu samochodu. Ku swojemu zaskoczeniu Marzec zobaczył w środku Janę Novák. Wsiadł.

Policjanci zostali na zewnątrz.

– Mogłaś wpaść do mnie do pokoju.

– Wolę, żeby nie widziano nas razem.

– Stąd wydział wewnętrzny? – Kiwnęła potwierdzająco głową. – Ale nadal jesteśmy znajomymi? – zażartował.

Podobnie jak część chłopaków, jakiś czas temu Marzec niezbyt przychylnie odniósł się do Jany, która przyszła do ich wydziału. Oni zasuwali na swoją opinię od kilkunastu lat, a ta w ciągu paru miesięcy stała się wydziałową gwiazdą, nie mówiąc już o tym, że niemal całkowicie podporządkowała sobie naczelnika. Ale z czasem Marzec dostrzegł, że przybył im fachowiec niezłej klasy z zagranicznymi koneksjami. Czego chcieć więcej?

– Dlaczego jestem zatrzymany?

– Nie chcemy, żebyś zburzył układankę, którą z takim mozołem składaliśmy przez wiele lat.

– Mnie interesuje tylko Rosnan.

– O nim właśnie mówię.

– Dobrze wiedzieć, że ktoś jeszcze się w nim kocha. Mam go sobie odpuścić, bo mnie o to prosisz?

Marzec wyciągnął z kieszeni paczkę drażetek i podsunął Janie. Wzięła kilka.

– Bo jesteś nie tylko zawodowo zaangażowany w tę sprawę. W przyszłości sąd może zarzucić ci brak obiektywizmu przy zbieraniu materiału dowodowego. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, a jednak nie odpuszczasz. Kilka razy naczelnik hamował twoje zapędy, ale uparcie wracasz na stary szlak. W dużym stopniu jesteś zaangażowany w złapanie Rosnana z osobistych pobudek. A to kiedyś może być wykorzystane przez jego adwokata.

Mariusz Marzec spojrzął na Janę przenikliwym wzrokiem.

– Tak dużo o mnie wiesz?

- W 1992 roku skończyłeś Wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie zakochałeś się w pewnej dziewczynie, Oldze Korczyńskiej. Przez jakiś czas stanowiliście parę, ale potem z tobą zerwała. O mało przez to nie zawałiłeś obrony pracy magisterskiej. Przynajmniej tak twierdzi Zytek, twój kolega ze studiów.

- Wiedziałem, że na kumplach można polegać – mruknął z przekąsem.

- Pół roku później, w 1993, Olga zgodziła się wyjść za ciebie za mąż. Była wówczas w siódmym miesiącu ciąży. Zaakceptowałeś fakt, że nie będziesz biologicznym ojcem dziecka. Po narodzeniu Moniki Korczyńskiej adoptowałeś ją.

Mariusz słuchał Jany z obojętnym wyrazem twarzy. Kiedyś wspomnienie tamtych dni szarpało mu duszę i potem nie mógł się pozbierać przez kilka lat. Próbował zapić smutek. Ale za każdym razem popadał w jeszcze większy dół psychiczny i coraz dłużej odnajdywał drogę powrotną do rzeczywistości. Może dlatego, że nie miał ochoty do niej wracać.

Pewnego dnia, gdy leżał skacowany, usłyszał kobiecy głos dochodzący z włączonego telewizora: „Tom, jak myślisz, ilu ludzi don zabił czy kazał zabić?”. Głos męski odpowiedział: „Są rzeczy, które trzeba zrobić i robi się je, ale nigdy o nich nie mówi. Nie próbuje się ich usprawiedliwić. Są nie do usprawiedliwienia. Po prostu się je robi. A potem o nich zapomina”.¹⁴ Wtedy postanowił zabić Rosnana. Kiedy przetrzeźwiał, zmodyfikował plan, w końcu był giniarzem.

Zerknął na siedzącą obok Janę i kiwnął z uznaniem głową.

- Rzeczywiście, trochę o mnie wiesz.

- Rok po ślubie twoja żona porzuciła cię dla dawnego kochanka. Przeżyła z nim zaledwie półtora roku. Wyrzucona, wylądowała na ulicy. Dosłownie, została prostytutką. Trzy lata później zarejestrowano ją również jako czynną narkomankę. Mimo twoich próśb nigdy do ciebie nie wróciła. Do jej śmierci formalnie byliście małżeństwem, a Monika prawnie nadal jest twoją przysposobioną córką.

– Wystarczy.

– Nie mówiłam tego, żeby cię zranić.

– ...

– Najpierw podpowiem, że twoją znajomą, Romę, już poprosiliśmy, żeby zapomniała, co wyczytała w archiwum specjalnym. A jeśli chodzi o ciebie, również powinieneś zrezygnować z prowadzenia sprawy przeciw Rosnanowi. Przynajmniej oficjalnie. A ja właśnie chciałabym pogadać z tobą nieoficjalnie.

– Dlaczego?

– Może okaże się, że będziesz nam pomocny.

– Nam? – Spojrzał pytająco.

– Pracuję dla Europolu, ale to już chyba wiesz.

– Co chcesz wiedzieć?

– Interesuje nas rodzina Danielów.

Marzec opowiedział Janie wszystko, co wiedział na temat Elizy i jej ojca.

– Możesz mi wierzyć lub nie – zapewnił – ale postawię własną głowę, że po tych materiałach, które dałem jej do przeczytania, Eliza nie zagra po stronie ojca. Pomogły mi w tym informacje, które wydobyla dla mnie Roma, więc...

– Możesz być o nią spokojny. Nikt się nie dowie, że złamała prawo, za co mogła jej grozić nagana. Ostatnia, jaką się dostaje przed wydaleniem z szeregów z powodu niepełnej przydatności do służby. – Chciał coś powiedzieć, ale Jana nie dała mu dojść do głosu. – Mamy teraz na głowie o wiele ważniejszą sprawę. – Marzec domyślił się, w którym kierunku zmierza ich rozmowa. – Powinieneś porozmawiać z Moną.

– O czym? – zapytał naiwnie.

– Powiedzieć prawdę o sobie i jej matce, która była twoją żoną. Myślę, że właśnie teraz jest ten najlepszy moment – stwierdziła Jana. – Powinieneś powiedzieć dziewczynie, kim naprawdę jest Rosnan,

dlatego powinna się go wystrzegać i jaką przyszło ci odegrać rolę w życiu jej oraz nieżyjącej matki.

– Chyba jest już na to za późno.

Jana gwałtownie zaprzeczyła.

– Wiemy, że często odwiedza Rosnana, którego uznaje za ojca, ale to nic nie znaczy. Nadarza się niepowtarzalna okazja, by skłonić ją do współpracy z nami. Pokaż dowody, które zebraliśmy.

– Tylko jeszcze trzeba chcieć w nie uwierzyć.

– Może jednak warto spróbować. Dzięki twojej córce moglibyśmy mieć wgląd w to, co dzieje się w domu marszanda. Dlatego Monika musi tylko poznać prawdę o Rosnaniu, jakim w rzeczywistości jest draniem, i... o tobie.

– Muszę o tym pomyśleć.

– Nie mamy zbyt wiele czasu.

NADKOMISARZ MARIUSZ Marzec właśnie kończył pisanie raportu dla prokuratora Malika, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł technik z telefonem w dłoni.

– Robota na wczoraj – powiedział i położył aparat na biurku.

– Dzięki – odparł Marzec. Kiedy technik wyszedł, wziął komórkę do ręki i wcisnął przycisk startu. Zerknął na ekran. Numer, który zobaczył na pierwszym miejscu listy ostatnich połączeń, przyprawił go o szybkie bicie serca. W wysłanym SMS-ie widniały dwa słowa: „kocham cię”. Marzec nie miał najmniejszych wątpliwości, że został wysłany z numeru Mony.

Odsunął krzesło i usiadł za stołem

Sekundę później wydarzenia ostatniego tygodnia złożyły się w jego głowie w jeden klarowny obraz, dzięki czemu wreszcie podjął ostateczną decyzję.

DOCHODZIŁA SZESNASTA. Mona sięgnęła po komórkę i spojrzała na ekran. Nomad... Wreszcie odczytał jej SMS-a.

- Hej - powiedziała, czując, jak serce bije jej w gardle.

- To ja, Marzec...

Zaskoczona, odruchowo przerwała połączenie i wpatrzyła się w telefon, jakby ten boleśnie ją sparzył. Aparat zadzwonił ponownie. Na wyświetlaczu jak wół stało: Nomad. Przeczekała cztery sygnały, ale EmEm był uparty. Odebrała.

- Słucham - spytała ostrożnie.

- Wczoraj przed północą z twojego numeru wysłano SMS-a do Tomasza Lipskiego.

Nie znam żadnego Lipskiego.

- Napisałaś: „Kocham cię”.

Przeniknął ją lodowaty chłód. Mocniej zacisnęła palce na komórce, żeby nie wysunęła się z dłoni.

- Dlaczego dzwonisz z jego telefonu? - zapytała ostrożnie.

- Czyli to nikt obcy.

- Nie znałam nazwiska. Co się stało?

- Mógłbym do ciebie przyjechać?

- Najpierw odpowiedz na pytanie.

- Wczoraj, około dwudziestej drugiej, Tomasz Lipski został zastrzelony w mieszkaniu przy Alei Komisji Edukacji Narodowej.

Komórka wysunęła się z jej dłoni. Przeszył ją dojmujący ból, jakby ktoś jednym chłasknięciem rozciął jej serce. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale nie wydobył się z nich nawet jęk.

Po raz trzeci w życiu po jej policzku popłynęła łza.

- Halo, słyszysz mnie?

Głos Marca był odległy, jakby nierealny. Mona siedziała nieruchomo, gapiąc się na fotografię, która stała na szafce w nogach łóżka.

Jak długo trwała w bezruchu sparalizowana bólem?

W pewnej sekundzie ocknęła się. Łza wyszła na policzku. Nie odrywając oczu od zdjęcia ojca, odnalazła dłonią na kółdrze komórkę. Zacisnęła na niej palce, wzięła rozmach i cisnęła nią w Rosnana.

MINEŁA GODZINA szesnasta. Eliza spoglądała na widniejący w głębi placu budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej, na którego froncie postawiono budowlaną dostawkę w formie wielkiej wanny. Stedelijk gościło wystawę Rosnana „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”.

Na głowie nadal miała duży kapelusz, a na nosie wielkie czarne okulary, które trochę jej przeszkadzały, ale nie zamierzała ich zdejmować. Niedawne spotkanie pozostawiło ślad w pamięci. Na ojca spojrzała przez krótką sekundę, jakby się obawiała, że ściągnie jego wzrok. Jego twarz była zdeformowana. Napuchnięte usta, skrzywiony nos i nienaturalnie zapadnięty prawy policzek. Wyglądał odpychająco. Pamiętała go całkiem inaczej. Miał jakiś wypadek? Dlaczego nie próbował skorygować defektów swej twarzy? Czy to był zamysł celowy, czy też wynikał z innych powodów?

Musi przestać o tym myśleć, skupić się na tu i teraz.

Przeszła przez plac Muzealny i po kilku minutach dotarła do wejścia. Pchnęła obrotowe przeszkłone drzwi. Olbrzymie lobby urządzone w nowoczesnym stylu. Po prawej księgarnia z regałami pełnymi książek i rozstawionymi wokół stołami z wyborem albumów i opracowań. Na wprost kasy, a za nimi wejście do holu starej części muzeum, a stamtąd na sale wystawowe parteru i pierwszego piętra. Podeszła do kasy i kupiła bilet. Przystawiła kartę do czytnika i odebrała wejściówkę.

Na jednym z pobliskich plakatów dostrzegła informację, że „Sztuka fałszerzy” znajduje się na pierwszym piętrze muzeum. Oczywiście na plakacie widniała reprodukcja „Wenus z Witebska”. Eliza przyszła tu tylko dla niej.

Dopiero teraz się zorientowała, że hala parteru i pierwszego piętra jest ogromną przybudówką. Ta na zewnątrz miała kształt wanny i przylega do frontonu starego gmachu muzeum zbudowanego w stylu renesansu holenderskiego. Nowoczesne materiały budowlane o jasnych, czystych barwach: szkło, plastik, chrom i marmur, stanowiły uderzający kontrast z ceglanyymi murami XIX-wiecznego budynku.

Weszła między eksponaty współczesnej sztuki nowozelandzkiej. Dostrzegła zaledwie kilku zwiedzających w mniejszych salach, które utworzono z odpowiednich zasłon i ścianek działowych. Sztuka nowoczesna nigdy nie cieszyła się większym zainteresowaniem. Chyba że od czasu ogłaszających jej powstanie manifestów upłynęło sto lat, a obrazy czołowych przedstawicieli sięgnęły sumy stu milionów, jak to miało miejsce w przypadku impresjonistów.

Przeszła przez wystawowy hol i kiedy znalazła się po drugiej stronie budynku wspięła się szerokimi marmurowymi schodami na pierwsze piętro. W ciągu sal, usytuowanych po prawej w południowo-wschodnim skrzydle, od strony Muzeum Van Gogha, trafiła na polską ekspozycję.

W mijanych salach znajdowały się kopie: „Burzy na jeziorze galilejskim” Rembrandta; „Koncertu”, dzieła Johanneses Vermeera, które genialnie skopiował Van Meegeren; „Głowy arlekina”, „Gołębia z zielonym groszkiem” Pabla Picassa, autorstwa Wolfganga Beltracchiego, a także „Portretu młodzieńca” Rafaela Santi, pędzla Erica Hebborna.

Zatrzymała się przed każdym na dłuższą chwilę. Co Rosnan mówił o geniuszu fałszerzy? Że dorównują, a nawet przewyższają mistrzów?

Wreszcie dotarła do „Wenus z Witebska”. W sali wisiał jeszcze: „Widok Auvers-sur-Oise” Paula Cézanne’a i „Kongregacja opuszczająca Kościół reformowany w Nuenen” Vincenta van Gogha, oba autorstwa Ottona Wackera.

Przyszło jej do głowy, że Rosnan mógł mieć rację. Wszystkie płótna były namalowane ręką geniuszy, a oprawione w złoczone barokowe ramy, błyszcząły na ścianach niczym drogocenne klejnoty.

Była zaskoczona, że „Wenus” Chagalla nie została bardziej wyeksponowana. W końcu była główną atrakcją wystawy. A jednak obraz wisiał w rogu, nawet nie na wprost wejścia, stanowiąc jakby tło dla pozostałych płócien. Czyżby wystawiającemu chodziło o podkreślenie równorzędności mistrzostwa w wykonaniu wszystkich prezentowanych prac?

Usiadła na drewnianej ławce stojącej na środku pomieszczenia i zaczęła przyglądać się „Wenus”. W równomiernie rozłożonym świetle płonących pod sufitem lamp ledowych, zobaczyła młodą nagą kobietę, która stała w drewnianej balii ustawionej pośrodku niewielkiego zagraconego pokoju. Obok unosiły się dwa wesołe diabélki, gotowe polać ją wodą z wyszczerbionego dzbanka. Nawiązanie do „Narodzin Wenus” Botticellego było aż nazbyt czytelne.

Wstała i podeszła bliżej, przyglądając się kierunkom duktów i fakturze malowidła. Była oczarowana. Obraz był wspaniały, ale czy rzeczywiście wart osiemdziesiąt dziewięć milionów? W „Wenus” kryła się magia, to fakt. Tylko tak wielki mistrz jak Chagall mógł zdobyć się na podobne ujęcie tematu. Dodatkowo urzekająca była żywość barw. Dziesiątki lat, które obraz spędził w ciemnej bankowej skrytce, spowodowało, że kolory sprawiały wrażenie, jakby farby naniesiono na płótno zaledwie wczoraj. Wszystko w tym dziele było perfekcyjne i Eliza pomyślała, że mogłaby tak gapić się na obraz bez końca.

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła twarz Mony.

– Tak?

– Gdzie jesteś?

– Oglądam „Wenus z Witebska”, ale nie widzę, żeby wystawa cieszyła się wielkim zainteresowaniem.

– Musimy porozmawiać.

– Właśnie rozmawiamy.

W słuchawce na moment zapadło milczenie. Wreszcie Mona się odezwała. Słysząc było, jak z trudem wyrwa z siebie każdą głoskę.

– Oszukałam cię. Cały czas pracowałam dla mojego ojca. Rosnana.

Eliza wróciła do ławki i usiadła. Poczowała narastający chłód w dłoniach. Milczała. Nie zamierzała mówić, że to dla niej żadna rewelacja. Już nie. Podczas rozmowy z Janą Novák z Europolu wspomniała o tym, że nie do końca ufa Monie. Że czuje, że dziewczyna nie jest z nią szczerą. Czy można było jej całkowicie ufać? Novák swoimi

kanałami sprawdziła Monę i wyszło szydło z worka. Mona była córką Rosnana. Koło domysłów zamknęło się. Kolejne pytanie brzmiało – co Eliza powinna zrobić? Pójść na konfrontację czy udać, że nic nie wie i sprawdzić, dokąd zaprowadzi ją plan Mony? Zobaczyć, co ojciec i córka kombinują. Eliza i policjantka zdecydowały, że druga opcja jest bardziej obiecująca.

Ale nie sądziła, że Mona sama się przyzna. Dlaczego? A może to element gry? Eliza mocniej zacisnęła dłoń na komórce. Czekała.

W słuchawce zabrzmiało westchnięcie.

– Przepraszam. Prawdziwie i szczerze. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Też nie miałaś ojca. A ja... on pojawił się tak nagle w moim życiu i... tak bardzo chciałam go odzyskać. Byłam głupia.

Mona krótko opowiedziała o umowie, jaką zawarła z ojcem. O tym, jak wkradała się w zaufanie Elizy. Ale też, jak budowała wyjście awaryjne, nie do końca wierząc niespodziewanie odzyskanemu tatusiowi.

– Od początku miałaś rację – stwierdziła Mona. – Nie można mu ufać. I nie wolno dopuścić, żeby wygrał tę partię.

– A czego ty chcesz? – spytała Eliza.

Chwila ciszy.

– Dać mu to, na co zasłużył. W ciągu sześciu minut i trzydziestu sekund planowałaś dokonać kradzieży. Rzekomej, gdyż konto, na które miałaś przerzucić pieniądze, nadal było kontem Rosnana. Kamera miała nagrać przebieg włamania, w tym twoją twarz. Dla policji miało być wszystko oczywiste – forsa zniknęła z banku. W efekcie ty i twój ojciec zostalibyście oskarżeni o kradzież, a Rosnan zyskałby status niewinnej ofiary. Potem forsa miała wrócić na jego tajne konto. Wiem, jak sprawić, żeby Rosnan zapłacił za wszystkie swoje draństwa i do końca świata gryzł palce z bezsilnej złości. Wiem, że proszę o prawie niemożliwą rzecz, ale... musisz mi tylko jeszcze raz zaufać.

– Oddzwonię.

Eliza wyłączyła komórkę. Przymknęła oczy i przez kilka minut próbowała zrelaksować umysł. Potem zaczęła oceniać każde wypowiedziane przez Monę słowo. Kalkulowała bez pośpiechu, zimno i logicznie. Nie pozwoliła, żeby emocje wzięły górę, a zawiedzione zaufanie, urażona duma, złość lub pogarda przeważały nad kalkulacją: „strata – zysk”, „prawda – fałsz”, „zwycięstwo – porażka”. Była ponad to. Opcja zero-jedynkowa była jedyną alternatywą.

Spojrzała na telefon. Wczuła się w Monę. Dziewczyna pragnęła uznania ojca. Z jednej strony była na siebie zła, że tak bardzo tego pragnie. Z drugiej niemal skutecznie wyparła ze świadomości fakt, że przez to zaczęła zakłamywać rzeczywistość w przekonaniu, że postępuje słusznie.

Czy na miejscu Mony postąpiłaby inaczej? Czy gdyby wolność jej ojca zależała od tego, że... Dosyć. Otrząsnęła się z takich myśli. Ona już rozwiązała swój problem i nie musiała ponownie dokonywać wyboru.

A jednak gdzieś na dnie serca czuła tęsknotę za ojcem, dawnymi słonecznymi dniami i wszechogarniającą radością, gdy brał ją w ramiona i mocno tulił. Mona z pewnością pragnęła tego samego. Miłość potrafi być nieszczeńściem, ale czy przez to należy ją piętnować jako złą?

Mona miała prawo do miłości i, wykorzystując jej uczucie, Rosnan mógł ją oszukać. Tylko czy Mona rzeczywiście nie była świadoma kłamstwa?

Eliza pomyślała, że musi dostać niepodważalny dowód, że jest po jej stronie. Wcisnęła numer połączenia.

– Co takiego zrobił twój ojciec, że chcesz go zdradzić?

Mona się nie wahała.

– Wiedział, że kocham pewnego człowieka, a mimo to ostatniej nocy kazał go zabić.

Eliza zrezygnowała z jazdy tramwajem. Postanowiła dojść do hotelu piechotą, może nawet zmęczyć się długim spacerem. Obojętna na przechodniów, myślała o wszystkim, co usłyszała od Mony. Jej ostatnie

słowa Elizą wstrząsnęły. Niemal usłyszała szloch w łamiącym się głosie Mony.

Przystanęła. W którą stronę powinna iść? Naprzeciwko zobaczyła szyld kawiarni. Bolały ją nogi i postanowiła chwilę odsapnąć.

Weszła do lokalu i zajęła stolik nieopodal wyjścia. Podszedł kelner. Zamówiła duże cappuccino i ciastko orzechowe. Na obiad powinno wystarczyć. W końcu w pokoju hotelowym miała jeszcze owoce.

Kilka stolików dalej siedziała para kobiet w średnim wieku. Zajęte rozmową, nie widziały nikogo poza twarzą siedzącej przy stoliku na wprost przyjaciółki.

W głębi lokalu nastolatek pochylał się nad laptopem, pochłonięty pisaniem na klawiaturze.

Oparta plecami o ścianę Eliza wspominała wizytę w sali Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie oglądała „Wenus”. Do tej pory nie mogła pozbyć się wrażenia malarskiej doskonałości, tego cudownego balansu kolorów i złudnie swobodnie poprowadzonej kreski.

Na to nałożył się telefon od Mony.

Eliza wykluczyła jakąkolwiek grę z jej strony. Prawda, którą jej wyjawiała, nie mogła służyć Rosnanowi, wręcz mu szkodziła, a zatem stawiała Monę obok Elizy po przeciwnej marszandowi stronie barykady.

Kelner przyniósł kawę i ciastko, ale Eliza zapragnęła nagle jak najszybciej wrócić do hotelu, zatrzaskać za sobą drzwi i zostać sama. Zapłacała.

Ogarnął ją smutek, pod którym narastała złość. Dlaczego bliskie naszemu sercu osoby potrafią postępować podle i ranić z rozmysłem z niemal pogardliwą miną na twarzy?

Jak bardzo cierpiałyby na miejscu Mony? A czy jej sytuacja była mniej stresująca?

Wypiła kawę, ale nie ruszyła ciastka. Wstała i poszła do wyjścia. W drzwiach niemal zderzyła się z wchodzącym mężczyzną. W pierwszej chwili go nie poznała. On pewnie też nie poznał jej. Dopiero gdy przepaszając się, spojrzeli sobie w twarze, zaskoczeni zamilkli.

– Eliza? – Ojciec niemal zachłysnął się własną śliną. – Co tu robisz?

– Ja... – w pierwszej sekundzie nie potrafiła znaleźć właściwego słowa.

Daniel rozejrzał się niespokojnie, a potem chwycił córkę za łokieć. Odciągnął od drzwi i szyby w głąb lokalu.

– Czy ktoś cię widział? Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie narażasz. – Na zdeformowanej twarzy ojca pojawiła złość. – Myślałem, że będziesz bardziej ostrożna. Nawet nie zdajesz sobie sprawy... – przerwał i obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. – Jak mnie znalazłaś?

Elizę zalało rozczarowanie. Zamiast chwycić ją w ramiona, jak kochający ojciec od lat niewidzianą jedyną córkę, stojący na wprost mężczyzna syczał złym głosem o jej nieodpowiedzialnej nieostrożności. Przez cały czas mówił i mówił, a z każdego wypowiedzianego słowa przebijała coraz większa irytacja. Skojarzył się jej z wściekłym nauczycielem, który beszta ucznia-idiotę. Słyszane wyrzuty bolały tak samo jak razy, które poczuła, gdy czytała przekazane jej przez nadkomisarza Marca akta kryminalne o własnym ojcu. Jak teraz, tak wówczas każde słowo chlastało ją w twarz, bezlitośnie obnażając kłamstwa i dobywając z mroku prawdziwe motywy postępowania.

Z przeszłości napłynął krzyk mamy: „Ty nigdy mnie nie kochałeś”, a potem odgłos trzaskających drzwi.

– Ty nigdy mnie nie kochałeś – wyszeptała.

– Co? – Najwyraźniej nie zrozumiał jej słów. Ale przynajmniej przestał na nią krzyczeć.

Wtedy wybuchła. Tłumiony gniew, żal, złość i wreszcie w pełni uświadomiony zawód złudnych nadziei eksplodował.

Ale nie krzyczała, nie machała rękami, nie tupała, nie bryzgała z ust śliną w pospiesznym wyrzucaniu z siebie słów. Mówiła powoli, półgłosem, wyraźnie, z lodowatym wyrazem oczu.

– Wiem wszystko.

– O czym ty mówisz?

– Jeśli coś umknęło mojej uwagi, jest to mało istotna rzecz, która bezpośrednio nie dotyczy ciebie, mamy lub naszych wzajemnych relacji. Wielokrotnie powtarzałeś, jak bardzo nas kochasz, jak mocno tęsknisz i wyrzucasz sobie, że pozwoliłeś, żeby zły los nas rozdzielił. – Eliza czuła spływającą po policzku łzę. – Nigdy nie sądziłam, że na mojej drodze stanie osoba, która potrafi sobie wmówić troskę o innych. Miłość do dziecka. Uczucie do rzekomo kochanej kobiety. Twoje zakłamanie sięga tak głęboko, że nie odróżniasz fałszu od obiektywnej rzeczywistości. Jesteś nawet przekonany, że naprawdę mnie kochasz, tęsknisz i chcesz nadal się o mnie troszczyć. Te kłamstwa stały się częścią twojej świadomości. Dzięki nim mogłeś pozbyć się wyrzutów sumienia, uwierzyć, że przecież jesteś dobrym człowiekiem. Dlatego poprosiłeś mnie o pomoc. Ale prawda jest zupełnie inna, nigdy mnie ani mamy nie kochałeś. Małżeństwo uznałeś za więzienie, z którego uciekłeś przy nadarzającej się okazji. Podobnie rzecz miała się z twoim malarstwem. Nie chciałeś budować, bałeś się porażek, żądałeś, by natychmiast uznano twój talent. Nie zamierzałeś ponosić trudów, ale szybko przeliczać pieniądze. – Głos Elizy załamał się na sekundę, ale zebrała się, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co się w niej nazbierało. – Nikt do niczego cię nie zmuszał. Nie obwiniaj złego losu, gdyż za każdą decyzją stał twój świadomy wybór. Doskonale wiedziałeś, która droga oznacza wyrzeczenia i niepewną perspektywę sukcesu, a która brak problemów w drodze do celu. Ale jakiegokolwiek byś nie wybrał drogi, zawsze razem z mamą byliśmy przeszkodą. Dla siebie samego tylko ty byłeś najważniejszy, twoje potrzeby najistotniejsze, oczekiwania zaś jedyne i nadrzędne. Nawet nie wiesz, jak strasznie mnie zabolęło, gdy w końcu dotarło do mnie, że słowo „kocham” dla ciebie jest tylko wytartym frazesem, za który próbujesz teraz nawet nie kupić sobie przebaczenie, ale wymusić pomoc. I nie robisz tego, bo wreszcie coś zrozumiałeś, poczułeś tęsknotę, że kochasz. Nic z tych rzeczy. Za wszystkimi twoimi słowami kryje się jedno: boisz się o siebie i zgromadzone pieniądze.

Eliza przetarła załzawione oczy. Choć zachrypnięta od zaciskanego żalem gardła, zdołała jeszcze z siebie wyrzucić:

- Zasłużyłeś na to, co cię spotkało. Nawet nie wiem, czy nadal powinnam nazywać cię ojcem. Muszę też zdecydować, czy jeszcze chcę ci pomagać. Ale gdybym nawet wyciągnęła do ciebie pomocną dłoń, to wiedz, że zrobię to tylko dlatego, żebym mogła po raz kolejny spojrzeć ci w oczy. Bo musisz po stokroć się dowiedzieć, co o tobie myślę i jak bardzo tobą gardzę. Inaczej to wszystko nie będzie miało żadnego sensu.

Szybkim krokiem wyszła z kawiarni, trzaskając za sobą drzwiami.

Nikt za nią nie wybiegł.

Nie wołał, żeby wróciła.

Nie przeproszał.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rosnan siedział przed lustrem w garderobie studia telewizyjnego i patrzył w swoje odbicie. Ostatnio nie czuł się najlepiej. Duszności i napady lęku, jak stwierdził lekarz, mogą wskazywać na problemy z sercem. Kiedy wszystko się skończy, zajmie się zdrowiem. Na razie miał na głowie ważniejsze sprawy.

Wizażystka nałożyła na twarz puder. Był matowy i miał zapobiec niepożądanym odbiciom światła od skóry. Dziewczyna знаła dobrze angielski. Mówiła jednak powoli i wyraźnie, jakby sądziła, że Polak może mieć problem z jej zrozumieniem. I zachowywała się tak, jakby uważała go za dzikusa, który z nieznanых powodów przyjechał z zimnego Wschodu i za godzinę, kiedy wszędzie księżyc, jako główna atrakcja telewizyjnego show, zmieni się w wilkołaka.

Obok siedział Daniel, którego twarzą zajmowała się druga korektorka urody.

– Jak się czujesz przed występem? – spytał Rosnan, nie odwracając twarzy.

– Na razie swędzi mnie skóra na nosie. No i zastanawiam się, jak kobiety mogą codziennie znosić te wszystkie kremy, szminki i pudry?

Kłamał. Myślał o wczorajszym niespodziewanym spotkaniu z córką. O co właściwie było to całe piekło? Dlaczego Eliza oskarżyła go, że jej nie kocha? Jak mogła go tak zranić? Postanowił się nad tym zastanowić po programie, gdy wróci do hotelu. Na razie miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Jak one znoszą makijaż? – Rosnan zaśmiał się krótko – Chociaż myślenie podobno jest twórcze, lepiej nie zadawać sobie pewnych pytań.

Był okryty szeroką peleryną fryzjerską, żeby puder nie pobrudził garnituru. Wizażystka kończyła poprawianie kreski brwi. Chyba była trochę zła, że za bardzo kręcił się na fotelu i stale musiałaś coś poprawiać.

Nad lustrem wisiał duży ekran telewizyjny, na którym widać było reklamę programu, w której pojawiały się słynne obrazy z jego kolekcji.

– *Do you believe painting is the reflection of human intelligence?*¹⁵

– wizażystka zerknęła na niego pytająco. Była pewna, że wymięknie i tylko odbąknie coś niezrozumiale.

Rosnan uniósł brew.

– *Intelligence? Of course not. Painting is the art of protecting flat surfaces from the weather and exposing them to the critic*¹⁶

– zaśmiał się głośno, jakby sam to wymyślił.

MONA WESZŁA w panel administracyjny ochrony amsterdamskiego hotelu Waldorf Astoria. Złamanie kodów wejścia i dostanie się na serwer centrum bezpieczeństwa nie sprawiło jej większych trudności. Szyfr znalazła w elektronicznych śmieciach hotelu, które skrupulatnie przeglądała od dwóch tygodni. No i pewnego dnia w poczcie recepcji znalazła mejl z kodami do łączy, który został wysłany z centrum do kogoś zapominalskiego w dyrekcji, żeby ten miał podgląd na monitorze z kamer, które rozmieszczono w lobby głównym i na korytarzach prowadzących do apartamentów. W efekcie złamanie kodu administratora sieci hotelowego intranetu było już proste.

Teraz, niczym szef ochrony, miała stały podgląd na ujęcia ze wszystkich hotelowych kamer. Na ogólnym schemacie mogła też widzieć znaczniki agentów, którzy nie znajdowali się na terenie hotelu. Jeden stale tkwił w głównym lobby, pozostali zaś przemierzali korytarze i klatki schodowe. Po dwóch dniach знаła grafik przejść kontrolnych przez wszystkie piętra w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jego powtarzalność była naganna, choć w przypadku Mony i Elizy jak najbardziej pożądana.

Dochodziła dwudziesta czterdzieści pięć. Mona spojrzała na centralny ekran, który jeszcze był ciemny, potem przeniosła wzrok na zegar.

- Już czas – powiedziała do mikrofonu.

- Jak samopoczucie?

- Trzymam się.

- Ja miałabym dziś kaca.

- Będę go miała jutro, tak sobie obiecałam.

Jakby za sprawą jej słów, monitor się rozświetlił. Zobaczyła wnętrze pokoju Elizy i jej wpatrzone w siebie oczy.

Dobiegł ją cichy, ale zacięty szept:

- Musisz być mocna.

- Jestem gotowa – Eliza usłyszała w słuchawce przytłumiony głosem Mony.

- W takim razie jedziemy.

Mona sprawdziła, gdzie znajduje się agent kontrolujący korytarze. Właśnie jeden minął drzwi pokoju Elizy i zniknął za zakrętem długiego korytarza.

- Masz dwadzieścia minut luzu. Ruszaj.

ROSNAN WYSZEDŁ z charakterystorni i poszedł korytarzem, prowadzony przez asystenta reżysera. Tuż za nim Daniel. Za chwilę mieli wejść do studia, gdzie rozpoczął się już wielki show. W telewizji holenderskiej, belgijskiej i francuskiej program reklamowano od miesiąca. Polacy mieli obejrzeć jego skrót w drugi dzień świąt. Spodziewano się, że sensacyjny temat fałszerzy sztuki, niczym intrygujący kryminał, przyciągnie przed odbiorniki rzesze widzów.

Asystent reżysera przycisnął palcem do ucha słuchawkę łączności bezprzewodowej. Potem kiwnął głową, że rozumie.

- Mamy cztery i pół miliona widzów. Jest dobrze – uśmiechnął się szeroko.

Przeszli przez służbę dźwiękową i zatrzymali się przed drzwiami prowadzącymi bezpośrednio do studia.

Na pobliskim monitorze widniało jego wnętrze. Wypełniały je różnych rozmiarów reprodukcje obrazów najgłośniejszych malarzy renesansu, baroku, klasycyzmu, impresjonizmu i kubizmu. Przed kamerami stał prowadzący program, Niels van den Berg – znany holenderski aktor młodego pokolenia. Mówiąc, żywo gestykulował.

– Początków mafijnych powiązań należałoby szukać u progu XX wieku. Wówczas angielscy handlarze sztuką zaczęli między sobą zawierać porozumienia, które miały im ułatwić kupno określonego dzieła po niezbyt wygórowanej cenie. W ówczesnym slangu takie porozumienia określano mianem, uwaga, *gentlemen's agreement*. – Aktor roześmiał się, jakby powiedział doskonały dowcip, a zgromadzona w studiu publiczność na świetlny sygnał zareagowała podobnie. – Handlarze, którzy byli specjalistami, lepiej orientowali się w cenach niż zwykli ludzie. I na tym przez stulecie zyskownie zarabiali. To wszystko zostało zdelegalizowane w Anglii na mocy ustawy z 1927 roku, która głosiła: „Jeśli handlarz zgadza się dać bądź daje, bądź proponuje jakikolwiek podarunek lub względy innej osobie jako zachętę lub nagrodę za powstrzymanie się od licytacji (...) staje się winnym popełnienia przestępstwa i podlega karze na mocy ustawy...” – Niels westchnął zrezygnowanym głosem. – Warto w tym miejscu dodać, że do roku 1981 na Wyspach nikogo nie skazano z mocy tego prawa. Czyżby Brytyjczycy byli tak uczciwi? (Śmiech). Dziś światowy proceder nielegalnego obrotu fałszywymi dziełami sięga setek milionów dolarów. O sporej części tajemnic czarnego rynku opowie dziś nam specjalny gość z Polski, pan... Gerard Rosnan!

Zapłonęła większość światel. Publiczność zaczęła bić brawa. Asystent odczekał sekundę i otworzył drzwi do studia.

ELIZA ZESZŁA schodami na pierwsze piętro. Przejrzała się w jednym z luster. Na jej głowie tkwił niewielki kapelusik z doczepionymi z boku

kilkoma sztucznymi makami. W jednym z nich była schowana mikrokamera. W uszach miała słuchawki, jakby słuchała muzyki.

Dochodziła dwudziesta czterdzieści siedem. Miała dziesięć minut na włamaniowy sprint.

Nieoczekiwanie w korytarzu pojawił się hotelowy gość – starszawy mężczyzna w smokingu. Wyraźnie był wstawiony i roztaczał wokół siebie woń alkoholu. Zatrzymał się na drodze Elizy. Spojrzał na jej kapelusz, zmarszczył czoło, jakby czegoś szukał w myślach, a potem się uśmiechnął.

– Dorothy? – Głoski nieco rozjeżdżały mu się w ustach.

Eliza zatrzymała się i obejrzała. Była pewna, że mówi do kogoś, kto stoi za jej plecami. Ale nikogo tam nie było.

– Kto? – spytała po angielsku.

– Dorotka z krainy Oz. – Facet nachylił się w jej stronę i wymamrotał konspiracyjnym szeptem: – Możesz być spokojna – mrugnął znacząco okiem. – Nie powiem czarownikowi, że cię tu spotkałem.

– To jakaś pomyłka – próbowała minąć mężczyznę, ale ten, rozbawiony, ponownie zagroził jej drogę.

– Możesz na mnie polegać.

Eliza zerknęła kątem oka na zegarek. Dwudziesta czterdzieści osiem. Sekundnik nieubłaganie wyznaczał upływ czasu. Powinna już otwierać pokój Rosnana.

– Zawsze chciałem być drwalem. – Podpity facet roześmiał się, rozbawiony jej śmiesznym kapelusikiem. Potem odtańczył przed nią samotnie walca.

Minęła dwudziesta pięćdziesiąt.

Eliza była w kropce.

– Tracimy czas – usłyszała w słuchawkach zdenerwowany głos Mony.

Wtedy Eliza uśmiechnęła się najbardziej czarującym uśmiechem, jaki mogła przywołać na twarz, i powiedziała:

– Bujaj się drwalu, bo pójde po siekiere i utnę ci jaja.

Facet zachłysnął się powietrzem, okręcił na pięcie i szybko odszedł w głąb korytarza. Tam dostał czkawki i zniknął za drzwiami pokoju.

Minęła dwudziesta pięćdziesiąt cztery.

Dziewięć sekund później Eliza stanęła przed drzwiami apartamentu Rosnana. Wyjęła z torebki deszyfrator, wysunęła z niego kartę i włożyła do zamka. Wcisnęła przycisk startu oprogramowania. Dwie sekundy później urządzenie zaczęło przeliczać sekwencje kodu, a na ekranie pojawiły się dziesiątki przenikających się cyfr. Złamanie szyfru zajęło siedem sekund. Zamek w drzwiach zwolnił zapadki z cichym trzaskiem. Naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki i nacisnęła klamkę.

ROSNAN CZUŁ się przed kamerami niczym ryba w wodzie. Zgromadzona publiczność, wyselekcjonowana przez reżysera, z niemal autentycznym zaangażowaniem zdawała się reagować na to, co mówił marszand.

– Już dawni despoty Wschodu byli kolekcjonerami i zbieraczami. Mityrdates Eupator, król Pontu, zgromadził w swojej kolekcji około tysiąca srebrnych i złotych naczyń. W tamtych czasach najbardziej była znana kolekcja onyksowych kubków, która liczyła niemal dwa tysiące sztuk. Eumenes II, który w roku 180 p.n.e. wspaniał się wzniesieniem słynnego ołtarza pergamońskiego, kolekcjonował rzeźby i wyroby ze złota i srebra, jego brat zaś, Attalos II, obrazy. Przekazy, z których to wiemy, są dowodem, że już w zamierzchłych czasach gromadzono antyki i kopiowano sławne stare malowidła ściennie. Nikt wówczas nie przejmował się prawami autorskimi. Liczyło się piękno i ono było jedynym wyznacznikiem chęci posiadania. W atmosferze podejrzanych machinacji dziełami sztuki wzrastał i uczył się zawodu Michał Anioł. Pewnego dnia jego ówczesny nauczyciel, Domenico Ghirlandaio, dał mu do skopiowania starożytną rzeźbę głowy. Uczeń tak świetnie wypełnił zadanie, że nie można było odróżnić kopii od oryginału. Późniejszy nabywca był przekonany, że kupił oryginał, gdy w rzeczywistości dostał jedynie kopię. Kiedy Dürer umierał w 1528 roku,

wśród kolekcjonerów krążyło więcej sfalszowanych rycin jego autorstwa niż autentycznych. W kopiowaniu prac wielkiego artysty celował zwłaszcza... dwunastoletni Jan Wierix, który urodził się w 1549 roku. Jan został okrzyknięty cudownym dzieckiem, gdyż naśladował prace Dürera – jego technikę i siłę wyrazu – w sposób nigdy i przez nikogo potem już niedościgniony...

MINĘŁA DWUDZIESTA pięćdziesiąt siedem. Eliza znalazła laptop na szafce nocnej. W sypialni panował ogólny bałagan, łóżko było byle jak zarzucone wzorzystą kapą. Odchyliła ekran laptopa, kierując ekran na ścianę. Monitor włączył się, wybudzony ze stanu czuwania.

– Wyłączyłam kamerę – usłyszała w słuchawkach głos Mony.

Znaczyło to, że wbudowany nad ekranem obiektyw nie rejestrował obrazu osoby, która znajdowała się w jego zasięgu. Dopiero teraz Eliza odwróciła klawiaturę do siebie. Jej serce biło mocno. Sięgnęła do kieszeni po pendrive'a i wsunęła jego końcówkę do czytnika USB. Na nośniku znajdował się program instalacyjny TeamViewer, narzędzia do zdalnego kontrolowania komputera przez sieć internetu. Dzięki niemu na ekranie w Polsce Mona zobaczyła pulpit laptopa Rosnana i mogła do woli dysponować jego zasobami.

– Program jest już wgrany – rzuciła Eliza do słuchawki i wyjęła pena z gniazda.

Zerknęła na włączony w komórce stoper. Zajęło jej to trzy minuty piętnaście sekund. Minęła dwudziesta pierwsza zero dwie.

– Masz czas na podziwianie widoków przez okno... Tylko się nie wychylaj – zaśmiała się Mona.

Od tego momentu przejęła zdalne operowanie zasobami komputera Rosnana. Dziesiętne części sekundy w przekazywaniu sygnału przez sieć internetu nie miały praktycznie żadnego znaczenia. A ponieważ Mona знаła hasło do konta ojca, mogła polecić wysłanie milionów nawet w kosmos. Choćby to nierozsądne marnotrawstwo.

Eliza usiadła w jedynym fotelu, na którym nie leżały fragmenty garderoby. Zamiast w okno wolą patrzeć na ekran laptopa. Zobaczyła stronę bankową z kontem Rosnana. W tabeli, która mówiła o bieżącym stanie rachunku, widniała zdumiewająca suma stu jeden milionów dolarów.

Może rzeczywiście to pralnia pieniędzy, pomyślała. Jednak moment później odrzuciła ten pomysł. Tu chodziło o coś zupełnie innego.

Rozległ się sygnał nadchodzącego SMS-a. Wyjęła komórkę z kieszeni sukienki. Dostała informację, że zamówiona taksówka podjedzie przed hotel za piętnaście minut. Była już spakowana. Godzinę wcześniej zeszła na dół i opłaciła rachunek za pobyt.

– Gotowe. Możesz kasować Viewera.

Znaczyło to, że Mona zaczęła rozsypywać sto jeden milionów dolarów po światowym systemie bankowym. Z tym tylko że pieniądze, zamiast po pewnym czasie wrócić na konto Rosnana, pojawią się na całkiem innym rachunku, w innym banku, o którym nikt prócz Mony i Elizy nie wiedział.

Eliza podeszła do laptopa. Wywołała panel sterowania, potem katalog, programy, funkcje. Wreszcie na dole ekranu znalazła właściwą ikonę. Wydała polecenie usunięcia.

Spojrzała na stoper. Od jej wejścia do pokoju minęło dokładnie siedem minut i dwadzieścia sekund. Przekroczyły wyznaczony sobie czas o pięćdziesiąt sekund. Nadal było to mniej niż wypicie filiżanki kawy.

Przymknęła laptopa, odstawiła go na poprzednie miejsce i skierowała się do drzwi. W tym czasie pozostawiony w kompie przez Monę robal wyczyścił wszystkie rejestry i ślad po intruzach przepadł w elektronicznej mgle.

– Jak korytarz? – spytała Eliza i położyła dłoń na klamce.

– Droga wolna.

Spokojnie wyszła z pokoju.

ROSNAN WSKAZAŁ dłonią za siebie. Na dużym ekranie, który pojawił się na tle dotychczasowej dekoracji w studiu, wyświetliły się trójwymiarowe obrazy. Jednocześnie odpowiednia praca świateł wywołała złudzenie, że studio telewizyjne przekształciło się w pracownię malarską.

– Niezwykłe zamiłowanie do rzeźb z lat świetności kultury Rzymu i Hellady wywołało boom na dawną sztukę – mówił z pasją. – A ponieważ oryginały były na rynku rzadkością, stąd rosnące zapotrzebowanie zaczęli pokrywać fałszerze. Sam Michał Anioł wyrzeźbił swojego Kupidyna w stylu antycznym, na wyraźne polecenie Lorenza de Medici. Ale sprawa dotyczyła nie tylko rzeźb. Król Francji, Franciszek I, poza Leonardem da Vinci gościł na swoim dworze Andreę del Sarto oraz Benvenuto Celliniego, którzy na jego zamówienie kopiowali wskazane im dzieła, chociaż ich praca miała wyraźny posmak fałszerstwa. Cellini zasłynął też z umiejętności podrabiania starych monet. W latach późniejszych artysta twierdził, że ową plotkę rozpuścili inni artyści, którzy zazdrościli mu talentu. Ale wtedy bardzo chciał już zapomnieć o grzechach młodości.

ELIZA WYSZŁA z hotelu. Boy zszedł za nią z walizką, którą następnie schował do bagażnika czekającej taksówki. Dała mu pięć euro napiwku. Wsiadła do środka.

– Na lotnisko Schiphol – rzuciła, udając lekką zadyszkę. Miała nadzieję, że jej słowa brzmiały, jakby rzeczywiście była spóźniona. Spojrzała na zegarek. – Umówiłam się ze znajomymi, ale jestem w niedoczasie. Dołożę pięćdziesiąt euro, jak dojedziemy na miejsce za czterdzieści minut.

W czasie jazdy analizowała niedawne wydarzenia. Mimo wszystko sprawdziła, czy Mona mówiła prawdę. Kiedy kasowała TeamViewera, skontrolowała dysk Rosnana. Otworzyła katalog z dokumentami. Potwierdziły się słowa Mony, że komputer był dziewiczo czysty i stanowił jedynie stację przesiadkową do przerzutu pieniędzy. Być może

Mona odnotowała jej kontrolę, ale po numerze, który jej wycięła, nie powinna się dziwić.

Taksówka nieoczekiwanie zatrzymała się w długim korku. Eliza poczuła niepokój. Samolot nie będzie na nią czekał.

DANIEL OPOWIADAŁ o technikach fałszerskich. Choć w wypowiedź wplatał dużo szczegółów, ludzie słuchali z zainteresowaniem. Zwłaszcza że słowa były ilustrowane obrazami z kolekcji Rosnana.

– W pierwszej technice – Daniel wskazał na wyświetlany za nim obraz Velázqueza – którą posługiwał się XX wieczny fałszerz van Meegeren, używa się starego obrazu malowanego na drewnie, płótnie lub metalu. Van Meegeren usuwał stare malowidło pumeksem. Była to ciężka i niemal zegarmistrzowska precyzyjna robota, która zabierała niekiedy nawet sześć tygodni. Chodziło o całkowite zdjęcie farb do żywego płótna, bez uszkodzenia splotu nici. Następnie na podkładzie, który pochodził z danego wieku, Meegeren tworzył kolejne dzieło Velázqueza, niby cudem odnalezione na czyimś strychu. Oczywiście świat sztuki wstrzymywał oddech w zachwycie, a eksperci gotowi byli postawić własne głowy, że XVII-wieczny rarytas jest oryginalny.

(Śmiechy i nieliczne brawa.)

– Kolejna technika sprowadza się do zastosowania oryginalnych materiałów z danej epoki. Na przykład XVIII-wieczne płótno wykradzione z muzeum etnograficznego naciąga się na blejtram zbity z deseczek wystruganych z elementów dawnych krosien, które również wyniesiono z tegoż muzeum.

(Pomruk zaciekawienia.)

– Trzecia technika to po prostu rozliczne sposoby, które poszczególni fałszerze opracowują na własny użytek do postarzania współczesnych im materiałów. Tak uczynił, obecnie przebywający w Tajlandii wasz utalentowany rodak, Robert Driessen. – Daniel puścił oko do publiczności. – Driessen dał się poznać jako doskonały kopista szwajcarskiego rzeźbiarza i malarza Alberto Giacomettiego. Jak wynika

z wyliczeń holenderskiej policji, dotąd ma on na swoim koncie ponad trzy miliony euro, które zgromadził na sprzedaży podrobionych prac. Podobnie rzecz miała się z fałszerzem pamiątek Hitlera, Konradem Kujau, który postarzył papier, mocząc go w specjalnie opracowanym przez siebie wywarze, skomponowanym z mieszanek kilku gatunków... herbat.

(Bardziej wyraźny pomruk zaciekawienia.)

– Jest jeszcze czwarta technika? – padło pytanie z sali, przygotowane w opracowanym wcześniej scenariuszu.

– Owszem, ale niech zdradzi ją państwu pewna anegdota. Kiedy w XVII wieku niejakiemu Luce Giordano o przydomku „Fa presto” sędzia zarzucił, że sfalszował Albrechta Dürera, malarz kompletnie się tym nie przejął. Na pytanie, czy poczuwa się do winy, Giordano bezczelnie odparł, że bezsensownym jest karanie kogoś za to, że jest równie utalentowanym malarzem co jakiś tam renesansowy artysta z Norymbergii. Tak więc czwartą i najważniejszą techniką, która wspiera trzy pierwsze, jest?...

– Talent! – krzyknęła niemal cała sala.

(Oklaski)

ELIZA BIEGŁA od miejsca kontroli, gdzie prześwietlono ją i bagaż, aż do bramki, gdzie sprawdzano karty pokładowe. Była na miejscu minutę przed zamknięciem. Ledwie łapała oddech. Steward sprawdził bilet, zerknął na paszport, uśmiechnął się zdawkowo i wskazał przejście. Weszła do rękawa, który prowadził do wejścia na pokład samolotu. Była ostatnią pasażerką.

Przywitała ją stewardesa.

– Witamy na pokładzie.

– Chyba się trochę spóźniłam – uśmiechnęła się przepraszająco.

– Ależ skąd, jest pani o czasie – dziewczyna wskazała przejście między fotelami. – Proszę zająć miejsce.

Samolot był pełny, a niektórzy ludzie patrzyli na nią z wyrzutem, jakby już zanotowali spóźnienie. Schowała walizkę do schowka i usiadła w fotelu.

Wreszcie mogła spokojnie wziąć głęboki oddech. Nigdy dotąd nie czekała aż tak niecierpliwie na start.

– DLACZEGO O TYM opowiadamy? – Rosnan przejął pałeczkę od Daniela. – Kiedy otwierałem wystawę w Warszawie, Berlinie, Paryżu czy też Amsterdamie, zawsze mówiłem do zebranych: Z pewnością zastanawiacie się, skąd pomysł na taką prezentację dzieł sztuki? Dlaczego wybitne, dopiero co odnalezione w sztokholmskim Riksbanku płótno wielkiego mistrza chcę przeciwstawić dziełom fałszerzy? I odpowiadałem, że moja wystawa ma dać jasno do zrozumienia, że dosyć już idiotycznych pytań, KTO namalował jakiś obraz czy stworzył daną rzeźbę. Wolno pytać jedynie o biegłość warsztatową, artyzm i talent. Czas zacząć oceniać dzieła, a nie pieniądze, które za nie można uzyskać.

(Brawa.)

Ku zaskoczeniu patrzących, w studio pojawił się obraz „Wenus z Witebska”, choć jednocześnie na ekranach monitorów można było widzieć to samo płótno, które wisiało w amsterdamskim muzeum.

Do studia weszła jakaś dziewczyna i podbiegła do Rosnana. Podała mu kartkę, potem uśmiechnęła się niepewnie do kamery i zniknęła z kadru. To również było ustalone w scenariuszu. Jednak o tej scenie Daniel nic nie wiedział. Patrzył na Rosnana ze zmarszczonymi brwiami, a w jego oczach było pytanie. Rosnan nie zwracał na niego uwagi.

(Kilkusekundowa cisza.)

Rosnan przeczytał notatkę.

– O, Boże! – cicho krzyknął.

(Szum narastającego zaciekawienia.)

Rosnan rozejrzał się niepewnie dokoła, omijając spojrzeniem Daniela, i uśmiechnął się sztucznie, jakby próbował zrobić dobrą minę

do złej gry. Widać było, że wiadomość wywarła na nim piorunujące wrażenie.

- Z pewnością zastanawiacie się, co to za obraz? - Powiedział drewnianym głosem. - To rzeczywiście jest bardzo... - Potarł nerwowo czoło. - Czy w muzeum nadal wisi oryginał, czy też...

(Pomruk zdenerwowania i współczucia.)

Daniel pochylił się ku niemu, jakby chciał spytać, co się dzieje, ale Rosnan nadal traktował go jak powietrze. Próbował kontynuować, ale widać było, że pogubił się w tym, co miał powiedzieć. Wreszcie na jego twarzy pojawiło się zdecydowanie, jakby podjął ważną decyzję.

- Muszę wyznaczyć wam prawdę. To dla mnie bardzo bolesne, ale w świetle tego, co właśnie mnie spotkało... - otarł nieistniejący pot z czoła. - Musicie wiedzieć, że przed wielu laty policja ukuła przeciw mnie spisek. - W studiu na pięć sekund zapadła absolutna cisza, a potem rozległ się szmer zdziwienia przemieszane z oburzeniem. To również zostało ustalone w minutowym opisie przebiegu programu. - Od lat jestem nękanym, pomawianym, a moje dobre imię wystawiano na fałszywe oskarżenia. Wszystko za mówienie prawdy i walkę z mafią. Wszystko za sprawą ludzi, którzy zawiadują światowymi aukcjami dzieł sztuki. Dołączyli do nich dawni funkcjonariusze komunistycznej służby bezpieczeństwa. Chcą mnie zniszczyć za bezkompromisowość i wierność ideałom wolnej Polski, o którą walczyłem przez całe życie. (Oklaski, okrzyki poparcia.) Na tej kartce - podniósł do góry papier, widać było wyraźnie, że ręka mu drży - są wyniki dodatkowej ekspertyzy „Wenus z Witebska”. Wierzyłem, że obraz jest prawdziwy, w końcu jego autentyczność potwierdzili najwięksi eksperci, ale... wiedząc, że jestem na celowniku służb, chcąc być absolutnie pewien, zarządziłem dodatkowe dyskretne badanie. Okazało się, że „Wenus z Witebska” ... jest fałszywa.

- Niemożliwe - krzyknął zaskoczony Daniel, ale Rosnan nadal nie zwracał na niego uwagi. Jakby był powietrzem. Kontynuował drżącym głosem:

– Niezależny ekspert odkrył na odwrocie płótna w lewym dolnym rogu niewielką kropkę. Co było nie tak z jej kolorystyką? Bliższe zbadanie wskazało, że utworzono ją z amarantu alpejskiego. Biednego Chagalla, na początku kariery, kiedy klepał biedę, z pewnością nie było stać na drogą farbę, którą tworzą na bazie olejków naturalnych. Wniosek jest tylko jeden: fałszerz niedokładnie zdarł obce podobrazie, a potem stworzył na nim fałszywe dzieło Chagalla. Nie ukrywam, to dla mnie jest ogromny szok. – Wsparł się ciężko na pobliskim podeście. Na kilka sekund w studiu zapadła absolutna cisza. Rosnan zacisnęła dłoń w pięści, jakby walczył z własną słabością. I zwyciężył. – Ale jestem uczciwym człowiekiem i nie zamierzam ukrywać prawdy. Obraz, który obecnie prezentowany jest w Stedelijk Museum, którego autentyczność potwierdzili czołowi eksperci, jest fałszywy. Ten w studiu również – wskazał na malowidło – a jego autorem jest ten człowiek – wskazał oskarżycielsko na Daniela, który wyraźnie zeszytniał w fotelu. Jego twarz straciła wszelki wyraz, tylko oczy błyskały czujnie. – To właśnie on namówił mnie do kupna niby oryginalnej „Wenus z Witebska”. Co więcej, przez piętnaście lat udawał przyjaźń, będąc moją prawą ręką w interesach. W rzeczywistości jest agentem polskiej policji. (Pomruk niechęci).

Na Daniela skierowano dodatkowy snop światła. Malarz rzucił okiem na wyjście ze studia, a potem, jakby rozumiejąc, że ucieczka nic nie da, spojrzał twardo na Rosnana, z wyzwaniem.

(Szmer zdezorientowania. Okrzyki zaskoczenia. Kilka gwizdów.)

Prowadzącemu program Nielsowi van den Bergowi również udzieliła się nerwowa atmosfera. Podszedł z mikrofonem do Rosnana.

– Przed programem zdradził mi pan sekret, że wierząc w autentyczność obrazu, postanowił pan sprzedać go na internetowej aukcji dla wybranych kolekcjonerów sztuki.

– Ile zapłacono za „Wenus”? – ktoś krzyknął z sali.

Tego nie było w oficjalnym scenariuszu. Głos został osobno kupiony przez Bratta Henryka.

- Dziś o dwudziestej pierwszej zero zero - odpowiedział Rosnan - licytacja została zamknięta i na moje konto wpłynęło sto jeden milionów dolarów. (Podniesione głosy.) Kilkanaście minut temu - uniósł do góry telefon komórkowy - dostałem potwierdzenie, że nabywca „Wenus” przelał całą sumę na moje konto firmowe. (Rwetes.) Ale chcę wszystkich zapewnić, że 101 dalmatyńczyków wróci do Anity i Roberta Radcliffe’ów. (Nieliczne oklaski). Nie chcę tych pieniędzy i nigdy ich nie tknę. Daje wam na to moje słowo. (Rzęsiste oklaski).

DANIEL, NA KTÓREGO przez chwilę przestano zwracać uwagę, wstał z fotela i zaczął iść w stronę wyjścia ze studia. W połowie drogi został złapany reflektorem w świetlny potrzask i ponownie zamarł bez ruchu.

KAMERZYSTA NUMER DWA spojrział na stojącego obok asystenta, mężczyznę w średnim wieku.

- Dalmatyńczyków? O czym on mówił?

- Nie znasz filmu Disneya „101 dalmatyńczyków”? - zdziwił się asystent, a widząc puste spojrzenie kamerzysty, dodał: - Cruella de Mon też ci nic nie mówi? - Westchnął ciężko, teatralnie. - Jędrza ukradła sto jeden szczeniaków, by zrobić sobie z nich futro. Klasyka. Coś ty oglądał w dzieciństwie? „Tekszańską masakrę”? - Ale kamerzysta nadal nie łapał przenośni, której użył Rosnan. - Chodzi o to - wytłumaczył asystent - że Polak odda całą kasę temu, kto wygrał licytację i przelał na jego konto sto jeden milionów baksów. Sto jeden dalmatyńczyków.

- Tak myślałem - kamerzysta kiwnął do siebie głową.

„Dwójka, widok malowidła - rozległo się w słuchawkach. - Trójka, przebitka na lidera”.

Kamerzysta numer dwa skierował obiektyw na kopię „Wenus z Witebska”, trójka zaś skupiła się na postaci Nielsa van den Berga. Ten, nie zważając na widownię, słuchał czegoś z uwagą w mikrosluchawce zaczeponiej na uchu. Wreszcie odezwał się głosem drżącym z emocji:

– Właśnie doniesiono z reżyserki, że asystent pana Rosnana wykrył, że do jego apartamentu w Waldorf Astoria przy Herengracht dokonano włamania.

Okrzyk oburzenia wśród widzów nie musiał już być reżyserowany.

– Na miejsce dojeżdża już nasz reporter. – Prowadzący próbował uciszyć widownię, ale zgodnie z reżyserską rozpiską był to dla ludzi sygnał, że mają głośniejsze mówić. – Za chwilę prześlemy państwu bezpośrednią relację z miejsca zdarzenia! Zostańcie z nami. Niedługo po reklamie wrócimy do studia.

ELIZA SPOGLĄDAŁA na obłoki kłębiące się za luką samolotu. Mieli jeszcze czterdzieści minut do lądowania na warszawskim lotnisku Chopina. Siedzący obok niej mężczyzna już kilka minut po starcie wyciągnął krzyżówkę i zagłębił się w jej rozwiązywaniu. Zerknęła na leżący na jej kolanach laptop. Na ekranie, w zatrzymanej stopklatce, widziała wystraszoną twarz ojca.

Program Eliza ściągnęła z chmury amsterdamskiej telewizji zaraz po tym, jak osiągnęli pułap przelotowy. Na dolnym pasku informacyjnym można było przeczytać w kilku językach, że program zostaje przedłużony o piętnaście minut ze względu na sensacyjne okoliczności sprawy. Tak przynajmniej chcieli widzowie, którzy zablokowali pytaniami telefoniczną centralę telewizji i telewizyjne serwery łączności internetowej.

Po bloku reklamowym, za kilka minut, program miał być wznowiony.

DANIEL STAŁ bez ruchu pośrodku studia. Gdzie tylko się obrócił, oślepił go reflektor. W głowie miał mętlik. Był pewien jednego: Przegrał. Rosnan wiedział o wszystkim. Podniósł dłoń, by osłonić oczy przed rażącym światłem. Zobaczył Bratta Henryka, który wskazywał agentom ochrony jego osobę. Jak Bratt mógł być w studio i jednocześnie odkryć, że do pokoju Rosnana dokonano włamania?

Odpowiedź była jedna: wszystko zostało wcześniej ukartowane! Czy Eliza brała w tym udział?

Wszystkie plany spaliły na panewce. Był w pułapce, z której nie ma już ucieczki. I z której ucieczki nigdy nie było. Jeśli Rosnan od dawna wiedział, kim jest, to każde jego posunięcie mogło być kontrolowane. Chryste, jakież z niego naiwniak. Był niczego nieświadomym pionkiem i nie miał najmniejszego pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra. No i kto jest ścigającym, a kto ściganym.

Dostrzegł, że agenci ochrony zostali zatrzymani przez reżysera i cofnięci za drzwi. Może więc miał jeszcze szansę? Nim jednak zdecydował się ruszyć w przeciwną stronę, naiwnie wierząc, że tam nikt go nie zatrzyma, prowadzący program chwycił go za rękę.

– Czy jest pan policyjnym agentem? Co należało do pańskich zadań? Dlaczego przez tyle lat ukrywał pan swoją prawdziwą tożsamość?

Daniel odsunął dziennikarza na bok i chciał odejść.

– Nie spojrzysz chociaż w twarz temu, którego tak podle oszukałeś? – usłyszał za plecami rozżalony głos Rosnana. Mówił po angielsku, żeby widzowie go rozumieli. To wszystko było wyreżyserowane.

Daniel odwrócił się. Szmer na widowni przycichł i zapadła absolutna cisza. Wtedy rozległ się sygnał nadchodzącego SMS-a. Wszyscy w studiu spojrzeli na siebie, jakby szukali winnego. Przecież komórki musiały być wyłączone.

To był telefon Rosnana. Marszand z przepaszającym uśmiechem wyjął go z kieszeni i spojrział na ekran, żeby odczytać wiadomość. Znowu krzyknął jakoś tak boleśnie gardłowo i złapał się za serce. Komórka wypadła mu z dłoni.

Było w tym coś sztucznie dramatycznego, ale w nagranej atmosferze ekscytujących wydarzeń prócz Daniela nikt tego nie zauważył.

Kiedy Rosnan się zachwiał, gospodarz programu doskoczył do niego, po drodze podnosząc z ziemi komórkę. Jedną ręką podtrzymał

marszanda, jednocześnie zerkając na ekran telefonu. Operatorowi udało się uchwycić na jego twarzy totalne zaskoczenie.

- To niemożliwe - wydusił z siebie niepewnym głosem. Potem podniósł oczy na widownię i powiedział do mikrofonu z autentycznym niedowierzaniem. - Nieprawdopodobne. Z konta pana Rosnana zniknęło sto jeden milionów dolarów.

Na widowni rozległy się głosy niedowierzania. Ktoś zaczął wołać o karetkę pogotowia. (Głos dodatkowo kupiony przez Bratta Henryka). Wyglądało na to, że Rosnan nie wytrzymał emocji i dostał zawału serca.

ELIZA NIE MIAŁA wątpliwości, że Rosnan precyzyjnie zrealizował swój cel. Patrząc na sytuację z boku, można byłoby uznać, że jest rzeczywiście niewinny i stał się obiektem policyjnej nagonki. Oto kolekcjoner wielkich fałszerzy XX wieku zaczyna być inwigilowany przez policję i przypisuje mu się udział w kierowaniu nielegalnym rynkiem handlu skradzionymi dziełami sztuki i zawiadywanie kanałem przerzutowym skradzionych na Wschodzie dzieł, które następnie sprzedawano na Zachodzie.

Prawdopodobnie tylko Eliza i Mona wiedziały, że Rosnan sam tworzył przeciw sobie dowody, które miały sugerować, że brał udział w największych kradzieżach. Ile jeszcze podobnych „prawdziwych setek” zostało sfabrykowanych? W ich świetle (udowadniając, że to fałszywki) można było zyskać pewność, że Rosnan za walkę o prawdę w sztuce i swoje ideały jest przesładowany przez mafię powiązaną z policją i nieuczciwymi handlarzami sztuką.

Wszystko w tak wykreowanym obrazie miało swój sens i służyło osiągnięciu określonego celu. No i ta psychologiczno-romantyczna otoczka sprawy. Ludzie uwielbiają Robin Hoodów, chociaż niewielu z nich zdaje sobie sprawę, że tacy ludzie w ogóle nie istnieją. A jeśli nawet jacyś się pojawiają, to natychmiast są eliminowani przez złych szeryfów z Nottingham. Ci zaś łatwo potrafią rozgrzeszać się z codziennych

draństw, mówiąc przed snem: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”.

Rosnan potrafił czekać i wykorzystać każdą okazję, by ta pracowała na jego korzyść. Program w amsterdamskim studiu częściowo odsłonił kulisy działania policji przeciw Bogu ducha winnemu marszandowi. Bo przecież, jak zapewniał Rosnan, jedynym celem jego życia była walka o uznanie wielkich fałszerzy za artystów równych mistrzom, których podrabiali. A to, że po analizie takiego rozumowania okazywało się, że nie ma ono nic wspólnego z logiką, nie miało znaczenia. Odpowiednio sterując emocjami i potęgując napięcie, Rosnan wmówił Czymilionom widzów, że padł ofiarą policyjnego szwindlu, który na lata miał go zaprowadzić za kraty.

Wreszcie w studiu odpalono prawdziwą bombę o sile rażenia atomówki: Była to informacja o nieznanym sprawcy, który zakradł się do pokoju Rosnana w Waldorf Astorii, złamał zabezpieczenia jego konta bankowego i przejął całą sumę – sto jeden milionów dolarów.

Nim zdruzgotany marszand został zabrany na noszach ze studia do karetki, poprosił o mikrofon i słabnącym głosem przysiągł, że zwróci anonimowemu nabywcy „Wenus z Witebska” wszystko co do grosza. To ludziom również się spodobało. Gdyby w tym momencie ogłoszono wybory prezydenckie, z pewnością widzowie oglądający show oddaliby głos na tego wspaniałego i ze wszech miar kryształowo uczciwego człowieka.

Eliza musiała przyznać, że końcówka programu została wyreżyserowana po mistrzowsku.

– Musimy się już z państwem pożegnać – gorączkował się Niels van den Berg. – Na koniec chcielibyśmy jednak pokazać twarz złodzieja, którego udało się sfilmować kamerą ukrytą w pokoju pana Rosnana.

Elizę przeszył lodowaty dreszcz. Sekundę później na ekranie telewizora ukazała się jej podobizna.

– Wszystko wskazuje na to – grzmiał zza kadru prowadzący – że Andrzej Daniel, policyjny agent, który przez lata inwigilował pana

Rosnana, wraz ze swoją córką zaplanował i dokonał rabunku, który z pewnością już niedługo otrzyma miano „skoku stulecia”.

Jednym z ostatnich ujęć była przebitka na ulicę przed głównym wejściem do gmachu telewizji, gdzie policjanci prowadzili skutego kajdankami Daniela w stronę jednego z radiowozów.

Eliza gwałtownie złożyła laptop. Zacisnęła mocno powieki. A więc Mona ją oszukała? Jak mogła być tak głupia, że dała się nabrać na zamordowanego kochanka? Cholera, cholera, cholera.

Czy jej personalia zostały już przekazane na lotnisko?

– Szanowni państwo – rozległ się głos stewardesy – za pięć minut zaczniemy podchodzić do lądowania. Proszę wyprostować fotele i zapiąć pasy bezpieczeństwa. W Warszawie panuje temperatura...

Siedzący obok mężczyzna jeszcze szybciej zaczął zapełniać kratki krzyżówki.

Włącz myślenie, Eliza skarciła się myślach. Powiedziano, że została sfilmowana z kamery ukrytej w pokoju, czyli poza komputerem. Mona mogła o niej nie wiedzieć.

„Mogła” nie oznacza, że nie wiedziała.

To się wszystko kupy nie trzyma, krzyknęła w myślach. Nie musiała do mnie dzwonić i mówić o zdradzie. Chyba że Rosnanowi nie zależało na złapaniu złodzieja, ale na nagłośnieniu faktu, że został okradziony. Czy Mona rzeczywiście przekierowała pieniądze na nieznaną jej ojcu konto?

Eliza zamknęła oczy i wsparła głowę o oparcie fotela. Musi się wyciszyć i pozbyć narastającego temperamentu ślepego rzeźnika. W jej głowie kotłowało się za dużo wzajemnie splątanych iluzorycznych lęków i emocjonalnych wątków.

Zaczęła miarowo oddychać. Nałożyła na uszy słuchawki, podpięła je do telefonu i włączyła nagranie metronomu. Głęboki wdech nosem i stopniowe uwolnienie powietrza z płuc przez usta.

Jeszcze raz.

I jeszcze.

Uspokoiła myśli, stonowała, a potem usunęła niecierpliwość i wywoływane przez emocje mylące podszepty. Liczyły się tylko fakty, nie zaś przypuszczenia. Konkretnie działania, a nie zamiary zrobienia czegoś. Efekty, a nie założenia... W końcu wszystko stało się jasne, klarowne i czyste od emocji. Mona mówiła prawdę, a jej ojciec... potraktował instrumentalnie własną córkę. Przemknęło jej przez głowę, że dobrze zrobiła, że przed wylotem zostawiła na biurku wymówienie.

– Przepraszam – ktoś dotknął jej ramienia. – Proszę się obudzić. Już wylądowaliśmy.

Otworzyła oczy.

– Już?

– Miała pani mocny sen.

Dopiero teraz się zorientowała, że wewnątrz samolotu jest puste. Przy luku wyjściowym ostatni pasażer opuszczał pokład maszyny.

Wstała z miejsca.

– Pomogę pani – stewardesa sięgnęła po walizkę.

Elizie przyszło do głowy, że jeśli zostanie aresztowana, to nie musi się nigdzie spieszyć. Podeszła do wyjścia i wyjrzała. Przy trapie stał autobus z pasażerami. Nigdzie nie zobaczyła policyjnego munduru. Kiedy wsiadła do autobusu, ktoś z boku rzucił niechętnie: „Znowu ta spóźnialska”.

W hali bagażowej również nikt się nią nie zainteresował. Spokojnie opuściła halę przylotów, podeszła do taksówki na postoju. Kierowca zapakował jej walizkę do kufra.

– Z daleka? – zagadnął, gdy zajął miejsce za kierownicą.

– Z Holandii.

– Słyszała pani, co wydarzyło się w Amsterdamie? – w głosie mężczyzny dała się słyszeć ekscytacja.

Pokręciła głową, a potem:

– Co takiego?

– Sensacja, tego się nikt nie spodziewał. Mówili nawet o tym w telewizji. – Wykręcił na ulicę, wcześniej przepuszczając nadjeżdżający autobus o numerze 148. – Na tegorocznej wystawie kwiatowej pokazano nowy rodzaj tulipana. Nazywa się Blue Imperial. Tylko za jedną cebulkę należy zapłacić – zawiesił głos, żeby podbić emocje – uwaga, aż dziesięć tysięcy euro. Dziesięć tysięcy to jest dopiero kasa, co?

Pół godziny później wysiadła przed domem matki. Nie chciała ryzykować powrotu do wynajmowanej kawalerki w Warszawie.

Kiedy taksówka odjechała, sięgnęła po telefon. Wystukała numer Marca. Zawahała się, czy nacisnąć przycisk połączenia. Aż w końcu zgmiotła przycisk i podniosła komórkę do ucha.

– Tak, słucham – usłyszała głos EmEm.

– Musimy się pilnie spotkać.

– Coś złego?

– To długa historia.

–Może więc skróconą wersję?

Eliza wiedziała, że może Marcowi powiedzieć wszystko. I decydującym argumentem nie było tylko to, że był porządnym facetem. Na zakończenie dodała:

– Niedługo będę poszukiwana w całej Europie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Daniel patrzył obojętnym wzrokiem przed siebie. Siedział na niezbyt wygodnym metalowym krześle przed prostokątnym stołem. Nogi obu mebli były przytwierdzone do podłogi. Po drugiej stronie blatu znajdowało się podobne krzesło. Ściany, pomalowane na lekko przydymiony szary kolor, doskonale współgrały z metalowym srebrem wyposażenia. Tonacja wybarwienia miała wyciszać i skłaniać do refleksji. Do kolorystyki wnętrza pasowała też stalowa powierzchnia lustra weneckiego, które zajmowało niemal całą szerokość prawej ściany.

Czy ktoś go obserwował i przysłuchiwał się jego słowom? Był oskarżony o uczestnictwo w kradzieży stu jeden milionów dolarów. Prokurator wydał nakaz jego zatrzymania na czterdzieści osiem godzin.

Do pokoju wszedł znany już Danielowi z poprzedniego przesłuchania policjant. I tym razem był ubrany w nieco pomięty garnitur. Po minie gliniarza zorientował się, że nie mają na niego żadnego haka. Policjant usiadł za stołem i rozłożył przyniesione akta, które na razie składały się tylko z kilku stron maszynopisu.

- Zaczniemy od początku - powiedział z tym samym ciężkim akcentem, który nieco zniekształcał angielskie słowa.

Po dwudziestu minutach Daniel doszedł do kwestii, jak to zamieszkał w hotelu Raddison. Że z początku był zły, że Rosnan nie zakwaterował go w swoim hotelu, Waldorf Astorii, ale jakość obsługi w Radissonie zmaszała jego żal.

- Czy był panu wiadomy przebieg transakcji, która miała związek z aukcją obrazu w internecie?

Daniel pokręcił głową.

– Przypominam, że powinien pan udzielać słownych odpowiedzi na pytania.

Było to oczywiste, gdyż przesłuchanie było cyfrowo rejestrowane.

– Nie interesowałem się, kto, co i za ile, jeśli o to chodzi.

– Czyli nie znał pan końcowej sumy, która została wylicytowana na kilka minut przed dwudziestą pierwszą w czasie emisji programu w kanale stacji telewizyjnej Nederland 1?

– Nie, nie znałem.

Policjant przełożył jedną kartkę.

– Kiedy ostatnio widział pan swoją córkę, Elizę Daniel?

– W 1996 roku. Dziewiętnaście lat temu.

Wydało mu się, że słyszy zły głos Doroty. „Jeśli nas zostawisz, zrobię wszystko, żeby mała o tobie zapomniała”. Zacisnął wtedy dłonie w pięści, ale w tamtej sekundzie dotarło do niego, że groźba w rzeczywistości jest mu obojętna. Ale musiał jakoś zareagować, a przynajmniej tak nakazywała duma. „Nie odbierzesz mi Eli”. „Przekonamy się?”, padło w odpowiedzi. Ruszył wtedy w stronę drzwi. Kiedy wyszedł na dwór, nawet się nie obejrzał za siebie, choć był pewien, że Eli patrzy na niego z okna sypialni.

– Przez ten czas nie próbowała nawiązać z panem kontaktu? – głos przesłuchującego wyrwał Daniela z zamyślenia.

– Nie.

– Dlaczego? Była pańską córką.

– Użył pan trafnego sformułowania: „była”.

Daniel odniósł wrażenie, że coś poruszyło się za lustrem. Oczywiście nie mógł tego zobaczyć. A jednak był pewien, że ktoś mu się przygląda. Postanowił nie być dłużny i również wbił wzrok w szklaną taflę. Kto pierwszy pęknie?

W sumie przesłuchanie było mu obojętne. Jego myśli zaprzętała Eliza. Kiedy usłyszał o włamaniu do hotelu, był pewien, że to kolejna zagrywka Rosnana. Dopiero co wylicytowana suma za obraz zostaje

ukradziona. Czy wcześniej „Wenus z Witebska” była ubezpieczona? To miałoby sens. Rabunek był doskonałym materiałem na pierwsze strony europejskich tabloidów. Genialna reklama. Daniel po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że wszystko zostało ukartowane i precyzyjnie zrealizowane przez ludzi Rosnana. Kiedy wczorajszego wieczora wyprowadzono go ze studia, na jednym z wiszących na ścianie monitorów zobaczył twarz Elizy. Potem się dowiedział, że została sfilmowana przez ukrytą kamerę, gdy włamała się do hotelowego apartamentu Rosnana. To był dla niego prawdziwy szok.

Przewieziono go radiowozem do komendy. Przed wejściem dopadli ich dziennikarze. Próbował zasłonić twarz skutymi dłońmi. Godzinę później został po raz pierwszy przesłuchany. Z pytań zadawanych przez funkcjonariusza wnioskował, że córka nie została zatrzymana. Pytali, czy wie, gdzie mieszka? Niby skąd mógł o tym wiedzieć, jeśli, trzymając się dotychczasowej wersji, od osiemnastu lat nie interesował się życiem własnego dziecka? Ale nawet bez tego nie miał zielonego pojęcia.

– Nie próbował pan spotkać się z córką? Na przykład w czasie niedawnego pogrzebu pańskiej żony?

Daniel uśmiechnął się w duchu. Współpraca z polską policją była doskonała, skoro Holendrzy już następnego dnia mieli wszystkie informacje o nim i Elizie. Chyba że...

– To nie była pora ani miejsce na rodzinne spotkanie.

– Spotkaliście się więc?

– Jak odsłucha pan nagranie – odchylił się na oparciu – to trafi pan na moją wypowiedź, że nie widziałem się z córką od dziewiętnastu lat.

– Sporo czasu.

– Ja też tak uważam.

Daniel skrzywił się ironicznie. Wiedział, że za moment policjant spyta, czy nie tęsknił. Wówczas on odpowie, że owszem, czasami. Po tych słowach policjant powinien spojrzeć na niego z wyrzutem, jakby sam już zdążył dorobić się przedszkola bachorów i coś takiego nie mieściło mu się w głowie.

Zanim do tego doszło, za plecami Daniela otworzyły się drzwi. W lustrzanej szybie dostrzegł znajome odbicie.

– To niemożliwe – szepnął i odwrócił się gwałtownie, czując, jak serce skacze mu do gardła.

Za nim stał Deresz. A przecież pamiętał, jak dwa lata po zmuszeniu go przez policjanta do współpracy trafił w internecie na informację o ulicznym wypadku. Jedną z ofiar był podinspektor Centralnego Biura Śledczego. Rozpoznał go na fotografii.

Do środka zajrzał jeszcze jakiś cywil. Dał znak przesłuchującemu, że może odejść. Deresz zajął jego miejsce.

– Ty nie żyjesz. – Daniel jeszcze nie wierzył. A potem poczuł gniew. – Co teraz mi powiesz? Jakie kłamstwa?

– Że wreszcie nadszedł czas, żeby dokopać Rosnanowi.

W Daniela wstąpił demon... Przez siedemnaście lat kulił się w sobie, jakby miał dostać cios kijem baseballowym przez kark. Przez siedemnaście lat modlił się w duchu, żeby nie zdradzić się przez sen nieopatrznym słowem. A teraz ten jebany kundel...

Poderwał się z miejsca. Chwycił krzesło, by rzucić się z nim na ścierwojada. Przymocowane do podłogi nawet nie drgnęło. Ogarnął go amok. Zaczął kopać w siedzenie, szarpać, uderzać w oparcie stopą. I wrzeszczał:

– Ty skurwysynu! Zostawiłeś mnie na pastwę losu. A teraz, zjebie, nawijasz takie farmazony?!

Na krzyk Daniela do pokoju wpadło dwóch mundurowych. Jednak Deresz dał znak, żeby się nie wtrącali. Kiedy nadal stali w progu niezdecydowani, krzyknął, żeby spierdalali.

– Myślisz, że kim jestem? – Daniel nie przestawał zapluć się w krzyku. – Szmata, w którą można się wysmarkać i wyrzucić do śmietnika? Dymaj się sam razem ze swoim Rosnanem. Ale ode mnie trzymaj się już z daleka. Nie będę z wami współpracować. Nie będę już na nikogo kapował. Nie będę świadczył przed żadnym sądem, polskim, niemieckim, holenderskim czy amerykańskim. Walę was wszystkich. Ty

i Rosnan jesteście takimi samymi zleżałymi francami, na których sram z dziesiątego piętra z atomowym rozbryzgiem.

Daniel opadł ciężko na krzesło. Chciał krzyknąć, przekląć, jeszcze raz ukarać kopniakiem nieporuszony przedmiot, ale nie miał już siły. Do oczu napłynęły mu łzy. Wykrzyczał z siebie cały strach i przerażenie, które dusił od siedemnastu lat. Teraz zostały mu już tylko łzy bezsilnej wściekłości i żalu, że odebrano mu taki szmat życia.

Po dłuższej chwili milczenia, kiedy słyhać było jedynie chrapliwy oddech Daniela, Deresz zaczął mówić powolnym, obojętnym głosem.

– Możesz wrzeszczeć do upojenia. Może i jestem jebanym psem, który zamknął cię w klatce. Może i wkurwi cię to jeszcze bardziej, ale nie mam z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. To nie ja kazałem ci fałszować obrazy. To nie ja podpisywałem je nazwiskiem Chagalla czy też innych chodliwych na rynku pacykarzy.

– Jasne, sam nasrałem sobie do kieszeni.

– Bingo. Ja tylko wykorzystałem okazję i zmusiłem cię do współpracy. Czy jest mi z tego powodu choć trochę żal? – wzruszył obojętnie ramionami. – Tak samo namiętnie pierdołę ciebie jak ty mnie. Ubiliśmy biznes, z tym tylko, że ja wiedziałem, za jakie muszę pociągnąć sznurki, byś zachowywał się tak, jak tego chciałem. Masz do mnie pretensję? Właściwie o co? Gdyby nie ja, prędzej czy później wylądowałbyś w pudle z poderżniętym gardłem. Dzięki mnie będzie mówiło się o tobie jako o jednym z najlepszych fałszerzy impresjonistów w Europie, a może i na świecie. Dla niektórych już jesteś chodzącą legendą, więc co się do mnie przyjebałeś z pretensjami? Coś za coś. Ty zrobiłeś coś dla nas, a my dla ciebie. Stworzyłem ci odpowiednie warunki, a ty jedynie z nich skorzystałeś. Sądziłeś, że będziesz Jamesem Bondem? Dostałeś rolę, którą dzięki strachowi odegrałeś w sposób, za który należy ci się Oskar. To ja spowodowałem przeciek, dzięki któremu Bratt dowiedział się o twojej podwójnej grze.

– Mógł mnie zabić.

– To byś nie żył. – Deresz wzruszył ramionami. – Ale z wyliczeń strat i zysków wynikało, że ktoś taki jak Rosnan nie zmarnuje podobnej okazji. Stałeś się dla niego swoistym alibi. Może i sobie coś roisz, że rodzina, że córka, że talent i własna kariera. Ale los sprawił, że ktoś napisał dla ciebie inny scenariusz, a ty ochoczo zagrałeś wyznaczoną ci rolę. Tacy jak ty charakteropaci mają gdzieś własne rodziny. Tworzą wokół siebie iluzje, coś sobie zmyślają i nocami roją. Może i wyobrażałeś sobie, że odzyskasz córkę, a ona będzie patrzyła na ciebie jak na bohatera. Takiego wała. Z takimi fantazjami żyje ci się po prostu wygodniej, a wymówki dostają dzięki nim większego sznytu prawdy. Czy jak przez cały ten czas patrzyłeś w lustro, jeszcze do ciebie nie dotarło, że jesteś dziwolągiem, który ma gdzieś innych, gdyż liczy się tylko jego pokręcone „ja”? I co z tego, że siedemnaście lat bałeś się, że zostaniesz zdemaskowany? W końcu nic takiego się nie stało. Mój stary całe życie bał się, że umrze na raka, a przejechał go samochód. Dlatego z takimi samymi rozbryzgami sram na twój strach. Przed laty skręciłeś w zły zaułek, a teraz masz pretensję, że nauczyłem cię, jak posuwa się nożem frajera?

– Mówisz, jakbym nigdy nie był wam do niczego potrzebny.

– Ależ byłeś, już ci to przecież powiedziałem. Byłeś nam potrzebny jako zasłona dymna. Doskonale nadawałeś się do zagrania tej roli. Prawidłowo też wyliczyliśmy, że Rosnan był przekonany, że mając ciebie u swego boku, nie musi obawiać się zdrady z innej strony.

– Ale mimo waszych kalkulacji zrobił was na szaro. To on was teraz koncertowo dyma, a nie wy jego.

Przez kilkanaście sekund w pokoju panowała przytłaczająca cisza.

Daniel zaczął wreszcie miarowo oddychać. Niedawna furia minęła bez śladu. Pozostało zmęczenie, początkowo zmieszane ze zrezygnowaniem. Nie był na tyle zakłamanym, żeby sobie nie uświadomić, że policjant przedstawił mu obiektywną prawdę, z którą nie było sensu polemizować. To samo wykrzyzczała mu w twarz Eliza.

Chciał być sławny, znany i podziwiany. Przez lata tłumił w sobie wspomnienie wydarzenia, które rozegrało się rok po urodzeniu Elizy.

Przechodził wówczas koło kościoła, do którego, kiedy był dzieckiem, zawsze prowadziła go matka. Po lewej stronie od wejścia stał cudowny obraz, który, jak opowiadała mama, spełniał każde życzenie, wystarczyło się tylko gorąco pomodlić. Tamtego dnia wszedł do środka. Zapalił świecę, uklęknął przed obrazem i zaczął żarliwie prosić, żeby został znanym i podziwianym na świecie malarzem.

„Tylko, synku, pamiętaj – usłyszał głos matki sprzed lat – że musisz świętemu coś solennie obiecać lub ofiarować w zamian jakiś dar”.

On więc za sławę oddał własną rodzinę. Nadal pamiętał wypowiedziane słowa: „Zabierz wszystko, co kocham, lecz daj poznać smak zwycięstwa i pozwól zobaczyć podziw w oczach innych”. Teraz rozumiał, że już wtedy słowo „kocham” było mu obojętne.

Dotarło do niego coś jeszcze. Kiedy dostał wszystko, o co prosił, zaprzagnął jeszcze tego, co oddał w ofierze. Tylko że los już nie chciał na to przystać.

– Co dalej? – spytał zrezygnowany.

– Jeszcze z Rosnanem nie skończyliśmy – Deresz wstał od stołu. – W Polsce zgłosi się do ciebie nasz oficer z Europolu. A teraz jesteś wolnym człowiekiem, cokolwiek rozumiesz pod tym słowem.

DRZWI KOMENDY w Amsterdamie otworzyły się i Rosnan wyszedł na dwór. Zmrużył oczy w blasku słońca. Na zewnątrz czekała wataha dziennikarzy i fotoreporterów, którzy ruszyli na niego tłumnie.

– Przyjechał pan na przesłuchanie ze szpitala – krzyknął jeden z dziennikarzy. – Jak się pan czuje?

– Już lepiej, wszystko przez te emocje.

– Czy skierowano przeciw panu oskarżenie?

– Przecież to ja jestem poszkodowany – Rosnan udał oburzenie. – To mnie od lat prześladują policja i przekupni eksperci sztuki. To wobec mojej osoby wysuwa się haniebne oskarżenia, które nie mają z prawdą

nic wspólnego. Czy dlatego że od lat zbieram kopie największych mistrzów fałszerstwa, że propaguję ich sztukę, że twierdzę, że są większymi artystami od tych, których skopiowali, mam być postrzegany jako złodziej?

- Czy to nie jest zbyt pokrętne rozumowanie? - spytała jedna z dziennikarek.

- Gdy patrzy pani na obraz van Dycka, z pewnością doznaje transcendentalnego uniesienia. Kiedy patrzy na doskonałą kopię jednego z jego płócien, również przenika panią dreszcz. Van Dyck był mistrzem. Ten, który podrobił jego obrazy, musiał prześcignąć mistrza, a tego może dokonać jedynie geniusz.

- Krytyka zawodowa nie uznaje za dzieła sztuki prac współczesnych artystów, które tworzone są w stylu artystów dawnych epok.

- W takim razie - zadrwił Rosnan - warto przeczytać, jakimi hymnami pochwalnymi rzeczoznawcy sławili te same dzieła, kiedy jeszcze uznawali je za autentyczne. Postarajcie się wczuć w duszę artysty, który przez całe lata stara się pokazać otaczającym go ludziom swój kunszt, talent, warsztat i głębię interpretacji. Kiedy taki artysta nie ma znanego nazwiska, nikt na jego trud nie zwraca uwagi. Kiedy dla chleba podrobi znany obraz, pracę jego rąk i umysłu nieoczekiwanie otacza powszechny zachwyty.

- Ten podziw pochodzi od nazwiska mistrza, którego podpis widnieje w rogu płótna.

- Bzdura. - Tym razem oburzenie Rosnana było autentyczne. Wskazał na wymalowane na chodniku dziecięcą kredką esy floresy. - Nawet gdybyście podpisali je sygnaturą Caravaggia, pies z kulawą nogą nie zwróci na to uwagi. A zatem to nie magia nazwiska, ale magia zawarta w mistrzostwie zaprezentowanego dzieła. Czyż to nie rozkosz widzieć, jak krytycy, którzy jeszcze niedawno byli ślepi na twój artyzm, teraz ślinią się na widok twojej pracy? Historia sztuki zna wiele podobnych przypadków, gdy rzekomi koryfeusze sztuki zostali skompromitowani, a rzesze dyrektorów muzeów i cenionych

rzeczoznawców wystawiono na pośmiewisko. Z tym właśnie walczę i o tym mówi moja wystawa – sztuka powinna być oddzielona od ekspertów, którzy na niczym się nie znają. Za to właśnie od lat prowadzona jest na mnie nagonka. W mojej fundacji „Cenne. Bezcenne” od lat działał agent policji. Od początku wiedziałem, kim jest. A jednak tolerowałem jego obecność, gdyż chciałem tym udowodnić, że nie jestem wielbłądem, że nie mam nic do zatajenia, że jestem uczciwym człowiekiem. Los dał mi satysfakcję, gdy okazało się, że to właśnie policyjny kret, który miał przecież strzec prawa, wraz ze swoją córką ukradł sto jeden milionów dolarów. Czy już mi wierzycie? Czy udało mi się wszystkich przekonać – Rosnan spojrział wprost w obiektywy wycelowanych weń kamer – że jestem przeciętnym i takim jak wy uczciwym człowiekiem?

– Co z milionami dolarów?

– Mam nadzieję, że policja je odzyska. Wtedy cała suma natychmiast zostanie zwrócona. Do tego czasu moja kolekcja pozostanie w depozycie jako czasowy zastaw. Jak zatem widzicie, ja również jestem ofiarą złodziei.

To mówiąc, Rosnan pokazał dwie fotografie, Daniela i jego córki Elizy.

Rozdział dwudziesty piąty

Życie w cypryjskim miasteczku Larnaka płynęło monotennie w rytm dobijających do brzegu jachtów lub oddalających się od przystani i niknących za horyzontem Morza Śródziemnego różnokolorowych żagli.

Przed południem nie było dużego ruchu na biegnącej nad brzegiem morza wąskiej asfaltowej ulicy. Szum kilku samochodów, warkot brzęczącego skutera ze źle wyregulowanym gaźnikiem i jednostajny plusk fali uderzających o betonowe umocnienia brzegu – to były wszystkie odgłosy świata zewnętrznego, które wpadały przez otwarte okna willi.

Gerard Rosnan siedział przy biurku z nieruchomym wyrazem twarzy. Zamyślony, trzymał w dłoni książkę i patrzył na rozłożystą koronę palmy, której szerokimi liśćmi wiatr łagodnie kołysał i nagiął do okna.

Zerknął na zegarek, minęła jedenasta. Zabawne, uśmiechnął się do siebie, dotychczas był pewien, że kiedy wreszcie osiadzie na Cyprze, czas nieco zwolni, a on będzie się delectował płynącymi niespiesznie minutami. Nic z tego, wskazówki jeszcze bardziej przyspieszyły, a on niemal zagubił się w szybko obracającym się kołowrocie dni. Mimo to starał się rozkoszować każdą chwilą, która pozwalała na kilkuminutowy relaks.

Dwa tygodnie temu jego telewizyjne show wywołało burzę. Został uznany za ofiarę, policja aresztowała Andrzeja Daniela i rozesłała listy gończe za jego córką.

Eliza uruchomiła oprogramowanie wcześniej przygotowane przez Monę – program hakerski, który ulega autodestrukcji po wykonaniu zadania. Sto jeden milionów zostało podzielone na transze po

dwadzieścia milionów dwieście tysięcy i przerzucone do duńskiego Jyske Bank A/S, irlandzkiego Allied Irish Banks PLC i portugalskiego Banco Comercial Português Banco. Dalej, we wcześniej przygotowanym automacie sortującym, pieniądze zaczęły być dzielone na mniejsze sumy i transferowane do innych banków na obu półkulach w pakietach po pięć milionów trzysta tysięcy. Z tamtejszych kont ponownie były dzielone na drobniejsze sumy i rozsypywane po dziesiątkach, a potem setkach kont. W efekcie ślad po nich został zgubiony już przy trzeciej strefie rozdrobnienia.

Za kilkanaście dni rzekomo ukradzione pieniądze, tym razem pokonując odwrotną trasę, zaczną się scalać i ostateczna suma wpłynie na tajne konta dziesięciu wskazanych przez Rosnana banków w różnych zakątkach świata. W tych instytucjach finansowych dziesięć milionów dolarów na koncie uznawane jest za mało przyciągający uwagę kapitał średnio obrotowego ciułacza.

Zerknął na trzymane w dłoni zdjęcie pierwszej strony książki „Fałszerze aniołów” i prychnął drwiąco. „Matnia zatrzasnęła się po cichu, krata opadła bezszelestnie, a zamek zaskoczył bezgłośnie. Kiedy się zorientowałem, było za późno. Cholerna przewrotność losu, ale tak właśnie jest: zostałem strażnikiem samego siebie. Pilnuję własnej lojalności. Sparaliżowany lękiem, przez lata nie wypowiedziałem słowa skargi...”. Taki genialny malarz, a idiota. Rosnan pilnował Daniela i od razu wiedział, kiedy ten nawiązał kontakt z córką. Nigdy nie wypuścił z dłoni nitki od pacynek, którymi cały czas kierował.

Tak więc policja nadal będzie ściagała Elizę, dziewczyna stanie z ojcem przed sądem, a on będzie mógł spokojnie korzystać z całej forsy i nikt nie będzie zadawał mu niepotrzebnych pytań. Afgańczycy również dostaną swoje, a on... przejmie biznes Mietielina i wejdzie w kręgi ludzi zawiadujących czarnym rynkiem. Już nie mógł się doczekać tego nowego ekscytującego życia.

Policja od czasu przesłuchania w amsterdamskiej komendzie trzymała się od niego z daleka. Prasa zrobiła wokół Rosnana

wystarczająco dużo szumu. Wszyscy dostali niezbite dowody jego uczciwości. Gdyby teraz do drzwi zapukał oficer śledczy, dziennikarze z pewnością uznaliby, że zaczęła się na niego kolejna nagonka, i rzucili się gliniarzom do gardeł. A ponieważ ostatnim razem policja dostała od prasy bolesne lanie, stąd w najbliższym czasie nie odważy się nawet spojrzeć w jego stronę. Czego chcieć więcej? Za kilkanaście dni wywiąże się z zobowiązania, które przyjął na siebie w Lokrum.

Sto jeden milionów było tylko wabikiem dla tłumu. Już wkrótce na jego konto wpłynie jeszcze czterysta osiemdziesiąt milionów dolarów, co da w sumie pięćset osiemdziesiąt jeden milionów. To właśnie o tę górę szmalu toczyła się cała gra. Dziesięć procent z tej kwoty, pięćdziesiąt jeden milionów, będzie należeć do niego.

I pomyśleć, że jeszcze pół roku wcześniej snuł plany przejęcia interesu Mietielina i liczył na dwa, trzy miliony dolców rocznego zysku. Ale na jego drodze stanął Musad. Wtedy przeczuwał, a dziś już wiedział, że nie mógłby konkurować z Afgańczykami, którzy po kolei pacyfikowali wszystkie działające na światowym rynku grupy i cały interes czarnego rynku handlu sztuką scalali w jednym ręku. Powiedzenie im „nie” było nie tylko nierozsądne, ale wręcz głupie.

Wstał z miejsca i wyszedł z saloniku. Przeszedł przez długie korytarze i zapukał do drzwi sypialni. Nie usłyszał odpowiedzi. Nacisnął klamkę.

Zajrzał do pokoju, gdzie ze skłębionej pościeli wystawała tylko stopa.

– Kochanie, wstawaj. Śniadanie niedługo na stole.

– Nie chce mi się.

– Nie marudź. Czekał na dole. No już!

ROSNAN WYJĄŁ z tostera ostatnie grzanki. Co jak co, ale tutejszy chleb był nie do jedzenia. Wyłożył suchary na talerze, na którym były już jajka sadzone i osobno wysmażony bekon.

Usłyszał kroki na schodach. Woda zagotowała się w czajniku. Odczekał chwilę, bo wrzątkiem nie należy zalewać kawy. Najpierw wziął

talerze i ruszył do saloniku. Postawił je na stole. Nieoczekiwanie z tyłu dobiegł go głos.

- Trudno było pana znaleźć, panie... Tatou. A może lepiej wrócimy do poprzedniego nazwiska, Rosnan?

Odwrócił się. Ze zdumieniem spojrzął na siedzącą w fotelu Janę Novák. Baba z Europolu o ładnym uśmiechu.

- Jak pani się tu...

- Szuka pan broni? - Jana dostrzegła wzrok Rosnana, którym odruchowo obrzucił jedną z szuflad. Pokazała trzymany w dłoni pistolet. - Znalazłam go w komodzie.

Nim odsunął krzesło i usiadł, zobaczył stojące przed domem policyjne radiowozy.

Spokojnie, jest nietykalny. Nic na niego nie mają. Spojrzął na Novák.

- O co chodzi?

- O sto jeden milionów dolarów, które pan dostał za fałszywego Chagalla.

- No, wie pani - zmusił się do oburzenia. Jednocześnie w głowie zaczął przeglądać wydarzenia ostatnich tygodni. Nie, nic nowego na niego nie mają. - Chyba nie muszę powtarzać, że to wy chcieliście mnie zrobić, ale wykiwał was policjant...

- Ta bajeczka może jest dobra dla tłumu, panie Rosnan. Wiemy, że to pan zastawił pułapkę na Andrzeja Daniela i jego córkę. I że te pieniądze za kilka dni trafią z powrotem na pana konto. Co prawda inne, ale to drobiazg. Myślę, że kiedy prasa pozna szczegóły, obrobi panu tyłek, aż miło. Dziennikarze nie lubią, jak robi się z nich idiotów.

Patrzył nieruchomo na policjantkę i wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu, aż go mięśnie twarzy zaczynały boleć.

Skąd oni to wiedzą... Eliza i Daniel. Oczywiście. Opowiedzieli o tym, jak zostali wmanewrowani. Ale policja nie ma dowodów, że to on maczał w tym palce... Przecież mógł to zrobić ktoś inny, bez jego wiedzy. Tylko kto... myśl...

Mona!

Ona nawiązała kontakt z Elizą, wkradła się w jej łaski i wysłała córkę Daniela do hotelu. Nie ma dowodów, że się z nią kontaktował. Co więcej, jak ją sprawdzą, znajdą doskonały motyw zemsty – porzucił ją i jej matkę. Nawet Marzec i jego obsesja na punkcie Moniki się przyda. Jeśli zaś Mona zacznie mówić, że on ją w to wciągnął, nikt w to nie uwierzy. To skazana przez sąd hakerka. Podejrzany element.

Patrzył na Novák, ale przed oczyma miał twarz Mony.

– Myślę, że polepszy pan swoją sytuację, kiedy poda nazwiska współników.

– Nie mam żadnych. I niczego mi nie udowodnicie.

Policjantka skinęła głową, po czym wstała.

– Gerardzie Rosnan, jest pan aresztowany pod zarzutem handlu fałszywymi dziełami sztuki...

Policjanci, którzy weszli do salonu, założyli mu kajdanki. Wyprowadzany Rosnan spojrział na schody na piętro, gdzie z szeroko otwartymi w zdumieniu oczami stała dziewczyna, którą poznał tydzień temu na molo. Była niezła w te klocki, ale pewnie już się nie zobaczą.

Wsiadł na tylne siedzenie radiowozu, Novák usiadła przy kierowcy. Kiedy ruszyli, eskortowani przez dwa inne radiowozy, policjantka obróciła się ku niemu i podała białą kopertę.

Wziął skutymi dłońmi i otworzył. W środku było zdjęcie. To samo, które Mona pokazała mu po tym, gdy powiedziała, że zakochała się w Nomadzie.

– Córka przesyła pozdrowienia – powiedziała policjantka.

W tym momencie do Rosnana dotarło, że pięćset osiemdziesiąt jeden milionów zniknęło z jego konta. Czy Mona zdawała sobie sprawę, że tym samym wydała na niego wyrok śmierci?

Patrzył na zdjęcie i myślał tylko o jednym.

Mogło mu się udać.

Przewidział wszystko.

Prawie.

Rozdział dwudziesty szósty

Nadkomisarz Mariusz Marzec zatrzymał samochód przy kościelnym murze otaczającym od strony wioski parafialny ogródek. Samej plebanii nie oddzielał od reszty żaden płot, a jedynie obsypany śniegiem sad, który schodził łagodnie po zboczu aż do skutej lodem rzeki. EmEm zapatrzył się w śnieżną dal i chwilę siedział w milczeniu.

Kilka minut temu dostał telefon z informacją, że polskie śledztwo w sprawie śmierci Janickiego, jak i szwedzkie w przypadku Wileckiego, najprawdopodobniej zostaną umorzone z powodu niewykrycia sprawców. Mógł się tego spodziewać.

Wysiadł z samochodu i podniósł kołnierz kurtki, chroniąc się przed zimnymi podmuchami wiatru.

PRZEZ OSZRONIONE okno można było zobaczyć nieruchomy czarno-biały sad, w którym osiadłe na drzewach białe czapy śniegu przecinały ciemne kreski grubszych i cieńszych gałęzi, obsiadłe otumanionymi mrozem wronami. Ksiądz Dariusz Niećko patrzył, jak jedną ze ścieżek wydeptanych między odgarniętym na bok śniegiem idzie młoda kobieta okręcona w dużą wełnianą chustę. Otaczała ją grupka małych dzieci, zasłuchanych w opowiadaną przez nią historię. Wracali z wyprawy nad miejscową rzeczkę.

W dużych metropoliach dzieci mają zimowisko w mieście, a ksiądz Dariusz zorganizował pociechom swoich parafian zimowisko na wsi. Może i brzmiało komicznie, ale kiedy na cały dzień od rodzinnego garnka ubywa jednej gęby do wyżywienia, to już nie było tak śmieszne, jakby na początku mogło się wydawać.

Usłyszał za sobą skrzypienie drzwi. W odbiciu szyby zobaczył siostrę Eulalię. Jej przyspieszony oddech był niechybną oznaką silnego wzburzenia. Odwrócił się do zakonnicy.

– Wczoraj wieczorem widziałam w telewizji twarz tej dziewczyny, co to u nas gości już od paru tygodni – jakby dla pewności, o kim mówi, wskazała na otoczoną dziećmi Elizę.

– Jaką fotografię?

– Że jest poszukiwana listem gończym.

– Niech siostra nie powtarza po kimś takich głupot. Telewizja to nie wyrocznia i na pewno wody mądrości z tego źródła człek się nie napije.

– A jeśli to kryminalistka?

Ksiądz Dariusz Niećko ciężko westchnął, jakby przyszło mu tłumaczyć tę kwestię nie po raz pierwszy.

– Teraz, siostró Eulalio, to ona jest pod opieką Pana w Jego domu, a naszej parafii. Jakby co, to Bóg już sobie z nią poradzi. A według mnie to dobra dziewczyna. Być może wpadła w złe towarzystwo... Ty się więc, siostró Eulalio, w niebieskie sprawy nie mieszaj i pozwól Panu naszemu zdecydować podle własnej, niebieskiej, nie zaś ludzkiej miary, co dalej z nią zrobić należy. Amen.

MARZEC SZEDŁ w stronę kościoła. Przed wejściem stała Eliza otoczona wiejskimi dziećmi. Śnieg zaskrzypiał pod jego butami. Dziewczyna zauważyła policjanta, gdy ten otworzył furtkę. Spojrzała na niego pytająco, a Marzec kiwnął twierdząco głową.

– Już czas.

Uśmiechnął się, wydmuchując przez usta duży obłok pary.

Rozdział dwudziesty siódmy

Na wieży kościoła w Zielonej Górcie dzwon rozkołysał się radośnie, niosąc się przez zasypane śniegiem miasteczko głębokim basem. Ludzie wychodzili z domów okryci paltami i okręceni szalikami. Choć termometry wskazywały dwa stopnie, to świecące słońce czyniło chłód nieco znośniejszym. Wrony skrzeczały na gałęziach drzew okrytych topniejącym śniegiem. Ptaki wygrzewały się w słońcu, rozpościerały pióra, trzepotały skrzydłami, za nic mając, że strącają na głowy idących dołem śnieżny puch.

Tego dnia w wezwaniu na mszę można było wyczuć coś szczególnego. Zamiast kilku spokojnych uderzeń dzwon na wieży kościelnej rozkołysał się i niósł między domami niecierpliwym spiżowym nawoływaniem, jakby poganiał mieszkańców, by szybciej spieszyli do świątyni.

Kiedy wreszcie o dwunastej w południe zebrali się już wierni, przy wyjściu z zakrystii rozległ się dzwonek, pojawili się ministranci, a za nimi wyszedł ksiądz Niećko w ornacie i ze złożonymi na piersiach rękami. Jego twarz była uduchowiona, a malujący się na niej uśmiech wskazywał, że przepenia go wewnętrzne szczęście.

Kiedy kapłan stanął przed ołtarzem, przysunął sobie mikrofon. Następnie uniósł prawą dłoń, żeby uciszyć ostatnie szepty.

– Mam dla was, drodzy parafianie, radosną nowinę. Nasza świątynia, którą pobudowali pradziadowie w podzięcie za wiedeńską victoryję i ocalenie przed mieczem Turka, świątynia, w której przez wieki dziadowie, ojcowie i my sami znajdowaliśmy ukojenie w rozmowie z Chrystusem; dom Pana naszego, na którego ścianach przodkowie zawiesili pamiątki dawnych przewag oręża polskiego; ów przybytek,

który zaczął popadać w zniszczenie, a którego my sami nie byliśmy w stanie ocalić przed ruiną... – Ojciec Dariusz zawiesił głos i wznosił oczy do nieba. – Nasz kościół, bracia kochani, zostanie odrestaurowany dzięki hojnemu wsparciu tajemniczego sponsora, który przelał na konto parafii sześćdziesiąt tysięcy dolarów. – Przez kościół przebiegł radosny szmer. – Od jutra zaczynamy zabezpieczanie foliami dachu na dalsze zimowe miesiące i czas późniejszych roztopów. A na wiosnę ruszamy z generalnym remontem. Chwalmy Pana naszego, wołając: Hosanna na wysokości! Podziękujmy modlitwą za tak hojny dar, który nie tylko pozwoli odremontować przybytek Pański, ale także uchronić dziedzictwo przodków. Dzięki temu wsparciu my również, niczym w pokoleniowej sztafecie, będziemy w stanie przekazać następcom wiarę w zbawienie, jak też pamięć o mocarnej dłoni polskiego oręża, która starła pod Wiedniem w proch zastępy niewiernych.

Na znak kapłana organista zaczął grać „Te Deum laudamus”. Wszyscy parafianie z wielu kazań księdza Dariusza wiedzieli, że po raz pierwszy na organach kościoła „Ciebie Boga wystawiamy” zagrano w 1685 roku, gdy próg świątyni przekraczali regimentarze, którzy wrócili spod Wiednia. Stało się to po ich dwuletniej służbie u cesarza austriackiego Leopolda I Habsburga, którą to służbę, zgodnie z układami, odbyli w podwiedeńskich kwaterach po zakończeniu bitwy z Turczyńcem. Po raz drugi organy zagrały „Te Deum”, gdy skończyła się II wojna; trzeci, gdy w 1989 roku Polska odzyskała niepodległość. I teraz organista po raz czwarty uderzył w klawisze.

Z im większą mocą muzyka rozchodziła się po kościele, tym ludzie dumniej unosili głowy, dzieci przestawały się wiercić, a niektóre z kobiet ocierały chusteczkami oczy. Czas zdawał się cofać przez wieki.

Głębokie dźwięki organowych basów, dzwony, ksylofony, dzwonki i trąbki piszczałek sprawiły wrażenie, jakby przed świątynią rozległ się tętent kopyt, rzenie koni i szczęk broni mężów zbrojnych.

ELIZA MIAŁA w uszach słuchawki. Jednostajny takt metronomu uspokoił myśli i wyparł z niej emocje. A jednak gdzieś głęboko czuła w sobie niepokój.

Pchnęła główne drzwi kościoła. Przeszła przez sień, zamoczyła palce w święconej wodzie i uczyniła na piersiach znak krzyża świętego. Przeszła przez nawę główną i usiadła w jednej z ławek bliżej ołtarza.

Parę dni temu wraz z Moną anonimowo przełały na konto parafii sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Była to jedna dziesiąta piętnastodniowego oprocentowania stu jeden milionów dolarów, które wróciły na konto Rosnana. Za część tych pieniędzy kupiły akcje wysokiego ryzyka. Opłaciło się i kościół dostanie pieniądze.

Podniosła głowę i spojrzała na wielki naciek na suficie. Już niedługo. Przyszło jej do głowy, że wszystko wydarzyło się tak niedawno. Jakby wczoraj przeczytała od ojca wiadomość, którą ukrył w pudełku Poly Pam. Myślała, że w końcu się spotkają, odnowią więzy. A jednak wszystko potoczyło się inaczej. Może i wolałaby inne zakończenie. Najważniejsze jednak było to, że zyskała spokój i porzuciła złudne nadzieje. Była wolna.

MARIUSZ MARZEC wysiadł z samochodu przed kościołem w Zielonej Górcie. Uśmiechnął się do Jany Novák, która go podwoziła. Pomachała mu ręką i odjechała. Ale nie tą drogą, którą przyjechali. Czyżby dlatego, że przy dojeździe do kościoła zobaczyli czarnego kota? Zdążył się już zorientować, że Jana jest przesądna, ale nie sądził, że do tego stopnia.

Ich spotkanie było niespodziewane – gdy wychodził z komendy, podjechała swoją škodą i zaproponowała podwózkę. Po drodze mogli swobodnie pogadać.

– Rawicz kazał ci przekazać, że dołącza cię do mojej grupy, która zajmuje się Rosnanem.

– Myślałem, że z nim kończymy.

– Jeśli chodzi o fałszywe obrazy, ale Rosnan ma jeszcze wiele za uszami. Wczoraj odkryto zwłoki Mietielina. Został zastrzelony i

zakopany, razem z jednym ze swoich zastępców, Siemionowem, i dwoma ochroniarzami. Drugi zastępca Mietielina, Kazach, Musa Akhmetov, gdzieś zniknął. Tylko Rosnan na tym korzysta.

– Warto go o to spytać.

– Przekonałam naczelnika, żebyś pierwszy go przesłuchał.

Marzec pochuchał w zmarznięte dłonie i podszedł do drzwi świątyni, przed którymi stała nieruchomo Mona.

– Przemarzałaś. Nie wchodzisz? – dotknął ramienia dziewczyny.

Odwróciła się i po raz pierwszy w życiu się do niego przytuliła, kładąc mu głowę na ramieniu.

Objął ją delikatnie. Chwilę potem Mona wzięła go pod ramię. Weszli razem do świątyni.

Marzec był zdezorientowany bliskością Mony. Miał ochotę sięgnąć po M&M, ale tylko wsunął dłoń do kieszeni i zacisnął palce na paczce. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczył Elizę. Dostrzegł też umęczoną twarz Matki Boskiej, która spogląda na martwego syna. Taki wyraz zapamiętał z nocy, gdy wpadł do szpitalnej izby przyjęć. Nikt nie miał czasu dla umierającej, wyniszczonej nałogiem kobiety. Zabrała ją karetka, ale sanitariusze zostawili chorą na kozetce izby przyjęć. Ale traf sprawił, że nieświadomy niczego Marzec szedł tamtym szpitalnym korytarzem. Wracał po rozmowie z lekarzem, który przyjął na oddział chirurgii pchniętego nożem uczestnika ulicznej bójki.

Kiedy rozpoznał Olgę, kiedy zrozumiał, że ta bezzębna stara kobieta jest jego utraconą miłością, nogi niemal wrosły mu w ziemię. Jej wzrok mówił, że umiera. Zaczął krzyczeć, wołać o pomoc i kląć cały świat. Wtedy przysiągł, że dopadnie Rosnana i się na nim zemści.

Wiele lat później zrozumiał, że ścigając Rosnana, tak naprawdę ścigał samego siebie. I to właśnie siebie tak naprawdę chciał ukarać. Za to, że posłuchał nakazu Olgi i nie szukał jej, gdy po raz drugi kazała mu wynosić się ze swojego życia. Że wierzył, iż „kochać to znaczy dawać wolność”. Gdyby nie odpuścił, może Olga w końcu wróciłaby do niego, a

on uchroniłby ją przed narkotykami. No i Mona... była jego przysposobioną córką, innej nie miał. I pozwolił, by żyła z dala od niego z matką, która potrafiła myśleć tylko o kolejnej działce.

Wszyscy jesteście winni.

Usiadł obok Mony i Elizy w ławce i spojrzął na obraz Matki Bożej. Nie modlił się od lat, nie pamiętał, jak to szło... Ojczy nasz... wybaczone grzesznemu... ześlij spokój... pozwól wynagrodzić wyrządzone krzywdy...

W KOŚCIELE PANOWAŁA przejmująca cisza. Mona myślała o mamie. Może gdzieś w niebie znalazła wreszcie ukojenie? Ksiądz Dariusz był tego pewien.

Spojrzała w bok na Marca. Z zamkniętymi oczami klęczał, wspierając głowę na złożonych do modlitwy dłoniach. Jeszcze nie do końca otrząsnęła się z szoku, kiedy dowiedziała się wczoraj, że człowiek, którego znała jako dziecko, i myślała, że to jakiś niedorobiony adorator matki, tak naprawdę był jej mężem i który ją, Monę, adoptował. Nie wiedziała, co czuje, było tego zbyt wiele naraz. Co myśleć o policjancie, który je opuścił... bo kochał?

Zupełnie jak ojciec Elizy. Co jest z tymi facetami?

Spojrzała na Elizę. Miała zamknięte oczy.

„Czy jej ufam?“, spytała samą siebie. Zaufanie było w jej życiu towarem raczej deficytowym. Mona przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Elizą. W tamtych dniach jedyną prawdziwą informacją, którą jej podała, była ta o wyroku w zawieszeniu i AFK za złamanie zabezpieczeń bankowych.

A jedyną prawdziwą informacją, jaką podał jej ojciec, było to, że ojciec Elizy jest policyjnym agentem.

Oszukujący i oszukiwani. Miała wrażenie, że zbyt często należała do tej drugiej kategorii. Skrzywdzonych, na których nie zwraca się uwagi, których emocje się depcze tak mimochodem i obojętnie, jakby były mrówkami pod butem.

Od dziecka marzyła o tym, by mieć ojca. Szukała go długo, bezskutecznie, nie znając ani imienia, ani nazwiska, tylko mając to wspomnienie z dzieciństwa – przystojny, doskonale ubrany mężczyzna wysiadający z luksusowego auta. W końcu to on znalazł ją. A ten prawdziwy, który je kochał i był za nie gotów oddać wszystkie skarby świata, pozostał w cieniu.

Przycisnęła dłonią miejsce, gdzie biło serce. Może w ten sposób będzie mniej boleć. Chciała, by Rosnan ją bliżej poznał. By pokochał. Przecież powiedział jej podczas jednej z kolacji: „Mietielin chciał syna. Ja wolę mieć córkę”. Słowa wydawały się szczerze.

Chcesz dostać Oscara, zaszczytało w niej drugie „ja”, to skończ ubecką akademię kłamstwa i zdrady.

Zabił Nomada.

Zdradził ją.

Ktoś zakaszlał i wyrwał ją z przeszłości. Znów była w kościele. Podniosła oczy na obraz nad ołtarzem głównym. Zamrugnęła powiekami, by przegonić łzy, które nie pozwalały jej widzieć wyraźnie.

Przez lata nienawidziła Boga za to, co jej zrobił. Teraz, gdy spoglądała na zastygłą w cierpieniu twarz Chrystusa, pomyślała, że każdy człowiek jest Bogiem, który, jeśli ma w sobie tylko trochę siły i wiary, winien odkupić swoim cierpieniem grzechy innych. Zrozumiała, że jej bunt przeciw Niemu był jedynie krzykiem rozpaczony po stracie matki, za której śmierć winiła nie tego, kogo trzeba.

Dopiero niedawno w pełni też dotarła do niej prawda, od której uciekała od czasu śmierci mamy. Prawdy, która burzyła jej fałszywe wyobrażenia i ośmieszała złudne nadzieje. Wreszcie dopuściła do siebie pamięć tamtej nocy i po raz pierwszy pozwoliła w pełni wybrzmieć słowom leżącej wówczas obok na łóżku matki.

– On nas nigdy nie kochał. Przy ostatnim spotkaniu powiedział, że nawet gdybym zdychała pod jego drzwiami, to nigdy by mi ich nie otworzył... – Po przedłużającej się ciszy do Mony ponownie doleciał głos mamy: – Nie musisz mnie oszukiwać. Ja wiem, skąd bierzesz pieniądze

na opłaty i zakupy. Czasami myślę, że to moja zemsta, głupia i niezrozumiała. Tak samo gardzę i odrzucam jak sama jestem pogardzana i odrzucana. Zaplątałam się w tym wszystkim i wiem, że już od tego nie ucieknę. Moją nadzieją jest tylko nadchodzący dzień, gdy o wszystkim zapomnę... Śpisz?

Gdyby odpowiedziała, byłyby to równoznaczne z przyznaniem się, że zna prawdę. Jej miarowy spokojny oddech miał utwierdzić mamę i nią samą, że nic nie słyszała. Sekundę potem do Mony doleciało z boku ciche westchnienie ulgi.

- To dobrze. Tak jest lepiej. Mało ostatnio sypiasz. Jutro opowiem ci o Mariuszu. - Przez dłuższą chwilę panowała cisza. - On jeden naprawdę mnie kochał. Ale ja miałam w sercu tylko twojego ojca. Musisz go odszukać. Mariusza. On też jest twoim ojcem i chociaż nie do końca prawdziwym, da ci miłość, jakiej od pierwszego nigdy nie dostaniesz.

W tamtej chwili była przekonana, że matce znowu coś się pomieszało i kiedy pamięć o tamtej nocy wracała, wówczas wmawiała sobie, że nocne słowa były jedynie bredzeniem narkomanki, którą już niedługo ponownie dopadnie głód. Ryk silnika sportowego samochodu, tajemniczy zapach wody kolońskiej i modne kroje ojcowych garniturów były wtedy dla niej o wiele więcej warte niż raniące słowa prawdy.

Aż przyszedł dzień, gdy dowiedziała się o śmierci Nomada i spotkała się z Marcem. Wcześniej nie dałaby wiary jego słowom i pokazywanym dokumentom, przekonana, że kłamie. Potem dowiedziała się o Marcu i mamie. Kiedy w jego oczach zalśniły łzy, zrozumiała, co mama miała na myśli, mówiąc: „On też jest twoim ojcem i chociaż nie do końca prawdziwym, da ci miłość, jakiej od pierwszego nigdy nie dostaniesz”.

Wtedy wreszcie pojęła prawdę, od której tak długo odwracała wzrok. Już się nie broniła, nie odrzucała, ale z wdzięcznością przyjęła do połamanego serca.

W trakcie tamtej rozmowy wróciły migawki z przeszłości, które zakopała w niepamięci. Najczęstsze było smutne spojrzenie Marca. Co

drugi dzień, gdy wracała ze szkoły, czekał na nią na ulicy przed wejściem do budynku. Nie chciała go widzieć, wstydziła się ich biedy, a nawet bała, że te spotkania zburzą kruche i fałszywe wyobrażenia o jej ojcu. Ale to dzięki Marcowi miały co jeść, a gdy nie starczyło na opłaty, mówiła, że potrzebuje na czynsz czy światło. Nie prosiła, ale wręcz żądała lekceważącym głosem. W duchu była wtedy wściekła, że musi odpowiadać na pytania o zdrowie matki, tłumaczyć, dlaczego zaniedbała wykupywanie jej lekarstw, czy kłamać, że matka coraz częściej myśli o odwyku.

Jak bardzo wówczas gardziła gliniarzem o smutnych oczach. W trakcie każdego z tamtych spotkań czerpała cichą satysfakcję z jego przerażenia, gdy zmyślała, co matka próbowała sobie zrobić w narkotykowym zamroczeniu.

Dlaczego tak bardzo chciała zranić jedyną osobę, która wbrew wszystkiemu chciała im pomagać i... je kochała?

Na kilka godzin przed śmiercią mama oprzytomniała z dręczących ją zwidów, chwyciła ją za rękę, przyciągnęła ku sobie i szepnęła:

– To twój prawdziwy ojciec. Nigdy o tym nie zapomnij.

Przez wszystkie następne lata Mona była pewna, że mówiła o Rosnaniu. Ale teraz... teraz już wiedziała, że matka miała na myśli Marca.

Mona ponownie podniosła wzrok na Ukrzyżowanego. Patrzyły na nią spokojne, wyrozumiałe i pełne przebaczenia oczy.

Nigdy nie potrafiła się modlić. Ale kiedyś mama powiedziała, że aby rozmawiać z Bogiem, nie potrzeba wyuczonych słów. Zaczęła więc prosto, tak od siebie.

„Cześć. Na pewno wiesz, że wołają na mnie Mona”.

Część druga

Pozostało 42 dni

Patolog z trzaskiem naciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki. Poprawił wpięty przy kołnierzyku kitla mikrofon bezprzewodowo połączony z cyfrowym urządzeniem nagrywającym. Zawiązał z tyłu tasiemki gumowanego fartucha i osłonił twarz pleksiglasową przyłbicą. Na koniec ściągnął prześcieradło, które okrywało zwłoki.

- Trzydziestego stycznia dwa tysiące piętnastego roku. Godzina szesnasta trzydzieści. Prowadzący badanie, lekarz medycyny Rafał Kostecki. Asystent, Tomasz Witek. Denat - Gerard Rosnan, biały, lat czterdzieści siedem. Płeć - mężczyzna.

Kostecki zaczął robić zdjęcia, gdy tylko pomocnik odsłonił ciało z plastikowego worka. Następnie przód i tył ubrania na nieżyjącym został dokładnie przejrany pod kątem ujawnienia ewentualnych śladów biologicznych, w tym włosów i różnego rodzaju obcych włókien.

Lekarz powoli rozbierał nieboszczyka. Każda zdejmowana część garderoby była oglądana, opisywana i fotografowana przynajmniej z trzech różnych ujęć. Następnie zebrano próbki biologiczne z włosów, wydaliny i materii spod paznokci i pozostałych otworów ciała. Wreszcie asystent zdjął nieboszczykowi odciski z palców, położył ciało na bok i wsunął termometr do odbytu. Na tym kończyła się jego rola.

Spojrzał pytająco na lekarza. Ten dał znak głową, że jest już wolny. Patolog przystąpił do dalszego badania zwłok.

- Stan ogólny zwłok dobry. Długość ciała - zerknął na miarękę wtopioną w blat stołu sekcyjnego - sto osiemdziesiąt centymetrów. Odżywienie dobre. Wygląd skóry naturalny. Temperatura ciała mierzona w odbycie - wyjął termometr - dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza. Plamy pośmiertne w okolicach ud, łydek i stóp. Stężenie

pośmiertne nie występuje. Brak objawów gnicia – obrócił nieżyjącego na plecy. – Przypuszczalna data zejścia, dwudziesty ósmy stycznia w godzinach popołudniowych. Szacowany czas, który upłynął od zejścia do rozpoczęcia sekcji, to około czterdzieści dwie godziny. – Lekarz westchnął, a potem szybko wyliczył z pamięci wymagane formułki prawne, które powinny się znaleźć w raporcie audio. – Zapoznano się z postanowieniem o przeprowadzeniu sekcji zwłok. Zapoznano się z protokołem oględzin zwłok na miejscu ich znalezienia oraz protokołem miejsca znalezienia zwłok. Brak jakiegokolwiek dokumentacji medycznej denata co do przeszłego stanu zdrowia. Badanie zewnętrzne rozpoczęto o godzinie – lekarz spojrział na wiszący na ścianie na wprost zegar – jedenastej trzydzieści dwa. Temperatura otoczenia dwanaście stopni Celsjusza. Oświetlenie sztuczne, jarzeniowe, pełne.

Chwilę potem lekarz zabrał się do szczegółowych oględzin głowy, szyi, kończyn górnych, klatki piersiowej, brzucha, zewnętrznych narządów płciowych, a na koniec kończyn dolnych.

– Na skórze, z pominięciem nadgarstków, stóp oraz szyi, które zostaną omówione osobno, nie stwierdzono zadrapań, zasinień ani jakichkolwiek innych oznak zastosowanej wobec denata przemocy. Plamy opadowe są skoncentrowane poniżej łędźwi, co sugeruje, że krew ściekła do dolnych partii ciała, a śmierć nastąpiła w pozycji półleżącej. Zgadza się to z oględzinami miejsca znalezienia zwłok. Na szyi denata stwierdza się zasinienia oraz podbiegnięcia krwawe, których rozkład sugeruje, że ofiara była podduszana za życia. Zewnętrzne badanie nie wykazuje, by doszło do zgniecenia tchawicy, przemieszczenia bądź uszkodzenia kości gnykowej. – Podniósł przyłbicę i sięgnął po okulary z wtopionymi w szkła obiektywami mikroskopowymi. – Na stronie lewej szyi zasinienia są wyraźniejsze, co sugeruje, że nacisk w tym miejscu był mocniejszy. Stąd można przypuszczać, że sprawca mógł być osobą leworęczną. – Zdjął okulary i opuścił przyłbicę. – Na obu nadgarstkach wyraźne rany na wylot zrobione gwoździem o długości dwudziestu centymetrów i przekroju trzech milimetrów. Brzegi skóry rozszarpane,

wokół rany występują podbiegnięcia krwawe. Ofiara została ukrzyżowana. Przebicie dłoni nastąpiło na wysokości nadgarstka między kością łódeczkowatą, księżycowatą i kością główkowatą. Przystępuję do badania narządów wewnętrznych. Otworzenie denata godzina... – sięgnął po skalpel i spojrzął na zegar – dwunasta zero pięć. Celem jest potwierdzenie opinii lekarza, który na miejscu dokonania przestępstwa stwierdził zgon w wyniku zatrzymania akcji serca...

Lekarza czekała dłuższa praca, która wymagała większego wysiłku. Najpierw, poczynając od ramion denata, zamierzał naciąć ciało na kształt litery „Y”, której stopka nogi miała sięgać aż do podbrzusza. Potem miał zamiar przepiłować żebra i usunąć mostek, żeby dotrzeć w ten sposób do serca.

KIEDY DOCHODZIŁA piętnasta, Jana zaparkowała starą škodę na podjeździe przed wejściem do prosektorium akademii medycznej. Samochód pochodził z połowy lat siedemdziesiątych i był prezentem od ukochanego stryja.

Wysiadła, zamknęła drzwi na automat, który dorobił mechanik złota rączka. Poszła w stronę wejścia. Przeszła przez wahadłowe drzwi. Pokazała strażnikowi legitymację służbową. Była tu na tyle często, że wiedział, kim jest, więc nawet nie spojrzął na podsunięty dokument.

– Doktor czeka w ósemce.

Zeszła do podziemi szerokimi schodami. Zobaczyła elektryka, który stał na drabinie opartej o ścianę i wymieniał świetlówkę. Miała za mało miejsca, żeby przesunąć się bokiem, a nie zamierzała przechodzić pod drabiną. Nie dzisiejszego dnia, kiedy rano spotkała dwie zakonnice.

– Pani przechodzi. Bez obaw – rzucił z góry monter. – Nic nie spadnie.

– Poczekam.

– Aa, chodzi pani... – zaśmiał się, zszedł na dół, odsunął drabinę i zrobił przejście. – Pani jak moja żonka. Przy łóżku stawia tylko prawy kapeć, żeby zacząć dzień od właściwej nogi.

– Wie, co robi.

Przeszła obok. Uśmiechnęła się w duchu – jak widać, nie ona jedna wpadła na pomysł, jak uniknąć rozpoczęcia dnia od pechowego kroku.

Korytarz doprowadził ją pod wskazaną salę. Zatrzymała się przy drzwiach automatycznych i wystukała na klawiaturze klucz dostępowy. Na wąskim ekranie wyświetliło się jej nazwisko: „Novák”. Wcisnęła „OK”. Czerwone światło nad wejściem zmieniło się na zielone. Moment później automat odsunął drzwi na bok.

Weszła do środka. Stół sekcyjny był już zasłonięty srebrzystą pokrywą, do której automat tłoczył zimne powietrze. Przeszła w róg sali, gdzie przy szerokim stole ze szklanym białym, matowym blatem siedział Rafał Kostecki.

– Witam panią komisarz – wyciągnął dłoń na powitanie. Gdy zorientował się, że ma na niej jeszcze lateksową rękawiczkę, zerwał ją i wrzucił do kosza. Przywitali się mocnym uściskiem.

Usiadła na niebieskim plastikowym krześle. Patolog wpisał numer sprawy na klawiaturze sensorycznej znajdującej się w rogu blatu biurka, który zmienił się w ekran. Pojawiło się pierwsze zdjęcie, twarz nieboszczyka *en face*.

– Gerard Rosnan, lat czterdzieści siedem i tak dalej. – Kostecki najwyraźniej zamierzał przeskoczyć przez formalności identyfikacyjne.

Jana kiwnęła głową.

– Z raportu oględzin zwłok na miejscu dokonania przestępstwa wynika – lekarz spojrział na zapisany formularz – że badanie denata rozpoczęto o godzinie dwudziestej piętnaście w świetle sztucznym, w domu... i tak dalej.

Ponowne kiwnięcie głowy Jany. Chwilę potem lekarz przeszedł do szczegółowego omawiania niedawno zakończonej sekcji. W pewnym momencie przerwał i podniósł oczy na policjantkę.

– Nie będę o tym wspominał w oficjalnym raporcie, bo to nie miejsce na tego typu rozważania, ale myślę, że na podstawie sposobu, w jaki zginął denat, profiler mógłby powiedzieć coś więcej o sprawcy.

- Interesujące. - Jana uniosła pytająco brew.

- Utknąłem na psychopatologii nerwic i zmieniłem kierunek specjalizacji.

- Wobec zasobów mojej wiedzy jest pan geniuszem, proszę więc kontynuować.

Ta uwaga najwyraźniej mile polechtała ego lekarza.

- Morderca mógł być osobą leworęczną, przynajmniej taka jest charakterystyka śladów. Ale nie to jest istotne. Samo ukrzyżowanie sugeruje, że możecie mieć do czynienia z maniakiem religijnym. Była pani na miejscu, gdy zdejmowano go z... - zajrzał do protokołu oględzin, jakby chciał sobie przypomnieć miejsce znalezienia zwłok - drzwi od gabinetu?

- Owszem - kiwnęła głową.

Gdy z ekipą weszła na pierwsze piętro i policjanci doszli do gabinetu, wszyscy zamilkli. Zatrzymali się w progu, zaszokowani tym, co zobaczyli. Na szerokich drzwiach leżał mężczyzna z ramionami uniesionymi nad głowę. Krwi było niewiele. Gdyby nie zakrwawione nadgarstki z wystającymi gwoździami, w pierwszej chwili można byłoby pomyśleć, że nie wiecie czemu mężczyzna przysnął na drzwiach wyjętych z framugi i opartych pod kątem o blat biurka.

Kiedy Jana zobaczyła trupa, poczuła lekki ucisk w żołądku, jak wówczas, gdy po raz pierwszy w życiu miała przekroczyć próg sali sekcyjnej. To nie był strach, ale... ciekawość.

- Gdyby zabójcą był katolicki świr - kontynuował patolog - to wbilby gwoździe w środek dłoni ofiary, jak to jest tradycyjnie przedstawiane w kościelnej ikonografii.

- Oczytany pomylenieć? - w głosie Jany nie było nuty drwiny.

- Myślę, że to ktoś, kto poważnie traktuje wszystkie sprawy związane ze śmiercią Chrystusa i nieobce jest mu naukowe podejście do tematu. W końcu nikt już nie wątpi, że Mesjasz był postacią historyczną, dlatego więc nie poznać prawdziwych okoliczności jego śmierci?

Kwestią wiary pozostaje zaś przekonanie o odkupieniu przez cierpienie na krzyżu i cała wynikająca stąd reszta...

– Na miejscu zdarzenia lekarz mówił coś o zawale – stwierdziła Jana.

– To było bezpośrednią przyczyną zgonu, która, jak przypuszczam, zaskoczyła mordercę.

– Co pan przez to rozumie?

– Denat nie został ukrzyżowany po to, żeby spełnić ofiarę w jakimś tajemnym misterium. Może i facet, który to zrobił, był walnięty, ale w sposobie zadania śmierci miał swój cel. Od przybicia do „krzyża” się nie umiera. Napastnik chciał się czegoś dowiedzieć, ale torturowany na skutek bólu, jak też silnych emocji doznał ataku serca.

MONA Z POZORNYM spokojem słuchała o śmierci ojca. Starła się, jak mogła, by nie było widać po niej szoku. Ale mimo to nie mogła opanować drgającego nerwowo kącika ust i była nieświadoma faktu, że zacisnęła dłoń w pięści tak mocno, że aż zbieleły jej nadgarstki.

– Jak zginął? – głos Mony wydawał się bez wyrazu.

– Czy ma to jakieś znaczenie? – Jana próbowała ominąć tę kwestię.

– Chcę wiedzieć.

– Może masz rację. *Každý by si měl zamést před vlastním prahem.* – A widząc pytające spojrzenie Mony, przetłumaczyła: – Każdy powinien pozamiatać przed własnym progiem.

– Więc? – Mona spojrzała wyczekująco.

– Został ukrzyżowany na drzwiach do swojego gabinetu.

Na twarzy Mony pojawił się bolesny skurcz. Przez dłuższą chwilę milczała, jakby starała się opanować.

– Kiedy?

– Dwudziestego drugiego stycznia przyleciał z Larnaki do Polski po tym, jak został aresztowany. Najwidoczniej był na to przygotowany, gdyż jego adwokat złożył zażalenie na areszt do prokuratury. Tam trafiło też zaświadczenie, że Rosnan jest poważnie chory na serce. Podobno w jego

sprawie interweniował nawet polski minister kultury, który bredził coś o niszczeniu wizerunku polskiej kultury za granicą. Wątek podchwyciło paru, jak przypuszczam, dobrze opłaconych dziennikarzy. W efekcie po czterdziestu ośmiu godzinach, około dziewiątej rano, Rosnan wyszedł z aresztu śledczego. Pięć dni później sąd zezwolił mu wrócić do Polski pod warunkiem, że tu otrzyma zakaz opuszczania granic naszego kraju do czasu wyjaśnienia wszystkich wątpliwości prawnych. Tak właśnie się stało.

Tak więc Rosnan wsiadł w prywatny samolot i przyleciał do Polski. Od razu pojechał do swojej posiadłości pod Warszawą. Nie było w niej nikogo, gdyż dzień wcześniej służba dostała parę dni wolnego. Najwidoczniej twój ojciec znał mordercę, gdyż wpuścił go do środka domu chronionego systemem elektronicznym.

– Skąd wiadomo, że nie było ich kilku?

– Wskazują na to zebrane ślady.

– Czy miał świadomość...? – nie dokończyła.

– Lekarz twierdzi, że w momencie śmierci był nieprzytomny.

– Zrobię wam kawę. – Eliza podniosła się z miejsca i sztywnym krokiem poszła do kuchni.

MONA ZAPATRZYŁA się gdzieś w dal, ale niczego nie widziała. Nie była pewna, dlaczego chciała znać szczegóły. Gdyby ją ktoś spytał, bez wahania odpowiedziałaby: „Dla mamy”. Nieprawda. Robiła to dla siebie, choć nie do końca orientowała się w motywach. Czy miała to być rekompensata za ból, który sprawił jej ten człowiek? A może rodzaj oczyszczenia przez obecnie doznawane cierpienie? Albo że jest mściwą suką...

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w swoje emocje. Pod falą szoku odkryła żal.

Mimo wszystko był jej ojcem. Oszukańczym skurwysynem, ale zawsze... Czowała wzbierający w niej zimny gniew na mordercę.

– Kto go znalazł?

– Stewardesa, która od pewnego czasu spotykała się z twoim ojcem – odparła Jana.

– Kto mógł to zrobić? – Mona spojrzała na policjantkę.

– Mamy kilku podejrzanych.

– To musiał być ktoś bliski – odpowiedziała sama na swoje pytanie. – Wszedł do środka bez problemów. Jakies nagranie?

– Zostało wymazane z systemu. – Jana zawahała się na moment, ale zdecydowała się kontynuować. – Chciałabym, jeśli oczywiście czujesz się na siłach, żebyś pojechała ze mną do domu ojca.

– Byłam tam zaledwie trzy razy, i to nie dłużej niż dwie, trzy godziny. Nie sądzę, żebym była w czymkolwiek pomocna.

– Twój ojciec pracował na komputerze? – A widząc nierozumiejące spojrzenie Mony, dodała. – Chodzi mi, czy się nim posługiwał na co dzień?

– Jak każdy.

– Kiedy przyjechałam z ekipą dochodzeniową na miejsce, przesłam przez cały dom i coś mi tam nie pasowało.

– Wystrój? – Mona spojrzała na nią pytająco.

– Nie. Dopiero rozmawiając o nagraniach z kamer, uświadomiłam sobie, że nigdzie w domu nie trafiłam na komputer.

– W tym chyba będę pomocna.

– Znasz miejsce, gdzie mógł go schować?

– Widziałam, jak składa laptopa i wsuwa do biblioteki. To nie był schowek, a raczej takie miejsce przechowywania. Nie trafiliście na niego?

Policjantka pokręciła głową.

– Dobrze byłoby go znaleźć. Jego zawartość może nam pomóc – podsumowała Jana.

Eliza weszła do pokoju z filiżankami dymiącej kawy.

– Przepraszam, że to tak długo trwało, ale niezbyt idzie mi dziś parzenie... – potarła zaczerwioną palmkę na dłoni.

- Pojedziesz z nami? – spytała Mona Elizę.
- Gdzie?
- Do jego domu. Proszę. Przy tobie będę czuła się pewniej.
- Jeśli tego chcesz.
- Bardzo. – Mona uśmiechnęła się smutno.
- A co z kawą? – zapytała Eliza.
- Wypijemy innym razem. – Jana pociągnęła obie w stronę drzwi.

Zeszyły na dół. Przed domem Elizy stała zaparkowana biała škoda. Wsiadły do środka i wkrótce jechały w stronę drogi wyjazdowej z Warszawy.

ELIZA PRZEZ całą drogę milczała. Ona również nie miała żadnych informacji, co dzieje się z ojcem.

Wczoraj zadzwoniła do Marca. Z jego informacji wynikało, że drugiego dnia świąt Daniel został wypuszczony na wolność. Pojechał wówczas do hotelu, gdzie godzinę później uregulował rachunek. Następnie wsiadł do czekającego na ulicy samochodu.

- Boy hotelowy, który pomagał znieść bagaże – mówił nadkomisarz – zapamiętał część numeru rejestracyjnego. Może coś na tej podstawie uda się ustalić.

Patrzyła na Monę i widziała, że przyjaciółka z trudem trzyma nerwy na wodzy. Że ledwo powstrzymuje się od płaczu. Współczuła jej.

- Jesteśmy na miejscu – powiedziała Jana.

Wjechały przez otwieraną przez automat bramę do rozległego parku. Wkrótce weszły schodami na pierwsze piętro. Skręciły w korytarz, który doprowadził je do pozbawionego drzwi gabinetu. Te stały oparte o biurko. Wciąż były widoczne na nich smugi krwawych nacieków.

Mona przeszła przez gabinet i zatrzymała się przed biblioteką. Sięgnęła na jedną z wypełnionych encyklopediami półek po cienki grzbiet książki. Ta okazała się laptopem, który udawał jeden z woluminów.

Jana kiwnęła z uznaniem głową.

– Sprytna kryjówka.

– Z tego, co się zorientowałam, ojciec był pedantem. Nie znosił rozgardiaszu na biurku. No i lubił otaczać się książkami, a przynajmniej ich atrapami.

Mona puknęła paznokciami w kilka książek, które okazały się pudełkiem z nalepionymi na wierzchu skórzanymi grzbietami. Położyła laptop na blacie i podłączyła go do sieci.

Eliza przysiadła na jednym z foteli i zapatrzyła się w okno. Oczywiście mogła stanąć za plecami Mony i wpatrywać się, jak z szybkością mistrzyni maszynopisania wklepuje w klawiaturę komputera nieznanne jej kody i hasła wywołań. Ale po co?

Kilka minut później rozległ się rozczarowany głos Mony:

– Ktoś już zaglądał do laptopa. Cała poczta jest wykasowana. Spróbuję sięgnąć do głębszych warstw zapisów na dysku.

Dwadzieścia minut później w jej głosie odezwała się nuta złości.

– Poświęcono sporo czasu na wyczyszczenie kompa. Zamazywanie dysku jest długotrwałe i pewność, że skasowało się dane, ma się dopiero wtedy, gdy nadpisało się ten sam rejestr cztery lub pięć razy pod rząd. Nie licząc, rzecz jasna, fizycznego unicestwienia w zgniatarce i następnie spalenia resztek w piecu.

– Najwidoczniej morderca zrobił to wówczas, gdy zabił... – powiedziała do siebie Jana.

– Domyśla się pani, kto to taki? – spytała Eliza.

– Facet od gumy – odpowiedziała Mona zamiast policjantki.

– Kto? – Eliza i Jana spytały niemal równocześnie.

Mona zimno uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Ojciec mówił, że jest jego prawą ręką. To Amerykanin. Stale żuł gumę i przyklepał ją na brzegu każdej popielniczki, która była w domu. Obrzydliwość – wskazała na szary kawałek na popielnicze.

– Henry – powiedziała głośno Jana.

– Właśnie. – Mona kiwnęła potwierdzająco głową – Bratt Henry...
Przynajmniej tak nazywał go ojciec.

– Niebezpieczny facet – mruknęła policjantka.

Nie dodała, że Marzec od razu wytypował go jako ewentualnego mordercę jeszcze dwóch osób. Obecnie w kraju trwały jego poszukiwania, a prokuratura wyda niedługo postanowienie o rozesłaniu za Brattem międzynarodowego listu gończego.

– Ojciec nie sprawiał wrażenia, żeby się go bał – dopowiedziała Mona.

– Ty wyglądasz na osobę, którą śmierć ojca niewiele obeszła – stwierdziła Eliza – chociaż wiem, że to nieprawda.

– Dajcie mi trochę czasu. – Mona wróciła do pracy przy komputerze.
– Spróbuję kilku trików, a może uda się coś znaleźć.

Eliza i Jana przeszły do niewielkiego saloniku z widokiem na wyłączoną fontannę. Eliza spojrzała w oczy policjantce.

– Co mogło się stać z moim ojcem?

– Skąd pewność, że coś mu się stało?

– Tak mi się skojarzyło po tym, co spotkało Rosnana.

– Myślę, że niedługo wszystko się wyjaśni.

Eliza jakiś czas spacerowała zamyślona po pokoju. Przy jednym z nawrotów podniosła wzrok i jej uwagę przykuł wiszący na wprost obraz. Była to reprodukcja Goi „Maja naga”. Malowidło przedstawiało rozneglizowaną kobietę, która leżała na wyłożonej poduszkami zielonej otomanie i spoglądała na patrzącego z lekko kpiącym uśmiechem. Mogłoby się nawet wydawać, że chce powiedzieć: „Nie wstydź się, gdyż i ja się nie wstydzę”.

– Czy pani wie – powiedziała Eliza – że przez ten obraz Francisco Goya został postawiony przed sądem Kongregacji Świętego Oficjum za obrazę moralności publicznej? Jak się okazało po latach, był ostatnim hiszpańskim oskarżonym tego krwawego urzędu.

– Dostyc już tej „pani”. Mówmy sobie na ty – uśmiechnęła się Jana. – A jeśli chodzi o Inkwizycję... Hm... – W pierwszej chwili była zdezorientowana. – Brzmi ciekawie.

– Goya został oskarżony o szerzenie pornografii. Wytoczono mu sprawę zgodnie z przepisem jedenastym hiszpańskiej procedury cenzorskiej. Na szczęście dla malarza, jak też Mai, w 1815 roku hiszpańska inkwizycja już niewiele mogła. Wiele lat wcześniej z pewnością malarz powędrowałby na wieloletnie galery, a na policzku modelki wypalono by znamię nierządnic. To ostatni głośny proces Inkwizycji tamtych czasów. Pięć lat później w Hiszpanii zlikwidowano urząd Kongregacji Świętego Oficjum.

Mona stanęła w otwartych drzwiach saloniku.

– Drań bardzo się starał, żeby nic nie zostało po archiwizowanych mejlach. Ale jestem lepsza.

Wróciły do gabinetu i stanęły za plecami Mony. Na ekranie widniał kaleki zapis, który udało się wydobyć z komputerowych zakamarków.

Key wp łe 479 mw, łane do obior pz cjalch kuów. ... bęą mi 4 ziny, czyć tar do... .. nat na gim tynene...

– Key wp łe...? – przeczytała Eliza. – Jesteś pewna, że to ma sens? – Zerknęła na Monę, a potem przeniosła wzrok na Janę. – O co tu chodzi?

– Według mnie to zbitki liter – stwierdziła policjantka – które zostały na dysku po wyczyszczeniu tekstów. Innymi słowy, elektroniczny kurz po sprzątanui.

– Nie sędę. – Mona zaprzeczyła ruchem głowy. – To pełne zdania, z których w trakcie czyszczenia wywabiono część liter. Ale da się to naprawić. Trochę to skomplikowane, ale nie ja będę się nad tym głowić. Załatwią to programy logiczne, które pracują na zasadzie statystycznego doboru. Rekonstruują słowa, jednocześnie weryfikując je pod względem zgodności z układem semantyczno-gramatycznym, logicznym i statystycznym.

Mona wyłączyła komputer, a Jana wzięła go pod pachę.

– Niech sprawdzą go też nasi technicy.

– Myślisz, że są ode mnie lepsi? – mruknęła Mona.

– Nie wiem, ale co osiem głów, to nie jedna.

Wróciły do samochodu. Mona dostrzegła gazetę na przednim siedzeniu.

– Nie czytałam w prasie o morderstwie ojca.

– Na razie udaje się nam trzymać dziennikarzy od tego z daleka – wyjaśniła Jana. – Myślę, że lepiej będzie dla nas, jeśli pozostanie to w tajemnicy jak najdłużej.

Ruszyły samochodem do Warszawy.

– Co cię gniecie? – spytała Mona wciąż milczącej Elizy.

– Zastanawiam się, czy nie powinnam się już bać.

– Nie sądzę, żeby nam coś groziło – odparła Mona.

Jana spojrzała w lusterko wsteczne. Napotkała wzrok Mony.

– Wczoraj rozmawiałam z profilerem, który zajmuje się psychologią behawioralną – powiedziała. – On uważa, że ten, kto dokonał tej zbrodni daje nią do zrozumienia, żeby inni związani z tą sprawą nie czuli się bezpieczni i trzymali twarze zamknięte na tysiąc kłódek. Powinnyście więc na siebie uważać. Profiler twierdzi, że gość ma skłonności psychopatyczne. Na miejscu zbrodni nie znaleźliśmy żadnych śladów, zatem to zawodowiec.

– Myślisz, że to ten... Bratt? – spytała Eliza.

PANI IRENA nie liczyła już na to, że uda jej się wynająć dwupokojowe mieszkanie w Alejach Jerozolimskich. Niegdyś było to atrakcyjne miejsce na krańcach Warszawy. Z czasem odległości się skurczyły i dawny wygwizdów stał się niemal centrum miasta, które niepomierne rozrosło się w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Jedynym plusem mieszkania w tej okolicy była bliskość centrum handlowego Blue City. Jednak fatalny rozkład pomieszczeń ze ślepą kuchnią, od lat nieremontowany blok i liche wyposażenie odstręczały każdego z potencjalnych najemców. A jednak zdarzył się cud i na ogłoszenie odpowiedział mężczyzna, któremu nie przeszkadzały te mankamenty.

Najważniejszy z nich, bliskość hałaśliwej ulicy, również nie miała dla niego żadnego znaczenia, gdyż był głuchoniemy.

Kiedy się spotkali, klient wręczył kartkę z tekstem: „Nazywam się Norbert Niewiadomski”.

Traf chciał, że pani Irena miała brata, który w dzieciństwie w wyniku powikłań pogrypowych stracił słuch i mowę. Kiedy zatem przeczytała kartkę, odpowiedziała w języku migowym. Mężczyzna ucieszył się, że będą mogli ze sobą swobodnie porozmawiać.

„Na jak długo chce pan wynająć mieszkanie?” – spytała.

„Myślę, że najkrócej na rok. Wcześniej obejrzałem blok, wszedłem do klatki schodowej. Nie jest tak źle, jak początkowo sądziłem. Okolica ładna, blisko do sklepu. Na razie mi się podoba”.

Pani Irenie przemknęło przez głowę, że najgorsze mają przed sobą. Te mocno wytarte linoleum w przedpokoju... Tak czy siak musi je wreszcie wymienić.

Wjechali windą na czwarte piętro. Przeszli przez korytarz. Sąsiedzi, drzwi obok, jak zwykle klócili się na całego, ale teraz nie będzie miało to żadnego znaczenia. Weszli do niewielkiego przedpokoju, a stamtąd do saloniku, z którego prowadziły drzwi do ślepej kuchni.

„Dobrze, że miejsce do gotowania nie jest za duże. Ja nie gotuję. Na zaparzenie herbaty w zupełności wystarczy”.

Sypialnia również panu Norbertowi przypadła do gustu.

„Zostanę tu” – zdecydował mężczyzna.

„Miło mi to słyszeć”.

„Czynsz jak w ogłoszeniu?”.

Pani Irena kiwnęła głową.

„Plus dodatkowy za miesiąc z góry, jakby co. No i media, czyli światło i woda pozostają w pańskiej gestii. Razem wychodzi dwa tysiące”.

Mężczyzna sięgnął do portfela i odliczył cztery tysiące banknotami stużłotowymi. Pozostało mu tylko pięćdziesiąt złotych.

Po podpisaniu umowy pani Irena wręczyła najemcy klucze i zgarnęła ze stołu pieniądze. Wychodząc, pomyślała, że Blue City najwidoczniej wybudowali na jej przekleństwo, gdyż poczuła nieodpartą chęć zafundowania sobie nowej bluzki. Tak, to była genialna myśl.

BRATT HENRY stał przy oknie i patrzył na idącą chodnikiem panią Irenę. Potem przeniósł wzrok na trzymaną w dłoni Biblię.

„Któż jest, Boże, jak Ty, który przebaczasz winę, odpuszczasz przestępstwo resztkę swojego dziedzictwa, który nie chowasz na wieki gniewu, lecz masz upodobanie w łasce? Znowu zmiłuje się nad nami, zmyje nasze winy, wrzuci do głębin morskich wszystkie nasze grzechy”.¹⁷ Po raz kolejny otrzymał znak, że prowadzi go Pan, który odpuszcza mu jego uczynki.

Po śmierci Rosnana wołał zniknąć z policyjnego horyzontu. Posłużył się podrobionym dowodem osobistym. Pociągnął nosem i skrzywił się, czując stęchłe powietrze. Kiedy wszedł do łazienki, niemal go zemdliło. Najwyraźniej woda wyparowała z toalety i cały odór z kanalizacji walił na mieszkanie. Otworzył zawór i wodą napełnił spluczkę. Potem spuścił ją. Na koniec pootwierał wszystkie okna.

W sumie, pomijając ten zapachowy mankament, mieszkanko było nawet przytulne, jeśli oczywiście nie brało się pod uwagę hałaśliwej ulicy, kłócących się sąsiadów i nieciekawego rozkładu wnętrza.

Przechodząc przez przedpokój, potknął się o naddarte linoleum. Będzie musiał przybić je gwoździami do podłogi.

Przypomniał sobie wyraz twarzy Rosnana, gdy chwycił go za gardło. Podobnie jak Mietielin, Polak był pewien swej dominacji, stąd nie przyszło mu do głowy, że wynik planowanych wydarzeń może być inny od założonego.

Pierwszym błędem Rosnana było to, że zaufał dziwce, która nie mogła być jego córką. Zgodnie z planem sto jeden milionów rozeszło się po świecie. Jednak zamiast się rozpląnąć w systemie, pieniądze wróciły

do tego samego banku. W efekcie forsa została zablokowana przez policję.

To była pierwsza transza raty. Druga niedługo zacznie przeciskać się przez światowy system bankowy z kilkunastu tysięcy oddziałów bankowych i nie było możliwości zmiany konta docelowego. Za miesiąc, poczynając od drobnych kilkuset tysięcy sum, wszystko zacznie scalać się w czterysta osiemdziesiąt milionów dolarów na znanym policji koncie Rosnana. Razem ze straconą stową całość wyniesie pięćset osiemdziesiąt jeden milionów zielonych.

Nieoczekiwanie Polak stał się w tej układance najslabszym ogniwem. Nie wiadomo, czy, a jeśli tak, to co powiedział Monie o swojej umowie z Musadem. Policja straciła pewność, że Eliza włamała się do pokoju hotelowego Rosnana, jako że eksperci Europolu odkryli, że nagranie może być celowo zmontowane. Tak więc śledztwo w sprawie Elizy Daniel zostało zawieszona, a listy gończe wycofane.

Z pewnością gliniarze nie spuściliby Rosnana ze smyczy, gdyby nie prasa, która okrzyknęła Polaka ofiarą. Tak więc prosty plan nieoczekiwanie skomplikował się przez zdradę Mony i Gerard Rosnan stał się zagrożeniem dla interesów Afgańczyka.

Rosnan jednak uznał, że pieniądze na koncie, do których miał dostęp, są jego polisą ubezpieczeniową i że dzięki posiadaniu szyfrowego klucza do skarbca jest głównym rozdającym – i to był jego drugi błąd. Bratt podjął więc próbę przekonania marszanda, że rozgrywka toczy się na całkiem innych zasadach. Tylko nie wiedział, że problemy z sercem nie były blefem Rosnana.

Tak więc Polak nie żył, a on nie miał haseł do banku, które... znała Mona. Zanim Rosnan pierwszy raz spotkał się z córką, Bratt zebrał o dziewczynie wszystkie informacje. Wiedział, że to twarda sztuka, uparta i złośliwa. Trzeba było do niej podejść od zupełnie innej strony i użyć odmiennych środków perswazji. Kluczem mogła być Eliza Daniel. Co będzie dla córki Rosnana ważniejsze – zemsta na ojcu, forsa czy życie

przyjaciółki? Tak czy inaczej, tym razem nie popełni błędu i nie pozwoli jej, a potem Monie, umrzeć przed zdobyciem kodów.

Dodatkowym dowodem, że w tej grze litość jest towarem deficytowym, będzie zniknięcie Daniela. Nikt nie powinien mieć wątpliwości, co się z nim stało. Prawdopodobnie policja odkryje, kto zabrał go samochodem z hotelu i Mona się o tym dowie. Henry'emu nie zależało, żeby pacykarz wiedział, że stał się już zbędny. Tłumaczenie „dlaczego” jest dobre w gangsterskich filmach, ale nie w normalnym życiu. Po prostu Bratt zatrzymał samochód, którym zabrał Daniela z hotelu, i podciął malarzowi gardło nożem.

MONA PRZEZ dłuższy czas patrzyła na kalendarz w telefonie. Dlaczego włączył się alarm? Wreszcie przypomniała sobie, że miał jej przypomnieć o wejściu na rynek nowej gry na PlayStation. Zamierzchła przeszłość, która dziś zupełnie jej nie interesowała.

Ostatnie osiemnaście godzin spędziła przy deszyfratorze. Jakiś czas temu dopisała do niego parę linijek kodu, żeby lepiej działał.

Zza okna doleciał zapach pizzy. Poczula, jak znów do jej oczu napływają łzy.

Kilka razy chciała powiedzieć Nomadowi o sobie prawdę. Za każdym razem, gdy już otwierała usta, coś jej w tym przeszkadzało: raz była to kelnerka, która przyniosła colę, to znów zadzwonił telefon lub ktoś na nich wpadł na ulicy. Jakby los nie chciał, żeby zdradziła mu swoją tajemnicę.

Mona była pewna, że ojca zabił ten sam człowiek, który odebrał jej Nomada. Nie miała dowodów, a jednak wiedziała, że to Amerykaniec. Jak o nim powiedziała Jana? – „niebezpieczny człowiek”. Mona spotkała go tylko raz, gdy odwiedziła ojca. Widziała wysuwający się zza kołnierzyka kawałek skóry na szyi z wytatuowanym krzyżem. Religijny świr, zdolny do ukrzyżowania grzesznika.

Zabił Nomada. Jej pierwszą miłość, czystą, bez wymagań, żądań i konieczności poświęcenia się. Co wieczór przed snem powtarzała

niczym modlitwę, że dorwie jankeskiego skurwiela i wypruje mu flaki naostrzonym ramieniem krzyża.

Spojrzała na zegarek. Minęła północ. Eliza zapukała do niej na Skypie przed godziną. Powiedziała, że jutro rano pojedzie do mieszkania matki, żeby wyregulować stałą temperaturę grzania domu. Stara instalacja wymagała korekty co dwa miesiące.

– Potem zamknę dom na cztery spusty i niech stoi tak do wiosny.

– Co chcesz z nim zrobić? – zapytała Mona.

– Zgłosiło się już dwóch mieszkających po obu stronach sąsiadów, ale teraz nie mam głowy do sprzedaży.

– Myślę, że policjantka miała rację z tymi ostrzeżeniami.

– Jak wrócę, sprowadzę się do ciebie, ale wcześniej muszę pozalać pilne sprawy.

– Uważaj na siebie.

– Jasne.

Mona wróciła do komputera, który deszyfrował ojcowy tekst. Prawdę mówiąc, na razie nie bardzo miała co robić. Zapatrzyła się w jeden z monitorów, na którym puściła bez głosu jakieś romansidło. On dotykał jej ramion. Ona miała w pół przymknięte oczy i czekała, kiedy ją wreszcie pocałuje.

Dzisiejszej nocy znowu śnił jej się Nomad. Odniosła wrażenie, że słyszy szum puszczanej pod prysznicem wody. Leżała wpatrzona w ciemne drzwi i czekała, kiedy przyjdzie i wreszcie ją przytuli. Ale to był tylko sen.

Wreszcie komputerowy program skończył pracę. Przeczytała wynik. Potem sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Jany.

– Tak?

– Mówi Mona, nie za późno?

– Dawaj.

– Mam zdania, które odłowiłam z kompa ojca. – Podniosła oczy na ekran. – Treść jest następująca: „Kiedy wpłynie pozostałe 480 milionów,

... .. wysłane do odbiorców, przez... kurierów. ... będą mieli 24 godziny, żeby dostarczyć towar do..., ...nawet na drugim kontynencie”.

Pozostało 38 dni

Minęło południe. Na środku kanału, przy ulicy Amsteldijk, nad ujściem do rzeki Amstel, zatrzymały się dwie policyjne łodzie patrolowe. W tym miejscu był to raczej rzadki widok. Zwłaszcza zaś pojawienie się płetwonurków, którzy szykowali się do zejścia pod wodę.

Na chodniku, przy barierce zebrał się tłumek gapiów. W pobliżu patrołowców przepłynął jacht. Stojący przy kole sterowym mężczyzna zwolnił pracę silników, jakby zamierzał zacumować przy kamienistym brzegu i przyglądać się akcji policji. Jednak dostał nakaz przepłynięcia dwieście metrów dalej. Tam nie było sensu już stawać, zatem dodał gazu i niechętnie odpłynął z ciekawego miejsca.

- Po co im płetwonurkowie? - odezwał się starszy mężczyzna z fajką w zębach i wskazał głową policjanta, który szykował się do zejścia pod wodę.

- Może coś znaleźli - odpowiedziała kobieta, która widocznie wyszła z marketu i zamiast wracać do domu z zakupami, przystanęła, żeby popatrzeć.

- Skarb?

- Tu wszystko przeczesane od czterdziestu lat - rzucił z boku niewysoki grubasek z wystraszonym pekińczykiem na rękach.

- Ale pocisk artyleryjski w zeszłym roku znaleźli - upierał się ten z fajką.

- Może lepiej się odsuńmy. - Kobieta z zakupami zrobiła krok do tyłu, ale nikt nie poszedł w jej ślady, więc wróciła na poprzednie miejsce.

Pół godziny później płetwonurkowie wydobyli z wody napuchnięte zwłoki. Tłum, który już miał się rozejść, powiększył się o kilka kobiet.

– Nie skarb, a trup. – Grubasek zmarszczył twarz, przez co zrobił się podobny do swojego pekińczyka.

– Porządnie ubrany.

– Ale kiepsko wygląda.

– Co pani chce, woda niezbyt dobrze wpływa na cerę.

– Nie zazdroszczę policjantom. Ja to bym w życiu takiego nie dotknęła.

Zwłoki ułożono na pokładzie kutra. Na szyi denata policjanci dostrzegli szeroki wywinięty fałd bladej, pozbawionej krwi skóry. Nie trzeba było być ekspertem, żeby się domyślić, że facetowi przed śmiercią poderżnięto gardło. Jeden z funkcjonariuszy naciągnął na dłonie gumowe rękawiczki i zaczął obszukiwać ubranie denata.

BRATT HENRY przysunął sobie nogą krzesło i usiadł. Do pokoju wpadało jedynie przedpołudniowe światło. Firanki i szyby wyraźnie odcinały się szarością od jasnego kwiatowego wzoru, który mróz odcisnął na szybach.

– Sprowadza mnie stary temat – wycedził.

Mateo przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

– Namierzenie tej dziwki nie zajmie już więcej niż dwa tygodnie.

– Poprzednio mówiłeś, że zaraz włożysz rękę w jej majtki.

– Nie ja, Nomad, on mnie również wodził za nos – skłamał. Obliznął końcem języka wyschnięte wargi. Z tymi majtkami to Bratt pojechał po bandzie. Ale wołał się nie sprzeczać. – Poprawiłem oprogramowanie Nomada i teraz jest palce lizać.

– Z jakiego powodu?

– Wczoraj odkryłem, że celowo opóźniał naszą pracę. Znalazłem filtr, który wpisał w oprogramowanie, żeby ten spowalniał przeliczanie algorytmu.

To było kolejne kłamstwo, ale Mateo miał to gdzieś. Kiedy wczoraj wpadło mu ono do głowy, ucieszył się. Mógł obciążyć winą Nomada. Na

szczęście Amerykanin był mało kumaty w komputerowe klocki.

- Chcę wiedzieć, co Nomad wymyślił, a ty podkreciłeś - zaciekawienie Bratta Henryka wydawało się autentyczne.

Chcesz, bracie, zaśmiał się w duchu Mateo, to proszę najuprzejmiej. Niewiele z tego pojdziesz, ale mówisz i masz. Wywołał oprogramowanie, które napisał Nomad i wyświetlił edytor kodu na głównym monitorze. Było tego dobre cztery i pół tysiąca linijek.

Bratt przysunął fotel bliżej biurka.

- Gdzie dokonałeś zmiany?

Mateo przesunął kursor na linijkę oznaczoną liczbą „2739”.

- Tu był dławik, ale już go zdjąłem. W efekcie wydajność skoczyła o dwadzieścia procent.

- Jesteś pewny, że to wszystko, na co jest stać ten program?

- Tak mi się wydaje - odparł Mateo już z mniejszą pewnością.

Bratt przysunął do siebie klawiaturę. Na początku wybranego fragmentu skryptu oraz na jego końcu wstawił bloki, które czasowo wyłączyły go z ogólnej struktury. Tak zawsze robią programiści, którzy nie chcą tracić starego zapisu, gdyż nowy może nie spełnić ich oczekiwań.

Mateo patrzył z niedowierzaniem, jak Bratt Henry podkreca przepustowość filtra.

- Teraz będzie lepiej. - Amerykanin odsunął od siebie klawiaturę. - A tobie radzę zmieścić się w dwóch tygodniach.

Wstał z miejsca i nie żegnając się, wyszedł z mieszkania. Rozległ się trzask zamykanych drzwi wejściowych.

Mateo poczuł zimny dreszcz, który przebiegł mu po plecach. Jasna cholera, nie docenił jankesa. Niech go szlag.

BRATT DOCHODZIŁ do samochodu, kiedy zadzwonił telefon.

- Wyjechała z Warszawy w kierunku Pruszkowa.

Informator się rozłączył. Wskoczył za kierownicę i ruszył z piskiem opon. Jak dotąd, jego ludziom udało się tylko znaleźć miejsce zamieszkania Elizy. Mona, córka Rosnana, nadal wymykała im się z rąk. Co się odwlecze, to nie uciecze – ale owo odwleknięcie mogło odbywać się w ramach ograniczonego czasu. Nie miał go zbyt wiele. Cała forsa scali się w jedną sumę za miesiąc. Do tej chwili musi mieć kody dostępu.

Nikt nie sądził, że Mona może być... „przeźroczysta”. Takiego słowa użył jeden z ludzi, którzy węszyli za nią na mieście. Jesteś przy niej, czujesz ją, ale nie widzisz. W ten sposób się o niej wyraził. To było wkurzające. Bratt był jednak pewien, że pierwsza dziewczyna doprowadzi go do drugiej.

Docisnął pedał gazu, wyprzedzając wlokące się przed nim auto. Zaraz jednak zwolnił, żeby przypadkiem nie zatrzymał go patrol drogówki. Zdąży. Zawsze stawiał się na czas.

Włączył płytę CD. Z głośników popłynęło zakończenie drugiego koncertu z cyklu „Il cimento dell'armonia e dell'inventione” Antonio Vivaldiego.

Z zakodowanych informacji, które dzisiejszego ranka nadeszły od Musada, wynikało, że klienci wyrazili zrozumienie dla sytuacji, w której wystawa została czasowo zatrzymana w Amsterdamie i zgodzili się, żeby realizacja kontraktu nastąpiła z miesięcznym opóźnieniem. Miał zatem dwadzieścia osiem dni. Wystarczająco.

Jego plan działania Musad zaakceptował, z jedną korektą. Po załatwieniu spraw w Polsce miał się zająć córką Rosnana. Dziewczyna miała zginąć w identyczny sposób jak jej ojciec.

PODOBNO KOBIECY mają szósty zmysł, który ostrzega je przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Z pewnością Eliza go miała. Przyjechała do domu matki przed kilkunastoma minutami, i choć nie potrafiła określić przyczyny, czuła narastający niepokój. Biedronkę oddała do warsztatu, by mechanik wyregulował silnik, więc przyjechała taksówką.

Lęk dopadł ją, gdy tylko weszła do domu. Pomyślała, że może ktoś zaczął się w którymś z pomieszczeń. Niepokój miał smak kwaśnych rzygowin. Przynajmniej takim zakonotowała go w pamięci po tym, jak matka niegdyś zamknęła ją w ciemnym pokoju. Nie krzyczała wówczas, nie wołała, nie płakała. Tylko puściła na ścianę solidnego pawia.

Chwilę stała w holu i nasłuchiwała. Nic, żaden szmer nie dotarł do jej uszu. A jednak lęk nie minął. Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni. Trafiała dłonią na składany nóż. Wyjęła go. Szybkim ruchem nadgarstka uwolniła ostrze z blokady. Stała przed drzwiami kuchni. Pchnęła je nogą. Cisza.

- Wyłaż - rzuciła zdecydowanym głosem.

Nic. Pusto. Zajrzała do sypialni matki. Tu zobaczyła siebie w lustrze z zaciętą miną i uniesionym narzędziem mordu. Wyglądała idiotycznie. Uczucie niepewności tylko się spotęgowało. To ostatecznie ją przekonało, że pomysł zamieszkania z Moną nie był taki głupi.

Nie opuszczając noża, sprawdziła pozostałe pomieszczenia na parterze. Wreszcie upewniła się, że to tylko jej wyobraźnia, którą zapewne pobudziły ostrzeżenie policjantki.

Zeszła do piwnicy. Przykręciła zawór, który dostarczał ciepłą wodę do kaloryferów. Ze wskazań wynikało, że temperatura spadnie w całym domu do około ośmiu stopni. Wystarczająco, żeby wszystko przetrwało choćby najcięższe mrozy. Z drugiej strony, teraz zimy już nie były takie, jak kiedyś.

Wróciła na parter. W kuchni nastawiła czajnik z wodą. Kilka minut później zalała wrzątkiem torebkę herbaty. Usiadła za stołem, grzejąc dłonie o ciepły kubek.

Pomyślała o strychu i Poly Pam, która pilnowała sekretnego miejsca. Wszystko, co dotąd ją spotkało, wydarzyło się jakby wczoraj. Sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do nadkomisarza Marca.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - odezwał się Marzec poważnym głosem.

- Ojciec? - Eliza poczuła ucisk w gardle.

– Nie żyje. Holendrzy wyłowili jego ciało z kanału. Zginął wiele dni temu. – W słuchawce na dłuższy czas zapadła cisza. – Jesteś tam? Eliza?

– Tak...

Pomyślała, że powinno być jej chociaż przykro. Nic nie czuła. Chyba wreszcie do niej dotarło, że nie tak chciała pomóc ojcu, co sobie samej. Żeby choć przez sekundę znowu poczuć się małą dziewczynką, która za moment zacznie radośnie chichotać, gdy nieogolony ojciec przytuli się do niej i podrapie brodą w policzki. Poczwała narastającą złość. Ktoś musi zapłacić za jej zawiedzione nadzieje.

– Rozmawiałem z Janą o sytuacji, w której się znalazłyście – głos nadkomisarza wyrwał ją z zadumy. – Ja też uważam, że grozi wam realne niebezpieczeństwo. Jestem pewien, że śmierć Rosnana i twojego ojca to sprawka Bratta Henryka. Ten gość nie ma żadnych skrupułów.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Proszę go nie lekceważyć – położył nacisk na słowo „proszę”.

– Oczywiście.

Przed wyjściem z domu jeszcze raz sprawdziła gaz. Okna na piętrze były pozamykane. Zgodnie z radą sąsiada na strychu zostawiła uchylone okienko, żeby nadmiar pary wodnej miał z budynku ujście.

Wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi. Gdy weszła na chodnik, skierowała się w stronę przejścia między dwiema willami na końcu ulicy.

Wtedy znowu dopadł ją lęk. Sekundę później za plecami usłyszała odgłos włączanego silnika. O tej godzinie uliczka zawsze była pusta. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek parkował na niej samochód. Jeśli jakiś wjeżdżał, to zawsze znajdował miejsce na podwórzu kogoś z domów.

Odwróciła się na sekundę. Za kierownicą czarnego nissana siedział mężczyzna. Ubrany na czarno, zdawał się wtapiać w ciemne tło wnętrza. Miał na twarzy okulary przeciwsłoneczne, choć dzień był pochmurny.

Mózg Elizy pracował na przyspieszonych obrotach, przetwarzając dodatkowe dane.

Terenówka była tak ustawiona, że blokowała wjazd innemu autu, które chciałoby wjechać z sąsiedniej uliczki. Nikt tak nie tarasuje drogi, jeśli nie ma zamiaru...

To była pułapka!

Kierowca był pewien, że odciął jej możliwość ucieczki. Nie wiedział, że po drugiej stronie uliczki jest przejście między dwoma domami. W tamtym miejscu chodnik wydawał się szeroki. Jednak po obu stronach mur porastał wiecznie zielony clematis. Jego liście maskowały to, że pod koniec ścieżki mury domów zachodziły na chodnik pod nieznacznym kątem. Dlatego było tam jedynie przejście dla pieszych.

Zaczęła biec w tamtą stronę. Co sił w nogach.

Za plecami ryknął silnik.

Przyspieszyła.

Kierowca wcisnął pedał gazu. Koła zabuksowały na wilgotnej przymie żwiru i maszyna runęła do przodu.

Eliza poczuła niemal fizycznie, jak wielkie koła o szerokich guzowatych oponach rozgniatają drobny żwir pobocza. Po jej plecach przebiegł dreszcz. Rozbite kamyki walnęły w metalowe pojemniki śmietnika. Zagrzechotały niczym puszczone za nią seria z karabinu maszynowego.

Prędszej.

Musi uważać.

Patrz pod nogi!

Nie wolno się oglądać.

Żeby tylko się nie pośliznąć.

Zdrowaś Mario.

Nie pośliznąć się na mokrym po deszczu chodniku i nie przewrócić się...

To byłby koniec.

Błogosławionas ty między...

Dość.

Modlitwa tylko ją rozpraszała.

Szybciej!

Zza pleców dobiegł wściekły warkot samochodu.

Próbowała złapać głębszy oddech.

Tamten był coraz bliżej.

Tuż za nią.

Niemal poczuła cios w plecy.

Za moment. Spokojnie wyliczyła tę sekundę w myślach.

Odskoczyła w bok. Na drugą stronę.

Terenówka walnęła z hukiem w latarnię.

Rozległo się nieprzyjemne skrzypienie giętego metalu.

Lampa przechyliła się kaleko na bok.

Zgrzyt skrzyni biegów.

Kierowca wrzucił tylny bieg.

Koła zabuksowały w miejscu.

Nissan skoczył do tyłu.

Zdyszana Eliza rwała do przodu.

Potknęła się. Wsparła o siatkę ogrodzenia.

Nie straciła równowagi.

Zgrzyt zmienianych biegów.

Miała jeszcze kilka metrów do przejścia.

Już blisko.

Cholera!

Poczuła ukłucie w płucach. Otworzyła szeroko usta, żeby złapać głębszy haust powietrza.

Strach schował się w żołądku i zacisnął go w kamień.

Jeszcze chwila.

Ryk silnika był coraz bliżej.

Złapała się słupka. Zawinęło ją w prawą stronę. Skoczyła na chodnik między domy.

Samochodem zarzuciło. Uderzył bokiem o parkan. Huk. Pękła boczna szyba.

Zagrzechotało o maskę sypiące się szkło.

Koła nie przestały się kręcić. Nissan ponownie skoczył do przodu. Pędził za nią ścieżką.

Znowu był tuż-tuż.

Za moment rozniesie ją na strzępy.

Za sekundę.

Teraz!

Usłyszała huk.

Nie obejrzała się. Wiedziała, że terenówka wbiła się między ściany domów i zaklinowała na amen.

Przebiegła krótką uliczkę. Skręciła w następną.

Założyła się sama ze sobą, że na postoju będzie taksówka.

Lubiła hazard.

Serce wreszcie szybciej załomotało.

Doskoczyła do mercedesa.

Chwyciła klamkę.

Zdyszana, przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Wreszcie puściło.

- Do śródmieścia. Szybko - wycharczała, trzaskając za sobą drzwiami. - Płacę ekstra.

- Mąż?

- Kochanek.

Taksówka ruszyła z piskiem opon.

BRATT HENRY szarpnął za boczne drzwi. Daremny wysiłek. Auto zaklinowało się między dwiema ścianami. Pozostało tylko wykopanie przedniej szyby, która była popękana na całej powierzchni. Za szóstym uderzeniem jej płat opadł na maskę. Wysunął się z samochodu i ześliznął na chodnik. Otrząpał ubranie. Kiedy znalazł się na ulicy,

przebiegł kilkanaście metrów. Za rogiem zobaczył tył odjeżdżającej taksówki. Poszedł powoli w stronę postoju.

Pojawił się jakiś mężczyzna, który zapytał.

– Słyszał pan ten huk?

– Tam – Bratt odwrócił się za siebie. – Jakiś chłopak uciekł ulicą – wskazał w przeciwnym kierunku.

Poszedł dalej. W środku gotowało się w nim z wściekłości, że wykołowała go dziewczyna, ale na zewnątrz był okazem obojętności. Musi wyrzucić z siebie złą energię i uspokoić myśli.

Zaczął biec równym truchtem. Godzinę później, porządnie zmęczony, machnął ręką na nadjeżdżającą taksówkę. Pojechał do domu. Wszystkie rzeczy zrzucił z siebie w przedpokoju. Koszula i marynarka były mokre od potu. Wszedł pod prysznic, usiadł po turecku pod strugą lecącej wody. Zaczął oczyszczać myśli. Dziewczyna uciekła. Mówi się trudno. Nic takiego się nie stało. Wkrótce ponownie się spotkają.

ELIZA PODNIOSŁA do ust kubek z gorącą herbatą.

– Masz nerwy ze stali. – Mona patrzyła na nią ze zdumionym zachwytem.

– Co?

– Gdybym była na twoim miejscu, herbatę wlewano by we mnie kroplówką.

Eliza nie rozumiała. Mona westchnęła i cierpliwie wytłumaczyła:

– Za bardzo ręce by mi się trzęsły, żebym utrzymała kubek. Naprawdę nie jesteś zdenerwowana?

Była nie tylko zdenerwowana, ale wręcz spanikowana.

– Jestem, tylko moje ciało tego nie okazuje – wyjaśniła.

– Jesteś pewna, że nikt za tobą nie jechał?

Policjantka miała rację. Dotąd niebezpieczeństwo obie traktowały jako coś, co może, ale niekoniecznie musi się wydarzyć.

- Chciał mnie zabić – stwierdziła Eliza z mocą. – Gdybym nie odskoczyła w bok, już by mnie tu nie było.

- Trzeba było zadzwonić po policję.

- Kazaliby mi wrócić. Co to, to nie.

- To chociaż do Jany – podchwyciła myśl Mona.

Eliza spojrzała na leżącą przed nią komórkę.

- Nie miałam wtedy do tego głowy.

-Zróbmy więc to teraz.

MONA WYKRĘCIŁA numer. Kiedy policjantka odezwała się w słuchawce, opowiedziała o wydarzeniach, które niedawno rozegrały się przy domu Elizy.

- Nic jej się nie stało?

- Jest wystraszona – odpowiedziała Mona.

- Musicie zmienić uczesanie, ubiór. Wszystko. Może wynieście się z miasta. Gdzie teraz jesteście?

- Tu nic nam nie grozi.

- To pewne? – Policjantka nie była przekonana.

- Na bank – ucięła Mona.

-Nawet więc mnie nie mów adresu.

Mona uśmiechnęła się do siebie. Choćby powiedziała, że być może teraz sąsiadują przez ścianę, Jana z pewnością by nie uwierzyła. A taka mogła być prawda.

Przed dziesięciu laty komenda rozbudowała się, anektując przylegający do niej blok. Lokatorom dano inne mieszkania. Ściany, które dzieliły lokale, wyburzono, robiąc z nich urzędnicze klatki. Stare, obszerne piwnice zamieniono na magazyny. Na pierwszym piętrze, w samym końcu bloku, zostało jedno trzypokojowe mieszkanie z osobnym wejściem i własną klatką schodową. Na jej drzwiach Mona zawiesiła tabliczkę „Wejście do magazynu. Wstęp obcym surowo wzbroniony”. Każdy był pewien, że za progiem znajduje się budynek policji. Mylili się

nawet gliniarze i Mona szybko nauczyła się zamykać wejście na zasuwę. Kiedy ponad pół roku temu podpisywała umowę najmu, była zachwycona, że nikomu nie wpadnie do głowy, żeby jej tu szukać. Pod latarnią najciemniej. Facet, który wynajął jej mieszkanie, w przeszłości też musiał być gliniarzem. Być może nawet wysoko postawionym, gdyż nie dał sobie zabrać takiego lokum. Ale to nie jej sprawa. Podpisała umowę najmu na dwa lata.

– Nie chciałąbym dać się zamordować. – W oczach Elizy zapalił się zimny błysk. – Dlatego musimy rozprawić się z tym draniem.

– Zwariowałaś?! – Monę niemal zatkało. – To zawodowy morderca.

– Masz rację. Jest bezwzględny i potrafi bez wahania zabić. Ale czy przez to jest od nas mądrzejszy?

Mona zaprzeczyła.

– Sprytniejszy? – nie odpuszczała.

– Nie.

– Lepszy od ciebie?

– Nie.

– No to mu dokopmy.

– Jak?

– Jest takie powiedzenie – uśmiechnęła się zimno Eliza – że kobieta, która chce się zemścić, potrafi być groźniejsza od zawodowego mordercy. A ty chyba tego chcesz, do cholery. Bo ja tak!

Pozostało 31 dni

Dwie dziewczyny, które weszły do kawiarni, ściągnęły na siebie spojrzenia klientów. Było na co popatrzeć. Jedna wyglądała jak wychowanka klasztoru, która właśnie urwała się z rekolekcji i ma nadzieję na jakiś podryw przez kleroika, ale nie bardzo wie, gdzie takiego może znaleźć. Ciemne gładkie włosy miała splecione w grzeczny warkocz, a na głowie chwiał się śmieszny kapelusik z kwiatkiem. Dyskretny makijaż nie tuszował niedostatków urody, ale wręcz je uwypuklał. Druciane okragłe, stalowe okulary na nosie, szara nijaka sukienka i skromnie spuszczonego wzroku dopełniały obrazu brzyduli.

Druga miała bladą cerę, podkrążone sino oczy i fioletowo-zielone włosy. Ubrana była w skórzaną kurtkę i wysokie glany. Obrazu dopełniała czarna szminka. Odjazd w stronę niedożywionej punkówki był kompletny.

Przez chwilę obie stały w drzwiach, jakby szukały wolnego miejsca. Wreszcie podeszły do stolika, przy którym siedzieli Jana i Marzec. Kiedy dziewczyny zajmowały miejsca, policjantka spojrzała na nie wrogo.

– Nie pękajcie, gołąbki – rzuciła punkówka. – My tylko na ein moment i zaraz robimy zrywkę.

– Nie jestem żadnym gołąb... – warknęła Jana, ale nie dokończyła, gdyż powstrzymał ją śmiech Marca.

– Ale odlot... – kiwnął z uznaniem głową. – Nie poznałem was.

Jana przyjrzała się dziewczynom bliżej i uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że wzięłyście sobie nasze rady do serca – powiedziała z podziwem.

– Po tym, jak gość chciał mnie rozjechać – odparła punkówka – jak najbardziej.

- Samochód był wynajęty na nazwisko Jan Rozbicki – przeczytał Marzec w notatniku. – Taki facet nie figuruje w naszych kartotekach. Auto wynajęto zapewne na podrobiony dowód osobisty.

Podeszła kelnerka.

- Coś państwo zamawiają?

Eliza zdecydowała za wszystkich.

- Cztery kawy.

Marzec zgodził się skinieniem głowy i wrzucił do ust kulkę M&M. Jana jednak dodała:

- Ja zwykłą, sypaną.

- Nie mamy.

- To herbatę, Earl Grey.

Nie wiedzieć czemu kelnerka odeszła z obrażoną miną.

- Cały czas słyszę – powiedziała Mona – że Amerykanin może być zamieszany w wiele spraw. Dlaczego dotąd nikt go nie przesłuchał?

- Rozpłynął się w powietrzu i nie możemy go namierzyć – odparła z niezadowolaniem Jana. – Poza tym nie mamy przeciw niemu dowodów, więc przesłuchanie też jest problematyczne. I jeszcze ciekawostka, ze względu na zainteresowanie „Aferą Chagalla”, jak zdążyła już ochrzcić ją holenderska prasa, dziś przed południem ogłoszono, że ekspozycja „Sztuka fałszerzy” została przedłużona o dwa miesiące. Więcej ludzi będzie mogło obejrzeć kolekcję, o której zrobiło się tak głośno.

- Co po miesiącu?

- Policja jest już pewna – Jana spojrzała na Elizę – że oskarżenie Rosnana wobec ciebie i twojego ojca było niesłuszne.

- A nagranie, jak zakradam się do apartamentu w Astorii? Mają mnie na widelcu.

- Raczej „mieli” – stwierdziła Jana. – Okazuje się, że cały zapis był zmontowany.

- Kto tak twierdzi?

- Ludzie z Europolu – stwierdziła Jana i uniosła brew.

Eliza uśmiechnęła się zimno.

– Mielicie haki na mojego ojca, a teraz macie na mnie. Jakie zebraliście na Monę?

Jana nawet nie mrugnęła okiem na oskarżenie, choć jej mina wskazywała, że poczuła się dotknięta. Zatem odpowiedziała trochę złośliwie:

– Mona złamała wymogi AFK, które sąd złagodził pod ściśle określonymi warunkami.

– To kiedy nas aresztujecie? – w głosie Mony zadźwięczała nutka prowokacji.

– Na nas nie liczcie – odparła Jana podobnym tonem. – Jesteśmy po waszej stronie.

– Od kiedy to gliniarze chronią przestępców? – zadzwiała Eliza.

Atmosfera zaczynała się zagęszczać. Marzec położył uspokajająco ręce na dłoniach obu dziewczyn.

– Wyluzujcie... Zawsze mogliście na nas liczyć i pod tym względem nic się nie zmieni. A o tym, że świat jest skurwysyński, wicie również dobrze i bez naszej wypowiedzi.

– Jest, jaki jest i nie ma co wydziwiać – dorzuciła Jana. – Ważniejsze, żeby mądrze i bez zbytniego szumu obejść zakazy i dalej robić swoje. Znam pewnego człowieka, który jest bliski mojemu sercu. Jedni go cenią za bezkompromisowość, inni za odwagę czy za prawniczą przenikliwość. Jeśli chodzi o mnie, Zdenko imponuje mi tym, że jeśli ma do wyboru prawo lub sprawiedliwość, wówczas wybiera to drugie.

Umilkła, widząc nadchodzącą kelnerkę z zamówieniem. Dziewczyna rozstawiła na stole filiżanki, wskazała na cukiernicę, uśmiechnęła się zdawkowo i odeszła.

Mona sięgnęła po dzbanuszek z mlekiem. Jana już chciała powiedzieć, że najpierw sypie się cukier, gdyż robiąc odwrotnie, można ściągnąć na siebie kłopoty miłosne. Ale ugryzła się w język. I tak Marzec już raz spytał ją, czy przypadkiem nie jest zbyt przesadna.

– Myślę, że najlepiej będzie – powiedział EmEm – jeśli zaszyjecie się gdzieś w Polsce na najbliższy miesiąc. Jedźcie na Mazury do jakiejś leśniczówki, gdzie nikt was nie znajdzie.

– A jak nie posłuchamy rady? – spytała Mona.

– Możecie bardzo skomplikować sobie i nam życie.

Przez kilkanaście następnych minut Marzec starał się przekonać dziewczyny do wyjazdu.

– Mam nadzieję, że niedługo powiecie, co zdecydowałyście – Jana wreszcie wstała od stolika.

Kiedy zostały same, zamyślona Mona przez dłuższy czas mieszała łyżeczką w niedopitej kawie.

– Chyba będę miała branie u małałatów – smutnie westchnęła Eliza, zauważając zainteresowanie jej punkową stylizacją młodego chłopaka siedzącego kilka stolików dalej.

Mona skrzywiła się.

– Na mnie jakoś nikt nie zwraca uwagi. Chyba kupię sobie różaniec. Podobno jego regularne odmawianie wspiera beznadziejne prośby.

– Cały czas nad czymś się zastanawiasz. Powiesz wreszcie? – Eliza trąciła Monę łokciem.

– Jak wynika z rozszyfrowanego zapisu, mamy tylko sześćdziesiąt dni, żeby rozprawić się z draniem, który zabił mojego i twojego ojca. Potem forsa i obrazy rozplyną się w niebycie.

MARZEC ZAPUKAŁ i kiedy usłyszał „proszę”, wszedł. Jana siedziała za biurkiem ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Wskazała gestem, żeby znalazł sobie miejsce i dał jej chwilę.

– To pewne?

W głosie Jany dało się słyszeć nutę zaskoczenia. EmEm podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Pogoda była szarobura, mokra. Miał już dosyć tej ciepłej, bezbarwnej zimy.

Ostatnio coraz częściej myślał o śmierci Rosnana. Nie tak wyobrażał sobie ich wzajemne rozliczenia. Teraz martwił się o Monę. Wiedział, że los nieraz już boleśnie wygarbował jej skórę i w codziennym życiu da sobie radę. Ale w konfrontacji z zawodowym mordercą nie miała szans.

Odwrócił się i znalazł wzrokiem krzesło.

– Nie stawiaj teczek na podłodze – rzuciła niemal automatycznie Jana.

– Dlaczego?

– Finansowy pech... – machnęła ręką, jakby odganiała się od uprzykrzonej muchy.

– I tak od trzech miesięcy lecę na pożyczkach – odparł, ale wziął teczkę i położył ją sobie na kolanach.

– Co cię sprowadza?

– Przyszedłem dowiedzieć się, co ze śledztwem w sprawie Daniela.

– Ktoś to dobrze przemyślał i wykonał. Boy hotelowy zeznał, że Daniel wsiadł do granatowego peugeota o końcówce numeru rejestracyjnego BB-9. Z przodu zabrakło dwóch cyfr i jednej litery.

– Ale trzy znaki to i tak sporo.

– Dlatego Holendrzy trafili do wypożyczalni samochodów. Auto wynajął 22 grudnia facet o nazwisku Jan Zadurski.

– Rysopis?

– Średniego wzrostu. – Jana zajrzała do rozłożonych notatek. – Jasne włosy, z widoczną łysiną po lewej stronie głowy. Pracownik wypożyczalni stwierdził, że klient sprawiał wrażenie frajera, który gotów jest wszystkich za wszystko przeprosić. No i jeszcze drobnostka, podpisał dokumenty lewą ręką.

– Bratt Henry.

– Mnie również do niego pasuje ten rysopis, prócz tego „frajera”.

– Co z dowodem osobistym, na który wydano auto?

– Sfałszowany.

Marzec na jakiś czas zapatrzył się w okno.

– Coś tam widzisz ciekawego?

– Próbuję postawić się na miejscu Daniela. Właśnie w telewizji nazwano mnie szpiclem. Policja początkowo przesłuchuje mnie jako głównego podejrzanego. Potem zjawia się gość i mówi: w porządku, rąbaliśmy cię przez wiele lat, ale spełniłeś rolę, do której zostałeś wkręcony. Może nawet pada propozycja dalszej współpracy. Będąc na miejscu Daniela, powiedziałbym, żeby rwali na drzewo.

– Prawdopodobnie tak było – stwierdziła Jana.

– Ale, jak znam życie, mimo to złożono mu propozycję. Powinnaś coś o tym wiedzieć.

– Owszem, odpowiedział, że zgodzi się tylko wtedy – skrzywiła się drwiąco – kiedy szef Europolu zrobi mu łaskę. Następnego dnia powtórzył to samo i kolejnego. Zatem uznano, że na razie nie ma co go naciskać, bo szef mu tej łaski nie robi.

– Został więc zwolniony. Wrócił do hotelu. Kiedy się pakował, ktoś zadzwonił, prawdopodobnie Henry. Mamy zbyt słabą charakterystykę głosu, żeby przeprowadzić identyfikację. Powiedział, że będzie czekać w uliczce obok, w granatowym peugeocie. Holendrzy odkryli zwłoki Daniela w kanale. Czekamy na wyniki sekcji.

Jana spojrzała pytająco na teczkę, którą Marzec cały czas trzymał na kolanach.

– To faksy i fotogramy od białostockiej policji.

Otworzył ją i położył przez Janą. W środku znajdowały się ksera fotografii nieżywego Mietielina, którego niedawno wykopano. Inne zdjęcia pokazywały drugie okaleczone ciało.

– Jeszcze ich nie widziałam – Jana wzięła zdjęcia sygnalityczne do ręki. – Wygląda tak, jakby szalony iluzjonista przez pomyłkę w połowie je przepiłował. Ale to nie był żaden magik?

– Pierwsze foty to Dimitrij Leonowicz Mietielin, nazywany przez swoich Dimą – wyjaśnił Marzec. – Przed wielu laty był oficerem X Wydziału Archiwów, w III Zarządzie Kontrwywiadu Wojskowego. Przecięty na pół to jego syn, dwudziestopięcioletni Aleksiej. W trakcie

sekcji z Rosjanina wyjęto nabój karabinowy kalibru 7,62. Zgodnie ze wstępnymi ustaleniami zabójca strzelał z karabinu Sako TRG-21. To powtarzalny karabin wyborowy produkcji fińskiej, jeden z lepszych na świecie. Rany zidentyfikowane na ciele Aleksieja są charakteru rwano-szarpanego i pierwsze, co nasunęło się patologowi, to że został przecięty w pasie.

– Jeszcze coś?

– Chłopak zginął po drugiej stronie jeziora. Jego ciało znaleziono na terenie portu rzecznego, gdzie stacjonują w zimie barki. Obaj zginęli w tym samym czasie.

Jana pomyślała chwilę, przyglądając się zdjęciom.

– Zatem ktoś pokazał Rosjaninowi, jak zabija mu syna, a potem wykończył samego Mietielina – mruknęła.

– Coś w tym stylu.

– Kiedy to się stało?

– W połowie grudnia ubiegłego roku.

Jana zmarszczyła brwi, jakby nad czymś intensywnie myślała.

– To się trzyma kupy – mruknęła do siebie. Potem podniosła wzrok na EmEm. – Kiedy tu wchodziłeś, zadzwonili do mnie w wydziale techniki, gdzie trafił komputer Rosnana. Ktoś rzeczywiście bardzo przyłożył się do tego, żeby wyczyścić dysk z określonych informacji. Zdanie, które zdeszyfrowała Mona: „Kiedy wpłynie pozostałe 480 milionów, wysłane do odbiorców, przez ... kurierów. ... będą mieli 24 godziny, żeby dostarczyć towar do..., ...nawet na drugim kontynencie”, zostało potwierdzone jako prawidłowa deszyfracja. Ale nasi wyłowili z elektronicznego kurzu jeszcze jedno słowo. Musad.

Marzec gwizdnął z przejęciem. Ta informacja naprawdę go zaskoczyła.

– Zaczyna się jazda bez trzymanki – bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. – Co Rosnana z nim łączyło? Musad to jeden z trzech największych graczy na czarnym rynku kradzionej sztuki, a Rosnan to

plotka. Nawet nie działał samodzielnie. Mówiło się, że jego ojcem chrzestnym był Mietielin.

- Ale *caporegime* wybił się na niepodległość i załatwił swojego bossa, przechodząc pod skrzydła silniejszego - powiedziała Jana.

- To wszystko ma sens - zgodził się Marzec skinieniem głowy. - Wykończył Mietielina na kilkanaście dni przed wystąpieniem w studiu holenderskiej telewizji. Wygląda na finał czegoś znacznie większego niż sprzedaż „Wenus”. Przynajmniej wskazuje na to 101 milionów dolarów. Może to zaliczka na poczet tych czterystu osiemdziesięciu?

- À propos pieniędzy. - Jana szukała chwilę w leżących na biurku papierach i w końcu znalazła właściwą kartkę. - Tu jest ekspertyza jednego z czołowych historyków sztuki, który jest doradcą kilku domów aukcyjnych w Polsce. Spytałam go, ile mogłaby być warta „Wenus z Witebska”, gdyby oczywiście była prawdziwa. Zgadniesz?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Powiedział, że po rozkręcanej wiele tygodni reklamie w europejskich mediach obraz zostałby wylicytowany góra za siedemset tysięcy.

- Czasami ludzie mogą przepłacić za coś, czego bardzo chcą.

- Powiedziałam to samo. Facet zaśmiał mi się w nos i stwierdził, że nawet najbardziej napalony kolekcjoner nie zdecyduje się na dziesięciokrotne przebicie. Chyba że ma nierówno pod sufitem.

- Tacy też bywają - upierał się Marzec.

- Powiedziałam to samo, ale gość nie miał już ochoty dalej się ze mną spierać.

- Myślisz, że dziewczyny powinny się o tym dowiedzieć? - rzucił Marzec.

- Wdepnęły w niezłe szambo.

- Powiedziałbym, że jest to najbardziej śmierdząca gnojówka, z jaką zetknąłem się w życiu. Może dać im ochronę policji, jak myślisz?

– Wtedy wystawimy je bardziej do odstrzału – stwierdziła Jana. – Na wszelki wypadek pokazałam im kilka technik identyfikowania ogona.

– Tylko że zawodowiec nie zbliży się do nich nawet na odległość dwustu metrów. Z trzystu trafi zaś w pięciogroszówkę. Może je czasowo zamknąć pod byle jakim pretekstem.

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. – Jana pokręciła przecząco głową. – Nikt na to nie pójdzie. Nie patrz tak na mnie. Poprawiłam im samopoczucie, zdradzając kilka sposobów wykrywania ogona, ale na razie tylko tyle możemy dla nich zrobić.

Nie dodała, że ukrycie dziewczyn mogłoby zniweczyć plan, który za zgodą Yoorge zaczęła wdrażać w życie. Że to było nie fair? *Kde je kouř, tam je také oheň.*¹⁸

PRZEZ OKNO wpadała do pokoju smuga księżycy, która przez całą długość kołdry sięgała aż do policzka śpiącej Mony. Dziewczyna przekręciła się na bok. W ciszy wydało się jej, że słyszy szum płynącej pod prysznicem wody. Potem ktoś zakręcił kran. Chwila niepewności. Zaraz, przecież już raz o tym śniła... Wydawało się, że drzwi od pokoju cicho skrzypnęły. Senny cień przeciął blask księżycy. Poczula, jak obejmuje ją męskie ramię. Wiedziała, że to Nomad.

Tak długo na ciebie czekałam.

Odwróciła się. Serce zabiło mocniej. Zaczęli się całować. Najpierw delikatnie muskali wargą o wargę. Potem próbowali swoich ust końcem języka, by na koniec rzucić się na siebie zgłodniali.

Świat wokół Mony zawirował tęczą barw.

Tak długo na ciebie czekałam – szepnęła, czując, jak kładzie dłoń na jej piersiach.

Jej sutki naprężyły się w oczekiwaniu pieszczoty. Zaczął je gwałtownie całować.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze, przyciągając jego głowę mocno ku sobie.

Dreszcze falami przechodziły przez jej ciało.

Jego skóra pachniała słodkim zapachem jabłka.

Kiedy delikatnie zdjął z niej figi, wtulił głowę w jej podbrzusze. Krzyknęła krótko, zaskoczona. Szczęśliwa.

Nie mogła go stracić.

Był tylko jej.

Na własność.

Na wyłączność.

Na wieczność!

Błądził palcami po jej skórze, budził zachwyt i potęgował pragnienie.

Wreszcie wsunął dłonie pod jej pośladki i przyciągnął ją ku sobie.

Nie chcę żyć bez ciebie! Głos Nomada był chrapliwy, pełen napiętego oczekiwania.

Umierałam, gdy cię nie było przy mnie.

Jesteś tylko moja.

Jestem.

Już nie chciała czekać. Była na szczycie i pragnęła tylko skoczyć w otwierającą się przed nią szmaragdową głębię. Jego ciało wyprężyło się jak struna.

Wtuliła się w Nomada, zaciskając paznokcie na jego napiętych pośladkach. Doszła do granicy, za którą najmniejszy ruch mógł zniszczyć otaczający świat.

MONA OTWORZYŁA gwałtownie oczy. W mroku słyszała swój przyspieszony oddech. Do pokoju wpadała smuga zimnego księżyca. Nie było przy niej nikogo, a za oknami szeptał tylko wiatr, który chwiał nagimi koronami drzew. Wtuliła mocniej głowę w poduszkę, by nie czuć, jak po jej policzku płynie gorzka łza.

„Kobieta, która chce się zemścić, potrafi być groźniejsza od zawodowego mordercy”, usłyszała niedawne słowa Elizy.

Pozostało 24 dni

Mona sprawdziła stan ostatniej „lampy”. Działała bez zarzutu. Przed uruchomieniem wszystkich na tej ostatniej założyła internetowe łącze radiowe. Może było wolniejsze od światłowodu, ale w tym wypadku prędkość była mniej istotna od bezpieczeństwa.

Wyciągnęła dłoń po filiżankę z kawą i zerknęła w stronę Elizy, która przy sąsiednim stoliku kolejną godzinę oglądała przekaz z sal Stedelijk Museum na kanale internetowym. Przez moment przyglądała się jej nieruchomemu profilowi. Po tym, jak Eliza sprowadziła się do Mony, rzadko wychodziły, a jeśli już, to tylko razem, po zmroku i w przebraniu. Zwracały też baczniejszą uwagę na otoczenie. Początkowo były przewrażliwione – niemal w każdym facecie, który przez jakiś czas szedł ich śladem – widziały potencjalnego mordercę. I kiedy już niemal wpadały w panikę, przechodzień skręcał i znikał za rogiem lub w mijanym po drodze sklepie. Po kilku dniach zaczęły rozróżniać przypadkowe ogony i przestały się nimi stresować. Jana podpowiedziała kilka sposobów szybkiej weryfikacji prawdziwych intencji idącego ich tropem. Wystarczyło na przykład w galerii obejść parę sklepów, zawrócić i ponownie zajrzeć do każdego. Czy on zrobi to samo? Czasami nieoczekiwanie obie rozchodziły się w przeciwnych kierunkach, dyskretnie przyglądając się reakcji ogona. Zdezorientowanie byłoby natychmiastowym dzwonkiem alarmowym. Na ulicy, sugerowała Jana, mogły obejść duży skwer lub plac dokoła dwa razy. W końcu nikomu bez przyczyny coś tak bezsensownego nie przychodzi do głowy.

I choć na razie nic podejrzanego się nie zdarzyło, Jana radziła nie porzucać ostrożności.

- Trzydzieści razy ogłosicie fałszywy alarm - podpowiadała policjantka - ale za trzydziestym pierwszym może się okazać, że to ktoś, kto rzeczywiście ma zamiar zrobić wam krzywdę.

Dzisiejszego poranka Eliza wstała dosyć wcześnie. O siódmej rano siedziała już przed monitorem i przeglądała strony Stedelijk Museum. Przez ostatnie trzy dni nie robiła nic innego tylko oglądała internetowy przekaz z wystawy „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”. Właśnie zbliżał się wieczór, a Eliza tego dnia po raz czwarty wlepiła wzrok w kopie dzieł na wystawie Rosnana. Teraz ponownie przywoływała na ekran salę, w której wystawiano „Wenus z Witebska”.

Przez dłuższy czas przyglądała się obrazowi przekazywanemu w czasie bieżącym z kamer wideo z sal wystawowych. Oprogramowanie powalało przesuwac się z prawa do lewa. Potem można było zmienić kadr i, oglądając obrazy na ścianie na wprost, wrócić do poprzedniego punktu. W efekcie widz mógł „obejść” każdą salę dokoła.

Na innym ekranie Eliza miała stale wywołaną stronę Interpolu, na której oglądała fotogramy najbardziej poszukiwanych dzieł sztuki. Przez wszystkie dni wspólnego mieszkania Mona nauczyła się, że kiedy Eliza jest zafiksowana na jakiejś sprawie i rozważa coś w skupieniu, nie należy jej przeszkadzać, zadając jakieś pytania, gdyż potrafi być wtedy opryskliwa i cholernie nieprzyjemna, czego potem zupełnie nie pamiętała. Zresztą samego pytania również. Skupiona na problemie, niemal całkowicie wyłączała się z otoczenia. Tylko dlaczego od wielu dni jej problemem była „Wenus”?

Eliza przytaknęła sobie głową, jakby ostatecznie przyznała sobie rację. Jednocześnie na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech zadowolenia. Potem odwróciła się do Mony i dostrzegła pytające spojrzenie. W odpowiedzi zmarszczyła brwi i rzuciła, jakby odpowiadała na pytania:

- Po raz piątą... Bo to finansowo niemożliwe.

- Nie bardzo rozumiem. - Mona odstawiła na spodeczek pustą filiżankę.

- To wynik naszej rozmowy. Uprzedziłam tylko serie pytań i odpowiedzi.

- Jakich?

Eliza westchnęła z lekkim zmęczeniem.

- Widziałaś, jak przeglądałam strony Interpolu i Stedelijk Museum. Na pewno chciałaś zapytać: „Interesuje cię Wenus?”. Odpowiedziałabym: - Dlaczego tak sądzisz? Powiedziałabyś: „Bo wcześniej już cztery razy oglądałaś salę w amsterdamskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej”. - Po raz piąty - skorygowałabym twoje spostrzeżenie, gdyż jak po południu czesałaś kota w sąsiednim pokoju, również oglądałam „Sztukę fałszerzy”. „Z jakiegoś konkretnego powodu?”, padłoby pytanie. Na to ja: - Myślisz, że ktoś zapłaciłby za „Wenus” sto jeden milionów dolarów? „Dlaczego nie?”, odpowiedziałabyś, a ja bym odbiła piłeczkę: - Bo to finansowo niemożliwe... Na co ty potem powiesz „To i tak góra forsy”.

Mona przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrzona w Elizę. Kosmitka. W końcu westchnęła i kiwnęła z uznaniem głową.

- Coś w tym jest. - Po dłuższym namyśle zmarszczyła brwi i dodała: - To i tak góra fo... O cholera - zawołała zaskoczona. - Trafiłaś.

Zerknęła prowokująco, jakby chciała spytać: „A teraz odgadniesz tok mojego rozumowania?”.

- Po moim: „Bo to finansowo niemożliwe” - uśmiechnęła się Eliza - zapytałabyś: „Myślisz, że ludzi nie stać na taki wydatek?”. Ja: - Zwykli ludzie nie dysponują takimi pieniędzmi, natomiast kolekcjonerzy niepotrzebnie nie szastają forszą, choćby nawet mieli jej w nadmiarze. Ty: „A ile według ciebie warta jest ‘Wenus?’”. Ja: - „Jana niedawno podpowiedziała, że malowidło można wycenić góra na siedemset tysięcy”. Ty: „To i tak góra forsy”.

Mona zaklaskała.

- Rzeczywiście podobnie kombinowałam - stwierdziła z podziwem. - A teraz już bez skrótów. Co, obok „Wenus z Witebska”, jest takiego w obrazach rozwieszonych w sali w Stedelijk, że się nimi zainteresowałaś i porównujesz z fotogramami, które zamieszczono na stronach Interpolu?

Eliza przez kilka sekund zastanawiała się, jak wyjaśnić Monice odkrycie, którego dokonała kilkanaście minut temu, gdy po raz enty wirtualnie zwiedzała salę z „Wenus”. Przez wiele miesięcy nie miała potrzeby poznania wzorów, które w jej głowie podświadomość odkładała na półce z napisem „Ważne. Do przyszłego wykorzystania”. W tym czasie co innego zaprzętało jej myśli. Jednak przez ostatnie dni zestawiała ze sobą kilka pozornie niekompatybilnych faktów, przemyślała odłożone na później wątpliwości i scalała czekające na sformatowanie zebrane informacje. I tak oto kilka minut temu ostatnie kawałki puzzli wskoczyły na swoje miejsca, tworząc finalne rozwiązanie.

Układanka zaczęła się scalać po tym, jak przypomniła sobie wywiad z Rosnanem, który oglądała w telewizji 12 czerwca ubiegłego roku. Dziennikarka, Joanna Cichocka, zadała wówczas marszandowi pytanie: „Co będzie można zobaczyć na wystawie w Zachęcie?”.

Padła wówczas odpowiedź: „Lista jest długa, więc wymienię tylko rarytasy: ‘Widok Auvers-sur-Oise Paula Cézanne’a i ‘Kongregacja opuszczająca Kościół reformowany w Nuenen’ Vincenta van Gogha, oba autorstwa Ottona Wackera; ‘Burza na jeziorze galilejskim’ Rembrandta oraz ‘Koncert’ Johannes Vermeera, dzieła, które genialnie skopiował Van Meegeren; ‘Głowa arlekina’ i ‘Gołąb z zielonym groszkiem’ Pabla Picassa, autorstwa Wolfganga Beltracchiego, czy też wreszcie ‘Portret młodzieńca’ Rafaela Santi, pędzla Erica Hebborna”.

Na to pani Joanna zareagowała z humorem: „To siedem najbardziej poszukiwanych dzieł sztuki na świecie. Nie boi się pan, że ktoś mógłby je panu ukraść?”.

Rosnan nie podchwycił wówczas żartu i odpowiedział całkiem poważnie: „Już raz zostały ukradzione i obecnie szukają ich policje całego świata. Zatem wszystkie razem można je oglądać tylko w mojej kolekcji genialnych kopii”.

„To pańskie najcenniejsze nabytki?”, dopytała dziennikarka.

„Dla mnie warte miliony”, odparł.

Następnego dnia, kiedy w czasie otwarcia wystawy oglądała XVI-wieczny „Portret młodzieńca” Rafaela Santi, przez głowę przemknęła jej myśl, że obraz wygląda tak naturalnie, że z pewnością namalował go geniusz. Sekundę później poprawiła się. Nie namalował, lecz podrobił. I z pewnością stało się to przed 1945 rokiem, zanim Rafaela zrabowali hitlerowcy.

Na tej samej wystawie Eliza usłyszała przebieg rozmowy Rosnana z Marcem. „Dobrze się pan bawi?”, spytał wówczas Rosnan. Policjant stwierdził: „Znam wszystkie pańskie dzieła. Przyszedłem tylko dla ‘Wenus z Witebska.’ ... A potem... „Hm, mam wrażenie, że ‘Głowa arlekina’ jest jakby świeższa w barwach”. Na to Rosnan: „Podróbki też się starzeją i czasem wymagają renowacji”.

Czyli nie tylko Eliza odniosła wrażenie, że coś z tymi obrazami jest nie tak.

Przypomniała sobie też swoją wymianę zdań z Moną, która towarzyszyła jej na wystawie jako głos w słuchawkach, o ochronie wystawy. Jak to stwierdziła Mona, ochroniarze to nie zwykli podtatusiali emeryci, ale byli żołnierze jednostek specjalnych. „Rosnan zorganizował obstawę, jakby zamierzał wam pokazać ‘Mona Lizę’ z Luwru”, powiedziała Mona. Eliza uznała, że marszandowi chodziło o prestiż. Jednak teraz już wiedziała, że nie chodziło o żadne znaczenie, ale o strzeżenie arcydzieł równie bezcennych co „Mona Liza”.

Kilka miesięcy później, we wrześniu, kiedy Eliza powiedziała Monie, że „Wenus” nie jest warta dwudziestu ośmiu milionów, przyjaciółka zauważyła, że najpewniej powodem jest aukcja. Podczas niej emocje biorą górę nad chłodną kalkulacją. Wtedy Eliza kupiła tę myśl.

Ale Mona się myliła. Przecież chętni do kupna nie byli zgromadzeni na jednej sali, gdzie emocje jednej osoby udzielały się drugiej. Skacząca cena nie była zatem wynikiem narastającego napięcia, ale zimnej kalkulacji, że dołożenie kolejnych milionów nadal jest opłacalną inwestycją.

Kolejny element układanki – w listopadzie zeszłego roku Mona wypowiedziała znamienne słowa: „Rosnanowi najwyraźniej strasznie zależy, żeby aukcja ‘Wenus’ do końca pozostała jego tajemnicą. Jego i pięćdziesięciu chętnych, których zaproszono do licytacji. Z dnia na dzień cena obrazu skacze nawet i o pół miliona dolarów. Wszyscy działają anonimowo. Myślę, że ta zasada będzie obowiązywać również po zakończeniu aukcji”.

Miała rację. A kiedy 23 grudnia Eliza odwiedziła Stedelijk Museum, „Wenus” znalazła dopiero w trzeciej sali. Była zaskoczona, że Chagall nie został wyekspozowany, jakby to on był podróbką, a reszta oryginałami. Pomyślała wtedy, że może chodziło o podkreślenie równorzędności mistrzostwa w wykonaniu prac.

Dziś już wiedziała, że prawda była inna. Dlaczego wcześniej się tego nie domyśliła? Jak mogła być tak ślepa?

Poczuła przenikający ją dreszcz.

To był przekręt tysiąclecia!

Eliza spojrzała na Monę, która cierpliwie czekała, aż domyśli wszystko do końca i wepnie się w ich wspólne myślowe łącze.

– Aukcja w internecie nie dotyczyła „Wenus z Witebska” – powiedziała Eliza. – Została zorganizowana po to, żeby wylicytować siedem obrazów: „Widok Auvers-sur-Oise”, „Kongregacja opuszczająca Kościół reformowany w Nuenen”, „Burza na jeziorze galilejskim”, „Koncert”, „Głowa arlekina”, „Gołąb z zielonym groszkiem” i „Portret młodzieńca”.

Mona uniosła brwi.

– Pięćset osiemdziesiąt jeden milionów za podróbki, choćby najlepsze, to chyba przesada?

– Nie podróbki... Oryginały.

Monie opadła szczęka, dosłownie.

– Zalewasz. Przecież sama powiedziałaś, że to najbardziej poszukiwane obrazy... Od dziesiątków lat...

Eliza uniosła brew.

– No właśnie.

– Jezu! – Monę znowu zatkało.

– Prawdę znało jedynie pięćdziesiąt osób, które zaproszono do licytacji. A ponieważ nie kupuje się kota w worku, wszyscy zainteresowani mogli swobodnie przyjrzeć się owym dziełom, jako rzekomym podróbkom, w Berlinie, Paryżu czy Amsterdamie i wybrać te, które chcieliby zakupić do prywatnych galerii.

– Do których nikt inny nie będzie mieć dostępu.

– Nie inaczej. Wtedy taki rąbnięty kolekcjoner schowa obraz do skarbca i będzie mu wystarczała sama świadomość posiadania arcydzieła.

Mona spazmatycznie złapała w płuca powietrze. Jej mózg wreszcie ruszył i nadrabiał opóźnienie.

– Zajebisty przekręt. I jeszcze miejsca udostępniły renomowane europejskie galerie. Policja, która poszukuje zaś owych skarbów od lat, teraz sama ich pilnuje. Ogarniasz? Zajebicie... – roześmiała się.

– Ciebie to bawi?

– Raczej kręci. Przyznaj, że pomysł jest przewrotnie genialny.

– Może.

– Na pewno! Ale jesteś pewna? Tak na sto procent? – Mona nie mogła usiedzieć w miejscu.

– Pamiętasz odszyfrowany tekst, który znalazłaś w laptopie ojca?

Mona kiwnęła głową.

– Możesz go pokazać?

Mona wywołała zdania na jednym z ekranów, które wisiały przed nią na ścianie.

– Kiedy wpłynie pozostałe 480 milionów, wysłane do odbiorców, przez ... kurierów. ... będą mieli 24 godziny, żeby dostarczyć towar do ..., ...nawet na drugim kontynencie.

– Teraz weź kartkę – poprosiła Eliza – i dodaj cyfry. Podam ci, na ile rynek antykwaryczny wycenił wartość tych dzieł: „Widok Auvers-sur-Oise” Cézanne’a, dwadzieścia pięć milionów dolarów; „Kongregacja opuszczająca Kościół reformowany w Nuenen” van Gogha, trzydzieści milionów; „Burza na jeziorze galilejskim” Rembrandta, czterdzieści pięć milionów; „Koncert” Vermeera, sto sześćdziesiąt pięć; Picasso: „Głowa arlekina”, trzydzieści pięć milionów dolarów i „Gołąb z zielonym groszkiem”, trzydzieści pięć. Na koniec „Portret młodzieńca” Rafaela Santi, sto czterdzieści pięć milionów dolarów. Ile wyszło razem?

– Czteryście osiemdziesiąt.

– Dodatkowe sto jeden milionów to suma będąca efektem licytacji poszczególnych dzieł.

– Matko przenantyściwsza – westchnęła Mona.

– To jest właśnie prawdziwa stawka tej gry. „Wenus z Witebska” była jedynie zasłoną dymną.

– Jeśli to prawda... – Mona potarła w zamyśleniu podbródek. Sekundę później wreszcie wszystko do niej dotarło. – Cholera, to jest prawda!

– Dziś rano dostałam mejla od Marca. Pół roku temu twój ojciec sporządził testament. Cała kolekcja została zapisana fundacji „Genne. Bezcenne”. Od pół roku jej prezesem jest Bratt Henry. Fundacja może do woli dysponować kolekcją, statut zaś jest tak skonstruowany, że prezes ma prawo nawet ją zlikwidować, a zgromadzone dzieła sprzedać, rozdać lub nawet spalić.

– Cholerne cwaniaki – cmoknęła Mona z zachwytem.

– Kiedy wystawa zostanie zamknięta, siedem obrazów trafi do nowych właścicieli. I ślad po nich znów zaginie.

– Musimy o tym powiedzieć Janie.

– Umówiłam się z nią na dzisiejsze popołudnie.

– Pięćset osiemdziesiąt jeden milionów – mruknęła Mona. – To nie jest góra, to Mount Everest szmalu, którego nie sięgają inne przekręty ostatnich stu lat.

Słyszając te słowa, Eliza zadała sobie w duchu pytanie, czy nie wikła się w coś, co ją przerasta o Mount Everest bezwzględności, przebiegłości i okrucieństwa? Jak one mają sobie z tym poradzić? Czy to nie był przypadek muchy, która chce zemścić się na człowieku, że zabił jej rodzinę jednym machnięciem packi?

URADOWANY MATEO zacisnął dłonie w pięści, gdy na planie Warszawy nieoczekiwanie zażółciła się dzielnica Bielany.

– Już prawie cię mam, suko – krzyknął do ekranu.

Selekcja sygnału MonaLizy zmierzała do finału. Sto trzydzieści tysięcy mieszkańców dzielnicy to było w sumie niewiele dla oprogramowania przeszukującego. Za czterdzieści osiem godzin powinien mieć dziwkę na widelcu.

Kiedy skończy pogoń, wyjedzie na narty. Wykupi tygodniowy pakiet w Austrii lub we Włoszech. Jak najdalej od kompa. Tylko on, narty i góry.

Uśmiechnął się na perspektywę takiego spędzenia czasu. A jak wróci, to znajdzie sobie spokojniejszą pracę. To już nie dla niego, był na to za stary. W końcu dzisiejszego ranka stuknęło mu dwadzieścia siedem lat.

MARZEC PRZEŁOŻYŁ na biurku kolejne zdjęcie sygnalityczne z akt śledztwa zabójstwa Dmitrija Leonowicza Mietielina. Dzięki dokładniejszemu przeszukaniu miejsca pochówku zwłok mafiosa odnaleziono jeszcze trzy ciała, których tożsamości na razie nie udało się ustalić. Być może byli to ochroniarze Rosjanina.

Analizując dotychczasowe ustalenia, EmEm wypisał na osobnej kartce wnioski, które zamierzał przekazać prowadzącym śledztwo. Poprosili, żeby zerknął do przyniesionych teczek, gdyż przez wiele lat zajmował się Rosnanem i jego powiązaniem ze światem przestępczym. Marzec zaczął od stwierdzenia, że sposób zlikwidowania Mietielina i jego syna jednoznacznie wskazuje, że było to wykonanie wyroku. Druga

sugestia podpowiadała, że najprawdopodobniej za tymi zabójstwami stał Rosnan. Najwięcej odniósł na nich korzyści. Na koniec Marzec podpowiedział, żeby śledczy zasugerowali prokuratorowi, że śmierć Mietielina warto podłączyć do zabójstwa historyka sztuki Zygmunta Janickiego i szwedzkiego marszanda polskiego pochodzenia, Leona Wileckiego. Wszystkie fakty podpowiadały, że porządkowano biznes lub też wyznaczano w nim nowe kierunki działania.

Odsunął od siebie akta. Dziś wieczorem spotka się z Janą, która podobno miała jakąś rewelację, na którą wpadła Eliza. Dlaczego nie chciała mu o tym powiedzieć przez telefon? Nie sądził, żeby ich rozmowy były podsłuchiwane, ale czasami, stwierdziła Jana, pewnych spraw nie da się wyjaśnić w paru słowach.

Zadzwoił wewnętrzny telefon. Podniósł słuchawkę.

– Jest dla ciebie poczta z FBI – głos Teresy, sekretarki wydziału, był nieco ponury, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Dzięki, już idę.

Wstał zza biurka i wyszedł na korytarz. Zbiegł schodami piętro niżej i bez pukania pchnął drzwi do sekretariatu wydziału.

– Dzwoniłaś, Moneypenny, że coś przyszło dla 007? – rzucił wesoło od progu.

– Owszem – burknęła Teresa. – Zostawili ci tylko dwa zera, a to może sugerować już tylko znak wejścia do kibla.

Dopiero teraz dostrzegł skwaszoną minę sekretarki.

– Co jest? – spytał.

– Znowu nie będzie premii. – Teresa zacisnęła usta, żeby nie przekląć.

Zrozumiał, że lepiej zmyć się z zasnuwającego się gradowymi chmurami miejsca. Wziął spięte zszywaczem kartki i wrócił do siebie na górę.

Cztery miesiące wcześniej, w ramach pomocy prawnej, wysłał przez Komendę Główną zapytanie do FBI. Amerykanie niezbyt się spieszyli.

Ale w końcu trzymał w ręku ich odpowiedź.

Usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać karty. Wynikało w nich, że Bratt Henry jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, urodził się 12 grudnia 1968 roku w Pensylwanii. Zaliczył cztery lata Massachusetts Institute of Technology, czyli w skrócie sławny MIT w Nowej Anglii. Na ostatnim roku specjalizował się w metodach wykorzystania studni kwantowych. Jednak w 2001 roku zniknął z uczelni. W roku 2006 FBI otrzymała informację, że Henry prawdopodobnie uczestniczył w zabójstwie znanego nowojorskiego maklera. Potem jego nazwisko pojawiło się w Turcji na giełdzie osób do wynajęcia. Podobno na koncie miał cztery zrealizowane kontrakty. Pracował sam, był perfekcjonistą. Od dwóch lat przebywał na terenie Europy Środkowo-Wschodniej. FBI, korzystając z okazji, zwróciło się do Polaków o bliższe szczegóły z ostatnich dwóch lat życia Bratta Henry'ego.

Marzec postanowił, że w odpowiedzi na tak błyskawiczną reakcję federalnych weźmie się za pisanie odpowiedzi najwcześniej za pół roku.

JANA WŁĄCZYŁA w komórce aplikację szyfrującą i wystukała na klawiaturze dziewięciocyfrowy numer.

- W czym mogę pomóc? - odezwał się w słuchawce obojętnoprzejmy głos automatycznej sekretarki.

- Libra 679 - wypowiedziała hasło.

Przez kilka sekund panowała cisza, aż wreszcie nastąpił dźwięk przełączenia, co znaczyło, że jej odcisk foniczny został zidentyfikowany. Tym razem sygnał oczekiwania był jakby czystszy. Odezwał się głos operatorki.

- Jesteś na linii wewnętrznej, Libra.

- Połącz mnie z Yoorge 726.

Ponowne kliknięcie.

- Witaj Libra. Dobrze, że dzwonisz. Jutro mieliśmy się z tobą skontaktować.

To nie był głos Yoorge.

- Jesteś moim nowym szefem? Nie poinformowano mnie o tym fakcie.

- Moje imię kodowe to Nestor 381. Yoorge wszedł do ścisłego kierownictwa Departamentu i chwilowo pełnię jego obowiązki. Masz z tym jakiś problem?

Coś tu nie grało. Jana usłyszała w pamięci zdecydowany głos Yoorge z ich ostatniej rozmowy, „Nie mam ochoty na papierkową robotę, gdyż dostaję od niej wysypki. Możesz być pewna, że nigdy mnie na nią nie namówią, więc nadal będę was gnębił”.

- Problem? Żaden.

- Z czym dzwonisz?

Jana miała opowiedzieć Yoorge o ustaleniach Elizy. Przypomniała sobie, że dziś rano na samochodzie siedziały trzy wrony. To było wyraźne ostrzeżenie. Czy dotyczyło Nestora? I pomyśleć, że dzisiejszego poranka, przed telefonem do Europolu, miała zamiar wysłać napisany w nocy raport, ale chwilowo coś zważyło się na łączach z serwerem pocztowym. To kolejny znak? Na szybko stworzyła niewinne kłamstwo.

- Chciałam się dowiedzieć, jakie są ostatnie ustalenia w sprawie śmierci Daniela, polskiego fałszerza, który wystąpił z Rosnanem w programie...

- Pamiętam. Nadal szukamy sprawcy. Doszliśmy do wniosku, że możemy szybciej trafić na jego ślad, gdy uda nam się przesłuchać Elizę Daniel i Monikę Korczyńską. Nie chcemy pokątnych rozmów, ale oficjalnego przesłuchania. Możesz je zorganizować w komendzie stołecznej?

W głowie Jany zapaliła się czerwona lampka.

- To chyba nie będzie możliwe.

- Bo?

- Ktoś jedną z nich próbował zabić i dziewczyny zniknęły.

- Podobno jesteś z nimi blisko – stwierdził sucho Nestor.

- Może uznały, że należy to zmienić. - Jana odbiła piłeczkę. - Od paru dni nie mam od nich żadnego znaku życia.

- Znajdź je. Kiedy już namierzysz, daj mi znać.

- Jasne. Kończę połączenie.

- Do usłyszenia, Jano.

- Libra 679204.

Ostatnie zdanie było sygnałem dla automatycznego czyściciela, żeby zaczął usuwać na łączach zewnętrznych ślady przeprowadzonej rozmowy.

Pozostało 20 dni

Eliza weszła do pokoju z dwiema filiżankami herbaty. Miała zaczerwienione oczy, co wskazywało, że kiepsko spała.

- Też przewracałam się z boku na bok. - Mona pokiwała ze zrozumieniem głową. - Przez cały czas myślałam o wszystkim, co dotąd nas spotkało i co odkryłyśmy. I podjęłam decyzję.

- Jaką? - spytała Eliza.

- Że okradniemy Stedelijk Museum.

Elizę zamurowało. Filiżanki w jej ręku niebezpiecznie zabrzęczały.

- Zwariowałaś? My?

- Konkretnie ty. - Mona wskazała na nią palcem.

- Na pewno jakiś czas temu miałaś tylko uraz nogi?

- Już to przemyślałam. - Mona rozparła się wygodniej na krześle. - Ojciec chciał wiedzieć wszystko o każdym muzeum, w którym gościła kolekcja. Zwłaszcza interesowały go systemy ochronne. Spytałam go kiedyś, czy zamiast „Wenus z Witebska” nie zamierza przypadkiem wystawiać Leonarda da Vinci, gdyż szuka najlepiej strzeżonych muzeów. Wiesz, co mi odpowiedział?

- Co?

- „Być może”. Wtedy uznałam to za kpinę, ale teraz wiem, co rzeczywiście miał na myśli. To kolejny dowód, że twoje odkrycie ma sens. A co ci powiedziała Jana?

Eliza skrzywiła się. Telefon od policjantki wyrwał ją rano z niespokojnego snu, w który zapadła nad ranem po godzinach przewracania się z boku na bok.

- Europol na razie nie tknie tej sprawy. Powiedziała coś jeszcze. Ponieważ boi się, że może być śledzona zarówno fizycznie, jak i elektronicznie, wszelkie kontakty mamy prowadzić przez Marca, a i to tylko w sytuacjach alarmowych.

W pokoju na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Wreszcie odezwała się Eliza.

- Mówisz, że powinniśmy okraść muzeum. Dlaczego?

- Wiesz doskonale. - Mona popatrzyła na przyjaciółkę z ironią. - Naprawdę chcesz, by tych siedem obrazów znów zniknęło z powierzchni ziemi? I by ci, którzy zabili naszych ojców nie ponieśli za to kary?

- Pewno, że chcę, żeby zgnili w więzieniu - zdenerwowała się Eliza. - Najchętniej sama bym zamknęła za nimi drzwi cel i najlepiej, żeby to było jakieś białoruskie więzienie czy ruskie łagry.

Jana, mówiąc jej o tym, że ciało ojca wyłowiono z jednego z amsterdamskich kanałów, próbowała złagodzić informację zapewnieniem, że nie żył, kiedy wrzucono go do wody. Że wcześniej podejrznięto mu gardło. To był jeden z obrazów, który nie pozwolił Elizie zasnąć tej nocy. Myślała i analizowała wszystko, co było związane z Rosnanem, jej ojcem i Brattem Henrym. Była przekonana, że to on zabił obu. Pytanie, dlaczego?

- Myślałam o tym w nocy. I doszłam do pewnych wniosków - powiedziała cicho. Jej dłoń nieświadomie wykonywała ruchy, jakby wygładzała na stole nieistniejące fałdki nieistniejącej serwety. - Henry zabił mojego ojca, bo pewnie chciał go usunąć z drogi. Ciekawsze jest to, że zabił swojego szefa. Dlaczego? Torturował go, ale twój ojciec nagle zmarł na zawał. Zapewne zanim powiedział zabójcy, to czego on chciał. Czyli Bratt wciąż szuka tej informacji. I nagle zainteresował się mną. Dlaczego? Z zemsty? - pokręciła głową. - Bzdura. Tacy ludzie nie zabijają z powodu zasmarkanych emocji.

Mona pochyliła się do przodu, patrząc z napięciem na Elizę. Czowała, że nie spodoba się jej wynik nocnych kombinacji myślowych

przyjaciółki.

– Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest to, że Henry chce z nas wyciągnąć coś, czego nie udało mu się dowiedzieć od Rosnana. Co to może być, kombinowałam. I wtedy przypomniałam sobie pokój hotelowy w Waldorf Astorii, gdy dawałam ci dostęp do laptopa, żebyś mogła przekierować pieniądze. Na konto, na które miało wpłynąć 101 milionów dolarów, a do którego hasło znał tylko Rosnan... I ty. A teraz jeszcze moment i zaczną sphywać kolejne transze 480 milionów. Jeśli Bratt nie pozna do niego hasła do dnia, kiedy cała suma się scali, to pieniądze przejdą Afgańczykom koło nosa – zadrwiła Eliza. – A wtedy ludzie, którzy go wynajęli, urwą mu wredny łeb. On musi cię złapać, Mona. A ja wiem, jak go dopaść, zanim on nas namierzy. I dlatego tak sobie teraz myślę, że to wymyślone przez ciebie włamanie to nie najgorszy pomysł. Tylko... – Eliza popatrzyła na Monę, unosząc brwi. – Jak my to zrobimy? Czy to w ogóle możliwe?

Mona przez chwilę przetrawiała informacje Elizy. Polował na nie bezlitosny morderca i z pewnością z tego nie zrezygnuje. Stawka była zbyt wysoka. No cóż, zawsze chciała zrobić w życiu coś ważnego, coś wielkiego. Teraz ma, kurna, okazję. Odetchnęła głęboko.

Podeszła do drukarki i wyciągnęła wydruk ostatnich informacji, które znalazła na stronie Fundacji „Cenne. Bezcenne”. Wynikało z nich, że organizacja wystąpiła do amsterdamskiej prokuratury o przekazanie kolekcji Rosnana jej pełnomocnikowi po zamknięciu wystawy. Ponieważ 29 marca wypada w niedzielę, zaproponowano odebranie ekspozycji 30, w poniedziałek. Wstępnie prokuratura wyraziła na to zgodę.

– Mówiłam ci, że ojciec chciał, żebym sprawdziła każde muzeum od piwnicy po strych. Bardzo w tym było pomocne zajrzenie do Darknetu.

– Trochę o nim słyzałam. Ale chyba były to same nieprawdy. – Eliza spojrzęła pytająco na przyjaciółkę.

– Dark jest podziemnym terenem łowieckim i zapleczem informacyjnym dla elity geeków, technoświrów, hakerów, koderów czy

też sekurokratów.

– Sekuro... co?

– Taki gostek wywodzi się ze służb wywiadowczych wojska lub policji i zza kulis wpływa na politykę własnego rządu.

– Już się go boję – mruknęła Eliza.

– Szacuje się, że Darknet jest o wiele większy niż ten oficjalny, googlowy. Korzystają z niego wszyscy, od polityków, uciekinierów, detektywów poczynając, przez służby specjalne, hakerów, handlarzy bronią, narkotykami, aż po płatnych morderców, pedofilów, alfonsów, złodziei i oszustów. Jest tam również nieliczna grupa ludzi, którzy z jakiegoś powodu chcą w tym świecie pozostać anonimowi. Prócz nich znajdziesz doradców od zakładania hodowli bootnetów lub edytorów kodów źródłowych większości z buszujących w sieci wirusów, oczywiście tylko tych starszych. – Zamilkła na dłuższą chwilę. – Zagłędałam tam wcześniej, zanim zaczęłam współpracować z lewakami. Pewnego dnia poznałam tam Sen_Nicka. Wtedy wszystko miało smak tajemnej przygody i ludzie sobie wierzyli. Dziś to już niemożliwe. Na strony Darknetu wkraść się biznes. Użytkownicy zaczęli patrzeć na siebie podejrzliwie. – Westchnęła ze smutkiem. – Tak czy inaczej, ponieważ na oficjalnych stronach nie mogłam ugryźć tematu zabezpieczenia muzeum... – wzruszyła ramionami.

–Zajrzałaś więc na ciemną stronę mocy – dokończyła Eliza. – Nie bałaś się, że ktoś mógłby wykryć, czym się interesujesz?

– Przez ostatnie kilka lat, posługując się międzynarodowymi ustaleniami prawnymi, ustawami o ochronie danych i własną wiedzą, zmusiłam innych lub sama usunęłam wszystkie ślady mojej obecności w necie. Nie znajdziesz tam żadnego mojego konta, rachunku, numeru prawka, nic pomnożone przez NIC. Moje adresy IP są maskowane i szyfrowane, by uniknąć wykrycia. Jestem niewidzialna. Może dlatego odkryłam wiele ciekawych rzeczy.

– Rozpracowałaś dla ojca Stedelijk? – stwierdziła Eliza.

- Po ośmiu latach remontu muzeum zostało otwarte w końcu września 2012 roku. Na początku 2013 wokół wystawianych ekspozycji zrobiło się głośno. Sen_Nick włamał się do systemu komputerowego i stworzył wirtualną mapę przejścia, lub jak kto woli ominięcia zabezpieczeń. Ale wszyscy potraktowali go jak oszołoma, który chce kasę za swoje rewelacje. W końcu byle chmyt nie będzie gadał poważnym ludziom, że wydane przez nich na komputerową osłonę setki tysięcy euro poszły na marne. Sen_Nicka pogoniono, a komputerowi eksperci dokonali kosmetycznych zmian. Tak więc mapa Sen_Nicka podpowie, jak bezpiecznie dotrzeć do sal, gdzie jest interesująca nas wystawa.

- A jeśli do tej pory coś zmieniono w zabezpieczeniach?

- Dwa miesiące temu zastukałam do Snu. Okazało się, że zabezpieczenia podmieniono w taki sposób, że system działający w strefie „A” przeniesiono do strefy „D”, te z „E” trafiły w miejsce „G” i tak dalej. Nie było już kasy na przeprogramowanie całości, a najwidoczniej ktoś przejął się ustaleniami hakera. Potem wszystko odłożono do poprawy na... święty nigdy. Mamy do dyspozycji wszystkie klucze. Tylko na koniec same musimy poradzić sobie z przejściem przez służę wysokiego bezpieczeństwa, którą na żądanie i za dodatkową opłatą Rosnana dodano przed salami z wystawionymi obrazami „Sztuki fałszerzy...”. Możemy więc to zrobić.

MATEO ZADZWONIŁ do Bratta Henryka koło ósmej rano.

- Mam ją.

- Będę u ciebie wieczorem.

- Teraz jest najlepsza pora.

Na krótką chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- W porządku, za godzinę.

Tylko tyle. Rozległ się sygnał przerwanej rozmowy. Godzinę później zjawił się Bratt. Mateo zszedł na dół i spotkali się na ulicy.

Pierwszym błędem, który popełnił Mateo, było to, że choć zadał sobie pytanie, dlaczego Bratt nie przyjechał swoim samochodem, to niezbyt starannie szukał prawidłowej odpowiedzi. Po prostu bezkrytycznie zgodził się z przypuszczeniem, że Amerykaninowi nawaliło auto.

Obaj wsiedli do volva Matea.

– Byłem już tam wczoraj – odwrócił się do siedzącego obok Bratta.

– U niej?

– W bloku, skąd wychodzi sygnał, ale po nocy to nie jest robota. Antena jest na dachu – wskazał za siebie na tylne siedzenie. – MonaLizę namierzymy z laptopa, skalując siłą sygnału. Dlatego nalegałem. – Był przekonany, że powinien wyjaśnić, dlaczego jadą rano. – Tacy jak ona przez całą noc buszują w sieci. Rano najczęściej śpią, choć ich komputery nadal są włączone. Można więc założyć, że naruszenie bezpieczeństwa nie zostanie zauważone.

– Masz rację. – Amerykanin kiwnął głową.

To było tylko tyle, jeśli chodzi o pochwałę. Ale Mateo miał to gdzieś. Wolał, żeby pochwała przełożyła się na podwyżkę w ich ostatnim rozliczeniu. Miał nadzieję, że tak się stanie po zgaszeniu ostatniej „lampy”. Nie wiedzieć czemu Mateo zakładał, że Bratt powinien honorować zobowiązania, które wziął na siebie Rosnan.

Kiedy znaleźli się przed celem, Amerykanin poprosił, żeby Mateo ustawił samochód na pobliskim parkingu, a nie przy krawężniku na ulicy na wprost.

Drugi błąd wynikał z tego, że Mateo powinien się zastanowić, dlaczego Brattowi zależy, żeby auto nie było na widoku.

Wysiedli z samochodu i poszli w stronę bloku. Kiedy znaleźli się na klatce schodowej, przywołali windę, która zawiozła ich na dziesiąte piętro. Mateo stworzył kłódkę, którą założył na właz prowadzący na dach budynku.

– Na wszelki wypadek – uśmiechnął się cwanie – żeby nikt nie wszedł nam w paradę.

Wspięli się po stalowych szczeblach i wyszli na koronę wieżowca. Uderzył w nich ostry, zimny wiatr. Niemal równocześnie podnieśli kolnierze kurtek. Mateo wskazał na niepozorny talerz, który mógł być wzięty za odbiornik telewizji satelitarnej.

– To jest antena jej „lampy”. Wczoraj nie mogłem sobie odmówić namierzenia tej dziwki – postąpił kilka kroków na brzegu budynku. Potem wskazał w dole na dach komendy. – To cwana sztuka. Na wieżowcu założyła antenę, ale przekaźnik ukryła na dachu psiej budy – wskazał na budynek policji. – Jak tam się dostała, cholera wie.

Bratt poczuł złość. Czyżby marnował tyle czasu, żeby obejrzyć pieprzony talerz łącza?

– Przez całą noc kombinowałem, jak mimo to ją dopaść i coś wymyśliłem – Mateo uśmiechnął się szeroko. – Odpowiedź znalazłem w jej głupocie.

– Możesz jaśniej?

– Sygnał, który docierał i wychodził ze wszystkich „lamp” był kodowany, zatem mogliśmy dojść do poszczególnych nadajników tylko po separacji wytwarzanego przez nie echa. Inaczej jest z ostatnią „lampą”. MonaLiza musiała zostawić ją niezakodowaną, by odróżnić od pozostałych i nadać status matki. Co to nam daje? Otóż mając charakterystykę sygnału wysyłanego przez komp MonaLizy, możemy się do niej włamać bez jej wiedzy. – Niezadowolenie znikło z twarzy Amerykanina. Mateo odetchnął. – Tak więc, stojąc za jej plecami, możemy podejrzeć wszystko, co aktualnie robi na ekranie własnego kompa – zaśmiał się głośno. – Nie będziemy słyszeli ścieżki dźwiękowej, ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę możemy podpatrywać, co robi. Jak to się panu podoba?

– W porządku.

– Jak powiedziałem przez telefon – zrobił dumną minę i wypiął pierś, jakby oczekiwał, że Amerykanin za chwilę przypnie mu medal – to koniec MonaLizy. – Mateo otworzył laptopa i po chwili na ekranie pojawiła się w czasie rzeczywistym kopia ekranu MonaLizy. – Jedyny

mankament jest taki, że trzeba być nie dalej niż kilometr od jej komputera. – Wręczył laptopa Brattowi.

Trzecim błędem Matea było założenie, że może być jeszcze Amerykaninowi do czegoś potrzebny.

– Co teraz, kiedy mamy ją na widelcu? – spytał haker.

Bratt wzruszył obojętnie ramionami i sięgnął pod marynarkę.

– Nie będziesz mi już potrzebny.

Wyjął pistolet i błyskawicznie przyłożył go do głowy Matea. Nim ten zdążył otworzyć usta, pociągnął za spust.

Dokręcony do lufy tłumik stonował odgłos wystrzału. W powietrze uderzyło suche plaśnięcie.

Spojrzenie oczu Matea zmętniało, a dłonie nie miały siły unieść się do czaszki, którą rozsadził potworny ból. W końcu zamknął oczy. Najpierw uderzył kolanami o lód, który pokrywał dach. Potem przewrócił się bezwładnie na bok. Parę sekund później wokół jego głowy wykwitła niewielka czerwona plama. Jednak jej brzegi zmroził zimny wiatr.

Bratt złapał trupa za kołnierz i zaciągnął między dwa podłużne kominy wentylacyjne. Teraz gdyby nawet ktoś tu wszedł, nie dostrzeże nieboszczyka od razu. Wyciągnął z kieszeni Biblię i przeczytał przypadkowy fragment, który przepełnił jego serce spokojem. „Nie postępuje z nami według grzechów naszych ani nie odpłaca nam według win naszych. Lecz jak wysoko jest niebo nad ziemią, tak wielka jest dobroć jego dla tych, którzy się go boją. Jak daleko jest wschód od zachodu, tak oddalił od nas występki nasze”.¹⁹

Na koniec rozgarnął nogą na boki zmrożoną niewielką kałużę krwi.

Zszedł z dachu i nim zsunął się z metalowych szczebli na betonową posadzkę poddasza, zamknął właz na klucz, który Mateo zostawił w kłódce.

Pięć minut później wyszedł z bloku, nikogo nie napotykając po drodze. Przyszło mu do głowy, że najwyraźniej Pan pokierował jego krokami, że wcześniej nie dopadł uciekającej Elizy. Jej śmierć miała być

jedną z kart przetargowych. Teraz miał znacznie silniejsze atuty i Eliza Daniel była mu chwilowo zbędna. Jednak obiecał sobie, że po wszystkim wyrówna z nią rachunki. Dotąd jeszcze nikt mu nie uciekł i ta świadomość boleśnie go uwierała. Ale na razie... Było mu też obojętne, że Mona może zmienić konto, na które spłynę kilkadziesiąt milionów. Mając stały podgląd ekranu laptopa córki Rosnana, dowie się wszystkiego, włącznie z hasłem dostępowym do 480 milionów dolarów.

ELIZA I MONA nałożyły na głowy helmy Cyber World, które przenosiły użytkownika w świat rzeczywistości wirtualnej. Elizę otoczyła realna trójwymiarowa rzeczywistość amsterdamskiego muzeum.

– Jak to możliwe? – zatoczyła łuk ręką. – Stoję tu, mogę chodzić, mam wrażenie, że czuję posadzkę pod stopami, mogę biec..., a przynajmniej wydaje mi się, że mogłabym to zrobić. To, co wokół widzę, nie różni się niczym od chwili, gdy w realu przekroczyłam próg muzeum.

– To przez opaski Maya. Rozmieszczone na przegubach dłoni i nóg stymulują mięśnie elektrycznymi mikroimpulsami. Te trafiają do mózgu i w efekcie odnosisz wrażenie chodzenia czy dotykania przedmiotów.

– Niesamowite. Iluzja jest genialna – nie mogła się nadziwić.

– Z amsterdamskiego muzeum ściągnęłam program wirtualnej podróży po salach wystawowych – dopowiedziała Mona. – Sen_Nick uzupełnił całość swoimi plikami. Oprogramowanie pozwala wykorzystać nowe technologie i daje się zastosować do hełmów Cybera... Zanim zapytasz, skąd je mam, od razu odpowiem, że ktoś je dla mnie ukradł.

– Bo cię lubi?

– Bo lubi forszę – stwierdziła Mona – a ja obiecałam mu za przysługę i szybkość działania trzydzieści tysięcy zielonych.

– Uwierzył.

– Jak widzisz, zawsze w życiu warto dotrzymywać słowa, a dotąd klient jeszcze się na mnie nie zawiódł. Co tak patrzysz na Cyber gogle?

To, że nie słyszałaś o tej technologii, nie oznacza, że nie istnieje.

– Ja nie dlatego – sapnęła zafascynowana Eliza. Przez dłuższy czas spoglądała na swojego awatara. – Wyglądam jak plastikowa lalka Barbie.

– Fakt, jesteś tu i ówdzie zaokrąglona.

– Myślę o wrażeniu plastikowości skóry, a nie swoich kilogramach.

– Nie miałam czasu wgrać do programu twojej charakterystyki plus fotek, więc wybrałam awatary z podstawowego zestawu.

Rzeczywiście, mijający ich zwiedzający wyglądali, jakby zerwali się z balu mechanicznych lalek wytwórcy, który dysponował jedną matrycą.

Plastikowa Eliza przesunęła w powietrzu dłonią, jakby odsłaniała niewidzialną zasłonę i w przestrzeni przed awatarem pojawił się trójwymiarowy obraz gmachu Stedelijk Museum. Można nim było dowolnie obracać, oglądać z każdej strony, jak też po zastosowaniu powiększenia zajrzeć do wybranych sal.

Do awatara Elizy dołączył avatar Mony.

– W podziemiach, pod centralną częścią budynku, jest biblioteka, czytelnia oraz centrum monitorowania, z urzędującymi tam strażnikami z ochrony muzeum. Parter oglądałaś chwilę wcześniej. Na parterze i pierwszym piętrze zgromadzono dzieła artystów, którzy wytyczali lub wytyczają nowe kierunki we współczesnym malarstwie i rzeźbie. W południowo-wschodnim skrzydle, w trzech salach wystawiono „Sztukę fałszerzy...” Poczekaj moment. Zaraz wracam.

Mona rozplynęła się w powietrzu. Równocześnie rozległ się cichy szelest, jakby parkiet posypano suchym piaskiem. Po czym znów coś zaszeleściło i obraz Mony powstał ze scalających się drobin przez Elizę.

– Awaria?

– Niezupełnie. – Mona wskazała na mijających ich w szybszym tempie zwiedzających. – Podkręciłam upływ czasu i zmieniłam lokację.

Znalazły się na pierwszym piętrze w jednej z sal obok instalacji nazwanej „Museless”, grupie figur. Wyrzeźbiony artysta spoglądał na ustawione na sztalugach puste płótno i wyglądało jakby cierpiał na

niemoc twórczą. Stojące za plecami malarza trzy kobiety Eliza nie utożsamiała z muzami, które skąpią twórcy natchnienia, lecz z roześmianymi dziewczynami, które przeszkadzają w pracy. Ale może to była tylko jej nadinterpretacja?

Ruszyła za Moną między kolejne eksponaty. Wkrótce otaczające ich awatary zwiedzających zniknęły. Przygasły górne światła. Za oknami zapadł zmierzch, a mrok zaczęły rozpraszać zapalające się przy listwach podłogowych światła. Nastąpiła noc. Jednak dzięki liniom, które świeciły w padającym z góry ultrafioletowym świetle, nadal można było dobrze orientować się w przestrzeni.

Przeszły przez dziesięciometrowy prosty odcinek, na którego ścianach widniały imiona i nazwiska największych światowych fałszerzy. Na jego końcu korytarz skręcał w lewo i zaczynała się śluza bezpieczeństwa. Przestrzeń przed nimi migotliwie przecinały poprzeczne promienie laserowego światła.

– To system elektronicznej ochrony, który umieszczono na żądanie polskiego wystawcy. Holendrzy spełnili tę prośbę, zwłaszcza, że za urządzenia ochronne zapłacił Rosnan.

Świetlny pokaz był tajemniczy i nieco ekscytujący. Mona zrobiła krok do przodu i przecięła dłonią jeden z promieni. Ten z niebieskiego zrobił się czerwony i wokół zaczęły rozbrzmiewać dzwonki alarmowe. Przez ogólny hałas do Elizy dotarło wołanie Mony:

– Wychodzimy.

Eliza ściągnęła z głowy hełm multimedialny. Ogarnęła ją błoga cisza. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że są w mieszkaniu Mony. Poczowała się nieco dezorientowana. Zdjęła z przegubów dłoni i nóg opaski sensoryczne Maya. Coś stuknęło w przedpokoju. Zerknęła wystraszona w stronę drzwi.

Była niemal pewna, że za moment zobaczy policjantów z wycelowaną w nie bronią. Jednak w progu ukazał się jedynie Minio i szeroko ziewnął.

Elizie przyszło do głowy, że powinna coś zrobić ze swoimi nerwami. Ostatnio coraz częściej ją zawodziły. Tak dłużej się nie da. Musi się zrelaksować i odprężyć. Jeśli tego nie zrobi, pewnego dnia eksploduje niczym bomba z opóźnionym zapłonem.

Pozostało 16 dni

Od dwóch dni dziewczyny niemal się nie rozdzielały. Jedynie wieczorem Eliza szła do sypialni, Mona zaś jeszcze długo w noc pracowała przy komputerze.

Wystarczyło, żeby Eliza tylko przyłożyła głowę do poduszki, a zmęczona natychmiast usypiała. Niestety, wtedy też nie odpoczywała, bo śniło jej się to samo, co ćwiczyła z Moną w ciągu dnia.

Czasami dopadały ją koszmary. Biegła schyłona po muzeum i jak to w zwariowanym śnie, gdzie wszystko dzieje się na opak, żeby nie zostać zauważoną, musiała się wyprostować. Nie mogła jednak w żaden sposób tego zrobić. Strażnik był coraz bliżej, a ona bezradnie mocowała się z ciężarem, który przyginał jej plecy. Potem rozlegały się dzwonki alarmowe, nadbiegali strażnicy i każdy z nich celował w jej głowę z pistoletu. W końcu z ich szeregu wychodził zamaskowany oprawca z nożem w lewej dłoni, żeby poderżnąć jej gardło. Wtedy przykurcz mijał. Prostowało ją do pionu, ale tym razem właśnie tylko schylenie mogło uratować jej życie.

Niekiedy budziła się zdyszana w środku nocy. Żeby uspokoić nerwy, patrzyła w ciemny sufit, na którym świecąca w okno latarnia zapalała przedziwne esy floresy. W takich chwilach myślała o matce i ojcu. Wyobrażała sobie, że znowu jest małą dziewczynką i rodzice siedzą przy jej łóżeczku. Wtedy czuła się bezpiecznie i wreszcie spokojnie usypiała.

Niektóre noce były bardziej męczące od dnia, chociaż w dzień też się nie oszczędzała. Rano, przy śniadaniu patrzyła na zmęczoną twarz Mony. Jej ściągnięte rysy zdradzały, że jeśli nawet spała, to na pewno nie dłużej niż dwie, trzy godziny.

MONA WESZŁA do zakładu usługowego, gdzie zamówiła ramy ze szkłem do obrazu o wymiarach trzydzieści dziewięć na pięćdziesiąt cztery centymetry. Tej sprawy wolała nie zlecać Elizie, która musiała się skupić tylko na jednym – wypracowaniu niemal automatycznych odruchów, żeby przejść niezauważona przez sale muzealne.

Przy drzwiach zadźwięczał dzwonek. Zza przepierzenia wyjrzał właściciel.

– Pani w sprawie tych ram?

Kiwnęła potakująco głową.

– Momencik.

Zniknął na zapleczu. Pojawił się minutę później.

– Gotowe – położył na szerokim blacie ramy z wprawionym w nie szkłem.

Mona na wszelki wypadek sprawdziła grubość szybki. Musiała mieć dokładnie dwa milimetry. Suwmiarka pokazała, że wszystko się zgadza.

– Ile?

– Jak ustaliliśmy, czterysta pięćdziesiąt.

Mona wyliczyła pieniądze. Potem włożyła ramy do przygotowanej torby z grubego papieru pakowego.

– POWTÓRZMY OD POCZĄTKU – Mona wywołała na największym monitorze obraz amsterdamskiego muzeum. – Godzina zero pięćdziesiąt w nocy. Wchodzisz do muzeum wejściem „N”, od strony pobliskiego Muzeum van Gogha w południowo-wschodnim narożniku Stedelijk. – Dotknęła laserowym znacznikiem powierzchni ekranu, na którym widniał plan. – Znajdujące się tam drzwi otworzą przez system ochrony, do którego dopiszę się jako administrator, przez co będę mogła działać niezauważona w tle. Nim się przy nich pojawisz zapętłę obraz filmowany przez dwie pobliskie kamery zewnętrzne, które w polu widzenia między innymi mają wejście. Przechodzisz pierwsze drzwi. Przed tobą niewielki przedsionek i kolejne drzwi. Te prowadzą do

głównego lobby pod bryłą imitującą wannę, którą dobudowano do frontu starego gmachu Stedelijk.

- Po wejściu do muzeum, w przedsionku za przepierzeniem, na którym wisi informacja o godzinach otwarcia, zdejmuję kurtkę i spodnie. - Podjęła wątek Eliza - Mam na sobie ciemny trykotowy strój. Na dłoniach tego samego koloru lateksowe rękawiczki. Na twarz maskę z nylonu z otworami na oczy, usta i nos. Powieki i nos zaczerniam tuszem.

- Otwieram ci drugie drzwi do głównego lobby.

- Po wejściu na hol i przeczekaniu strażnika biegnę schodami na pierwsze piętro. - Eliza powtórzyła wyuczoną lekcję.

- Wróc. O czymś zapomniałaś.

- Prawda, po przejściu przez drugie drzwi do lobby blokuję zamek elektroniczny sreberkiem od gumy do żucia, żeby w drodze powrotnej móc je otworzyć bez potrzeby czekania aż uruchamiasz system.

- W lobby, po lewej stronie jest duże stoisko księgarskie. To twój pierwszy przystanek. Dokładnie o pierwszej piętnaście ze starego budynku wyjdzie strażnik kończący obchód. Chwilę potem minie ciebie i zejdzie do podziemi schodami, które znajdują się obok stoisk z książkami.

Pół godziny później skończyły omawianie całej trasy.

- Zrobisz kawę? - spytała Mona.

- Nie za dużo ostatnio jej pijesz?

- Jeszcze tylko parę dni.

Eliza poszła do kuchni. Przygotowała filiżanki. Włączyła czajnik z wodą. Zorientowała się, że zostawiła komórkę w gabinecie. Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, zobaczyła, jak Mona coś łyka i popija alkoholem. Ich spojrzenia spotkały się.

- Przyszłam po komórkę - powiedziała Eliza, jakby chciała się usprawiedliwić.

– A ja łyknęłam trochę amfetaminy, żeby dociągnąć do wieczora. Nie martw się – Mona zmusiła się do uśmiechu. – Nie biorę tego często. Tylko kiedy jest napinka, a szare komórki muszą zasuwać na najwyższych obrotach.

Eliza wróciła do kuchni i naląła do filiżanek kawę. Przeniosła je do gabinetu. Usiadła za biurkiem.

– Długo bierzesz?

– Nie nazwałabym tego braniem.

– Długo?

– Czasem muszę się podkręcić, żeby coś wyszło na tysiąc procent. Ale nie jestem nałogowcem. Wierz mi, wiem coś o uzależnieniach.

Eliza nie skomentowała tego ostatniego stwierdzenia przyjaciółki, tylko twardo i krótko spojrzała jej w oczy.

– Po wszystkim musisz z tym skończyć.

Powiedziała zdecydowanie i po raz kolejny zaczęła powtarzać poszczególne etapy przejścia Stedelijk Museum.

Dwa dni później nie musiała już tego robić. Znała wszystko na pamięć. Poza tym na czapce będzie miała umieszczoną kamerę, więc Mona także będzie monitorowała otoczenie i pokonywaną trasę. W przypadku jakiegokolwiek obsuwy zmieni się w suflerkę, która podpowie, jak wydostać się z ewentualnych kłopotów.

BRATT HENRY zatrzymał samochód przed bramą wjazdową do willi w Wilanowie. Gospodarz najwyraźniej spodziewał się jego przyjazdu, gdyż wkrótce oba jej skrzydła drgnęły i odchyliły się na boki. Zajechał na szeroki podjazd wysypany białym grysikiem.

Wysiadł z auta, zostawiając samochód wprost przed drzwiami wejściowymi. Wbiegł po paru stopniach. Wszedł do środka obszernego holu, wyłożonego szarym marmurem. Za każdą wizytą miał wrażenie, że znalazł się w wielkim rodzinnym grobowcu. W głębi widniały szerokie przeszklone drzwi, które prowadziły do głównego salonu, a

dalej przez taras do ogrodu. Po obu stronach holu znajdowały się szerokie schody prowadzące na pierwsze piętro.

Ruszył w stronę zwykłych drzwi na lewo od wejścia. Dwie kamery skierowały na niego owadzie głowy. Na drzwiach nie było klamki. Kiedy jednak do nich dochodził, elektryczny zamek zwolnił zapadki. Z drugiej strony znajdowała się klatka schodowa, która sprowadziła go na poziom minus jeden przed kolejne drzwi. Te również otworzył automat.

Przeszedł przez korytarz i wkrótce znalazł się w sali, w której wokół ścian stały nowoczesne maszyny poligraficzne. Podziemie było duże, rozciągało się pod całym budynkiem oraz podjazdem. Mieściło się na nim pięćdziesiąt samochodów gości zaproszonych na przykład na imieniny gospodarza, który był jednym z bardziej znanych warszawskich jubilerów i gemmologów.

Zza jednej z maszyn wyszedł stosunkowo młody mężczyzna o lekko siwiejącej brodzie.

– Paszport jest gotowy – gospodarz wskazał ruchem głowy, żeby Bratt za nim poszedł.

Wkrótce znaleźli się na tyłach podziemnego kompleksu. Gospodarz miał ksywę Kasjer, gdyż nigdy nie mylił się przy liczeniu pieniędzy za podrabiane przez siebie dokumenty. Chodziła nawet pogłoska, że swego czasu ABW zwróciła się do niego o konsultacje w wykonaniu kilku paszportów ludzi, którzy mieli być przerzuceni do Arabii Saudyjskiej. Mogło być w tym wiele prawdy, gdyż Kasjer był prawdziwym mistrzem.

– Jak dowody osobiste, które niedawno dla ciebie zrobiłem? – spytał Kasjer, nie odwracając głowy.

– W porządku – mruknął Henry. – Nie mam z nimi kłopotów.

Na oba wynajął samochody. Pierwszy utopił z Danielem w amsterdamskim kanale, a drugi rozbił, gdy ścigał Elizę.

Weszli do dużego gabinetu.

Kasjer popełnił pierwszy błąd w chwili, gdy przyjął zlecenie od Amerykanina – nie wziął pod uwagę, że tacy jak Bratt Henry z reguły wolą, żeby ludzie niewiele o nich wiedzieli. Błąd kolejny wynikał z tego,

że Kasjer od lat tworzył archiwum ludzi, którzy korzystali z jego usług. To miało być gwarancją jego bezpieczeństwa. Jednak w przypadku Amerykanina owa kalkulacja była całkowicie nietrafiona.

Gospodarz sięgnął do wmurowanego w ścianę sejf. Otworzył go i chwilę potem trzymał w dłoni paszport kanadyjski na nazwisko Ray Abbot oraz belgijski na Brian van Hood.

– Osiem tysięcy dolarów – powiedział, obojętnie rzucając dokumenty na biurko.

– Miało być po trzy za sztukę.

– Nieprzewidziane trudności i wyszło drożej.

Kasjer miał jedną wadę. Jeśli mógł od klienta wydusić choćby dziesięć dolców więcej, nigdy nie przepuszczał okazji. A tego klienta, o czym był przekonany, mógł skubnąć na znacznie wyższą sumę.

Bratt rozsunął palcem paszporty.

– Wychodzi jeden po...

– Cztery tysiące.

Henry westchnął, jakby chciał powiedzieć „trudno”,

Kasjer zaś po raz kolejny przekonał się, że stawiany pod ścianą klient nigdy nie ma wyboru.

Amerykanin sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Jednak zamiast pieniędzy wyjął pistolet z wkręconym tłumikiem. W wyjmowaniu broni z kabury i oddawaniu błyskawicznego strzału był takim samym mistrzem, co Kasjer w podrabianiu dokumentów. Z tego też powodu gospodarz nie zdążył nawet wydusić z siebie zdziwionego westchnienia. Na środku czoła wykwił krwawy otwór, z którego po chwili wyciekła krew. Cienkim strumykiem popłynęła między brwiami i dotarła do czubka nosa. Kasjer stał nieruchomo, jakby po trosze zdziwiony i zaskoczony. Wreszcie westchnął boleśnie i upadł za biurko.

Trzecim i w sumie najważniejszym błędem Kasjera było przekonanie, że nikt nie odważy się podnieść na niego ręki, gdyż wszyscy goście byli filmowani przez system kamer. Były rozmieszone

przy bramie wjazdowej, holu głównym, drzwiach prowadzących do podziemi i jeszcze w kilku innych miejscach. Tylko że Kasjer nie wiedział, że człowiek, którego rok temu wynajął, by przeprojektował i unowocześnił system ochronny, pracował dla Rosnana. Mateo na polecenie Bratta zbudował tylne drzwi do systemu. Dlatego Amerykaninowi nie zajęło dużo czasu sformatowanie dwóch dysków nagrywających. Potem napisał krótki program, którego zadaniem było stworzenie protokołu wymiany plików. Innymi słowy, chodziło o ściągnięcie z torrentów kilkunastu pornusów, które po parę razy miały zagrywać sektory, na których zarejestrowano wizytę Henry'ego.

ELIZA ZAPIĘŁA na przegubach dłoni i kostkach nóg opaski Maya. Założyła na głowę hełm 3D Cyber Worlda. Mona włączyła oprogramowanie. Otaczająca Elizę ciemność zapłonęła na brzegach żarzącą czerwienią, by sekundę później rozjaśnić się w trójwymiarowy obraz.

Stała na placu Muzealnym. Rozejrzała się w koło, jakby chciała się upewnić, że jest we właściwym miejscu. Potem szybkim krokiem przeszła odległość dzielącą ją od budynku muzeum. Dotarła do wejścia „N” od strony pasażu Willem Sandbergplein.

Dochodziła godzina zero pięćdziesiąt. Elektroniczny zegar wyświetlał się w prawym górnym rogu widzianej na ekranie przestrzeni.

Podbiegła drzwi do Stedelijk. Zerknęła w stronę wiszącej pięć metrów dalej dwóch kamer podwieszonych na przykręconych do muru wysięgnikach. Która patrzyła w którym kierunku? Zerknęła w stronę drzwi. Rozległo się szczęknięcie otwieranego zamka magnetycznego. Wśliznęła się do środka i schowała za szerokim banerem, który zwisał ze stojaka aż do samej podłogi.

Ściągnęła kurtkę i spodnie, pod którymi miała już obcisły trykotowy kombinezon. Naciągnęła na głowę maskę z nylonu a na dłonie ciemne

lateksowe rękawiczki. Zabarwiła na ciemno rzęsy i nos. Kiedy skończyła, była za dwie minuty pierwsza w nocy.

Szczęknął otwierany zamek w drugich drzwiach. Eliza powtórzyła głośno, że po ich otwarciu separuje zamek drzwi od elektronicznej wkładki ościeżnicy sreberkiem z gumy do żucia.

Schyłona przebiegła przez drzwi w stronę regałów i rozłożonych na stołach folderów i książek. Pokonanie kilkunastu metrów w wirtualnej rzeczywistości zajmowało tyle samo czasu, co w realu. Jedyna korzyść z przebywania w wirtualu była taka, że zamiast zadyszki mogła doznać jedynie skurczu mięśni, które były bodźcowane mikro impulsami. Dzięki temu trikowi oszukiwany mózg był pewien, że biegnie, choć w rzeczywistości nie ruszyła z miejsca.

Kiedy ukryła się za jednym z regałów z książkami w kolorowych okładkach, pomyślała o ojcu. Jak dużo wiedział o mocodawcach Rosnana? Eliza była pewna, że Bratt Henry nie pracuje na własną rękę. Tacy jak on zawsze wykonują czyjeś zlecenia. W filmach gangsterskich mafiosi likwidowali wszystkich, którzy mieli choćby najmniejszy związek z daną sprawą. Tylko że to nie był film, a rzeczywistość, w której Eliza mogła zginąć. Cholera, przecież ona się do tego kompletnie nie nadaje.

– Skoncentruj się – usłyszała w słuchawkach głos Mony

KIEDY BRATT Henry poznał charakterystykę sygnału wysyłanego przez komputer Mony, nie sprawiło mu kłopotu włamanie się do niego i zdalne rejestrowanie wszystkiego, nad czym aktualnie pracowała. Jedynie dodatkowo założył na dachu wieżowca wzmacniacz, który powiększył pole przesyłania sygnału z kilometra do dziesięciu.

Nie musiał też być geniuszem, żeby się domyśleć, że nick rzekomej hakerki to akronim dwóch imion: Mona i Eliza. Czy mógł wpaść na to wcześniej? Zastanawianie się nad tym nie miało większego sensu. Trochę denerwujące było to, że choć mógł podglądać pracę Mony, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie ukryły się obie dziewczyny.

Początkowo obstawił swoimi ludźmi wszystkie miejsca, gdzie poprzednio można było je spotkać. Jednak po tym, jak Eliza go przechytrzyła, uciekając między dwoma budynkami, obie zapadły się pod ziemię. Według jego oceny w owym tandemie to Mona odgrywała główną rolę.

Kilometryowy promień od nadajnika obejmował spory obszar miasta, a on już nie miał czasu na prowadzenie poszukiwań. Zresztą już nie musiał tego robić. Trzeciego dnia przeglądania wydarzeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin na przyspieszonym podglądzie zobaczył nagranie z wnętrza muzeum, gdzie znajdowała się wystawa. Krótco potem jego uwagę zwrócili nieco sztywno poruszający się ludzie. Zrozumiał. Mona i Eliza rozpoczęły wirtualne zwiedzanie Stedelijk Museum. Coś go w tym zaniepokoiło. Skąd to zainteresowanie? Z obrazu, który najwyraźniej był przetwarzany na Cyber Worlda, wynikało, że dziewczyny oglądają główne lobby. Potem weszły schodami na pierwsze piętro. Tu też krążyły między salami. Jednak zamiast skupiać uwagę na eksponatach, rejestrowały rozstawienie kamer, drogi i skróty przejść między poszczególnymi elementami ekspozycji. Tak się nie zachowuje zwiedzający, którego interesują zgromadzone zbiory. I skąd ich wiedza o rozmieszczeniu elementów systemu bezpieczeństwa?

Najwyraźniej chciały rozpoznać rozkład pomieszczeń muzeum. Zwłaszcza tych, które prowadziły do wystawy „Sztuka fałszerzy”.

– SKONCENTRUJ SIĘ. Myśl o celu. Co się z tobą dzieje?

Eliza stłumiła chęć odwarknięcia. Może rzeczywiście powinna bardziej się przyłożyć. Lobby główne tonęło w półmroku, lecz w świetle ultrafioletowych lamp doskonale było widać oznaczenia dróg i przejść. Wyrysowane linie na posadzce były dobrze widoczne przy zgaszonych światłach, niewidoczne w ciągu dnia.

Poczuła się nieswojo. Czy może przyjść taki moment, że będzie zmuszona do ucieczki? Serce nerwowo przyspieszyło. Nie wolno jej o

tym myśleć. A jednak nie mogła wyrzucić pytania z myśli. W końcu nie było to przypuszczenie aż tak bezzasadne.

DZIEWCZYNY CHCĄ dokonać skoku na Stedelijk. Kiedy Bratt sobie to uświadomił, najpierw uznał pomysł za głupotę. Muzeum miało jeden z najnowocześniejszych systemów antywłamaniowych i przeciwpożarowych w Europie. Przy otwarciu placówki chwalono się nawet, że inne muzea powinny brać z amsterdamczyków przykład. Kiedy jednak dokładnie przeanalizował informacje, które wyłowił z ekranu komputera Mony, doszedł do wniosku, że być może się mylił. Z pewnością jednej z dziewczyn może się nawet udać dotarcie w pobliże ekspozycji. I tyle. To amatorki, nigdy nie będą w stanie pokonać laserowych zabezpieczeń.

Tylko co dziewczyny chciały ukraść? Odpowiedź mogła być tylko jedna: Siedem obrazów, które zgromadzono w sali, gdzie wystawiana była „Wenus z Witebska”. I ta odpowiedź włączyła alarm w jego mózgu.

Jak one się domyśliły, że to oryginały? Czy powiadomiły policję? Wątpliwe. Jeśli przygotowywały skok na muzeum, z pewnością trzymały swoje odkrycie w tajemnicy. A zatem były głupie.

W porządku, Bratt kalkulował w myślach, oto chwila, kiedy któraś dostaje się do środka. Pewnie Eliza, gdyż Mona jako programistka, zapewne będzie kontrolowała komunikację. Tak więc Eliza dostanie się do środka. Jak zamierzała wynieść obrazy? Siedmiu płócien nie da się zwinąć w rulony, wziąć pod pachę i wyjść ot, tak sobie. Tu tkwił pierwszy błąd ich rozumowania. Jakie popełnią kolejne?

Sprawa była zbyt poważna, żeby tę wiadomość mógł zostawić tylko dla siebie.

Sięgnął po telefon satelitarny i wystukał numer do Musada.

– Miałeś dzwonić tylko w ważnych sprawach.

– Mona i Eliza planują skok na amsterdamskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Chcą ukraść obrazy.

W słuchawce zapadło na parę sekund milczenie.

- Zwariowały?

- Na początku też tak myślałem. Kiedy jednak dokładniej wszystko przeanalizowałem...

- Mogą to zrobić?

- W osiemdziesięciu procentach jest to wykonalne – stwierdził Bratt.

- Nie pytałem, czy jest to wykonalne, tylko czy są do tego zdolne?

- Tak.

- Jakieś rozwiązanie?

- Niedługo będę znał termin skoku – odparł Bratt lodowatym tonem.

- Kiedy jedna z nich zakradnie się do muzeum, wtedy, jako anonimowy informator, wykręcę numer do policji.

Po drugiej stronie dało się usłyszeć rozbawienie.

- Chcesz, żeby je złapali?

- Na gorącym uczynku. Wtedy będę dokładnie wiedział, gdzie jest Mona. I dorwę ją.

- Sprytne. Co potem?

- Wyciągnę z niej hasło dostępne – powiedział Bratt krótko. – Wystarczy trochę chemii.

- Trzeba było jej użyć na Polaczku. Nie mielibyśmy teraz kłopotów.

Henry zacisnął wargi.

- Nie wiedziałem, że miał słabe serce.

- Jak przejmiesz obrazy, żeby je wysłać do nabywców? Policja cię szuka.

Bratt zdusił irytację. Nienawidził, kiedy ktoś sprawdzał go jak przedszkolaka. Jeszcze zaczyna pytać, czy rano umył zęby. Ale nie mógł Musadowi powiedzieć, by się odpiardolił.

- Nic na mnie nie mają. Choćby byli pewni, że to ja. Mam świadków, którzy w każdej chwili są gotowi potwierdzić, że widzieli mnie w tamtym czasie w jednym z amsterdamskich barów. Wszystko pójdzie jak po maśle. Gwarantuję to swoją reputacją.

Rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy. Bratt odetchnął głęboko kilka razy. Teraz musiał jedynie dowiedzieć się terminu skoku. Z pewnością pojawi się w zapiskach, które Mona robiła w komputerze po codziennym treningu Elizy. Z jednej strony elektronicznego notatnika wypisywała dotychczasowe sukcesy, z drugiej elementy, które należało doszlifować, zwrócić na nie uwagę lub poprawić. Na razie na dole każdej notatki widniały krótkie adnotacje: „Już niedługo”, „Za kilkanaście dni”, „Na szczęście mamy jeszcze czas”.

– TERAZ UWAGA – głos Mony był bliski szeptu, jakby obawiała się, że ktoś trzeci ją usłyszy. Elizie przebiegło przez myśli, że zaczynał działać na nią alergicznie.

Minęła pierwsza czternaście w nocy. O pierwszej piętnaście usłyszała w słuchawkach zbliżające się kroki.

Choć ćwiczyła od wielu dni, nadal trudno jej było sobie uzmysłwić, że to wszystko dzieje się w wirtualu, a nie świecie realnym. Kilka metrów od niej przeszedł awatar strażnika. Dwie minuty później kroki umilkły w podziemiach. Gdyby chwilę wcześniej poczuła zapach wody kolońskiej, byłby wirtualny full wypas.

– W drogę – rzuciła Mona.

Wybiegła zza regału i schylona przemknęła w stronę szerokich schodów. Przeskoczyła cztery stopnie i znalazła się w holu starego budynku muzeum. Minęła grupę muz, które wdzięczyły się za plecami wyrzeźbionego w kamieniu artysty, który stał przed blejtrmem białego płótna. Wymalowane na podłodze, widoczne w ultrafiolecie linie i znaki kierunkowe były rewelacyjną podpowiedzią.

Spojrzała przelotnie na pociemniałe nocne okna. Na niebie błyszczały gwiazdy, a zza chmur właśnie wychodził majestatyczny owal księżyc w pełni. Skierowała się w stronę przejścia do starszej części muzeum. Gdyby była teraz w prawdziwym Stedelijk, być może poczułaby na twarzy powiew przeciągu. Ale i bez tego miała wrażenie, iż rzeczywiście jest w amsterdamskim muzeum.

I pomyśleć, że kiedy jako nastolatka patrzyła, jak ludzie w serialu „Star Trek” obliczali coś na trzymany w rękach płaskich ekranach myślała, że takie cuda za jej życia się nie zdarzą. Dziś tablet był urządzeniem powszechnie stosowanym. A ona właśnie poruszała się w świecie wirtualnym, który jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawał się pisarskim wymysłem. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że właśnie żyją w przyszłości, która tak ich fascynowała za młodu i którą uważali za zbyt odległą, by mogli jej doczekać.

Odetchnęła głębiej. Pobiegła na drugą stronę budynku i wspięła się na piętro po szerokich marmurowych schodach. W prawdziwym świecie z pewnością byłaby już zdyszana po biegu w niewygodnej schylonej pozycji. A tu czuła tylko lekki ucisk w mięśniach łydek, podudzia i barków, rażonych mikro impulsami. Jeszcze kilka dni temu niemal nie czuła drżenia mięśni. Teraz zaczęła tego coraz mocniej doświadczać. Jednak nie miało to większego wpływu na odczuwanie ruchu, przeskoków, przykucnięć i mijania ustawionymi na jej drodze rzeźb i przestrzennych kompozycji performerskich.

OKAZAŁO SIĘ jednak, że stałe porażanie mięśni nóg nie pozostało bez konsekwencji. Jednej z kolejnych nocy Eliza odczuła potworny skurcz obu łydek. Śniło się jej, że strzelający strażnik trafił ją w nogi. Krzyknęła. Otworzyła gwałtownie oczy. Ból był tak potworny, że niemal ją obezwładnił. Zacisnęła dłonie na kółdrze. Wpiła w nią paznokcie, żeby opanować rozdzierający spazm. Nic z tego. Chwyciła poduszkę, zakryła nią usta i wykrzyczała w nią ból. Jej ciało zalał pot, ciężko dyszała.

W sypialni zapłonęło światło. W progu pojawiła się wystraszona Mona.

– Co jest?

– Nogi! – Eliza z trudem usiadła na łóżku. – Skurcz.

Mona podbiegła do łóżka i odrzuciła na bok kółdrę. Chwyciła palce obu stóp Elizy. Potem zaczęła napierać na nie w stronę kolan.

Jednocześnie szybko masowała prawą, a potem lewą łydkę. Skurcz powoli ustąpił.

Eliza opadła ciężko na materac z rozrzuconymi na boki rękami. Mona przyniosła maść rozgrzewającą i nasmarowała łydki Elizy.

– Dam głowę – jęknęła Eliza – że to od opasek Maya. Nigdy w życiu czegoś takiego nie czułam – otarła załzawione oczy. – Jakby ktoś żywcem odrywał mi mięśnie od kości.

– Mama zawsze brała na skurcze magnez z potasem. Kupię jutro ten specyfik – orzekła stanowczo Mona.

– A jeśli nie pomoże?

Eliza usiadła ciężko na łóżku i przez chwilę patrzyła na swoją nie do końca sprawną nogę.

– Jutro – spojrzała na zegarek – a właściwie to dziś, poćwiczymy bez opasek. Musimy skupić się na tym, jak wyliczyć rytm przejścia przez śluzę z laserami.

BRATT HENRY już dwa miesiące temu wynajął przez internet mieszkanie w Amsterdamie i opłacał je przez PayPal. Ulokował się tam jeden z jego ludzi, żeby sąsiedzi mogli potwierdzić obecność Henry'ego. Nie widywali go, ale zapewne słyszeli głośną muzykę. To było jedno z alibi, jakie sobie przygotował na wypadek konfrontacji z policją. A gdy pytają, dlaczego nie zgłosił się, gdy usłyszał o śmierci Rosnana, odpowie, że ze strachu przed tajemniczymi zabójcami. Nic nie wiedział, więc nie mógł pomóc... po co się narażać? Nieważne, czy mu uwierzą. Bez dowodów mogą się bujać. Oto słabość państwa prawa. W Wenezueli, Rosji czy Chinach nie mógłby sobie na takie coś pozwolić. Na szczęście był w Europie Zachodniej.

Pierwotnie do stolicy Holandii Bratt chciał polecieć za dwa tygodnie. Po zamknięciu wystawy zamierzał zgłosić się do jej muzealnego komisarza i sprawdzić, czy obrazy nie zostały uszkodzone. Tylko tyle, bo przecież wszyscy sądzili, że to doskonałe podróbki. Gdyby uważano, że oryginały, to na początku i końcu wystawy obrazy zostałyby

prześwietlone rentgenem. Następnie na ekranie komputera naniesiono by na siebie siatki mikropęknięć na powierzchni farb, żeby sprawdzić, czy warunki przechowywania nie zwiększyły liczby mikrourazów każdego płótna.

Kiedy Bratt sprawdzi obrazy, te zostaną włożone do metalowych kaset. Każda była ognioodporna i miała wewnętrzny system utrzymywania stałej temperatury. Następnego dnia zjawi się siedmiu kurierów, którym na ustalone hasła zostaną wydane obrazy. Każda kasetka była również wyposażona w czarną skrzynkę z identyfikatorem, do którego kod wprowadzał sam nabywca, przejmując tym całkowicie kontrolę nad zakupionym dziełem. Kiedy kurierzy odjadą, jego kontrakt dobiegnie końca.

Zapatrzył się w okno. Dzisiejszego wieczora miał jeszcze do przejścia ostatnich sześć godzin z aktywności komputera Mony.

Wyjął z ust wyżutą kulkę gumy i przykleił ją na brzegu popielniczki, tuż obok kilku wcześniejszych.

ELIZA STAŁA w wirtualnym świecie w starej części Stedelijk Museum na pierwszym piętrze w południowo-wschodnim skrzydle. Od dwóch dni po wiele godzin z niezbędnymi tylko przerwami ćwiczyła przejście ostatniego etapu. Przed sobą miała korytarz, który prowadził do sali, gdzie wystawiano siedem najcenniejszych obrazów z wystawy Rosnana. Siedem najbardziej poszukiwanych, zaginionych obrazów, o których wszyscy myśleli, że to zwykłe kopie. Genialne, ale kopie. Wbrew sobie czuła podziw dla niecodziennego pomysłu urządzenia takiego przekrętu. Kim był człowiek, który to wymyślił? Bo że nie Rosnan, to już było pewne. Chciałaby zobaczyć jego twarz, kiedy genialny plan spali na panewce, bo nadeptał na odciski dwóm zwykłym dziewczynom.

No, może nie takim znowu zwykłym. Eliza odetchnęła głęboko. Czas skoncentrować się na tym, co teraz robi.

Stała na początku korytarza, który miał trzy metry szerokości i osiem długości. W ciemności mogła dostrzec przecinające przejście laserowe

promienie, które pojawiały się i gasły w niezrozumiałym rytmie. Na pierwszy rzut oka korytarz wydawał się nie do przebycia.

Z niemal półsekundową dokładnością znała czas i kolejność poszczególnych rozbłysków. Trzy kroki do przodu, w odstępach jednosekundowych. Obrót. Krok w tył. Dwa kroki do przodu, na przemian szybkie i wolne. Cofnięcie i ponownie wolny krok przed siebie. Dwa szybkie kroki w prawo i ostatni po wcześniejszym zatrzymaniu – w tył. Potem znowu.... Trzy kroki do przodu.

– Zaczynamy – odezwał się w słuchawkach głos Mony. – Iii...

Eliza zrobiła krok do przodu, gdy zgasła przed nią niebieska linia światła. Potem krok drugi. Następny. Za każdym razem z zimnym *zzziuppp* świetlne promienie przepalały wokół niej przestrzeń.

Obrót. Krok w tył.

Dwa kroki w prawo.

– Raz iii... – Mona nie dopowiedziała „dwa”.

Eliza nie zdążyła. Wszystkie laserowe linie świetlne zapłonęły na czerwono. Została złapana w pułapkę i gdyby stało się to w prawdziwym Stedelijk, mogłaby już tylko czekać na strażników i policję.

Zdjęła z głowy hełm Cyber Worlda.

– Co jest? – Mona spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Nic z tego. To trzydziesta dziewiąta skucha. Za każdym razem gubię się w coraz to innym miejscu.

– Nie trzymasz rytmu. Idziesz na trzy... Jeden krok, drugi, trzeci.

Obrót. I...

– Spróbuj sama – warknęła złym głosem.

– Już za późno na zmianę.

Eliza odłożyła na podłogę hełm i usiadła na kozetce.

– To się nie uda.

– Dlaczego chcesz się poddać? – syknęła Mona.

– Bo to, kurwa, nie ma sensu. – Tłumione od wielu dni napięcie w końcu eksplodowało. Miała już dosyć skradania się, kucania,

przeskakiwania i liczenia, kiedy i który promień laserowy zapali się przed nią lub zaraz za jej plecami. – Czas powiedzieć sobie prawdę. Nie dam rady.

– Bo, kurwa, jesteś leniuchem – rzuciła Mona.

Jej też puściły nerwy. Od dwóch dni miała świadomość, że stanęły przed ścianą. Mogła tylko przyglądać się z boku, jak Eliza próbuje rozbić ją głową. Wczoraj dostrzegła, że przyjaciółka nie walczy już z taką determinacją co dawniej, nie daje z siebie wszystkiego.

– Podkuliłaś ogon i chcesz zwiewać – zrobiła pogardliwą minę. – W porządku, laluniu. Droga wolna.

– Laluniu? – Eliza poczuła się tak, jakby użądliła ją osa. – Nigdy dotąd nie użalałam się nad swoim losem. Nie tylko twój ojciec nie żyje.

Chciała dodać, że w przeciwieństwie do jej ojca Rosnan był skurwysynem, jakich mało. Coś jednak w ostatniej chwili ją powstrzymało.

– Tu nie chodzi o mojego czy twojego starego – odcięła się Mona – ale o to, czy chce ci się przełamać kolejną przeszkodę, czy też stajesz i mówisz pas. A ty właśnie się poddałaś. Po co więc mulić, że chciałam, że próbowałam i to całe sranie w banię. Dałaś dupy i tyle. – Kto w nocy wyje z bólu? – Eliza z wściekłością zaczęła zrywać z siebie opaski Maya. – Ty czy ja? Kto łyka ten cholerny magnez garściami. Ty? Ja od kilkunastu dni nie miałam normalnego snu. Stale ktoś mnie rozstrzeliwuje, goni i tropi każdy mój krok. To tylko sny. W porządku. Ale jeśli chodzi o real, to jak myślisz, kogo w muzeum złapią, jak powinnie mi się noga? Ale ciebie to nic nie obchodzi. Pospiesz się. Szybciej. Nie ociągaj się. Tempo... Tak dłużej się nie da. Mam dosyć.

Poderwała się z kozetki.

– Nie możesz tego zrobić – ostrzegła Mona.

– Było mi zajebiście miło. – Eliza dygnęła, jakby była nastoletnią panienką. – Ale teraz się luzuję.

Wybiegła z pokoju, przeszła przez przedpokój i trzasnęła za sobą drzwiami wejściowymi.

Mona została sama. Patrzyła nieruchomo w ciemny prostokąt wyrysowany w otwartych drzwiach pokoju. Przez pierwsze minuty była zadowolona, że wreszcie wszystko się skończyło. Miała już dość podkręcania się śniegiem, gdyż amfa była już za słaba, a potem walczenia z dygotem, który dopadał ją w łóżku. Ona też niewiele spała. Też miała koszmary, tylko nie mówiła o tym głośno.

Może rzeczywiście to nie miało sensu?

Jednak powoli ulgę zastąpił żal. Znowu mogła liczyć tylko na siebie. Pomyślała o Nomadzie. On z pewnością by jej nie zostawił. Byłby z nią do końca, i to nieważne, jakiego. Zaprażyła znowu poczuć zapach pizzy i zobaczyć w jego oczach radość na jej widok.

– Wszystko miało być inaczej – powiedziała cicho, jakby zwierzała się ukochanemu. – Zmieniłam się. Zrozumiałam swój błąd i naprawiłam go. Odeszłam od ojca, który i tak by mnie oszukał. Ale znowu jestem sama i nawet nie możesz mnie przytulić, żeby było lżej.

Złość znowu zaczęła narastać, potężnieć i sięgać gardła, jakby chciała ją udusić.

Pobiegła do sypialni. Rzuciła się na łóżko. Schowała twarz w poduszce i najgłośniejszym, jak tylko mogła, wywrzeszczała w nią swoją tęsknotę, złość i żal. Biła pięściami w materac. Po kilku minutach opadła z sił.

Przez długi czas leżała na boku, zdyszana i pusta, jakby wraz z krzykiem uszło z niej życie. Gdyby teraz obok niej był Nomad...

Rozplakała się w głos.

DOCHODZIŁA PÓŁNOC. Eliza biegła asfaltową ścieżką. Po obu stronach wychylały się z mroku ciemne kreski konarów rozłożystych lip. W zimnym świetle ulicznych lamp wyglądały groźnie, jakby z nieistnienia ktoś wysuwał po nią czarne szpony.

Musiała się rozładować, wyrzucić agresję. Z mieszkania Mony wyskoczyła rozdygotana. Krzyczała w niej każda komórka ciała. Chciała

kopać, gryźć i przeklinać. Na i ta „kurwa” w rozmowie z Moną. Po raz pierwszy w życiu powiedziała to słowo na głos.

Kiedy znalazła się na prostym odcinku ulicy, zaczęła biec tak szybko, jak tylko potrafiła. Musiała się zmęczyć, rozerwać złość na strzępy. Powoli oddech stawał się coraz krótszy, serce biło szybciej, lecz nie zwolniła kroku.

Pospiesz się, laluniu. Nie ociągaj się – krzyczała w myślach. – Tempo.

Chcesz lepiej?

Wyżej?

Mocniej?

Mam cię gdzieś.

Mam gdzieś ten cały świat.

Mam już wszystkiego dość!

Przypieszyła. W uszach słyszała jednostajne dudnienie serca. Oddech rwał się ze świstem. Mięśnie nóg zaczęły omdlewać. Zrobiło jej się niedobrze.

Skreśliła na najbliższy trawnik. Skoczyła za krzak i puściła pawia. Pośliznęła się na wilgotnej trawie i zatoczyła do tyłu, wstrząsana spazmatycznym kaszlem. Trafiła plecami na pień drzewa.

Boże, co się z nią dzieje? Cały świat chybotął się wokół, jakby za moment miał z hukiem zwalić się jej na głowę.

Kiedy kaszel ustał, przez szeroko otwarte usta zaczęła głęboko wciągać powietrze. Gdy oddech jako tako się ustabilizował, przeszła na wdychanie nosem i wydech ustami. Zamknęła oczy, wsłuchując się w szybki puls serca, który, niczym takt metronomu, wprowadził ład w chaos myśli, uporządkował je, sklasyfikował i wyrzucił śmieci na obrzeża niemyślenia.

To strach przepalił jej bezpieczniki. Wybuch złości był niczym innym jak tylko reakcją obronną i sugestią: uciekaj, schowaj się w mysią dziurę, nie wychylaj głowy, bo ci ją odstrzelą.

Spojrzała przed siebie na pustą ulicę, którą zasnuwała mgła. Dopiero teraz poczuła igiełki zimna, które rozbiegły się mrówkami po całym ciele. Nie miała na sobie kurtki. Wybiegła z domu jak stała. Dobrze chociaż, że na nogach miała tenisówki. Zaczęła znowu biec, ale już spokojniej, powolnym truchtem, który nappełnił ciało wewnętrznym ciepłem.

Kilkanaście minut potem przystanęła, wspierając się dłońmi o kolana.

Co teraz powinna zrobić? Obejrzała się. Czy chciała wracać? Spojrzała przed siebie w pustą ulicę.

Strach zawsze jej towarzyszył. Dlatego kiedy nadchodził decydujący moment, poddawała się i cofała. Nikt nie musiał jej ustawiać, sama zawsze zajmowała miejsce w drugim lub trzecim szeregu. Bała się postawić na siebie, a rodzice nigdy nie powiedzieli jej, że może wygrać.

Uświadomiła sobie coś jeszcze. Kilka miesięcy wcześniej Mona nie chciała jej oszukać. Ona robiła tylko wszystko, żeby odzyskać ojca. Podobnie jak Eliza. Żadnej to się nie udało.

Musi dokonać wyboru. Czują, że to ostatni raz i nigdy już nie dostanie takiej szansy.

Ruszyła w drogę powrotną. Czy sobie poradzi? Nie, nie tak. Czy zrobi wszystko, żeby osiągnąć cel?

Musi znaleźć sposób na przejście tych przeklętych laserowych czujników.

Równy rytm biegu, oddechów i bijącego serca usystematyzował jej myśli i ułożył niedawno rozsypane puzzle na właściwe miejsca.

Kiedy kamery zostaną oślepięte przez Monę, Eliza nie będzie musiała się już obawiać, że któraś ją sfilmuje. Pozostawało tylko baczne śledzenie ruchu strażników. Do tego momentu wszystko szło jak z płatka. Ubrana w ciemny strój, wtapiała się w mrok i mogła uniknąć zidentyfikowania. Musiała tylko przedostać się przez laserową ścianę bezpieczeństwa.

Mgła stała się gęstsza. Świat wyglądał niczym odrealniony, jakby rozplynęły się w niebycie: przyczyna i skutek, zło i dobro, smutek i radość. Gdzieś spoza ściany białej waty napłynęła cicha melodia. Tango. Usłyszała w myślach głos Mony: „Nie trzymasz rytmu. Idziesz na trzy... Jeden krok, drugi, trzeci. Obrót. Iii...”.

Zaczęła tańczyć na środku alei.

– Krok do przodu. Obrót. Dwa kroki szybkie i jeden wolny. Cofnięcie i ponownie dwa kroki szybkie i jeden wolny. Krok w prawo i ostatni po sekundowym zatrzymaniu krok w tył. Potem znowu dwa kroki szybkie i jeden wolny...

Powtarzała coraz radośniej.

Tango wsunęło srebrny klucz do zamka, z którym dotąd bezskutecznie się mocowała. Już wiedziała, jak przejdzie laserowy labirynt.

– BYŁAM GŁUPIA. Proszę, wybacz mi.

Eliza po raz pierwszy od dwudziestu lat przytuliła do siebie drugą osobę. Dotąd czyjeś mocniejsze objęcie sprawiało jej ból. Teraz czuła ulgę. Czy dlatego ludzie się obejmują?

– To ja byłam zbyt wymagająca. Może rzeczywiście masz rację. Tego nie da się zrobić – westchnęła zrezygnowana Mona.

Eliza odsunęła przyjaciółkę i spojrzała jej w oczy.

– Mylisz się – uśmiechnęła się tajemniczo.

ELIZA PRZECZEKAŁA w ukryciu, kiedy strażnik przeszedł obok i zaczął schodzić do podziemi, gdzie znajdowała się centrum ochrony. Kiedy kroki umilkły przemknęła przez lobby. Potem długim korytarzem dostała się na drugą stronę budynku i białymi marmurowymi schodami wbiegła na pierwsze piętro.

Teraz korytarz w prawo. Minęła salę wystawową i skierowała się w stronę widocznej na jej końcu elektronicznej śluzy. Tuż przed nią

przystanąła. Wzięła parę głębokich oddechów. Zamknęła powieki, rozluźniła ramiona, potem barki, brzuch i uda.

W pamięci zagrała melodia. Rytm, który był kluczem do zapamiętania taktu, cofania się, obrotów i kroków do przodu. Rytm argentyńskiego tanga.

Takt pierwszy wolno, wolno. Takt drugi szybko, szybko, wolno. Takt trzeci szybko, szybko, wolno. Musiała tylko pamiętać, że takt składa się z czterech równych uderzeń. Krok wolny mieści się w dwóch uderzeniach, krok szybki w jednym. Ot i cała filozofia.

Kiedy znalazła się przed omiatanym laserami korytarzem, Mona włączyła muzykę i Eliza przeszła przez całą długość służby bezpieczeństwa już za... drugim razem.

Kiedy zdjęła z głowy Cyber World i uwolniła się od opasek Maya, siedziała przez jakiś czas zmęczona. Czuła, jak drżą jej mięśnie. Spojrzała na dygoczące dłonie.

- Następne dwa dni wypoczywam. Muszę się wyspać, bo jeszcze od tego świństwa - odrzuciła ze wstrętem opaski - dostanę parkinsona.

BRATT HENRY przeglądał na przyspieszeniu zapis z komputera Mony. W pewnym momencie zatrzymał obraz, gdy zobaczył notatnik z zadaniami do zrealizowania. Wykreślono niemal wszystkie, wraz z ostatnim: „Przejsie elektronicznej służby”.

Potem na ekranie pojawił się wywołany panel mejlowy. W formularzu nowej wiadomości Mona wpisała adres internetowy Jany Novák. W polu informacji znalazło się tylko jedno zdanie: „Zaczynamy za osiem dni”.

Pozostało 8 dni

Minęła osiemnasta. O tej porze amsterdamska ulica Damstraat, w dzielnicy uciech, stawała się coraz bardziej ruchliwa. Zapadający wcześniej zmierzch zapalał kolorowe światła nad wejściami do kawiarni, sklepów, butików i nad oknami wystawowymi, w których zaczęły pojawiać się skąpo ubrane dziewczyny. Wszystkie były młode, ładne i patrzyły zachęcająco na spacerujących chodnikiem mężczyzn. Jedne były bardziej rozneglizowane, inne zapięte pod szyję. Co kogo podnieca. Zanim zacznie świtać, wszystkie w swoich boksach zaciągną kolorowe zasłony, żeby odespać mniej lub bardziej pracowitą noc. Wszystkie, bez skrępowania mierzyły wzrokiem przechodzących za ich oknem. Częściowo byli to turyści, zwiedzający legendarną dzielnicę czerwonych latarni. Jednak większość, zwłaszcza ci z minami macho, ścisła w kieszeni sto dwadzieścia euro – cena godzinnego poczucia, że jest się prawdziwym mężczyzną. Z tego zaś grona, ci, którzy przyszli tu pierwszy raz, mieli nadzieję, że za kilkadziesiąt euro trafi im się księżniczka.

A mówi się, że to kobiety są marzycielkami...

Te, sztucznie uśmiechnięte i zachęcające bez skrępowania, były już na tyle doświadczone, że dawno przestały mieć nadzieję, że kiedykolwiek na ich drodze stanie księżę. Realizm i wiedza, o co toczy się ta gra, były w dzielnicy de Wallen najważniejszymi umiejętnościami, dzięki którym można było być w miarę pewnym, że spokojnie dociągnie się do najbliższego poranka.

Spacerując wzdłuż kanału Mona i Eliza przyglądały się ulicznemu targowisku ciał.

- Zerknij na godzinę trzecią, na trzydziestkę w czerwonym sztucznym futerku. - Eliza wskazała ruchem głowy w prawą stronę.

- Tam jest ich kilka.

- Blondynka w zielonych kozakach - uściśliła Eliza.

- Nie znoszę pstrokacizny.

- Kolorowo opakowany towar bardziej przyciąga wzrok.

- Towar? Nie wiem dlaczego, ale to stwierdzenie osobiście mnie poniza. - Mona zmarszczyła nos. - Myślisz, że one wszystkie przychodzą tu dlatego, że mają taki kaprys?

W Monie aż kipiało od narastającej złości. Kiedy przyjechały i spojrzała na te kobiety, przypomniała sobie pewien styczniowy wieczór, gdy matka wróciła zmarznięta z ulicy. Zataczający się przy niej pijany delikwent co chwila wsuwał jej zimną łapę za biustonosz i nie wiedzieć czemu wybuchał przy tym głośnym śmiechem. Matka wykrzywiła w obojętnym grymasie usta z rozmazaną szminką, co zmieniało jej twarz w karykaturalną maskę. Posadziła pijanego klienta przy rozgrzanym piecu. Utrzymywanie ognia, dorzucanie węgla i przyniesienie wiadra z koksem z piwnicy było zadaniem Mony.

Facet próbował wstać. Tym razem zamierzał sięgnąć pod spódnicę matki. Jednak ona zrobiła unik i pchnęła go lekko na gorący kafłowy piec. Ciepło szybko obezwładniło nawalonego gorzałą gościa. Po kilku minutach spał głębokim snem, skulony na podłodze. Był jednym z wielu, którym się urywał film, zanim dostali to, po co przyszli - niektórzy, nim zsunęli się bezwładnie na glebę, obrzygiwali kafłowy piec. Sprzątnięcie po nich również należało do obowiązków Mony.

Kiedy pijak był już bez czucia, matka zabierała mu z portfela połowę pieniędzy. Następnie dzwoniła po umówionego taksówkarza, który również liczył na szybki zarobek. Mona wraz z matką wynosiły delikwenta na ulicę i upychały na tylnym siedzeniu taxi. Rozbudzony kilkanaście minut później gość miał do zapłacenia słony rachunek. Raz za jazdę po całym mieście, dwa za użycie tylnego siedzenia do igraszek z wziętą z ulicy dziwką. Zdezorientowany i kompletnie niepamiętający, co

się działo facet potulnie płacił. Jeśli wszczynął awanturę, taksówkarz dzwonił po znajomych policjantów, którzy też chcieli coś dorobić do niezbyt wysokich pensji. Tak więc wszyscy, prócz amatora mocnych przygód, wychodzili na swoje.

Noc można było zaliczyć do udanych, gdy dało się obrócić czterech pijaków. Bywało jednak, że trafiał się golec. Wtedy obie wynosiły go do śmietnika i okładały tekturowymi pudłami, żeby nie zamarznął. Potem matka dzwoniła po pogotowie, mówiąc, że ktoś rzeźmi między kubłami na śmieci.

To wszystko działo się już dawno, a jednak Mona odnosiła wrażenie, że trzasnęła za sobą drzwiami dawnego mieszkania zaledwie minutę temu. Tu, w de Wallen, jej złość była nie na miejscu. W końcu Eliza nie była winna temu, że nie przeżyła tego, co ona.

– No to co myślisz o tej w czerwonym? – Eliza ściszyła głos.

– Strasznie wyzywająca.

– Ale jej uroda jest stonowana. Każemy jej włożyć na siebie coś klasycznego. Z pewnością ma inne ubranie. A jak nie, to coś się jej kupi.

– Fakt, jest ładna, tak dyskretnie i nienachalnie – przyznała Mona. – Faceci takich nie zauważają, dlatego ubrała się krzykliwie. Chyba że są na czwartej orbicie, wtedy biorą wszystko, co stanie im na drodze i się rusza.

– Czwartej orbicie? – spytała Eliza.

– Po czterech setach.

– Bardziej wygląda na marzycielkę niż dziewczynę do łóżka. – Eliza dokładniej przyjrzała się prostytutce.

– Dlatego chyba nieczęsto trafia na klienta. Faceci nie lubią problemów. Większość już ma dom, a w nim tę jedyną, niepowtarzalną i najwspanialszą żonę i matkę ich rozwrzeszczanych bachorów. Takie babsko trzyma swojego misia krótko za twarz i albo mu skąpi małżeńskiego seksu, albo też delikwentowi nie chce się już ściągać ze ślubnej koronkowych majtek z różowego milanezu z kleksem z tyłu.

– Bez szczegółów, pliz.

Eliza skupiła uwagę na kobiecie, o której rozmawiały. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Była drobna, niemal filigranowa. Do ust miała przyklejony zadumany uśmiech, który jakby bardziej wyrażał zażenowane zdziwienie, niż zachęcał do nawiązania znajomości. Ładne duże, brązowe oczy były podkreślone ciemną otoczką rzęs i brwi. Kształtny nos, wydatne usta i czarny pieprzyk w ich prawym kąciku były dobrym dodatkiem do marzycielskiego wyrazu twarzy.

– To jak? – Mona spojrzała na Elizę.

– Która z nas z nią porozmawia?

Zamiast odpowiedzieć, Mona przeszła przez ulicę i pchnęła drzwi obok okna wystawowego, w którym stała dziewczyna. Dwie minuty później wychyliła się na ulicę i zawołała Elizę.

– Nie przejmuj się nią. – Mona wskazała na przyjaciółkę. – Jest dla towarzystwa.

– Super, bo nie lubię w łóżku damskich trójkątów.

– Nie będzie z tym problemów. Pięć stów, jak mówiłam.

– W porządku – zgodziła się tamta. – Jakaś zaliczka?

Eliza sięgnęła do kieszeni i wyjęła sto Euro, jednak Mona odsunęła jej rękę.

– Wszystko po robocie. Zamiast czterech klientów czeka cię tylko pięć minut zabawy. Chyba się opłaca?

– Na pewno tylko o to wam chodzi?

– Masz rację – Mona kiwnęła głową – jest jedno „ale”. – I roześmiała się, jakby rozbawiona tym „ale”. – Włóżysz na siebie coś bardziej stonowanego, choć zarazem dyskretnie sexy. Chyba masz w szafie ciuchy, o jakie mi chodzi.

Filigranowa laleczka już bez wahania kiwnęła głową, że „tak”.

BRATT HENRY siedział w kawiarni i obojętnie patrzył na wchodzących i wychodzących. Właśnie kończył drugą kawę. Nigdzie mu się nie

spieszyło. Przez kawiarnianą szybę obserwował wejście do pensjonatu „Freedom”, w którym – jak Mona napisała w mejlu do Novák – zatrzymała się z Elizą.

Po przylocie do Amsterdamu postanowił zmienić wygląd, żeby w razie czego Mona go nie rozpoznała. Poprosił fryzjera, żeby zrobił zeń szpakowatego mężczyznę.

– Ale to doda panu lat – zauważył młody chłopak z lekkim zdziwieniem.

– Czy sprawi to panu przykrość? – zapytał oschle i fryzjer grzecznie zamknął twarz. Kilkudniowy zarost również kazał posiwic na policzkach.

Kupił duże rogowe okulary z przyciemnianymi szklami i założył klasyczny garnitur. Laseczka ze srebrną gałką w dłoni ostatecznie upodobniła go do bogatego rentiera, który choć już jest na emeryturze, to jeszcze przed nim kolorowa jesień życia. Może dlatego w trakcie kilku kolejnych spacerów dwie kobiety z sąsiedztwa zwróciły na niego uwagę. Gdyby odpowiedział na zachęcające uśmiechy, z pewnością nie spałby sam pierwszych nocy. Ale na wszystko przyjdzie czas, nawet na noc, gdy zabawi się w jednym wielkim łóżu z czterema chętnymi panienkami.

Obok stolika po raz kolejny przeszła kelnerka. Najwyraźniej czekała, aż dopije kawę i zamówi kolejną. On jednak lekcewał jej nieme podpowiedzi. Wyjął z ust wyżutą gumę i przykleił do brzegu popielniczki. Chwilę później zawiedziona kelnerka zabrała popielniczkę i postawiła przed nim nową. Bratt przyrzekł sobie, że już więcej nie wejdzie do lokalu, gdzie na klientach wymusza się zamówienia.

Miał w pobliżu samochód i był przygotowany na to, żeby śledzić dziewczyny, kiedy wreszcie pojawią się na widoku. Ale nie było to konieczne. Po przyjeździe do Amsterdamu zajrzał do komputera Mony. Musiał być pewien, że skok odbędzie się zgodnie z planem. Na razie pojawiające się w notatniku zapiski to potwierdzały. Kiedy Eliza zostanie aresztowana w muzeum, on wreszcie będzie miał Monę dla siebie. Pamiętał o rozkazie Musada, by zginęła dokładnie jak ojciec.

Ukrzyżowana. Ale wcześniej wszystko mu wyśpiewa... Pomyślał, że z pewnością dziewczyna ma zdrowe serce i nie będzie musiał korzystać z chemicznych wspomagaczy prawdomówności.

Upił z filiżanki ostatni łyk. Potem sięgnął do kieszeni. Wyjął kieszonkową Biblię, żeby poznać cytat, który określi nadchodzący dzień. Otworzył na chybił trafił i spojrzął.

„Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: O cokolwiek byście prosili Ojca, da wam w imię moje. Do tej pory o nic nie prosiliście w imię moje: Proście, a otrzymacie, aby radość wasza była pełna”.²⁰

– Amen.

Pozostało 2 dni

Van de Krog nazywany przez redakcyjnych kolegów Fryzjczykiem, od dawna uznawany był za jednego z lepszych dziennikarzy holenderskiego „De Telegraaf”. Dzięki wyrobionym przez lata bardziej lub mniej formalnym kontaktom jego artykuły zawsze przyciągały uwagę i wywoływały dyskusje wśród większości czytelników. Krog miał zaledwie trzydzieści pięć lat. Był średniego wzrostu, o przeciętnej urodzie. Jedyne, co go wyróżniało, to bujna kuczka czupryna, której dawno nie dotykały nożyczki i grzebień.

Uważano go za bezkompromisowego i nieprzekupnego dziennikarza. Ale jak to w życiu bywa, reputacja to jedno, a codzienność drugie. Dlatego czasami Krog dawał się wykorzystywać, oczywiście robiąc na tym doskonały interes. W telefonie miał kilka specjalnych numerów, które czasami się do niego odzywały. Należały do członków rządu, ludzi z partii opozycyjnych, z policji i prokuratury. Kiedy na wyświetlaczu komórki pojawiał się jeden z nich, Fryzjczyk wiedział, że przez następny miesiąc większość Belgów będzie dyskutowała o treści napisanego przez niego artykułu.

Taki właśnie telefon odezwał się przed dwoma dniami. Tym razem w słuchawce usłyszał kobiecy głos. Dzwoniąca była konkretna. Podała miejsce spotkania: na piętrze restauracji „Oud Holland”. Ulica Nieuwezijds Voorburgwal 105. Czas: Godzina czternasta. Na stoliku przed Krogiem miał leżeć „De Telegraaf” z poprzedniego dnia.

Fryzjczyk przyjechał do Amsterdamu samochodem dzień wcześniej i na spotkanie przyszedł z dwudziestominutowym wyprzedzeniem. Dokładnie o czternastej do górnej sali, gdzie większość stolików była wolna, weszła młoda kobieta. Mogła mieć nie więcej niż trzydzieści lat.

Na ramionach rozsypywała się jej burza rudo-kasztanowych włosów. Była średniego wzrostu, o ładnie zarysowanym owalu twarzy i dużych brązowych oczach. Wkrótce okazało się, że ma jeszcze czarujący uśmiech. Jednak nic więcej pozytywnego o jej urodzie nie można było powiedzieć. Tylko że dla Kroga jej uroda nie miała najmniejszego znaczenia.

Jana usiadła przy stoliku, który stał przy oknie z widokiem na ulicę. Przywitała się skinieniem głowy i od razu przeszła do sprawy.

- Pojutrze zostanie okradzione Stedelijk Museum.
- Oglądałem program z 24 grudnia.
- Tu nie chodzi o Chagalla.

W kilkunastu zdaniach Jana wytłumaczyła Fryzjczykowi, że prawdziwym celem wystawy była sprzedaż siedmiu najbardziej poszukiwanych na świecie dzieł sztuki.

- Tu masz ich listę - przesunęła w stronę Kroga złożoną kartkę.

Dziennikarz otworzył ją i przerzucił wzrokiem.

- To niemożliwe - wyrwało mu się z ust.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Te obrazy są warte setki milionów.

- Dokładnie pięćset osiemdziesiąt jeden milionów. A przynajmniej tyle anonimowi kupcy zapłacili podczas tajnej aukcji za ich posiadanie. Przejdźmy do sedna.

Kroga kusiło, żeby zapytać, kim jest nieznajoma. Wiedział, że pytając o personalia, złamałby obowiązującą przy tych spotkaniach niepisaną zasadę, a wtedy było wielce prawdopodobne, że z tego numeru telefonu już nigdy do niego nie zadzwonią. Ale dlaczego osoba powiązana z Europolem - bo o tym świadczył numer telefonu - mówi mu o planowanej kradzieży?

- Dlaczego policja chce dopuścić do włamania?

- Będziesz w Europie pierwszym dziennikarzem, którego gazeta, już kilka godzin po odkryciu prawdy opublikuje sensacyjny materiał. - Jana

spojrzała zimno w oczy dziennikarza. – Masz jeszcze jakieś równie bezsensowne pytania czy przejdziemy do szczegółów?

– Muszę mieć dowód, że mówisz prawdę. – Krog z doświadczenia wiedział, że nie ma co grzać się na niepewny temat.

– Przecież powiedziałam, żebyśmy przeszli do szczegółów.

MONA I ELIZA wyszły z pensjonatu. Na chodniku nieopodal wejścia siedział chłopak, który z natchnionym wyrazem twarzy uderzał w struny gitary.

Wkrótce odnajdę siebie

W serce pofrunę

Poczuję

Zbuduję

Rozpalę łunę

Wreszcie pokocham siebie

Na przystanku chwilę czekały na tramwaj. Wsiadły ostatnimi drzwiami wagonu i skasowały bilety. Na Plac Muzealny dotarły dwadzieścia minut później. Wychodząc znowu odbiły w czytniku kartoniki przejazdu. Z przystanku cofnęły się, przechodząc obok Muzeum van Gogha. Kiedy znalazły się przed Stedelijk przystanęły, żeby przyjrzeć się bryle budynku

– Wielka wanna w środku miasta. – Eliza kiwnęła z uznaniem głową.
– Mnie się podoba. – To chyba jedno z pierwszych takich muzeów w Europie.

– Jakich?

– Złośliwi twierdzą, że powstało dzięki przypadkowi. W 1891 roku amsterdamska kolekcjonerka Zofia Augusta de Bruyn przed śmiercią zapisała miastu własne zbiory. Rada nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić. Ponieważ krewni oraz znajomi Bruyn mieli wpływ na

obsadę części stanowisk w ratuszu, stąd zrodził się genialny plan uhonorowania szacownej zmarłej stworzeniem muzeum, w którym umieszczono jej zbiory.

- Nie ma to jak znajomi - prychnęła Mona z nieukrywaną zazdrością.

Ruszyły w stronę głównego wejścia. Zanim weszły do środka, Eliza zawahała się na sekundę.

- Czuję lekką obawę.

- Z powodu?

- Zastanawiam się - westchnęła Eliza - czy real będzie pasował do tego, co widziałam w Cyber Worldzie.

- Wierzę, że Sen_Nick nie zawiedzie. - Mona pociągnęła przyjaciółkę za rękę. - Wierzę też w internet, współczesną cywilizację i Wielkiego Programistę. Amen.

Eliza pchnęła obrotowe drzwi wejściowe. Rzeczywiście nie była pewna, czy to, co zobaczy, będzie pokrywało się z obrazem wirtualu, w którym ostro ćwiczyła przez wiele dni. Kiedy jednak znalazła się w holu głównym, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Każdy element oglądanej rzeczywistości pasował do tego, który widziała w nierealu. Pasował, i to... boleśnie. Oto bowiem zderzyła się ze ścianką w holu starej części muzeum, przez którą w wirtualu ostatnio przeniknęła.

- Nic się pani nie stało? - Pracownik muzeum, który stał nieopodal spojrzął na nią pytająco.

- Dziękuję, wszystko w porządku.

Odeszły kilka kroków dalej.

- To zabawne - Eliza spojrzała na Monę, pochyliła się i zaczęła masować prawą łydkę - ale jakbym poczuła początki skurczu.

- Najwyraźniej twój organizm przyzwyczał się do tego, że ruch w określonej przestrzeni kojarzony jest z mikroimpulsami opasek Maya.

Weszły szerokimi marmurowymi schodami na piętro. Eliza minęła stare znajome, grupę muz, które spoglądały ciekawie nad ramieniem

artysty, niemogącego zdecydować się na rozpoczęcie malowania.

Obok Elizy przeszła roześmiana para zwiedzających. Przez dłuższy czas patrzyła za nimi z zaciekawieniem.

– Co jest? – Mona trąciła ją w bok.

– To dziwne widzieć w tym miejscu ludzi, którzy wyglądają inaczej niż Barbie i Ken.

Weszły między ekspozycje i wkrótce dotarły do przejścia między starym i nowym budynkiem. Kilka minut później zatrzymały się na początku ośmiometrowego korytarza, który prowadził do sali, gdzie wystawiano „Wenus”.

– Jak samopoczucie? – mruknęła Mona.

– Na razie nie mam tremy. Ale do występu jeszcze jest trochę czasu.

Kiedy Eliza zrobiła krok do przodu, niemal zabrzmiał w jej uszach pierwszy akord tanga. Wystarczyło teraz ustawić się do przejścia bokiem, przymknąć oczy iii... Przeszły przez korytarz w dziesięć sekund. Kiedy znajdzie się tu w nocy i będą włączone lasery, przedostanie się na drugą stronę zabierze jej dwie minuty i siedemnaście sekund.

Przed obrazem Chagalla stała hałaśliwa grupa Hiszpanów. Ktoś głośno mówił i, wskazując na płótno, coś tłumaczył. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem. Nikt nie zwracał uwagi na wiszące na ścianach pozostałe dzieła.

– Masakra – mruknęła Eliza do siebie pod nosem.

Trochę reklamy i otoczka niezdrowej sensacji sprawiły, że ludzie gapili się podekscytowani na coś, co nie miało żadnej wartości. Wkrótce do Hiszpanów dołączyło kilku Holendrów i młodych Izraelczyków.

– Za duży tu tłok – skrzywiła się Mona. – Nie ma czym oddychać.

Eliza przytaknęła.

– Czas się zbierać.

Znowu przeszły przez ośmiometrową śluzę. W nocy powrót zabierze Elizie dwie minuty i dwadzieścia osiem sekund.

W holu starego muzeum minęły lekko siwiejącego mężczyznę. Wspierając się na lasce ze srebrną galką, patrzył na grupę muz, które stały za plecami szukającego natchnienia malarza.

BRATT HENRY patrzył przez szybę lobby muzeum na idące przez plac dziewczyny. Niedługo, o pierwszej w nocy, Eliza włamie się do środka Stedelijk. Dojście do zapory laserowej, biorąc pod uwagę patrolujących strażników, powinno zająć jej około dwudziestu minut. Jak zamierza ją pokonać? Z zapisków Mony wynikało, że Eliza znalazła na to sposób. Jednak nie napisała, jaki. Ile zabierze to czasu?

Założył, że nie może trwać dłużej niż czterdzieści minut, gdyż o tej mniej więcej porze w pobliżu sal z ekspozycją „Sztuki fałszerzy” powinien zjawić się strażnik.

Dziewczyny już zniknęły z placu, a on nadal patrzył przed siebie, skupiony na analizie wydarzeń, które wkrótce nastąpią. Zdjęcie obrazów ze ścian, po wcześniejszej dezaktywacji przez Monę alarmu, to około dziesięć minut. Wycięcie siedmiu płócien, zwinięcie ich oraz umieszczenie w plecaku to dwadzieścia minut. Ale do tego już nie zamierzał dopuścić. Obrazy musiały pozostać nienaruszone.

Dlatego też o pierwszej czterdzieści zadzwoni pod numer alarmowy policji. Minutę później powiadomi o włamaniu straż muzealną. Po pierwszych dzwonek alarmowych Eliza już będzie wiedziała, że przegrała. Pozostanie jej tylko oczekiwanie na policję. Czy będzie wówczas się zastanawiała, czy przypadkiem nie zdradziła jej Mona?

Wyszedł z muzeum i skierował się w stronę zaparkowanego przy Willem Sandbergplein auta. Pół godziny później wrócił do mieszkania. Klatka schodowa, udekorowana kwiatowymi wzorami wijącymi się wokół fantazyjnie powyginanych poręczy, z pewnością zachwycałyby niejednego znawcę architektury. Jemu było to obojętne. Na szczęście mieszkanie pozbawione było już inspiracji sztuką japońską czy asymetrycznych kompozycji.

Po powrocie zjadł lekki posiłek i sięgnął po kupioną w Polsce książkę z zakresu historii analizy matematycznej. Skłoniła go do tego recenzja zamieszczona na jednym z portali społecznościowych. W opracowaniu autorzy poruszali zagadnienia granic, ciągłości funkcji matematycznych. Pobieżne przejrzanie treści zapowiadało miłe spędzenie nadchodzącego wieczora. Kiedy zrobił sobie filiżankę mocnej kawy i zamierzał zasiąść do czytania, z korytarza dobiegł go brzęk tłuczonego szkła. Chwilę potem rozległ się dzwonek.

Odłożył książkę na bok. Przeszedł przez przedpokój i otworzył drzwi.

Na klatce schodowej stała filigranowa trzydziestolatka, która zmartwionym wzrokiem patrzyła pod nogi. Na posadzce leżała rama od obrazu, z której wypadło szkło.

– Bardzo przepraszam – popatrzyła na niego nieszczęśliwym wzrokiem. – Nie zastałam klientki – wskazała wzrokiem na górne piętro – i jeszcze ten pech. Byłby pan tak miły i pożyczył zmiotki, żebym ogarnęła ten bajzel? – westchnęła. – Bardzo proszę.

Kobieta miała ładne brązowe oczy, które podkreślała ciemna otoczka rzęs i brwi. Kształtny nos, wydatne usta i czarny pieprzyk w ich prawym kąciku. Wyglądała na niewinną marzycielkę. Zrobiło mu się jej szkoda.

– Chwileczkę.

Po kilkunastu sekundach wrócił ze zmiotką i szufelką. Nieznajoma zaczęła nieporadnie zgarniać szklane ułamki. Schylił się więc i pomógł zebrać do papierowej torby największe kawałki. Dwie minuty później było po sprawie. Uszczęśliwiona kobieta, nim oddała zmiotkę i szufelkę, nachyliła się i nieoczekiwanie pocałowała go w policzek.

– Był pan strasznie miły, dziękuję.

– Wpłynęło czterysta osiemdziesiąt milionów dolarów. – Mona wskazała Elizie jeden z ekranów, na którym widniała przesłana przez bank informacja. – Z tamtymi stu jeden milionami daje to pięćset osiemdziesiąt jeden milionów dolców.

– A zatem wszystkie karty znajdują się już w grze – powiedziała to Eliza jakby z ulgą.

Mona spojrzała na przewieszony przez oparcie krzesła ciemny elastyczny strój, który niedawno kupiły w jednym ze sklepów z odzieżą sportową. Dzisiejszego dnia, po wyjściu z muzeum, dokupiły jeszcze dwudziestometrową linę. Wszystko było przygotowane.

Otworzyła komputerowy notatnik, w którym zapisywała ustalenia dotyczące skoku. Jeszcze raz przejrzała poszczególne punkty. Każdy był już zrealizowany. Wpisała zdanie w ostatnią linijkę: „Deadline – 3 marca, godzina 3.00”.

Dzień ostatni

Minęła godzina druga pięćdziesiąt, kiedy Mona zaparkowała wypożyczony bus marki Ford nieopodal muzeum od strony ulicy Van Baerlestraat. Czterdzieści metrów dalej zaczynał się pasaż Willem Sandbergplein, którym Eliza miała dojść do wejścia „N” Stedelijk. Ulica była pusta i mżył deszcz ze śniegiem.

– Połamania nóg. – Mona dotknęła ramienia Elizy, jakby chciała ją przytulić, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Już wiedziała, że jej przyjaciółka niezbyt za tym przepada.

Eliza założyła z przodu niewielki plecak. Sięgnęła dłonią do klamki, ale nie otworzyła drzwi. Odwróciła się do Mony.

– Chciałam powiedzieć coś ważnego – odchrząknęła, żeby zamaskować ucisk w gardle. – Dzięki tobie odkryłam, że nie muszę stawać w drugim szeregu i słuchać poleceń innych. Że wiem coś więcej niż oni, że mogę coś chcieć i, co ważniejsze, po to coś wyciągnąć rękę.

Przytuliła zaskoczoną Monę i wtedy usłyszała cicho nad uchem:

– A ja dowiedziałam się, że wcale nie jestem taka silna, przebojowa i obojętna na cały świat. Wiem już, że mogę być, kim zechcę, a chcę być normalną dziewczyną, a nie superzdzirą.

Mona mocno odwzajemniła uścisk i Eliza wysiadła z forda.

MONA PRZENIOSŁA się na tył busa, gdzie na szerokiej stole stały włączone cztery laptopy. Na centralnym widziała korytarz rejestrowany przez kamerę wpiętą w obrożę Elizy.

Na prawym ekranie pojawił się sygnał potwierdzający, że Mona jest w panelu administracyjnym straży ochronnej Stedelijk. Wpisała w wymagane pole kod dostępu i wcisnęła klawisz „enter”.

W nocy muzeum pilnowało trzech strażników. Co godzinę każdy z nich ruszał w trasę, która przebiegała przez wyznaczone punkty bezpieczeństwa. W tych miejscach strażnik przykładął kartę magnetyczną do czytnika, który potwierdzał jego obecność. Obchód trwał dokładnie pięćdziesiąt cztery minuty. Kiedy pierwszy strażnik kończył, w trasę ruszał drugi, potem trzeci i znowu pierwszy. Ten, który odbył turę, miał za zadanie kontrolę otoczenia muzeum. Potem siadał za konsolą z monitorami, które odbierały sygnał od kamer elektronicznego nadzoru rozmieszczonych wewnątrz budynku.

W tym ostatnim wypadku wystarczyła nakładka filmowa, żeby strażnicy mieli na monitorach widok sal, który nie miał nic wspólnego z realnym obrazem odbieranym w czasie rzeczywistym. Obraz Mona nagrała dwie noce temu, gdy pełniła dyżur ta sama zmiana wartowników. Wszelkie podmiany w rejestracji obrazów wymagały jedno-dwusekundowej przerwy. Strażnicy nie mogli tego nie zauważyć. Nie można zaś było liczyć na łut szczęścia, że zlekceważą wahnięcie w pracy systemu. Dlatego też już od dwóch tygodni Mona nękała strażników dwusekundowymi zawieszeniami się systemu. Oczywiście wezwano techników, którzy sprawdzili, co takiego dzieje się w systemie. Ci niczego nie znajdowali i za każdym kolejnym razem z pewnością rozkładali tylko bezradnie ręce. Jednym z rozwiązań mogły być skoki napięcia, które jednak nie powinny mieć miejsca, gdyż na sieć energetyczną nałożono dławiki i korektory napięcia i natężenia. Dwa tygodnie było jednak aż nadto, żeby parosekundową pomroczość strażnicy zaczęły traktować z lekceważącym wzruszeniem ramion. Dziś w nocy popsuła się też kamera rejestrująca wejście do muzeum dla pracowników, ale już korytarz za wejściem był monitorowany.

Tak więc po zafalszowaniu odbieranego w centrum ochrony obrazu Mona mogła odpuścić sobie pracujące w podczerwieni kamery, jedynie bacząc na patrolujących muzealne korytarze i sale strażników.

ELIZA znalazła się przy bocznym wejściu do Stedelijk. Już miała odwrócić się i spojrzeć na zawieszony na murze za plecami kamery, kiedy szczerknął zamek i drzwi odchyliły się do środka.

Wsunęła się do budynku i zamknęła dokładnie za sobą drzwi. Weszła za baner, całkowicie chowając się w mroku.

Zerknęła na lekko podświetloną tarczę zegarka. Zero czterdzieści dziewięć, była minutę przed czasem. Zdjęła plecak, kurtkę i spodnie. Złożone ubranie położyła w najgłębszym cieniu na posadzce. Zimowe buty zmieniła na wyjęte z plecaka cichobieżki z gumowymi podeszwami. Z bocznej kieszeni wyjęła zestaw słuchawek. Podłączyła je do mikro nadajnika zamocowanego do zatrzasku opinającego ją w talii paska. Przewód szedł pod bluzką. Na koniec nasunęła na głowę maskę z otworami na oczy i usta. Na szyi zapięła cienką skórzaną obrożę, która, jak zapewniono ją w sklepie, będzie doskonałym prezentem dla ukochanego pudła. Wpięła w nią mikro obiektyw kamery. Przesunęła suwak połączenia.

– Jak mnie słyszysz?

– Gdzie jesteś? – W słuchawkach rozległ się głos Mony.

Eliza obróciła się twarzą do korytarza.

– W środku. Widzisz? – dosunęła mikrofon do brzegu otworu na usta.

– W porządku. Za chwilę pierwsza pięć.

Eliza założyła plecak na ramiona. Mocno podciągnęła tasiemki na zapinkach, żeby dokładniej przylegał do ciała. Nałożyła maskę z nylonu. Pociągnęła powieki i nos ciemną pomadką.

– Jestem gotowa.

Odpuścił drugi magnetyczny zamek. Drzwi odchyliły się do środka muzealnego lobby. Eliza nie była przesądna. A jednak przed godziną, kiedy zaraz po wyjściu z hotelu musiały wrócić po zapomniane kluczyki do samochodu, a Mona zarządziła, żeby usiadły, nie zaprotestowała.

– Tylko nogi nie mogą dotykać podłogi – ostrzegła wówczas przyjaciółka.

– Dlaczego? – zapytała Eliza.

– Nie mów, tylko rób.

Potem obie musiały jeszcze przejrzeć się w lustrze. Wreszcie dla pewności Mona trzy razy popluła przez lewe ramię i orzekła, że zły czar z pewnością został odegnany. Teraz, na wszelki wypadek, Eliza też popluła przez lewe ramię trzy razy.

Kiedy otworzyła szerzej drzwi do lobby niemal westchnęła.

Jakbym była w Cyber Worldzie, przemknęło jej przez myśli. Czy zatem jestem człowiekiem, który porusza się w komputerowym oprogramowaniu, czy też oprogramowanie wymyśliło mnie dla własnej zabawy? Chyba że... Dostyc tych bzdur.

Przeszła przez drzwi i przytrzymała je stopą, żeby przypadkiem się nie zamknęły. Wyjęła owiniętą w sreberko gumę do żucia. Zgniotła między palcami wyżutą już kulkę, aż stała się dostatecznie miękka i plastyczna. Przykryła czujnik magnetyczny sreberkiem i przykleiła z boku gumę, żeby utrzymywała sreberko na miejscu.

– Jeden na miejscu – szepnęła do słuchawki.

– W porządku – usłyszała głos Mony. – Strażnik zaraz będzie wychodził ze starego muzeum.

Eliza schowała się między regałami. W ciszy słyszała swój oddech. Wokół panowała absolutna cisza.

Wreszcie dobiegł do niej odgłos kroków strażnika. Szedł wolno i wydawało się, że utyka. Przynajmniej jeden z jego obcasów głośniejsze uderzał o posadzkę. Jego zejście do podziemi zajęło nie trzy, ale cztery minuty. Jednak planując skok, założyły półgodzinny zapas, zatem takie spóźnienie nie miało żadnego znaczenia.

Eliza wyprostowała się i rozejrzała wokół. Wybiegła zza regału i ruszyła w stronę szerokich schodów, które prowadziły do starej części muzeum. Wszystko odbywało się identycznie jak w nierealu.

A może powinna wyobrazić sobie, że jest w świecie wirtualnym, by nie czuć narastającego napięcia? Pomysł byłby świetny, gdyby nie lekka

nerwowa zadyszka, której kompletnie nie czuła w komputerowej rzeczywistości.

Potwierdziło się, że pomalowane na podłodze, a widoczne w ultrafiolecie linie i znaki były rewelacyjną podpowiedzią, w jakim kierunku zmierza. Ominęła kolumnę, przez którą kilka razy wcześniej przeniknęła. Tym razem mogło być to o wiele bardziej bolesne.

Przystanęła, starając się uspokoić oddech. Trzy głębokie wdechy przez nos i powolne wypuszczanie powietrza ustami. Zarazem łowiła uchem, czy nie dobiegnie do niej jakiś niepokojący dźwięk. Cisza. Ruszyła między eksponaty. Poczowała delikatny powiew przeciągu.

Kiedy mijała grupę muz, które stały za plecami artysty, nieoczekiwanie usłyszała za plecami pośpieszne kroki. Ktoś najwyraźniej biegł przez lobby. Co powinna zrobić?

W ostatniej sekundzie wśliznęła się między muzy i przybrała jakąś pozę. Jej postać w czarnym kombinezonie zupełnie rozmyła się w mroku.

Kątem oka zobaczyła strażnika. Zatrzymał się na chwilę, wyraźnie zasapany. Potem ruszył w stronę Elizy. Kiedy dochodził do grupy muz, sięgnął po latarkę, którą zostawił na sześciennej bryle, o metr od Elizy. Strażnik zdjął czapkę. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nią czoło. Sekundę później odszedł w stronę zejścia do podziemia.

– Co to było? – w słuchawce rozległ się zdenerwowany głos Mony.

– Zapominałski strażnik – odpowiedziała szeptem Eliza i poszła korytarzem na drugą stronę budynku w starym gmachu muzeum.

DOCHODZIŁA GODZINA trzecia trzydzieści pięć. Strażnik Ergon Masted zszedł na parter. Znowu otarł chustką pot z czoła. Tego tylko brakowało, żeby w taki dzień zapomniał postawionej na chwilę na ekspozycji latarki. Rozejrzał się po wielkim holu, którego zawieszony wysoko sufit i odległe ściany tonęły w mroku. Być może przez to odnosił wrażenie, jakby tkwił w centrum wszechświata, na którego firmamencie płonęły

nieliczne gwiazdy, zawieszono gdzieś hen wysoko w nieidentyfikowalnej przestrzeni. Były mu one jednak kompletnie obojętne.

Westchnął ciężko. To była ostatnia noc w jego czterdziestoletnim życiu zawodowym. Inni wokół robili kariery, dorabiali się większych lub mniejszych pieniędzy, zmieniali samochody i żony, a on przez cztery dekady przemierzał sale Stedelijk Museum i było mu z tym dobrze. Przez całe życie każdy dyżur pełnił wzorowo i w ten sam sposób zamierzał zakończyć pracę nad ranem.

Co będzie robił dalej? W dyrekcji obiecano mu pół etatu, w czasie dziennych służb. Miał zatem jeszcze czas, żeby martwić się o jutro. Skierował kroki do centrum nadzoru. Zszedł szerokim zejściem do podziemia. Na wprost znajdował się pasaż z pamiątkami, kasami i miejscem, gdzie turyści mogli napić się kawy. Skręcił w prawo. Na panelu automatycznego zamka wpisał sześciocyfrowy kod. Pchnął drzwi, które po paru sekundach zamknęły się za nim z westchnieniem wypieranego powietrza. Przeszedł przez wąski korytarz i znalazł się w centrali nadzoru.

Svern siedział nieruchomo i nie odrywał wzroku od jednego z monitorów. Nawet nie poruszył się na odgłos jego wejścia.

– Zawiesiłeś się? – Ergon klepnął przyjaciela po ramieniu.

– Niekoniecznie. – Svern wskazał długopisem na jeden z ekranów i zaparkowanego przy krawężniku czarnego forda. – Stoi tak od dwudziestu minut. A przecież tam jest zakaz zatrzymywania się dłużej niż dwadzieścia pięć.

– Ma więc jeszcze pięć minut. – Ergon machnął lekceważąco ręką.

To właśnie na wniosek strażników z muzeum wprowadzono ograniczenia postoju od strony ulicy Van Baerlestraat. Dwadzieścia pięć minut wystarczyło, żeby z autokaru wysiedli turyści i pojazd mógł odjechać. Nie miało to żadnego związku z ich pracą, ot, zwrócili uwagę, że wokół muzeum można było lepiej zorganizować ruch samochodów, które przywoziły zwiedzających. Wydział drogowy skorzystał z tej podpowiedzi i ustawił stosowne znaki limitujące czas postoju. Pod

spodem każdego widniała prostokątna tabliczka, że ograniczenie czasu postoju obowiązuje od godziny 8.00 do 20.00. Ktoś jednak urwał informację i wychodziło, że zakaz obowiązuje przez całą dobę. A Svern był strasznym służbiwą. Był znak, żadnych dodatkowych poleceń, należało się więc stosować do nakazu. Inaczej mówiąc, nocny marek nie miał prawa ustawić samochodu przy krawężniku Willem Sandbergplein na dłużej niż dwadzieścia pięć minut.

Svern spojrział na zegarek. Tamten miał jeszcze trzy minuty.

– O tej porze nie ma ruchu – rzucił Ergon.

– No właśnie, gość mógłby zaparkować gdzie indziej.

– Jesteś przewrażliwiony.

– Za to mi płacą – mruknął Svern.

– Przesadzasz.

– A gdyby teraz obrabowywali nasze muzeum, a ten gość był jednym z ekipy złodziei?

– Masz strasznie bujną wyobraźnię.

Ergon pomyślał, że z chęcią napiłby się mocnej kawy. Czy zaferować ją Svernowi? Ten dusigrosz przez ostatnie dwadzieścia lat nigdy nie zaproponował mu nawet herbaty. A niech tam, zachnął się w myślach, na pożegnalny kubek jeszcze go stać.

– Chcesz kawy?

Svern odwrócił się zaskoczony propozycją.

– Z przyjemnością.

Nim Ergon wszedł do kuchenki, zatrzymał się na moment.

– Jak z awarią?

– Piętnaście minut temu ekrany znowu zgasły. Co to może być?

– Mnie o to pytasz? – prychnął Egon drwiąco. – Nawet technicy nie wiedzą, w czym rzecz.

– Pytałem o to swojego syna.

Ergon ponownie odwrócił się i patrząc na Sverna, uniósł brew.

– A co on, taki dobry?

– Młodzi wiedzą, co w trawie piszczy.

– I co?

– Powiedział, że to może być włamanie do panelu administracyjnego systemu ochrony. To ja mu na to, że technicy sprawdzali już taką ewentualność.

– I nic – podsumował Egon.

– No właśnie.

– A on co na to?

– Że w takim razie nie wie.

Ergon wzruszył lekceważąco ramionami.

– Lepiej już zrobić tę kawę.

ELIZA WBIEGŁA po schodach na pierwsze piętro.

Skręciła w prawo do pobliskiej sali. Po krótkim biegu znalazła się przed służą, za którą umieszczono ekspozycję Rosnana.

„Widok Auvers-sur-Oise”, „Kongregacja opuszczająca Kościół reformowany w Nuenen”, „Burza na jeziorze galilejskim”, „Koncert”, „Głowa arlekina”, „Gołąb z zielonym groszkiem”, „Portret młodzieńca” – nazwy obrazów powtórzyła w myślach niczym litanie.

Chwilę patrzyła na migoczącą przed nią w mroku płataninę laserowych kresek, które rozciągnięte na ośmiometrowej długości korytarza zapalały się lub gasły w pozornie chaotycznym migotaniu.

Krok do przodu.

Obrót.

Dwa kroki szybkie i jeden wolny.

Cofnięcie i ponownie dwa kroki szybkie i jeden wolny.

Krok w prawo i ostatni po sekundowym zatrzymaniu krok w tył.

Potem znowu dwa kroki szybkie i jeden wolny...

Poprawiła plecak. Dociągnęła trzymające go przy ciele paski.

Wszystko było na swoim miejscu.

– Jestem gotowa. Puść taśmę.

W słuchawkach Eliza usłyszała jednostajny takt metronomu. Zamknęła oczy. Zaczęła głęboko oddychać. Po chwili uspokoiła oddech. Wyrzuciła też z myśli wszystkie obawy i niepewności. Takt wymiół z jej umysłu wszelkie śmieci.

Do nadejścia strażnika miała jeszcze dużo czasu. Dokładnie dwadzieścia dwie minuty.

SVERN Odstawił na boczny stolik kubek z kawą. Potem ponownie skierował wzrok na jeden z monitorów, który pokazywał obraz z kamery nakierowanej na czarnego forda. Zrobił zbliżenie na auto.

– Nie wygląda, żeby o tej porze czekał na narzeczoną.

– Kto?

– Ten w fordzie.

– A może to ona?

– Pomyśl, w polu widzenia ma znak, który wyraźnie mówi o zakazie postoju powyżej dwudziestu pięciu minut. Ale on ma gdzieś przepisy drogowe. Od takich drobnostek zawsze zaczyna się nieszczęście.

Ergon nie bardzo wiedział, o jakim nieszczęściu mówi kolega. Trochę było mu smutno, że za kilka godzin skończy ostatnią służbę. Zerknął na zegarek. Za czterdzieści minut drugi zmianowy skończy obchód. Wtedy w drogę ruszy Svern, a on zajmie jego miejsce przed monitorami.

Obaj najdłużej przepracowali w Stedelijk i mieli co powspominać. Ergon liczył, że w ten sposób uprzyjemnią sobie czas. Ale Svern wsiadł już na swojego konika prawa i coraz to podkręcał się patrzeniem na monitor, w którego centralnym polu tkwił ford. Wreszcie sięgnął po aparat telefoniczny i wystukał numer pobliskiego komisariatu.

– Cześć, tu Svern Woogart ze Stedelijk Museum. Mam dla was małą robótkę. Na Van Baerlestraat, po stronie muzeum, stoi czarny ford. Tam jest zakaz zatrzymywania się na dłużej niż dwadzieścia pięć minut, a ten stoi już dobre czterdzieści.

Ergon dostrzegł na monitorze postać Jesse, trzeciego strażnika, który właśnie zaczął obchód lobby. Potem były sale umieszczone w dobudowanej do frontonu wannie. Za piętnaście minut znowu pojawi się w głównym lobby i przejdzie do starego budynku, zaczynając drugą część obchodu. U nich wszystko funkcjonowało jak w zegarku, więc po co robić zamieszanie?

ELIZA USTAWIŁA się bokiem do śluzy poprzecinanej laserowymi liniami. Po dziesiątkach godzin prób odnalazła wewnątrz rytm, który rządził tym pozornym chaosem. Należało poczekać, aż najbliższy niej promień mrugnie dwa razy. Z niemal półsekundową dokładnością знаła czas i kolejność kolejnych rozbłysków. Krok do przodu. Obrót. Dwa kroki szybkie i jeden wolny.

Eliza zaczęła odliczanie. W momencie wypowiedzenia „zero”, Mona miała puścić fragment tanga, który pozwoli jej przejść blokadę.

– Dziesięć... Dziewięć... Osiem...

Nim doszła do „sześć” krzyknęła boleśnie. Sekundę później upadła na podłogę, jakby ktoś podciął jej nogi.

– Co się stało? – w słuchawkach odezwał się spanikowany głos Mony.

– Skurcz – Eliza wydusiła przez zaciśnięte usta.

Miała ochotę krzyknąć na całe gardło. Chwyliła się jedną ręką za usta i zdusiła jęk. Była świadoma, że patrolujący strażnik właśnie znalazł się na pierwszym piętrze nowej części Stedelijk. W ciszy z pewnością doleciały do niego jej głos.

Z trudem usiadła i zaczęła masować łydkę prawej nogi. Robiła to mocno, żeby jak najwięcej ciepła trafiło do zaciśniętych skurczem mięśni.

– Masz jeszcze trzynaście i pół minuty – w słuchawce odezwał się spokojny głos Mony. – Dasz radę.

Po policzkach Elizy pociekły łzy. Ból był obezwładniający. Noga niemal zdrętwiała do pachwiny. Wydawała się sztuczna, ciężka i nie należąca do niej niczym drewniana proteza.

Nie mogła się jednak poddać. Choć czuła, że skóra na dłoniach zaczyna się robić gorąca, nie przestawała trzeć łydki.

Musi się udać, krzyczała w myślach. Musi!

– Dwanaście minut.

Ból jakby powoli zaczął się cofać. Ale drętwa sztywność nie chciała ustąpić.

NOCNY STRAŻNIK Jesse zatrzymał się przed wejściem do nowej części budynku. Włączył latarkę i omiół promieniem światła przestrzeń, którą niedawno przeszedł. Przyszło mu do głowy, że kiedy Ergon odejdzie, to zwolni się miejsce starszego specjalisty. Gdyby je dostał, jego uposażenie wzrosłoby do dwudziestu dwóch euro za godzinę. Przy zarabianych obecnie piętnastu... Tak, to byłaby znacząca podwyżka. No i za kilka lat mógłby zająć miejsce Sverna, gdyż podobnie jak tamten miał techniczne wykształcenie. Wtedy miałby prawie trzydzieści na godzinę. Życie nie umierać.

ELIZA PODNIOSŁA się z trudem z podłogi. Musiała jak najszybciej rozchodzić nogę. Samo ocieplenie mięśni nie przyniosło oczekiwanego efektu.

– Dziewięć minut.

Zagryzając z bólu wargi, zaczęła szybko chodzić od ściany do ściany.

– Gdzie teraz jest strażnik? – wyjęczała do słuchawki.

– Stoi przy wejściu do... Już wszedł na teren starego muzeum.

– Dam radę – wydusiła bardziej do siebie niż Mony.

Ponownie przykucnęła, by porozcierać stężoną łydkę. Po chwili postanowiła robić przysiady, mocniej rozciągały mięśnie nóg. Wkrótce nadeszła ulga. Dlaczego wcześniej nie wpadła na ten pomysł?

NOCNY STRAŻNIK Jesse skierował się po bordowym dywanie w stronę pierwszego korytarza. Kiedy szedł, przed nim tańczyło światło latarki. Jesse brał ją na obchód, żeby, jak tłumaczył innym, dokładniej widzieć

patrolowany teren. W rzeczywistości od dziecka bał się mroku. Na szczęście w muzeum sztuki nowoczesnej niewiele mogło go nastraszyć. Czasami ustawiano w salach jakieś maskarony, ale niezbyt wybujała wyobraźnia Jessego nie potrafiła ich ożywić i postawić jako zmary na nocnej drodze obchodu.

PONOWNY SKURCZ był już mniej bolesny niż poprzedni. Ale on również podciął Elizie nogi. Upadła z cichym jękiem.

– Sześć minut. – Szept w słuchawce miał grobową tonację.

Tym razem wiedziała, że musi robić przysiady. I powinna pozostawać dłużej w przykucu. Szybko też złapała, że w przewyciężeniu skurczu pomaga, gdy robi przysiady na palcach zaatakowanej nogi.

Ćwicząc, spojrzała w stronę migających laserowych kresek.

A gdy kolejny skurcz złapie ją w chwili, gdy będzie w tańcu przemierzała służę?

Przypomniała sobie sen z policjantami, którzy mierzyli z pistoletów w jej głowę. Czyżby okazał się proroczy?

– Włącz mój takt – rozkazała.

– Zwariowałaś? Masz sztywną nogę.

– Rób, jak mówię.

– Ale...

– Najpierw takt, a za dwie minuty odlicz i wtedy puść tango.

– To nie ma sensu – jęknęła Mona.

– Kurwa, słuchaj, co mówię. Włączaj – syknęła do mikrofonu.

NOCNY STRAŻNIK Jesse wszedł w dziesięciometrowy korytarz. Kiedy dojdzie do jego końca, skręci w lewo. A potem znowu w lewo. Wyjdzie na służę przy polskiej kolekcji. Odbije kartę w punkcie czasowym i będzie mógł wracać.

- DZIEWIĘĆ... OSIEM... Siedem...

Eliza była jeszcze wsłuchana w takt metronomu. Minutę wcześniej odcięła się psychicznie od bólu. Stała się wewnątrz czysta i spokojna. Już się nie bała. Była gotowa. Miała jeszcze prawie dwie i pół minuty do pojawienia się strażnika. A przejście służy zajmuje przecież dwie minuty i siedemnaście sekund.

- Jeden. Zero.

W słuchawkach popłynęła muzyka. Eliza zaczęła tańczyć z zamkniętymi oczami. Niósł ją równy takt. Nie czuła, że kuleje. Nie liczył się świat zewnętrzny. Była tylko ona i tango. Krok do przodu. Obrót. Dwa kroki szybkie i jeden wolny. Cofnięcie i ponownie dwa kroki szybkie i jeden wolny. Krok w prawo i ostatni po sekundowym zatrzymaniu w tył. Potem znowu dwa szybkie i jeden wolny... Powtarzała w pamięci. I znowu krok do przodu. Obrót. Dwa szybkie i jeden wolny.

Kiedy Eliza minęła ostatni laserowy promień, usłyszała w słuchawkach głos Mony.

- Stój!

Otworzyła oczy i zamarła w wykroku. Wokół niej błędziło światło latarki. Odwrócona tyłem do strażnika zlała się z ciemnym tłem parawanów, które obciążnięto granatowym materiałem.

Latarka zgasła. Za plecami doleciało ciche biip. Strażnik zarejestrował swoją obecność i ruszył w drogę powrotną.

NIEOZNAKOWANY RADIOWÓZ dwukrotnie przejechał obok forda ustawionego na ulicy obok muzeum. Po sprawdzeniu numerów rejestracyjnych okazało się, że dzień wcześniej został wypożyczony na amsterdamskim lotnisku Schiphol na nazwisko Andrzeja Witarzewskiego, obywatela Polski. Ten nie figurował w żadnej z policyjnych kartotek. No, ale swego czasu Ronnie Biggs, mózg największego napadu kolejowego minionego stulecia, również był nikomu nieznanym Brytyjczykiem.

Tym razem radiowóz zatrzymał się przy krawężniku ulicy na wprost czarnego forda. W świetle przednich reflektorów jeden z funkcjonariuszy dostrzegł, że siedzący za kierownicą młody mężczyzna zaczął niespokojnie rozglądać się na boki. Czy miał ku temu powody? W końcu nie zrobił nic niestosownego, prócz tego, że zaparkował pod znakiem, który zakazywał zatrzymywania się w tym miejscu na dłużej niż dwadzieścia pięć minut.

Jeden z policjantów wysiadł z radiowozu, położył dłoń na otwartej kaburze z pistoletem i podszedł do auta od strony kierowcy. Wyjął legitymację i przez szybę pokazał ją wystraszonemu chłopakowi. Poprosił na migi, żeby opuścił szybę. A potem doszedł do wniosku, że po raz pierwszy w życiu przyda mu się rosyjski, którego z pasją uczył się od chwili ukończenia gimnazjum.

– Pokażycie wy mnie swaju dokumenty – powiedział.

Siedzący za kierownicą zrobił niepewną minę.

– I don't understand, what you are saying.²¹

Gość ze wschodu najwyraźniej nie docenił trudu, który funkcjonariusz włożył, żeby zagadać w jego ojczystym języku. No i to łamanie przepisów. Nie wspominając o tym, że w środku była niemal kotłownia, jeśli chodzi o gęstość dymu po wypaleniu dwóch skrętów z marihuaną. Przynajmniej wskazywały na to wyrzucone przez okno dwa niedopałki. Zatem do wykroczenia drogowego dochodziło też śmiecenie w miejscu publicznym.

ELIZA USTAWIŁA na zegarku znacznik. Za dwadzieścia minut wibracja podpowie jej, że powinna się zwijać. Będzie miała wówczas wystarczająco dużo czasu, żeby wejść na strych boczną klatką schodową dla personelu, wrócić, przejść przez służbę, dotrzeć do holu starej części muzeum, ukryć się między rzeźbami w holu starego muzeum i kiedy strażnik odejdzie, przebiec przez lobby pod wanną do wyjścia „N”. Mona miała już na nią czekać w aucie na pobliskiej Paulus Potterstraat.

Zdjęła plecak.

– Jak noga? – spytała Mona.

– W porządku.

– Zatem do roboty.

Eliza wyjęła z plecaka linę o długości dwudziestu metrów.

– Wyłącz alarm obrazów – szepnęła do mikrofonu.

– Czekaj... – Cisza trwała pięć sekund. – Możesz zdejmować.

Podeszła do „Portretu młodzieńca” Rafaela Santi. W półmroku ciemne oczy mężczyzny zdawały się do niej uśmiechać. Płótno, jako jedyne było przysłonięty szkłem, gdyż ludzie, chcąc sprawdzić mistrzostwo pędzla, często dotykali jego powierzchni palcami.

Zdjęła obraz i położyła go na podłodze. Wyjęła z bocznej kieszeni plecaka składany nóż. Szybkim ruchem nadgarstka uwolniła ostrze z blokady. Podważyła brzeg obrazu i powoli, żeby nie uszkodzić, wyjęła płótno z ram. Potem przyszła kolej na szkło. Obraz i pustą ramę położyła na posadzce. Wyciągnęła z plecaka papierową torbę ze zbitą szybą. Rozsypała kawałki obok ramy i obrazu.

Całą szybę schowała do dużej i grubej papierowej torby, którą na koniec wsunęła do plecaka. Uderzyła w niego raz i drugi. Szyba pękła i rozciągnięty na boki plecak mógł zejść się do środka. Eliza potrząsnęła nim, żeby szklane ułamki ułożyły się w środku na dnie.

Eliza wbiegła z liną po schodach na poddasze muzeum. Dość szybko znalazła poszukiwane okno dachowe.

– Jestem na miejscu – szepnęła do mikrofonu.

– Jak będziesz gotowa, daj znać.

Eliza wyjęła z plecaka kolejną wyżytą gumę zawiniętą w sreberko. Przez chwilę ugniatała ją między palcami aż stała się miękka i plastyczna. Podeszła do okna i położyła dłoń na klamce.

Otwarcie okna i połączenie srebrem przerwy między złączami również wielokrotnie przećwiczyła „na sucho”. Tym razem strażnicy mieli doświadczyć nie dwu-, ale trzysekundowej przerwy w dopływie prądu. W rzeczywistości chodziło o wyeliminowanie sygnałów

alarmowych, które po otwarciu okna i przerwaniu obwodu zostałyby uruchomione.

– Jestem gotowa.

– Jak powiem „już”, będziesz miała trzy sekundy... Uwaga... Już!

Eliza otworzyła okno i założyła sreberkiem przerwę między przewodami.

– Gotowe – stwierdziła z cichym sapnięciem.

Następnie sreberko, tak jak przy drzwiach wyjściowych z podziemi, przylepiła do podłoża gumą do żucia.

Chwilę potem przywiązała do najbliższego belkowania linę, którą następnie wyrzuciła za okno na spadzisty dach. Jej szary koniec zawisł metr nad chodnikiem. W mroku nocy na tle szarego muru lina była niewidoczna.

– Wracam.

Spojrzała na zegarek. Wyrobiła się o dwie minuty szybciej. Podeszła do śluzy laserowej.

– Na „zero” włącz tango.

– Trzy... Dwa... Jeden... Zero.

Pięć minut później, po opuszczeniu starego gmachu, Eliza ukryła się między dwiema grupą muz. Kiedy strażnik ją minął, zbiegła po schodach do głównego lobby. Dotarła do wyjścia „N”. Otworzyła drzwi i nie usuwając założonej na zamek gumy do żucia, delikatnie przytknęła je za sobą.

Sięgnęła po kurtkę i spodnie. Przebrała się. Pospiesznie zmyła z twarzy ciemną pomadkę. Nim wyszła z budynku, sprawdziła, czy coś nie wypadło jej z kieszeni.

– Gotowa do wyjścia.

– Na zewnątrz czysto.

Szczęknął zamek i drzwi odchyliły się do środka.

NOCNY STRAŻNIK Ergon biegł korytarzem tuż za plecami Sverna, który wysforował się nieco do przodu. Dwie minuty wcześniej dostali telefon alarmowy z komendy policji.

– W waszym muzeum właśnie dokonywana jest kradzież. Chodzi o obraz „Wenus z Witebska” z polskiej ekspozycji „Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki”.

Ergon, który w tej turze miał zasiąść przed monitorami, posadził przed nimi niedoświadczonego Jesse’go, a sam ruszył, żeby złapać złodzieja. Przecież to mogło być wspaniałe ukoronowanie jego czterdziestoletniej kariery.

BRATT HENRY gwałtownie otworzył oczy. Za oknem świtało i sypialnię wypełniała szara poświata. Elektroniczny zegarek, który stał na szafce nocnej, wyświetlał godzinę szóstą dziesięć.

Dlaczego się obudził? Skoncentrował się na odgłosach dochodzących z głębi domu. Choć było to irracjonalne, czuł narastający niepokój, jednak nie potrafił odnaleźć jego źródła. Sekundę później, niczym wystrzał karabinowy, rozległ się dzwonek do drzwi. Kto i czego od niego chciał o tej porze?

Sygnal dzwonka powtórzył się. Tym razem trwał dłużej i brzmiał niecierpliwie.

Usiadł na łóżku. Odnalazł stopami kaptcie. Sięgnął po przerzucony przez krzesło szlafrok i zarzucił go na ramiona.

Ponowny dzwonek. Jeszcze dłuższy i bardziej natarczywy.

– Idę! Zaraz – krzyknął zły.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Na klatce schodowej stało dwóch mężczyzn o niechętnych wyrazach twarzy, jakie zawsze ma policja, gdy dobija się rano do cudzych drzwi. Jeden z nich podsunął mu pod nos legitymację amsterdamskiej policji.

– O co chodzi? – Bratt nie ukrywał zdziwienia.

– Mr Henry?

– O co chodzi? – powtórzył.

- Jest pan podejrzany o włamanie do Stedelijk Museum.
- Kiedy?
- Dziś w nocy.

Przecież włamanie będzie dopiero jutro, chciał się rozeźmiać, ale głos uwiązał mu w gardle. Jeden z policjantów bezceremonialnie odsunął go na bok i wszedł do mieszkania. Szybko sprawdził, czy nie ma tu jeszcze innych osób.

- Włamano się do Stedelijk? - spytał Henry z idiotyczno-naiwnym wyrazem twarzy. -No to co u mnie robicie?

- Ktoś widział pańską ucieczkę z muzeum i nas powiadomił. Uciekł pan przez okno dachowe i spuścił się po linie na chodnik

Poczuł, jak gwałtownie wzbiera w nim żółć, zarazem obezwładniło go niedowierzanie i totalne zaskoczenie, że został wrobiony w coś, co jeszcze nie do końca ogarniał umysłem.

Oprzytomniał, gdy już siedział w radiowozie ze skutymi rękami, a po obu jego bokach siadali mundurowi, którzy z obu stron mocno wzięli go pod ramiona.

Epilog

Van de Krog, dziennikarz holenderskiego „De Telegraaf”, sięgnął po kubek z herbatą stojący obok komputera. Jego artykuł, który zbiegł się z aresztowaniem pewnego Amerykanina podejrzanego o włamanie do Stedelijk Museum, odpalił prawdziwą bombę. Materiały, które dostał od poznanej kilka tygodni temu kobiety, okazały się rewelacyjne. Jeśli jej sugestia, że w muzeum pod przykrywką międzynarodowej wystawy miało dojść do handlu kradzionymi arcydziełami sztuki, okaże się prawdą, będzie to sensacja na skalę światową. Na razie wszystkie dowody, które zebrano na miejscu włamania, tylko potwierdzały tę tezę.

Krog wrócił do pisania artykułu.

„Kiedy policja zapukała do drzwi Bratta Henry’ego, ten nie krył zaskoczenia informacją, że tej nocy miało miejsce włamanie do muzeum sztuki nowoczesnej. I że to on jest podejrzewany. Podczas przesłuchania z uporem twierdził, że został wrobiony przez dwie Polki. Funkcjonariusze, którzy sprawdzali słowa Henry’ego, stwierdzili, że w pensjonacie „Freedom”, gdzie rzekomo miały przebywać kobiety, w ostatnich tygodniach mieszkał tylko jeden Polak, pięćdziesięcioletni mężczyzna. Policja nie znalazła w komputerze Amerykanina żadnego oprogramowania hakerskiego, dzięki któremu, jak twierdził, podglądał komputer włamywaczek, gdzie znajdowały się zapisy planowanego skoku. Wbrew oczywistym faktom Henry nadal się upiera, że został we wszystko wrobiony.

Pomimo wcześniejszych zastrzeżeń policja holenderska wreszcie zdecydowała się poddać badaniom siedem obrazów będących częścią ekspozycji ‘Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki’. A są nimi: ‘Widok Auvers-sur-Oise’ Paula Cézanne’a i ‘Kongregacja opuszczająca Kościół

reformowany w Nuenen' Vincenta van Gogha; 'Burza na jeziorze galilejskim' oraz 'Koncert' Vermeera; 'Głowa arlekina' i 'Gołąb z zielonym groszkiem' Pabla Picassa czy też wreszcie 'Portret młodzieńca' Rafaela Santi. Aby potwierdzić lub obalić tezę, że mamy do czynienia nie z kopiami, ale z poszukiwanymi od lat skradzionymi arcydziełami, musimy uzbroić się w cierpliwość i poczekać na szczegółowe badania specjalnie powołanej do tego celu grupy znawców sztuki”.

BRATT HENRY leżał na łóżku szpitalnym i nieruchomo spoglądał w sufit, który powoli rozjaśniał zakradający się przez okno świt. Przez całą noc nie spał, zmuszając swój umysł do intensywnego myślenia.

Kiedy po sześciotygodniowym procesie został przewieziony do zakładu karnego, miał wrażenie, że między nim a światem zewnętrznym zapadła pancerna szyba. Wszystkie dowody jednoznacznie świadczyły o jego winie. Tak więc sąd nie miał najmniejszych wątpliwości, wydając wyrok skazujący go na sześcioletni pobyt w zakładzie karnym bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze złagodzenie kary. Jego obrońca skierował do sądu wnioski o możliwość odbycia przez skazanego kary na terenie Stanów Zjednoczonych, których był obywatelem, jednak sąd odrzucił taką ewentualność.

Ale nie to było najgorsze. Odkąd zatrzasnęły się za nim drzwi celi, nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób dwie przewrotne dziwki zdołały go podejść i na koniec wyprowadzić w pole. Przecież to on rozdawał karty.

Aż trzeciego dnia, w czasie obiadu, wszystko stało się jasne.

Jego pierwszy błąd polegał na tym, że uwierzył, iż hakerka, która dotąd dokładnie zabezpieczała wszystkie zakładane przez siebie „lampy”, zapomniała o pierwszej, która rozdzielala sygnał na pozostałe. To niedopatrzenie wystarczyło, żeby w konsekwencji zrodziły się kolejne, będące jego następstwem. Bo choć wydawało się, że może swobodnie patrzeć nad ramieniem Mony i widzieć wszystko, co robiła na komputerze, w rzeczywistości otworzył przed hakerką furtkę do

własnego laptopa, na którym Mona zainstalowała ukryte oprogramowanie.

Dlatego kiedy policja sprawdziła jego komputer, okazało się, że on, obywatel pochodzenia amerykańskiego, który czasowo zamieszkiwał w Polsce, mógł swobodnie penetrować pracę nadzoru komputerowego Stedelijk Museum i zakłócać funkcjonowanie systemu bezpieczeństwa. To właśnie z powodu jego nielegalnych wejść do sieci muzeum następowały zaniki sygnału w sieci muzealnego intranetu.

Bardzo to było sprytne, musiał przyznać, choć ta konstatacja budziła w nim furię. A jeszcze większą złość czuł do siebie – uważał się za takiego sprytnego, a jak naiwne dziecko uwierzył w szczerość zapisków, które co dnia Mona umieszczała w komputerowym notatniku.

Drugi błąd poniekąd wynikał z niechlujnego stylu bycia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego zwyczaj przylepiania wyżutych gum do każdej popielniczki, która znalazła się w zasięgu ręki, może okazać się jego zgubą. Bez wątpienia te dziwki zapłaciły kelnerkom kawiarni, w których przesiadywał, żeby przyniosły im popielniczki z gumą, którą klient wyjął z ust i właśnie przykleił na ich brzegu.

Kiedy policja wkroczyła do muzeum sztuki nowoczesnej, w sali, gdzie była eksponowana „Wenus z Witebska” odkryto otwarte okno. Złodziejowi udało się uniknąć alarmu, gdyż przerwany obwód połączył metalową folią, którą przykleił do podłoża... wyżutą gumą. W laboratorium kryminalistycznym holenderskiej policji wyseparowano z gumy biologiczne ślady śliny. Podobny materiał został zabezpieczony w drugiej gumie, przyklejonej do folii blokującej drzwi prowadzące do lobby. Porównawczy materiał genetyczny, który pobrano od Bratta, potwierdził, że to on założył obie blokady na miejscu dokonania przestępstwa, używając do tego żutej przez siebie gumy. Policja uwierzyła, że on, Henry, specjalista wysokiej klasy, byłby tak głupi, żeby coś takiego zrobić. Niestety, każdy sądzi po sobie.

Trzeci błąd... Dokładnie pamiętał niewinny wyraz twarzy młodej kobiety stojącej przed drzwiami jego mieszkania w Amsterdamie. Jej

cichy głos proszący o zmiotkę, bo stłukła jej się szyba wprawiona w ramy obrazu o wymiarach trzydzieści dziewięć na pięćdziesiąt cztery centymetry, identycznej jak ta, która chroniła „Portret młodzieńca”. Powinien był zwrócić uwagę, że kobieta, która zbierała szklane ułamki – a on jej pomógł, bo taka była niezdarza – miała na dłoniach rękawiczki. On nie miał. Dlatego też w raporcie policyjnym, który odczytano w trakcie procesu, znalazły się słowa: „...w sali, gdzie była wystawiana ‘Wenus z Witebska’ na podłodze znaleziono ‘Portret młodzieńca’, który przestępca próbował wyjąć z ram. Nie udało mu się to i szyba została rozbita na kawałki. Na fragmentach szkła technik kryminalistyki zidentyfikował wyraźne ślady linii papilarnych podejrzanego”.

Co było idiotyzmem. Przecież, na miłość boską, gdyby planował skok, wszystko robiłby w rękawiczkach! Nie był idiotą, tylko profesjonalistą. Nikt jednak nie chciał słuchać jego zapewnień. Prokurator na sali sądowej argumentował, że najprawdopodobniej Amerykanin próbował zebrać szkło, ale wystraszony uciekł przez okno, zjeżdżając na dół po wcześniej przygotowanej linie. A wystraszył go dźwięk dzwonek alarmowych, które włączono po tym, jak anonimowy informator zatelefonował do policji, że Stedelijk Museum właśnie jest okradane.

Ostatnim i największym jego błędem było to, że wiedząc, iż Eliza i Mona będą chciały wziąć na nim odwet za śmierć ojców, zlekceważył je. Nie wziął pod uwagę, że kobieta, która szuka zemsty, może być groźniejsza od zawodowego mordercy.

Kiedy sobie to wszystko uświadomił, dotarło do niego, w jak dziecinny sposób dał się podejść.

I wtedy to się stało. Stracił panowanie nad sobą, ogarnął go amok i rzeczywistość odplynęła. Ujrzał przed sobą Monę, która płynnie zmieniała się w Elizę, i znów w Monę, aż wreszcie ustaliła się w MonaLizę, hybrydę, jego nemezis. Wrzasnął, chwycił ją za gardło i zaczął wbijać w jej ciało plastikowy nóż. Poczul, że ktoś go odciąga, że już nie może zabić tej dziwki... niemal wyl z wściekłości.

Potem dowiedział się, że w amoku zaatakował więźnia, który właśnie siadał po drugiej stronie stołu w stołówce w trakcie obiadu.

Obezwładniony przez strażników, wylądował na więziennym oddziale szpitalnym, gdzie przywiązano go do łóżka pasami i nafaszerowano środkami uspokajającymi.

To wydarzyło się poprzedniego dnia. Teraz był spokojny i wiedział, jak powinien dalej postępować. Sześć lat to jedynie dwa tysiące sto dziewięćdziesiąt jeden dni. Będzie przykładowym więźniem, pokornym jak baranek, i nikt nie znajdzie najmniejszego powodu, żeby zatrzymać go za murem więzienia w Bredzie choćby minutę dłużej. A przez te lata stworzy plan, jak odplacić się MonaLizie. A gdy znajdzie się na wolności, milimetr po milimetrze obedrze ze skóry swoich wrogów.

Uniósł lekko głowę. Przez jego pierś przełożony był szeroki skórzany pas, który go unieruchamiał. Podobne pasy miał założone na przegubach dłoni i nóg. W żyłę w prawym przedramieniu wbita była igła, od której biegł przezroczysty przewód do plastikowego pojemnika wypełnionego płynem, pewnie jakimś chemicznym uspokajaczem.

Drzwi do izolatki otworzyły się. Weszła pielęgniarka i zbliżyła się do jego łóżka. Choć na twarzy miała szeroki uśmiech, to jednak w błysku jej oczu coś zaniepokoiło Henry'ego.

– Jak się dziś czujemy? – spytała i położyła przy łóżku tackę z pełną saszetką kolejnej kroplówki, strzykawką, którą wypełniał mętny płyn, oraz szerokim, gotowym do nałożenia plastrem.

- Kiedy będę mógł wrócić na oddział?
- To zależy od decyzji lekarza prowadzącego.
- Czy dziś będę mógł z nim porozmawiać?
- Być może.
- Jak to, być...

Zanim zdążył dopowiedzieć zdanie, pielęgniarka niespodziewanie zalepiła mu plastrem usta. Następnie, nie spiesząc się, sięgnęła po strzykawkę i wbiła ją w plastikowy pojemnik z kroplówką.

– Pozdrowienia od pana Musada – powiedziała lodowatym głosem i wcisnęła tłok strzykawki.

Potem usiadła przy łóżku i spoglądała na niego obojętnym wzrokiem. Wiedział, że to już koniec. Patrzył na skapujące w pojemniku krople i z sekundy na sekundę ogarniał go coraz większy zwierzęcy strach. Próbował krzyżeć, ale plaster tłumił paniczny wrzask. Błagał spojrzeniem, żeby zabójczyni go uratowała. Obiecywał, że już nigdy, że odtąd....

Dziesięć minut później, gdy ostatecznie znieruchomiał, pielęgniarka wymieniła pojemniki z kroplówką, zdjęła z martwych ust Bratta Henry'ego plaster i wyszła z separatki.

PO ZACHODNIEJ stronie miasta Dilaram w Afganistanie biegnie asfaltowa droga, Zaranj-Delaram, która prowadzi przez Abd ol Samad Khan do granicy afgańsko-irańskiej.

Dochodziła godzina dwunasta czterdzieści rano, 2 lipca 2015 roku. Dwadzieścia kilometrów przed Abd ol Samad Khan, wysoko na błękitnym niebie, leciał dron bojowy o oznaczeniu kodowym Global Hawk SW-XT8-24-CN-4-GB. Litery „SW” wskazywały na powietrzny obszar działania, który obejmował południowo-zachodnią część Afganistanu. „XT8” były szyfrowym oznaczeniem jednostki stacjonującej na pograniczu Afganistanu i Pakistanu, na której wyposażeniu znajdował się latający robot zaprojektowany z myślą o wykonywaniu misji bojowych. „24” to liczba godzin, którą bez przerwy mógł przebywać w powietrzu. Litery „CN” świadczyły, że Global Hawk mógł współpracować z satelitami komunikacyjnymi znajdującymi się na tak zwanej *inclined orbit*. Cyfra „4” określała liczbę przenoszonych pocisków rakietowych powietrze-ziemia Hellfire, typu wystrzel i zapomnij. „GB” identyfikowały właściciela drona, Wielką Brytanię.

Od trzech godzin dron śledził dwie ciemne sylwetki terenowych BMW X5 jadących wyżej wspomnianą drogą. Koło godziny trzynastej

szesnaście czasu miejscowego z jednej z mijanych wiosek dołączyło do samochodów trzecie identyczne auto i ustawiło się w środku kolumny.

Kierujący dronem operator przekazał meldunek do centrum dowodzenia. Piętnaście minut później przyszedł rozkaz zniszczenia trzech pojazdów. Wszystkie procedury zatwierdzenia rozkazu zostały zachowane, stąd wydający dyspozycje odpalenia rakiet uruchomił stosowny program.

Dziesięć sekund później trzy rakiety typu Hellfire zostały zwolnione z zaczepów. Po upływie dziewięciu wszystkie trafiły w pędzące drogą samochody. Siła każdego uderzenia była tak wielka, że gdyby nawet pocisk wybuchł pięć metrów od celu, to pojazd uległby całkowitemu zniszczeniu. Z tym tylko, że program naprowadzający Hellfire'y miał tolerancję odchylenia od punktu zero do dziesięciu cali, czyli około dwudziestu pięciu centymetrów.

MINĘŁO POŁUDNIE. Jana siedziała na tarasie kawiarni i spoglądała na festyn, który odbywał się na placu Teatralnym. Kilka minut później pojawił się EmEm z nieodłączną paczką cukierków w dłoni. Ostatnio spotkali się kilka razy poza komendą, żeby omówić amsterdamski biznes, jak nazwał go Marzec. Ktoś widział ich razem i poszła plotka, że są parą. Niech tam ludzie sobie gadają.

– Spóźniłeś się – stwierdziła cierpko.

– Kiedy wychodziłem z firmy, w telewizorze na dyżurce zobaczyłem wiadomość podaną przez światowe serwisy. Brytyjski dron przez pomyłkę odpalił rakietę w stronę samochodu wiozącego Muhammada Musada, sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii, który dowodził plemionami w zachodniej części Afganistanu.

Jana nie wydawała się zaskoczona.

– Kupcy obrazów, którzy nie dostali nic za swoje pięćset osiemdziesiąt jeden milionów, najwyraźniej się wkurzyli. Muszą mieć niezłe wpływy w brytyjskiej generalicji, skoro mogą dysponować wojskowymi dronami.

EmEm pokiwał filozoficznie głową.

– Co z dziewczynami?

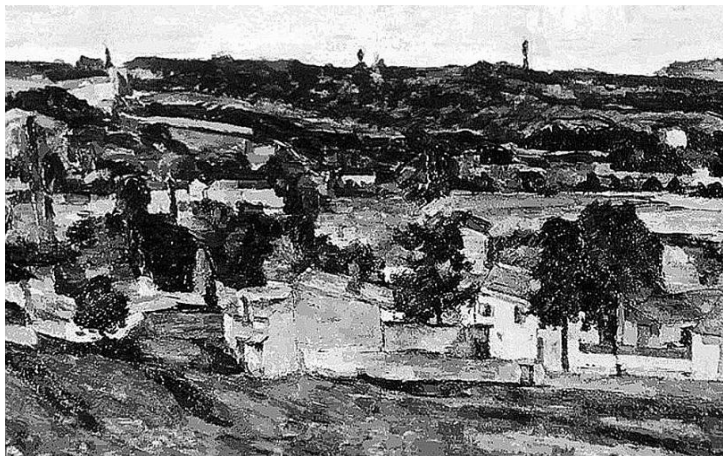
– Zniknęły. Podobnie jak pięćset osiemdziesiąt jeden milionów. Kasa rozplynęła się w światowym systemie bankowym. – Chwilę potem dodała z lekkim rozbawieniem. – Sądziś, że te dwa przypadki mogą mieć ze sobą jakiś związek?

Marzec miał niepewną minę.

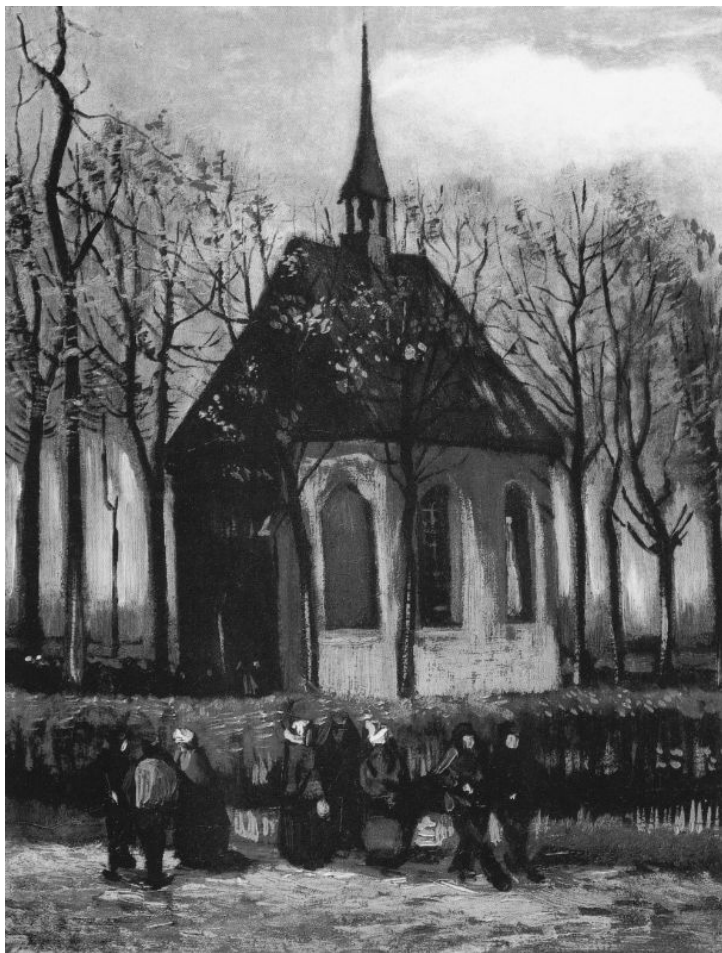
– Mam nadzieję, że przez to nie wpędzą się w kolejne kłopoty.

Żeby odpędzić zły urok, Jana skrzyżowała palec środkowy i wskazujący prawej ręki.

Jedne z najbardziej poszukiwanych przez Interpol dzieł sztuki



1. "Widok Auvers-sur-Oise", Paul Cezanne.
Obraz ukradziony z Ashmolean Museum w Oksfordzie w 2000 roku.



2. „Kongregacja opuszczająca kościół reformowany w Nuenen”,
Vincent van Gogh.
W 2002 roku płótno zostało skradzione z Muzeum Van Gogha w
Amsterdamie.



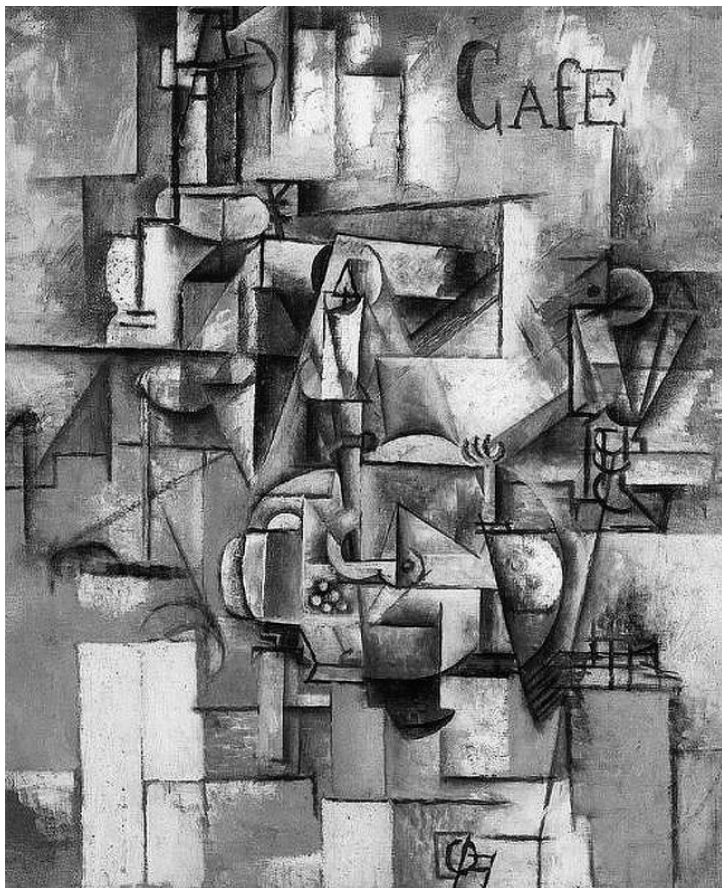
3. „Burza na jeziorze galilejskim”, Rembrandt van Rijn.
Obraz skradziony w 1990 roku podczas rabunku muzeum Isabelli
Stewart Gardner w Stanach Zjednoczonych.



4. „Koncert”, Jan Vermeer.
Obraz skradziony z Isabella Stewart Gardner Museum w 1990 roku.



5. „Głowa arlekina”, Pablo Picasso.
Dzieło Picassa skradzione podczas włamania do Galerii Kunsthal w
Rotterdamie w 2012 r.



6. „Le Pigeon aux petit pois”, Pablo Picasso
W 2010 roku obraz zrabowano z paryskiego Muzeum d'Art Moderne
de la Ville.



7. „Portret młodzieńca”, Rafael Santi.

W 1939 roku dzieło zostało skonfiskowane przez gestapo z Muzeum Czartoryskich w Krakowie i wywiezione do Berlina.

Przypisy

1 Bohumil Hrabal, „Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych”, przeł. Andrzej Czycibor-Piotrowski, PIW, Warszawa, 2004 r., s. 7-8

2 Bohumil Hrabal, „Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych”, przeł. Andrzej Czycibor-Piotrowski, PIW, Warszawa 2004 r., s. 34

3 Frank Arnau, „Sztuka fałszerzy – fałszerze sztuki”, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław, 1966 r.

4 <https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=842>

5 Autor niniejszej książki był pomysłodawcą i współwykonawcą, wraz z Andrzejem Witarzewskim, pierwszej w kraju strony internetowej, poświęconej ukradzionym i poszukiwanym w Polsce dziełom sztuki.

6 Maciej Nowicki, „Kocham pływać, pić i pisać”. Newsweek 52/2014-1/2015, 22.12.2014 r.

7 <http://www.niedziela.pl/artypkul/69998/nd/Zginal-jeden-z-najstarszych-obrazow>

8 Bohumil Hrabal, „Postrzyżyny”, przeł. Andrzej Czycibor-Piotrowski, wyd. Świat literacki, 2001 r., s.36.

9 Op. cit. s. 36-37.

10 Bohumil Hrabal, „Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych”, przeł. Andrzej Czycibor-Piotrowski, wyd. PIW, Warszawa 2004 r., s. 11

11 Stary Testament, Psalm 103, 10-12, Biblia Tysiąclecia, Wyd. Pallottinum, Poznań, 2003 r.

12 Bohumil Hrabal, „Obsługiwałem angielskiego króla”, przeł. Jan Stachowski, Świat literacki, Warszawa 2014 r.

13 AFIS – Automated Fingerprint Identification System (Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej).

14 Mario Puzo, „Ojciec Chrzestny”, przeł. Bronisław Zieliński, Wyd. TMN, 2003 r.

15 Myśli pan, że malarstwo jest emanacją ludzkiej inteligencji?

16 Inteligencji? Oczywiście, że nie. „Malarstwo jest sztuką zabezpieczenia płaskich powierzchni przed wpływem pogody i wystawianiem ich na działanie krytyków”. (Ambrose Bierce, amerykański pisarz i poeta).

17 Księga Micheasza, 7,18-19, Biblia Tysiąclecia, Wyd. Pallottinum, Poznań, 2003 r.

18 Czeskie przysłowie – Nie ma dymu bez ognia

19 Biblia, Psalm 103, 10-12, Biblia Tysiąclecia, Wyd. Pallottinum, Poznań, 2003 r.

20

http://www.biblijni.pl/czytania/1822_slowa_ewangelii_wedlug_swietego_jana.html

21 Ang. – Nie rozumiem, co pan mówi.